

INDRA

SINHA

Dzieci Apokalipsy

ANIMAL'S PEOPLE

Przełożyła Ewa Horodyska

Prószyński i S-ka



Dla Sunil

Od wydawcy

Tę opowieść w języku hindi zarejestrował na serii taśm dziewiętnastoletni chłopak z indyjskiego miasta Khaufpur. Zgodnie z umową zawartą przez niego z dziennikarzem, który się z nim zaprzyjaźnił, pojawiły się w niej wyłącznie słowa nagrane na taśmach. Niczego nie zmieniono, jedynie przetłumaczono na język angielski. Trudne wyrażenia - jak się okazało, francuskie - zapisano poprawnie, by ułatwić rozszyfrowanie ich znaczenia. Miejsca, w których taśma została zatrzymana, a później uruchomiona ponownie, zaznaczono odstępami. Nagrania są różnej długości i przedstawiane zgodnie z numeracją. Część z nich zawiera dłuższe fragmenty wypełnione tylko takimi dźwiękami, jak dzwonki rowerów, świergot ptaków, urywki melodii oraz - w jednym wypadku - kilkuminutowym niepojętym i niewytłumaczalnym śmiechem.

Na końcu książki zamieszczono słowniczek.

Informacje o mieście można znaleźć na stronie www.khaufpur.com

Taśma pierwsza

Byłem kiedyś człowiekiem. Tak mówią. Sam tego nie pamiętam, ale ludzie, którzy mnie znali w dzieciństwie, powiadają, że chodziłem jak człowiek, na dwóch nogach. „Taki byłeś słodki, niesforny aniołek. Stawałeś na palcach, Zwierzaku, synku mój, i szperałeś w kredensie za jedzeniem” - mniej więcej tak mówią. Tyle że przeważnie nie było nic do jedzenia, no i w rzeczywistości to nie ludzie tak mówią, tylko Ma Franci, i nawet nie tymi słowami, bo mówi: „*Tu étais si charmant, comme un petit ange méchant*” - tak brzmi język używany w jej kraju. Ale tak naprawdę nie jestem jej synem ani żadnym aniołem, choć istotnie, Ma zna mnie od narodzin, czyli prawie od dwudziestu lat. Większość ludzi z naszej okolicy nie zna swojego wieku, a ja znam, bo urodziłem się kilka dni przed tamtą nocą, której nikt w Khaufpurze nie chce pamiętać, lecz nikt też nie potrafi jej zapomnieć.

„Śliczny był z ciebie chłopczyk, kiedy miałeś trzy, cztery latka. Wielkie oczy, czarne niczym Jezioro Górne nocą, masa bujnych loków. I pięknie się uśmiechałeś. *Tu étais un vrai bourreau des couers*, twój uśmiech mógł złamać serce matki” - mówiła.

Chodziłem niegdyś wyprostowany. Tak twierdzi Ma Franci, czemu miałyby kłamać? Ale nie jest to dla mnie żadną pociechą. Czy to uprzejmie przypominać ślepcowi, że kiedyś widział? Kapłani szepczący magiczne słowa na ucho zmarłym nie mówią przecież: „Głowa do góry, przecież swego czasu żyłeś”. Nikt nie pochyla się nad gównem leżącym w pyle i nie zapewnia tkliwie: „Nadal przypominasz ten kebab, którym niegdyś byłeś...”.

Ileż razy powtarzałem Ma Franci: „Nie chcę już dłużej być człowiekiem”. Ale i tak nigdy nie dotarło to do jej popieprzonego mózgu. A może po prostu nie uwierzyła mi; co można zrozumieć, biorąc pod uwagę, że mój widok - unikam luster, ale istnieje coś takiego jak cień - budził we mnie nieskrywaną odrazę. W chwilach szału, kiedy głosy przekrzykiwały się w mojej głowie, wypełniała mnie wściekłość na wszystko, co się porusza, a choćby tylko stoi na dwóch nogach. Moja zazdrość obejmowała niekończącą się listę obiektów: Ma Franci, inne zakonnice z sierocińca, nocny stróż Chukku, kobiety z dzbankami na głowach, kelnerzy balansujący z czterema tacami na jednym ramieniu. Nienawidziłem patrzeć na dzieciaki grające w klasy. Mierzył mnie widok tancerzy, tresowanych niedźwiedzi, które sprowadzali ci

gnoje z Agry, ludzi chodzących na szczudłach, kuli jednonogiego żebraka Abdula Saliqa spod bramy Pir. Zazdrościłem czaplom, słupkom, drabinom opartym o ściany. Przyglądałem się rowerowi Farouqa i zadawałem sobie pytanie, czy i on nie zasługuje na miejsce na mojej liście rzeczy znienawidzonych.

Jak możesz to zrozumieć?

Na świat ludzi powinno się spoglądać z poziomu twoich oczu. Gdy ja podnoszę głowę, patrzę prosto w czyjeś krocze. To całkiem inny świat, ten poniżej pasa. Możesz mi wierzyć, rozpoznaję tych, co nie umyli sobie jaj, czuję odór zaszczanych i obsranych tyłków osłoniętych płótnem, przez które nikła woń nie dociera do twojego nosa, a pierdnięcia cuchną nadprogramowo. W chwilach szału krzyczę do ludzi na ulicy: „Słuchajcie! Choćbyście byli nie wiem jak nieszczęśliwi - a nikt nie jest tak szczęśliwy, jak na to zasługuje - przynajmniej stoicie na dwóch nogach!”.

Nie martw się. Wszystko zostanie wyjaśnione w odpowiednim czasie. Nie jestem taki mądry jak ty. Nie robię z każdego słowa wymyślnego siekanego kotleta, nie przerabiam zdań na sznyce. Z moich ust nie wyfruną nagle błękitne zimorodki. Jeśli chcesz usłyszeć moją historię, musisz się pogodzić ze sposobem, w jaki ją opowiadam.

Taśma druga

Pierwsza rzecz, jaką chcę powiedzieć, jest skierowana do kakadu dziwnikarza, co tu przyjechał z Ostralii. *Salaam*, dziwnikarzu, to ja, Zwierzak, mówię do taśmy. Nie tej, którą mi dałeś. Tamta już nie działa, zmoczył ją deszcz, a czarne grudki to prawdopodobnie gówienka skorpionów. Musiałem ją ukryć, gdy sobie poszedłeś, w otworze w ścianie. Długo tam leżała, nie nagrałem tego, co obiecałem, a teraz jest spieprzona. Myślisz sobie pewnie: szorty przepadły, co za strata.

Chciałeś usłyszeć moją historię, powiedziałeś, że opiszesz ją w książce. Ale ja nie chciałem o tym mówić. Zapytałem: „I cóż w tym wielkiego? Zamieścić moją historię w książce? Jestem kimś małym, nawet nie człowiekiem, jakie znaczenie może mieć moja opowieść?”. Stwierdziłeś wtedy, że czasami na tym świecie opowieści małych ludzi mogą wiele zdziałać. Wy, gównojady, zawsze tak mówicie.

Napisano wiele książek o tym mieście i żadna nie zmieniła niczego na lepsze. Czym twoja się od nich odróżni? Będziesz pobekiwał jak wszyscy. Będziesz mówił o zasadach, prawie, sprawiedliwości. Słowa te brzmią tak samo i w moich, i w twoich ustach, lecz znaczą co innego. Zafar uważa, że są jak cienie księżycy odbite w fabryce Kampani - wiecznie zmieniają kształt. Tamtej nocy dusiła nas trucizna, a teraz słowa.

Pamiętasz mnie, dziwnikarzu? Bo ja cię pamiętam, ciebie i ten dzień, gdy tu przyszedłeś z Chunaramem. Jak mogłeś zatrudnić tego siostrójebcę jako swego *chargé d'affaires*? Wszystko mógłby oddać za pieniądze. Czy nie kazał ludziom płacić za patrzanie, jak odrywa sobie mały palec? Zapewne nie wiedziałeś, bo skąd miałeś wiedzieć, że dorabia sobie na cudzoziemcach. Codziennie wychodzi na spotkanie Shatabdi, czeka na peronie pierwszym, dokładnie w miejscu, gdzie zatrzymuje się klimatyzowany wagon pierwszej klasy. Wsiadasz z pociągu i masz głupią minę. Po co tam stoi Chunaram? „Tak, proszę, zamówić taksówkę?”. „Potrzebny hotel?”. „Najlepsze usługi w Khaufpurze. Zobaczycie miasto? Przewodnik? Tłumaczenie? Dziwnikarz?” Gdy tylko się dowiedział, po co przyjeżdżasz, gotów był pokazać ci wszystko. Prawdziwe okrucieństwo, najgorsze przypadki. Ludzi takich jak ja. „Ten chłopiec”, mówił ci zapewne, „stracił tamtej nocy wszystko”.

Ale miałeś minę, kiedy cię tutaj przyprowadził, kiedy odsunąłeś plastikową płachtę i precisiśnałeś się przez otwór w ścianie. Jak łakomie rozglądałeś się po tym miejscu. Wyczuwałem twój głód. Pochłonałbyś wszystko. Obserwowałem cię, gdy ogarniałeś spojrzeniem klepisko, chropowate kamienne ściany, wysuszone placki nawozu obok ognia, dym wijący się w powietrzu niczym ramię *sardarji* układającego włosy.

Na mój widok rozbliły ci oczy. Naturalnie próbowałeś to ukryć. W jednej chwili nabrałeś powagi. W twoim *namasté* zabrzmiał ton, który poznałem - wyciszony szacunek, jakbyś odmawiał modlitwę, znalazłszy się w obecności władcy śmierci. „Dziwnikarz” - poinformował mnie Chunaram rozchichotany, jakby znalazł wór złota. Już to odgadłem. „Nie zna hindi”, dodał. „Zwierzaku, tu jest pięćdziesiąt rupii dla ciebie i po prostu opowiadaj, dopóki taśma się nie zatrzyma”. „O czym mam opowiadać?”. „O tym, co zwykle, a o czymże by innym?” - Zaczął się już chyłkiem wycofywać.

Och, żebyś widział wyraz swojej twarzy, kiedy Chunaram się ulotnił. Byłeś przerażony. No, ale on ma jeszcze inne zajęcia, prowadzi herbaciarnię. Zauważyłeś jego dziewięć palców, gdy wykonywał gest pozdrowienia? A zatem, co miałem robić? Siedziałeś, *ghurr-ghurr* na mnie, jakby twoje oczy były guzikami, a moje - dziurkami w nich. Przemówiłem: „Nie gap się tak na mnie, do kurwy nędzy, bo więcej się nie odezwę”. Powiedziałem to w języku hindi. Mam nie zdradzać, że znam trochę inglisz, bo Chunaram dostaje ekstrakasę za tłumaczenie. Uniosłeś kciuki w geście aprobaty i gapiłeś się dalej. Nazwałem cię palantem - kiwnąłeś głową, uśmiechnąłeś się do mnie. *Khaamush*, umilkłem wtedy. Po pewnym czasie do pierwszego milczenia dodałem następne.

Wewnątrz twojej czaszki myśli chrobotwały niby szczury. Słyszałem je jak głosy przemawiające w mojej głowie: dlaczego ten chłopak przestał mówić, dziwoląg z niego większy niż ze skrzydlatego węża, opiera się o ścianę z taką okropną miną, byłby przystojny, gdyby nie ten ponury wyraz twarzy, ale ma klątę, zupełnie jak u zapaśnika, w dodatku wyrasta z poskręcanych lędźwi, do których doczepiono nogi niczym kłębki sznurka, o Boże, jego klatka piersiowa faluje, jakby lada chwila miał zwymiotować, może jest chory, chłopcze, co ci dolega, niestety, moje bezsłowne pytania pogarszają tylko jego paroksyzmy, chyba dostanie jakiegoś ataku, co mam robić, jeśli umrze, o rety, moje kolejne niespokojne próby nawiązania kontaktu połączone z okrężnymi ruchami rąk pytającymi „dlaczego?” i z unoszeniem brwi zdają się wywoływać gwałtowne drgawki, usta wykrzywione w bolesnym grymasie, czy wezwać lekarza, gdzie tu można w ogóle znaleźć lekarza i gdzie ja właściwie jestem, do cholery, co ja tutaj, kurwa, robię...

Prawdę mówiąc, dziwnikarzu, starałem się wówczas nie pokazać, że się z ciebie

śmieję. A potem - cóż robić? - mówiłem. Twoja taśma pełzła powoli. Byłeś zadowolony, po to tutaj przecież przyjechałeś. Jak wszyscy inni przybyłeś tu, aby wysać z nas opowieści i przekazać cudzoziemcom w odległych krajach ku ich zdumieniu, że tyle jest na świecie cierpienia. Jesteście jak sępy, wy, dziwnikarze. Gdzieś tam dzieje się coś złego, łączy jak deszcz w podmuchach wiatru - i już nadchodzicie, zwabieni zapachem krwi. Przemieniliście nas, mieszkańców Khaufpuru, w gawędziarzy opowiadających za każdym razem tę samą historię. *Ous raat, cette nuit, tamta noc, zawsze chodzi o tamtą pieprzoną noc.*

Słuchałeś uprzejmie, udawałeś, że coś rozumiesz, uśmiechając się od czasu do czasu *pour m'encourager*, jakby powiedziała Ma Franci. Byłeś tak cholernie pewien, że mówię o tamtej nocy. Miałeś nadzieję, iż wydobywający się z moich ust bełkot to przerażająca historia, którą pragnąłeś usłyszeć. No cóż, pieprzyć to, nie miałem najmniejszego zamiaru o tym opowiadać. Powtarzałem to tak często, że aż starły mi się od tego zęby.

Bez Chunarama, który tłumaczy moje słowa, mogłem powiedzieć wszystko. Mogłem zaśpiewać plugawą piosenkę:

Jestem pokurczem, co uciekł z klatki,

Ale wywęszę cipkę twej matki.

Ha, ha, ha! O rety! Ale miałeś minę! Zastanawiałeś się, co ten chłopak śpiewa, taka nieprzyjemna melodia, brzmi niczym lament, lecz *pourquoi il rit?* Zapisaleś coś w notesie. Niech zgadnę: „Zwierzak zanucił jakąś pieśń, prawdopodobnie tradycyjną pieśń żalobną. Wydawał się do głębi przejęty smutkiem”.

Dziwnikarzu, byłeś kompletnym głupkiem. Najlepsze były te twoje krótkie spodenki. Sześć kieszeni, policzyłem. Dwie po bokach, dwie z przodu, dwie na tyłku. Osoba w takich spodniach nie potrzebuje domu. Z jednej kieszeni wyjąłeś paczkę papierosów, a z drugiej - lśniąca zapalniczkę. Zgrzytnęła, gdy przekreślałeś kółko, i buchnęła płomieniem. Bardzo chciałem mieć tę zapalniczkę, ale jeszcze bardziej chciałem dostać te twoje krótkie spodenki.

Czas upływał, Chunaram wrócił, zionąc przeprosinami i wysokoprocentowym alkoholem. Wymieniliście w inglisz jakieś głupie uwagi. Powiedział: „Odsłucham tę taśmę”. Zapiszczała jak szczur ze strzaskanym grzbietem, a potem usłyszałem własny głos, który zarabia pięćdziesiąt rupii.

No cóż, Chunaram był przerażony. Zaczął wykrzykiwać, pukając się w czoło i kreśląc kółka na skroni. „Ty kretynie! Masz poprzewracane w głowie. Nie powiedziales tego, o co chodziło”. „Powiedziałem, co mi kazano”. „Musisz to powtórzyć. Musisz opowiedzieć

wszystko od nowa, tak jak było”. „Gówno prawda!” - wołam, podkreślając słowa ordynarnymi gestami. „Czy ja cię prosiłem, żebyś się akurat dzisiaj urznął?”. „Nieszczęsny chłopcze!” - krzyczy Chunaram. „Kto zapłaci za te ordynarne wynurzenia? Czemu nie nawijałeś po prostu tego, co zawsze?” Już to przemyślałem. „Dla mnie jest jak zawsze”. „Cipka matki? Skąd to wzięłeś, mały zboczeńcu?”. „Ot tak przyszło mi do głowy”. „Następnym razem, gdy poproszę cię o nagranie taśmy, trzymaj gębę na kłódkę”.

Nie spodziewałem się już ciebie, dziwnikarzu, drugi raz zobaczyć, ale pojawiłeś się następnego dnia w towarzystwie roześmianego Chunarama, *que me dit, que chcesz*, żebym dalej opowiadał swoją historię. „Nie pytaj dlaczego” - rzucił. „Wczoraj myślałem, że znowu masz psychiczne odpały, przyznaję się do błędu. Ale to ten dziwnikarz jest chyba szurnięty”. Wzruszył ramionami i splunął na podłogę. *Thook*. Wyglądał tak świętoszkowato, że postanowiłem dać frajerowi nauczkę: „Nie będę więcej mówił do maszynki”.

„Pomyśl o pieniądzach. Ten dziwnikarz pisze książkę o Khaufpurze. Ostatniej nocy dał twoją taśmę do przetłumaczenia. A dzisiaj przyszedł i powiedział, że nigdzie nie napotkał takiej uczciwości jak w tym twoim steku plugastwa. Naprawdę myślę, że jest stuknięty, ale posłuchaj, jak go sobie ustawiłem. Powiedziałem mu, że osierocono cię tamtej nocy, dorastałeś w zwariowanym otoczeniu franci, żyłeś na ulicach jak pies. Jesteś wyjątkowym przypadkiem. On naprawdę chce usłyszeć twoją historię. To może być świetny interes, nie spieprz tego”. „No cóż” - odpowiedziałem, udając, że się zastanawiam. „Mówię: nie”. „Słuchaj, możesz to rozciągnąć. Nagraj dziesięć taśm. Co tam dziesięć. Dwadzieścia! Będę ci w tym czasie dawał kebaby za darmo”.

Ech, Dziwnikarzu, musiałeś mu zaproponować dużą sumę, bo jego kebaby są słynne w całym Khaufpurze, a przynajmniej w Orzechokruszu, czyli naszej dzielnicy. Nie przekonało mnie jednak kolejne spojrzenie w jego chciwą twarz. „Pierdolę cię soczyście, nie zrobię tego”.

Chunaram znowu zaczął krzyżeć, ja chichotać, a ty chciałeś wiedzieć, co się dzieje. Wtedy Chunaram odbył z tobą krótkie *guftagoo* w inglisz, po czym zwrócił się do mnie: „Dziwnikarz mówi, że to dla ciebie wielka szansa. Zapisze w książce wszystko, co powiesz. Będą ją czytać tysiące ludzi. Może staniesz się sławny. Spójrz na niego, przyjrzyj się jego oczom. Twierdzi, że tymi oczami patrzą tysiące innych. Pomyśl tylko”.

Wyobrażam sobie to okropieństwo. Twoje oczy pełne innych oczu. Niezliczone tysiące wpatrzone we mnie przez dziury w twojej głowie. Ich ciekawość wżera się w moją skórę jak kwas. „I co mam powiedzieć tym wszystkim oczom?” - pytam Chunarama. „Co powiedzieć, żeby mnie zrozumiały? Czy te tysiące oczu przespały choć jedną noc w takim

miejscu jak to? Czy srają na torach kolejowych? Kiedy ostatnio nie miały nic do jedzenia? Te pizdzielskie oczy, co one wiedzą o naszym życiu?”.

„Nie mów tak” - ostrzegł Chunaram, rzucając w twoją stronę bojaźliwe spojrzenie. „Pomyśl o kebabach. Prócz tego” - wskazał ruchem głowy moje łachmany - „mógłbyś sobie kupić porządną koszulę i spodnie, chodzić do kina co wieczór, zajmować najlepsze miejsce, zamawiać *kulfi* jedzenie”. Dla Chunarama wszystko sprowadza się do pieniędzy. Mam zamiar mu zaproponować, żeby wetknął to sobie w cul, ale przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Chunaram wpada we wściekłość. „Ty idioto!” - wykrzykuje. „Prawie już mam tę umowę w kieszeni! Dlaczego chcesz ją zniszczyć głupimi żądaniami?”. „To moja opowieść. Jeśli on się nie zgodzi, nic mu nie powiem”. „Bądźże rozsądny” - nalega Chunaram. „Jak ja mogę poprosić o coś takiego?”. *Je m'en fous*, ty dziewięciopalczy kutafonie”.

Wiem, że Chunaram nie da za wygraną, żyje dla pieniędzy, ale gdy przemawia do ciebie, każde słowo w jego ustach zamienia się w kamień. Chwytam jego myśli: a to badmaash jeden, chyba ocipiał, pieprzony francimówca, za bardzo się nadał, bękart. Z tymi myślami miesza się wszystko, co mi opowiada. Znam większość słów w inglisz, a te, których nie znam, plują mi w ucho swoim znaczeniem. *C'est normal*. Od dzieciństwa słyszałem myśli ludzi, nawet gdy nie otwierali ust, a ponadto wyłapywałem *en passant* uwagi najrozmaitszych istot i rzeczy, zwierząt, ptaków, drzew, kamieni wskazujących porę dnia. Co to za głosy - nie ma sensu mnie pytać. Gdy wreszcie powiedziałem o nich Ma Franci, zmartwiła się. *Soit un fléau, soit une bénédiction* - klątwa albo błogosławieństwo, tak to określiła. Cóż, powinna to wiedzieć, skoro w jej umyśle wojnę toczą aniołowie i demony. Zabrała mnie do lekarza, to tam poznałem Khã-w-Słoju, o czym opowiem później. Te głosy są jak fajerwerki wybuchające w powietrzu, inne rozlegają się wewnątrz mnie i jeśli się skupię, słyszę ich kłótnie albo zawarte w nich brednie. Raz, gdy patrzyłem na Niszę, jeden z nich przemówił: „Włosy spływają z jej głowy jak historia”. Co to, kurwa, miało znaczyć? Nie wiem. Niektóre głosy płyną powoli niczym miód roztopiony w słońcu. Elli i ja zobaczyliśmy niedawno szarańczę, która rozpostarła szkarłatne skrzydełka i zanuciła: „Jestem olśniewająco piękna”. „Tak, dopóki cię ptak nie wypatrzy” - skomentowałem głośno i ależ spojrzenie zarobiłem od Elli. Interesowały ją moje głosy. Była lekarką z poczuciem misji i chciała nieść ratunek nawet takim zasańcom jak ja. Wkrótce dojdę do Elli, do Khã-w-Słoju też, ale teraz opowiadam o tym, jak przyprawiałem Chunarama o ból głowy. Biedny gnojek bredził jak zbłąkana dusza, nie chciał przedstawić ci mojego warunku, a w pewnym momencie tak się pogubił, że zapomniał mówić w inglisz i zajęczał w hindi: „Niech pana nie urazi prośba tego idioty”. Wtedy już wiedziałem, że opętała go chciwość. „Proszę pana”, mamrocze Chunaram, „bardzo

mi przykro, ale ten chłopak powiada, że jeśli ma mówić do oczu, w książce musi się znaleźć tylko jego opowieść, nic więcej. I przedstawiona jego słowami”. Tylko jego opowieść? Przedstawiona jego słowami? „Proszę pana, to wstrętny chłopak, ale opowieść jest dobra”.

Dziwnikarzu, marszczysz brwi, dziwne kształty tańczą na twoim czole. Gadasz chwilę z Chunaramem, który zwraca się do mnie: „Skreśl ten warunek. Jest nie do przyjęcia. Dziwnikarz zaplanował sobie tę książkę. Wszystko już uzgodnił. Mówi coś o agencji i o jakimś typie, co się nazywa redaktor”. Bez sensu. Jak mogą cudzoziemcy z drugiego końca świata, których stopa nigdy nie powstała w Khaufpurze, decydować, co mam opowiadać o tym mieście?

„Moim zdaniem to działa tak”, dodaje Chunaram, „że dziwnikarz przekupuje agenta, agent przekupuje tego drugiego typu. Biznes, no nie?”. Uśmiecha się chytrze. Sukinsyn myśli, że wygrał. Ogarnia mnie cholerna, dzika wściekłość. Tu i teraz poderżnę gardło temu ich planowi. „Dajcie mi adres tego redaktora, wyślę do niego list! Napiszę, że nie pozwalam temu dziwnikarzowi opowiadać mojej historii. Przychodzi tu, siostroжебca jeden, i zadziera nosa jak jakiś gwiazdor filmowy. Co? Może mu się wydaje, że jest pierwszym cudzoziemcem, który odwiedził to pieprzone miasto? Ludzie zginają karki, by dotknąć jego stóp, sir, proszę o pomoc, sir, mój syn, sir, moja żona, sir, moje nędzne życie... O, jaką to sprawia przyjemność temu kutasowi! Sultán wśród niewolników, słucha z wyniosłą litością, udaje, że się przejmuje, ale prawda jest taka, że odjedzie i zapomni o nich wszystkich, do ostatniego. Dla takich jak on nie jesteśmy rzeczywistymi ludźmi. Nie mamy imion. Ledwo dostrzega kątem oka przemykające obok tłumy. Jesteśmy statystami w jego filmie. Co tam, pieprzyć to. Powiedz panu piździelcowi ważniakowi, że trafił do mojego filmu, a w moim filmie gra tylko jeden gwiazdor i jestem nim ja”.

„Nie powiem mu tego”, mówi Chunaram, lecz obydwaj wiemy, że musi. Ma do czynienia ze Zwierzakiem, a nie z jednym ze swoich sługusów. Nikt mnie nie poskromi, robię, co chcę.

Ileż razy patrzyłem, jak Chunaram ubija interes! Po całej gadaninie zawsze zapada milczenie, gdy pieniądze przechodzą z rąk do rąk, banknoty zostają policzone, poskładane i schowane. Co oznacza ta cisza? Powiem ci, Dziwnikarzu. Z twojej strony jest to wstyd, bo wiesz, że płacisz gównianą sumę za rzecz bezcenną. Chunaram się nie wstydzi, jego milczenie wyraża zachwyty, bo zgarnął fortunę za coś, co wydaje mu się bezwartościowe. A zatem nastaje chwila ciszy. „Jeszcze jedno, chcę jego szorty”.

Mijają dwa dni, przychodzi Chunaram z tobołkiem. W środku jest maszynka do nagrywania i mnóstwo taśm, a na nich złożone spodenki. Od razu je wciągam. Są za duże, ale

obwiązuję je sznurkiem i wtedy pasują. W jednej kieszeni wymacuję jakiś wypukły przedmiot. Sięgam ręką i wyjmuję lśniącą zapalniczkę. Obrazek na niej przedstawia armatę, są też jakieś litery. Unoszę ją do światła i odcyfrowuję napis w inglisz: PHUOC TUY. Domyślam się, że to twoje imię, nazywasz się Phuoc Tuy. Po drugiej stronie jest wypisane w hindi moje imię: ZWIERZAK. I już wiem, że podarowałeś mi także swoją zapalniczkę. Chunaram czyta list od ciebie: „Zwierzaku, myślisz, że książki powinny przynosić zmiany. Ja też tak uważam. Kiedy będziesz opowiadał, zapomnij o mnie, zapomnij o wszystkim, mów bezpośrednio do ludzi, którzy przeczytają twoje słowa. Jeśli powiesz prawdę z głębi serca, będą cię słuchali”. Dalej lecą kawałki mniej więcej w tym samym stylu i na koniec niezłe zdanie: „Szorty pochodzą z kraju Kakadu, gdzie żyją krokodyle”.

Niewąski z ciebie frajer, Dziwnikarzu. Oddałeś swoje szorty, lecz wyjechałeś z Khaufpuru z pustymi rękami. Nie nagrałem ani jednej taśmy. Ani kawałka. Chunaram powiedział, że sprzeda maszynkę, jeśli nie będę jej używał, więc schowałem ją w ścianie, gdzie mieszkają skorpiony. Od tamtego dnia do dzisiaj upłynęło sporo czasu, ponad dwa lata. Pewnie się zastanawiasz: „Dlaczego ten *putain* właśnie teraz zaczął opowiadać? Co się zmieniło? Co się wydarzyło w ciągu tych dwóch lat?”.

Co się zmieniło? Wszystko. A jeśli chodzi o to, co się wydarzyło, krążą różne wersje. Każda gazeta pisała co innego, żadna nie zna prawdy. Ale ja nie gadam do tej taśmy dla pięćdziesięciu rupii czy pieprzonych kebabów Chunarama. Muszę dokonać wyboru, powiedzmy, między niebem a piekłem. Problem polega tylko na tym, żeby odróżnić jedno od drugiego. Taki już jest ten świat, że jeśli jakieś stworzenie znajduje spokój, okazuje się on tylko chwilowym odpoczynkiem przed jeszcze gorszą udręką. Nie wiem, jak byś nazwał rzeczy, które uczyniłem.

Twardy ze mnie sukinsyn, skrywam uczucia. Zapytaj ludzi, to ci powiedzą, że jestem zawsze taki sam, każdy w Khaufpurze pokaże mnie palcem. „To on! Patrz! To on, Zwierzak. Chodzi na czworakach. Spójrz na niego, zgięty we dwoje przez własną zgorzkniałość”. Ludzie widzą stronę zewnętrzną, ale prawdziwe rzeczy dzieją się wewnątrz, gdzie nikt nie zagląda. Może nie mają odwagi? Naprawdę myślę, że właśnie po to ludzie mają twarze - żeby ukryć swoje dusze. Musi tak być, bo inaczej każda ulica w Khaufpurze stałaby się drogą przez piekło, choć zdaniem Ma Franci i tak wszystkie nimi są. Tyle że ona widzi cierpiące anioły, a ja przerażonych ludzi.

Pewnej nocy Farouq i ja wypiliśmy mnóstwo *bhangu*, prawie tyle, żeby przejść na ty z Bogiem, i łypaliśmy pożądliwie na kobiety krążące po Naya Bazaar, a gdy patrzyłem na

przechodniów, ich twarze zacierały się, po prostu znikwały, widziałem za to ich dusze. Przeważnie były brzydkie, niektóre błyszcząły jak zielone ptaki, ale wszystkie bez wyjątku przepełniał lęk. Powiedziałem o tym Farouqowi i dodałem: „Przyjrzyj się mojej duszy. Jak wygląda?”. „Twoja dusza?” - wybuchnął niepohamowanym śmiechem. „Twoja dusza, mój drogi, jest grobowcem, do którego nawet Bóg nie zajrzy”. Zdarzyło się to w noc Holi, kiedy próbował mi umożliwić przespanie się z kimś.

Dziwnikarzu, mam dużo do opowiedzenia i to wszystko chce się wyrwać na wolność. Niewyrazone języki świata wdzierają się w moją głowę, co mnie w jakiś sposób raduje. Niezwykle znaczenia odsłaniają się przede mną. Tajemnice same wpadają mi w uszy. Wydaje się, że wiem o wszystkim. Ssspsss, haaarr, khekekhe, mmms - tak brzmią te głosy. Często bełkoczę, powtarzając to, co mi mówią. „*Tu dis toujours des absurdités*” - uśmiecha się Ma, a inni tylko wzruszają ramionami. „Pieprznięty chłopak, pokrecony jak rybne flaki. Widzi różne rzeczy, słyszy głosy, których nie ma”. Owszem, widzę je i słyszę. Przeczyć temu, co się widzi, i wierzyć w to, co się odrzuca - to można by nazwać szaleństwem. Niektórzy wierzą w Boga, którego nigdy nie widzieli i który nigdy ich nie pozdrawia. W snach każdy jest dla każdego pieprzonym świrusem. Lepiej, żebym to opowiedział do taśmy.

Ta historia tkwi we mnie zamknięta na klucz, wyrywa się na wolność, czuję, jak nadchodzi. Słowa tłuką się o moje zęby niczym ptaki o pręty klatki. Znasz ten gwałtowny trzepot skrzydeł, gdy w pośpiechu wzbijają się w powietrze, taki odgłos, posłuchaj, klap, klap, klap.

Kiedy bliski znajomy *pandita* Somraja poeta Qaif Khaufpuri się zestarzał, poezja w nim wyschła, a potem na jego nodze wykwił wrzód. Z otwartych ust nie dobywał się żaden dźwięk. Pewnego dnia jednak zaczął recytować słodkie frazy, a jego wiersze próbowały wyrwać się na wolność. Z tą opowieścią jest podobnie, to pieśń wyśpiewana przez wrzód.

Maszynkę tę dał mi mój przyjaciel Faqri. Baterie ukradłem w sklepie Rama Nekchalana, nic mi nie może powiedzieć. Teraz taśma się przesuwa. Pamiętam o oczach ukrytych wewnątrz twoich oczu. Napisałeś, że powinienem zapomnieć o tobie i mówić wprost do tych, którzy będą czytać te słowa. I że jeśli przemówię z głębi serca, wysłuchają mnie. A zatem nie będę od tej chwili zwracał się do mojego przyjaciela dziwnikarza Kakadu o imieniu Phuoc, będę mówił do oczu, które czytają te słowa.

Teraz mówię do was.

Przemawiam do ciemności, która jest pełna oczu. Gdziekolwiek spojrzę, widzę je. Unoszą się w powietrzu te pieprzone oczy, zwracają się to tu, to tam, szukają czegoś do

wypatrzenia. Nie chcę, żeby mnie zobaczyły, leżę na podłodze pokrytej pyłem. Nagrywająca maszynka stoi przy mojej głowie.

Pojawiły się, gdy tylko zacząłem mówić. Próbowałem się ukryć, przez pewien czas nawet milczałem. Ale oczy pozostały, zdziwione, gdzie się podziały słowa. Patrzyły cicho, mrugając od czasu do czasu, czekając, aż coś się wydarzy.

Widzisz, to jest tak: gdy słowa wyskakują z moich ust, unoszą się w ciemności i oczy natychmiast je dopadają. Słowa płyną jakby zamglone, trochę jak oddech w zimny dzień, a gdy się wzbijają, zmieniają barwę i kształt, przybierają postać rzeczy i ludzi. To, co mówię, staje się obrazem, który oczy obsiadają niczym muchy.

Patrzę teraz na moje nogi ułożone obok paleniska. Są powykręcane i lekko wygięte w jedną stronę. Wnętrze lewej stopy, zewnętrzny bok prawej, miejsca, które stykają się najczęściej z ziemią, mają skórę zgrubiałą i popękaną. Za dawnych dni bywałem bardzo głodny, więc odrywałem skrawki tej suchej skóry i żułem je. Chcesz zobaczyć jak? No to popatrz, macam piętę, szukam zrogowaciałych brzegów, wsuwam pod nie paznokiec kciuka. Widzisz tę zbitą skórę, twardą jak kamień? Łatwo się odrywa, mmm, można ją gryźć jak orzech. Teraz nie ma braków w zaopatrzeniu, obgryzam stopy tylko dla przyjemności.

Palenisko, obok którego odpoczywają moje nogi, jest z gliny, uformowanej trochę jak... jak co? Nigdy przedtem o tym nie myślałem, ale z wyglądu przypomina *yoni*, to znaczy cipę. Nie wiem, jak to inaczej określić. Jest w nim szczelina, w którą się wpycha siano, gałązki i tak dalej, a na nich układa kawałki suszonego nawozu i patyki na rozpałkę. Słońce jeszcze nie pokazało oblicza. Słyszę przechodzących obok ludzi, idą się wysrać na tory. Dziś rano będą dobrze opatuleni, w koce albo grube chusty. Biedne sukinsyny z ulicy muszą się okrywać tym, co znajdują. W zimowe noce można tutaj zamarznąć. Tamtej nocy podobno też było bardzo zimno. Zafar mówił, że ludzie wydechali wtedy obłoczki pary, nie wiedząc, jaką parę zaczną za chwilę wdychać.

Oczy obserwują ludzi wdychających opary. Głupie oczy, nie wiedzą, co te opary robią z ludźmi, co się później stanie. Wiedzą tylko to, co ja im powiem.

W tym natłoku oczu próbuję rozpoznać twoje. Czekałem, aż się pojawisz, miałem cię odróżnić od całej reszty, jak mi napisał w liście dziwnikarz Kakadu: „Zwierzaku, musisz sobie wyobrazić, że mówisz tylko do jednej osoby. Stopniowo ta osoba zacznie ci się wydawać kimś rzeczywistym. Wyobraź sobie, że to twój przyjaciel. Musisz mu zaufać i otworzyć przed nim serce, a on nie osądzi cię, cokolwiek powiesz”.

Czytasz moje słowa, więc to ty jesteś tą osobą. Nie mam dla ciebie imienia, dlatego będę cię nazywał Oczami. Moje zadanie polega na mówieniu, twoje na słuchaniu. No to

posłuchaj.

Moja opowieść musi się zacząć od tamtej nocy. Zupełnie nic nie pamiętam, choć już byłem na świecie. Ale, tak czy inaczej, moja opowieść musi się rozpocząć od tego. Kiedy zdarza się coś tak ważnego jak tamta noc, czas dzieli się na przedtem i potem, a czas przedtem zostaje rozbity na sny rozplywające się w mroku. Tak jest tutaj. Cały świat słyszał o Khaufpurze, nikt jednak nie wie, jak tu było przed tamtą nocą. Jeśli chodzi o mnie, nie pamiętam wcale okresu sprzed wykrzywienia mi się pleców. Ma Franci opowiadała z dumą godną niemal rodzonej matki, jak chętnie pływałem w jeziorkach za fabryką Kampani. „Dawałeś nurka prosto do wody z ramionami i nogami rozciągniętymi w jednej linii”. Ilekroć to mówiła, odczuwałem smutek, ale też i gniew. Ciągle śnię o nurkowaniu w głębokiej wodzie. Że jestem wyprostowany niczym kij i pozostawiam w tyle swój powykręcany cień.

Tamtej nocy znaleziono mnie w bramie, kilkudniowe niemowlę owinięte chustą. Czyim byłem dzieckiem? Nikt nie wiedział. Matka, ojciec, sąsiedzi, wszyscy na pewno nie żyli, bo ani jedna żywa dusza nie zgłosiła się po mnie. Kaszlałem, toczyłem pianę z ust i prawie oślepiłem. W miejscach, w których moje oczy odgradzały się od palących oparów, widniały białe szczeliny odbite na gałkach ocznych. Zaniesiono mnie do szpitala. Czy byłem hinduistą, czy muzułmaninem? Jakie to miało znaczenie, jeśli nie spodziewano się, że wyżyję? Wyżyłem, więc zostałem obrzezany: dla muzułmanina było to niezbędne, hinduiście nie robiło żadnej różnicy. Później przekazano mnie zakonnicom. Wychowałem się w sierocińcu. Nie wiem, jaką religię powinienem wyznawać. Może dwie? Może żadnej? A może mam posłuchać Ma Franci i pokochać Isa *miyañ*, który powiedział: „Przebaczajcie naszym nieprzyjaciołom, nadstawiajcie drugi policzek”? Ja, do kurwy nędzy, nie przebaczam. Nie jestem muzułmaninem, nie jestem hinduistą, nie jestem *isayi*, jestem zwierzęciem. Skłamałbym, gdybym twierdził, że religia cokolwiek dla mnie znaczy. Gdzie był ten cholerny Bóg, kiedy go potrzebowaliśmy?

Miałem sześć lat, kiedy zaczęły się bóle i pieczenie w karku i ramionach. Nic więcej z tamtego czasu nie pamiętam, moim pierwszym wspomnieniem jest tamten ogień. Palił tak mocno, że nie mogłem unieść głowy. Po prostu nie mogłem jej dźwignąć. Ból schwycił mnie za kark i przygiął do ziemi. Musiałem wpatrywać się we własne stopy, podczas gdy diabeł dosiadł mojego grzbietu i szarpał go rozpalonymi do czerwoności obcęgami. Palący ból w mięśniach przemienił się w gorączkę, a gdy zrobiło się bardzo źle, zabrano mnie do szpitala i dostałem zastrzyk. Nie pomógł. Moje plecy wkrótce zaczęły się wykrzywiać. Nic nie dało się

zrobić. To była męczarnia. Wcześniej biegałem i skakałem z innymi dziećmi, teraz nie potrafiłem nawet stanąć prosto. Ból przyginał mnie do dołu, coraz niżej, w kabłąk. Kiedy wreszcie palenisko w moim krzyżu zgasło, kości były już skrzycone niczym serpentyny, a najwyższym punktem stał się mój tyłek. Poprzez rozkwitające pąki bólu widziałem starą kobietę klęczącą przy moim łóżku, ocierającą mi czoło i mamroczącą jakieś obce słowa przy moim uchu. Miała skórę pomarszczoną jak wyschnięta morela i tak bladą, że prawie przezroczystą. Wyglądała jak matka samego czasu. To była Ma Franci. Znała mnie już wcześniej, ale takie jest moje pierwsze wspomnienie o niej. Ma pogładziła mnie po twarzy i pocieszyła słowami, których nie rozumiałem. Łzy spływały po jej policzkach. Po moich również. Ten gorączkowy sen zatarł się w końcu i przemienił w moje nowe życie.

Nauczyłem się chodzić na rękach, moje nogi osłabły. Mam silne ramiona i dłonie, mocną klatkę piersiową. Górna połowa mojego ciała wygląda jak u kulturysty. Chodzę, a także biegam, przerzucając ciężar ciała z jednej ręki na drugą i podciągając nogi ruchami przypominającymi podskoki. Długo trwało, zanim opanowałem ten sposób. Kilka miesięcy, może rok. Kiedy już potrafiłem biegać, uciekłem, ponieważ zaczęło się dokuczanie.

Pewnego dnia, podczas gry w kabbadi dzieciaki w sierocińcu zaczęły nazywać mnie zwierzakiem. Można pomyśleć, że tak brutalna zabawa będzie mi sprawiać trudności, ale silne barki i ramiona pozwalały mi chwycić przeciwnika i przygwaździć do ziemi. Raz złapałem chłopaka, który kopnął mnie kolanem w twarz. Zabolało. Tak się rozżłościłem, że go ugryzłem. Wbiłem zęby w jego nogę i dopóty zaciskałem szczęki, dopóki nie poczułem smaku krwi. Ależ zawył! Ryczał z bólu i błagał, żebym go puścił, ale nie puściłem. Wgryzłem się jeszcze mocniej. Inne dzieciaki zaczęły wykrzykiwać: „*Jaanvar! Jungli Jaanvar!*”. Zwierzę, dzikie zwierzę.

Kiedy indziej, miałem chyba osiem albo dziewięć lat, poszliśmy popływać. Wspomniałem już o jeziorkach, które tak naprawdę są gliniankami za fabryką Kampani, gdzie spychacze zrzucały różnokolorowe osady. To ogromne doły z cuchnącą wodą, ale z nadejściem deszczy zmieniają się w prawdziwe jeziora z trzcinami i tak dalej. Ponieważ deszczówka jest czysta, ludzie przyprowadzali tam krowy i bawoły, a my, dzieciaki, wskakiwaliśmy do wody i pluskaliśmy się w niej. Nie mogłem już pływać ani nurkować, brodziłem zanurzony po szyję, ale dupa wystawała nad powierzchnię.

Pewnego dnia położyliśmy się na trawie, żeby obeschnąć w gorącym słońcu. Jakaś dziewczynka, mniej więcej w moim wieku, popchnęła mnie i pozostawiła na mojej skórze odciski ubrudzonych mułem palców. Pasek zasechł w blade cętki. Dziewczynka wykrzyknęła: „Całkiem jak lampart!”. Na to inni zanurzyli palce w glinie i upstrzyli mnie plamkami.

„Zwierzak, *jungli* Zwierzak!“. Imię przylgnęło do mnie niczym ten muł do ciała. Zakonnice próbowały położyć temu kres, ale pewne sytuacje kierują się logiką, z którą trudno dyskutować. Jak srasz, kiedy masz dupę uniesioną wysoko, a nogi zbyt słabe, by przykucnąć? Nie jest to łatwe. Jak wyglądasz, gdy bobki łajna wypadają ci jeden za drugim z tyłka? Jak osioł, który zostawia za sobą odchody, bo kiedy idę, to jest tak:

na czubkach palców

głowa przy ziemi

dupa en haut

byle się szło

Gdy żyłem na ulicy, nienawidziłem patrzeć na parzące się psy. Moi koledzy wołali: „Hej, Zwierzaku, czy tak to robisz?!“. Ten i ów zwijał dłoń w pięść, a potem wsuwał w nią i wysuwał dwa palce z głośnymi cmoknięciami, przytrzymywał je w uścisku i wykrzykiwał: „Hej, czworonożny! Nie tak się kleicie do siebie, ty i twoja dziewczyna? Ty i Jara?“. Nigdy nie umiałem spokojnie znosić zaczepek. Wpadałem w złość i *fataak!* Potrafię walczyć. Szybko nauczyłem się dbać o siebie, stawiać się na pierwszym miejscu, przed wszystkimi i wszystkim. No bo kto by stanął w mojej obronie? To kiepski pomysł atakować przeciwnika, który może ci porządnie skopać dupę. I choć oberwałem kilka razy, to jeżeli wiadomo, że nie poddasz się bez walki, ludzie przeważnie zostawiają cię w spokoju. Prócz tego często gryzłem. Może bali się, że dostaną wścieklizny?

Jara jest moją przyjaciółką. Nie zawsze nią była. Kiedyś odnosiliśmy się do siebie wrogo. Żyjąc na ulicy, rywalizowaliśmy o jedzenie. Działaliśmy na tym samym terytorium, w zaułkach za restauracjami w starej części miasta. Zjawialiśmy się późnym wieczorem, gdy kelnerzy byli już zmęczeni i wyrzucali odpadki z całego dnia obok kubłów, a nie do nich. Walczyliśmy o te przysmaki, kawałek *naan*, skórkę banana z grudką mięszu, maziowatą i brunatną, która komuś nie smakowała. Czasami zastawałem Jarę przycupniętą nad jakąś cenną zdobyczą - kością ze strzępkami baraniny albo papką z soczewicy. Zdarzało się też, że byłem tam pierwszy, rozkoszowałem się jakimś łakomym kąskiem, a gdy uniosłem oczy, dostrzegałem jej ślepią utkwioną we mnie i ślinę ściekającą z kącików pyska. Bałem się jej. Jej ostrych kłów, pomarańczowobrazowych oczu, w których nie było ani śladu życzliwości. Przypadała do ziemi i obserwowała mnie, dopóki głód nie popchnął jej do przodu, na ugiętych łapach, podczas gdy głuchy warkot, rrrrr, wzbierał w jej gardle. Zdażyłem dobrze

poznać ten warczący pysek. Długi wykrzywiony kiel w jej dolnej szczęce miał utracony czubek. Kiedy podchodziła do mnie na tyle blisko, że go widziałem, wycofywałem się.

Pewnego dnia znalazłem rybę, do której niczym ziarnka pieprzu przyczepiły się muchy, rybi łeb ze sterczącym z tyłu kręgosłupem, niezgorszy kawałek mięsa, brunatny od masali, ułożony na podsypce z ryżu - resztki czyjejś kolacji. Zaledwie rozpocząłem ucztę, usłyszałem warczenie. Za dobra była ta ryba, żeby się jej wyrzec. Twardo tkwiłem w miejscu, gdy Jara zaczęła się zbliżać, odsłaniając groźne żółte kły. Nie mogła powstrzymać tego swojego rrrrr. Sam nie wiem, jak to się stało, lecz rozgorzał we mnie płomień buntu. Rzuciłem się na czworakach w jej stronę, kłapiąc szczękami i warcząc głośniejsz niż ona - znak ostrzegawczy zdesperowanego zwierzęcia, które nie cofnie się przed niczym. Zawróciła i oddaliwszy się o kilka kroków, legła ponownie na ziemi, skąd posłała mi pełne wyrzutu spojrzenie.

Była chuda jak ja, jej skóra napinała się na żebrach. Z różowej rany na nosie sączyła się jakaś przezroczysta ciecz. Napęczniały własnym zwycięstwem, poczułem nagle, że mi jej żal. Pożywiłem się, a potem odsunąłem na bok, kiwając na nią, by podeszła bliżej. „Jedz!”. Oblizwała się, pomachała ogonem tak gwałtownie, że zadygotały jej boki. Człowieku, co za pies. Żółty pies bez stałego miejsca zamieszkania, bez rodziców, których tożsamość da się ustalić, zupełnie jak ja. Od tej pory zawsze dzieliliśmy się jedzeniem. Nazwałem ją Banjara - Cyganka, wolny duch, ponieważ pochodzi znikąd i jej królestwo jest wszędzie.

Razem z Jarą odgrywaliśmy pewnego razu nasze sztuczki przed kawiarnią, gdzie nigdy wcześniej nie byłem. Nie jest to taki lokal jak moje zwykłe brudne *daba*. To elegancka kafejka z ogródkiem i wielkim szyldem z napisem „Coca-Cola”. Nie potrafię go odczytać, ale wiem, co oznacza. Jakieś dziewczyny siedzą przy stoliku pod drzewem, popijając *lassi*, trzy, z wyglądu studentki college'u. Często bywają dość hojne, więc zacząłem swoją gadkę o tym, że ginie z głodu i tak dalej, a na mój znak Jara, chytra suka, przewraca się na grzbiet i udaje martwą.

Jedna z tych trzech wstaje, wychodzi, zatrzymuje się i patrzy na psa i na mnie. Niektóre dziewczęta stroją się i fiokują jak gwiazdy filmowe, malują oczy i rozpuszczają błyszczące włosy, ale ta nie. Jej włosy wyglądają tak, jakby nikt ich nie namaszczał od miesiąca, *kameez* i szal nie pasują do siebie, nos wydaje się odrobinę za długi. Dziewczyna nie uśmiecha się, nie proponuje pieniędzy. Nie robi żadnej z tych rzeczy, które ludzie zazwyczaj robią, gdy im się im naprzykrzam. Marszczy z powagą brwi.

- Bardzo sprytne. Wytresowałeś ją?

- Za pięć rupii zawyje ci hymn narodowy.

- Czy zebranie to dobra zabawa?

No cóż, jestem zaskoczony, nikt jeszcze nie zadał mi takiego pytania. Dziewczyna pochyla się i głaszcze Jarę. Włosy opadają jej na twarz. Może i nie jest piękna, ale ma w sobie słodycz, jaką widuje się czasami u ludzi o niezbyt olśniewającej urodzie.

- Czy głodowanie może być dobrą zabawą? - odpowiadam. - Nie, więc zamiast drwin ofiaruj mi pięć rupii.

- Nie - mówi, przygryzając wargę. - Wyglądasz na łobuza. Już cię widziałam w tej okolicy. Włączysz się po mieście i stosujesz oszukańcze sztuczki.

- Jakie sztuczki? Jeśli nie chcesz dać pięciu rupii, ofiaruj mi przynajmniej uśmiech.

- Lubisz drażnić ludzi. Myślę, że dokuczanie im sprawia ci przyjemność.

- Na nic lepszego nie zasługują. To kretyni.

- Kretyni? I dlatego tak dobrze się bawisz?

- To ty wspomniałaś o zabawie, nie ja - odpowiadam i czuję sympatię do tej dziewczyny. Ci, którzy się do mnie odzywali, przeważnie kazali mi spieprzać.

- Daj spokój, jesteś zdolny do wszystkiego. Zdziwiłabym się, gdybyś przymierał głodem.

- Co ty o tym wiesz?

Ale miała rację. Byłem dobrze wyszkolony w ulicznych numerach. Uczył mnie Ali Faqri, którego preceptorem był książę przekrętów żebrak Abdul Saliq spod bramy Pir. Faqri kazał mi odpuścić sobie małe restauracje. Przyłapany w koszu z odpadkami mogłem się spodziewać jedynie odrazy i kopniaka w tyłek. „Idź przed frontowe drzwi”, radził. Więc zacząłem się przechadzać na oczach klientów, bo nic tak nie odbiera apetytu jak zagłodzony Zwierzak, który śledzi spojrzeniem każdy kęs. Właściciele lokali nie znosili mnie, lecz woleli dać mi jałmużnę, bylebym nie denerwował klientów. Dostawałem te same resztki, tylko schludnie podane w misce. Nauczyłem się wówczas, że jeśli zachowujesz się jak ktoś pozbawiony sił, to jesteś bezsilny, a jeśli pragniesz coś zdobyć, zdobędziesz to jedynie wówczas, gdy tego zażadasz.

- Jestem Nisha - mówi ta poważna dziewczyna. - A ty jak masz na imię?

- Zwierzak. Teraz odgadnij dłaczego.

- No dobra, Zwierzaku, jesteś bystry, możesz robić coś bardziej użytecznego niż to, co teraz.

Powiedziała mi, że jeśli przyjdę do domu jej ojca w dzielnicy znanej jako Kurzy Pazur, znajdzie dla mnie pracę.

- A prócz tego - dodała - poznasz Zafara.

Byłem głupi. Powinienem zwrócić uwagę na to, jak wymawia jego imię, ale już śniłem na jawie.

- Przyjdź jutro w południe. Dam ci posiłek. Możesz go zjeść w naszym ogrodzie. I pies także.

No tak, Oczy, pewnie chcesz wiedzieć, co dalej, ale gdy tak sobie gawędziliśmy, słońce weszło i osunęło się przez otwór w dachu, a unoszące się drobiny pyłu zapłonęły ogniem. Tysiące oczu zaczęły blednąć, topnieją albo w jakiś sposób stapiają się w jedną parę, która należy do ciebie. Ty i ja jesteśmy teraz sam na sam, ale nie mogę już mówić. Jestem zmęczony, taśma dobiega końca, zaschło mi w ustach. Powinienem przyrządzić *chai*, a ponadto już dawno minęła pora mojego srania.

Taśma trzecia

Aliya woła: „Zwierzaku, chodź się pobawić!”. Jej głos napływa z zewnątrz, a przy tym słyszę jeszcze rozmowy przechodniów i krakanie wrony w gałęziach tamaryndowca. Słońce świeci z wysoka, gdzieś w oddali radio gra piosenkę *Ek tu jo milaa*: poznając ciebie, poznaję cały świat, gdy w moim sercu zakwitł pąk, świat pyszni się kwiatami.

- Zwierzaku, chodź się pobawić - ponownie dobiega mnie jej głos.

- Co, z tobą? Nie jestem dzieckiem.

- Jesteś! - odkrzykuje. Smarkuła ma najwyżej osiem lat. - Babcia mówi, że zachowujesz się jak dziecko.

- Moje zabawy nie spodobałyby się twojej babci.

- Ho! - ona na to. - Znowu przechwalasz się tym swoim.

Nawet dzieci nie są już niewinne.

- No chodź się pobawić, Zwierzaku!

Jej głos nagle odpływa, jakby porwany podmuchem wiatru albo uwięziony w promieniu księżycy lub może zagubiony w trzasku buzujących płomieni. Oczy, ja chyba oszaleję. Wypełnia mnie smutek, bo Aliyi tak naprawdę nie ma. Jej głos nie jest prawdziwy, jak powiadają ludzie, słyszę go tylko w mojej głowie razem z innymi.

Gdy się już wysłałem, wracam do tego rumowiska porośniętego trawą, która dostarczyłaby pożywienia krowie. Właśnie przewinałem taśmę, jak to zrobił Chunaram tamtym razem, i usłyszałem swój głos. Brzmi dziwnie. Czy ja wypowiadam się w tak wulgarny sposób? Nie odpowiadasz. Ciągle zapominam, że mnie nie słyszysz. To, co mówię, zanim dotrze do twoich uszu, zostanie przetworzone z hindi na angielski *et français pourquoi pas pareille quelques autres langues?* Dla ciebie to tylko słowa zapisane na papierze. Nie słyszysz mojego głosu, a ja nigdy się nie dowiem, co widzisz. Mówiłem o Nishy, jak mnie zaprosiła do swego domu w Kurzym Pazurze. Oczywiście nie poszedłem. Na tym koniec, pomyślałem sobie. Myliłem się. Następnego dnia po południu przyszła po mnie.

- Wszędzie cię szukam! - zbesztła mnie. - Pytałam ludzi, czy cię nie widzieli. Podawali mi rozmaite miejsca w całym Khaufpurze. Aż wreszcie ktoś powiedział: „Spróbuj

na targu warzywnym”.

Oczy, sto razy snuła opowieść o tym, jak znalazła Zwierzaka, i zawsze przedstawia ją w ten sam sposób.

- Poszłam na *galla mandi*, ale tam cię nie było. Zajrzałam w przejście, gdzie mężczyźni grają w karty. Mocno dmuchał wiatr, unosząc drobiny kurzu, które błyszczały w słońcu. Z mgły wychynęły te kształty, kilkanaście zagłodzonych psów podążających razem i we wspólnym celu. Między nimi była inna postać - chłopak poruszający się na dłoniach i stopach. Zawołałam cię, a ty się odwróciłeś i zbliżyłeś do mnie.

Niech to szlag! Czym ja byłem? Jej psem? Dlaczego podszedłem? Odparłem setki prób podejmowanych przez zakonnice, policjantów i Bóg wie kogo jeszcze, by zabrać mnie z ulicy. Co Nisha miała takiego, że nie mogłem jej odmówić? Chyba po prostu od początku akceptowała mnie takim, jakim jestem. Kiedy nazywała mnie Jaanvar, Zwierzakiem, było to po prostu imię, nic więcej. Zdawała się nie zauważać, że jestem kaleką, lecz nie udawała też, że nim nie jestem. Była jedyną znaną mi osobą, która traktowała mnie jak kogoś zupełnie normalnego. Powiedziała, że znajdzie mi jakąś pracę, za którą nawet dostanę pieniądze. Odrzekłem, że nie wiem, co mógłbym robić. A ona na to, że jestem bystry. Nauczę się nowych rzeczy. Zafar będzie wiedział, jakie mi dać zajęcia.

Zafarrrrr. Sposób, w jaki wymawiała jego imię, podpowiedział mi w końcu, kim on jest. W Khaufpurze mieszka chyba z tysiąc Zafarów, ja sam znałem co najmniej trzech, ale liczy się tylko jeden. Ten Zafar stał się legendą w *basti*, to znaczy w bidonvillach, slumsach, ponieważ poświęcił wszystko dla ubogich. Zafar *bhai*, brat Zafar. Ubóstwiali go jako tego, który mieszkał wśród nich, ubierał się jak oni, dzielił ich nędzę i pił wodę z tych samych cuchnących studni. Nigdy nie przypuszczałem, że poznam tego bohatera. Był ważną osobistością, ja zaś żyłem ze szwindli i pod gołym niebem. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak nierozzerwalnie splecą się nasze losy.

Pierwszy raz spotkałem Zafara w domu Nishy, która mieszkała z ojcem. Zafar je owoc granatu, wybierając nasiona scyzorykiem i kładąc na języku po trzy, cztery naraz.

- Więc to ty jesteś Zwierzak? Lubisz *anaar*? Chcesz trochę?

Chętnie bym skosztował, ale jestem onieśmielony, więc odmawiam.

- Jak się naprawdę nazywasz? - Wielki człowiek jest wysokim, chudym facetem o bujnych czarnych kędziarach i nosi okulary nadające mu wygląd osoby zatopionej w mądrych rozmyślaniach.

- Zwierzak.

- Zwierzak to przezwisko, *na*? Pytam o twoje prawdziwe imię.

- Nie znam go.

- Jak to? - Spogląda na mnie z zainteresowaniem.

Wzruszam ramionami. Z wcześniejszego okresu nic nie pamiętam. Owszem, miałem kiedyś ludzkie imię, nadano mi je w sierocińcu. Raz spytałem o nie jedną z zakonnice i powiedziała mi, ale zapomniałem. Mówię o tym Zafarowi, który odpowiada, że nie lubi, jak się dokucza niepełnosprawnym.

- Nie powinienes - dodaje - myśleć o sobie w ten sposób, tylko jako o kimś sprawnym inaczej.

- Co to znaczy: sprawny inaczej?

- To znaczy: okej, nie chodzisz na dwóch nogach jak większość ludzi, ale posiadasz umiejętności i talenty, których oni nie mają.

- Skąd wiesz? - Nie wspomniałem mu o moich głosach.

- Ponieważ dotyczy to każdego - odpowiada Zafar. - Musimy tylko odkryć, w czym jesteś dobry. No i nie powinienes pozwalać, by cię nazywano Zwierzakiem. Jesteś istotą ludzką, która ma prawo do imienia i szacunku. Ale brak imienia to dla ciebie teraz wspaniała sposobność. Możesz je sobie wybrać, jakie chcesz. Na przykład Jatta albo Jamil, proszę bardzo, nadaj sobie takie imię, jakie zechcesz, a my odtąd będziemy się nim do ciebie zwracali.

Mylisz się, myślę. Pozwól mi pozostać tym, czym jestem, tak jak Nisha, ona by nigdy nie powiedziała czegoś podobnego. Zerkam na Niszę, lecz ona uśmiecha się do niego.

- Nazywam się Zwierzak - mówię. - Nie jestem pierdolonym człowiekiem i nie życzę sobie nim być. - Tak brzmiała moja mantra, którą powtarzałem wszystkim. Nigdy nie napomknąłem o moim pragnieniu, by chodzić prosto. Tak się zaczął długotrwały spór między Zafarem a mną o to, czym jest zwierzę i co to znaczy być człowiekiem.

Kiedy mówię, że nie jestem pierdolonym człowiekiem, Zafar się wzdryga.

- Bracie, nie przeklinaj.

- Przepraszam - zwracam się do Nishy i chcę dotknąć jej stóp, lecz Zafar mnie powstrzymuje.

- To nie z powodu Nishy, ja sam nie znoszę brzydkich słów.

- Więc ciebie też przepraszam - mówię, bynajmniej tego nie myśląc. - Ale moje imię to moje imię.

Zafar gładzi swą brodę cholernego mędrca, która sterczy z jego twarzy jak wiecheć.

- A zatem niech będzie Zwierzak - oznajmia wreszcie i zaczyna mi opowiadać o pracy, jaką on i inni wykonują w Khaufpurze.

Wygląda na to, że istnieje grupa, której Zafar jest przywódcą. On sam tego nie mówi, ale sprawa wydaje się oczywista. Grupa Zafara zbiera pieniądze, by pomagać chorym. Przez wszystkie lata od tamtej nocy, powiada on, nie udzielono prawdziwej pomocy tym, którym rozwalilo oczy, płuca i łona. Są oczywiście państwowe szpitale, lecz ludzie nie przestąpią ich progu, chyba że są zdesperowani.

- Ty sam padłeś ofiarą tej trucizny - mówi Zafar, przyglądając się moim plecóm. - Wiesz, jak to jest w takich miejscach. Czekasz w kolejce cały dzień, a potem lekarz nie chce cię zbadać, bo dotknięcie biedaka uczyniłoby go nieczystym. Ogląda cię pobieżnie, wypisuje ci karteczkę i każe zanieść ją do takiej a takiej apteki i powiedzieć, że to on cię przysłał. Lekarstwa powinny być za darmo, a oni w ten sposób zarabiają na ludzkim nieszczęściu.

- Wszystko prawda, każdy o tym wie - odpowiadam, zastanawiając się, jaką pracę zamierza mi zaproponować.

Nisha chłonęła łapczywie każde jego słowo.

- Zwierzaku, ludzi nie stać nawet na jedzenie, więc jak mogą sobie pozwolić na lekarstwa? Dlatego musimy im pomagać. Wczoraj miałem taki przypadek: kobieta o imieniu Lilabai potrzebowała krwi do operacji i usłyszała, że musi ją sama zdobyć, kupić i przywieźć do szpitala.

No cóż, Oczy, wiem, jak to jest. Kiedy przymierałem głodem, sprzedawałem krew, żeby kupić jedzenie.

- Lilabai zapłaciła za butelkę osiemset rupii!

- Ile? Ten skurwiel Chunaram, przepraszam za brzydkie słowo, dał mi tylko osiemdziesiąt!

- Kim jest ten Chunaram? - pyta łagodnie Zafar, zdejmując okulary, by je przetrzeć. Uwolnione z więzienia szkieł oczy wydają się nieco zażawione, jak po nieprzespanej nocy.

- Ma *chai shop*, herbaciarnię, w Orzechokruszu. Pan dziewięciopalcy.

- Aha - odpowiada, jakby to wszystko wyjaśniało.

Mówię im, jak kiedyś Chunaram wpadł na pomysł, by sprzedawać krew, którą mógł przechowywać w lodówce. Potrzebował świeżych dostaw, a ja natoczyłem się pierwszy.

- No i co było dalej? - pyta Nisha.

- Ktoś rozpuścił plotkę, że sprzedaje krew zwierzęcą.

- Ciekawe kto? - Unosi brew, ale ja nie odpowiadam.

- Twoja praca - wtrąca Zafar, nawiązując do poprzedniego tematu - będzie polegała częściowo na tym, by dostarczyć pieniądze potrzebującym. Trzeba zanieść gotówkę, a to potrafisz.

- Zaufasz mi?

- A czy nie jesteś godny zaufania?

- Nie wiem. Jeszcze nikt mi niczego nie powierzył.

- Przekonamy się więc. Co jeszcze potrafisz?

Co potrafisz? Nie miałem pojęcia. Na ulicy próbowałem tego i owego, wybierałem ze śmietników szmaty, puszki, plastik i tym podobne rzeczy, ale nie radziłem sobie zbyt dobrze, bo jak się chodzi na czworakach, ma się tylko jedną wolną rękę do noszenia. Mówię o tym Zafarowi, który słucha uważnie. Włożył z powrotem okulary i wsparł podbródek na palcach, które ciągle międlą tę jego brodę.

- A te oszukańcze gry? - Nisha uśmiecha się łobuzersko.

- Już mówiłem, że czymś takim się nie zajmuję.

- Znasz numer z plamą krwi? - pyta Zafar.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- A rozsypane ziarna ciecierzycy? Nie, tego byś nie potrafił wytłumaczyć.

No cóż, jestem pod wrażeniem. Plam krwi nie widuje się często, przynajmniej w Khaufpurze. A jeśli mowa o rozsypanych ziarnach ciecierzycy, to grają nimi chłopcy, z których jeden siada na ulicy w kręgu prażonych drobinek. Musi wiedzieć, jak krzyczeć i jęczeć, żeby ojciec go zbił. Obok powinna leżeć pogięta taca, żeby to wyglądało tak, jakby potknął się uliczny sprzedawca. Niewątpliwie niósł tacę na głowie, czego ja bym nie potrafił.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Możesz zgubić monety i potłuc flaszkę, ale nikt ci i tak nie uwierzy.

- Co masz na myśli? - pytam ja, który wykonuję tę sztuczkę od niepamiętnych czasów.

- Aha - uśmiecha się. - A zatem wiesz. No cóż, nie interesuje mnie to, co robiłeś, lecz to, co zrobisz.

- Jestem zwierzęciem, niewiele mogę zrobić - mówię, żeby nie czuł się lepszy ode mnie, a także, jeśli mam być szczery, żeby go zdenerwować.

- Jesteś wygadany.

- Zwierzę musi używać pyska, bo nie ma nic innego.

- A jak patrzy?

- Oczami.

- Ty to potrafisz - mówi. - Jak wyszukuje jedzenie?

- Węchem.

- Potrzebujemy dobrego wężyciela. Twój pies - wskazuje Jarę, drzemącą w blasku słońca - skąd wie na przykład, kiedy udawać trupa?

- Na dźwięk pewnego słowa.

- Słyszysz je i jest dość inteligentny, by zrozumieć. Potrzebujemy kogoś takiego. Żeby używał oczu, nosa, uszu, mózgu, to inna sprawa.

- *Nemisbond! Džejmsbond!*

- *Shabaash* - odpowiada on z szerokim uśmiechem.

- Wolałbym to niż dostarczanie gotówki.

- Zobaczymy - mówi Zafar. Ośłania oczy, by zerknąć na słońce, i zawiadamia Niszę, że musi już iść, bo dochodzi czwarta.

- No i co myślisz o Zafarze? - pyta Nisha, gdy jego motocykl oddala się z głośnym pyrkaniem i ginie w głębi dzielnicy.

- Taki ważniak powinien przynajmniej mieć zegarek.

Nisha na to:

- Zrozumiesz, kiedy go poznasz bliżej.

Od niej usłyszałem historię Zafara. Wyglądało na to, że chciał zostać uczonym, lecz porzucił studia, by zaopiekować się biedakami.

- Raz spotkałam jego profesora - wyznała Nisha. - Powiedział mi, że Zafar był jego najwybitniejszym studentem. Mógł osiągnąć wszystko, ale gdy tylko dowiedział się o tamtej nocy, natychmiast porzucił college i przyjechał do Khaufpuru, by zorganizować ruch oporu przeciw Kampani, co robi do dzisiaj. Jak myślisz, kto podtrzymuje tak długo sprawę sądową wytoczoną Kampani? Wielokrotnie próbowano go powstrzymać. Zastraszano go, pobito, ale Zafar nie boi się niczego i nikogo. Mówi prawdę i nigdy się nie poddaje. Dlatego prości ludzie go kochają.

I ty także, pomyślałem, chwytając sens jej słów.

No więc. Oczy, na tym polegała moja praca - żeby patrzeć i słuchać, a potem donosić Zafarowi, gdyby w dzielnicach nędzy działo się coś niezwykłego. Miałem nasłuchiwać na ulicach i w *chai shopach*, wywiedzieć się, do czego zmierzają władze wyższego i niższego szczebla, bo te gnojki nigdy nie wymyślą nic dobrego. W ten sposób po kilku tygodniach miałem już ułożony plan eksmisji pewnych ludzi z okolic linii kolejowej i poinformowałem o tym Zafara, który ich usunął. Okazywano mi szacunek, ponieważ należałem do jego grupy.

Gang Zafara. Jak można by nas opisać? „Święci” - mówili mieszkańcy slumsów, którzy nie potrafili wypowiedzieć imienia Zafara bez dodatku błogosławieństwa. „Wywrotowcy”, twierdził Zahreel Khan, minister do spraw pomocy ofiarom skażenia. Według mnie, jeśli mam być szczery, po prostu próbowaliśmy uszczęśliwiać innych na siłę.

Owszem, czyniliśmy dobro, bo cóż innego mogą czynić uszczęśliwiacze, ale nic mnie nie obchodziły polityczne bzdety, nienawidziłem tych gadek o ofiarach skażenia, nie chcę litości, nie życzę sobie, bym miał zostać jakąś pieprzoną *bhonsdi-ka* ofiarą. A co do świętego Zafara, to nie rozśmieszajcie mnie. Zauważyłem pożądanie w jego oczach, gdy spoglądał na Niszę. A święci i aniołowie nie czują pożądania, dlatego wiem, że do nich nie należę.

Nie ujawniałem tych uczuć. Za swoją pracę dostawałem czterysta rupii miesięcznie, a była to praca łatwa. W naszym życiu szczęśliwy traf jest rzadkością, więc gdy już się zdarzy, nie wykręca mu się jaj. Chunaram wkrótce wywęszył moje nowe zarobki, bo Zafar nie wiadomo dlaczego zapałał do niego sympatią, i herbaciarnia w Orzechokruszu stała się czymś w rodzaju drugiej kwatery głównej. Chunaram stwierdził, że czterysta rupii to dużo pieniędzy, i zaproponował, iż je dla mnie zabezpieczy, ale nie dałem się nabrać. Przekazałem je Nishy. Powiedziała, że powinienem założyć sobie konto w banku.

- Jak, skoro nie umiem czytać ani pisać?

- Więc muszę cię nauczyć.

Zapisała się wówczas do college'u dla kobiet Iqbal Bahadur w mieście za murem, ale wydaje mi się, że nie traktowała tych studiów poważnie.

- Nie powinnaś przychodzić do domu w południe - mówił jej ojciec.

- I co byś wtedy zjadł na lunch? Papo, Zafar odwozi mnie na popołudniowe wykłady, a ten chłopak potrzebuje przynajmniej jednego porządnego posiłku dziennie, jeśli już się upiera, by spać pod gołym niebem zamiast pod dachem, jak człowiek.

- Możesz zostawiać kilka chappati na przekąskę - podsunąłem, zerkając na jej ojca, którego się bałem. Był z niego ponury i onieśmielający skurczybyk, ale miał ku temu powody. - A poza tym nie jestem człowiekiem.

- Nie smakują ci moje potrawy?

- Zwierzak ma rację - odezwał się ojciec.

- Mógłbym kupić coś na wynos - zaproponowałem, jako że niedawno odkryłem, jak to przyjemnie wydać część zarobków tu na *samosę*, tam na *pau bhaji*.

- Czy mój tata też ma się tak żywić?

- Dam sobie radę - powiedział ojciec.

Obaj wiedzieliśmy, że nie ze względu na nas Nisha wraca do domu. Zafar też często zachodził o tej porze. Jadł posiłek z jej ojcem, spędzał z nią jakiś czas, a potem odwoził ją motocyklem do college'u.

- Tyle czasu poświęcasz pracy u Zafara - odezwałem się raz, gdy byliśmy sami. - Czy to dobry pomysł?

- Ta praca jest ważna.

- A twoje studia? - Dla mnie bycie studentem, uczenie się stanowiło nie tylko nieziszczalny sen, ale i nieziszczalny sen wewnątrz snu.

- Martwimy się, że nie masz dachu nad głową - powiedziała Nisha, swobodnie zmieniając temat. - Ile miejsc wyszukał ci Zafar? Dlaczego ciągle odmawiasz?

- Mam dobre miejsce do spania, zaciszne i odosobnione.

- Gdzie?

- To moja tajemnica. - Byłaby przerażona, gdyby się dowiedziała.

- Gdzie? - nalegała. - No, nie bądź taki, powiedz.

- Trudno je opisać - odparłem najzupełniej zgodnie z prawdą.

Od tamtej nocy fabryka Kampani stoi zamknięta. Ludzie mówią, że jest nawiedzana tylko przez duchy zmarłych. Miejsce odcięte od świata - co mogłoby się lepiej nadawać na zwierzęcą kryjówkę?

Kiedy dziwnikarze i cudzoziemcy przyjeżdżają do Khaufpuru, zawsze myślą, że fabryka to jeden wielki budynek. Tak nie jest. Mur zdaje się nie mieć końca i otacza obszar porównywalny z całym Orzechokruszem. Okrążenie go zajmuje mi ponad godzinę i robię wtedy dostatecznie dużo kroków, by przemierzyć trzy kilometry. Tu i ówdzie w murze widnieją dziury, jakby przebił je pięścią jakiś olbrzym - to stąd ludzie wyluskiwali cegły do budowy domów. Nasza część Orzechokrusza powstała głównie z tej fabryki śmierci. Gdy zajrzysz do środka, zobaczysz coś dziwnego: las, wysokie trawy, krzewy, drzewka, pnącza wybuchające kwiatami niczym garściami fajerwerków.

Oczy, żałuję, że nie możesz wejść ze mną do fabryki. Gdy przestąpisz przez któryś z tych otworów, znajdziesz się w innym świecie. Cichną odgłosy miasta, klaksony aut, okrzyki kobiet na ulicach, wrzaski dzieci - wszystko tłumi wysoki mur. Posłuchaj, jak tu cicho. Żaden ptak nie zaśpiewa. Żaden pasikonik nie podskoczy w trawie. Żadna pszczoła nie zabrzączy. Owady tu nie przetrwają. Kampani stworzyło wspaniałe trucizny, tak dobre, że nie można się ich pozbyć, działają nawet po tylu latach. Trzeba jednak uważać, gdzie się stawia dłonie i stopy. Wszędzie w tym pieprzonym miejscu można natrafić na kobrę. Należy też strzec się psów. Jak zobaczysz psa, trzymaj się z daleka. Jeśli się zbliży, odpędź go kamieniami. Te psy toczą pianę z pysków, nie boją się o siebie, lecz o Jarę. To moje królestwo, ja tutaj rządę. Przychodziłem tu już, gdy byłem mały, chowałem się, żeby nikt nie mógł mnie znaleźć. Czasami przyprowadzałem inne dzieciaki, by pograć w kulki albo kręcić bąki, kiedy nie chcieliśmy, żeby dorośli wiedzieli, gdzie jesteśmy. Dla pewności, że moi goście nie wrócą na

własną rękę, opowiadałem im o dzieciach, które zawędrowały na teren fabryki i wszelki ślad po nich zaginął.

duchy was złapią, nie będzie obrony

Opowiadałem, jak znajdowałem ich kości w dżungli, obgryzione przez zwierzęta o ognistych kłach. „Więc jak to się dzieje, że ty jeszcze żyjesz?” - padało pytanie.

duchy odstrasza mój kształt pokręcony

Oczy, wyobraź sobie, że jesteś ze mną w fabryce. Widzisz to coś, co wyrasta ponad drzewa, te zardzewiałe rury i metalowe stopnie prowadzące donikąd? To tutaj produkowano trucizny. Kiedyś to wszystko było większe, ale wciąż odpadają różne kawałki. Silny wiatr ciągle obluzowuje kolejne arkusze blachy, które łomoczą niczym rozgniewane duchy. Właściwie pozostał tylko szkielet. Pomosty, drabiny i poręcze zżera korozja. Płatanina rur wygląda jak gnijące wnętrzności. Wielkie zbiorniki popękały, wyleciało z nich coś, co przypomina brunatne kamienie. Ileż to razy Zafar ostrzegał, że jeśli suche trawy na terenie fabryki się zapalą, jeśli ogień dosięgnie tych brązowych bryłek, wybuchną trujące gazy i znowu powtórzy się tamta noc?

W tych suchych trawach, stanowiących według Zafara zagrożenie dla miasta, uwiłem sobie gniazdo do spania. W ciepłe noce mogłem śnić wygodnie pod gwiazdami i nie dokuczały mi żadne owady. W porze deszczowej i gdy było zimno, miałem do dyspozycji pomieszczenia, które pracownicy Kampani uciekający z Khaufpuru zostawili zasłane po kolana papierami. Te papiery tworzyły grubą koldrę, a jeszcze miałem psa, który mnie ogrzewał. W biurach nie czuło się tak mocno chemicznego smrodu. Do magazynów nigdy nie wchodziłem, pełno tam było rozpadających się worków, z których sypał się biały i różowy proszek. Kto spędził w ich pobliżu zbyt dużo czasu, tracił oddech i odczuwał bóle w piersi. Czasami, przechodząc przez zarośla, dostawałem zawrotów głowy i czułem na języku ostry metaliczny smak. Tych terenów należało unikać.

Oczy, jesteś ze mną jeszcze? Spójrz, wszędzie tutaj toczy się cicha wojna. Matka Natura usiłuje odzyskać swoje ziemie. Pojawiły się dzikie drzewa sandałowe - może ich nasiona wysrały przelatujące ptaki? Ten ziołowy zapach to *ajwain*, napływa falami i w takich chwilach las wydaje się piękny i zapominasz, że jest zatruty i nawiedzony. Pod domem z trucizną pomiędzy systemu rur wyrastają drzewa. Pnącza, brunatne i grube jak mój

nadgarstek, wspięły się aż do samej góry, oplotły ciasno drewniane zawiasy na drabinach i rurach, jakby chciały podrzeć na strzępy wszelkie dzieła Kampani.

Tu możemy się wspiąć po drabinach i jeszcze wyżej, tam, skąd powiał wiatr śmierci. Z najwyższego stopnia wznosi się ku niebu pojedynczy czarny komin. Możesz oprzeć się o niego ręką, jest szerszy niż pozostałe. Tym właśnie kominem wydostały się tamtej nocy trujące opary. Po dwudziestu latach ciągle jest czarny i pokryty pęcherzami. Farba się przypaliła, tak gorące były te gazy, ale tamta noc była zimna i gwiaździsta.

„Uach! Co za widok!”. To ich pierwsze słowa, kiedy tu wchodzi. Widać stąd cały Khaufpur, każdą ulicę, zaułek, rynsztok, nędzną alejkę. Tamto skupisko dachów to Jyotinagar. Uliczki są tam wąskie, wolę nie myśleć, co się w nich działo. Mój znajomy Faqri stracił tam mamę, tatę i pięcioro rodzeństwa. Widzisz te błyski, gdzie płynie *naala*? To kolonia Mira, a dalej Khabbarkhana i Salimganj. Na wschód leży Phuta Maqbara, na zachód - Qazi. Wszystko to pola śmierci. Minarety w oddali to wielki *masjid* w Chowk. A tam, widzisz drogę do Delhi? Tamtej nocy płynęła nią rzeka ludzi. Niektórzy mieli na sobie tylko bieliznę, inni zupełnie nic. Ślaniali się, jakby to była końcówka wielkiego wyścigu, padali i już się nie podnosili, przed Rani Hira Pati ka Mahal droga była zasłana zwłokami.

Oczy, istnieje coś takiego, jak *bhayaanak rasa*, groza, która sprawia, że jeżą się na ciele i drżą najmniejsze włoski - *romanchik*. Czuję to, gdy wspinam się do tego wysoko położonego miejsca, widzę matkę Kali skradającą się w lesie poniżej. Jej skóra jest czarna jak przypieczone zwłoki. Ma te swoje potężne kły i czerwony język zwisający do pasa, a także sznur odrąbanych głów o twarzach wykrzywionych w udręce. Tak wyglądali w chwili śmierci. Oczy, widzisz czarną rurę strzelającą w niebo, a ja widzę Śiwę, ciemnego i nagiego, wymazanego popiołem z pogrzebowych stosów. Jego oczy są czerwone od haszu i dymu płonących ciał i tańczy, a zewsząd słyszę wrzaski i krzyki umierających ludzi, bo gdy Śiwa tańczy, następuje koniec świata. Jak sądzisz, czy ktoś potrafi wyjaśnić, dlaczego ludzie Kampani wybrali właśnie to miasto, żeby wybudować fabrykę? Dlaczego wybrali ten kraj? Czy to przypadek, że dawna nazwa tego miejsca oznacza ziemię Kali? Czy to przypadek, że jej mąż Śiwa nosi kobry oplecione wokół szyi?

Tak tu cicho na górze, słychać tylko wiatr. Nie zawsze tak jest. Powinniście posłuchać duchów, w fabryce jest ich pełno. Gdy wieje mocny wiatr, dusze fruują z krzykiem wewnątrz pustych rur. W niektóre noce były tu tylko duchy i ja, czworonożne stworzenie wspinające się na drzewa i kominy. Usadowiony niczym małpa u szczytu tego trującego *khana*, obserwowałem księżyc i jego cienie oraz gwiazdy zakreślające koła, przyglądałem się światłom miasta i zadawałem sobie pytanie, czy gdyby naprawiono tę rurę, dokrecono tamten

zawór, miałbym teraz matkę i ojca, byłbym istotą ludzką.

Codziennie rano wymykałem się z fabryki, by wykonać moją pracę w dzielnicach *basti*. W południe szedłem do Nishy. Dobrze gotowała i była miłą towarzyszką. Zjadałem obiad i starałem się unikać jej onieśmielającego ojca.

Somraj, tak brzmi imię taty Nishy, *pandit* Somraj Tryambak Puneekar, w przeciwieństwie do córki jest wysoki. Muszę mocno wykręcać szyję, żeby na niego spojrzeć. Ma nos tak samo *zapaat* jak ona, podobnie długie palce, lecz najważniejsze jest to, że kiedyś był śpiewakiem - i to nie takim zwykłym, ale sławnym. Jego imię znały całe Indie, zdobył wiele nagród i wyróżnień, nazywano go *Aawaaz-e-Khaufpur*, głosem Khaufpuru. Nisha powiedziała mi, że za młodu jej tata nieustannie występował w radiu, a do tego dawał koncerty i tak dalej, dopóki tamta noc nie odebrała mu żony i małego synka, i nie rozpieprzyła jego płuc. Nisha nie знаła matki ani brata, mówi, że Kampani, odebrawszy jej ojcu oddech, odebrała mu życie, ponieważ dla śpiewaka oddech to życie. Od tamtej nocy słuchał nagrań innych osób, lecz nigdy własnych. Stał się człowiekiem poważnym i zamkniętym w sobie. Później zaczął uczyć muzyki. Jego podopieczni zdobywali nagrody i był dla nich niczym bóstwo, lecz nie czerpał z tego chyba żadnej przyjemności, bo prawie nigdy nie widywało się uśmiechu na jego twarzy.

Jak każdy mieszkaniec Khaufpuru Somraj nienawidził Kampani i przewodniczył komitetowi do spraw złagodzenia skutków skażenia, czyniącemu co w ludzkiej mocy dla tubylców po tylu latach wciąż wypluwających płuca. Pomagał najuboższym ludziom w mieście, którzy gównem obchodzili polityków i w których imieniu żaden prawnik nie chciał wystąpić o odszkodowanie. Przy tej okazji poznał Zafara, a przez niego Zafar poznał Niszę. Zastanawiałem się, co Somraj myśli o ich związku: jego córka, niespełna dwudziestoletnia wyznawczyni hinduizmu, i dwukrotnie od niej starszy muzułmanin. Ale jakiegokolwiek było jego zdanie w tej kwestii, zachował je dla siebie. Popierał współpracę Nishy z Zafarem, a różnili się jedynie co do sposobu prowadzenia walki. Proces przeciw Kampani ciągnął się już lata i nie było widać końca. Oskarzenie dotyczyło spowodowania śmierci tysięcy ludzi tamtej nocy i wycofania się z Khaufpuru bez oczyszczenia fabryki. Z biegiem czasu pozostawione trucizny dostały się do wód gruntowych i każdy, kogo napotkasz, sprawia wrażenie chorego. Khaufpurczycy żądali, by Kampani zapłaciła godziwe odszkodowanie tym, którzy stracili zdrowie, a ponadto oczyściła teren fabryki i przekazała rekompensaty ludziom pijącym zatrutą wodę. Kłopot polegał na tym, że szefowie Kampani przebywali daleko, w Amrice, odmawiali stawienia się w sądzie w Khaufpurze i nikt nie mógł ich do tego zmusić. Sprawa ta

ciągnie się już tak długo, że weszła do naszego potocznego języka. Ot, choćby kiedy wycygańłem od Faqriego sześć rupii, zauważył: „Tylko pamiętaj, żeby mi je oddać przed końcem procesu”. Albo gdy ktoś mówi coś niewiarygodnego, że na przykład Chunaram serwuje darmowe kebaby, wtedy można usłyszeć: „No jasne, a szefowie Kampani stanęli przed sądem”.

Pewnego dnia, gdy przyszedłem jak zwykle na lunch, zastałem Niszę i jej ojca spierających się o coś.

- Każdy, kogo się o coś oskarża, musi mieć możliwość obrony - mówił Somraj. - Nawet Kampani. W końcu prawo da nam zadośćuczynienie.

Nisha stała przed nim zdenerwowana, z dłońmi pobrudzonymi białą farbą i włosami w nieładzie.

- Papo, ludzie Kampani nigdy nie zjawili się w sądzie, więc jak prawo mogłoby dać nam zadośćuczynienie?

- To może trwać latami, lecz ich próby ucieczki od odpowiedzialności się nie powiodą.

- Jakie próby? Wcale nie muszą uciekać, już się wymigali.

- Słuszność jest po naszej stronie.

- Kochany papo - zaczęła Nisha z lekkim westchnieniem - jesteś dobrym i uczciwym człowiekiem, wszyscy o tym wiedzą i cenią cię za to, ale teraz myślisz naiwnie albo nie zauważyłeś, jak bardzo świat się zmienił. Może ty pamiętasz coś takiego jak sprawiedliwość, lecz ja w życiu nie natrafiłam na jej ślad. Jeśli chcemy sprawiedliwości, musimy walczyć o nią na ulicach.

- Przemoc nie jest rozwiązaniem.

- Kto mówi o przemocy? To tylko marsz.

- I rzucanie kamieniami? Jak ostatnim razem?

- Zafar robił, co mógł, by temu zapobiec, lecz jak długo ludzie mają cierpieć w milczeniu?

- Na to pytanie niestety nie znam odpowiedzi - rzekł ojciec i wyszedł z pokoju.

- Co robisz? - zagadnąłem Niszę.

Pokazała mi duży transparent, który przygotowała na *juloos* - wielkie białe litery namalowane na czarnym płótnie.

- Jak sądzisz? Mocne hasło? Ma w sobie siłę?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie umiem czytać.

Wzdycha ciężko i mówi:

- Od dzisiaj zaczynamy naukę.

Na początku była to trudna rzecz, czytanie. Weź takie dwie litery, jak क i ल, wyglądają niemal jednakowo, ale związane z nimi dźwięki „ka” i „la” brzmią inaczej. Powoli litery zaczęły nabierać sensu जा, o kształcie podobnym do zebrzącej dłoni, to było „ja”. ह, o kształcie, który przypominał mi głowę słonia, jak Ganeś na paczce beedi, to było „ha”, jak haathi, słoń. Szyldy na ulicach stopniowo ożywały. काका काल, już wiedziałem, że to oznacza coca-cole, której nigdy nie skosztowałem. Nauczyłem się pisać własne imię, जानवर, Jaanvar, czyli Zwierzak. Nisha powiedziała, że tak brzmi moje imię i powinienem być z niego dumny. Jaan znaczy „życie”. Jaanvar znaczy „ten, który żyje”.

- Życie? Jesteś go pełen - oznajmiła, rzucając okiem na kartkę z nabazgranymi jaanvarami. - Nie znam nikogo, kto miałby w sobie tyle jaan co ty. - Po czym zepsuła wszystko, dodając: - Oprócz Zafara.

Gdy już umiałem czytać i pisać w hindi, Nisha wyznaczyła mi nowe zadanie. Uczyła grupkę dzieciaków inglisz. Miałem do nich dołączyć. Nie chodziłem do szkoły od czasów sierocińca, kiedy wszyscy siadywaliśmy razem w jednej sali i recytowaliśmy lekcje. Zakonnice były surowe, za pomyłkę dostawało się krawędzią linijki w dłoń. Ma Franci była łagodna, ale nie uczyła, ponieważ nikt, ze mną włącznie, nie rozumiał ani słowa z tego, co mówiła, a ona nie rozumiała nas.

- Zbijesz mnie? - zapytałem Niszę, a ona parsknęła śmiechem.

Cierpliwa była z niej nauczycielka. Aż trudno uwierzyć, że miała wtedy niecałe dziewiętnaście lat. Nigdy nie narzekała, kiedy wyginaliśmy języki, usiłując wymówić niezgrabne słowa w inglisz, takie jak majngo, graunat, kaszdappel, guajaw, benaan, będące nazwami drzew owocowych w jej ogrodzie. Prawdę mówiąc, nie miałem z inglisz specjalnych trudności. Jak już wspomniałem, Oczy, zawsze wychwytywałem znaczenia zdań, nawet nie rozumiejąc ani słowa. Miałem wyczulony nie tylko słuch, ale i wzrok. Potrafiłem czytać z min i gestów, ze sposobu, w jaki ktoś stał lub siedział, lecz Nisha naprawdę wydobyła na jaw mój talent językowy. Niczym woda zalewająca pole nowy język po prostu słuwał na mnie. Mam kota na macie dom płonie ludzie jednoczą się wokół transparentu - tak wyglądały moje postępy w inglisz. Zafar również siadał obok, by się przysłuchiwać. Obydwoje z Niszą chwalili mnie i zdumiewała ich szybkość, z jaką się uczyłem.

Pewnego dnia Zafar przychodzi z niedużą książką, którą sam wydrukował.

- Jest o tamtej nocy - mówi dumny jak paw. - Ukazuje, co było w fabryce nieprawidłowe i co spowodowało wyciek trucizny. Zawiera obrazki, żeby dzieci mogły

przeczytać i zrozumieć.

Nisha podaje mi książkę i prosi, żebym głośno czytał. Przerzucam kartki. Są na nich rysunki przedstawiające różne budynki fabryczne. Każdy z nich znam, ale w tej książce wyglądają tak, jak musiały wyglądać przed tamtą nocą, nie tak jak teraz, gdy się rozpadają. Strzałki pokazują, gdzie wystąpiły uszkodzenia, tutaj i tam, i tam, i tam, wszędzie.

- Nie będę tego czytał - odpowiadam.

- Dlaczego? - pyta Nisha.

- Bo nie jestem dzieckiem.

- Więc, dorosły człowieku - odzywa się Zafar - co wolałbyś przeczytać zamiast tego? - Śmieje się, ale podejrzewam, że w głębi serca czuje się urażony, że nie chcę czytać jego książki.

- Nie jestem człowiekiem. Daj mi tę drugą, którą przyniosłeś.

Zafar bardzo dużo czytał, nigdy nie widywało się go bez książki.

- Tę? Może być dla ciebie trochę za trudna.

Otwieram ją na pierwszej stronie i z wielką starannością, powoli czytam głośno: „Jest prawdą powszechnie znaną, że samotnemu, a bogatemu mężczyźnie brak do szczęścia tylko żony”. Nisha zaczyna klaskać, mówi, że jestem jej najlepszym uczniem, a potem pochyla się i obdarza mnie uściskiem. Żadna dziewczyna wcześniej nawet mnie nie dotknęła, nie wspominając o przytulaniu. Przeszył mnie dreszcz, który spłynął aż do kutasa. Wtedy po raz pierwszy przyłapałem się na myśli, że gdyby tylko było ze mną inaczej, gdybym potrafił chodzić prosto, mogłaby wychwalać mnie, a nie Zafara.

To mój zręczny język, który umiał nagiąć się do każdej mowy, położył kres życiu pod gołym niebem. Nisha przepadała za pogawędkami i podczas obiadu rozmawialiśmy o najrozmaitszych sprawach. Pewnego dnia powiedziałem:

- Nisho, po angielsz nauczę się français, wtedy nareszcie się dowiem, co Ma Franci wykrzykiwała do nas w sierocińcu.

- Kto to jest Ma Franci?

- Zakonnica. Przyjechała z Francji ponad czterdzieści lat temu, by opowiadać o Isa *miyañ* i spełniać dobre uczynki.

- A français?

- Język, którym się mówi we Francji, jedyny, jaki zna.

- Spędziła tu czterdzieści lat i nie zna hindi?

Wtedy opowiedziałem Nishy o Ma Franci. To smutna historia, choć również trochę

zabawna.

Tamtej nocy najrozmaitsi ludzie ponieśli najróżniejsze straty, tracili życie, rodziny, przyjaciół, zdrowie, pracę, a niekiedy także rozum. Nieszczęsna Ma Franci straciła całą znajomość hindi. Kładąc się spać, знаła ten język równie dobrze jak rodowite mieszkanki Khaufpuru, a obudziła się pośrodku wielkiego *mela* śmierci, rozpasanej, niezapomnianej hulanki. Wiatr przyniósł truciznę, wieszczki anioły wymazały z jej umysłu język hindi, a także angielski, którym potrafiła się posługiwać *à sa manière*. Zapomniała wszystkich języków z wyjątkiem tego z czasów dzieciństwa, z Francji. No cóż, samo w sobie nie stanowiłoby to problemu, w końcu tylu cudzoziemców przyjeżdża do Khaufpuru, a ilu z nich zna hindi? Obłąd Ma Franci przybrał jednak dodatkowe cechy. Kiedy słyszała ludzi rozmawiających w hindi czy angielski albo na przykład w urdu, tamilskim albo oriya, jakimkolwiek języku używanym w Khaufpurze, nie rozpoznawała w tym ludzkiej mowy i uważała, że wydają po prostu bezmyślne chrząknięcia i stękania.

Sierociniec prowadziły *religieuses françaises*. Znajdował się w Jyotinagarze niedaleko fabryki i tamtej nocy poważnie ucierpiał. Zginęło wiele dzieci. Zakonnice także. Te, którym udało się przeżyć, były chore. Potem przyjechały zakonnice z innych rejonów Indii, a Francuzki jedną po drugiej zabierano z powrotem do kraju. Ma odmówiła wyjazdu. Oznajmiła, że Khaufpur poczuł pięć Boga, zaczęła się Apokaliza i miejsce jej, Ma Franci, jest wśród cierpiącego ludu. Została więc i modliła się głośno w dzień i w nocy.

Żadna z przybyłych sióstr nie znała français, nie było już ani jednej, której mowę Ma Franci potrafiłaby zrozumieć i która miałaby choć nikłe pojęcie, co Ma Franci chce powiedzieć. Siostry z Indii zadały sobie trud nauczenia się kilku wyrazów, takich jak o, woda, *dézhoné*, posiłek, *twalet*, ubikacja, *komoñ sava*, co słyhać, i tak dalej, ale to tylko przyprawiało staruszkę o jeszcze gorszego bzika. No bo jeśli umiały mówić w prawdziwym języku, dlaczego upierały się przy swoim paskudnym bełkocie?

Wszystko to działo się jeszcze w moim wczesnym dzieciństwie. Zanim dorosłem na tyle, by rozumieć, kim ona jest, zaczęły się moje kłopoty, a Ma Franci miała już za sobą lata spędzone z głową pełną aniołów i język kwaśniejszy niż owoc tamaryndowca.

Gdy skończyłem opowieść o Ma, Nisha zapytała ze łzami w oczach:

- Czy ta biedna kobieta nadal przebywa w Khaufpurze?

- Tak. Mieszka w klasztorze.

- Będziesz musiał tam wrócić.

- Tam, to znaczy gdzie?

- Do klasztoru - odparła, wydmuchując nos w chusteczkę. - Jak sam powiedziałeś,

nauczysz się français bez problemu i będziesz mógł się zaopiekować tą nieszczęsną staruszką.

- Nie!

- Nie? Ty niewdzięczny łobuzie, co ma znaczyć to „nie”?

- To jest moje „nie”, które oznacza „nie”.

- Zamień je na „tak”.

Oczy, nie wiem, ile razy powtarzałem Nishy, że tam nie wrócę. Ma była stara. Bardzo stara. Miała chyba z osiemdziesiąt lat. A może nawet sto. Lubiłem ją, ale potrzebowała troskliwej opieki, ja zaś wolałem swobodne życie, wędrowni z Jarą, zabawy w ciuciubabkę ze społeczeństwem i policją. Dopiero co skończyłem siedemnaście lat, żyłem na ulicy od dawna i byłem bezwzględny małym skurwysynem jakich wielu.

- Nie znaczy nie.

Ale Nisha także potrafiła być uparta. Powiedziała, że muszę się nauczyć odpowiedzialności.

- Czego? Jestem czworonożnym zwierzęciem.

- Jesteś rozpuszczony. Czas już dorosnąć. - Odwróciła się do mnie plecami. - Odtąd opieka nad Ma Franci będzie należała do twoich zajęć, Zafar to potwierdzi.

Kilka dni później przychodzę do roboty, a Zafar wciska mi w ręce gruby plik banknotów i każe go zanieść pewnej rodzinie z kolonii Błękitny Księżyc.

- Bądź ostrożny, to dla rodziny, która musi wymienić u siebie dach.

Nigdy nie widziałem tylu pieniędzy naraz.

- Ile tu jest?

- Jedenaście i pół tysiąca rupii.

Zdumiało mnie, że Zafar, wiedząc, jakim byłem kanciarzem, powierza mi taką sumę.

- Ufasz mi? - spytałem. - Mógłbym z tym uciec.

- To ty musisz się nauczyć zaufania - odparł.

Nic już nie powiedziałem, tylko zabrałem pieniądze i odniosłem. Gardziłem Zafarem za to, że mi ufa, a tym bardziej że Nisha go uwielbiała, jego, który był od niej dwa razy starszy. Okej, to nie była moja sprawa, ale wkurzało mnie to. Zaprzeczałem sam przed sobą, że zaczynam coś czuć do Nishy. Cóż to by była za głupota! Oczy, wyobraź sobie, jeżeli ktoś z kimś rywalizuje w miłości, chciałby, żeby ten rywal był paskudnym krzywonożym tchórzem, któremu włosy sterczą z nosa i uszu, oddech cuchnie jak kanał ściekowy, a skóra buntuje się przeciw samej sobie. Uwierz mi, nikt nie chciałby mieć za rywala Zafara - wysokiego, przystojnego, z brodą kręconą jak u radzy i otoczonego słodką aurą świętości.

Nie jest łatwo nauczyć się języka, kiedy osoba, która ma cię uczyć, ni chuja nie

rozumie, co mówisz. „Zwierzaku, dlaczego oni wydają takie odgłosy?” - pytała Ma Franci swoim śpiewnym tonem. Pytała po francusku, ale sens tego zdania w jakiś sposób przeniknął do mojego mózgu. Gdy Ma wykrzykiwała: „*Sallo purqwatu na parpla lalang yumain?*” - nie miałem pojęcia, co znaczą te dźwięki, wiedziałem jednak, co chciałyby powiedzieć. Trochę potrwało, że dwa lub trzy tygodnie, zanim połąpałem się we français. A było mi nieco łatwiej dzięki temu, że choć Ma nie zdawała sobie z tego sprawy, wplatała w swoje wypowiedzi całkiem sporo wyrazów zaczerpniętych z hindi.

- *Ça va. Ma?*

- *Achchha, Jaanvar. Et toi?*

- *Sirezquelq'chose?*

- Zwierzaku, jeśli ty potrafisz nauczyć się mówić jak należy, czemu ci głupcy przez cały czas plotą bzdury?

- To nie są bzdury, Ma Franci, to inny język.

- Dajże spokój - mówi. - Znam wiele języków. Ci ludzie po prostu bredzą. Dlaczego to robią? Czemu nie traktują mnie jak człowieka?

- *Je ne sais pas, Ma, je suis un animal.*

Ma była już stara i jeszcze bardziej zrzędliva niż dawniej. Dopiero gdy opanowałem français, inne siostry zakonne dowiedziały się, że dla niej ich mowa jest bełkotem. Zostało to źle przyjęte. „Pomieszało jej się w głowie”, orzekły. „Lepiej jej będzie we Francji, w domu dla starszych zakonnicek, gdzie wszyscy znają français”. Jak głupi wspomniałem Ma o pomysłach wysłania jej do Francji. Wytrąciło ją to z równowagi. „*Non, Animal, mon travail c'est dans le royaume despauvres*”. „Czeka mnie praca w królestwie ubogich” - tak nazywała slumsy Khaufpuru.

Następnego ranka Ma udała się do swoich zajęć, które polegały na chodzeniu od domu do domu i uśmierzaniu drobnych dolegliwości i obrażeń. Jak dawała sobie radę bez znajomości języka? Tego nie zrozumie nikt prócz mnie, posiadającego taki sam dar; więcej można przekazać uśmiechem. Wieczorem, gdy zjawiłem się w klasztorze, okazało się, że Ma nie wróciła. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło i siostry były zaniepokojone, więc wyruszyłem na poszukiwania. Wiele jest dzielnic nędzy w Khaufpurze. Od której zacząć? W Qazi Ma miała wiele do roboty, ale nikt jej tam nie widział. Tylko w tym jednym miejscu spędziłem godzinę.

Następnie udałem się do Phuta Maqbara. Nad zniszczonym grobowcem stojącym między chatami biedaków wschodzi księżyc, a wraz z nim wzbiera we mnie lęk. Lęk oraz poczucie winy, bo to ja spowodowałem te kłopoty. W niepokojącej księżycowej poświacie

przezesuję zaułek po zaułku i napotykam tylko cienie. Robi się bardzo późno. Pomyłona stara zakonnica sama gdzieś w mieście... Na kogo mogła trafić? Dokąd mogła zawędrować?

Ruszam do klasztoru w nadziei, że może wróciła. Pałają się tam wszystkie światła, a siostry modlą się o jej bezpieczeństwo. Natychmiast wychodzę znowu. Przed północą jestem w Orzechokruszu. Ze wszystkich slumsów Khaufpuru te są największe i najszkaradniejsze, lecz przez to również najbardziej interesujące. Mógłbym tu spędzać całe dni, puszczając latawce plotek. Teraz pytam każdego, kogo spotykam, czy nie widział Ma. Nikt jej nie widział. W samym sercu Orzechokrusza, u zbiegu Rajskiego Zaułka i kanału Siedmiu Krawców znajduje się herbaciarnia Chunarama, gdzie mam zwyczaj wpadać popołudniami, by ponatrząsać się z właściciela i wyłudzić kilka filiżanek herbaty. Gdy tam docieram, Chunaram właśnie zamyka lokal na noc. Świeci się jedna lampa naftowa z przykręconym knotem, kilku gości gra w karty w półmroku. Wreszcie jednak zdobywam jakąś informację. Ktoś widział starą kobietę, podobną z wyglądu do Ma, wychodzącą z domu Huriyi Bi. Oczywiście, pamiętasz, jak wspominałem, że usłyszałem głos Aliyi wzywający mnie do zabawy? A jej babcia powiedziała, że zachowuję się jak dziecko? No więc, Huriya Bi to babcia Aliyi. Księżyc zagubił się za chmurami, w ciemności wymacuję drogę wzdłuż Siedmiu Krawców, zmierzając ku północnym obrzeżom Orzechokrusza. Większość mieszkańców już śpi, tu i ówdzie migoczą światełka za workami zasłaniającymi drzwi, z wnętrza dobiegają ciche głosy i pokasywania. W małym domku Huriyi Bi, chacie z czarnym otworem zamiast drzwi, nie pali się żadne światło. Wchodzę do środka i potrząsam śpiącą postacią. Huriya podrywa się ze snu.

- O nieba, czy to piątek?

- Babciu, to ja, Zwierzak - szepczę, nie chcąc obudzić Aliyi i Hanifa, jej dziadka. - Szukam Ma. Nie wróciła do klasztoru. Wszyscy się martwią, że stało się coś złego.

- Co się stało? - pyta, nie dosłyszawszy. - Mówisz o fabryce?

Ludzie, którzy mieszkają w tej okolicy, panicznie się boją, że pewnej nocy fabryka powstanie z martwych i nadciągnie wielkimi krokami niczym ociekający krwią demon, by ich porwać.

- Ma zaginęła. Szukam jej od kilku godzin.

- Twoja Ma? Ma Franci?

- Tak, tak. - Dostrzegam zarys jej postaci wspartej na łokciu.

- Jesteś głodny, synu? Jadłeś coś dzisiaj?

- Mniejsza o to - mówię, przeklinając słabość starych umysłów. - Widziałaś Ma Franci?

Zapada milczenie, gdy staruszka wymiata z głowy resztki snów. Po chwili słyszę:

- Ma Franci była tu wcześniej, paplała jak zawsze, nie wiadomo o czym. Dużo się śmiała. Nie wiem, dokąd poszła.

- Ja wiem - odzywa się cichy głosik w ciemności. To moja niesforna przyjaciółka Aliya. - Chcesz, żebym cię zaprowadziła?

Przysięgam, byłaby zeskoczyła z posłania, gdyby dwoje staruszków - bo tymczasem dziadek Hanif Ali też się obudził i nawet jego papugi zaczęły skrzeczeć - nie przytrzymało jej, owijając ciasno prześcieradłem i mówiąc, że ma rano lekcje i że dostanie w skórę, jeśli będzie nieposłuszna.

- Ale ja wiem, gdzie ona jest. Co będzie, jak Zwierzak jej nie znajdzie?

- Zaopiekuję się Aliyą - zapewniam, oni jednak kategorycznie odmawiają wypuszczenia jej z domu.

Jest ich jedyną wnuczką, mówią, wszystkim, co im pozostało na tym świecie, kiedy ich córka, a jej matka zmarła po długotrwałej wyniszczającej chorobie płuc, Aliya stała się dla nich jedynym źródłem radości i dumy. Uczy się w szkole, a nocne powietrze przynosi zarazę, nie będą narażali zdrowia dziecka - a dziecko wysłuchuje tego wszystkiego z ciężkimi westchnieniami.

- Tam, gdzie kończy się Orzechokrusz - informuje mnie - przejdź przez tory.

Przynajmniej księżyc znowu świeci. Po niecałych dwunastu krokach docieram do połyskujących szyn, za którymi zaczarowane ogrody fabryki otacza mur. W połowie drogi muszę się zatrzymać, żeby przepuścić pociąg. Przejeżdża blisko, wielkie koła dudnią tuż obok mojej głowy, fruwią iskry, spada bryłka węgla i toczy się do moich stóp. Leży tam i lśni niczym odbłask płomienia w psich oczach, aż wreszcie gasi ją blask księżyca. Gdy milkną ostatnie echa, słyszę drżący głos starej kobiety:

Quand j'étais chez mon père

Petite à la ti ti, la ri ti, tonton lariton

Nieco dalej, za torami, blisko muru fabrycznego, stoi niszcząca kamienna wieża o ścianach, z których wyrastają kępki trawy. Zbudował ją jakiś waźniak sto lat temu, gdy na tym terenie kwitły jeszcze sady. Może był to grobowiec? Nikt nie wie, czemu mogła służyć ta wieża, a gdy pojawiła się trująca fabryka i opasała sady murem, jej ruiny pozostawiono na zewnątrz. I stamtąd właśnie dobiega śpiew, wewnątrz pełga nikłe światelko.

I tam ją znajduję, siedzącą na posadzce wśród osobistych drobiazgów, wydobytych z

prostego zawiniątka.

- Ach, jesteś, nareszcie wróciłeś - zwraca się do mnie. - Bądź tak dobry i zagrzej wodę w czajniku.

Taśma czwarta

Długo nie chciałem się przyznać, że darzę Niszę uczuciem. Człowieku, jak ja się spierałem z samym sobą. Nawet nie jest ładna. Nie jest w moim typie. Głosy w mojej głowie przekrzykiwały się w podnieceniu. „O, czyżby?” - burczy jakiś szmatojebny, brzmi tak, jakby wydobywał się z pyska pełnego krwi, ze sterczącymi świńskimi kłami. „Czy można cię pokochać?” - odzywa się następny.

Słuchaj, podobają mi się te filmowe dziewczyny z makijażem, które starają się ładnie wyglądać. „Zawsze wiadomo, czego on chce!” - szepcze chytra sztuka, krążąca wokół mojego lewego ucha.

Odpowiadam, kurwa, że chcę. Kto by nie chciał? Ale najbliżej, jak mi się udało dotrzeć, to zdjęcia wyrwane z czasopisma, które podsunął mi Farouq. On ogląda obrazki w speluncie pod Laxmi Talkies, amerykańskie filmy wyświetlane przez Towarzystwo Szczęścia. Raz próbował mnie zabrać, ale mnie nie wpuścili, bo nie byłem ich członkiem.

Mięczak, mięczak, mięczak - odzywa się głos przesycony mrocznym, przerażającym śmiechem. Odpierdol się, mówię, nie ulegając strachowi. Nie wszystkie głosy brzmią wrogo albo szyderczo. Niektóre są przyjazne, mówią, żebym się nie martwił, że powinienem ich słuchać, bo podpowiedzą mi najlepsze wyjście. „Wy też się odpierdolcie”, odpowiadam. Jesteście żałosne. Głosy bez kształtów, do czego w ogóle się nadajecie? Beze mnie jesteście niczym.

Zmysły, umysły, cytrynowe obierki prysły

Ale nie było zwłok. To dlatego tak się podniecacie, nie mając własnych ciał - odczuwacie ten dreszcz wyłącznie, kiedy mnie przeszywa. Dlatego wpychacie te wszystkie myśli w moją głowę.

*jesteśmy głosy dźwięczne i czyste
nasze potrzeby zna każdy listek*

*a co do ciebie jedno jest pewne:
wymłócisz w szopie każdą królową*

Nie wiem, Oczy, gdzie ty właściwie mieszkasz, ale tutaj, w Khaufpurze, możesz wszystko zobaczyć w internecie. Goście z pieniędzmi odwiedzają taki sklep, w którym stoją kabiny z komputerami, gdzie pokazywany jest seks. Ci goście oglądają, ile tylko chcą, a właściciele wykładają nawet ręczniki w kabinach. Powiedział mi o tym Farouq, drugi po Zafarze. Twierdził nawet, że można tam zapoznać się z dziewczynami, jak w *Dil Hi Dil Mein*. Czy Sonali Bendre i Kunal nie poznali się w ten sposób? Głupi film z kretyńską piosenką *dub you dub you dub you love kropka com*. Farouq ciągle ją śpiewa.

Podoba ci się Sonali, co? - szydzi pysk z zakrwawionymi kłami.

Czy można cię pokochać?

Zdecydowanie lubię filmowe dziewczyny, takie jak Sonali, które zadają sobie trud, żeby ładnie wyglądać.

Po co ci ta Sonali? Ma wielki nos.

Kutaśnie długi. Chujowo gruby. Fiutowaty.

Gadasz bez sensu. Zamknij się, proszę.

Do tej zabawy potrzeba dwojga. Jaka dziewczyna zrobi to z tobą?

Spierdalaj, spierdalaj, spierdalaj!

Tak bardzo tego pragnąłem i co noc te marzenia usztywniały mojego potwora. W czasach, gdy żyłem pod gołym niebem, często przechodziłem ulicą z burdelami, która znajdowała się w pobliżu kafejek, gdzie lubiłem zebrać. Czasami mamuśki zapraszały na posiłki dziewczyny, które przecież nie miały kiedy gotować. Kilka z nich poznałem, zwykle machały do mnie z uśmiechem. Myślałem sobie, że gdybym zebrał trochę pieniędzy, wykapał się porządnie i ubrał w coś czystego, mógłbym odwiedzić jedno z takich miejsc. Jedną dziewczynę szczególnie polubiłem, była młoda, miała na imię Anjali. Wynosiła dla mnie kawałki parathy z restauracji i żartowała, jakim to jestem przystojnym, twardym facetem. Mówiłem jej: „Nie drwij sobie ze mnie, to nieładnie”. „Kto tu drwi?” - odpowiadała. Parskała śmiechem i odchodziła, kręcąc tyłkiem i posyłając mi przez ramię całusa.

Może faktycznie nie drwiła. Cztery moje części są silne i niebrzydkie: mam przystojną twarz, krzepkie ramiona, umięśnioną klatkę piersiową. A co do tego ostatniego... „O rany, co za lund. Skurczybyk jest wyposażony jak osioł”. Taki żart rzucił Farouq, kiedy razem z kumplami przyłapał mnie pewnego razu na pluskaniu się w fabrycznym jeziorze. „Jaanvar, jesteś zbudowany jak... jak *jaanvar*”. Tak, a ileż radości znajdowałem w tej mocnej,

wspaniałej wieży, spływającej mlekiem niczym uroczyn.

Miłość jest czymś innym i znacznie trudniejszym. Nie ma nic wspólnego z seksem. To właśnie próbowałem wytłumaczyć moim głosem, żeby zrozumiały. Miłość nadchodzi po cichu. Nawet nie myślisz o romansie, a wtem ona się uśmiecha i po raz pierwszy zauważasz, że wcale nie jest taka brzydka, ma naprawdę całkiem miłą twarz. Wypatrujesz jej uśmiechu i dostrzegasz, że jej policzki zaokrąglają się jak dwie połówki mango. Dlaczego ten kształt jest tak przyjemny dla oka, sam nie wiem. A potem, pewnego wieczoru zdobi oczy kajałem, szczotkuje włosy, ulega niezwykłej przemianie, tak że nagle Sonali Bendre jest już o wiele mniej godna pożądania niż ta dziewczyna, którą tak długo miałeś przed samym nosem i która teraz się wystroiła, by pójść gdzieś, gdzie ty nie pójdziesz, nigdy.

Podobał mi się jej uśmiech, od tego się zaczęło. Dlatego robiłem różne rzeczy, żeby się uśmiechnęła. Potem już zauważałem każdy uśmiech skierowany do Zafara. W ten właśnie sposób trucizna miłości przenika do krwi. Każde zetknięcie się ich rąk odczuwałem jak cios. Wygłaszałem kąśliwe uwagi i nie podobało mi się, kiedy szli do jej pokoju, nie zapraszając mnie.

„Co to za tajemnice?” - spytałem za drugim czy trzecim razem, próbując obrócić wszystko w żart. Zafar poruszył wdzięcznie brwiami, jakby mówił: „Chciałbyś wiedzieć, co?”, ale Nisha powiedziała, że bym nie był głupi. Chcieli po prostu zostawić tatę, żeby w spokoju posłuchał muzyki. A tak naprawdę, to kto mógł, kurwa, wiedzieć, co oni tam robią?

Oczywiście nie miałem u Nishy żadnych szans. Zadzurzyła się w Zafarze, a mój grzbiet był wygięty jak ogon skorpiona. Powtarzałem sobie bez przerwy, że gdybym tylko potrafił stanąć prosto, sprawy miałyby się inaczej i ten podstarzały facet mógłby się schować. Poprawiało mi to samopoczucie, lecz niczego nie zmieniało. Jaka istniała nadzieja, że mój grzbiet się kiedyś wyprostuje? Poskarżyłem się Nishy, że wszyscy pewnego dnia znajdą sobie męża lub żonę, a na mnie żadna dziewczyna nawet nie spojrzy. Odparła: „Wygląd zewnętrzny się nie liczy, wewnątrz ciebie kryje się piękny człowiek”. „Nie jestem człowiekiem” - powiedziałem, myśląc jednocześnie, że nawet takie idee czerpie od Zafara. Gdy mówiłem o swoim położeniu, przygryzała policzek i popadała w długą zadumę. Włosy przesłaniały jej oczy i odgarniała je takim gestem, jakby odpędzała natrętnego owada. Chętnie pogłaskałbym ją po tych włosach, ale się nie ośmieliłem. Raz spróbowałem w delikatny sposób okazać jej moje uczucia i powiedziałem: „Nish, jeżeli kiedykolwiek będziesz nieszczęśliwa, pamiętaj, że dla ciebie zrobię wszystko”. Zaśmiała się i odparła, że jestem kochany i że nie czuje się nieszczęśliwa. To mi nie wystarczyło, nie byłem pewien, czy zrozumiała, o co mi chodzi. Mamy w Khaufpurze takie wyrażenie: „*Kya main Hindi mein samjhaun?*”, czy mam to

powiedzieć w hindi? Innymi słowy: czy muszę to, kurwa, przeliterować?

„Przepraszam” - mruknąłem. „Nie powinienem się narzucać”. Położyła mi palec na ustach. „Sza. Milczenie również przemawia”.

„Cisza jest tym, co przekształca dźwięki w pieśń”. Tak mi powiedział pewnego razu ojciec Nishy, pandit Somraj. Zdumiało mnie, że ze mną rozmawia. Zdarzyło się to niedługo przed przyjazdem Elli, do którego wkrótce dojdę. Była pora deszczowa, obierałem ziemniaki na werandzie i podziwiałem drzewo uroczynu rosnące w ogrodzie. W porze monsunów rozkwitało białymi kwiatami o złotych sercach i mocnym zapachu, nieco przypominającym jaśmin. Tamtego dnia całe było obsypane kwiatami, po jego liściach spływały krople deszczu. Pandit Somraj wyszedł z domu i stał przez chwilę obok mnie.

- Czy ty też to słyszysz? - zapytał poważny jak zawsze.

- Co słyszę, proszę pana? - Jak wiesz, bałem się Somraja, ale prócz tego nie można o nim powiedzieć nic złego, i to dopiero jest przerażające.

- W angliż - zaczął - istnieje słowo „SILENT”, które oznacza tyle, co *khaamush*, i składa się dokładnie z tych samych liter, co słowo „LISTEN”. Otwórz zatem uszy i powiedz mi, co słyszysz.

Nie słyszałem nic prócz rechotania żaby, rech-rech, rech-rech, szukającej zapewne drugiej żaby, którą mogłaby radośnie wyruchać.

- Tylko żabę.

- Tylko żabę? Powiem ci jedno, ta żaba ma w sobie więcej muzyki niż większość panditów. Jej pieśń zainspirowała ponoć nutę *dha*, szóstą w naszej skali.

- Proszę pana - odparłem - chyba robi pan ze mnie Cha Hussaina.

- W żadnym razie. Przytaczam opinię mędrca zwanego Kohala, który był synem Bharaty, autora *Nā tya śāstra*, naszej pierwszej księgi o tańcu i muzyce.

Ma tak poważną minę, gdy stoi z przekrzywioną głową i nasłuchuje rechotu napalonej żaby, że nie mogę się powstrzymać i wybucham śmiechem, na co każe mi być cicho i słuchać. Muzykę nie zawsze tworzy się za pomocą strun, smyczków i piszczałek, mogą ją także tworzyć krople deszczu albo szum wiatru rozcięty brzegiem liścia.

- Nie rozumiem pana.

- Lubisz muzykę?

- Bardzo, proszę pana - odpowiadam, bo rzeczywiście mój głęboki głos potrafi odtworzyć piosenkę z filmu, o tak, to *chai chappa chai*, któremu towarzyszy kręcenie wypiętym zadkiem, *wah, wah*, skarby, gdzie znajdziecie lepszą rozrywkę? Oczywiście nie

mógłbym w żadnym wypadku powiedzieć o czymś podobnym takiej osobie jak wielki Aawaaz-e-Khaufpur. Te prymitywne występy są zarezerwowane dla herbaciarni Chunarama.

- Chciałbyś nauczyć się śpiewu?

- Nie nadaję się do tego, proszę pana.

- Proszę, zaśpiewaj dla mnie jakąś nutę.

- Wolałbym nie, proszę pana. - Kim byłem, żeby mu śpiewać?

- Śpiewaj bez obawy - mówi dobrotliwie, więc nie ośmielam się odmówić, rozchyłam usta i wydaję dźwięk: „Aaaa!”.

- No cóż, to brzmi przyjemnie. A zatem, jeśli głos żaby to *dha*, ty zaśpiewałeś *ga*, trzecią nutę. Zaśpiewaj raz jeszcze, *ga*. Teraz, jeśli ja zaśpiewam *pa*, piątą nutę, wyjdzie na to, że ty, ja i żaba odśpiewaliśmy melodię, można by nawet powiedzieć, że brzmi jak raga Deshkar. Posłuchaj: *ga pa dha ga dha, dha pa ga, ga pa dha pa ga, ga dha, ga pa dha, pa dha ga pa*.

Nie wyśpiewuje jednak tych nut, wypowiada je.

- Zwierzaku, jeśli potrafisz słuchać, usłyszysz muzykę we wszystkim.

A potem dodaje, że według dawnych pisarzy pawie, kozy czy nawet siwe czaple, które czasami znajdujemy martwe na brzegach jezior Kampani, wszystkie owe stworzenia również śpiewają nuty z tej skali i jeśli posłuchasz uważnie, zdołasz wychwycić te same nuty tam, gdzie się ich nie spodziewasz, na przykład w skrzypieniu kół roweru albo kwiczących odgłosach wehikułu *bhutt-bhutt*, bo wszystko tworzy własną muzykę.

- Posłuchaj, jak deszcz, kap, kap, kropi o taflę stawu, plink PLONK plank, to raga Bilaval.

Nigdy nie słyszałem, aby tyle mówił, i dotychczas nie wypowiedział też do mnie aż tylu słów. Siedziałem przejęty dreszczem, a gdy pandit Somraj wreszcie skończył, obdarzył mnie przyjaznym spojrzeniem i podsumował bez uśmiechu:

- Proszę, nie wspominaj o tej rozmowie nikomu, a zwłaszcza Nishy. Wiem, że jesteście sobie bliscy, a gdybym zaczął jej opowiadać takie rzeczy, gotowa się przerazić, że tracę zmysły. Ale widzę, że ty również potrafisz słuchać, więc to rozumiesz.

Szczerze mówiąc, zrozumiałem tyle, że mniejsza o motory, jeśli ten biedny sukinsyn słyszy muzykę w czymś takim jak świnia *bhutt-bhutt*, musi mieć niezłego świra. Gdyby nie był tak nieprzystępnym człowiekiem, który nie bez powodu postradał zmysły, mógłbym stroić sobie z niego żarty, ale w każdej innej dziedzinie prócz muzyki odznaczał się zdrowym rozsądkiem, a fakt, że był ojcem Nishy i że codziennie jadłem obiad w jego kuchni, nakazywał mi uprzejmość.

W deszczowy poranek, gdy podniebne konie sikają w oko świata, Nisha odzywa się do mnie:

- Zwierzaku, jedziesz do sądu?

Wygląda na to, że będzie kolejne przesłuchanie w sprawie przeciw Kampani. Nie przepadam za wymiarem sprawiedliwości, który poznałem aż za dobrze w czasach robienia szwindli, ale ku własnemu zdziwieniu odpowiadam:

- Czemu nie? Nie mam nic ciekawszego do roboty.

No cóż, tu chodzi o Niszę.

Normalnie Nisha pojechałaby z Zafarem jego motocyklem, ale dzisiaj, ponieważ jest nas troje, wynajmujemy auto Bhoory. Oczy, chyba nie wiesz, co to za pojazd - trzykołowy skuter-riksza, choć Khaufpurczycy częściej jeżdżą na dwóch kołach. Bhoora wystaje wokół Kurzego Pazura. Jeśli zobaczysz faceta zwiniętego w kłębek i śpiącego z tyłu swojego auta, a obok na ziemi spiralki pomarańczowej skórki, możesz być pewien, że to właśnie Bhoora. Kiedy go obudzisz, otworzy głęboko osadzone oczy i popatrzy na ciebie, jakbyś był częścią jego snu, a potem uśmiechnie się powoli. „*Kyoñ Khān, aaj kahaañ chalogé?*”, no więc, bracie, dokąd dzisiaj?

Sadowimy się w trójkę z tyłu. Zafar przegląda papiery, Nisha patrzy na mijane ulice, a ja tkwię wciśnięty między nich, czując na biodrze ciepło jej uda. W moich szortach Kakadu zaczynają się dziać pewne rzeczy, dlatego czuję wielką ulgę, gdy Bhoora z przedniego siodełka odwraca się lekko i wciąga Zafara w rozmowę.

- I jak, bracie Zafar, nastąpi jakiś przełom w sprawie?

- Któż to może wiedzieć? - odpowiada Zafar, przerzucając kartki. - Pewnego dnia coś się musi wreszcie zdarzyć. Dlaczego nie dzisiaj?

- Doskonała filozofia - mówi Bhoora. - Ja bym już dawno dał za wygraną.

- To nie w stylu Zafara - odzywa się Nisha, stając w jego obronie.

- Osiemnaście lat, tyle ma mój najstarszy - ciągnie Bhoora. - Chłopak właśnie się ożenił, jego żona lubi drób, codziennie Selim przynosi kurczaka, który nie ma ani jednego różowego piórka. - Wykonuje nagły skręt, by ominąć szarżującą świnię *bhutt-bhutt*. - Jak ten chłopak może sobie pozwolić na kurczęta, zwłaszcza te nieróżowe?

Oczy, powinienem wyjaśnić, że w khaufpurskich ośrodkach handlu na różowo znakuje się ptaki z poprzedniego dnia, które są tańsze, ponieważ przebywały w klatkach o dzień dłużej, co niekorzystnie wpływa na ich smak.

- Bhoore *miyañ* - wtrąca Nisha - nie możesz obwiniać dziewczyny o to, że przywykła do dobrych rzeczy. To ty znalazłeś mu żonę o kosztownych upodobaniach. - Przechyla się

nade mną i posyła Zafarowi uśmiech, od którego przewraca mi się żołądek.

- A co teraz porabia twój syn? - pyta Zafar ze stłumionym śmiechem.

- Zafarze *bhai*, on chce zostać inżynierem, ale mu powiedziałem: „Zapomnij o tych swoich szalonych pomysłach, naucz się prowadzić auto, to wcale nie takie złe życie”.

- Jeżdżenie autem to uczciwa praca - przyznaje Zafar - ale żona inżyniera mogłaby jeść kurczaka dwa razy dziennie.

Słyszę, jak pracuje mózg tego gnojka, rozmyśla, w jaki sposób pomóc synowi Bhoory w znalezieniu pieniędzy na naukę. Nic dziwnego, że ludzie go uwielbiają.

- Teraz przynajmniej wiem, jakiej udzielić mu rady - mówi Bhoora. - Zafar *bhai* powiada: „Przekaż swojej żonie, że pewnego dnia niewątpliwie będzie jadła kurczętą, musi tylko poczekać jakieś osiemnaście lat”.

Rozprawa ma się zacząć w sali numer dwa gmachu Naya Adalat o dziesiątej. Kwadrans przed dziesiątą jesteśmy na miejscu, a o wpół do jedenastej nadal czekamy. Jesteśmy tylko my, Nisha, Zafar i ja. Ani śladu sędziego czy adwokatów. Pozwani to z kolei zupełnie inna bajka, spóźniają się już osiemnaście lat, więc co znaczy kilka minut więcej?

- Mój tata tak mocno wierzy w prawo - mówi Nisha. - Powinien to zobaczyć.

Odrzuca włosy do tyłu ruchem, który dziewczyny podpatrzyły na filmach i który ma pokazywać, że są poirytowane, a potem zerka ukradkiem na Zafara. Aż się wzdrygam, kiedy widzę, jak szuka u niego aprobaty. Zafar jednak kiwa tylko głową i ponownie spogląda na tarczę ściennego zegara. Pociągam go za nogawkę, by zwrócić na siebie jego uwagę.

- Dlaczego nie nosisz zegarka na ręce?

- Żeby przykuć się kajdankami do czasu? - Uśmiecha się szeroko. Na pewno myśli, że poproszę o wyjaśnienia, dlatego nie pytam o nic.

Nisha opiera się o Zafara i zamyka oczy. Ten putain gładzi jej włosy.

- W tym samym sądzie - odzywam się pospiesznie, by prysnął pieprzony czar - byłem tajemniczym oskarżonym.

Chcę wiedzieć jak, gdzie, dlaczego i tak dalej, więc naśladowuję głosy:

- *Rozprawa przeciw chłopcu znanemu jako Zwierzak z paragrafu chaar sau bees.*

- *Gdzie jest oskarżony?*

- *Tutaj, Wysoki Sądzie.*

- *Gdzie? Nie widzę go.*

- *O tu, Wysoki Sądzie, na ławie.*

- *Proszę sobie nie żartować. Nikogo nie widzę na ławie oskarżonych.*

- *Wysoki Sądzie, chodzi o osobę specyficznego postury.*

Zafar chichocze. Nisha klepie mnie po ramieniu.

- Co za głuptas.

- Nie taki znowu głuptas - mówi Zafar. - Pusta ława oskarżonych to także nasz problem.

Za dziesięć jedenasta pojawia się w końcu sędzia, a razem z nim miejscowi prawnicy w czarnych garniturach.

- Nowy sędzia - wzdycha Nisha. - Miałam cztery lata, kiedy zaczął się ten proces, i w tym czasie zmieniło się trzynastu sędziów.

- Niektórzy mają szczęście.

Wspiąłem się na oparcia krzesła, bo tylko w ten sposób mogę zobaczyć nowego przedstawiciela Wysokiego Trybunału, a prócz tego moja głowa znajduje się blisko Nishy, która się odwraca do mnie i uśmiecha. Natychmiast wyrzucam z pamięci wszelkie złe myśli o niej i Zafarze.

Sędzia spowity w czarną togę ma poważną minę, a przed nim prawnicy dyskutują gorąco.

- Chciałabym tylko... - Nisha znowu odwraca się do mnie i czuję słodycz jej oddechu.

- Tak?

Umilkła nagle, ponieważ odzywa się znajomy głos. Przemawia Zafar. Przedstawia się jako osoba interweniująca w tej sprawie. Jego okulary połyskują, broda sterczy. Oznajmia, że chciałby złożyć pozew, na co dwaj adwokaci zaczynają chichotać.

- Wysoki Sądzie - zaczyna Zafar - w tej sprawie oskarżeni dzielą się na dwie kategorie. Pierwsza to miejscowi, zatrudnieni przez Kampani, ich obrońcy stoją tu przed wami. Druga to Amrykanie, czyli Kampani jako fabryka oraz jej wielcy szefowie, którzy podejmowali kluczowe decyzje. Od osiemnastu lat ci amrykańscy pozwani nie zjawili się w sądzie. Nawet nie pofatygowali się wysłać adwokatów. Siedzą sobie w Amrice, przekonani, że ten sąd nie ma nad nimi władzy, ale i tak niczego nie da się uzyskać bez ich obecności, dlatego sprawa tak długo się ciągnie. Sprawiedliwość dla mieszkańców tego miasta odwleka się i ginie w oddali.

- Odrobiłem zadanie domowe, panie Zafar - stwierdza sędzia oschle. - Do czego pan zmierza?

- Do tego, Wysoki Sądzie, że od tamtej nocy zmarły tysiące obywateli tego miasta i nie było dla nich sprawiedliwości. Pozostała opuszczona fabryka pełna chemikaliów, które

teraz, gdy rozmawiamy, zatruwają wodę kolejnych tysięcy. Czy wszyscy muszą zginąć, aby ci Amrikanie stawili się przed sądem? Mówiąc otwarcie i z całym szacunkiem, uważam, że w żadnym innym kraju prawo nie mogłoby się zmienić w taką farsę. Gdyby istniała wola rozwiązania tego problemu, można to było zrobić już dawno.

Adwokaci parszczą cichym śmiechem, sędzia stuka ołówkiem w biurko z wyrazem irytacji na twarzy.

- Przyszedł pan tutaj po to, by nas pouczać? - pyta. - Czy może ma pan coś istotnego do powiedzenia?

- Wysoki Sądzie - mówi Zafar. - Kampani ignoruje tę sprawę, lecz ma w Indiach wiele filii i przedstawicielstw. Naszą prośbą jest, by Wysoki Sąd wystosował wezwanie do Kampani i imiennie do jej szefów w Amrice z żądaniem stawienia się na rozprawę w tym sądzie. Jeżeli mimo to nie przybędą, niech zgodnie z regułą prawa zostaną zajęte wszystkie nieruchomości Kampani w Indiach.

Po tych słowach dwaj adwokaci znowu zaczynają chichotać.

- Wysoki Sądzie - odzywa się jeden z nich - straciliśmy już rachubę, ile razy w minionych latach pan Zafar przedstawiał ten wniosek uczonemu poprzednikowi Wysokiego Sądu, a przedtem jeszcze jego poprzednikowi oraz poprzednikowi poprzednika i tak dalej, aż do niepamiętnych czasów. Zawsze uznawano ten wniosek za pozbawiony merytorycznej wartości.

Święta pindziu, co to za pokręcony *nain rabougri* z naszego miasta, żeby stawać po stronie Kampani? Wpatruję się w tego sukinsyna z taką nienawiścią, że z pewnością wyczuwa moje *raal tapko* na karku.

Sędzia robi jeszcze bardziej ponurą minę, stukając ołówkiem tak mocno, że omal nie wybija dziury w blacie. Prawnik, który przed chwilą przemawiał, ma zadowoloną minę. Teraz Zafar dostanie za swoje, prawdziwy pieprzony *coup de bec*.

Wysoki Sąd pyta:

- Czy występuje pan jako przedstawiciel Kampani, panie Babulal?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Panie Babulal, czy zna pan eseje Francisca Bacona?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- „Osobiste zdanie jest swobodniejsze, lecz zdanie wypowiedziane przy innych odznacza się większą rewerencją”. Niech pan spróbuje to zapamiętać, panie Babulal. - Sędzia chrząka głośno. - Panie Zafar, proszę dostarczyć do gmachu sądu rzetelnie sporządzoną listę nieruchomości Kampani w Indiach. Zarządzam odroczenie rozprawy, tymczasem wstrzymam

się z orzeczeniem.

Nikt nie może uwierzyć w to, co właśnie usłyszeliśmy. Sędzia odchyła się na krześle, jakby się rozkoszował wywołaną sensacją, a potem spogląda na Babulala i dodaje nieco złośliwie:

- Z największą chęcią pożyczę panu mojego Bacona.

Po tych słowach ogarnia nas wielka radość. Na stopniach przed gmachem sądu Zafar wygłasza przemówienie:

- Przyjaciele, firma Kampani siedzi w Amrice i wszystko działa na jej korzyść - pieniądze, bogaci znajomi w rządzie i wojsku, kosztowni prawnicy, polityczni wizażyści, spece od public relations. My nie mamy nic, wielu z nas nie posiada nawet jednej całej koszuli. Chodzimy głodni, nie mamy pieniędzy na adwokatów i piarowców, nie mamy wpływowych znajomych.

- W ogóle, kurwa, gówno mamy! - krzyczy ktoś.

- Dziękuję! - woła Zafar z szerokim uśmiechem, nie karcąc tym razem śmiałka za przekleństwo. - Tak, nie mamy zupełnie nic i to czyni nas silnymi. Nie tylko silnymi, ale też niezwyciężonymi. Ponieważ nic nie posiadamy, nie można nas pokonać.

Wywołuje to pewną konsternację, lecz Zafar przechodzi nad nią do porządku.

- Ludzie Kampani i ich przyjaciele starają się nas wyczerpać długą walką, ale oni nas nie rozumieją, nigdy nie zetknęli się z kimś takim jak my. Wszystko jedno, jak długo to potrwa, my się nigdy nie poddamy. Cokolwiek mieliśmy, już nam odebrano i zostaliśmy z niczym, a niczego nie posiadając, nie mamy nic do stracenia. Widzicie więc, zbrojni w potęgę nieposiadania niczego jesteśmy niezwyciężeni, musimy wygrać.

Nie słyszałem tego wcześniej, przypuszczam, że to nowa teoria Zafara, ale wystarczy dziesięć dni, by znalazła się na ustach wszystkich. Jaki zadowolony, gnojek jeden. Przeciera okulary, zakłada je z powrotem, oznajmia:

- Przyjaciele, dzisiaj wydarzyło się coś nowego, być może to drobna rzecz, należy ją jednak uczcić. Urządzimy sobie piknik. Pojedziemy całą gromadą gdzieś za miasto, tam, gdzie są drzewa i woda, zabierzemy z sobą chleb, kurczęta i słodycze, zaparzemy herbatę nad ogniskiem.

Po drodze do domu każe Bhoorze zatrzymać się przy centrum handlu drobiem i kupuje dwa największe, najbardziej jędrne ptaki bez jednej różowej plamki na skrzydłach.

- Bhoore *miyañ*, jeden jest dla twojej synowej, drugi dla twojej żony.

Spełnane kurczaki lądują z trzepotem za naszymi plecami.

- Pomyśleć tylko - dziwi się Bhoora, gdy już podziękował Zafarowi. - Po osiemnastu

długich latach właśnie dzisiejszy dzień stał się ważny.

- Jeszcześmy nie zwyciężyli - zastrzega Zafar. - Ale kiedyś musimy zacząć zwyciężać.

Dlaczego nie dzisiaj?

- Dlaczego nie dzisiaj?! Dlaczego nie dzisiaj?! - zaczynamy skandować, Nisha i ja.

Po chwili wtórują nam Bhoora i Zafar.

- Dlaczego nie dzisiaj?! Dlaczego nie dzisiaj?!

Do ludzi na ulicach, w turbanach i dhoti, shalwarach i sari, wszystkich obywateli Khaufpuru wykrzykujemy:

- Hej! Hej! Dlaczego nie dzisiaj?!

Wkrótce potem wpadam w wir szaleństwa. Kiedy wariuję, głosy w mojej głowie zaczynają się wydierać, nowe głosy wygadują najrozmaitsze przedziwne i niesamowite rzeczy, słowa pozbawione sensu, takie jak: „Daj nam *garooli*”, co oznacza papierosa, choć przecież nie palę, albo „arelok pesalok świeci z twej cudnej dupy” - nie wiem, czy to może być jakiś obcy język. O niektórych głosach już wspomniałem. Zaczęły się odzywać, kiedy byłem jeszcze mały, tuż po tej gorączce, która zgięła mój grzbiet. Wówczas większość z nich brzmiała przyjaźnie, opowiadały mi różne historie, udzielały rad chroniących mnie przed scysjami, ale potrafią też być wredne. Każą mi robić rzeczy złe albo mówią, że coś niedobrego się wydarzy, co często następuje. Podczas tych ataków jestem pogodny, pełen złośliwej radości, mogę postępować po wariacku, wykrzykiwać, co mi głosy podpowiedzą.

W tym przypadku głosy kłócą się i wrzeszczą, robią tyle hałasu, że nie słyszę, co się wokół mnie dzieje. A dzieje się ze mną tak źle, że mówię o tym Ma. No, a ona zabiera mnie do dużego szpitala, gdzie, jak wszyscy twierdzą z całą powagą, przychodzisz z jedną chorobą, a wychodzisz z trzema. Ma wkracza do budynku wraz ze mną, drepczącym na czworakach niczym pies przy jej boku, i domaga się spotkania z głównym lekarzem. „*Mon fils est malade, il entend des voix dans sa tête*”. Nikt nie rozumie ani słowa z tego prócz mnie, a ja myślę sobie: miło z jej strony, że nazwała mnie synem. Ma wszczyna wielki, niezrozumiały zamęt, ale ponieważ jest cudzoziemką, nie wyrzucają nas, tylko prowadzą do naczelnego doktora, bardzo ważnego profesora, najwybitniejszego w Khaufpurze specjalisty od dzieci z wadami wrodzonymi, spowodowanymi skażeniem.

Ten *saala*, stary i gruby, musi dużo pisać. Ma cały rząd długopisów wpiętych w kieszeń koszuli. Jego głowę wypełnia wiedza o szalonych, obłąkanych dzieciakach z Khaufpuru, nigdy jednak nie zetknął się jeszcze z kimś takim jak Ma, która jazgocze w swoim języku i pokazuje na mnie. Lekarz posyła mi przelotne spojrzenie, po czym zwraca się do Ma

z szorstkim pytaniem:

- No więc o co chodzi?

- Cóż to znowu za *niaiserie*? - burczy Ma, myśląc niewątpliwie, że taki ważny pan doktor powinien uczynić jakiś wysiłek, by mówić po ludzku.

- Chce wiedzieć, co mi dolega.

- *J'ai déjà dit!* - utyskuje Ma. - *Il entend des voix. Il parle avec des gens qui n'existent pas.*

Oczy, jeśli nie znasz français, oznacza to: „Przecież już powiedziałam! On słyszy głosy. Rozmawia z nieistniejącymi osobami”.

- Co ona mówi? - pyta lekarz. - Powiedz jej, że jestem dyrektorem tego szpitala i nie można ot, tak wchodzić do mojego gabinetu.

- Ona mówi, że przyszła tutaj, ponieważ słyszała, że jest pan wybitnym medykiem, najlepszym w całym Khaufpurze.

Od razu sukinsyn rozplywa się w uśmiechach.

- Szanowna pani, czynię, co w mojej mocy. - Kieruje w jej stronę pełen samozadowolenia uśmieszek, całkowicie mnie ignorując. - Zasadniczo należy umawiać się wcześniej na wizytę, lecz jesteśmy dość elastyczni. A zatem, co mogę dla pani zrobić?

- Rozumiesz coś z tego bełkotu? - pyta Ma, która przyzwyczała się już, że potrafię przetłumaczyć *bêtises* khaufpurczyków.

- Ofiaruję ci swoje usługi, Ma. Spójrz, jakie robi słodkie oczy, może zakochał się w tobie.

- Bezwstydnny chłopcze, *tu t'en moques, soit sérieux*. Mieszkańcy tego miasta potrzebują opieki, a co dostają? *Baragouin*.

- Co mówi ta szlachetna dama? - chce wiedzieć doktor. Pogrążonemu w szaleństwie - pamiętaj o tym, Oczy - przychodzi mi do głowy, że mogę go poprosić o wszystko, a pewnej rzeczy pragnę najbardziej na świecie. Mimo to boję się o niej wspomnieć. Nadzieja jest aktem desperacji, nie należy jej podsycać, jeśli potrafisz się zadowolić drobnym szczęściem. Ale przekleństwo ludzi, podobnie jak tego tu zwierzęcia, polega na tym, że choćby się nie wiem, ile miało, zawsze chce się mieć więcej. Od kiedy zdałem sobie sprawę z moich uczuć do Nishy, narasta we mnie jedno pragnienie, dzień po dniu, gdy siedzę obok niej i wdycham zapach jej włosów i skóry, staje się coraz gorętsze, myślę, że jeśli czegoś nie zrobię, umrę, to pożądanie mnie pochłonie, a teraz nadeszła chwila, kiedy mogę przynajmniej wyrazić, czego chcę. Nie wolno mi jej przegapić.

„Rozczarujesz się”, szepcze jeden głos. „Zapytaj!” - krzyczy inny. Teraz albo nigdy.

Zbieram się na odwagę i mówię, co mi leży na sercu:

- Proszę pana, ona sobie życzy, by przeprowadził pan operację, po której będę mógł się wyprostować i chodzić na dwóch nogach.

Przycupnięty na czworakach, spoglądam w górę na tego ważnego lekarza i oczekuję jego odpowiedzi z tak wielką niecierpliwością, że moje oczy odrywają się od jego oczu, ześlizgują wzdłuż jego nosa i zatrzymują na ustach - gotów jestem go wysłuchać. Wargi zaciskają się i poruszają, jakby coś żuły - doktor się zastanawia. Taki wybitny lekarz, słusznie go zapytałem, sławny profesor.

- Proszę pani - zwraca się do Ma - będę z panią szczerzy. Czas, kiedy można było coś zrobić dla tego chłopca, już dawno minął. Musi się pogodzić ze swoją sytuacją. Nie ma absolutnie żadnej nadziei, by kiedyś zdołał stać i chodzić prosto.

Ma zadaje jakieś pytanie, ale nie słyszę jakie i nie potrafię odpowiedzieć. W mojej głowie coś zrywa się z ptasim krzykiem: iii-czip-czip-czip, odgłosy świata cichną i zmieniają się w niewyraźne brzęczenie. Wpatruję się w półkę w profesorskim pokoju. Stoi na niej słoź, duży, okrągły szklany słoź napelniony cieczą, która połyskuje jak prześwietlona promieniami słońca.

„A co, myślałeś, że to takie proste?” - odzywa się chrapliwy głos w moim uchu. „Swoją drogą przestań się gapić, bo dostaję dreszczy”.

Z wnętrza słoja przeszywa mnie gniewnym spojrzeniem pokrzywiony człowieczek. Szkaradny potworek wyciąga ręce i robi złośliwą minę, jakby właśnie świsnął mi coś z kieszeni i jeszcze zamierzał nasikać mi na buty. Na ten widok zapominam o własnych kłopotach i wybucham śmiechem. Jest w tym stworzeniu coś niesamowitego, wygląda, jakby ktoś wzywał z za jego ramienia. Z boku szyi wyrasta mu druga głowa.

Doktor zauważa, na co patrzę, i odwraca się znowu do Ma, jakbym nie istniał. Jego wargi się poruszają, raczej widzę, niż słyszę, jego słowa:

- Niech pani będzie zadowolona, że temu chłopcu nie stało się nic gorszego. Mógłby trafić do tego słoja. Połowa kobiet, które spodziewały się dzieci tamtej nocy, poroniła, a co do reszty, no cóż, powiedzmy, że ujrzano w tym mieście rzeczy, których nie widziano nigdy przedtem.

Słoź zaczyna bulgotać i lśnić, a kiedy Ma się odzywa, brzmi to tak, jakby stała przy wodospadzie w ogromnej jaskini. Tym razem nawet nie wychwytyuję słów.

- Hej, ty, stoisz tam jak pieprzony Sudda Miyā ki tond. Na co się, kurwa, gapisz? - Stworzenie wykrzywia się z za szkła.

- Na ciebie, koleś - odpowiadam, wciąż się śmiejąc. - Wdepnąłeś w niezłe gównno.

- Odpieprz się - on na to - jeśli nie możesz przestać się gapić. Wiesz, jak dla mnie wyglądasz? Przyciskasz nos do szkła niczym ślimak nogę, wybałuszasz wielkie okrągłe oczy, zostawiasz nawet ślady śluzu, nie wytarłszy pyska. Skurwiele twojego pokroju nie mają ani krzty wyczucia.

- Ejże, na mnie też się gapią.

- Więc wiesz, jak to jest - mówi. - Zamknij się i słuchaj. Długo czekałem na kogoś takiego jak ty. Potrzebuję twojej pomocy. Musisz mnie stąd wydostać.

- Czyli skąd? - pytam. - Z tego gabinetu, z tego szpitala?

- Z tego słoja, głupku. Nie chciałbyś w nim tkwić, uwierz mi. To zupełnie, jakby zostać uwięzionym wewnątrz jajka.

- W kurzym zadku? - Obraz wydaje mi się przezabawny, pękam ze śmiechu.

- Masz skrzywione plecy - powiada z wielką goryczą - ale przynajmniej żyjesz. A ja wciąż, kurwa mać, czekam, żeby się urodzić.

- Przepraszam, wybacz - mówię. - Jesteś w gorszej sytuacji niż ja.

- Czuję, że tonę - wyznaje potworek. - Zapadam się w miejsce, gdzie jest zupełnie ciemno, otwierasz usta, ale nie ma tam powietrza, tylko czarny odór wypełniający gardło, oczy i nos. W dodatku jeszcze piecze ten pieprzony płyn, w którym mnie zanurzyli. Piździelce chcą mnie badać, ale szukają nie tego, co trzeba. Widzisz tę drugą głowę, Zwierzaku *miyañ*? To jest ta mądra, z pomysłami. Wymyśla rzeczy, które mogłyby cały świat wprowadzić w ruch. Ta z przodu jest tępą, łyka płyn jak ryba i słucha pierdół, które opowiadają lekarze. Numer dwa wie, co jest grane. Aż pęka od tajemnic, na których oni bardzo by chcieli położyć łapy, sekretów dotyczących roślin, minerałów, przemiany ołowiu w złoto, syren, słońca, księżycy, śmiechu, nieśmiertelności. Wszelkie kategorie spraw mieszczą się w tej drugiej głowie i informacje te nigdy nie mogą wpaść w ich ręce. Musisz mnie uwolnić.

Właśnie mam go zapytać, jak to zrobić, kiedy szum cichnie i głos Ma zaczyna brzęczeć mi w uszach. Zostaję wrzucony z powrotem w to życie, widzę jej pytające spojrzenie, więc wyjaśniam, że nie rozumiem nic z tego, co wielki pan doktor mówi, bo opowiada dyrdymały, takie osoby zawsze to robią.

- *Il raconte les conneries, comme toujours.*

Ma wydaje prychnięcie.

- Jak zwykle.

No tak, wróciłem już całkowicie.

- Co ona powiedziała? - dopytuje się lekarz.

- Wychwała pańską mądrość, doktorze sahib, i pyta, co to jest za stworzenie w słoju?

- Dziecię skażenia - odpowiada mułła medycyny. - Nazywamy je parapagus.

- O czym on teraz gada? - chce wiedzieć Ma.

- Że masz głos niczym słowik.

- Och, żarty sobie stroisz - mówi kokieteryjnym tonem.

Nie mogę oderwać oczu od tego małego gnojka w słoju, mógłbym przysiąc, że do mnie mruga.

- Ona myśli, że słyszę głosy - informuję go.

- No i dobrze, kurwa - on na to - od czego masz uszy?

W ten właśnie sposób poznałem mojego kumpla Khã-w-Słoju. Tak go nazywam, ponieważ w Khaufpurze mówi się na przyjaciela Khã, co oznacza kolegę, jak *yaar*, oraz dlatego że siedzi on w słoju.

Taśma piąta

To ważne wydarzenie w Amrice. Wiesz, co zrobiłem, kiedy je zobaczyłem w tele? Zacząłem klaskać! Pomyślałem sobie: fantastyczne! Samolot nadlatuje znikąd, wbija się - łubudu - w ten wieżowiec. Pach! Bum! Kwiaty płomieni!

Jest noc, na zewnątrz deszcz skapuje złocistymi kroplami z dachu domu Chunarama, powlekając Rajski Zaulek warstwą kleju. Siedzimy w środku, popijając herbatę, a ja wykrzykuje:

- Ale zajebicie! Bollywoodzkie efekty specjalne, nie ma co!

Zafar spogląda na mnie i mówi:

- Zwierzaku, ty pieprzony idioto, to nie jest film. To się dzieje naprawdę. Zdarzył się straszny wypadek.

Musi być naprawdę wytracony z równowagi, on, który nigdy nie przeklina.

- To nie był wypadek - wtrąca ktoś. - Samolot nawet nie próbował uniknąć zderzenia.

Tele szaleje, odtwarzając katastrofę raz po raz. Komentatorzy krzyczą. Nikt nie wie, co się dzieje. Dziewięciopalcego Chunarama, naszego gospodarza, złotoustego ekstrudowanego, kebabowego geniusza, nic nie obchodzi ta cała wrzawa. Skurczysyn jest w niebie. Z całego Orzechokrusza zbiegają się ludzie, brnąc w błocie, zwabieni zamieszaniem. W blaszanej budzie tłoczą się gapie i przynajmniej niektórzy z nich kupią herbatę oraz przekąski. Zachwycą go, że tele zarabia na swoje utrzymanie. Trzeba dawać łapówki za przeprowadzenie kabla do podkradania elektryczności municypałom. Opłaca się inwestować.

- Mój Boże, jakie to straszne! Jakie okropne! - powtarzają głosy wokół mnie, gdy połyskujący niebieski kształt w rogu po raz kolejny wybucha płomieniem.

Dwie kobiety, Ashraaf i Bano, płaczą. Dostrzegam lśnienie łez. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. To oszukańcze sztuczki, urywek filmu, zwiastun jakiegoś kinowego przeboju z gwiazdorską obsadą. Musi tak być.

- W Amrice bomby, eksplozje, walące się budynki i tak dalej to normalne. Mówię ci, *yaar*, obejrzyj „Podziemny krąg”. - To Farouq, ekspert filmowy.

- Co masz na myśli? - pytam. - Normalne, że to jest film, czy normalne, że to nie jest

film?

- Ty, dupku, kto cię prosił o głos? - odgryza się Farouq.

Tak wyglądają sprawy między nami. Dupek? Zerkam na Zafara, lecz on nie odrywa się od ekranu.

Nawet gdy drugi, trzeci, czwarty, piąty i szósty samolot uderzają w budynki, które walą się w gruzy, Zafar twierdzi, że to nie film. Na pewno się myli. Takie rzeczy nie dzieją się w prawdziwym życiu. W każdym razie nie w Amrice. Tutaj, w Khaufpurze, to co innego. W Khaufpurze mieliśmy tamtą noc. Nic podobnego nie wydarzyło się nigdzie indziej.

- Jak to się może dzieć teraz? - pytam. - Wyrzycie na zewnątrz, jest ciemno, pada deszcz, a te budynki toną w słońcu.

- *Wah*, ty idioto! - krzyczy Farouq. - Nie wiesz, że jest różnica czasu między Khaufpurem a Amriką? Kiedy tu jest noc, tam jest dzień.

- Powiadam ci, to film. Zaraz się skończy. Pojawią się słowa „THE END”. - Ale zaczynam czuć się głupio, czego nienawidzę. - Powiecie mi, co było dalej - dodaję. - Muszę dać Ma jakąś kolację.

Zsuwam się ze stołka na podłogę.

- Idziemy - mówię do Jary.

Wstaje i rusza za mną.

- *C'etait un film* - przekonuję Ma Franci, gdy wracamy do domu. - *C'est normal*.

Na to Ma:

- *Pauvre Jaarwar à quatre pattes, pour toi c'est quoi le normal?* Nieszczęsny czworonożny Zwierzaku, co jest dla ciebie normalne?

- Widzę gwiazdę spadającą z nieba, otwiera się otchłań, dym wydobywa się z niej niczym z wielkiego paleniska, ginie słońce i światło dnia - przemawia Ma Franci. - *C'est quoi le normal?*

To jest dopiero odpowiednia osoba, do kurwy nędzy, żeby mi zadawać takie pytanie. Odkąd jej powiedziałem, cośmy zobaczyli, bredzi jak kompletna wariatka. Gdy ja próbuję opisać płomienie, dym, padające wieże, ona wtrąca się ze swoimi *étoiles* i *abîmes*, gwiazdami i otchłaniami.

- To był film.

- Nie, Zwierzaku, to był on! - krzyczy Ma, nie wiem, czy w panicznym strachu, czy w podnieceniu. - To jego dzieło, znowu świetnie prosperuje, tym razem nie uda się go powstrzymać.

- Skąd ta pewność, że to się dzieje naprawdę?

- Zaczął swoją robotę tutaj, w Khaufpurze, a teraz inni kosztują tego samego.

Ma nieustannie bełkocze o nim, co on uczynił i co jeszcze uczyni. Że jest pełen gniewu i zamierza skierować całą swą wściekłość przeciw światu, wszyscy się doczekamy.

- Pora na kolację - oznajmiam, wkładając rękę do otworu w murze, gdzie leży duża czerwona cebula, którą zachowałem specjalnie na wieczorny posiłek.

- Uwważaj! - wykrzykuje Ma. I dodaje z przebiegłym wyrazem oczu: - *Animal, dis à nos amis, soyez prêt, il vous appellera à tout moment.* - Co oznacza: „Powiedz naszym przyjaciołom, by byli gotowi, bo on wezwie ich lada chwila”.

Mówiąc o naszych przyjaciołach, ma na myśli skorpiony, które mieszkają w ścianie. Gdy przyciśniesz ucho do kamieni, usłyszysz drapania, szelesty, pukanie maleńkich pazurków.

- Co one mają z tym wspólnego? - pytam, zdejmując jednego z cebuli.

Wygląda na to, że Ma wiąże ze skorpionami wielkie nadzieje.

- Zwierzaku, gdy nadejdzie czas, te stworzonka mieszkające w ścianach naszego domu wypelzną na zewnątrz i urosną do olbrzymich rozmiarów. Staną się wielkie jak konie. Wyrosną im sztywne czerwone skrzydła niczym u szarańczy, szeleszczące przy każdym ruchu. Zyskają też ludzkie twarze i włosy długie jak u kobiet, lecz ich zęby, lwim kłom podobne, zgrzytać będą w najokropniejszy sposób.

- Co nastąpi dalej. Ma? - Lekko zgmiotłem cebulę kamieniem i zagrzebałem ją w gorącym popiele paleniska.

- Będą nosiły złote korony, a gdy zatrzepoczą skrzydłami, zabrzmie to tak, jakby zastępy rydwanów wyruszały do boju.

- A potem?

- No cóż, mój mały Zwierzaku, nadal będą miały ogony, tylko o wiele dłuższe, przynajmniej na trzy metry, z żądłem ogromnym jak róg byka. A co zrobią? Otóż ruszą kłuc ludzi, którzy wyrządzili zło innym.

- Ludzi takich jak Fatlu inspektor i jak najważniejszy minister? Zostało trochę ciasta, zrobię *chapaati*.

- Będą ich kłuły żądlami, a ludzie ci zapragną umrzeć, lecz nie zdołają, ponieważ jad ich nie zabije. Sprawie, że będą cierpieli męki przez pięć miesięcy.

- Dlaczego akurat pięć miesięcy? - Myślę, że dla Fatlu inspektora to stanowczo za mało. - Czemu nie sześć? Czemu nie osiemnaście lat?

- Tak widział to Świjan - odpowiada ona z otchłani szaleństwa.

Niegdyś oczy Ma były jasnoniebieskie, teraz zasnuwa je postępująca katarakta, kiedy jednak Ma mówi o Świjanie, nabierają takiego wyrazu, jakby mleczne obłoki miały się rozstąpić, przepuszczając promienie światła. Wydobywa czarną książeczkę, w której Świjan opisuje koniec świata, i podsuwa ją sobie pod sam nos.

- *Jusques à quand, Maître saint et vrai, tarderas-tu à faire justice? à tirer vengeance de notre sang?*

Oczy, na wypadek gdybyś nie rozumiał języka Ma, to są słowa Świjana skierowane do niego. Mówi: „Kurważeż mać, jak długo jeszcze każesz nam czekać na sprawiedliwość?”. Jeżeli nadal nie wiesz, kim on jest, no cóż, to Bóg. Świjan uważa, że ten przepelnięty nikczemnością świat zostanie unicestwiony na różne przerażające sposoby, co nazywa się Apokaliza.

Rojenia Świjana dziwnie wpływają na Ma, budzą w niej jednocześnie lęk i radość. Zaczyna:

- Nie widzisz, mój nieszczęsny mały Zwierzaku, że Apokaliza już się rozpoczęła? Tamtej nocy w Khaufpurze.

- Świjan się omylił. Pieprzony świat wcale się nie skończył. Cierpi nadal.

Cebula wyciągnięta z żaru wygląda jak kula popiołów, ale pod tą skorupą jest soczysta i słodka, smacznie pachnie. Ma nie zwraca uwagi na jedzenie, tak jest pochłonięta tematem.

- Słuchaj mnie, niesprawiedliwość zwycięży i tysiące szczenią w straszliwy sposób. No a co wydarzyło się tamtej nocy? *Nous sommes le peuple de l'Apokalis*. - Jesteśmy ludźmi Apokalizy.

- Staruszko - mówię, podsuwając jej porcję *roti*. - Posłuchaj sama siebie. Pytasz, co jest dla mnie normalne. Ja świruję tylko od czasu do czasu, ty za to jesteś świruską pełnoetatową.

Ma narzeka na bezczelność dzisiejszej młodzieży.

- Wspomnisz moje słowa - oznajmia. - To znów się zaczęło i teraz się nie zatrzyma. Okrąży cały świat. Teraz jest w Amrice, ale wróci do Khaufpuru. Groza wróci do tego miasta. Tutaj się zaczęło i tu nastąpi koniec.

W przygaszonym płomieniu oliwnej lampki twarz Ma przypomina oblicze wiedźmy. Z kącika jej ust spływa cebulowy sok. Staruszka nie ma zębów, wygarnia miękkie srodki warzywa kawałkiem *roti* i wsuwa do ust. To tyle co nic, szczypta soli i odrobina chili rozgrzałyby przynajmniej żołądek, ale ich nie mamy.

Później, po zgaszeniu lampy Ma odzywa się do mnie w ciemności:

- Zwierzaku, posłuchaj, czy ty to słyszysz?

- Czy co słyszę?

- Skrzydła bestii, które szeleszczą jak metalowe żaluzje opuszczane w witrynie sklepu Rama Nekchalana.

Po chwili jej chrapanie oznacza, że usnęła. Ja zaś leżę i myślę o tym, co się wydarzyło w Amrice. Sen nie przychodzi, deszcz przestał padać, przez dziury w dachu przeświecają gwiazdy. W porze monsunów zatykam te dziury plastikiem, słomą, czymkolwiek, ale musiał to wszystko zdmuchnąć wiatr. W głęboką otchłań spada gwiazda, a we mnie wzbiera głęboki lęk. Jakże to straszne! Kto by pomyślał, że coś podobnego może się zdarzyć. Żeby umrzeć z przerażenia, oby mnie nigdy nie spotkała taka śmierć. No a potem jakbym słyszał tuż przy uchu cichy śpiew:

*O drogie dziecko, ciepło cię owinę,
twój mały nosek i różane usteczka okryję,
choć serce mi się kraje, muszę cię zostawić
i nie spotkamy się, dopóki ten świat się nie zawali.*

Po chwili noc wypełnia cisza i nie spada już ani jedna gwiazda.

Z ciemności dobiega krzyk, który sprawia, że włosy stają mi dęba. Budzę się natychmiast. Świt jeszcze nie wstał. Kolejne wycie zapowiada pociąg nadjeżdżający z Delhi. W mroku słyszę kwilenie Ma Franci. Dla niej to pohukiwanie nie oznacza ekspresu 2616 GT przetaczającego się z łoskotem przez Orzechokrusz, lecz anioła w smoliście czarnej szacie, dmącego w trąbę Sądu Ostatecznego. Oczy Ma pozostają otwarte, lecz jednocześnie śpi głęboko. Jakże często słyszałem krzyki dobiegające z jej posłania. Śni o tamtej nocy, leżąc na swojej macie. Leżała na niej tak długo, że miękka ziemia dopasowała się do jej kształtu. Wypukłości i zagłębienia tuż przy palenisku wygniotła koścista stara panna, która widzi w snach księżyc spływający krwią i świat zwijający się jak listek na jej dłoni.

Taśma szósta

Elli niczym pająk pojawiła się znikąd. Dostrzegasz ruch kątem oka - i to właśnie to. Siedzieliśmy wszyscy u Nishy, czyli w domu jej taty Somraja w Kurzym Pazurze. Wszyscy, to znaczy kto? Oczywiście Nisha, Zafar, który właściwie tam mieszkał. Farouą już opisywałem, to prawa ręka Zafara. Byli też inni bliscy znajomi, plus ja i Jara. Rozmawialiśmy na werandzie o tym, co się wydarzyło w Amrice, i Farouq wypominał mi z rozdrażnieniem, że myślałem, iż to film.

- To ty gadałeś o filmach. Uwielbiasz robić ze mnie idiotę. Nienawidzę cię prawie najbardziej na świecie. - Nie mogę wymienić imienia tego, którego nienawidzę najbardziej.

- Zwierzaku, wyciągnij głowę spod własnej dupy. Wspomniałem o filmach, bo filmy pokazują ich tamtejsze życie.

Zanosi się na kolejną naszą kłótnię, lecz wkracza między nas Zafar.

- Nie wiemy kompletnie nic o ich życiu, a oni nie wiedzą nic o naszym, na tym polega cały problem.

Jak ktoś może się stać takim pieprzonym mądrąłą? - nie mam pojęcia. Usiłuję wymyślić jakiś podstęp, dzięki któremu wywarłbym korzystne wrażenie na Nishy, a jednocześnie Farouq wywarłby złe wrażenie na Zafarze, gdy nagle na ulicy wybucha wrzawa. Dzieciaki wykrzykują: „Aiwa! Aiwa!”. W grząskim błocie Pazura zatrzymał się samochód - nie auto ani nawet taksówka, zwróć uwagę, tylko prawdziwy czterokołowy samochód z kierowcą w uniformie i tym wszystkim. Wsiada z niego jakaś cudzoziemka, staje lekko wygięta i patrzy na budynek po przeciwnej stronie. Jest z nią jakiś mężczyzna, pokazuje ów budynek i coś mówi. Ona słucha i kiwa głową. Dopiero co przyjechali, a wokół nich już zebrał się tłumek. Oprócz „Aiwa, Aiwa!” dzieciaki wydają jeszcze inne okrzyki, te same co zwykle na widok obcokrajowców: „Halo!”, „Jak się nazywacie?”, „Bakszysz!” i tym podobne.

Cudzoziemka jest wysoka, wyższa od Nishy, a dla mnie na dodatek *très baisable*, *wah*, co za seksowna laska. Odślonięty brzuch, ruchy i gesty osoby, która wie, czego chce. Jak w piosence: *zulfein hain jaise kandhon pe baadal jhuke hue*, ciemne włosy spoczywają

niczym obłok na jej ramieniu, w słońcu zapalają się w nich jasne błyski niczym złoto. Zauważam przede wszystkim to, iż jej dżinsy są tak obcisłe, że wszystko widać. Przymykam powieki i czuję się zupełnie, jakbym patrzył na gołe niebieskie nogi. Kobieta dostrzega moje uniesione oczy i uśmiecha się do mnie. Właśnie zamierzam do niej mrugnąć, gdy Farouq trąca mnie nogą.

- Patrzcie, kto tu nabrał nadziei.

- Tylko nadziei? - pyta jakiś dowcipniś.

Wszyscy śmieją się ze mnie i Farouq oznajmia donośnie:

- Oj, baba, wsadzanie w taką szparkę musi boleć.

Zafar sinieje z wściekłości.

- Zamknij tę swoją plugawą gębę!

Nikt nie zamierza stawiać się Zafarowi, wszyscy darzą go nabożnym szacunkiem połączonym z trwogą, bo poświęcił wszystko, co w życiu posiadał, nam, khaufpurczykom. Farouq bąka, że ta kobieta nic nie zrozumie, bo jest firangi, a Zafar odpowiada:

- Myślałem o Nishy.

Cudzoziemka zaczyna przekomarzać się z dziećmiakami i zaledwie otwiera usta, staje się jasne, że zna hindi. Farouq oblewa się rumieńcem, lecz ona, jeśli nawet usłyszała jego słowa, nie daje tego po sobie poznać. Gdy tylko razem z mężczyzną znikają w budynku, gromadzimy się wszyscy wokół kierowcy i zasypujemy go pytaniami: kim ona jest? co się dzieje? Ale on gównie wie, tyle że to Amrikanka. Kiedy wychodzi, wciąż szwendamy się po ulicy. Długo wpatruje się we mnie. Mam nadzieję, że nie podejrzewa mnie o wygłoszenie tej uwagi o szparce, choć nie przeczę, że moje myśli biegły tym torem.

Później wraca z posiedzenia ojciec Nishy i zawiadamia nas, że cudzoziemka kupiła ten dom.

Od zawsze znaliśmy budynek po drugiej stronie drogi. Był brudny i zaniedbany, nikt z nas nie potrafił pojąć, dlaczego zapragnęła go mieć amerykańska kobieta. Niegdyś mieścił się tam warsztat naprawy rowerów, prowadzony przez opryskliwego gnojka imieniem Ganesh. Potem przekształcił się w sklep ze słodyczami, w którym na olbrzymich patelniach smażyono *rasgulle* i *gulabjamuny*, a my kręciliśmy się w pobliżu z nadzieją na poczęstunek. Następnie wprowadził się tam stolarz produkujący krzesła oraz inne przedmioty, takie jak wałki do masażu. Później w tym miejscu otwarto pracownię krawiecką, w której kobiety z *basti* niszczyły sobie oczy nad *zari*, wyszywanymi złotymi i srebrnymi nićmi. Przypuszczam, że jedna szpulka takiej złotej nici kosztowała więcej, niż wynosił miesięczny zarobek każdej z

nich. Pracownia przeniosła się do lepszej dzielnicy, do eleganckiego pasażu handlowego, gdzie szaty mogły wisieć na zewnątrz i nadymać się na wietrze niczym kolorowe żagle, a zadki przelewające się obok wymagały dwukrotnie więcej materiału do okrycia. Potem budynek stał pusty, aż do chwili przybycia niebieskonogiej Amrikanki.

Co sprowadziło amrikańska kobietę akurat do Khaufpuru? Żaden z informatorów Zafara nie potrafił nam o niej nic powiedzieć. Przyszli robotnicy, wypatroszyli budynek, wyrzucili zbutwiałe drewniane framugi i spalili je na ulicy. Następnie zjawili się cieśle i Somraj wyszedł z domu, by posłuchać muzyki ich pił i wiertarek, stukania ich młotków. Rządził nimi stary skurczysyn w lungi, który przez cały dzień odpalał jednego beedi od drugiego.

- Laboratorium medyczne - poinformował nas chrapliwym głosem.

Zafar natychmiast nabrał podejrzeń.

- Dlaczego Amrikanka przyjeżdża do tego właśnie miasta, aby przeprowadzać jakieś eksperymenty?

- Synu, nie musisz wyciągać pochopnych wniosków - mówi Somraj. Jak ja nienawidzę, kiedy ojciec Nishy nazywa Zafara synem. - Które miejsce lepiej się nadaje do stworzenia laboratorium medycznego niż miasto pełne chorób?

Zafar kręci głową.

- Dziwi mnie, że wybrała ten właśnie moment.

Jego czoło pokrywają jeszcze głębsze zmarszczki, gdy po kilku dniach przyjeżdża furgonetka z różnymi urządzeniami, takimi samymi, jakie znajdują się w szpitalach.

- Pachnie mi to akcją Kampani - oznajmia.

- Ale masz wyczulony węch - rzucam z irytacją.

- Dobrze, to sam się zastanów. Od dnia z kurczakami dla Bhoory upłynęło zaledwie sześć tygodni, czekamy na werdykt sędziego. Powiedzmy, że będzie dla nas korzystny. Jeśli wówczas szefowie Kampani nie stawiają się na rozprawę, ich pozostałe przedsiębiorstwa mogą zostać przejęte. Tego nie zaryzykują, więc już teraz opracowują plany dalszej walki, na wypadek gdyby ich zmuszono do stanięcia przed sądem.

- Przepraszam, szefie, ale wciąż nie rozumiem.

- Myśl jak Kampani. Tysiące ludzi twierdzą, że od dwudziestu lat twoja trucizna niszczy ich zdrowie. Jak udowodnić, że się mylą? Odpowiadamy, iż sytuacja nie wygląda aż tak źle, nie choruje aż tylu ludzi, a stan tych, którzy chorują, nie jest aż tak bardzo poważny. W dodatku większość chorób spowodowana jest niedożywieniem i brakiem higieny, a nie tamtą nocą i działalnością twojej fabryki.

- Bracie Zafar - odzywa się Farouq - od tych zaimków „twój” i „twoja” robi mi się niedobrze. Niech sobie Kampani opowiada, co zechce. Kto w to uwierzy? Tutaj ludzie znają prawdę.

- Jesteś Kampani - mówi Zafar, lekceważąc przypadłości żołądkowe Farouqa. - Tysiące powtarzają z uporem, że twoja fabryka zatrula ich wodę i odebrała im zdrowie. Odpierasz zarzuty, oznajmiając, że cokolwiek dostało się do studni, nie pochodzi z fabryki, że chemikalia nie powodują tego rodzaju chorób. Do takich polemik potrzebujesz faktów i liczb. Potrzebujesz historii choroby. I ekspertyz zdrowotnych. Rozumiesz teraz? Abrakadabra-funtutallamish! I oto pojawia się znikąd Amrikanka, która zakłada tu laboratorium medyczne.

Wszyscy kiwiają głowami, lecz instynkt mi podpowiada, że Zafar się myli. Niebieskie nogi nie pasują do obrazu związanego z Kampani i nie ja jeden tak myślę.

Odzywa się Somraj:

- Mogą istnieć inne wyjaśnienia. Nic jeszcze nie wiemy o tej osobie. Może nie mieć żadnych powiązań z Kampani.

- Masz słuszność, abba. - Zafar jest uprzejmy jak zawsze, lecz tak bardzo nienawidzi nawet cienia Kampani, że dopóki nie wyjaśni się tajemnica, będzie widział tu spisek. - Masz słuszność, ale zanim odkryjemy prawdę, może się stać nieodwracalna szkoda. Zbyt wiele od tego zależy. Musimy nakreślić plan.

Pewnego ranka na ulicę wjeżdża pod górę riksha z transparentem wywieszonym z tyłu, tak dużym, że obydwie boki wystają niczym skrzydła samolotu. Na transparencie widnieje napis: „KHAUFPUR DARMOWA KLINIKA”, a poniżej mniejszymi literami: „DOKTOR ELLI BARBER”.

Nie jest to laboratorium, lecz klinika, i to nie byle jaka, dowiadujemy się wkrótce, ale wyposażona we wszelkie nowoczesne udogodnienia, których takie łajzy jak my nigdy nie widziały. W „Khaufpur Gazette” ukazuje się artykuł: „LEKARKA DAJE NOWĄ NADZIEJĘ OFIAROM SKAŻENIA”. Zgodnie z oświadczeniem gazety premier udzielił swego błogosławieństwa i orzekł, że klinika jest wielkim i wspianym aktem wielkoduszności, który spełniła ta amrikańska lekarka Elli Barber.

- Brzmi jak Ali Baba - zauważa Nisha, na co Zafar parska niezbyt radosnym śmiechem.

Klinikę ma otworzyć Zahreel Khan, minister do spraw zapobiegania skutkom skażenia. Uczestnictwo tego matkojebcy plus błogosławieństwo premiera potwierdzają najgorsze podejrzenia Zafara.

- Pochwały z tych kręgów nie dostaje się za darmo. Co tu się dzieje?

Pewnego ranka na ulicy tworzy się zator. Ciężarówka z belami bawełny utknęła pod konarem drzewa. Z przeciwka nadjeżdża wóz zaprzężony w woły, który wiezie czterech mężczyzn oraz dziwaczną zaokrągloną gablotę z polerowanego drewna, bardzo dużą, wystającą z tyłu. Wóz nie może ruszyć naprzód, motocykle i auta tłoczą się za nim na drodze, klaksony ryczą przeraźliwie niczym stado osłów.

Drzwi kliniki otwierają się z rozmachem. Wychodzi przez nie Elli Barber. Staje z dłońmi na biodrach i przygląda się zamieszaniu. Kierowca ciężarówki wysiadł z szoferki i patrzy na drzewo, auto-wallahowie wykrzykują na przemian porady i wyzwiska. No i wtem ta Elli wkracza w sam środek rozgardiaszu.

- Dobrze już, dobrze! Uspokójcie się wszyscy! Pan, jeśli można prosić, niech wskoczy tam na górę i obluźuje belę, a kierowca niech cofnie samochód o kilka metrów. - Do furmana na wozie zaprzężonym w woły mówi: - Wystarczy się cofnąć o parę metrów, żeby auta mogły się przecisnąć.

- Szanowna pani - on na to, dziwiąc się tej przemawiającej w hindi cudzoziemce. - Nie jest to raczej żaden wytworny shaar-limuzyna, tylko zwykła furmanka. - Wybucho gromkim śmiechem i mruga do mężczyzn siedzących za nim. - Nie ma wstecznego biegu.

- W takim razie - mówi ona - potrzebna będzie pomoc. No, dalej.

Chwyta woły za kółka w nozdrzach i zaczyna ciągnąć. Mężczyźni zeskakują z wozu i przykładają siłę swych ramion. Przypadkowi widzowie się śmieją, woły mają zdumione miny, przewracają oczami i podrzucają łby, a koła powoli, powoli i ze skrzypieniem zaczynają się obracać w tył. Nie podoba się to woźnicy, który przybiera niemądry wyraz twarzy.

- Jak mam teraz powozić?

Wtedy ta Elli wskakuje na wóz.

- Posuń się - mówi i chwyta postronki.

Stojąc na wozie, ześlizgując się powoli ku tyłowi, dostrzega mnie, gdy krztuszę się chichotem, i uśmiecha się do mnie szeroko. Ale ja potrafię odgadywać uczucia i domyślam się teraz jednego: mój Boże, ona jest przerażona.

- Brawo! - wołam. - Jesteś bardzo odważna!

- Nie pozwolę, żeby uszkodzili mój fortepian.

Zeskakuje z wozu i krząta się wokół mężczyzn, którzy zdejmują drewnianą skrzynię, przypominającą trumnę o dziwnym kształcie. Wstrzymany ruch zaczyna płynąć na nowo. Przemykam przez ulicę wśród ogłuszającego trąbienia klaksonów.

- Przepraszam, ale co to jest fortepian?

Z bliska nie wygląda tak efektownie. Jej oczy są osadzone tuż przy nosie, ale - uch, te

nogi! Mam literę V tuż przed twarzą. Głosy w mojej głowie wygłaszają sprośne komentarze.

- To instrument muzyczny - odpowiada Elli Barber. Widząc, że nic mi to nie mówi, dodaje: - Ma klawisze. Naciskasz je, żeby wydobyć dźwięki.

- Czarne i białe klawisze? - *Pandit Somraj* ma w domu fisharmonię z czymś takim.

- Właśnie. - Cofa się o krok i patrzy na mnie tak samo jak za pierwszym razem: - Twoje plecy. Od kiedy tak wyglądają?

- Odkąd sięgam pamięcią.

- Wiesz, co jest powodem?

- A skąd mam, kurwa, wiedzieć? - Ostre słowa same wyskakują mi z ust. Po rozmowie z tamtym wybitnym lekarzem ślubowałem sobie nigdy więcej nie wspominać o moim grzbiecie.

- Żaden specjalista ci tego nie wyjaśnił? - pyta ona, nie przejmując się moją nieuprzejmością.

- Po co? Nigdy nie stanę prosto ani nie będę chodził na dwóch nogach.

- Widzisz, gdybyśmy wiedzieli dlaczego...

Odwracam się i odchodzę na czworakach. Pieprzyć wszelkie dlaczego, takie pytania bez odpowiedzi prowadzą wyłącznie do dyskusji o naturze Boga.

Po pewnym czasie spoglądam za siebie. Mężczyźni próbują przepchnąć fortepian przez drzwi, ona jednak nie patrzy na nich, tylko na mnie. Ten wzrok... Nazywamy coś takiego ghurr-ghurr. Nagle jej oczy po drugiej stronie ulicy ogromnieją, a głos w mojej głowie oznajmia: „Ona zmieni twoje życie!”. Gdy odzyskuję przytomność, znajduję się w domu Somraja, a Nisha pochyla się nade mną.

- Co się stało, skarbie? Tak bardzo się o ciebie martwiliśmy!

Co się stało? Gdy tylko usłyszałem głos wypowiedający te słowa, zawróciłem i dałem nurka, żeby go poszukać. Wszechświat z wszystkimi swoimi gwiazdami i galaktykami jest jak główka szpilki w porównaniu z przestrzenią wewnątrz umysłu. W tę właśnie głęboką otchłań zanurkowałem, ścigając głos, który spikował w dół, popiskując jak nietoperz. Przefrunąłem przez chmury głosów. Musiały ich być miliony, lecz pamiętam tylko jeden komentarz: „Zezłościłeś się, bo patrząc na nią, myślałeś o seksie, a ona, patrząc na ciebie, myślała o kalectwie”.

- Przynieśli cię jacyś mężczyźni - mówi Nisha. - Razem z tą cudzoziemką z drugiej strony ulicy. Przeprosiła, że nie zabrała cię do swojej kliniki, lecz tam jeszcze nic nie jest gotowe. Uważa, że dostałeś ataku, ale ty przecież nie miewasz żadnych ataków, prawda, skarbie? - Długie włosy Nishy muskają moją twarz.

Co tam nogi, co tam seks, nieporównanie słodsza jest miłość.

Nie chowa urazy, ta Elli doktorka. Następnym razem, gdy ją spotykam, uśmiecha się szeroko.

- Cześć, Zwierzaku, co słyszeć?

Skąd wie, jak mam na imię? Elli zawsze wydaje się roześmiana. Ma donośny głos, nie wstydzi się wykrzykiwać pozdrowień na ulicy. Już wkrótce całe *basti* ją zna i mówi jej dzień dobry. Zaraz potem zatrudnia personel w swojej klinice, ich także poznajemy. Jest wśród nich menedżer Dayanand, rozjemca Suresh oraz anglo-hinduska dama o imionach Miriam Joseph, która ubiera się w suknie ozdobione wielkimi kwiatami.

Na mój widok Miriam Joseph mówi:

- Jesteś Zwierzak, prawda? Pamiętasz mnie? Widywałam was często, kiedy przychodziłam na msze do klasztoru. Rety, jak ten świat się zmienia. - Drapie się pod pachą, robiąc smutną minę, odgaduję zatem, że beze mnie i Ma klasztor nie jest już taki sam. Miriam musiała zdradzić Elli moje imię - oto rozwiązanie tej małej zagadki. Pozostaje jeszcze ta większa.

Wszyscy gadają o klinice. Czemu jakaś kobieta z Amriki miałaby podejmować tego rodzaju przedsięwzięcie w Khaufpurze? W czym tu przybyła imieniu? Podejrzenia Zafara chyba rozeszły się szerzej, bo wszędzie słyszeć pogłoskę, że Elli doktorka - tak ją nazywają khaufpurczycy - została tu przysłana przez Kampani. „Jeśli nawet, to cóż z tego?” - odpowiadają niektórzy, słysząc tę plotkę. „Zachorowaliśmy z winy Kampani, dlaczego więc nie mieliby przywrócić nam zdrowia?”. „I nie tylko”, dodają inni. „Czemu za nasze leczenie mają płacić inni, a nie ludzie z Kampani?”. „Nawet lepiej, że to ich klinika”, słyszeć jeszcze. „Tylko oni wiedzą, jakie śmiertelne trucizny ulotniły się tamtej nocy z fabryki. Kto jeszcze może znaleźć antidotum?”.

Ludzie obsiadają personel Elli doktorki niczym moskity i kłują ostrymi pytaniami, żeby wyssać prawdę.

- Madam Elli to dobra osoba - mówi rozjemca Suresh do gromadki zebranej w Kurzym Pazurze. - Za własne pieniądze otwiera tę klinikę. Porzuciła ważną pracę w Amrice z litości nad mieszkańcami Khaufpuru.

Cóż, to brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. Mnóstwo Amrikanów ściąga ostatnio do Khaufpuru i robi najrozmaitsze rzeczy, od nauczania po sadzenie ziół w ogrodach, a są tutaj, bo nie godzą się z postępowaniem Kampani, nikt jednak nie założył kliniki. Nie za własne pieniądze. Nie na własną rękę.

Menedżer Dayanand kupuje przekąski w sklepie spożywczym Rama Nekchalana, tam, gdzie zbierają się ludzie z Pazura, żeby pogawędzić i posłuchać nowin. Dowiadujemy się niebawem, że Dayanand ma słabość do *laal imli ka gataagat*, czyli strąków tamaryndowca po dwie rupie za małą porcję, smacznie cierpkawych z solą i przyprawami, dobrych na trawienie. Ale kiedy go wypytujemy o nową szefową, potwierdza tylko, że Elli płaci za wszystko własnymi pieniędzmi, a o innych sprawach nic mu nie wiadomo, tak jak i nam. Dayanand poznał ją przez pewnego starszego lekarza, u którego niegdyś pracował. Elli doktorka zatrzymała się tam, kiedy przyjechała z Amriki, a on jej pomógł znaleźć pracowników. Więcej Dayanand nic nie wie albo nie chce powiedzieć.

Skąd jedna kobieta bierze dość pieniędzy, żeby otworzyć klinikę? Oto pytanie, które zadają sobie wszyscy. Musi być bogata. Lecz Elli nie wygląda na bogaczkę, nie rozjeżdża się po okolicy wielkimi samochodami, no dobra, przyjechała rządowym wozem, ale od tamtego czasu używa wyłącznie naszych trzykołowych aut. Kilka razy podróżowała z moim znajomym Bhoorą Khanem i targowała się o cenę każdego przejazdu. „Ta Elli doktorka to prawdziwe cholerne skąpiradło” - mówi Bhoora z żalem, ponieważ jak wszyscy autowallahowie uważa, że obcokrajowcy powinni płacić więcej niż miejscowi. To nie tylko sprawiedliwe, ale także wynika z prostego rachunku. Jeden amerykański dolar równa się czterdziestu rupiom, więc jeden kilometr w Khaufpurze powinien się liczyć za czterdzieści amerykańskich. Gdy jednak Bhoora mówi o tym Elli doktorce, ona tylko parska śmiechem i prosi, by zaczął myśleć kategoriami darmowych zabiegów medycznych.

Elli nie ubiera się jak bogaczka, nigdy nie widzimy jej w stroju innym niż niebieskie dżinsy, a prócz tego bogaci nie zadają się z takimi jak my, tymczasem Elli lubi pożartować z ulicznikami i nie przeszkadza jej, że krzyczą za nią „Aiwa!” i „*I love you!*”. Wkrótce każdy dzieciak z Kurzego Pazura zna jej imię i wie, że przyjechała z Amriki i nie rozdaje cukierków ani bakszyszu.

Pewnego dnia Elli sama wchodzi do sklepu Nekchalana. Co mu mówi, nie wiem, ale od tej chwili Nekchalan staje się jej najgorętszym wielbicielem.

- Kiedy ta klinika zostanie otwarta - zawiadamia wszystkich, którzy chcą słuchać - każdy z nas będzie mógł wejść do niej prosto z ulicy, każdego zbadają, poddadzą leczeniu, dobiorą lekarstwa, a ile za to zapłacimy? - zawiesza głos dla lepszego efektu. Ten pieprzony *bada batola*, taki ważny i znający się na rzeczy, gruba ryba z ulicy, milczy długo, długo, wypełnia pauzę Nekchalanem.

- No powiedz ile.

- Nic a nic. - Nekchalan uśmiecha się, jakby był najlepszym przyjacielem Elli, jakby

pomógł jej w założeniu kliniki.

- Co? - zachłystują się ludzie. - To naprawdę za darmo?

Nie zapominajcie, że rządowe szpitale też są niby darmowe, ale na tę ich darmowość nikogo nie stać.

- Całkiem za darmo - odpowiada Nekchalan, chowając do kieszeni ich pieniądze za herbatę, zapalki, sól, mąkę, olej, cokolwiek.

Wieści rozchodzą się prędko i docierają z Kurzego Pazura do Jyotinagaru, Phuta Maqbara, Orzechokrusza, gdzie mieszkamy z Ma, oraz do innych miejsc w pobliżu fabryki, w których ludzie nadal chorują. Darmowe leczenie? Od kogoś z zagranicy? Brzmi zbyt dobrze, by w to uwierzyć, ale jeśli Ram Nekchalan twierdzi, że to prawda... Nekchalan nie nabiera ludzi, nigdy nie daje za mało towaru, zwykle nawet dokłada odrobinę ryżu, cukru, *daal* czy nafty.

Wspaniały człowiek? Nie sądzę. Dzięki tej odrobinie szczodroblowości ludzie tłoczą się w jego sklepie i przyjaciel Ram czerpie zyski z własnej dobroci. „Teraz zaczną nas przyzwolicie leczyć” - tak mówią wszyscy. Kampani czy nie Kampani, Khaufpurczycy opowiadają się za kliniką.

Jak Elli Barber miałyby odmienić moje życie? Na rozplątanie mojego grzbietu nie było nadziei, a od spotkania z Khã-w-Słóju sama myśl o nadziei stała się dla mnie gorzka i nienawistna. Pewnego dnia powiedziałem Zafarowi:

- Nadzieja to podpora słabeuszy. Silni potrafią się obejść bez niej.

Skinął głową i uśmiechnął się do mnie promiennie.

- Masz słuszność, bracie. Porzućmy nadzieję i podejmijmy walkę, oto lekcja Khaufpuru.

Zdumiało mnie właściwie, że się ze mną zgodził. Myślałem o sobie, o własnym przypadku, a przy tym próbowałem mu dokuczyć. Jak mógł prowadzić tę swoją długą walkę bez nadziei? Czy to nie on zadał pytanie: „Dlaczego nie dzisiaj?”.

- To nie jest nadzieja. - Zastanawiał się przez chwilę. - Możesz walczyć bez nadziei, jeśli serce znajdzie moc w czymś silniejszym.

- Na przykład w czym? - Wiedziałem, że nie powinienem pytać.

- No cóż - odrzekł ten głupol, zdejmując i wycierając okulary jak zwykle, gdy się wzruszał. - W miłości.

napalony Zwierzak potrzebuje żony,

jak Elli zmieni żywot jego płonny?

Oczy, czy ja powiedziałem niedawno: „Co tam seks?”. Pieprzona hipokryzja! Seks był kwestią, o której nie mogłem zapomnieć, moim drugim niespełnialnym życzeniem. Pierwszym było stanie prosto. Lecz dlaczego miałbym tego pragnąć, jeśli nie dlatego że wiodło do tej drugiej rzeczy?

*gada kutasina o miłości ładnie,
ale gotów wsadzać fiuta gdzie popadnie*

Myśl o seksie tkwiła mi w głowie, gdy budziłem się rano z tą moją rzeczą wielką jak kij do krykieta, a także wieczorem, kiedy się kładłem i rozmyślałem o tym, czego nie mogę mieć. W te noce, gdy pragnienie było bardzo silne, czyli - szczerze mówiąc - niemal każdej nocy, wyobrażałem sobie, że obok mnie leży kobieta. Gładziła mnie po całym ciele, a gdy już byłem gotów, pokazywała mi swoje sekretne miejsce. Reszty możesz się domyślić, tak jak i ja, choć jaki pożytek z cipy uplecionej z siana, kiedy chciałbyś trzymać w ramionach żywą istotę?

W jaki sposób miałyby Elli odmienić moje życie? No cóż, Oczy, możesz mnie nazwać siedmiokrotnie pochrzanionym przygłupem, ale jeśli Elli nie mogła wyleczyć mojego grzbietu, pozostawała mi jedynie druga możliwość.

*Zwierzaku, po co te wygłupy?
Myślisz, że ona da ci dupy?*

Pewnego wieczoru ja, Zafar, Farouq i kilka innych osób z grupy siedzimy w ogrodzie Nishy, popatrując na budynek Elli Barber. W oknie na drugim piętrze pali się światło. Tuż obok rośnie drzewo.

Zafar żartuje:

- Może powinniśmy się wspiąć tam na górę i sprawdzić, co się dzieje?
- Ja wejdę.

Nie wiem, dlaczego to mówię. Nie, żeby zaimponować Nishy, bo jej nie ma, może więc po to, by pokazać, że jestem równie dobry jak oni wszyscy. Mam silne ramiona, pewnie silniejsze niż którykolwiek z nich. Mogę się podciągnąć, nie używając nóg.

Drzewo to duży okaz mango, rosnący blisko budynku. Podchodzimy do niego i Zafar

pyta:

- Potrzebujesz podpórki?

Mówię mu, żeby się odpięprzył. Jest dość wystających gruzelków, abym się obył bez pomocy. Po pierwszej gałęzi jest nieco łatwiej, ale nie tak naprawdę łatwo. Wspinam się najlepiej jak potrafię, przekładając ramiona, a te gnojki poniżej podbechtują mnie z ciemności głośnymi szeptami:

- Wyżej, Zwierzaku, ty sukinsynu.

- Dalej, pokaż nam, na co cię stać.

Powyżej gałęzie są bardziej wystające i niemal dotykają muru, ale robią się giętkie, a ja mam jeszcze przed sobą długą drogę. Muszę się podciągać, zapierać łokciem, przemieszczać ciało w poprzek, a potem wykręcać tyłek, by usadowić się na gałęzi. Trudne to i uciążliwe z bezużytecznymi nogami i w ogóle. Jestem ubrany tylko w moje szorty Kakadu. Ciernie i gałązki kurewsko rozdrapują mi skórę.

- Skurwiel wspina się jak małpa.

Z ciemności dobiega śmiech, który brzmi, jakby wydał go ten żul Farouq. Spoglądam w dół z gniewnym grymasem, balansując wysoko nad grupką stłoczoną obok pnia.

Budynek stoi naprzeciw domu Nishy, po drugiej stronie ulicy. Z góry, gdzie przycupnąłem, widzę *pandita* Somraja siedzącego w pokoju i słuchającego muzyki. Słucha, słucha, słucha, nic innego nie robi przez okrągłą dobę. Jeżeli nie słucha płyt, to słucha radia, a jeśli nie radia, to swoich uczniów albo żab, albo pompek od rowerów, albo kapiących kranów. Nisha jest w domu razem z ojcem. Widzę, jak podaje mu filiżankę z jakimś napojem, i moje serce kołaczy jak *dholak* rozbijany przez małpę. Taka *dum takataka dum dhoiing dhoom!* Lepiej, żeby została w domu. Zafar kazał nie mówić jej, co robimy. Nisha nie pochwaliby tego. Podglądanie Amrikanki uznałaby za niemoralne.

- Dobrze ci idzie, tak trzymać! - To Nasz Przywódca. Zawsze ma dla każdego krzepiące słowo. Pieprzony pan ideał.

- Zamknij się! - syczę. - Usłyszysz cię!

- Nie martw się, pomyśli, że to pawian - podsuwa Farouq.

Rozważam, czyby nie ściągnąć kakadówek i nie nasrać Farouqowi na głowę, ale nie za dobrze go widzę, tylko błysk czyjegoś *beedi*.

- Za duży na małpę - wtrąca ktoś inny.

- Co ona wie? - pyta Farouq. - Przecież to Amrikanka.

W końcu ruszam dalej. Wciąż znajduję się poniżej okna, lecz zbliżam się do niego. Już widzę sufit, który ma jaskraworóżowy kolor niczym wewnątrz pyska wielbłąda. Kobięca

dłoń trzyma coś czerwonego. Pojawia się w moim polu widzenia i znika. Powtarza się to kilka razy. Co ona robi? Gamonie na dole umilkły, wyczuwają, że znalazłem się na krawędzi. Ręka z czerwonym przedmiotem znowu się pojawia. Jeszcze jedna gałąź - ugina się niebezpiecznie, czynię wysiłki, by się mocniej przytrzymać. Widzę głowę. Połyskuje wilgocią. Ręka trzyma czerwony plastikowy dzbanek, z którego leje się woda. Druga ręka myje włosy. Nareszcie znalazłem się powyżej okna. Elli Barber jest tam w środku, o kilka metrów ode mnie. Bierze kąpiel i nie ma nic na sobie.

Jej nogi nie są niebieskie, ale białe jak mleko. Sięga w dół i niczego przede mną nie zasłania. Potem cała się namydla. Każdą część ciała. Na pewno nie muszę ci mówić, jak wygląda ciało kobiety - ja po raz pierwszy w życiu widzę jedną z nich nagą.

Tak, to pierwszy raz, nie licząc snów. Często śniłem, że się kocham z osobą, której imienia nie zdradzę. Nikomu o tym nie wspomniałem, bo gdyby się ludzie dowiedzieli, to co by zrobili? Śmialiby się ze mnie, litowali nade mną? „Zwierzaku, nie wzbudzaj w sobie takich nadziei” - ostrzega wyraz twarzy kobiety, na którą patrzę i zostaję na tym przyłapany. Zwierzak z ludzką kobietą - to nienaturalne, lecz ja nie mam wyboru, muszę postępować niezgodnie z naturą. Wiele razy marzyłem, że ona i ja jesteśmy zakochani, a czasami nawet poślubieni sobie i nadzy jak w filmach, gdzie się uprawia seks. Czy w tych snach miałem proste plecy, czy stałem prosto? Nie i nie. Byłem dokładnie taki, jak jestem, i to nie miało znaczenia. Cóż za sny! Budziłem się z nich rozedrgany od nadziei. To mnie przerażało, bo gardzę nadzieją.

- Co się tam dzieje? - dobiega szept z dołu.

Elli znowu odwraca się plecami i pochyla, pokazując wszystko.

- Pssst, Zwierzaku!

Nie odpowiadam. Nie mogę mówić. Elli prostuje ciało, polewa je wodą i *hai hai hai*, co ona robi? Obmacuje swoje piersi. Serce wali mi jak młotem, kręci mi się w głowie, chwytam za gałąź nad głową i wtedy liście szeleszczą głośno.

Elli Barber podchodzi do okna. Staje przy nim, wycierając się ręcznikiem i patrząc to w jedną, to w drugą stronę. Lada chwila spojrzy na mnie.

Światło gaśnie.

- Zwierzaku, co jest, kurwa?

Chcę, żebym zszedł na dół, przekazał, czego się dowiedziałem. Ale ja nie mogę się ruszyć. W moich pachwinach płonie ogień. Nie ma mowy, żebym zszedł i pokazał się znajomym w takim stanie. Zamierzam posiedzieć tu na górze przez pewien czas.

No cóż, przynajmniej jedna część mnie potrafi stać prosto.

Oczy, nie wiem, czy jesteś mężczyzną, czy kobietą. Bo tak sobie myślę, że sprawy, o których mówię, nie nadają się dla kobiecych uszu, ale jeśli ktoś bawi się w niedopowiedzenia tylko po to, by uniknąć pokazania się w złym świetle, jest kłamcą. Przyrzekłem, że nie będę ci kłamał. Jeżeli cię to peszy, wyrzuć książkę, w której wydrukowano te słowa. Będziesz czytać dalej - to twoje zmartwienie, natrafisz na jeszcze gorsze rzeczy. Więc nie krzycz potem: „Zwierzak jest okropny, ma plugawy język!”. Myślisz, że o tym nie wiem? Oczywiście, jeśli jesteś kobietą, proszę cię, nie zostawiaj mnie teraz, na tym świecie zawsze najlepsze były dla mnie kobiety, takie jak Jara, Ma Franci, Nisha. A jeśli jesteś mężczyzną, to bez znaczenia, i tak podła świnia z ciebie.

Tkwię zatem na drzewie mangowym.

Ona podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz. Jaskrawa żarówka za jej plecami podkreśla sylwetkę, światło spływa po liściach mojego drzewa. Wstrzymuję oddech w nadziei, że ona nie widzi po ciemku. Rety, ta rzecz w moich spodniach jest gorąca i sztywna, sterczy tak daleko, że nie wiem, czy nie zaczepi o gałęzie.

Światło gaśnie. Z dołu dobiega szept:

- Co widzisz?

Co ja widzę? Czy oni zwariowali? Ona wciąż tam jest. Jestem tego pewien, choć wzrok płata mi figle. W pierwszych chwilach po zgaszeniu światła nie widzę nic prócz widma żarówki, płonącego fioletu obrzeżonego zielenią. Potem pojawia się czarny kwadrat okna, w którym faluje bładny kształt. To Elli wychyla się na zewnątrz, spoglądając uważnie w lewo i w prawo.

- Hej, Zwierzaku, co się tam dzieje?!

Jakim Sposobem ona ich nie słyszy? Nie otrzymują odpowiedzi, bo co ja mogę zrobić. Utknąłem na gałęzi i staram się nie poruszać. Oddycham, ale co to? W gardle uwięzła mi oś. Nie potrafię odwrócić oczu. Myślę sobie, że Elli lada chwila zauważy dwa rozżarzone węgielki na drzewie. Mija długi mroczny okres w dziejach świata, gdy jej głowa cofa się do pokoju. Nadal nie ośmielam się drgnąć. A jeśli stoi tam jeszcze w mroku? I wezwie gliniarzy? Podglądanie rozebranej kobiety. Ale te sukinsyny się ucieszą, gdy zobaczą, kogo złapali. Ten Fatlu inspektor z komisariatu policji Habibganj nie posiadałby się ze szczęścia, gdyby mnie nakrył w koronie drzewa. Ściągnąłby mnie na dół, a widząc ten sterczący drąg, pewnie by mi go urwał i przywalił mi nim po głowie. Ale Fatlu inspektor nie nadchodzi i po pewnym czasie, gdy okno pozostaje ciemne, dociera do mnie, że Elli sobie poszła. Zejście z drzewa zajmuje mi całe dziesięć minut i zdzieram sobie skórę, ześlizgując się metr po metrze. Wszyscy zaczynają wypytywać.

- Czego się dowiedziałeś? Co zobaczyłeś?

- Później powiem - odpowiadam, bo w tej samej chwili na werandę wychodzi Nisha.

Nie wiedziała, co wymyśliliśmy. Pewnie przypuszczała, że poszliśmy odetchnąć nocnym powietrzem, napawać się wonią uroczynu. Wybawiło mnie to z niezręcznej sytuacji, nie chciałem opowiadać Zafarowi i jego kompanom, co widziałem.

Gdy wchodzimy na oświetloną werandę, Nisha zauważa:

- Zwierzaku, podrapałeś się.

No jasne, głębokie zadraśnięcia biegają wzdłuż mojej klatki piersiowej.

- Mój Boże, co ci się stało?

Cóż, jedno, czego nie potrafię, to okłamywać Nishy, więc mówię:

- *Je suis monté dans cet arbre-là.*

Wbija we mnie spojrzenie.

- Co to znaczy?

Zaczynam mamrotać jakieś brednie o owocach mango.

- Przecież to nie sezon na mango - mówi Nisha. Odwraca się do Zafara, który ma znekany wyraz twarzy. - Co się stało Zwierzakowi?

Na wysokim czole Zafara pojawia się zmarszczka. Przesuwa na nie okulary jak w chwilach, kiedy ma wygłosić przemówienie, lecz zanim zdąży coś powiedzieć, odzywa się Farouq:

- Och, po prostu się pośliznął.

- Pośliznął? - Nisha patrzy na mnie, gotów byłbym przysiąc, z troską. Ta dziewczyna ma do mnie większą słabość, niż jej się wydaje. Takie rzeczy wychodzą na jaw, nie można tego ukryć, jeśli naprawdę nam na kimś zależy. - Jak mógł się pośliznąć?

- Potknął się - odpowiada Farouq.

- Jak to? - Nisha zwraca się do mnie. - Przecież poruszasz się na czworakach.

Potem patrzy na moje szorty. Prawie umieram. Niech tej cholernej rzeczy nie będzie widać!

- Potrzeba ci jakiegoś porządnego ubrania. Ciągłe nosisz te brudne stare łachy. Kupię ci coś nowego.

- Nie chcę nic nowego - bąkam. - To są moje spodnie Kakadu od dziwnikarza Phuoca z miejsca, gdzie żyją krokodyle. Specjalne szorty dla bohatera. Mają dwie boczne kieszenie, dwie tylne, dwie naszywane z przodu, przydatne do chowania różnych przedmiotów, jak moja zapalniczka - bełkoczę coraz mniej składnie.

- Zostaw go, mamy kilka spraw do załatwienia - przerywa Zafar.

Ale Nisha bierze mnie na stronę i przynosi maść z kory drzewa neem, żółtą i o gryzącym zapachu, by posmarować moje skaleczenia.

- Nie mogę sięgnąć tam niżej - mówi o moim brzuchu, bo wciąż tkwię na czworakach.
- Musisz usiąść. Albo położyć się na boku.

Przewracam się na grzbiet jak duży pies, jak Jara, kiedy chce, żeby ją drapać po brzuchu. Nisha zaczyna wcierać maść. Obawiam się, że moja rzecz znowu obudzi się do życia, czując dotknięcia jej palców. I Nisha chyba też o tym pomyślała, bo dociera tylko do pępka, a potem wręcza mi pudełeczko i poleca skończyć, i się pospieszyć, ponieważ czekają na nas w domu. Odbędzie się kolejna z setek niekończących się porad. Ale po chwili stwierdza, że zostanie, by się upewnić, że zrobię to jak należy.

- Idź. To na ciebie tam czekają.

- Nie tylko na mnie - odpowiada, patrząc, jak nakładam maść.

Może Nisha i nie jest ładna, ale wydaje się urodziwa. Gdy już raz dostrzeżesz to w czyjejś twarzy, pozostaje w niej na zawsze. Nie nazwę tego pięknem, ale po prostu czymś, co się kocha. Jak włosy opadające na czoło i policzki. Jak przygryzanie wargi w chwilach zamyślenia.

- Taka jesteś słodka - wyrywa mi się.

- Niemądry Zwierzak - uśmiecha się Nisha. - Twoje włosy są całkiem *jungli*, zmierzwione, pełno w nich gałązek. Daj, wyszczotkuję ci je.

Siadam więc, a ona przeczesuje moje włosy palcami, rozplątuje kołtuny i zaczyna czesać je szczotką, aaa aa aiiiee, tu zahaczy, aiiiie-aaaa, tam pociągnie. Zafar wychodzi i rozgląda się za nami. Patrzą na niego z uśmiechem.

- *Ça va, Zwierzaku?* - pyta, nauczywszy się tego zwrotu ode mnie.

- *Si heureux je vais mourir.* - Ale tych słów już nie zrozumiał.

Umierałem ze szczęścia, tak? Niezbyt długo, bo po naradzie poszli do jej pokoju i zostawili mnie na dole, zgrzytającego zębami. Prześladowała mnie myśl o tym, co razem robią. Wyobrażanie sobie wiesz czego wywołało wśród moich głosów gorący spór. Jeden orzekł, że przewidział taki obrót spraw. Drugi twierdził, że Zafar byłby szalony, zabawiając się w ghusspuss w domu *pandita* Somraja, który ma słuch jak nietoperz i potrafi tak wyteżyc ucho, że usłyszy pierdnięcie mrówki. Bzdura, oznajmił trzeci głos, mężczyzna to mężczyzna, wiadomo, co ma między nogami, i odczuwa przemożną potrzebę wetknięcia tego czegoś w wilgotne i zapraszające miejsce.

Oczywiście to wcale nie usprawiedliwia podawania mu trucizny.

Taśma siódma

Ostatniej nocy przyśnił mi się Zafar. Zmierzał Rajskim Zaułkiem do centrum Orzechokrusza. Zginał się wpół, jego długi nos celował żałośnie w ziemię. Na głowie miał swój ulubiony czerwony turban, brodę nieprzystrzyżoną, na grzbiecie zaś dźwigał błyszczący świat, błękitny jak skrzydło mucholówki, poprzecinany cienkimi liniami. Spływał na niego słoneczny żar. Ciężki musiał być ten świat. Zafar słał się na nogach, jego skierowane do tyłu ramiona ledwo mogły ten ciężar podtrzymać, ale szedł krok za krokiem, z uważną cierpliwością jak zawsze. Przed nim maszerował chłopczyk, chyba do szkoły, bo niósł tabliczkę z wypisanym na niej jakimś abecadłem. Nisha też była w tym śnie, wlokła się za Zafarem i błagała, by pozwolił jej dzielić z nim ciężkie brzemię cierpień owego świata, lecz wydaje mi się, że jej nie słyszał.

Moja walka z Zafarem wciąż się nasilała. Ponure zwierzę pozbawione nadziei - tak widziałem siebie. Nie prosiłem o nic, oczekiwałem jeszcze mniej i przepelniał mnie gniew na cały ten świat. Zafar bez przerwy dawał mi szanse udowodnienia, jaki to ze mnie życzliwy, godny zaufania gość. Wywiązało się z tego coś w rodzaju współzawodnictwa. On umyślnie pokładał we mnie coraz więcej zaufania, a ja wykonywałem powierzone zadania z coraz głębszą pogardą. Często podejmowałem się trudnych rzeczy, do których się nie nadawałem. Pewnego dnia, myślałem sobie, najlepiej wtedy, gdy będzie od tego zależało twoje życie, zawiodę cię.

Raz Nisha przyprowadziła na nasze zebranie Pyaré Bai. Pyaré usiadła na podłodze w sari udrapowanym tak, by zasłaniało jej twarz, i smutnym głosem opowiedziała nam swoją historię. Oczy, powinienes ją usłyszeć, bo historia tej jednej kobiety zawiera w sobie tysiące podobnych.

Pyaré Bai miała męża Aftaaba, który pracował w fabryce Kampani i mówił jej, jakie tam są niebezpieczne chemikalia. Jeśli przypadkiem któregoś z nich dotkniesz, powiedział, skóra pokryje się pęcherzami. Tamtej nocy był w domu, nie na służbie, i kiedy zaczęły go piec oczy, jak zatarte ostrą papryką, w odróżnieniu od większości ludzi wiedział, co robić.

Okrył twarze Pyaré i dwóch małych córeczek wilgotnymi chustkami, a potem wyprowadził je wolnym krokiem, nie biegiem, poza zasięg wyziewów. Dzięki temu uszli z życiem, podczas gdy większość ich sąsiadów zginęła. Ale trujące opary zaszkodziły wszystkim, a najbardziej Aftaabowi, ponieważ mniej troszczył się o siebie. Wykrztusił pianę zabarwioną krwią, oczy miał prawie zamknięte. Kiedy wrócili do domu, wszystkie metalowe przedmioty, jak naczynia kuchenne, pokrywał zielony nalot. Aftaab nie wpuścił Pyaré i dzieci do budynku. Wyczyścił wszystko, wyszorował każdy zakamarek, zanim pozwolił im wejść.

Na początku wydawało się, że Aftaab wraca do zdrowia, ale stracił dawne zajęcie, a przez trudności z oddychaniem nie nadawał się do prac fizycznych. Jego stan się pogorszył. Oczy bolały, dostał wysypki na całym ciele oraz gorączki i bólów w stawach. Pyaré kupowała lekarstwa. Aftaab powiedział jej, żeby nie marnowała na niego pieniędzy, bo on i tak umrze. „Jakżeby mogła?” - zapytała. „Pomyśl o sobie i dzieciach”, odparł. „Z czego będziecie żyć, gdy mnie zabraknie?”. A ona: „*Har ek warak mein tum hi tum ho jaan-e-mehboobi, hum apné dil mein kuch aaisi kitaab rakhté hain*”.

- *Wah, wah* - mówi Zafar.

Zdjął okulary i przeciera szkła. I mruga. Co on sobie wyobraża, że to jakiś pieprzony wieczór poetycki? Oczy, to, co ona powiedziała, znaczy: „Na każdej kartce jesteś ty i tylko ty, o miłości mego życia, tę księgę chowam w sercu”.

Kiedy jej mąż poważnie się rozchorował i nie mógł już w ogóle pracować, zabrakło im pieniędzy i musieli sprzedać swój mały domek. Przeprowadzili się do wynajętej chaty z połową dachu, tylko takie mieszkanie Pyaré zdołała znaleźć, tuż przy cuchnącym *naala*. Podczas monsunu deszcz wlewał się do wnętrza. Dziewczynki ciągle chodziły głodne, płakały po nocach. Obwiązywała chustami ich talie i dawała wodę do picia, żeby napęłnić puste brzuchy. Zatrudniła się przy noszeniu cementu na budowie.

- Kiedy zaczęłam pracować - ciągnęła - mój mąż przeproszał, że przysporzył mi tylu cierpień. Jakże często powtarzał, abym nie wydawała pieniędzy na niego i jego chorobę. „Szkoda twoich pieniędzy”, mówił, „ja i tak umrę”. No i umarł... zostawił mnie samą.

Zaczęła płakać. Nisha usiadła obok i przytuliła ją. Później Pyaré Bai pokazała nam zdjęcia córek. Młodsza odznaczała się dziką urodą, była bardzo podobna do mamy. Pyaré puściła też w krąg fotografię zrobioną w dniu swego zamążpójścia, przedstawiającą młodego, uśmiechniętego Aftaabę *miyañ*, a obok niego dziewczynę w krótkiej *kurta*, z włosami zaplecionymi w dwa warkocze i loczkami przyklejonymi do policzków. Nisha odezwała się:

- Widziałam to zdjęcie w twoim domu. Jedna z dziewczynek powiedziała wtedy: „Ammi wygląda jak Mala Sinha”. „Nie”, druga na to, „jak Sadhna”.

Obydwie kobiety znowu zalały się łzami. Wcześniej nie rozumiałem, dlaczego Niszę aż tak poruszyła właśnie ta historia - każde z nas stykało się codziennie z ludźmi, którzy opowiadali straszne rzeczy. Wyjaśniła mi to weselna fotografia. Najszczęśliwsza chwila wieńcząca romans hinduskiej kobiety z muzułmaninem. Jak Nisha i Zafar.

Po śmierci Aftaaba lichwiarz nasłał na Pyaré swoich zbirów, facetów o oczach czerwonych od picia, podłych, nędznych skurwysynów, którzy nosili przy sobie sprężynowe noże i nie wahałoby się ich użyć. Stanęli na *galli* przed jej domem, wykrzykując głośno: „*Ohé, suko, jesteś tam?! Ty kurwo, zapomniałaś, że jesteś winna pieniądze?!*”. „Miejcie litość”, prosiła. „Dopiero co zmarł mój mąż”. Weszli do domu i zabrali różne rzeczy. Zabrali garnki. Wyprowadzili rower Aftaaba.

- Cóż, nie będzie mu więcej potrzebny.

Pod koniec relacji wszyscy leją już łzy, tylko ja nie, bo ja nigdy nie płaczę i na jedną historię taką jak ta mogę przytoczyć dziesięć jeszcze gorszych. Po wyjściu Pyaré Nisha oznajmia:

- Musimy coś dla niej zrobić. Uwolnić ją od tych bandziorów.

- Jest jeden problem - mówi Zafar. - Dlaczego mamy pomóc jednej osobie, a innym nie? Jeśli pomożemy Pyaré, do czego to doprowadzi? Jak powiedzieć jej sąsiadom, którzy również straszliwie cierpieli, że jej mogliśmy pomóc, a im nie?

- Zafarze - Nisha na to - nie znam na to odpowiedzi, ale wiem, że jeśli nie pomogę tej nieszczęśliwej kobiecie i jej córkom, po prostu sama umrę.

- Nie umrzesz - powiedział. - Oto, co zrobimy. Poprosimy dwudziestu przyjaciół i założymy fundusz. Ja sam, tu i teraz, wpłacam tysiąc rupii.

- Ja także - powiedziała Nisha.

- Ja też dam tysiąc - powiedział Somraj.

- I ja - powiedział Farouq.

Popatrzyli na mnie, lecz odwróciłem wzrok.

- Zwierzaku? - pyta Zafar.

Widzicie? Zawziął się, żebym skorzystał z okazji i dowiódł, jaki jestem wielkoduszny.

- Dwadzieścia - mamroczę.

- Kiedy spłacimy dług Pyaré - podjął Zafar - rozpoczniemy nowe przedsięwzięcie. Stworzymy trust, który będzie udzielał nisko oprocentowanych pożyczek, żeby ludzie nie zadawali się z tymi szumowinami. - Tak oto przemówił Zafar, mężnie, lecz wychwyciłem w jego myślach jęk i wiedziałem, że brzemień świata, które dźwigał na swych barkach, znowu stało się cięższe.

W sumie zebrano znacznie więcej niż dwadzieścia tysięcy rupii. Lepiej było ich nie dawać Pyaré Bai, ponieważ lichwiarz mógł ją oszukać. Należało wręczyć pieniądze bezpośrednio jemu i wziąć pokwitowanie.

- Ja zaniosę. - To mój głos się odzywa.

- Tym razem może lepiej nie - mówi Zafar.

- Co, nie ufasz mi? - Teraz go mam.

- Słusznie, nie ufam. Nie chodzi o twoją uczciwość, tylko o niewyparzony język. To są źli faceci.

- Zaniosę je - powtarzam. - Zaufania nie można przykroić. Albo komuś ufasz, albo nie. Zafar bawi się pasmami brody, rozmyśla.

- No dobrze, zaniesiesz, ale pójdzie z tobą Farouq.

Nigdy przedtem nie dostarczałem tylu pieniędzy, za taką sumę można by kupić dom.

Lichwiarzem był P.N. Jubiler, który prowadzi sklep przy ulicy Itutmish w Chowk. Podążamy tam bez pośpiechu, Farouq i ja, przebijając się przez hałas i zapachy, smażące się *pakory* i tłumy ludzi. Na szyi mam zawieszoną torbę z pieniędzmi.

- Jej dupa, chłopie - zaczyna Farouq - jest jak dwie słodkie połówki soczystego melona. Ależ bym chętnie wbił w nią zęby.

Zgadnij, o kim mówi.

- Masz odrażający sposób myślenia - informuję go. - Nawet ktoś taki jak ja, pochodzący z rynsztoka, tak się nie wyraża.

- Nie wyraża się, ale myśli - śmieje się on. - Widziałem, jak na nią patrzysz, zresztą na Niszę też. Ty czworonożny bękarcie, włóczysz się po mieście z dyndającym kutasem, a po kryjomu pracujesz ręką, aż ci omdlewa.

No cóż, jest w tym trochę prawdy, Oczy, nie zaprzeczę, ale nie mów mi, że on nie robi tego samego, albo ty, jeśli już o to chodzi. Czy powiesz zupełnie szczerze, że nigdy się nie dotykasz? Więc o co chodzi?

- Kłopot z tobą, Zwierzaku - ciągnie Farouq, gdy mijamy świątynię Hanumana, przed którą co rano gromadzą się mleczarze - polega na tym, że twoim zdaniem, jeśli masz skrzywiony grzbiet i łazisz z dupą do góry, nikt nie ma prawa cię skrytykować. „Jestem zwierzę”, beczysz ciągle. „Jestem zwierzę, nie muszę postępować tak jak wy wszyscy. Zasady życia rodzinnego mnie nie obowiązują, bo jestem pieprzonym zwierzęciem”.

Naprawdę go drażni, że wolę być zwierzęciem niż człowiekiem. Jestem dla niego jak ziarnko piasku w oku.

- To nie ja nazwałem siebie Zwierzakiem - odpowiadam. - A poza tym, kto przed chwilą nazwał mnie czworonogiem? Coś mi się wydaje, że ty.

- Nie biadol - rzuca. - Jesteśmy w Khaufpurze. W tym mieście kulawego nazywają *langda*. Jeśli ktoś ma zeza, mówią o nim: „tu Londyn, tam Tokio”. To tylko pieprzone słowa, niechby miał na imię Raju albo Razaq, nic się przez to nie zmieni.

Niezbyt bystry jest ten nasz Farouq. Naprawdę powinien był zostać mechanikiem albo goondą w bandyckiej szajce jak jego dwaj bracia. Po pierwsze, nie zdaje sobie sprawy, że wszystko to tylko pieprzone słowa. Po drugie, umyka mu pewien istotny fakt: kiedy mówię, że jestem zwierzęciem, nie chodzi o sam mój wygląd, ale o to, co czuję.

- Ty powinienes mieć na imię Hipokryta - informuję go - bo przy takich ludziach jak *pandit* Somraj zachowujesz się przyzwoicie, podczas muharram krocysz po rozżarzonych węglach, by pokazać, jaki jesteś pobożny, a przez trzysta sześćdziesiąt innych dni nawet nie postawisz stopy w masjidzie ani nie odmówisz dziennego namaaz i za plecami mułłów szukasz rozmaitych sprośnych przygód. - Mówię tak dlatego, że odwiedza domy w pobliżu Laxmi Talkies.

Oczy, dotychczas niewiele ci powiedziałem o Farouqu. Tylko że jest numerem drugim u Zafara. Musisz się zastanawiać, co taki bandzior ma wspólnego z Zafarem i Nishą. Jakim sposobem wypełnia opiekuńcze obowiązki, nie żądając prawie żadnej zapłaty? To do niego nie pasuje. Jego stryj Afroze Khan Yar-yilaqi, potężny gangster z Khaufpuru, jest zamieszany w przekręty transportowe, przemyt, handel alkoholem, najrozmaitsze sprawy. Tata Farouqa to młodszy brat tego mafiosa, ale się pokłócili. Dwa lata temu ojciec Farouqa ciężko zachorował i nie leczono go prawidłowo, Zafar załatwił właściwą terapię i od tego czasu Farouq wielbi go, pracuje z nim, dla Zafara i Nishy zrobi wszystko, ale mnie traktuje jak gówno, twierdząc, że na nic więcej nie zasługuje.

Rodzina Farouqa to Yar-yilaqi. Przybyli do Khaufpuru z Yar-yilaq, regionu w pobliżu Samarkandy. Nastąpiło to dawno temu, może przed trzystu laty. Farouq raz mi o tym opowiadał, ale chyba nie słuchałem. Cała jedna dzielnica miasta należy do Yar-yilaqich, tamtejsze kobiety noszą pod burkami buty na wysokich obcasach, a pod zasłonami makijaż, lecz jeśli zirytujesz którąś jakimś dwuznacznym komentarzem, gotowa wydobyć nóż i cię zadźgać. To także powiedział mi Farouq, dlatego uważam za wstydlivy cud, że on sam żyje tak długo. Pozostaje jednak nadzieja, że pewnego dnia jednak się sfajczy na śmierć. Co roku podczas muharram mężczyźni z rodu Yar-yilaqi dowodzą czystości serc, krocząc boso po rozżarzonych węglach. Farouq czyni tak co roku, jest z tego dumny.

Ale wszelka wzmianka o ognistym spacerze wywołuje sprzeczki między Faroukiem a

mną. W poprzednich latach chodziłem jak inni popatrzeć na to widowisko. Żeby cokolwiek zobaczyć, musiałem się wdrapać wyżej, ostatnim razem było to rusztowanie, na którym ustawiono kamerę telewizyjną. Trzęsło się od moich podskoków. Farouq wrzasnął: „Zwierzaku! Złaź stamtąd! Co ty w ogóle wyprawiasz, dupku jeden? Nie wierzysz przecież w żadnego Boga!”. „Odkąd to dzikie stworzenia muszą wierzyć?!” - odkrzyknąłem. „Znajdź sobie religię i naucz się okazywać nieco szacunku”. Poinformowałem Farouqa, że dla nas, zwierzaków, religią jest jedzenie, picie, sranie i pieprzenie, czyli podstawowe rzeczy, które się robi, żeby przeżyć. „Ty gównojadzie”, mruknął, „te wszystkie bzdety o zwierzętach to tylko wymówka, żeby się źle zachowywać”.

Teraz, gdy wspominam o zbliżającym się muharram, Farouq wpada we wściekłość i oznajmia, że lepiej, abym w tym roku nie próbował takich sztuczek, bo osobiście wrzuci mnie w ogień.

- Myślisz, że boję się ognia? Jak się przechodzi wystarczająco szybko, nie zdąży nawet cię poparzyć. Inaczej ktoś tak wredny jak ty stanąłby w płomieniach.

- Jeśli to taka łatwizna, czemu sam tego nie zrobisz? - rzuca wyzywająco.

- Może i zrobię.

- Wyszczekany jesteś, ale się nie odważysz.

- Chcesz się założyć?

- Zakład - on na to. Pochyla się, ściskamy sobie dłonie, przecinamy i zakład stoi.

Jubiler siedzi na poduszce i rozmawia z kolegą. Wyjaśniamy cel naszej wizyty. Ja wyjmuję pieniądze z torby i przeliczam w jego obecności.

- Oto zwrot długu Pyaré Bai. Brat Zafar kazał powiedzieć, że to absolutny koniec tej sprawy i powinieneś teraz zwrócić jej rzeczy.

Facet liczy banknoty z wyrazem twarzy mówiącym, że tak naprawdę nie chciał ich dostać z powrotem. Tak funkcjonują ci lichwiarze: odsetki wynoszą dziesięć procent miesięcznie, kto by chciał więc zaraz forszę z powrotem?

- Zafar *bhai* kazał nam wziąć pokwitowanie.

- Zafar *bhai* to, Zafar *bhai* tamto - szydzi mężczyzna. - Wiem, kim jest ten wasz Zafar *bhai*. Zawsze sprawia kłopoty, wtyka nos w nie swoje sprawy.

- Te sprawy są ważne. Zafar *bhai* kazał także powiedzieć, żebyście zostawili Pyaré Bai w spokoju. Macie jej więcej nie molestować.

- Posłuchajcie, jak ten *sadak chhaap* rozkazuje starszym i mądrzejszym. Wydaje ci się, że z kim rozmawiasz?

- Daj mi pokwitowanie - odpowiadam - a imionami możemy się wymienić później.

Lichwiarz jest już zły. Ktoś wywołuje go na zaplecze, a do sklepu wchodzi dwóch oprychów.

- Co jest, szefie?

- Ten mały - mówi on - potrzebuje pieprzonej lekcji dobrych manier. Musi się nauczyć, jak okazywać szacunek.

- Daj mi pokwitowanie za pieniądze - powtarzam, czując pewien niepokój, bo jeśli nie dostanę papierka, ten facet gotów zaprzeczyć, że otrzymał gotówkę.

- Ty popaprańcu, nie odzywaj się tak do mnie, rozumiesz? Bo inaczej skopię tę twoją skrzywioną dupę i przerzucę ją aż do Hazrat Mahal, a może nawet dalej do Ram Mandir.

Wtedy Farouq, który stoi w drzwiach, opierając się o futrynę, i czyści paznokcie, wybucha śmiechem.

- To nawet bym chętnie zobaczył, wujciu, na nic lepszego ten gnojek nie zasługuje. Wielokrotnie kusiło mnie, by odcisnąć podeszwę na jego paskudnym tyłku. Znam go od czasu, gdy był zasmarkanym piętnastolatkiem. Zawsze tylko wyzywał starszych, więc w pełni rozumiem twój problem. Ma złe nastawienie, prostackie maniery. Głupi kutas naprawdę myśli, że jest zwierzęciem. Ten dzieciak potrzebuje naprowadzenia na właściwą drogę, obcas w tyłku prawdopodobnie działałby cuda. Kłopot w tym - ciągnie - że jeśli skopiesz mu dupę, ja będę musiał skopać twoją.

Lichwiarz spogląda na niego ze zdziwieniem.

- O co tu chodzi? Jeszcze jeden bezczelny *saala* nierób? Jesteście razem?

- Owszem, niestety - odpowiada Farouq, wciąż oglądając paznokcie. - Nie będzie mi przyjemnie, no, niezbyt przyjemnie, jeśli będę musiał połamać ci nogi, ale jeśli dalej będziesz tak do mnie mówił, nie wiń mnie za to.

- *Saalé* - burczy jeden z osiłków - co ty sobie wyobrażasz? Że kim jesteś?

- Jestem Farouq Khan Yar-yilaqi. Jeśli chcesz mnie znaleźć, pytaj o mnie w domu mojego wuja. Nazywa się Afroze Khan. Chyba słyszeliście o nim. Jeśli nie, to idźcie do bramy Ajmeri, tam każdy wskaże wam drogę.

Dostaliśmy pokwitowanie podpisane w pośpiechu przez gnącego się w ukłonach lichwiarza, który obiecał, że niezwłocznie odda Pyaré Bai jej garnki i rower.

- Ty pieprzony żulu - powiedziałem do Farouqa na zewnątrz, gdy zmierzaliśmy w stronę herbaciarni Chunarama. - Skąd wzięłeś te teksty jak z drugorzędnych filmów?

- Zwierzaku, mój skarbie, nie prowokuj mnie.

- No cóż - ja na to - chyba będziemy dość często zajmowali się taką robotą, więc i ja

powinienem przeciwżyć te mroczne gadki w stylu Shatrugana: „BATTAMEEZ KUTTÉ, MAIN TUMHÉ NASHT KAR DOONGA!!!”. Zniszczę cię, ty bezczelny kundlu!

Kilku przechodniów aż podskoczyło i rozejrzało się, by ustalić, skąd padła ta straszliwa groźba. Farouq pęka ze śmiechu.

- Zwierzaku - mówi - byłbyś całkiem w porządku, gdyby nie to, że jesteś taki porąbany.

Taśma ósma

Elli to tajemnicza osoba. Zafar wykorzystał wszystkie swoje źródła informacji, żeby się dowiedzieć, kim jest i skąd przyjechała, ale uzyskał wielkie pieprzone zero. Wiemy tylko, że miała świetną pracę w Amrice i rzuciła ją, by osiąść w Khaufpurze. A potem pewnego dnia Dayanand puścił plotkę, że pracowała w szpitalu dla weteranów.

- Jak się nazywa ten szpital? - pyta Zafar, gdy mu o tym mówię.

- Centrum Medyczne.

- Które centrum medyczne?

- Tak się po prostu nazywa. Centrum Medyczne. Dayanand powiedział, że to taka wielka budowla na wzgórzu. Weterani to są żołnierze.

- Wiem, kto to weterani - odpowiada Zafar. - Teraz na pewno ją wytropimy. Powiedział, jakie to miasto?

- Jutro pójde i poszukam w interneście - zaproponowała Nisha.

- Co? Myślisz, że znajdziesz portret Elli doktorki w interneście? - Parskam głośnym śmiechem.

- Co cię tak bawi? - pyta Nisha.

- Wiem, jakie tam są obrazki w tym interneście.

Patrzę na mnie, jakbym się brzydko wyraził, więc wskazuję ruchem głowy Farouą.

- On mi powiedział.

- Co ci powiedział, skarbie? - To Nisha.

Teraz wszyscy się śmieją prócz Farouą, który ma taką minę, jakby żałował, że w ogóle się tutaj znalazł. Więc mam szansę wyrolować tego gnojka.

- Powiedział, że to część mojej edukacji. Nigdy nie zapomnę tego, co mi pokazał.

Farouą śmieje się sztucznie.

- Głupiek nie zna się na żartach - mówi, ale słyszę, jak ścierają się jego myśli: „Ty mały sukinsynu, skopię ci dupę”, więc mrugam do niego, co go jeszcze bardziej rozwściecza.

- Zwierzaku, w interneście są rozmaite rzeczy - mówi Zafar - nie tylko te, ehm, o których wspominał ci Farouą.

- Mogę pójść z tobą? - pytam Niszę. - Chciałbym zobaczyć ten internet.

- Oczywiście, że możesz - uśmiecha się do mnie słodko. - To w końcu część twojej edukacji.

Jakiś czas później, gdy siedzę sobie w Pazurze, zjawia się Elli i woła:

- Hej, Zwierzaku, chcesz wejść i posłuchać fortepianu?!

- Jasne, że tak.

Co to szkodzi? Opiszę Zafarowi, co widziałem.

Zupełnie inny jest ten budynek niż wtedy, gdy należał do Ganesha i innych. Przez okna, które w poprzedniej epoce były brązowe, wpada teraz więcej światła. Wszystko lśni czystością. W pierwszej sali stoją pod ścianami ławki, a na środku stół zarzucony czasopismami i tym podobnymi rzeczami. W kącie za biurkiem siedzi Miriam Joseph i uśmiecha się do mnie.

- Halo, Zwierzaku, czy pani zamierza obejrzeć twoje plecy?

- Chce mi pokazać fortepian.

I pokaże ci coś więcej, odzywa się głos w mojej głowie, ten grubiański, który brzmi jak kwiczenie świni. *Co tam się kryje w tych spodniach, przyjrzyj się bliżej.*

Elli, idąc przede mną, woła:

- Jest na górze! Dasz radę tam wejść?

Zdziwiłoby ją, na co potrafimy wejść. Zamknij się! Nie chcę, żeby głosy wszystko popsuły. Nigdy w życiu Elli doktorka nic takiego nie robi. Tak czy inaczej, jej podskakujące nade mną na schodach pośladki budzą niepokój. Ona zmieni twoje życie! - słyszę echo z poprzedniego czasu.

- Tak w ogóle, to jak się czujesz?! - woła Elli z góry.

- Znakomicie, dziękuję bardzo. Nic mnie nie boli.

- Często odczuwasz ból? - pyta, przytrzymując otwarte drzwi.

- Wcale, lecz wielu ludzi je odczuwa.

- Więc dlaczego podkreśliłeś, że nic cię nie boli?

- Ponieważ mnie nie boli. - I dodaję: - Proszę pani.

- Powinam się spieszyć? Nie mów do mnie „proszę pani”, mów „Elli”.

Dobrze, że nie wie, co sobie w tej chwili myślę. A myślę: hej, o rany, widziałem cię nagą. To taki nieprzyzwoity dreszcz - jakbym miał nad nią coś w rodzaju władzy - ale pomieszany ze wstydem. Nie mówiłem nikomu, co zobaczyłem, siedząc na drzewie. To zresztą nie moja wina. Skąd mogłem wiedzieć, że ona się kąpie?

Fortepian stoi w pokoju, o którym myślałem, że będzie wyglądał jak muzyczna sala

Somraja, ale okazuje się zupełnie inny. Przede wszystkim pełno tam książek - na półkach, na stolikach, w stertach na podłodze. Są tam wyściełane krzesła obite tkaniną oraz jedna sofa tak szeroka, że pomieściłaby cztery do pięciu khaufpurskich tyłków. Elli widzi, że na nią patrzę.

- Wyciągnij się na sofie, jeśli chcesz. Ułóż się wygodnie.

Spodziewałem się, że fortepian wyciągnięty z tej drewnianej skrzyni będzie płaskim instrumentem jak santoor, lecz teraz widzę, że fortepian jest właśnie tą skrzynią, postawioną tylko na trzech nogach z polerowanego drewna. Elli unosi zaokrągloną pokrywę i odsłania klawisze. Muszę wspiąć się na sofę, żeby je zobaczyć: długi czarno-biały szereg, o wiele dłuższy niż w fisharmonii *pandita*.

- Co mam ci zagrać?

No cóż, nie bardzo znam prawdziwą muzykę, bardziej mi odpowiadają filmowe melodie, ale nie chcę wyjść na ignorantę, no i wiele razy słuchałem nauk Somraja.

- Lubię na przykład ragę Bhimpalashri.

Elli wybucha śmiechem.

- Nie wiedziałam, że można grać ragi na pianinie.

- Znasz „Tum Se Achchha Kaun Hai”?

To jeden z moich popisowych numerów, z filmu *Jaanvar*, i to nie tego z roku 1982 albo 1999, tylko oryginału z 1965, w którym grali Shammi Kapoor oraz Rajshree, najlepszej wersji tej historii. Tytuł oznacza „Zwierzę”, więc to film w sam raz dla mnie, a tytuł piosenki tłumaczy się: „O, kto jest lepszy niż ty?”. Lecz gdy ją śpiewam, zmieniam go na *Mujh Se Achchha Kaun Hai?*, czyli: „O, kto jest lepszy niż ja?”.

- Zagram coś, co znam - mówi Elli.

Zaczyna uderzać w klawisze i dudniąca muzyka wydobywa się z pudła. Ma niskie brzmienie jak pomruk gromu, głębsze, niż wydawał jakikolwiek słyszany przeze mnie instrument, może z wyjątkiem bębna, a potem dłonie Elli przemykają na drugi koniec i dźwięki stają się wysokie i słodkie niczym dzwonki.

- Jak się nauczyłaś tak ładnie grać?

- No cóż - odpowiada, przebiegając palcami po klawiszach - w naszym domu zawsze stał fortepian. Moja mama na nim grała. Była w tym dobra. Kiedy miałam około dwunastu lat, zachorowała. Tak mocno zaczęły jej drżeć ręce, że już nie mogła grać. Wówczas ja zaczęłam.

- Nauczyłaś się tego, żeby grać dla niej?

Elli opuszcza ręce na podolek.

- To okrutne utracić taki dar.

Spogląda na mnie, ale ja myślę o Somraju.

- Twój sąsiad z naprzeciwka był kiedyś śpiewakiem. Teraz uczy muzyki.

- Wysoki mężczyzna, zawsze ubrany na biało? I ma córkę? Może raz się sobie ukłoniliśmy.

Na wzmiankę o Nishy czuję się jak zdrajca, ponieważ nie potrafię się wyzbyc brzydkich myśli o Elli Barber. Nie wiem, co powiedzieć o Somraju, bo ton Elli sugeruje, że nie uważa go za osobę zbyt przyjazną, a ja oczywiście nie potrafię zrozumieć dlaczego. Myśl o nich po drugiej stronie ulicy przypomina mi, czego chcemy się dowiedzieć.

- Dayanand, twój menedżer, mówi, że pracowałeś w dużym szpitalu w Amrice.

- To prawda.

- Wielu było chorych w twoim mieście?

- Pewnie, ale nie tylu co tutaj.

- Jak się nazywa twoje miasto? Słyszałem o Nowym Jorku.

- To nie Nowy Jork - odpowiada Elli Barber. - Nic aż tak interesującego, chociaż na swój sposób to fascynujące miejsce. Powinnam napisać do mojej nauczycielki muzyki. Panna Girton, tak się nazywała, prawdziwa stara langusta z Maine, byłaby zdumiona, widząc mnie w Khaufpurze.

- Wszystkich nas to zdumiewa. Ale ja nie wiem, co to takiego langusta. - Nie odpowiada, więc pytam ponownie: - No więc z jakiego miasta pochodzisz?

- Na pewno o nim nie słyszałeś. Wychowałam się w Coatesville w stanie Pensylwania - mówi, ale tak, jakby przebywała myślami gdzie indziej.

- Dziwna nazwa.

- Co w niej dziwnego?

- Po prostu brzmi dziwnie. Jak to się pisze? - W ten sposób, Oczywiście, starałem się zdobyć potwierdzenie informacji.

Elli siedzi przy fortepianie i spogląda na mnie.

- Posłuchaj, Zwierzaku. Wkrótce otworzymy klinikę. Gdy tylko zacznie działać, bardzo chciałabym cię zbadać.

- Duchoville? Duchoville, stan Ołówmania?

- Coatesville - śmieje się. - C-O-A-T-E-S...

Najpierw stopy, potem ręce. Schodzę po stopniach, opuszczam to miejsce.

Farouq mówi, że taniej wynająć internetową kabinę niż pokój w hotelu, więc różne pary często uprawiają tam seks. Pewnie dlatego ludzie gapią się na Nishę i na mnie, kiedy razem wchodzimy do środka. Rozglądam się za jakąś szmatą, ale żadnej nie dostrzegam.

Stoją tam dwa krzesła. Podciągam się na jedno z nich, Nisha sadowi swoją zgrabną pupę na drugim. Stuka palcami w coś płaskiego, pokrytego rzędami guzików podobnych do klawiszy fisharmonii. Po raz pierwszy widzę komputer - ma ekran jak telewizor, tylko że zamiast filmów pokazuje obrazki i słowa w angielskim.

Nisha zwraca się do internetu, by jej opowiedział wszystko, co wie o Elli Barber z Coatesville w Pensylwanii. I czeka, ale nic się nie pojawia. Próbuje jeszcze raz i jeszcze, jest w Coatesville Ośrodek Medyczny dla Weteranów, ale internet nie zna żadnej Elli Barber.

- Używa fałszywego nazwiska - stwierdza Nisha. - Lekarka wykonująca ważną pracę w szpitalu na pewno byłaby zarejestrowana. Można by się spodziewać, że informacja o niej znajdzie się w internecie.

- Skąd on tyle wie?

- Po prostu wie. Spójrz, coś ci pokażę.

Na ekranie ukazuje się znajoma budowla.

- Ja cież pierdolę - wrywa mi się. - To brama Pir.

- Bo to jest Khaufpur kropka kom - wyjaśnia mi. Ta część internetu należy do miasta Khaufpur. Są tu zdjęcia wszystkich naszych słynnych miejsc.

- O w mordę! Przecież to Abdul Saliq!

Gołębie fruwały dookoła wielkiego czerwonego łuku. Poniżej, wśród cieni, kiedy się bliżej przyjrzeć, można dostrzec małą postać zebra z wyciągniętą ręką. Nie miałem pojęcia, że internet zna tych samych ludzi co ja.

Nisha ignoruje brzydkie słowa. Zauważyła moje podniecenie i mówi, że pokaże mi więcej. Zaraz też na ekranie widać duże złote litery języka urdu, które układają się w napis „Aawaaz-e-Khaufpur”, a do tego jest tam jakiś człowiek, wysoki, ubrany na biało i wyglądający o dwadzieścia lat młodziej niż kiedykolwiek, gdy na niego spoglądałem.

- Nisho, to twój tata!

- Taki był przystojny - odpowiada z westchnieniem.

Znowu stuka. Internet zawiera dziesiątki zdjęć Somraja. Młody Somraj ze swoim guru Sahadevem Joshi, tego zwano Lajawaab, niezrównanym. Z różnymi muzykami. Z gubernatorem stanu. Z innymi gwiazdami w Ali India Radio. Śpiewający i wznoszący ramiona w zachwyceniu. Podczas występów Somraj popadał w swego rodzaju trans, wypowiadał sylaby, nie wiedząc, co śpiewa. Dźwięki bez znaczenia, dla samego rytmu, takie jak: *na ta da da ni odani ta re tanom da ni yayali na ta na yayalom*. Nawet to wyśpiewywał z tak głębokim przekonaniem, że niektórzy gotowi byli przysiąc, że słyszą wiersze albo mistyczne perskie zwroty, mające moc przyzywania dżinów.

Wiele zdumiewających historii o Somraju znalazł internet. Na przykład, jak Somraj wychodził z kolegami odetchnąć świeżym powietrzem i wyrażał śpiewem to, co widzi. Spacerował nad Górnym Jeziorem i śpiewał o skaczących rybach na tle zachodzącego słońca albo dostrzegał na niebie klucz żurawi i posyłał im pieśń. Raz w Bombaju w trakcie monsunu stanął na Marine Drive i dostosował swoje wykonanie *Miya ki Malhar* do poziomu ryku wzburzonego morza. Trąby wodne tryskały na dziesięć metrów nad jego głową, lecz Somraj ani drgnął, dopóki nie złapał rozhuśtanego rytmu fal. Czterdzieści minut spędził przy balaskach, obryzgiwany raz po raz słoną wodą, i śpiewał, a tłum bombajskich wallahów zebrał się, by go słuchać. „Kim jest ten facet?” - wypytywali ze swoim okropnym akcentem. A jego wielbiciele odpowiadali: „To sławny *Aawaaz-e-Khaufpur*”. „Khaufpur? Gdzie to jest?”.

Nisha wzdycha.

- Najwyraźniej nagrali to przed tamtą nocą.
- Czy tam będzie coś o tobie, Nish?
- Zobaczymy - odpowiada i naciska guziki.

Internet wychwycił list, który Nisha napisała do gazety, a także zrobił zdjęcie jej i Zafarowi podczas demonstracji.

O Zafarze są niezliczone informacje. Internet śledził go wszędzie, robił zdjęcia na zebraniu w Delhi, widział go obrzucającego farbami biuro Kampani w Bombaju, z Farouqiem, który przemawiał na wiecu w Khaufpurze. Nie można było nie rozpoznać jego niesfornych loków i połyskujących okularów. Czasami Zafar nosi swój stary czerwony turban, a na jednej fotce go traci, skopany przez policjanta.

- Nisho, wyszukaj mnie, *yaar*. Co tam mówią o mnie?
- Kochanie, to działa na innej zasadzie - odpowiada, gdy już pooglądaliśmy sobie sowy, żaby, pantery i tak dalej, w dużych ilościach.
- Jak to, innej? O każdym, nawet o Farouqu ma coś do powiedzenia. Czemu o mnie nic nie wie?
- Pewnego dnia się dowie, kochanie, jestem tego pewna. Dokonasz czegoś wielkiego. Wtedy wszyscy o tobie usłyszą.

Gdy Zafar otrzymuje wiadomość, że nie natrafiliśmy na żaden ślad Elli Barber i znalazła się tutaj pod fałszywym nazwiskiem, oświadcza, iż jest już u kresu wytrzymałości.

- Z jednej strony ludzie chcą tej kliniki, z drugiej, może ona zniszczyć wszystko, na co pracowaliśmy. Jeśli uda się nam ściągnąć Kampani do sądu, będą musieli zbudować tuzin

takich placówek.

Oczy, zdumiewa mnie, że taki facet jak Zafar, który z dnia na dzień zmienia zdanie, uważany jest za wielkiego przywódcę. Co wieczór w domu Nishy prowadzi dyskusje z różnymi grupami. Przychodzi kolej na mieszkańców Orzechokrusza, jest wśród nich Chunaram, bo, jak ci już wspomniałem, Zafar poczuł do niego sympatię. Twierdzi, że Chuna to pirat i dobrze, że ma dziewięć palców, ponieważ każdemu piratowi powinno czegoś brakować. „To, czego Chunaramowi brakuje”, mówię, „to pieprzone serce”. Zafar parska śmiechem i upomina mnie, żebym nie przeklinał.

A zatem Chuna przyszedł razem z innymi i teraz znowu wałkują tę samą kwestię, czyli co zrobić z Elli Barber. Odzywa się Zafar:

- Nie można wytropić wśród lekarzy nikogo o tym nazwisku. Nie ma innego wyjścia, musimy poprosić ludzi, żeby omijali jej klinikę.

Somraj, człowiek sprawiedliwy, jest odmiennego zdania.

- Nasi ludzie bardzo potrzebują takiego szpitala. Niech tam chodzą i czerpią z tego korzyść, a później, gdybyśmy odkryli, że to robota Kampani, możemy poprosić ich, by zrezygnowali.

Na to Zafar:

- Abba, jeśli ktoś umiera z pragnienia, a ty podasz mu chłodną wodę, czy możesz nagle odsunąć naczynie od jego ust? Niech lepiej zaczeka nieco dłużej.

- Proponujesz więc bojkot? - pyta Somraj.

Chunaram zaczyna się śmiać i mówi, że Wasim i Waqar mogliby wyeliminować z gry angielskich pałkarzy, nawet rzucając pomarańcze. Wszyscy są zdziwieni. Wreszcie wyjaśnia, że przypomniało mu się coś, co powiedział angielski gracz w krykieta, niejaki Boycott. Wówczas wszyscy zaczynają dyskutować o krykiecie i cel spotkania gdzieś przepada.

Dopiero po tej całej dyskusji Chunaram zwraca się do mnie:

- Zwierzaku, zapomniałem o jednym. Ma Franci błąkała się po okolicy, wykrzykując coś i majacząc. Kilka kobiet próbowało zabrać ją do domu, ale nie chciała iść. Mówiły, że ma rozpaloną głowę.

- Zapomniałeś? Ty pieprzony idioto! Mózg ci ktoś obesrał?

- Przecież ci teraz mówię, no nie?! - woła za mną urażonym tonem, gdy wybiegam. - Zapracowany jestem! Mnóstwo mam na głowie!

Wracam późno. Jest ciemno, znajduję Ma Franci skuloną w kącie. Dygocze. Żaden ogień się nie pali.

- Nie zaświeci się, Zwierzaku - mówi Ma. - Skończyły się zapalki. Zużyłam ostatnią.

- Nie martw się, Ma, mam zapalniczkę.

- Niech cię Bóg błogosławi, jesteś dobrym chłopcem - dobiega z mroku jej głos.

Ma Franci wie, że bardzo nie lubię korzystać z zapalniczki, bo nie chcę, żeby się wyczerpała, ale to wyjątkowa sytuacja. Wydobywam zippo, otwieram, przesuwam kciukiem po kółku. Zip-zip-zippo, *le bo-is prêt feu!* Cienie skaczą jak żaby po wieży. Otulam Ma płachtą materiału i sadzam ją przy ogniu. Teraz, gdy zrobiło się trochę jaśniej, popatruje na mnie.

- Dlaczego jesteś cały podrapany?

- Wpadłem w zarośla - tłumaczę, choć znowu byłem na drzewie.

Wzdycha.

- Co za trudne dziecko, *marchais toujours au rythme de ton pro-pre tambour.* -
Zawsze maszerujesz w takt własnego bębna.

Żeby zmienić temat, zaczynam jej opowiadać, co wydarzyło się wcześniej w domu *pandita* Somraja. Gdy dochodzę do pomysłu Zafara, by zbojkotować klinikę, Ma zauważa, że amerykańska lekarka będzie tu miała kłopoty i nie uda jej się zrobić nic dobrego dla mieszkańców naszego miasta. Nie chodzi tylko o to, że Khaufpurczycy nie chcą mówić po ludzku, tylko paplą jak makaki albo wilgi, prawdziwa przyczyna, dla której Amrikanka poniesie klęskę, polega na tym, że ona nie potrafi wejrzeć w ich dusze.

- Ci ludzie zbyt wiele wycierpieli. Osoba z zewnątrz tego nie zrozumie.

- Ja nie rozumiem - mówię. - A jestem z wewnątrz.

- Takich ran nie da się wyleczyć.

- Jest duże zapotrzebowanie na lekarzy. - Podczas zebrania Somraj wspominał o braku pomocy dla ubogich.

- Lekarze są bezużyteczni. Sytuacja staje się coraz gorsza. Dawniej ludzie rozmawiali ze mną jak należy. Apokaliza odebrała im mowę.

Wpatruję się w nią, zadając sobie pytanie, jak można się tak całkowicie mylić.

- Powiadam, nie słowami leczy się takie rany. Ludzie czują ból, ich ciała są jak butle, w które co dnia wlewane jest nowe cierpienie. Ciało się roztopia, oddziela od kości w ognistych płatkach, kości płoną, oni sami stają się światłem, przemieniając się w anioły.

O rety, a już myślałem, że zaczęła mówić z sensem.

- *Tonton lariton*, to właśnie to, mój najmniejszy ze zwierzaków, *tonton lariton*.
Widzisz, ludzie nie zdają sobie sprawy, jak głęboka jest rzeka. Apokaliza się rozpoczęła i wypełnia cały świat.

Jej starczy głos zaczyna śpiewać...

Quand j'étais chez mon père,

Quand j'étais chez mon père,

Petite à la ti ti, la ri ti, tonton lariton Petite à la maison.

On m'envoyait à l'herbe pour cueillir du cresson.

La rivière est profonde, je suis tombée au fond.

Nigdy nie słyszałem, żeby aż tak bredziła. Ciągłe dygocze pomimo ognia i gdy kładę jej rękę na czole, wyczuwam gorączkę.

- Ma, jadłaś coś dzisiaj?

Kręci głową.

- Odpocznij przy ogniu, nie zdejmuj okrycia. Pójdę teraz po jakieś jedzenie.

Potrafię przyrządzić dwie rzeczy, za którymi Ma przepada: *bain-gan bharta* oraz *chai*, jedno i drugie dobrze rozgrzewa człowieka od środka. Do pierwszego potrzebuję bakłażana, dużego i krągłego, plus czosnku, plus oliwy, do drugiego herbacianych listków albo szczypty herbacianego proszku, a także trochę cukru. Potrzebna mi też woda. Niektórzy, jak Somraj, mają w domu krany, z których płynie woda, ale to jest Orzechokrusz. Wyruszam do domu Aliyi i zastaję ją nad książką blisko lampki.

- Witaj, Zwierzaku - mówi stara Huriya. - Co cię tu sprowadza tak późno?

- Muszę wziąć trochę wody - wyjaśniam. - Ma Franci źle się czuje. Ma gorączkę.

- To dobra kobieta. - Huriya wciąga powietrze i wydycha je w formie modlitwy. - Mam nadzieję, że to nic poważnego. Chodź tu, Aliyo, Zwierzak potrzebuje pomocy.

- Mogę pojechać na twoim grzbiecie do pompy? - pyta dziecko, odkładając książkę.

- Co? Czy on jest koniem, żeby na nim jeździć? - strofuje ją babcia.

- Nie, osłem - odpowiada Aliya zuchwale, lecz ja mówię od razu, że w porządku, nie przeszkadza mi to, moje barki są szerokie i silne, wozilem niezliczoną gromadę dzieciaków. Więc wspina się na mnie z dużym dzbankiem na wodę i ruszamy w stronę pompy. Aliya trąca piętami moje żebra, wykrzykując prrr! wio! i tym podobne.

- To dobrze, że umiesz czytać - mówię do niej. - O czym była ta książka?

- O dziewczynce - odpowiada - która miała na imię Anarko i nie chciała robić tego, co jej polecono.

- Całkiem jak ty.

- Ha, czy nie wyszłam z tobą? Ciężko pracuję.

To prawda. Jej dziadek Hanif jest ślepy, a Huriya stara, więc Aliya nosi wodę, sprząta i nie tylko, a poza tym chodzi do szkoły, kiedy może.

- Ja tylko żartowałem - mówię. - Jesteś dobrym dzieckiem.

Tym komplementem zarabiam mocnego kopniaka w zębra.

Cóż, Oczywiście, dzięki pomocy Aliyi woda nie stanowi problemu, a choć khaufpurska woda z pompy śmierdzi, jest przynajmniej za darmo.

W drodze powrotnej Aliya kroczy przede mną, niosąc dzban na głowie. Wołam, żeby szła prosto do nas, sam zaś pukam do drzwi miejscowego sklepikarza Baju. Jest już chyba dziesiąta w nocy, Baju zapewne leży w łóżku i przelatuje żonę, ale moje walenie do drzwi zmusza go, by wstał.

- A, to ty - zauważa z cierpkim wyrazem twarzy. - O co chodzi?

- Potrzebuję bakłazana i łyżeczki herbaty - wyjaśniam, patrząc na niego najszczerzej, jak potrafię. - Jutro oddam ci pieniądze.

- Nie zapłaciłeś mi jeszcze za ostatni raz - przypomina Baju.

- Słuchaj, nie prosiłbym cię, ale Ma Franci jest chora i nie mamy nawet marnej cebuli.

Biedakom nic nie przychodzi łatwo.

- Mam nadzieję, że to nie malaria - mówi nieco łagodniejszym tonem. - Jeśli to dla Ma, nie musisz płacić.

- Chciałbym też trochę cukru.

- Coś jeszcze? - pyta z rezygnacją.

Więc mu wyliczam. Czosnek, a następnie - skoro sam zaproponował - mleko, sól, kardamon, pieprz, kłącze imbiru, laska cynamonu, parę goździków.

- Co? To wszystko?

- To dla Ma. Wiesz, co się mówi o porządnej *chai*. Stare kobiety powiadają, że rozgrzeje nawet nieboszczyka.

- Na pewno malaria - stwierdza. - Już wcześniej ją miała. Zanieś jej aspirynę, jeśli gorączka nie spadnie do rana, wróć tutaj, a ja poszukam czegoś silniejszego. - I dodaje, kiedy wychodzę: - Niech to będzie na mój koszt, ale pamiętaj, żeby zapłacić za ostatni raz.

Cholerny dusigrosz.

Wiadomość o chorobie Ma Franci musiała dotrzeć do zakonnicy, bo kilka dni później, wróciwszy do domu, zastaję ją warczącą do psa, Jara zaś leży skulona z łapami skrzyżowanymi na pysku, prawie jakby próbowała zasłonić sobie uszy. Ma nie przeklina, przynajmniej w ścisłym sensie, nie używa plugawego języka jak ja, *putain con, bordel de merde* i tak dalej, wyrażań, których się nauczyłem od français dziwnikarza, kiedy

przesiedzieliśmy we dwóch pół dnia na zwałonym pniu, opowiadając sobie *gaali*, lecz jej złorzeczenia brzmią jakby straszniej, bo wypowiada je naprawdę szczerze: *Il vient encore, cet glos pautonnier, qu'il se morde sa langue de douleur*. Co znaczy: „Znowu nadchodzi, ten... „

- Ma, co to jest „glos pautonnier”?

- Osoba o złym sercu, która jada zbyt dużo.

Nadchodzi ktoś, kto jest wrednym żarłokiem, oby boleśnie przygryzł sobie język.

- O czym ty właściwie mówisz?

- Synu, ci wstrętnei ludzie nie chcą zostawić mnie w spokoju, znowu próbują mnie stąd zabrać. Przyjeżdża ksiądz i mam z nim pójść.

Pokazuje mi kopertę. Odczytuję powoli litery jak w inglisz: „Mère Ambrosine, Klasztor Świętego Józefa, Khaufpur”. Powyżej ktoś nabazgrał w hindi: „Ma Franci, Waląca-się-Rudera-przy-Fabryce, Orzechokrusz”.

Ambrosine, więc tak brzmi prawdziwe imię Ma Franci. Nie znałem go przez te wszystkie lata. Na samą myśl o jej wyjeździe ściska mnie w żołądku. Ta stara kobieta, która nazywa mnie synem, jest jedyną matką, jaką miałem.

- Nie chcę wracać - mówi. - Co ja tam będę robiła? Upłynęło tyle czasu, prawie nie pamiętam tamtego miejsca.

- Kiedy ten ksiądz przyjedzie?

- Nie napisali w liście.

Natychmiast pędzę do Huriyi Bi, babci Aliyi, najlepszej przyjaciółki Ma w Khaufpurze. Żadna nie rozumie ani słowa z języka drugiej, ale siadają i gdczą jak dwie stare kwoki.

- Może to dla niej najlepsze - mówi Huriya.

Parzy herbatę, co robi zawsze, gdy ja czy ktokolwiek inny przychodzi do jej domu. Jej pomarszczone ręce wtykają gałązki w gliniane palenisko, płomyki buchają pod czajnikiem. Czajnikiem o poczeriałym dnie i bokach. Wypiłem z niego pewnie setki kubków herbaty. Niechaj inni wierzą w Boga, ja swoją wiarę w dobroć i serdeczne przyjęcie pokładał będę w tym czajniku.

- *Dadi*, Ma nie chce jechać do Francji, ona chce zostać tutaj. Tam nie ma nikogo, tu wielu ludzi ją kocha. Teraz my jesteśmy jej rodziną.

- Chłopak ma rację. Co ona będzie robiła w jakimś obcym kraju? - wtrąca Hanif Ali, mąż Huriyi.

- Zwierzaku, myślę, że koniec końców Ma postąpi tak, jak sama zechce.

- Owszem, więc musimy znaleźć sposób, żeby jej w tym pomóc.

Od czasu choroby Ma muszę omijać dom Bajy, dopóki nie będę mógł mu zapłacić, więc przemykam od drugiej strony, klucząc w labiryncie chat, by dotrzeć do sklepu „Ja Żyję” Ajmeriego przy Rajskim.

Paryż ma swoje Pola Elizejskie, w Delhi znajduje się Chandni Chowk, nawet Khaufpur ma Nilofer Road, gdzie bogatsi robią zakupy, a u nas czymś takim jest Rajski Zaulek, ten bulwar marzeń, który biegnie od rogu promenady Kali do samego serca Orzechokrusza. Tu właśnie stoi sklep Uttamchanda „Ja Żyję” Ajmeriego. Dla kogoś takiego jak ty to pewnie lichota. Buda odsłonięta od frontu, z dyndającymi na sznurkach paczuszkami gutki i supari, które kręcą się w podmuchach wiatru, nie dorównuje sklepowi Rama Nekchalana w Kurzym Pazurze, mającemu metalowe żaluzje, ale i tak przewyższa norę Bajy. U „Ja Żyję” każdy chłopak z Orzechokrusza kupuje za rupię pierwsze papierosy. Dzieciaki przychodzą z monetami wycyganionymi na latawce, bączki i kulki, ci, których na to stać, kupują szklane galki, inni, tacy jak ja, musieli używać glinianych albo grudek ciasta zapieczonych na twardo przez matki na paleniskach, o co ja, niemający matki, prosiłem zwykle Hurię Bi.

Gdy pewnego dnia zbliżam się od tyłu do sklepu „Ja Żyję”, słyszę gdzieś przed sobą okrzyki dzieci: „Aiwa! Aiwa!”. Stąd wiem, że w *basti* pojawił się jakiś cudzoziemiec. Ktoś nadjeżdża z tamtej strony na rozklekotanym rowerze. Pytam, co się dzieje.

- *Arré*, nic takiego - odpowiada mi ktoś. - Jakiś dziwnikarz chodzi po domach przy Rajskim razem z *government-waali* doktorką.

Przy domu „Ja Żyję” zastaję chmarę dzieciaków oraz właściciela, który wpatruje się w nie z groźną miną.

- Spieprzajcie stąd - chrypi. Jak wszyscy sklepikarze nienawidzi dzieci. - Odpierdolicie się, idźcie denerwować wasze matki.

Dzieciaki go ignorują, ciągle powtarzają „*Aiwa*”, lecz bez tego zapału, jaki okazują, gdy obcokrajowiec patrzy. Odzywają się znudzonymi głosami tylko dlatego, że zwykle wykrzykują to słowo, ale teraz nie wkładają w to serca. Wielkodupiasta doktorka *government-waali* staje przed jednym z domów i rozmawia z tym kimś obcym. Podchodzę i serce podskakuje mi w piersi. To żaden dziwnikarz, tylko Elli Barber. Dlaczego tu przyszła? Dlaczego jest z nią rządowa lekarka? No cóż, dżejmsbondowanie to moje zajęcie, więc podkradam się bliżej i pożądliwie nadstawiam uszu.

- Trudno się dziwić, że są chorzy - mówi Elli cicho, chyba nie chce, by mieszkańcy Orzechokrusza ją słyszeli. - Proszę spojrzeć na ten brud, wszędzie śmieci i plastik, otwarte kanały ściekowe cuchną tuż przed domami. Muchy. Każdy skrawek niezagospodarowanej

ziemi służy jako latryna. Widziałam ludzi wypróżniających się na torach kolejowych.

- Proszę pani, ci ludzie nie wiedzą, że można żyć inaczej.

- Ale wy wiecie. - Elli na to. - Więc ich nauczcie. Zorganizujcie ekipy, które uprzątną śmieci. Załóżcie rury wodociągowe, krany, zbudujcie porządne latryny...

- Zgadzam się, oczywiście, ale skąd wziąć na to pieniądze?

- Skąd je wzięto na tę nową drogę wzdłuż jeziora albo te wszystkie nowe wieżowce wyrastające w całym mieście?

- Proszę pani, to nie wchodzi w zakres moich uprawnień.

- W czyjś zakres wchodzi - mówi Elli doktorka. - Niech pani tylko przyjrzy się temu miejscu. Te domy sprawiają wrażenie zbudowanych przez termity.

Government-waali śmieje się z zakłopotaniem.

- Poważnie - ciągnie Elli - cała ta dzielnica wygląda jak pozostałość po trzęsieniu ziemi.

Gdy Elli wypowiada te słowa: „trzęsienie ziemi”, coś dziwnego i bolesnego staje się z moją głową. Aż do tej chwili był to dla mnie Rajski Zaulek, serce Orzechokrusza, miejsce, które znałem całe życie. Teraz nagle zaczynam patrzeć na nie oczami Elli. Rajski Zaulek to zrujnowane zbiorowisko kopców z wypalanej ziemi i stosów desek, na których wiszą jutowe worki, foliowe płachty, wysuszone palmowe liście. Jak pijacy obejmujący się nawzajem za szyje domy w Orzechokruszu stoją podparte chwiejnie przy tej wąskiej uliczce, która teraz nie jest już tak naprawdę nawet uliczką, lecz po prostu długą szczeliną pozostawioną przypadkiem między ruderami. Wszystko jest zasłane gównami i plastikiem. Faktycznie widzę, jak nędzne i odrażające jest nasze życie.

- Cześć, Zwierzaku - mówi Elli, zauważywszy mnie kolebiącego się na trzech łapach i osłaniającego oczy dłonią. - Jak się dzisiaj miewasz?

- Groszek-kartofel samosa jako a.

- Aż tak świetnie?

Rządowa lekarka mierzy mnie zza połyskujących okularów spojrzeniem pełnym obrzydzenia.

- Erdoł pierdoł - mówię do niej. - Mam na myśli ciebie. Kto ty jesteś, żeby rzucać na mnie zły urok? Precz z tobą.

- Jesteś obłąkany?

- Ano jestem, tłusta paniusiu - odpowiadam, mocno wytrącony z równowagi. Głosy w mojej głowie udzielają rad: powiedz to, zrób tamto. - Powinnaś spróbować umyć się między nogami - dodają i zaczynam się kręcić, jakbym gonił własny ogon, co dzieci witają owacją.

Elli grozi mi palcem, obydwie skręcają w bramę, a raczej w to, co kiedyś nazywałem bramą, a teraz jest wyżartą przez termity futryną w ścianie ulepionej z gliny. Co one knują? E tam, pieprzyć to, wejdę za nimi.

Wewnątrz przestaję na chwilę widzieć. Panuje tam mrok, smugi światła wpadają przez szpary między deskami w odległej ścianie. Elli i ta druga przechodzą na podwórko, gdzie rosną niewysokie melonowce obwieszane żółtymi owocami. Przystaję, bo siedzi tam w słońcu na taborecie młoda kobieta. Ma na sobie ciemnoniebieską spódnicę, ale od pasa w górę jest naga. Ma skórę bardzo ciemną, prawie czarną, piersi okrągłe i nabrzmiące. Uciska je powoli palcami, dwie strugi mleka tryskają na ziemię.

Elli stoi nieruchomo, jakby oślepiło ją światło. Matka, nie podnosząc głowy, nadal polewa mlekiem kurz. Wreszcie Elli odzywa się przyciszonym głosem:

- Biedactwo. Jak to się stało, że straciła dziecko?

Government-waali doktorka nie odpowiada, za to krzyczy na kobietę:

- Ile razy ci mówiłam, żebyś nie wierzyła plotkom?!

- Nie wytrzymam, tak mnie bołą piersi - odpowiada tamta ponuro.

- Sama jesteś sobie winna - ucina *waali*.

Matka wzrusza ramionami, ale nadal wyciska jasne mleko z ciemnych sutków.

- Po co się fatygujecie? - pyta. - Wy nigdy w niczym nie pomagacie.

- Ja przyszłam, żeby pomóc - zwraca się do niej w hindi Elli. - o co chodzi?

- Nie będę karmiła mojego dziecka trucizną. - Pochyliła się, by strząsnąć na ziemię ostatnie krople mleka.

- Dała się wprowadzić w błąd, proszę pani - tłumaczy przedstawicielka rządu, a potem rzuca w stronę kobiety: - Leczę ciało, nie wybujałą wyobraźnię.

- Niczegoj nie umiecie wyleczyć - odzywa się ktoś bardzo stary, kto siedzi w cieniu, podając plastikową butelkę dziecku, które wytrzeszcza z przerażeniem oczy mocno podkreślone czarnym antymonowym proszkiem.

- Więc to jest twoje dziecko - mówi Elli. - Czemu wspomniałaś o truciznie?

- Jak my popatrzyły na te mliki - znowu wtrąca się babka - to się nam zdało bardzo cienkie i wodom podeszłe. A tyż trochę cyrwune, co je nienormalne i złe. I mo gorzki smak, a to widzicie, co całkiem niezdrowe.

- Pali je w brzuchu - dodaje matka.

- Dziecko huka bez przerwy - mówi babka, unosząc niemowlę. - Ponad miarę huka.

- Huka? Co to znaczy? - pyta Elli.

Śmiech tańczy we mnie, w całym ciele, aż chce mi się skakać. Te wsiowe typy ze

swoim cudacznym akcentem i wiejskim sposobem wyrażania!

- Yk! - czka dzieciak, odpowiadając na pytanie.

Matka zwraca się do Elli:

- Nasze studnie są pełne trucizny. Jest w glebie, wodzie, w naszej krwi, jest w moim mleku. Wszystko tu jest zatrute. Jeśli zostaniesz na dłużej, ty też się zatrujesz.

W jednej chwili ziemia pod moimi stopami zmienia się w wodę. Młoda kobieta zdaje się płynąć po migotliwym oceanie, a melonowce to wysokie zielone trąby wodne albo ogony monstualnych nurkujących ryb. Mój umysł wraca z przestrzeni, w której się zabłąkał, i odkrywa rządową lekarkę, zbliżającą się do mnie z wyrazem wściekłości na twarzy. Czym prędzej daję drapaką i biegnę skryć się w sklepie „Ja Żyję”, jedynym miejscu, do którego *waali* nie zechce za mną pójść, jeśli wie cokolwiek o mieszkańcach Orzechokrusza.

- Karton mleka potrzebuję, pięćdziesiąt gramów mąki i dwie świeczki.

„Ja Żyję” wbija we mnie wylupiaste oczy. Błyszczą jak dwie ogromniaste szklane kulki i nadają mu wygląd człowieka wiecznie przerażonego, na przykład kogoś, kto patrzy, jak szczury pożerają jego jądra. Jego prawdziwe imię brzmi Uttamchand, ale ludzie nazywają go Zindabhai, w skrócie Zinda, co oznacza „Ja Żyję”.

- Zwierzaku, jesteś blisko z Zafarem *bhai* - zaczyna, wynosząc mi mleko. - Ta zagraniczna doktorka to ta sama, o której powiadają, że otwiera klinikę w Pazurze?

- Tak. - Przycupnąłem za workiem ryżu. - Czy nie idzie ta *gouvemment-waali*? Jeśli się tu pokaże, wyjdę tylnymi drzwiami.

- Nie chcę wiedzieć, co zrobiłeś - oznajmia. - Słyszałem od Chunarama, że Zafar *bhai* zamierza zbojkotować tę klinikę. Moim zdaniem to zły pomysł. Brat Zafar może oczywiście liczyć na nasze poparcie we wszystkim, ale tu w grę wchodzi zdrowie ludzi, nie polityka.

- Nie możesz jej przegapić - ciągnę. - Oczy ma jak pieprzone muchy końskie, a pośladki ocierają się o siebie, jakby meły ziarno.

- Nie widzę jej - mówi „Ja Żyję”. - Słuchaj, wiem, jakie stanowisko zajmuje Zafar. Chcę powiedzieć, że tym razem to nie jego sprawa. Skoro mi nie dyktuje, co mam zjeść na obiad, to powinienem też pozwolić mi zgłosić się do tej kliniki, gdybym chciał.

- Niepotrzebna ci klinika - ja na to, wychodząc zza osłony worków. - Ty nie możesz umrzeć.

- A właśnie, że potrzebna - oznajmia, krzątając się, by uzupełnić moją skromną listę zakupów. - Jeżeli ten z góry nie wezwał mnie jeszcze, czy to znaczy, że mam żyć w cierpieniu? Pogarsza mi się wzrok, moje płuca są chore, sam nie wiem, ile razy muszę wstawać w nocy do wychodka, drętwieje mi lewa noga, palce rąk też mrowią, więc często

myślę sobie: „Uttam, twój czas się kończy”, ale zawsze ten z góry upatruje sobie kogo innego. W tym domu naprzeciw mieszkała Sahara, pewnego dnia krew popłynęła z jej łona, to był rak, miała czterdzieści sześć lat, zmarła tam, po drugiej stronie ulicy, a ja jestem dziesięć lat starszy i ciągle żyję. Tuż obok mieszkał Rafi, wydawał wszystkie pieniądze na lekarstwa, mniej niż dziesięć rupii szło na jedzenie, ale nic mu to nie pomogło. On też odszedł, a ja zostałem, by go wspominać. Mojej sąsiadce z tej strony, Nafisie, spuchła szyja i bardzo bolała. Nafisa nie mogła podnieść ręki, mówiła, że to zupełnie tak, jakby ktoś szarpał jej nerwy od wewnątrz. Nie ma jej już na świecie, ale ja jestem. Jej kuzynka Safiya mieszkała dwa domy dalej. Miała kobiece problemy, czuła ból, jakby traciła dziecko, lekarz kazał jej pić mleko i jeść owoce. Przyszła do mnie i powiada: „Zinda, musisz nam pomóc. Nie stać nas nawet na *roti*, skąd wziąć na owoce?”. Dałem jej kilka guajaw i rzekłem: „Siostrze, zapłacisz mi, jak będziesz mogła”. Ale zanim zdążyła zapłacić, odeszła, a ja ciągle żyję.

Oczy, pewnie już się domyślasz, skąd pochodzi jego przydomek.

- To twoja dobroć przedłuża ci życie - mówię, zmierzając ku wyjściu.

- Czeka! - woła. - Brakuje dwóch rupii!

- Ja tu wrócę. Nie martw się, Zindabhai, mnie na pewno nie przeżyjesz.

- Łajdak!

Zrobiwszy dwa kroki, staję jak wryty, widząc niebieskie dzinsy, obok których tkwią tęgie nogi w szarawarach.

- Oto i on - mówi Elli.

- Ten kutafon jest mi winien dwie rupie! - wykrzykuje „Ja Żyję”, dopadając mnie z sapaniem i chwytając za ucho.

- Puszczaj! - Próbuję się wyrwać, ale ten skurwiel okazuje się zadziwiająco silny jak na kogoś na progu śmierci. Zaraz potem jego stopa ląduje na moim tyłku.

- Zdaje się, że ten chłopak to prawdziwy czarny charakter - zauważa *government-waali* z satysfakcją.

- A ty kłamiesz! - krzyczę. - Elli doktorko, to, co tamta kobieta powiedziała o wodzie, jest prawdą, każdy tutaj o tym wie. Ci z rządu kłamią. Sam minister Zahreel Khan przyjechał tu, do Orzechokrusza, i w obecności całego tłumu dziwnikarzy wypił szklanek wody prosto ze studni, aby pokazać, że jest nieszkodliwa. Ale Chhoté Ram, syn Mukunda krawca, widział minutę później, jak minister poszedł na tyły domu i wsadził dwa palce w gardło.

- Oddawaj moje dwie rupie - mówi „Ja Żyję”, wymierzając mi następnego solidnego kopniaka.

- Proszę przestać! - rozkazuje Elli. - Oto dwie rupie. Niech pan go puści.

Nemisbond Dzejmsbond, zmierzam okrężną drogą do Chunarama, gdzie zastaję Zafara siedzącego z Nishą, Farouqiem i innymi. Tam też składam raport, pomijając utarczkę z „Ja Żyję”.

- Gówniany szpieg z ciebie - rzuca Farouq. - To dla nas nie nowina.

- Właśnie dyskutowaliśmy o tym - mówi Zafar. - Ona flirtuje z rządem.

- Nie flirtuje. - Widzisz, Oczy, niechcący staję w obronie Elli. - Ochrzaniała tę *government-waali* doktorkę. No i powinieneś był słyszeć, co powiedziała, kiedy jej opisałem, jak było z wodą i Zahreelem Khanem.

- A co powiedziała? - pyta Nisha.

- Kiedy rządowa lekarka sobie poszła, Elli doktorka powiedziała, że zawsze czuła, iż z Zahreelem Khanem coś jest nie w porządku. Zdaje się, że podczas ich pierwszego spotkania przemawiał wyłącznie do, wybac Nisho, jej bułek, to znaczy buforów.

- Więc dlaczego otwiera jej klinikę? - pyta szybko Zafar, by uchronić Niszę przed roztrząsaniem kwestii bułek plus buforów. - Ty i ona sprawiacie wrażenie dość zaprzyjaźnionych - dodaje po krótkim namyśle.

- Mam oczy i uszy otwarte, tak jak się umawialiśmy.

- Twoje zadanie polega na zdobywaniu użytecznych informacji. Czy ta jest użyteczna?

- Zafarze *bhai*, wyjaśnij, proszę, co uznajesz za użyteczne? To, co ludzie myślą i mówią? Czy tylko to, co sam chcesz usłyszeć?

- Posłuchajcie tego ulicznego śmiecia - odzywa się Farouq.

- To uczciwie postawione pytanie. Niech się wypowie - mówi Zafar.

Nikt nie rozmawia z Zafarem wprost, nie ośmielają mu się sprzeciwić, ale ja się nie boję.

- Zafarze *bhai*, jeśli naprawdę pragniesz wiedzieć, ludzie nie chcą bojkotować kliniki. Wszyscy rozpaczliwie potrzebują leczenia.

- Mimo to - odpowiada - jeśli ich poprosimy, żeby trzymali się z daleka, usłuchają. Czasami rzeczy bolesne są koniecznością.

- Bracie Zafar, zawsze powtarzasz, że Kampani ma pieniądze, władzę, bogatych przyjaciół i tak dalej, my zaś nie mamy nic i że właśnie to nic daje nam siłę, by walczyć i może nawet zwyciężyć?

- Nie: może - mówi on. - Na pewno. Kampani nie wie, z czym musi się zmierzyć. Ludzie, którzy nie posiadają niczego, nie mają też nic do stracenia, nigdy się nie poddamy, w nieposiadaniu niczego kryje się siła, której nie sposób się oprzeć. To może trwać długo, ale w końcu zwyciężymy.

- A ta siła niczego - drażę - czym ona jest? Czy nie rozpaczą? Jeśli tak, czy ta sama siła nie przyciągnie tłumów do kliniki Elli?

- Zobaczymy - odpowiada, marszcząc brwi.

- Elli doktorka nie jest od Kampani. Jest po naszej stronie. Czytałem w jej myślach, czułem to, co ona. Wiesz, że to potrafię.

- Zwierzaku - zaczyna ze smutkiem Zafar. - Jesteś kimś wyjątkowym i wszyscy o tym wiemy, ale pewne sprawy są po prostu zbyt ważne, by zdawać się na odczucia.

- Myślę, że Zafar ma rację - wtrąca Nisha. Ściska jego ramię, by pokazać, że cokolwiek powie ten wredny powątpiewający Zwierzak, dopóki ona tu jest, z dupy Zafara będzie bił blask na cały Khaufpur.

- Więc co planujesz? - pyta Chunaram, który kręci się obok naszej grupy, gdy siedzimy ze szklankami *chai*.

- Chuna, bracie, sądzę, że wysłuchamy głosu demokracji. Jak zdecyduje, tak postąpimy, ale nie możemy pozwolić Kampani na gromadzenie fałszywych danych medycznych. Kto myśli, że oni się do tego nie zniżą, niech sobie przypomni „uda losu”.

Teraz westchnienia brzmią inaczej, bo wszyscy pamiętają.

„Uda losu” to określenie w angliżu, nie wiem, jak by to brzmiało w hindi. Po tamtej nocy, kiedy trucizny wydostały się z fabryki Kampani, ci, którzy nie umarli od razu, znaleźli się w bardzo złym stanie - mdleli, dostawali drgawek, bólów, ataków kaszlu, pluli krwią, ślepli, ledwo mogli oddychać i tak dalej. Te „uda losu” to było lekarstwo, które przynosiło ludziom ulgę. Wieść szybko się rozeszła, z całego miasta ściągali ludzie i ustawiali się w kolejce do zastrzyków, lecz nagle leczenie się urwało. Jakiś ważniak wygadał się przypadkiem, że szefowie Kampani z Amriki zatelefonowali do swojego najlepszego przyjaciela, głównego ministra, i kazali mu wstrzymać „uda losu”. Wynikła z tego potężna awantura. Kilku lekarzy przeniosło się do rudery w pobliżu fabryki i znowu zaczęli dawać zastrzyki. Zjawili się policjanci, rozwalili budę, pobili lekarzy. Zafar twierdzi, że niosąc ulgę, te „uda losu” udowodniały też w jakiś sposób, że choroby mogą zostać przekazane następnym pokoleniom. Ludzie Kampani bali się ujawnienia tej wiedzy, bo mogłoby ich to dużo kosztować w sądzie, dlatego wstrzymali „uda losu” i zginęło wielu, których można było uratować.

- Czemu ten skurwiel usłuchał Kampani? Przecież oni już wcześniej uciekli - takie zadaje ktoś pytanie.

- Kha, aleś ty naiwny - odpowiada mu czyjś głos. - Czy politycy nie siedzieli od samego początku w kieszeni Kampani? Zapomniałeś, jak w tamtych czasach nadęte grube

ryby jeździły jej limuzynami, nie patrząc w prawo ani w lewo? Moja stara powiada, że Zahreel i minister czekają, żebyśmy wszyscy poumierali, bo wtedy ich kłopoty się skończą.

- Główny minister robi, co mu Kampani każe - odzywa się Nisha.

- Bracie Zafar, dlaczego oni nas tak nienawidzą? - pyta ktoś inny.

- Ponieważ - odpowiada Zafar - my podnosimy głowy, zamiast lec potulnie i umrzeć.

- Są bogaci, mają wszystko. Dlaczego nam odmawiają nawet zdrowia?

- Wiecie, czego tak naprawdę nie mogą nam wybaczyć? - ćwierka Gaurilal Babu, który, nawiasem mówiąc, Oczy, jest jednym z najbrzydszych ludzi, jakich widział świat. Ma tak ohydny wyraz twarzy, że według mieszkańców Orzechokrusza od jego spojrzenia kiśnie mleko.

- Powiedz nam, Gauri! - zawołali chórem zgromadzeni amatorzy herbaty.

- Tego, że największa rozkosz życia jest dostępna za darmo i dla biednych, i dla bogatych. Ten osławiony dreszcz, na którego punkcie cała ludzkość ma bzika. Ludzie możni i bogaci ryzykują dla niego wszystko, lecz mogą się nim radować także nędzarze.

Farouq, który aż do tej chwili nie odezwał się ani słowem, uznaje, że nadeszła pora, by się wtrącić.

- W tych sprawach Zwierzak jest ekspertem. Wystarczy spojrzeć, jak pożera wzrokiem amerykańską doktorkę.

Nisha sięga po torebkę.

- Okej, muszę już iść - mówi.

Zafar ściska jej rękę, wymieniają spojrzenia, od których skręcam się w środku. Nisha macha nam na pożegnanie i wychodzi.

- *Shabaash*, Farouq - rzucam. - Wyprosiłeś Niszę.

- Bracie Zafar - nie ustępuje Gaurilal - czy nie jest prawdą to, co przed chwilą powiedziałem?

Zafar odpowiada:

- Niezupełnie, bracie Gauri. Dla bogaczy seks to tylko oddawanie się przyjemności, podczas gdy w domach biedaków staje się sztuką.

Ciągle wyszukuje nowe powody, by chwalać ubogich.

- Co, chcesz powiedzieć, że dla biednych seks jest czymś lepszym? - To ja.

- Kurewsko dużo o tym wiesz - szydzi Farouq.

- Mój Boże, przepadam za tymi filozoficznymi dyskusjami - stwierdza Gaurilal, drapiąc się po głowie.

Reszta głupków szczyrzy zęby. Kiwiają głowami i powtarzają „*wah, wah*”, choć nie

mają pojęcia, co jest grane.

- Słuchajcie - mówi Zafar - przypuśćmy, że jesteście młodym małżeństwem. Jest wiosna i pożądanie krąży w waszych żyłach. Leżąc obok siebie, wyciągacie ręce i dotykacie się pod przykryciem. Ale musicie zachowywać się ostrożnie, bo teściowa śpi zaledwie o kilka stóp dalej. Dzieci brata też śpią w tym samym pokoju. Musicie czekać, aż wszyscy zasną. Leżycie cicho, nasłuchując ich oddechów, a potem musicie wykonywać jak najlżejsze ruchy, żadnych szmerów i szelestów, choćby najcichszych dźwięków. W takich warunkach erotyka urasta do rangi sztuki.

- Możliwe nawet - odzywa się Gaurilal - że te ograniczenia nałożone na biednych, konieczność kontrolowania oddechu plus wykręcania ciała, by je dopasować do ciasnych i nieprawdopodobnych miejsc, dały początek jodze.

Zafar przez chwilę zastanawia się nad tym, zdejmuje okulary i przeciera je brzegiem koszuli, po czym wkłada je z powrotem i zauważa:

- Nie, nie sądzę.

Wielka wada teorii Zafara polega na tym, że jest to teoria fałszywa. Nikt mu tego nie wytknie, więc następny krok należy do mnie.

- Bracie Zafar, dzieciaki z Orzechokrusza są przyzwyczajone do tego, że ich matki i ciotki wzdychają „och, baba” i szepczą „rób to ciszej”. Muszą się nauczyć trzymać buzie na kłódkę i nie chichotać.

Wtedy Zafar się zarzeka, że jego teoria nie jest skażona cynizmem, przeciwnie, dowodzi, że ubodzy posiadają więcej cnót. Są nie tylko skromni, pomysłowi i wytrwali, lecz także dyskretni i w obliczu trudności zachowują poczucie humoru. Mówi o tym, jak ludzie o płucach zniszczonych przez truciznę Kampani, którym trudno nawet oddychać, wciąż potrafią się śmiać. Ale gdy Zafar to opowiada, nie słyszę śmiechu ubogich, lecz Kampani, słyszę śmiech morderców.

Później, leżąc samotnie na posłaniu w zrujnowanej wieży, słuchając cichego drapania skorpionów w ścianach, nagle zadaję sobie pytanie: Skąd Zafar tyle wie o szeleście pościeli, głośnych oddechach i tym podobnych rzeczach oraz o konieczności zachowania absolutnej ciszy podczas uprawiania seksu? No i oczywiście przypominam sobie, że Somraj potrafi wychwycić najcichsze dźwięki.

Taśma dziewiąta

Tamta wspinaczka na mangowiec nasunęła mi pewien pomysł. Przysięgam, że właśnie stąd się wziął. Przedtem zawsze patrzyłem na uroczyn w ogrodzie Somraja jak na zwyczajne drzewo. Miał piękne białe kwiaty o żółtych pachnących sercach i gdyby aniołowie oddychali, ich oddech byłby ich rozkosznym tchnieniem. Mimo wszystko było to tylko jedno z wielu drzew. Dopiero po hecy z mangowcem zauważyłem, że uroczyn ma gładki pień, żadnych kolców ani ostrych występów, gałęzie zaczynają się nisko i byłoby śmiesznie łatwo się po nich wspiąć, a na dodatek jeden gruby konar kołysał się zaledwie o kilka metrów od okna pokoju Nishy.

Teraz, gdy patrzę na to drzewo, przychodzi mi do głowy, że mógłbym wdrapać się na nie i sprawdzić, co obydwójce z Zafarem tam porabiają. Czy to aż takie złe? Muszę się upewnić, że brat Zafar nie wykorzystuje swojej przewagi. Po prostu chcę zyskać tę pewność. Wdrapię się na drzewo nie po to, by podglądać Nishę, lecz by strzec jej czci. Można to nawet nazwać obowiązkiem. Jestem jej to winien. Dziewczyna taka jak ona, z dobrej rodziny, powinna zachować czystość aż do ślubu. Jeśli ludzie się dowiedzą, że prowadzi rozwiązłe życie, kto zechce ją za żonę?

Kto? Ja zechcę. Mój stan nigdy jej nie przeszkadzał. Nisha akceptuje mnie takiego, jakim jestem. Kiedy nazywa mnie czworonogiem, jest to stwierdzenie faktu, nic więcej. Inni okazują złośliwość, Farouq zawsze ze mnie drwi, nawet Zafar raz mi dokuczał: „Czy sfotografować twój galop?”. Obejrzeliliśmy właśnie w telewizji u Chunarama program o facecie, który ustawił w rzędzie dwadzieścia cztery aparaty fotograficzne i włączał je po kolei, cyk, cyk, cyk, cyk, gdy koń pędził obok. Chciał sprawdzić, czy wszystkie cztery kopyta odrywają się kiedykolwiek razem od ziemi. Pomyślałem, że nawet święty Zafar zapomina się i potyka czasami, przez co jednak sprawia wrażenie jeszcze bardziej ludzkiego. „Gdybym pogalopował przed tymi aparatami”, zacząłem, „to pokazałyby nieszczęśliwe zwierzę czy nieszczęśliwego chłopaka?”. Na to Zafar od razu mnie przeprosił i uściskał, a Farouq dalej się śmiał.

Chodzi o to, że jeśli ktoś powie: jesteś leniem, no cóż, możesz to zmienić. Jeśli mi

powiesz: „Zwierzaku, jesteś zachłanny, gburowaty, uparty i kutas wystaje ci z portek”, mógłbym każdą z tych rzeczy zmienić, ale nie zmienię tego, że chodzę na czworakach. Sprawić, że ktoś poczuje się źle z powodu czegoś, co nie jest jego winą i na co może gówno poradzić, to już okrucieństwo. Nisha nie potrafiłaby być okrutna. Myślę, jaka jest dla mnie życzliwa i dobra. Wątpliwe, żebym kiedyś spotkał drugą taką kobietę. Potem przychodzi mi do głowy, że gdybym był naprawdę podły, mógłbym rozpuścić plotkę, a wtedy nikt nie chciałby jej poślubić. Ale za bardzo mi na niej zależy. Z moralnego punktu widzenia nie mam wyboru, muszę wleźć na to drzewo.

Pierwszej nocy jestem przerażony. Liście uroczynu nie są tak gęste jak mangowca, rosną w pęczkach na końcach gałązek. Ale drzewo znajduje się na tyłach ogrodu Nishy, a ponadto w uliczce nie świecą latarnie, więc nikt nie widzi, jak się wślizguję na długą gałąź, znajdującą się tuż obok jej okna. Jest późno, po dziesiątej, z muzycznego pokoju Somraja dobiegają dźwięki sitaru. Pełne smutku, jak wspomnienia *pandita*. Okno Nishy pozostaje ciemne. Może Nisha sprząta albo parzy ojcu herbatę? Wiem, że Zafar też tam jest, bo przed domem stoi jego motocykl. Już niedługo wejdą na górę. Kamienieję z przerażenia na myśl o tym, co mogę zobaczyć. Raz, kiedy byłem mały, przyłapałem rodziców jednego znajomego chłopaka, gdy zacząłem go szukać u nich w domu. Wnętrze było jedną wielką izbą, wspólną dla wszystkich. Nie dostrzegłem nikogo, ale zza zasłony rozciągniętej w kącie dobiegały jakieś hałasy. Zerknąłem więc tam i zobaczyłem dwie brązowe małpy zmagające się w zapasach. Chwilę potrwało, zanim sobie uświadomiłem, że to ojciec i matka mojego kolegi. „Dzień dobry, gdzie Raju?” - zapytałem. Odskoczyli od siebie i zaczęli się rozglądać. „Co robisz, wujku?” - pytam go. „A, to ty!” - rzuca wujek z rozdrażnieniem. „Szukam kolczyka cioci”. „Siedziała na nim?”. „Może byś się tak odczepił, co?”.

No cóż, Oczy, nigdy nie zdołałem przyjrzeć się należycie, dlatego mówię, że pierwszą nagą kobietą, jaką widziałem w życiu, była Elli.

Zapala się światło. Niespodziewanie widzę przed sobą pokój Nishy, z którego wyziera ku mnie ogromna twarz. To Shah Rukh Khan, gwiazdor filmowy. Sukinsyn! Jakim prawem jego papierowe oczy oglądają to, co się tu dzieje, w miejscu, w którym nigdy nie byłem? Tuż pod twarzą Shah Rukha dostrzegam mniej więcej połowę łóżka. Teraz Nisha przesuwą się obok niego w stronę jakiegoś kształtu w kącie. To szafa. Zafara ani śladu. Po kilku minutach słyszę odgłos zapuszczanego motoru i w dole błyska tylne światło, które skręca i zmierza w stronę Nekchalana. Mógłbym już zejść. Przynajmniej tej nocy jej czci nic nie grozi. Ale po chwili jest już za późno, Nisha właśnie zdejmuję *kameez*. Okej, więc nie będę patrzył. Nie wlażem tu po tanią podniętę. Rozwiązuje pasek szarawarów. Zaraz zasłonię oczy. Szarawary

opadają, Nisha wygina ramiona do tyłu, zsuwa rozpięty stanik... Co za oszałamiający widok. Po chwili mówię sobie, że to naprawdę nie ma znaczenia, bo przecież jestem tu po to, by strzec jej honoru. A ponieważ mogę to robić tylko w ten sposób, to muszę zapłacić tę cenę i od czasu do czasu zobaczyć pewne rzeczy. Nisha pochyla się, by zdjąć bieliznę. To, na co teraz patrzę, nie jest dla ciebie ani dla tysiąca innych oczu. Spróbuj zrozumieć, nigdy w życiu nie byłem z kobietą, choć pragnąłem tego bardzo od nie wiem jak dawna.

Zupełnie jak tresowany niedźwiedź ta moja rzecz wstaje i tańczy. W całym moim ciele zapalają się światła, zmysły toną w powodzi krwi, tętno dudni w uszach, zrób to, zrób to, co? co? to, to, nie, nie, tak, tak, czyżby? czyżby? tak, tak, jak? jak? tu, tu, och, och, o tak, o nie, o kurwa, to, co bębni o liście, to nie krople deszczu.

Obłąd minął, moje ciało nie chce mnie znać, dąsa się. W świetlnym pałacu zapadł zmrok. Czuję wstyd, a potem lęk. Jak ja się pokażę Nishy po tym haniebnym zachowaniu na drzewie za jej oknem?

Cóż, z przykrością stwierdzam, że to wcale nie takie trudne. Następnego dnia Nisha zachowuje się tak samo jak zawsze. Tylko ja muszę zapomnieć o tej ostatniej nocy. Pomyśleć, że jej wcale nie było. To działa. Postanawiam nigdy więcej nie wspinać się na to drzewo. Ulga. Mijają cztery noce, zanim ponownie stawiam stopę na gałęzi. Tym razem Nisha nie jest sama. Dowiaduję się trzech rzeczy. Po pierwsze, Nisha i Zafar nic nie robią. Widzę tylko czubki ich głów. Zapewne siedzą na podłodze i rozmawiają. Po drugie, poczucie winy można odrzucić, no bo jak inaczej mogliby spać w nocy szefowie Kampani? Po trzecie, cokolwiek zobaczę, to i tak nic na to nie poradzę. Nawet gdybym miał ujrzeć Zafara i Niszę gżących się jak psy, nie mógłbym ich powstrzymać, chyba że poszedłbym do Somraja i w ten sposób ogłosił całemu światu, że ich szpiegowałem. Muszę wymyślić sprytniejszy plan.

Pomysł, który przychodzi mi do głowy, jest niezły. Muszę jednak naradzić się z moim przyjacielem Alim Faqrim, którego nie zawsze można znaleźć, więc należy przede wszystkim zlokalizować Abdula Saliqa, żebraka spod bramy Pir. Oczywiście, wspominałem już o tym gościu. Podobno kobiety nie mogą się mu oprzeć, ale trudno powiedzieć dlaczego. Gdyby tak wziąć szkielet, odciąć mu nogę, usunąć połowę zębów, ubrać go w łachmany i obsikać z góry na dół, uzyskałoby się wrażenie, jakie pan Saliq lubi wywierać.

W błękitny poranek białe gołębie fruwały pod łukami wielkiej bramy Pir, a ja odnajduję Abdula Saliqa na jego zwykłym posterunku, wspartego na kuli i wyciągającego rękę ze zwyczajowym okrzykiem: „Precz stąd, wy wiarołomne dupki!”.

- Cześć, Zwierzaku - mówi. - Kupa czasu.

- Zaiste, guru. Jak tam interesy?
- Bóg dopomaga.
- Wyglądasz okropnie.
- Dziękuję ci. *Precz stąd, wiarołomne dupki!* Staram się, jak mogę.

Czasami przybysze z zewnątrz dają Abdulowi Saliqowi monetę tylko po to, żeby go zapytać, co właściwie znaczy jego okrzyk. Powoli, jak sędzia oddający piłkę zawodnikowi wybijającemu w krykiecie, unosi palec i nie opuszcza go, wskazując łuk nad głową. W kamieniu wyryto napis: „PROCUL HINC ABESTE PROFANI”. „To znaczy”, mówi, „że wchodzisz do miasta wybrańców, gdzie wykrzykuje się tajemnicę ze szczytów dachów, lecz nikt nie zdoła jej odgadnąć. O tak, chyba że w otchłani własnej duszy”.

Tego rodzaju rzeczy Abdul Saliq lubi mówić i robić. Od słowa do słowa, namówiłem go, żeby postawił mi *chai* w RTI, najlepszej herbaciarni w Khaufpurze - smakowicie przyprawiony napój z pianką od szczypty soli. Nie ma nic lepszego. Jeśli tu kiedykolwiek zawitasz, Oczywiście, stanowczo musisz spróbować. Kosztuje dwie rupie za szklanę, ale Abdul Saliq nie cierpi na brak gotówki, no i zawsze przejawia hojność wobec byłego ucznia. Rozmawiamy o dawnych czasach i pytam, czy wie, gdzie mógłbym znaleźć Faqiego.

- Pracuje - odpowiada Abdul, rzucając mi znaczące spojrzenie.
- Powiesz mi gdzie?
- Koło dworca autobusowego. A co? Jest ci winien pieniądze?
- Tak dobrze nie ma. Dziś ja kupuję.
- Nie będę pytał.
- A ja nic nie powiem.

Parska śmiechem.

- Więc chodzi o dziewczynę!
- Co to jest „dziewczyna”? - Zawsze zbija mnie z tropu ta domyślność Abdula Saliqa.
- Twój problem, KLPD.
- Dlaczego myślisz, że na tym polega mój problem?

Ale ma oczywiście rację. Pożegnawszy się słowami „*khuda hafez*”, gdyż Abdul lubi błogosławieństwa niemal tak jak brzęczące monety, wyruszam na dworzec autobusowy i wkrótce znajduję tego, kogo szukałem.

Hałaśliwe miejsce ten khaufpurski dworzec. Brudne stare autobusy przyjeżdżają i odjeżdżają w kłębach spalin, we wszystkie strony przepychają się tłumy ludzi - jedni chcą wsiąść, drudzy walczą, żeby wsiąść, krzyczą na tragarzy, którzy wspinają się niczym małpy na dachy pojazdów i zrzucają bagaże: „Ej, ty! Podaj to na dół!”, „Już to zaniósłem, proszę

pana”, „Wcale ci nie kazałem”, „Ale nie mówił pan, żeby tego nie ruszać”, „Przeniosłeś je tylko o kilka metrów”, „Minimalna opłata za usługę”. Dodaj do tego kasłanie zardzewiałych silników, nawoływania domokrażców, zgiełk filmowej muzyki, bo każdy autobus gra na inną nutę, a zrozumiesz, że potrzeba eksperta, by określić w tej wrzawie z maksymalną dokładnością, gdzie toczy się drobna kłótnia - na stanowisku luksusowych dalekobieżnych autokarów.

Pulchny, dostatnio wyglądający dżentelmen wysiadł właśnie z autobusu, który przyjechał z Nagpuru, i od razu zagadnął go mały żebrak. Dzieciak zna swój fach, obmacuje ofiarę i jęczy, a tęgi *musaafir* poci się i wpada w złość. Warczy na żebraka, żeby zostawił go w spokoju, ale zawodzenia tylko przybierają na sile: „Hej, master-ji, hej, ja cię wielbię, sahibie, jesteś moim ojcem, moim życiem, moim bóstwem”. „Nie dotykaj!” - krzyczy klient. Nie lubi, jak się go ciągnie za koszulę. „Zabierzcie te ręce!”. Świetne przedstawienie w wykonaniu pierwszego komika, wybrał sobie idealny cel i wie, jak sprawę podkreślić. Wszyscy gotowi do przejścia.

Pojawia się Faqri, numer drugi, jeszcze jeden z setki tych gości bez twarzy przewijających się przez to miejsce. Przystaje i patrzy, gdy tłusciuch kieruje ostre słowa do żebraka: „Zwijaj się stąd! Spadaj! Spieprzaj!”.

Numer jeden zaczyna się wycofywać. Już tak nie kwili, za to wyrzuca z siebie najgorsze obelgi, jakie potrafi wymyślić. Wpatrują się w niego rozwścieczone oczy. Doskonale wycucie czasu. Tak, oto nadchodzi, słyhać go, naprawdę piękny głośny chichot przepełniony obrzydzeniem. Faqri wskazuje koszulę mężczyzny, a potem niebo. Poruszam ustami, wypowiadając razem z nim następną kwestię: „O rety, zbombardowany przez khaufpurskie siły powietrzne!”. Na koszuli pojawiła się ohydnie wyglądająca plama. Głowy zwracają się ku górze, szukając ptaka winowajcy. Nigdy nie dostrzegam numeru trzeciego, mimo iż rozglądam się za nim. Klient wciąż przeklina plamę na koszuli, a jego portfel znajduje się już pół ulicy dalej. Faqri zatrzymuje się jeszcze na chwilę, a potem wtapia w tłum gapiów, którzy wygłaszają pod adresem grubasa niezbyt miłe uwagi. Gdybym nie używał rąk, żeby się podeprzeć, tobym klaskał: „Brawo, dobrze zagrane, sir! Jeszcze! Jeszcze!”.

Jest mnóstwo różnych przekrętów, poznaliśmy je wszystkie, Faqri i ja: zgubione monety, niedopałki papierosów, rozsypane ziarna grochu, plamy krwi, potłuczone butelki, szkocka whisky, olejek do włosów, ale najbardziej artystyczny numer podpatrzyłem niedawno. Weź trochę wapiennej mieszanki od paan-makera, zmieszaj ją z błotem, gnojem, sokiem tytoniowym, przeżutą trawą, wszystkim właściwie. Efekt, którego szukasz, to wielki, biały albo brązowy bryzg ze smugami czerni i zieleni, wyglądającymi tak, jakby dopiero co

wyszły z gołębiej dupy. Resztę znasz. To był przekręt pod tytułem „ptasia kupa”. Odgrywali go wcześniej ze mną jako numerem jeden, a Faqri, jak dzisiaj, usuwał ślady ptasiego gówna. Zazwyczaj Abdul Saliq wyszukiwał nam numer trzeci, musiał być ekspertem. Nieźle zarabialiśmy, dopóki mnie nie przyłapali. Widzisz, jeśli chcesz oszukiwać ludzi i wyjść z tego cało, musisz umieć zniknąć w tłumie. Lecz niewielu khaufpurczyków porusza się na czworakach i przez to Fatlu inspektor mnie dopadł. Po pierwszym aresztowaniu trochę mnie stłukli, a potem zaprowadzili do Jego Wysokości.

- Kto jest twoim partnerem?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Kto obrabia portfele?

Nie załapali numeru z ptasim gównem, co jest zabawne. Klient narzeka, że napastował go żebrak, chłopiec na czworakach, a zaraz potem zginął mu portfel. Nawet nie wspomina o ptasim gównie. No cóż, to poniżające zostać obesranym, ale można to szybko zetrzeć z koszuli i z myśli.

- Jakie portfele?

- Nie pozwalaj sobie ze mną, nieszczęsny skurwysynu.

Jego pięść opada z głuchym odgłosem, było to pierwsze z wielu lań, jakie zaliczyłem od rezerwowego inspektora Prithviraja. Ludzie z ulicy nazywają go Fatlu z powodu jego masywnych pośladków i brzucha, który wystaje, jakby pasek wypychał go do góry. Fatlu nienawidzi mnie od lat, wciśnie mi wszystko, gdy tylko zobaczy mnie na ulicy, nawet nie muszę nic robić. No cóż, mogę wziąć lanie. Przywykłem do kijów grzmocących mnie po plecach. Bijcie, skurwiele, bijcie mocno, może mnie wyprostujecie! Jeśli istnieje Bóg, w co osobiście nie wierzę, choć Ma Franci twierdzi, że tak, musiał zarejestrować każdy cios. Ma powiada, że już niebawem wszyscy źli ludzie na świecie dostaną za swoje. Z rozkoszą wyobrażam sobie Fatlu z jajami związanymi w kiść, ciągnącego wóz poganiany przez demony, gdy nagle staje obok mnie Faqri.

- Widziałem cię stamtąd - mówi.

Gratuluje mu świetnego występu.

- Trochę wyszedłem z wprawy - wyznaje.

Opuszczamy dworzec. Faqri sprawdza portfel frajera. Wyciąga złożone banknoty świeżo pobrane z jakiegoś nagpurskiego banku, upycha je w kieszeni.

- Ostatnio pracuję więcej w branży farmaceutycznej.

- Wiem. Właśnie o tym chcę z tobą pogadać.

- Sklep jest dzisiaj zamknięty, więc chodźmy do mnie.

Tuż obok targu warzywnego można w pewne dni zastać Faqriego siedzącego na stołku z torebkami ziół i proszków rozłożonymi na gazetach u jego stóp. To jego sklepik. Torebki są otwarte i ukazują zawartość: listki, nasiona, płatki, korzonki. Posyła dzieciaki, żeby zbierały je po całym mieście. Niektóre z tych roślin rosną w zakątkach fabryki Kampani. Zatrudnia kobiety, które ucierają je na proszek i mieszają z melasą, przyrządzając pigułki, po jednej rupii za sztukę. Jak kupujesz pół tuzina, zapakuje ci je do pudełka po zapalkach. Pigułki Faqriego leczą wszystko, a w mieście takim jak Khaufpur nie brakuje chorób. Faqri ma pigułki na kaszel i bezdech, na bóle i bóleci oraz różne inne problemy, o których ludzie nie lubią mówić. Opowiada mi o wyleczonych pacjentach. Jakaś kobieta miała wodniste upławy. Mężczyzna nie mógł postawić masztu. Chłopak się martwił, bo żywił pewne uczucia do mężczyzn zamiast do kobiet. Z Faqriego zrobił się taki medyczny ekspert, że się zastanawia, czy nie używać tytułu „doktor”.

- Więc jesteś specjalistą od seksu?

- Od wszystkiego - odpowiada dumnie.

Tak powinno brzmieć jego motto. Spójrz na jego spodnie o kantach ostrych jak brzytwy, koszulę z podniesionym kołnierzykiem. Faqri ma dwadzieścia lat, możesz już zobaczyć przyszłego mężczyznę, dobrze prosperującego i przebiegłego; nie potrafi udzielić prostej odpowiedzi - byłby doskonałym politykiem.

Subtelność na nic się nie przyda, będę musiał mówić szczerze.

- Szukam czegoś, co osłabia popęd seksualny.

- Osłabia? A co? Twój sławny lund wymknął się spod kontroli?

- Nie dla mnie.

- Dla przyjaciółki?

Nie mając wyboru, opowiadam mu o wszystkim.

- Czy oni już to robią? - pyta.

- A skąd mogę wiedzieć?

- Zazdrosny - chichocze Faqri. - Żałujesz, że to nie ty?

- Nie bądź obrzydliwy - odpowiadam. - Ona jest dla mnie jak siostra.

- Niezła siostrzyczka - mówi on. - KLPD.

- Odpieprz się.

KLPD to Kuala Lumpur Police Department, ale też *khadé lund pe dhoka*, czyli zwodzenie stojącego kutasa, *c'est à dire*, podpucha.

Kiedy lądujemy w jego mieszkaniu, Faqri zaczyna ucierać na proszek jakieś czarne nasiona. Nieco później pokazuje mi coś, co wygląda jak kozi bobek.

- Po jednym takim poczuje się całkiem chory. Nie będzie miał ochoty nawet porozmawiać z dziewczyną, a co dopiero myśleć o seksie.

- Jak długo to działa?

- Jedna pigułka dziennie - odpowiada. - Jeśli sprawy będą się przedstawiały naprawdę źle, możesz mu dać półtorej. Nie przekraczaj zalecanej dawki. Ile ich chcesz?

- Czy za większą liczbę udzielisz mi rabatu?

Odchodzę z plastikowym słoikiem zawierającym trzydzieści sześć pigułek.

Pierwszą pigułkę podaję Zafarowi w dniu wielkiego demokratycznego referendum. To takie zebranie, podczas którego każdy może się wypowiedzieć, po czym następuje cholernie długa awantura, aż wreszcie wszyscy robią to, czego chce Zafar. Tym razem odbywa się u Somraja w pokoju muzycznym, poświęconym bogini Saraswati i błękitnogardłemu bogu Śiwie. Dla mnie jest to piękny pokój o białych ścianach obwieszonych instrumentami wydającymi przeróżne dźwięki. Są tam waliki, poduszki oraz dywany, jeden pochodzi z Afganistanu, został przywieziony przez Hazarę, który ofiarował go w zamian za lekcje śpiewu. Ma wplecione obrazki helikopterów i karabinów. Zafar gardzi dobrami materialnymi, ale te dywany to jedyna rzecz, której widok sprawia mu przyjemność.

- W Khorasanie - powiedział nam - tkacze zawsze wplatają jeden supełek w złym kolorze, bo tylko Bóg może stworzyć coś doskonałego.

- Odkąd to zacząłeś wierzyć w tego na górze?

- Posłuchajcie Zwierzaka - wtrącił Farouq - bożego supełka w tkaninie ludzkości.

Zafar był nieźle wkurzony na Farouqa, ale nie sądzę, by z mego powodu. Po prostu nie znosi wzmianek o Bogu, lecz jeszcze bardziej nienawidzi, jak się go przyłapie na chwaleniu Go.

Teraz zaś powiem ci, kim byli wszyscy tam zgromadzeni. Pokój jest tak zatłoczony, że przypomina pęcherz pękający od waśniaków. Po jednej stronie Zafar i jego kumple, po drugiej - Somraj z kilkoma kolegami muzykami, a pośrodku - cała reszta. Sklepiarz Ram Nekchalan ma ogromnie zadowoloną minę - pierwszy raz zaproszono go na tak ważne zebranie. Siedzi tuż obok sardarjiego Sprawdzacza Singha. Zapytaj Sprawdzacza o cokolwiek, od razu spojrzy na zegarek. Prawnicy naliczają opłaty za minutę. Powiedz mu „dzień dobry”, a on na to sprawdzi godzinę, nie potrafi się powstrzymać. Ci ludzie są z Kurzego Pazura, ale jest jeszcze kilku z innej dzielnicy Khaufpuru oraz dwóch z Orzechokrusza. Na koniec ja; kręcę się przy drzwiach, Zafar mnie zauważa i woła do środka. Nie ma już miejsca, ale Nisha daje mi znak, żebym usiadł między nią a Zafarem, więc

wciskam się tam. O, co za radość, Nisha otacza ramieniem moje barki, z drugiej strony obejmuje mnie Zafar. Znajduję się naprawdę wśród przyjaciół, uradowany, że biorę udział w naradzie ważnych osób.

Zafar rozpoczyna zebranie od przypomnienia, jak ta Amrikanka zjawiała się w Khaufpurze i kupiła budynek, o czym napisano w „Khaufpur Gazette”, że to wspinały akt dobroczynności i że Zahreel Khan, minister do spraw pomocy humanitarnej dla ofiar skażeń, ma otworzyć tę tak zwaną klinikę.

- Tak zwaną? - pyta jakaś kobieta, której nie znam. - Czy to nie jest prawdziwa klinika?

- Z pewnością prawdziwa, doktor Misra - odpowiada Zafar. - Chodzi jednak o to, jaki naprawdę jest jej cel. - I powtarza, cośmy usłyszeli od Dayananda i spółki na temat medycznych zabiegów, które będą przeprowadzane po drugiej stronie drogi.

- Wybacz, Zafarze *bhai* - odzywa się ktoś inny - ale właśnie takie zabiegi są tutaj potrzebne.

Nie wszystko więc przebiega po myśli Zafara, ale ja już nie słucham. Oczy, ta cała polityka lata mi koło dupy. Jestem w grupie Zafara z jednego powodu, a mianowicie, żeby być blisko Nishy, a trudno znaleźć się bliżej niż ja w tej chwili. Jej udo przyciska się mocno do mojego kolana, moje nozdrza wypełnia jej zapach, jest ciepła i ma miękkie ciało. Zaczynam myśleć o pewnych rzeczach, które widziałem z drzewa uroczynu, i potwór na dole lekko się porusza. Przesuwa się, drga i czuję, jak pęcznieje. Moje kakadowy zmieniają kształt. Kurwa, nie! Tylko nie przy tych wszystkich ludziach. Zanurzam rękę w kieszeni, żeby przycisnąć do nogi krnąbrną bestię, i moje palce natrafiają na plastikowy pojemnik z pigułkami od Faqriego. Jestem zdesperowany, będę musiał połknąć jedną, ale nie otworzę pojemnika, jeśli nie puszcę mojego niesfornego lunda, który natychmiast staje dęba i bryka. Niech szlag trafi tego skurwysyna, niczego nie uszanuje. Cóż, nie mam innego wyjścia, tylko pochylić się naprzód i oprzeć łokcie na tym stworze, choć przez to z kolei ręka mi podryguje w bezsensowny sposób, więc opieram na niej podbródek, jakbym się na coś koncentrował. Muszę wyglądać dziwacznie, bo Nisha szepcze:

- Wszystko w porządku?

- W zupełnym. Ta dyskusja jest niesłychanie zajmująca.

Gdy znowu dociera do mnie, o czym jest mowa, słyszę Rama Nekchalana, człowieka, który chce być najlepszym przyjacielem każdego:

- Nie powinniśmy pomagać Kampani w gromadzeniu fałszywych informacji. Powinniśmy walczyć.

Obłudnik! Nie mogę się powstrzymać i mówię:

- Co się zmieniło, Nekchalan? W zeszłym tygodniu gadałeś tak, jakby ta klinika była twoim pomysłem.

Ktoś parska śmiechem. Tym kimś jest Farouq. Ram Nekchalan ma mord w oczach. Teraz wszyscy patrzą na mnie, przycupniętego i pochylonego, by ukryć kształt rysujący się w spodniach. Ale głupek ze mnie, po co się odezwałem? Czy była kiedyś gorsza pieprzona chwila, żeby ściągać na siebie uwagę?

- Ha! - wykrzykuję.

Nagle słychać głośne, dźwięczne tony. Ludzie rozglądają się, aby ustalić, skąd one dochodzą. A to z instrumentów. Setki strun wyśpiewują drobne pieśni. Somraj, który miał oczy zamknięte, jakby chciał uniknąć tej jałowej dyskusji, teraz je otwiera i wraca stamtąd, gdzie przebywał. Mówi:

- Chłopak ma słuszość. Nie dysponujecie żadnymi dowodami, mimo to szykujecie się do walki. Ta klinika jest bardzo potrzebna i ja, tak czy inaczej, nie poprę bojkotu.

Ręka Nishy zaciska się na moim ramieniu. Rety, w pułapce między tatą a kochankiem - to zwiastuje kłopoty. Przyjaciele Somraja nie poprawią sytuacji, zgadzając się z nim głośno. Odzywa się uczeń Shastri, przypominający jaszczurkę - jego szczęka sterczy pod uszami jak u iguany:

- W sprawiedliwym społeczeństwie osoba pozostaje niewinna, dopóki nie udowodni się jej winy.

- O kobietach powiedziano: „Nie pogardzaj nimi” - dorzuca inny kolega, prosty i szorstki brodacz, najbliższy znajomy Somraja, który grał dawniej z nim na bębenkach tabla. Nie pamiętam jego imienia, Cośtam Khan. Wszyscy grający na tabla w tym mieście nazywają się Cośtam Khanowie. - A dlaczego nie powinniśmy nimi pogardzać? Ponieważ moglibyśmy pogardzić czymś, za pomocą czego Bóg zaplanował wiele dobra.

Debata toczy się w tę i we w tę, trzech muzyków sprzymierzeni przeciw pozostałym. Dlaczego? Czy dlatego że Elli także gra na instrumencie? Somraj, który słucha wszelkich dźwięków, może usłyszał jej grę na fortepianie.

Na twarzy Zafara, chyba dlatego że Cośtam Khan wciągnął w to Boga, pojawia się wyraz rozdrażnienia.

- Czy truciznę uważa się za nieszkodliwą, dopóki nie zabije? - ripostuje. - Czy Khaufpur nie nauczył was tego, że nie można czekać na to, aż ktoś was skrzywdzi, tylko trzeba podejmować działania obronne? Przyjaciele, nareszcie mamy szansę, aczkolwiek nikłą, sprowadzenia Kampani przed sąd i uzyskania godziwych odszkodowań dla naszych

pobratymców. Nie odważymy się ryzykować w tej sprawie. Musimy działać wspólnie, więc jeśli nie chcecie nas poprzeć, przynajmniej nie przeszkadzajcie.

Wtedy wszyscy zaczynają mówić naraz. Jedni narzekają, inni głośno wyrażają poparcie.

- Nie czuję się z tym dobrze - oświadcza Somraj, jedyny, który śmie wystąpić otwarcie przeciw propozycji Zafara. - Potrzebujemy mocniejszych dowodów, zanim odmówimy ludziom dostępu do czegoś, co może im pomóc.

Zafar odpowiada:

- Abba, nie udało nam się odnaleźć ani śladu przeszłości tej kobiety. Już samo to jest podejrzane. Prawie na pewno działa pod fałszywym nazwiskiem. Sprawdziliśmy wszystkimi zwyczajowymi kanałami. Nisha szukała w Internecie i nic.

- Nic to jeszcze nie dowód - oznajmia z uporem głos Khaufpuru.

- Abba - powtarza Zafar, a ja nienawidzę słuchać, jak nazywa Somraja ojcem. - Zwierzak zaprzyjaźnił się z Elli Barber. Jestem przekonany, że wkrótce uzyska jakieś użyteczne informacje, a wtedy będziemy mogli wydać osąd.

- Papo, pomyśl, jak to by odmieniło życie ludzi - zwraca się Nisha do ojca - gdybyśmy wygrali to odszkodowanie.

Ale *pandit* wciąż nie wygląda na zadowolonego. Ja jestem szczęśliwy, ciepłe udo Nishy styka się z moim, demon tam na dole, dzięki Bogu, znowu usnął.

- Zastanów się, papo - ciągnie przymilnie Nisha. - Pieniądze wypłacone przez Kampani stanowią tak małe sumy, że ledwie wystarczą na miskę *daalu* dziennie.

Somraj wzdycha.

- No dobrze, nie mogę was poprzeć, ale nie będę się sprzeciwiał.

Teraz wszyscy mogą się odprężyć, jakże cudowną rzeczą jest demokracja. Wszczyna się ogólny zgiełk, Sprawdzacz zaszerka na zegarek. Nekchalan chichocze.

- Trzy rupie - mówi.

- Co: trzy rupie? - pyta Farouq.

- Trzy rupie za miskę *daalu*.

- Zależy, jaki to *daal* - odzywa się ktoś.

- *Urad daal, tuwar* jest droższy - wyjaśnia sklepikarz. - Ale więcej mnie kosztuje sprowadzanie go - dodaje pospiesznie, żeby nikt go nie posądził o spekulację.

- To pożałowania godne - mówi Zafar. - Co jeszcze można kupić za trzy rupie? Szklankę herbaty przy bramie Pir? Tak, Zwierzaku?

Tym razem uniosłem rękę na znak, że chcę coś powiedzieć.

- Jedna herbata plus samosa u Chunarama.

Śmieją się, więc sytuacja znowu staje się normalna, a nawet dobra. Lund jest pod kontrolą i dwa razy przemówiłem podczas tego ważnego zebrania.

- Skoro mowa o herbacie... - zaczyna Nisha. - Może wszyscy się napiją?

Staję na czworakach. *Thé pour tous*. Bulgotanie wody w garnku brzmi jak śmiech. Wracamy, dźwigając nierówne ciężary - Nisha z tacą zastawioną szklankami, ja z jedną szklanką w ręce.

- Bracie Zafar, to dla ciebie.

Niczego niepodważający dupek przyjmuje z wdzięcznością napój i pociąga mnie za ramię, żebym klapnął obok niego.

- Siadaj tu, Zwierzaku - mówi do mnie. - Masz głowę nie od parady. Zastanówmy się, jak weźmiesz na spytki Elli Barber.

- Co tak naprawdę o niej myślisz? - pyta Nisha z mojej drugiej strony.

- Co myślę? - powtarzam, obserwując, jak Zafar pije. Nie mogę powiedzieć prawdy. Biedna Elli, zdradzą cię te niewdzięczne gnojki, którym przyjechałaś pomóc. - Myślę, że ma niebieskie nogi.

Przez kilka ostatnich dni przed otwarciem kliniki Elli doktorki brat Zafar błądzi w zasnutych mgiełką okularach, ze zmarszczonymi brwiami, skubiąc brodę. Ilekroć go widzę, pogwizduję melodyjkę:

Drogą sobie spaceruję

i bhel-puri konsumuję.

Masz niedbałą babcię, co na to poradzę?

Masz zazdrosne serce, co na to poradzę?

- *Yaar*, Zwierzaku - mówi Zafar. - Bądź tak dobry i nie doprowadzaj mnie do szału.

- Nie podoba ci się mój śpiew?

- To nie to - odpowiada on, który nie znosi wyrażać się źle o kimkolwiek. - Po prostu ostatnio nie czuję się najlepiej. Pewnie coś zjadłem.

W domu Somraja panuje napięta atmosfera. Somraj nie uczyni nic, by pokrzyżować plany Zafarowi. Ale odbywa się tam coś w rodzaju przeciągania liny, a tą liną jest Nisha.

- Córka powinna być posłuszna ojcu - staję do zawodów po stronie Somraja.

- Patrzcie, kto tu się wypowiada o obowiązkach - zauważa Nisha. - Naprawdę,

Zwierzaku, jesteś taki prostolinijny. - A po chwili dodaje: - Ale dość miły. - Znowu milknie i w końcu wyjawia: - Zafar jest zdenerwowany. Po południu przyszli ludzie z *basti*, błagali, żeby nie bojkotować kliniki. Nawet Pyaré Bai przyszła.

- Tamtego dnia - mówię - kiedy płaciłem lichwiarzowi, myślałem sobie, że jak Elli doktorka zacznie leczyć za darmo, tacy ludzie jak Pyaré Bai nie będą już musieli pożyczać pieniędzy.

- Zafar źle się czuje - wyznaje Nisha. - Jest mu niedobrze, ma wyschnięte usta, dostał gorączki. Rozchorował się ze zmartwienia.

Wieczorem w dniu ceremonii otwarcia siedzimy wszyscy w ogrodzie u Somraja, obserwując przygotowania po drugiej stronie drogi. Pod osławionym mangowcem ustawiono wielką kolorową *shamianę*, wewnątrz krząta się Elli i jej personel. Dzisiaj jej nogi nie są niebieskie, ma na sobie *shalwar kameez*, jak hinduska kobieta. Suresh i Dayanand rozstawiają krzesła, na stole obok wejścia do namiotu piętrzą się kwietne girlandy. Ulicą maszeruje tam i z powrotem orkiestra Mando w znoszonych zielonych uniformach, a ostre obce nuty przemykają przez szczeliny między znajomymi tonami. *Sa re ga* i tak dalej, ich nie opiszę, takie dźwięki potrzebują zupełnie nowych nazw. Znam jednego z muzyków, trębacza. Stary sukinsyn z Orzechokrusza mruga do mnie i składa dłonie w geście pozdrowienia pod adresem Somraja, który stoi pod uroczynem i patrzy. Wszyscy muzycy wypatrują Somraja, bo choć już nie śpiewa, pozostał sławnym Aawaaz-e-Khaufpur. I gdyby nawet żyli nie wiem jak długo, żaden nie będzie wielkim maestro, takim jak on. Może świadomość, że on słucha, każe im się bardziej starać, to znaczy, grają prawie w takt, a chwilami bez fałszowania. Kto wie, jakie nienazwane rzeczy wyprawiają te dźwięki z uszami Somraja? Rzadko się do niego odzywam, najczęściej nie mam śmiałości. Gdy opowiadał o żabach, mówił właściwie tylko on, ale przez ten harmider tak bardzo robi mi się go żal, że zdradzam swoje myśli.

- O nie - zaprzecza - uważam, że to bardzo interesujące. - I zaczyna opowiadać o umiejętnościach niezbędnych muzykowi grającemu na instrumencie dętym, takich jak wytrzymałość warg, skala, ton, szybkość palców i panowanie nad oddechem. - Trębacze oddychają w ten sposób, że nabierają potężny haust powietrza, a potem używają płuc i tych mięśni tutaj - klepie się po brzuchu - żeby kontrolować dopływ tego powietrza do instrumentu.

- Naprawdę? - Co innego mógłbym powiedzieć?

- Czy wiesz, jak można przeciągnąć nutę, mimo iż grającemu zabrakło tchu w płucach?

- Nie, proszę pana.

- Nazywa się to oddechem czakra, co oznacza oddychanie w kołach. Nie znajdziesz wzmianki o nim w żadnych jogasutrach. Potrafisz odgadnąć, na czym polega?

Kręcę głową.

- Napełnij policzki powietrzem i wypuszczaj powoli, a jednocześnie wykonaj wdech przez nos. - Wydyma policzki niczym dwa jabłka. - Spróbuj.

Prycham, sapię, wydaję niezwykle dźwięki. Nisha stojąca w pobliżu dostaje ataku chichotów. Cieszę się tylko, że nie ma Farouqa, który zaraz by zaczął mnie wyśmiewać. Obaj z Zafarem dokądś razem wybyli. Cały dzień zachowywali się tajemniczo. Mam wrażenie, że coś przede mną ukrywają.

- Więc nadal interesujesz się muzyką? - pyta *pandit*, a jego usta drgają leciutko. Prawie się uśmiecha, co zakrawa na cud.

- Proszę pana, a co się stanie, kiedy policzki będą puste?

- Wypuszczasz powietrze z płuc i szybko napełniasz policzki na nowo. - Wydaje dźwięk, jakby przełykał ślinę, a potem zanosi się kaszlem i nie może przestać.

- *Pandicie Somraj*, proszę pana, nic panu nie jest?

Somraj zgina się wpół w odruchu wymiotnym, Nisha biegnie po szklanekę wody, właśnie tak gazy Kampani ograbiły go z oddechu potrzebnego do śpiewu.

Zapadł zmrok, nim pojawił się Zahreel Khan. Lampy błyskowe rozkwitają, gdy „Khaufpur Gazette” pstryka zdjęcia. Minister od skażeń zmienia się w świetle fleszy w ducha rzucającego ogromne roztańczone cienie. Dayanand, Suresh i Miriam ruszają ku niemu z girlandami. Pozuje, ze złożonymi dłońmi i pochyloną głową przyjmując kwiaty, jakby ciążyło na nich brzemień odpowiedzialności.

Dopiero po dwudziestu minutach zaczynają się przemowy. Światła wewnątrz namiotu migoczą - na elektryczności w Khaufpurze nie można polegać. Przyczajeni w ogrodzie Somraja dostrzegamy na podium Elli, obwieszoną kwiatami, słuchającą najważniejszego gościa, który przemawia do ledwie widocznych w brunatnym półmroku twarzy. Na zewnątrz jest już zupełnie ciemno, Elli nas nie zobaczy. Przemówienie trwa niecałą minutę, gdy od strony sklepu Rama Nekchalana zaczyna dobiegać głośnie muzyka filmowa. Dźwięki są głuche i zniekształcone, minister musi podnieść głos, żeby je przekrzyczeć.

- Elli Barber jest wybitną specjalistką. My tu, w Khaufpurze, jesteśmy dumni, że przyciągnęliśmy uwagę tak uzdolnionej lekarki.

- W jaki sposób Khaufpur ją przyciągnął?! - wykrzykuje znajomy głos. To Zafar. Stoją z Faroukiem przy wejściu, za nimi tłoczy się gromada ludzi.

- Uprzejmie proszę zostawić pytania na koniec - odpowiada minister cierpkim tonem, starając się wypatrzeć tego, który mu przerwał. - Przyjdzie na nie czas.

- Czy zaproszono ją tutaj? - nie ustępuje Zafar. - Kto ją zaprosił?

Zahreel Khan ignoruje te kolejne wtręty. Odłożywszy kartki na bok, zaczyna opowiadać o tamtej nocy, jak to on sam znajdował się wtedy w starej części miasta i ugrzązł w spanikowanym tłumie. Mówi o tym, co się działo na ulicach, i o rzeszach umierających ludzi w szpitalach. Mówi, jak wraz z setkami innych szukał przez całą noc zaginionych bliskich i jak okropne sceny oglądał, gdy wstał świt. Muzyka z filmu dalej gra w sąsiedztwie, ale wydaje mi się, że ludzie już jej nie słyszą - rozplynęła się w głębokiej ciszy, bo ci, którzy słuchają Zahreela Khana, słuchają głosu własnych wspomnień. W pewnej chwili wiatr chwyta kilka dźwięków w swe napowietrzne dłonie i niesie do namiotu jedną czystą frazę, wyśpiewaną poważnym i pięknym głosem: „*Kaun Aayaa Méré Mun Ké Dvaaré*” - „Któż to przybył przed drzwi mego umysłu?”. *Pandit* Somraj wydaje straszne westchnienie, niemal jęk, i zawraca do domu. Biedna Nisha stoi obok w rozterce. Pragnęłaby dołączyć do Zafara, lecz poczucie obowiązku zwycięża i znika w ślad za ojcem.

Zaraz jednak sam Zahreel Khan rozwiewa urok, który wcześniej rzucił:

- Od dnia katastrofy - recytuje, wracając do zapisanych kartek - doktor Barber pragnęła przyjechać do Khaufpuru, by włączyć się w akcję pomocy humanitarnej, jaką tu prowadzimy.

- Akcję, którą kto prowadzi? - To nie Zafar, tylko jakiś głos z tłumu. - Podaj choć jeden przykład pomocy humanitarnej udzielonej przez wasze ministerstwo w ciągu ostatniego roku.

- Dwóch lat! - woła ktoś inny.

- Pięciu lat! - odzywa się trzeci.

Rozlegają się pogardliwe śmiechy. Patrząc na Elli, żeby sprawdzić, jak to znosi, ale z tej odległości nie widzę wyrazu jej twarzy. Siedzi na podium przystrojona kwiatami.

- Pytanie do doktor Barber! - woła Zafar. - Dla kogo jest przeznaczona ta klinika?

Elli wstaje. Zahreel Khan odsuwa się na bok, robiąc jej miejsce przy mikrofonie.

- Dla wszystkich, którzy ucierpieli tamtej nocy, oraz dla tych, którzy zachorowali na skutek zanieczyszczenia wody przez fabrykę. Każdy, kto przyjdzie, zostanie przyjęty. I wszyscy będą leczeni bezpłatnie.

To dobra odpowiedź. Nie sędzę, by nawet Zafar doszukał się w niej czegoś złego.

- Będziecie gromadzić dane medyczne? Jeśli tak, to kto będzie miał do nich dostęp i jaki z nich zrobi użytek? - pyta znowu Zafar.

- Zamierzamy przechowywać karty pacjentów - rozlega się głos Elli - ale jako dokumenty poufne. Oczywiście na prośbę pacjenta przedstawimy jego historię choroby innemu lekarzowi.

- Jakie instytucje finansują tę inicjatywę?

- Żadne. Moja klinika jest finansowana przez osobę, która nie życzy sobie wymieniania jej nazwiska.

- Osoba czy Kampani?! - krzyczy ktoś.

Natychmiast podnosi się wrzawa i kilkanaście głosów zaczyna skandować: „Kampani precz! Kampani precz!”. Po raz pierwszy Elli wygląda na zbitą z tropu. Zahreel Khan wstępuje na podium.

- Doktor Barber - zwraca się do niej - proszę się nie przejmować tymi prostakami przynoszącym wstyd Khaufpurowi. Jutro, gdy pani klinika zostanie otwarta, zobaczy pani tysiące ubogich, którzy przyjdą błogosławić pani imię.

Po tamtej stronie drogi następuje ściskanie dłoni, pożegnania, życzenia dobrego poranka. Ludzie się rozchodzą. Elli, wciąż spowita w kwiaty, krąży po namiocie. Tu weźmie coś do ręki, tam coś poprawi. Jej pracownicy też się żegnają. Wreszcie wchodzi do kliniki i zamyka drzwi.

Znacznie później, kiedy sadowię się na gałęzi uroczynu, z drugiej strony drogi napływają dźwięki muzyki - pewnie Elli usiadła do swojego fortepianu. Jej nuty brzmią potrójnie, jak odległe dzwony, powtarzają się wciąż na nowo. Somraj wychodzi z domu i staje, słuchając, podobny do bladego posągu, i nawet ja nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy. Fortepian ciągle gra, a ja prawie zasypiam, gdy z bliska dobiega mnie brzęczenie sitaru. Brzmi najpierw tak, jakby ktoś akompaniował fortepianowi, ale zaraz dwie melodie się rozdzielają. Głęboką nocą błysk światła przemyka po dachu, zapewne Elli śpi tam na górze. Lekki powiew porusza liśćmi uroczynu. Światło gaśnie. Wyobrażam ją sobie, podnieconą i przerażoną tym, co ją czeka, leżącą bezsennie, wpatrzoną w gwiazdy, które zsuwają się w dół na niebie.

Taśma dziesiąta

Budzę się z rozśpiewaną głową. Jest jeszcze ciemno, ale nie mogę spać. Wstaję, wychodzę na zewnątrz. Skandaliczne rzeczy dzieją się w mojej czaszce. Poranek zwinięty jak liść, wiatr ma zapach bananów. Z ptasią muzyką wykluwającą się w moim mózgu wspinam się po kamieniach naszej wieży i jak mała przysiadam na pochyłości dachu, oczekując świtu. Jedna po drugiej gwiazdy bledną, za palmami i chorągiewkami świątyni Śiwy niebo czerwienieje. Wołam Jarę. Wczesnie jest, bardzo wczesnie, nie wiem nawet, jak bardzo, niemal wszyscy jeszcze śpią, ale nie mogę się doczekać, by ruszyć w drogę. Nazwij mnie pizdusiem, jeśli chcesz, jestem jednak po prostu ciekaw.

Dostrzegam wysoko kołującego ptaka i zastanawiam się, co on widzi w dole. Tu w górze i tak wczesnym rankiem moje oko śni początek tego khaufpurskiego dnia. Widzę świat, a w nim siebie. Jestem tak wysoko, ziemia zakrzywia się pode mną, górne warstwy powietrza są pełne blasku. Widzę świat rozpościerający się jak mapa, drogi ze wszystkich stron prowadzące do miasta. Nad Khaufpurem wisi mglisty opar jak nieświeży oddech nad ustami pijaka. Czubki minaretów Taj-ul-Masjid dotykają słońca, poniżej panuje ciemność, uliczki bazaru Chowk są jak kłębowisko węży.

Ptak, którym jestem, widzi wszystko, biały pałac dawnych władców na wzgórzu, jezioro, które stąd wydaje się bladezielone, oko przesuwają się wzdłuż drogi i szeregu brudnych budynków więzających w pyłe i spalinach z ciężarówek, aż wreszcie dociera do miejsca, gdzie miasto zmienia się w dżunglę, tory kolejowe biegną skądś i znikają, dalej leży terytorium trudniejsze do określenia, cętkowana mieszanina brązów, wypryski, które - gdy się bliżej przyjrzeć - okazują się niezliczonymi dachami najbiedniejszych, a spomiędzy chat zaczyna się unosić dym, gdy mieszkańcy rozpalają ogień, by zaparzyć herbatę i przyrządzić coś do jedzenia przed kolejnym dniem pracy.

Daleko w dole uliczką wolno sunie jakieś zwierzę. Co to za stworzenie z dupą wypiętą pionowo w górę? Dromader? Centaur? Tuż za nim truchta mniejsza istota, też nieczłowiek, przystając od czasu do czasu, żeby rozciągnąć zaspane szczęki. Ta dwójka przemierza powoli Orzechokrusz, mija dżunglę za murami fabryki i zmierza w stronę odległego bazaru, gdzie

uliczka rozdziela się na trzy drogi. Środkowa to kamienista aleja, na której krowy o żebrach jak struny harfy skubią wyrzucone papierowe torby, oto i Bhoora Khan, śpi zwinięty w kłębek w swojej autorikszy, nieco dalej widać budynek w cieniu mangowca, który nad drzwiami ma tablicę z napisem „KLINIKA”. Na zewnątrz stoi pusty namiot, kwiaty z poprzedniego wieczoru leżą w stercie na ulicy, koza przeżuwa róże zerwane z girland. Na dachu budynku stoi mała postać. Spogląda w niebo, widzi krążącego ptaka. Jeszcze poza jej polem widzenia ulicą zbliża się chłopak, który wędruje *à quatre pattes*, a za nim żółty pies.

Nieco później będą odpoczywać przy drodze w półleżącej pozycji.

Jeszcze później Elli, ubrana w *shalwar kameez*, wyda ostatnie polecenia. Na dole będzie wydziwiała nad czasopismami rozłożonymi w recepcji. „Strata pieniędzy, proszę pani”, ostrzegał menedżer Dayanand. „Większość ludzi tutaj nie umie czytać”. Opowiadał o tym klientom u Nekchalana. Ale Elli i tak posłała go po czasopisma w hindi, urdu i inglisz oraz kredki i papier dla dzieci.

Już prawie czas. Elli podejdzie do drzwi. Światło przebija się przez szpary w drewnie. Elli wykona żartobliwy ruch, że niby przykłada do nich oko. Jej menedżer, doradca i recepcjonistka przyłączają się do niej.

- Proszę pani, już ósma.

Nabrawszy głęboko tchu, otworzy drzwi na oścież.

Elli przestępuje próg z uśmiechem i pełnymi powietrza płucami, gotowa do powitalnej przemowy. Ale, człowieku, ten uśmiech powoli gaśnie. Musiała się spodziewać rzeszy ludzi wypełniających ulicę i witających oklaskami otwarcie drzwi. Bo czyż wczoraj wieczorem nie słyszeliśmy wszyscy Zahreela Khana obiecującego jej tłumy? Tłumów jednak nie ma, kolejka nie czeka na zewnątrz, prócz mnie i kilku gapiów ulica jest pusta.

Elli wygląda na skonsternowaną. Patrzy w prawo, w lewo, zerka na zegarek, znowu się rozgląda. Mija długa chwila, zanim prawda dociera do jej świadomości. Na wołanie w drzwiach pojawia się Dayanand. Nie jest zdziwiony, tylko przestraszony, cholernik wiedział, co nastąpi, ale nie miał odwagi jej ostrzec. Od tamtego demokratycznego zebrania dzielnice *basti* obiegła wiadomość: „Macie nie pukać do tych drzwi, unikać tej kliniki, jeśli tam pójdziecie, pomożecie Kampani”. Nie wszyscy się z tym zgadzają, no i raczej wiadomo, że Somraj i jego komitet uważają ten bojkot za niesłuszny. W Pazurze, Orzechokruszu i innych miejscach ludzie szemrzą: „Potrzebujemy tej kliniki. Miejmy nadzieję, że brat Zafar wie, co robi. Tylko z miłości dla niego będziemy się trzymać od niej z daleka”. Dayanand coś mówi, ale z mojego miejsca nie słyszę co. Nagle twarz Elli jakby się kurczy, znikają z niej blask i

szczęście.

Powiem ci, Oczy, że siedzi we mnie kawał wrednego skurwysyna. Gdy widziałem, jak otwierają się drzwi, i wiedziałem, na co się zanosi, poczułem przyjemny dreszczyk, ale teraz, kiedy patrzę na przygnębioną twarz tej kobiety, której prawie nie znam, cała przyjemność zmienia się w gniew na Zafara i jego paranoję.

Przez trzy dni każdego ranka o ósmej Elli otwiera drzwi ubrana w *shalwar kameez* i wpatruje się w ulicę, na której nikt nie czeka. Przez te trzy dni ani jedna osoba nie przychodzi do kliniki. Czwartego dnia staje więc w drzwiach w swoich słynnych niebieskich nogawkach, jakby sobie pomyślała: „A co to, kurwa, za różnica?”

Tamtego dnia zjawiłem się jak zwykle. Znalazłem trochę cienia pod drzewem i razem z suką Jarą obserwujemy klinikę. Zamknąłem oczy, jestem zmęczony, a może zgłębiam historię tego poranka zapisaną w kurzu, co często robię. Z wysokości pół metra całkiem nieźle poznajesz miejsca - każdą szczelinę na drodze, każdy kamień, każdą zgubioną i niepodniesioną monetę.

Zbliżają się niebieskie nogi. Spoglądam w górę i słyszę głos Elli:

- Zwierzaku, przychodzisz tu codziennie. Klinika jest otwarta. Chcesz wejść?

Kręcę głową. Zły jestem na Zafara. I choć lubię Elli doktorkę, to chyba w tej sytuacji lepiej, żeby nie widziano, jak z nią rozmawiam.

- Wiesz, chciałabym dokładnie obejrzeć twoje plecy - mówi. - Zbadałabym cię, zrobiła kilka analiz.

- Proszę, Elli doktorko, zostaw mnie w spokoju. Odwraca się i odchodzi.

Smak własnego lekarstwa. No i dobrze, koniec kropka. Myślę właśnie, że już czas oddać się swoim zajęciom, kiedy znów widzę niebieskie nogi maszerujące w moją stronę. Ma na szyi tę lekarską rzecz, dwie rurki zakończone metalowym krążkiem, nie pamiętam nazwy. Nogi zatrzymują się tuż przede mną. Elli kuca i przykłada krążek do mojego grzbietu.

- OK, jesteś moim pierwszym pacjentem.

- Nie tutaj, na Boga!

- Dlaczego? - Przyciska krążek do moich żeber. Jest zimny w dotyku.

- Ludzie zobaczą.

Parska, kurwa mać, śmiechem.

- Co cię tak bawi?

- Ty - odpowiada. - Że się boisz ludzi. Weź głęboki oddech i zatrzymaj powietrze.

- Nie boję się niczego.

- Aha, jasne.

Prostuje się, odwraca i rusza na drugą stronę drogi. Patrzą za nią przez chwilę, a potem, właściwie nie wiedząc dlaczego, dźwigam się i idę za nią. Jara sunie za mną. Nikt nie posiada mnie na własność, nie jestem niczym sługą - takie myśli przelatują mi przez głowę, kiedy podążam za rozkołysanymi błękitnymi księżycami pośladków madame Elli. Pieprz się, Zafar, pójdę własną drogą. Tak poczucie winy zatrąwa umysł. Jeśli się boisz, że ktoś będzie zły na ciebie, od razu zaczynasz być zły na niego.

Jeszcze nie przeszedłem połowy drogi, a już warczę w myślach do Zafara: *Ohé*, bracie Zafar, przy tym całym twoim czynieniu dobra i obchodzeniu się bez dóbr jesteś bohaterem w tych slumsach, ale nie dla mnie. Ty, tak kurewsko szlachetny, tak skromny i przede wszystkim tak potężny, że na jedno twoje słowo ludzie Apokalizy odsuwają na bok swoje cierpienie. Mówisz: „Nie idźcie do tej kliniki”, i mimo że ci ludzie czują ból, nie mogą oddychać, pali ich gorączka, mimo że ich ciało odchodzi od kości ognistymi płatami - nie idą. Mówisz im, nie mając żadnych dowodów: „Ta klinika należy do Kampani”, więc spluwają na jej cień i przeklinają jej imię. Bracie Zafar, jesteś głupcem. Każesz ludziom cierpieć na próżno. Kampani jest silniejsza i sprytniejsza niż ty. No dalej, blokuj klinikę, maszeruj, zatrzymuj ruch, wykrzykuj hasła, jakie tylko zechcesz. Nic się nie zmienia. Ludzie wciąż cierpią, Kampani robi, co jej się podoba, i nikt nie może nic na to poradzić. Właśnie pieprzona Kampani jest czymś, co podziwiam.

Menedżer Dayanand staje w drzwiach, za którymi zniknęły niebieskie nogi i tyłek Elli.

- Zwierzętom wstęp wzbroniony. Zostaw swojego psa na zewnątrz, nic mu się tu nie stanie.

- Ten pies to nie on, tylko ona. I chyba zapomniałeś, że ja też jestem zwierzęciem.

- Wszystko jedno.

Gwiżdżę na Jarę.

- Chodź, spadamy stąd.

Elli zjawia się z powrotem, pyta, co się dzieje.

- Chodzi o psa, proszę pani - wyjaśnia Dayanand.

- W porządku, nie ma problemu, już się wynosimy - ja na to.

- Nie bądź głupi - mówi Elli, ale nie jestem pewien, czy do mnie, czy do Dayananda.

Tamtych chwil nie pamiętam wyraźnie. Bo później nastąpiły rzeczy tak wstrząsające i niespodziewane, że choć minęło od tamtej pory dużo czasu, na myśl o tym wciąż jeszcze się trzęsę.

Elli doktorka prowadzi mnie przez poczekalnię z krzesłami, czasopismami i tak dalej do gabinetu.

- Zaczekaj tu, zaraz wrócę.

Rozglądam się po pokoju. Patrzę na półki z książkami na ścianie. Na grzbiecie jednej z nich odczytuję słowo KHAUFPUR, na drugiej napisano: PATOLOGIA CHORÓB PŁUCNYCH, na trzeciej: WETERANI I CZYNNIK POMARAŃCZOWY.

- *Oi, Zwierzaku!*

Jara siedzi na podłodze z tylną łapą w powietrzu i łbem wsuniętym w krocze. Elli nadal nie ma.

- Tu jestem - odzywa się głos.

Na stole tuż obok znajduje się jakaś kopuła okryta ciemną tkaniną. Pociągam brzeg materiału. Jara przestaje się wylizywać i patrzy na mnie. *Bordel de merde!* To mój mały dwugłowy przyjaciel. Wiesz, Oczy, od pierwszego spotkania z Khã-w-Słóju widziałem go kilka razy w snach, ale to nie jest sen. Jego słój, który stał w gabinecie tamtego ważnego doktora, stoi teraz u Elli. Pierwszy raz od tamtego dnia widzę go na żywo. Wygląda gorzej, jego ciało wydaje się pokryte pleśnią, jakby zaczynał się rozpadać, ale na twarzy ma wciąż ten sam, pełen samozadowolenia uśmiech.

- *Kyoñ Khã?* - pyta. - Jak ci się żyje?

- Dobrze, Khã. - Kurewsko to dalekie od prawdy, ale tak się po prostu odpowiada. - A tobie jak się żyje?

- Nazywasz to życiem? - rzuca z głęboką goryczą. - Ten świat składa się dla mnie z kątów, cieni i falujących kształtów. Nie docierają do mnie żadne wieści. Kiedy chcę pogadać, muszę mówić do siebie. Ale dobrze, że jesteś, czekałem na ciebie.

Oczy, nie wiem dlaczego, ale mnie to nie dziwi.

- Szpital postanowił nas wyrzucić. Przez dwadzieścia pieprzonych lat niczego się od nas nie dowiedzieli, tylko tego, że gdy trujesz ludzi, dzieją się złe rzeczy. Nie byliśmy już potrzebni, trafilibyśmy do spalarni, ale twoja doktorka się dowiedziała i zapytała, czy może nas zabrać tutaj.

- Elli cię ocaliła?

- Ocaliła? Ty kretynie, gdyby się nie wtrąciła, bylibyśmy już wolni. - Jego dwie głowy bulgoczą do siebie, a potem znowu patrzą na mnie. - Teraz wszystko zależy od ciebie. Jesteś naszą jedyną nadzieją. Wydostań nas stąd. Rozbij słój i zniszcz nas ogniem.

Tymi samymi słowami przemawiał do mnie w snach. Mam mętlik w głowie. Ten mały gnojek jest rzeczywisty. Mogę postukać w jego słój i usłyszeć, jak mnie przeklina, ale czy jest

równie rzeczywisty w moich snach? Jeśli tak, co mamy sądzić o tym świecie, który wydaje się taki solidny? Czy na nim też nie ma nic prócz świateł i tańczących cieni?

- Kim jesteś - pytam - żeby mi rozkazywać?

W słoju rozlega się gulgot, bąbelki wesołości unoszą się w truciźnie.

- Kim jestem? Zwierzaku *miyañ*, to tragiczne, że musisz pytać. Nie wiesz?

prezesem zarządu jestem

jestem rdzą na mieczu

światu obojętny jestem

jestem smoczym skarbem

Jestem jajem natury, popsutym przez niedouczone i aroganckich ludzi. Mogę być przyjacielem ludzkich istot, zwłaszcza ubogich, gdyż pieniądze mnie nie obchodzą. Wasz khaufpurski polityk, który niedawno świętował urodziny, czemu towarzyszyły wielbłądy, słonie, tańczące konie i tort ważący pięćdziesiąt trzy kilo, nie wie, że jego złota biżuteria nie ma żadnej wartości. Tacy jak on powinni się mnie lękać, jestem ogniem, który wypali jego pięć zmysłów. Co do ciebie, nieszczęsny świrofonie, myślisz, że jesteś zwierzęciem, ja jestem twoją matką i ojcem, byłem tobą w dzieciństwie, będę tobą na starość. Jestem martwy, ja, który nigdy nie żyłem, nie zostałem pochowany. Czekam, by spłonąć. Twardy jestem i miękki, pojawia się i znikam, schodzę w głąb ziemi i skaczę pod niebo, wypełnia mnie naturalne światło. Ci jednak, którzy mnie spotykają, uważają, że jestem czymś bezwartościowym, zerem, gównem.

- Niezwykły z ciebie gość - mówię. - Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty.

Zawartość słoja musuje, drobne maziowate kawałki, które musiały odpaść od Khã, wirują porwane prądami śmiechu w tanecznym labiryncie.

- Bracie Zwierzaku - mówi - ty i ja niewiele się różnimy. Obaj jesteśmy podwójni. Dwóch jest mnie, dwóch jest też ciebie.

- Co to znaczy? - pytam niezbyt zachwycony tym porównaniem.

- Moje dwie głowy wyrastają z jednej szyi. Z twoich bioder, w miejscu, gdzie zgina ci się grzbiet, wyrastasz drugi ty, prosty i wysoki. Ten drugi ty jest obecny przez cały czas, był tam od samego początku, myśli, mówi i działa, lecz jest niewidzialny...

Zanim skończył, do pokoju wpada Elli doktorka i zaczyna robić różne rzeczy tym zimnym metalowym krążkiem.

- Serce masz zdrowe.

- Cztery części ciała mam mocne jak tuja: głowę, klatkę, oba ramiona i...

- Zamknij się - mówi. - Wiem, że uwielbiasz mleć ozorem, ale teraz nie pora na to.

Jej hindi jest doskonały. Po sposobie mówienia można poznać, że nie pochodzi stąd, ale akcent ma lepszy niż na przykład jakiś Bombajwallah. Od ich akcentu ropicją uszy. Jest tak blisko, że czuję jej zapach, kiedy mnie dotyka, i nic na to nie poradzę, ale znowu budzą się we mnie brzydkie myśli. Widziałem cię naga, widziałem, jak myjesz piersi, widziałem twoją cipkę. To haniebne myśli, bo ona jest dobrą osobą, a poza tym mam poważny powód, by się obawiać takich myśli, od których napinają się moje szorty kakadu.

- Zdejmij spodnie.

- Nie, proszę.

- Nie wstydz się, już to w życiu widziałam.

- Chyba nie.

- Jeśli dzięki temu poczujesz się swobodniej, zawołam Dayananda.

- Nie!

- Fajne szorty - zauważa, ściągając je, i zaczyna badać mój grzbiet w miejscu, gdzie kręgosłup łączy się z biodrami. Obmacuje je opuszkami palców.

- Co czujesz? Powiedz, kiedy nacisnę.

- Palce.

- A tutaj?

- Palce.

Dotyka dokładnie tego punktu, w którym mój grzbiet skręca się w przód i w którym się ponoć znajduje moje niewidzialne drugie ja. Nie ma go tam, nie stoi wyprostowane, czego nie można powiedzieć o tym na dole - zrobił się wielki i twardy, stanął dęba, przypomina kłodę i przy każdym uderzeniu serca obija mi się o brzuch. Jeśli nawet Elli zauważyła mój lund, nie daje tego po sobie poznać, tylko zaczyna mnie wypytywać, co powiedzieli inni lekarze. Opowiadam jej więc o znakomitym specjalistce ze szpitala i tak dalej, kompletna strata czasu, nic nie da się zrobić.

- Lekarze nie zawsze mają rację. Dlatego zasięgamy dodatkowej opinii.

- W moim przypadku potrzeba chyba z siedmiu opinii.

- Więc je uzyskamy - mówi, odkładając dyndający krążek.

- A jeśli ta siódma opinia będzie taka sama jak pierwsza?

- Może być taka - odpowiada, szturchając moje barki - ale może być i inna. Istnieje jeszcze coś takiego jak dziewiąta opinia. Zapewniam cię, że gdybyś się urodził w Ameryce, nie biegałbyś na czworakach. - Chwyta mnie za podbródek i dodaje: - Musisz mi zaufać.

I właśnie w tym momencie zdarza się coś nieprawdopodobnego i zdumiewającego. Zaczynam warczeć i rzucać się na psa. Elli doktorka jest przestraszona.

- Jak się czujesz? Czy coś cię boli?

Nie odpowiadam, toczę tylko udawaną walkę z psem, wydaję odgłos rrrrrr i wyszczerzam kły, aż wreszcie Jara ma tego dość. Wstaje, spogląda na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Co ty, kurwa, wyprawiasz?” - po czym oddala się poza zasięg moich rąk i kładzie znowu z wywieszonym jęzorem. Pozostaje mi jedno: dostać kompletnego świra. Turlam się więc po podłodze, drapię, piszczę, chwytam przedmioty. Elli biegnie po pomoc, a ja szybko wciągam z powrotem moje kakadówki.

W drodze do wyjścia zatrzymuje mnie Dayanand.

- Co ty kombinujesz?

- A jak ci się wydaje? - Ciągle drzę.

Trzyma mop, dlatego myślę, że mnie uderzy, ale on mówi tylko:

- Teraz zabierz stąd swojego psa. - A potem dodaje jakby mimochodem: - Wiem, kto powstrzymuje ludzi przed przyjściem tutaj. Powiedz *panditowi* Somrajowi i jego towarzyszom, że pani Elli nienawidzi Kampani bardziej niż oni. Sam to od niej słyszałem.

Nieźle, Dayanand, ale ja nie zamierzam niczego zdradzać.

- Nie mam pojęcia, o czym gadasz.

- Więc dlaczego się trzęsiesz?

Dlaczego? Ponieważ zdarzyło się coś niesamowitego, o czym nie mogę mówić i do czego ledwo się ośmielać przyznać przed samym sobą. Gdy Elli, pomijając ósmą, wspomniała o dziewiątej opinii, gdy powiedziała, że muszę jej zaufać, przerażająca myśl wdarła mi się do głowy niczym huragan, przemknęła wzdłuż grzbietu jak prąd elektryczny, i zmieniła wszystko - dzika, głupia, niewybaczalna nadzieja, że ona mogłaby mnie wyleczyć.

Taśma jedenasta

Jakiś chłopiec nadjeżdża prędko na rowerze. Za mały jest, by korzystać z siodełka, więc stoi na pedałach, trzymając jedną nogę pod ramą, jak to się robi u nas.

- Zwierzaku! Zwierzaku! On tu jest!

To jeden z tych dzieciaków, które na moje polecenie mają oczy i uszy otwarte. Jeśli wpadnie w nie coś użytecznego, dostają rupię.

- Zwierzaku! Przyjechał obcy ksiądz!

Co? Jak? Kiedy?

- Zjawił się wczoraj wieczorem, słyszałem rozmowę zakonnic. Przyjdzie dzisiaj, dziś rano, ma tutaj przyjść po Ma Franci.

Usłyszawszy nowinę, Ma przywołuje mnie gestem i wicherzy moje włosy, splątane jak zwykle.

- Ihi, kurzu tyle co u osła.

Niewielu ludzi na świecie kocham. Ta staruszka do nich należy. Myślę o tym, że kiedy jej nie będzie, to w moim życiu powstanie wielka wyrwa, niebo rozdarłe, światło tak jaskrawe, że nie da się patrzeć, wielka świetlna płachta przykrywająca ocean. Co to ma wspólnego z odjazdem Ma? Sam nie wiem. Nigdy nie widziałem morza. Po prostu taki obraz przychodzi mi do głowy. Ma całuje mnie w czoło, a potem przysuwa usta do mojego ucha i szepcze trzy rzeczy.

- Nie bądź nieuprzejmy dla księdza. Martwi mnie kaszel Aliyi. Spotkamy się w raju.

Kiedy ksiądz przybywa, ubrany w długą czarną szatę, okazuje się, że nie jest français, tylko espagnol, ale zna *la langue humaine*.

- *Bonjour*, Mère Ambrosine - odzywa się w tym języku. - To zaszczyt spotkać nareszcie siostrę.

Jego mina i głos wyrażają szacunek, a gdy zaglądam mu do głowy, i widzę myśli nasycone zdumieniem. Ta staruszka, z siatką zmarszczek na twarzy gęstsza niż rybacka sieć Naszego Pana, poświęciła całe życie nędzaczom z tego miasta. Z wielką delikatnością przekazuje pozdrowienia od przełożonej zakonu i wszystkich siostr z Francji i zapewnia, że z

niecierpliwością oczekują jej powrotu.

- Nie rozumiem, do czego im jestem potrzebna - mówi Ma. - Jest mi tu dobrze, mój syn Zwierzak opiekuje się mną.

Wtedy *père* Bernard, bo tak ma na imię, wyjaśnia:

- Matko Ambrosine, wszystko już postanowione. Przełożona chce, żeby siostra pojechała do naszego domu blisko Tuluzy. Tam jest ciepło i przyjemnie.

Tłumaczy dalej, że to stary dom z ogrodem schodzącym aż nad brzeg rzeki. I że miło będzie Ma pogawędzić z innymi starszymi zakonnice, które spędziły życie w takich rejonach świata, jak Kongo, Wietnam, Brazylia oraz wyspy Tuamotu, gdzie zakon założył kolonię trędowatych.

- A czy te inne zakonnice są chore na trąd? - pytam, bojąc się o Ma. Zaczyna się od suchej skóry, a zanim się obejrzyz, możesz sobie oderwać palec jak Chunaram, choć tylko on wpadł na genialny pomysł, by wziąć za to pieniądze.

- Powiedziałam już, że nie chcę wyjeżdżać - mówi Ma.

- Naprawdę mi przykro - zapewnia *père* Bernard. - Wiem, jakie to musi być niepokojące. Zwierzaku, chciałbyś kiedyś odwiedzić matkę Ambrosine we Francji?

- Wkrótce będzie musiał - ripostuje Ma. - Ja już długo nie pożyję. Kto się zaopiekuje moim ludem? Nie wiecie, że rozpoczęła się Apokaliza? Niebawem przybędzie znowu do miejsca początku.

Próbuję wyjaśnić *père* Bernardowi, że jeśli chodzi o Ma, musi być obecna przy tym wielkim wydarzeniu, inaczej to *fillum khatam*, koniec filmu.

- Niech się siostra nie martwi - mówi on z dziwną miną. - Przypuszczam, że Apokaliza niedługo dosięgnie Tuluzy. Rodzinny dom siostry znajduje się gdzieś w pobliżu tego rejonu, prawda?

- Mój dom znajduje się tutaj - odpowiada Ma. - Moją jedyną rodziną jest ten chłopiec. Widzę jednak, że ksiądz nie zmieni zdania, więc nie mam nic więcej do powiedzenia. Zacznę się pakować.

Otwiera płócienną torbę. Wszystko, co zgromadziła przez te pięćdziesiąt pięć lat spędzonych w Khaufpurze, to dwa stare ubrania, które nosi i pierze na przemian, okulary, książka Świjana i mały Isa przybity do krzyża. Ma wręcza mi go ze słowami:

- To dla ciebie, drogi synu. Przepraszam, proszę księdza, chciałabym się przez chwilę pomodlić. Zwierzaku, zaprowadź księdza do salonu, zabaw go grzecznie. Zrób mu herbaty.

Rozpaliłem więc ogień, postawiłem na nim garnek z wodą i wyszedłem z *père* Bernardem na zewnątrz, gdzie usiadł na pieńku pod tamaryndowcem. Jak na drzewo o tak

drobnych liściach daje dużo chłodnego cienia. Ma nazywa to miejsce naszym salonem, tu siedziałem z dziwnikarzem français, który nauczył mnie przeklinać po ludzku, potem też z dziwnikarzem kakadu. Oczy, jeśli kiedyś przyjedziesz do Khaufpuru, usiądę tu z tobą.

Wydaje mi się, że *père* Bernardowi trudno nawiązać ze mną rozmowę. Na moje pytanie, jakie filmy mają we Francji, odpowiada, że rzadko je ogląda. Później pytam, czy Ma będzie mogła czasem zjeść swój ulubiony *baingan bharta*, ale on nie wie, co to takiego. Tłumaczę mu właśnie, jak się umieszcza bakłażana w gorącym popiele, zdejmuję przypieczoną skórkę, rozgniata miąższ z cytryną, chili, czosnkiem i tak dalej, gdy zjawia się mała Aliya ze swoją babcią Huriyą i innymi starymi kobietami z *basti*. Serdeczne przyjaciółki Ma przyszły z wieńcami i słodczami, by ją pożegnać.

- Jest w środku - informuję. - Wejdźcie, proszę.

Père Bernard wydaje się oczarowany, że te staruszki, wśród których są muzułmanki w burkach i hinduski w sari, darzą starą zakonnicę tak wielką sympatią. Mówi:

- Takie przyjaźnie są owocem trudu całego życia. We Francji wszyscy będą wzruszeni, gdy się dowiedzą, jak tu kochano matkę Ambrosine.

Mniej więcej po dziesięciu minutach goście wychodzą i stają przed drzwiami, machając z płaczem do Ma, która została w środku. Odprowadzając spojrzeniem przygarbione postaci, czuję szczere przygnębienie na myśl, że w końcu tracimy wszystkich, których kochamy.

- No cóż, zapewne jest już gotowa - zauważa *père* Bernard, spoglądając na błyszczący zegarek. Wygląda na to, że mają rezerwację na lot o pierwszej trzydzieści do Delhi, skąd o szóstej odlatuje samolot do Francji.

Gdy po dwudziestu minutach Ma nie pojawia się w drzwiach, *père* Bernard podchodzi do otworu w ścianie i potrząsa plastikową płachtą zasłaniającą wejście.

- Matko? Matko Ambrosine? - Nie otrzymawszy odpowiedzi, pochyła się i wsuwa głowę do środka. - *Tiens!* Nikogo tu nie ma! Gdzie ona się podziała? Jak mogła tak zniknąć bez śladu?

- Wielebny ojciec - zaczynam i szlocham głośno - słyszałeś trąbę? Ma powiedziała mi, że gdy zacznie się Apokaliza, anioł zadmie w trąbę i wszyscy, którzy kochają Isa *miyañ*, zostaną porwani żywcem do nieba.

- Bzdura - mówi on. - Wierutna bzdura.

W tej samej chwili pociąg z łoskotem przetaczający się przez Orzechokrusz gwizdże donośnie i ksiądz aż podskakuje. Oczy, taka radość sprawia, że można by niemal uwierzyć w Boga.

- Ojczy, musisz mi dać swój zegarek.

- Po co?

- Żebym mógł powiedzieć Ma Franci, kiedy wróci, która jest godzina. Dzięki temu zdąży na samolot.

Wydaje się tym nieco zaskoczony, ale spójrzmy prawdzie w oczy: ma już niezły pierdolnik w głowie. Zegarek chowam w ścianie. Muszę go ukryć, bo się domyślam, co zaraz nastąpi. I faktycznie, niecałą godzinę po odejściu księdza nadciąga tuman kurzu, z którego wyłaniają się dwaj *pandu* w dziupie.

- No dobra, gdzie ona jest?

- Skąd mam wiedzieć? Byłem tutaj z tym obcym księdzem, a gdy zajrzeliśmy do środka, okazało się, że zniknęła.

- Ludzie nie znikają - oznajmia starszy *pandu*. Szkoli się na *fatlu*. Pas opięty na brzuchu. Stoi jak jakiś pieprzony *Sadda miyã ki tond*.

- Możesz się rozejrzeć, proszę uprzejmie. Uważaj tylko na skorpiony. I nie zapomnij wejść na górę po drabinie... jeśli wytrzyma twój ciężar.

- Przestań pyskować - ucina, obrzucając mnie paskudnym spojrzeniem. - Nie myśl, że o tobie nie wiemy, ty brudny mały *chaar sau bees*.

No ale, Oczy, wokół nas zbierają się mieszkańcy Orzechokrusza, wśród których są młodzi mężczyźni - nikt się nie cieszy na widok policji. Ich obecność dodaje mi odwagi.

- Hej, grubasie, jak będziesz tu straszyl niewinnych ludzi, to tak oberwiesz, że zamiast *chaar sau bees* będziesz mówił *baar sau chees*.

Oczywiście rusza do mnie, ale dwóch gości robi krok naprzód, więc się zatrzymuje.

„Spotkamy się w raju”, powiedziała Ma.

Po odjeździe policjantów rozglądam się uważnie, sprawdzając, czy droga wolna, a później zmykam do Rajskiego Zaułka i szybko docieram do domu Aliyi. Już kawałek przed wejściem słyszę śmiech i znajomy głos:

- *Tout que je me souviens de mon enfance d'autrefois, c'est un ciel poudré de bleu, la poussière sèche, des olives et des myrtes.*

To Ma. Mówi, że ze swego dawno minionego dzieciństwa pamięta tylko kredowobłękitne niebo, kurz oraz oliwki i mirty, cokolwiek to jest.

- Dla tych ptaków - mówi z kolei Huriya - gotów jest zrobić wszystko, naprawdę wszystko. Gdyby widział, toby polerował pręty tej klatki.

Zaglądam do środka. Są tam. Dwie starszki przycupnęły przy palenisku. Ma ciągle

jest ubrana w czarną burkę, w której uciekła. Jest też imbryk. Kłęby pary nad dzióbkiem zdradzają, że herbata się zaparzyła.

- *J'ai lui dit, mon travail, c'est ici, dans le royaume des pauvres de bon dieu.* - Powiedziałam mu, że moja praca jest tutaj, w królestwie bożych nędzarzy. - Prócz tego nie chcę opuszczać moich przyjaciół. Jak długo się znamy, Huriyo? Wielkie nieba, pewnie z pięćdziesiąt lat.

- Powiadam mu: „Mężu, przestań się tak cackać z tymi ptakami, co będzie z twoją wnuczką, gdy nas zabraknie?”

- I jeszcze chciał, żebym leciała samolotem.

- Dziecko większość dni spędza w szkole - ciągnie przyjaciółka Ma Franci. - Powiedziałam jej: „Aliya, chodź do szkoły najczęściej jak się da, naucz się jak najwięcej. Wykształcenie to cenna rzecz. Bez niego będziesz jak Hanif albo ja, spisana na straty”.

- Po co miałabym wracać? - pyta Ma z naciskiem. - Kiedy za młodu wstąpiłam do zakonu, przeżywały mnie „buraczka”, bo wychowałam się na wsi. Wiesz, wyrażałam się prostacko. „*Viech d'ase*”, na przykład. To było niegrzeczne, *ho barro lo porta!* Strzępki i kawałki wracają do mnie jak nos Jacotina.

- Napij się jeszcze *chai* - mówi Huriya i nalewa.

- Dziękuję - mówi Ma, która rozpoznaje słowo „*chai*”. - Zwierzak powinien się niedługo zjawić, przekazałam mu, gdzie mnie szukać.

- Aliya bardzo lubi Zwierzaka - mówi babcia dziewczynki, wychwyciwszy moje imię. - Jest dla niej miły. Miałam nadzieję, że zaprowadzi ją do tej nowo otwartej kliniki w Pazurze, ale nie wolno nam tam chodzić. Nie wiem dlaczego.

Nie tylko starą Huriyę dziwi bojkot kliniki Elli. Mniej więcej w tym samym czasie musiałem odwiedzić pewnego staruszka zwanego Shambhu. Był podwójną ofiarą Kampani. Wdychał truciznę tamtej nocy, a prócz tego studnie w jego okolicy pełne były wycieków z fabryki.

Ciało Shambhu było jak worek napełniony bólem, ledwo oddychał.

- O, moje życie - przemówił do żony - jeśli nie złapię tchu, umrę.

- Potrzeba mu tlenu - orzekli sąsiedzi.

- Ale ja nie wiem, co to jest tlen - załkała jego żona staruszka, a jej łzy zostawiały ślady w kurzu.

- To gaz, ale dobry gaz - odpowiedzieli. - Przywożą go w metalowych butlach. Jeśli podasz go mężowi, będzie mu łatwiej oddychać.

- Skąd mam zdobyć tlen? Nie ma pieniędzy na jedzenie, skąd wziąć pieniądze na to?

- Zabierz go do rządowego szpitala - doradził ktoś.

- Siostrzo, jakiego przyjęcia możemy się spodziewać w rządowym szpitalu? Nie podadzą mu tam tego dobrego gazu, odeślą go z kwitkiem na aspirynę. Zafar *bhai* i Somraj, wszyscy ci wielcy ludzie, czy oni daliby na to pieniądze?

- Pozwól mi umrzeć, żono - rzekł Shambhu. - To zapewne wola Boża.

Zaczęła od nowa zawodzić i ktoś powiedział:

- A ta klinika w Kurzym Pazurze, ta, do której nikt nie chodzi? Codziennie lekarka wystaje przed drzwiami, czeka na ludzi. Niech Shambhu tam pójdzie.

- To klinika Kampani - odparł ktoś inny. - Dlatego ludzie tam nie chodzą, mimo że leczenie jest za darmo.

- Kampani to wcielenie diabła. Specjalnie zrobili wszystko za darmo, bo wiedzieli, że biedaków nie stać na inne szpitale.

- Jeśli ta klinika już tu jest, czemu byśmy nie mieli z niej skorzystać? - zapytała żona Shambhu. - Czemu on nie ma tam pójść?

- Bo to klinika Kampani. Ta doktorka, Amerykanka, jest opłacana przez Kampani. Tak słyszałem.

- On umiera, więc co to za różnica? - zapłakała żona Shambhu. - Nic mnie nie obchodzi, kto da na to pieniądze, jeśli uda się go wyleczyć. Krowa może zjadać różne rzeczy, lecz zawsze daje to samo mleko. Mleko to mleko. Ta doktorka nie bierze opłat. Powiada, że przyjmie każdego. Jeśli Bóg nam zesłał taką osobę, jak możemy odmawiać?

- Siostrzo, zgadzamy się z tobą, ale Zafar *bhai* mówi, że nie wolno tam chodzić.

- Jeśli mój Shambhu umrze - ona na to - jego śmierć spadnie na Zafara *bhai*.

Ludzie Apokalizy cierpieli z zaciśniętymi zębami i trzymali się z daleka od kliniki Elli. Ja jeden spośród *khau*purczyków ją odwiedzałem. Zachęcał mnie do tego Zafar. Myślał, że szpieguję doktorkę. Tak powtarzał ludziom, którzy się skarżyli: „Czemu Zwierzakowi wolno łamać bojkot, gdy nam odmawia się darmowego leczenia?”. Czułem się z tym źle, ale nie z powodu Zafara, tylko dlatego że oszukując go, oszukiwałem też pozostałych.

Byłem tam, gdy nadszedł jakiś starzec i powiedział Zafarowi: „Wrzód wzbiera, zatruwa całą skórę wokół siebie zgnilizną i to trwa dzień i noc. Ból nie ustępuje. Z takim bólem nie potrafisz myśleć, nie potrafisz się modlić, pracować ani spać, nic nie potrafisz, możesz tylko to znosić, a pod koniec dnia powtarzasz sobie jedno: „Przetrwam”, a po wielu dniach i nocach splecionych w jedno pasmo mówisz: »No dobra, wciąż tutaj jestem«, ale ból

też jest i naprawdę doprowadza cię do szaleństwa”. A Zafar na to odparł: „Znoś ten ból nieco dłużej, dla nas wszystkich”. Później powiedział Nishy, że smuci go bardzo cierpienie ludzi. Że sam poznał, czym jest ból, bo jego żołądek ostatnio skręca się w ustawicznych bolesnych skurczach.

Elli, co zrobisz, jeśli ludzie nie przyjdą? - to pytanie uciska mój mózg jak bryła kamienia. Zadaję je po drugim badaniu, krew i siuski. Rozmawiamy na dachu, jak w pachnącej dżungli, w wielkich puszkach zasadziła bowiem pędy jaśminu, róże i tak dalej. Jest tutaj zaledwie od trzech miesięcy, a już się wspinają po mangowcu, na który sam wchodziłem. Rośnie tuż przy jej budynku, a gałęzie zwieszają się nad dachem.

- Co mogę zrobić? Chyba będę musiała się spakować i wrócić do domu.

- Do domu, czyli do Amriki?

- A gdzież by indziej?

- I co wtedy ze mną?

- Mój pacjent numer jeden.

Siedzimy na macie rozpostartej w cieniu mangowca. Opieram się o parapetową ścianę z nogami wyciągniętymi w drugą stronę. Elli siedzi po turecku przede mną. Z najwyższym trudem odwracam oczy od miejsca, które niebieski materiał ciasno opina.

- Nie martw się - mówi ona z uśmiechem i dotyka mojego ramienia. - Nie zamierzam wyjechać, zanim nie spełnię przynajmniej jednego dobrego uczynku. - Dodaje, że potrzeba jeszcze kilku analiz i prześwietlenia rentgenem, a gdy już uzyska wystarczającą ilość danych, wyśle je do specjalisty w dużym szpitalu w Amrice. - Nie wiem, co powie. Może, jak już usłyszałeś, nic nie można zrobić. Ale miejmy nadzieję, że sprawy się jakoś ułożą i przewieziemy cię tam na operację. Nie będę składała żadnych obietnic prócz tej jednej: cokolwiek się zdarzy, nawet jeśli wrócę do Amriki, zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy.

Nie ośmielam się myśleć o jej wyjeździe.

- Ludzie naprawdę chcą przyjść do twojej kliniki. Są po prostu zdezorientowani.

- Oni są zdezorientowani? To co powiesz o mnie?

- Słuchaj, Elli. - Na pewno już wie, co stało się przyczyną bojkotu, ale na wszelki wypadek dokładam wszelkich starań, by zrozumiała problem.

- Zbieranie danych, by wspomóc Kampani? Jacy idioci tak myślą?

- Wielu idiotów. - Uważam, żeby nie wymieniać imion, ale odgadła, że mam na myśli tych z przeciwnej strony drogi.

- Powiedz swoim znajomym - mówi - że każdy, kto myśli, iż jeden lekarz potrafi przeprowadzić rzetelne badania w trzy miesiące, powinien się zgłosić do psychiatry. To po prostu niewykonalne.

Mój lęk przed jej wyjazdem mąca pikantne myśli. Kiedy starasz się z całych sił nie patrzeć na coś, oko ci do tego ucieka, a potem się odrywa. Czuję się dość nieswojo. Jak ona może tego nie widzieć?

- Sugestia, że przyjechałam tu z powodu ostatniej decyzji sądu, jest niedorzeczna. Walczyłam co najmniej półtora roku, żeby założyć tę klinikę, a jeśli idzie o spiskowanie z politykami, to żałuję, że nie znam moich problemów. Zgadnij, ile listów napisałam do mieszkańców Khaufpuru? Do Zahreela Khana? Do Ministerstwa Zdrowia w Delhi? I ile dostałam odpowiedzi? No śmiało, zgaduj.

- Jedną?

- Ani jednej. Wytłumacz mi to! Napisałam do premiera stanu, że jestem zdumiona. Tak wielu chorych potrzebuje pomocy, ja składam rzetelną propozycję, a wy ją ignorujecie!

- I co odpowiedział?

- Nic. Zignorował mnie.

- Ale przecież jesteś tutaj - zauważam. - Więc ktoś musiał cię wysłuchać.

- To jeszcze dziwniejsza sprawa - mówi ona. - Pewnego dnia, po miesiącach ciszy, przyszedł list z pozwoleniem. Tak po prostu. Napisali w nim, że byłoby dobrze, gdybym przyjechała do Khaufpuru jak najprędzej, aby... jak to ujęto w dość wymyślny sposób... rozwiązać wszelkie niezbędne dominanty. I był to list od twojego pana Zahreela Khana.

- On nie jest moim panem. Ile mu zapłaciłaś za prawo do inwestycji? Jak wysoka była urzędowa opłata? - dodaje, widząc jej puste spojrzenie.

- Nie było żadnej opłaty.

- Więc masz odpowiedź. Liczy się inwestycja.

- Boże. - Elli zamyka oczy, wzdycha. - Po co ja tu w ogóle przyjechałam? Powinnam była się od razu domyślić, że to nie wypali. Najpierw politycy, teraz ten bojkot. Ludzie z Khaufpuru nie chcą pomocy. Powinnam była zostać w domu i hodować kurczaki.

- Oni chcą pomocy, dają słowo.

I opowiadam jej o Hanifie, kaszlącym i ślepym, o Aliyi i stanie zapalnym jej płuc, o Shambhu, który ledwie może oddychać, o wrzodzie Yusufa Omara, o „Ja Żyję” i jego zmarłych sąsiadach.

- Więc kogo muszę przekupić, żeby pomóc tym ludziom?

- Łapówki daje się politykom, policjantom i tak dalej. A tutaj w grę wchodzi zaufanie.

Dlaczego nie powiedziałaś ludziom, jakie musiałaś pokonać trudności?

- Po pierwsze: obgadywanie polityków, którzy w każdej chwili mogą wszystko zamknąć, to niezbyt dobry pomysł. Po drugie: kto by mi uwierzył? Po trzecie: nikt o to nie pytał.

Opowieść Elli sprawia, że powody jej przyjazdu wydają się jeszcze bardziej tajemnicze, chociaż twierdzi, że nie ma nic do ukrycia. Próbuję coś wyłowić z luk między słowami, ale natrafiam tylko na mrok i niepokój.

- Słowo daję, nie rozumiem Khaufpuru - ciągnie. - Od razu pomyślałam, że to najdziwniejsze miejsce, w jakim zdarzyło mi się znaleźć. Jeszcze nigdy nie mieszkałam w mieście, gdzie sprzedaje się mleko na łyżki, gdzie ludzie kupują papierosy na sztuki i jeżdżą po trzech na jednym rowerze.

- Jakich trzech? Czterech. - Jeśli już mamy chwalić khaufpurskie osiągnięcia, to bądźmy dokładni. - Jeden na kierownicy, drugi na ramie, trzeci pedałuje, czwarty na bagażniku.

- Plus świnię *bhutt-bhutt* wożące dziesięciu pasażerów, którzy wiszą z tyłu... Ale wiesz, co jest najosobliwsze? Po zachodzie słońca to miasto znika.

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Mam tu z góry niezły widok. W ciągu dnia jest tak jasno, że widać, jak słońce odbija się w chmurach pyłu i spalin. Ale gdy tylko zapada zmrok, ulice się zacierają i przypominają pogrążone w ciemnościach kaniony, którymi przelewają się tłumy. Co najmniej połowa samochodów jeździ w dodatku bez świateł, dlatego ciągle zdarzają się wypadki.

- No tak, ale co w tym dziwnego?

- Że ludzie to tolerują. To jest właśnie najdziwniejsza rzecz w Khaufpurze. Że ludzie z tyloma rzeczami się godzą. Rozejrzyj się. Nie chodzi mi tylko o ciemne ulice i morderczy ruch, ludzie w tym mieście tolerują otwarte kanały ściekowe, walające się wszędzie śmieci, zatrute studnie, zatrute niemowlęta, lekarzy niewykonujących swojej pracy, skorumpowanych polityków, tysiące chorych, o których nikt się nie troszczy. Ale zaczekaj, niech tylko pojawi się ktoś ze szczerą propozycją pomocy, ci sami obywatele nie mogą jej znieść, a nawet wydaje im się do tego stopnia nieakceptowalna, że muszą zorganizować bojkot. Ludzie w tym mieście są albo ślepi, albo szaleni. Nie potrafię pojąć sposobu ich myślenia.

- Nie bądź zła na biedaków - mówię. - Jakąż mają władzę, by cokolwiek zmienić? - Znowu czuję w sobie wrzenie, które mnie ogarnęło, gdy powiedziała, że Orzechokrusz powstał w wyniku trzęsienia ziemi.

Ona odmieni twoje życie, przemawia wewnętrzny głos. Widzisz jej łóżko na dachu,

osłonięte moskitierą, to tam będziesz z nią... Zamknij się, zamknij się, zamknij się. Teraz wiem, jak odmieni moje życie, i na pewno nie zrobi tego w ten sposób. Ale do obcisłych dżinsów Elli doktorka nosi cienką bluzkę. Potrafię czytać w ludzkich myślach i zdumiewa mnie, że ona nie widzi moich. Bo choć staram się je ukryć, to jestem równie lubieżnym *bloblo, c'est à dire lolo* podglądaczem jak Zahreel Khan. Oczy, spróbuj zrozumieć moje położenie.

- Nie na biedaków - odpowiada nieświadoma niczego Elli. - Na tych, którzy powinni wiedzieć lepiej.

I zaczyna mi opowiadać o swoim znajomym lekarzu, mieszkającym w domu nad jeziorem - pewnie tym, o którym wspominał kiedyś Dayanand. Obok niego zamieszkała uboga rodzina. Przymocowali do ściany foliową płachtę i zabezpieczyli ją kamieniami, tworząc coś w rodzaju namiotu. Tam śpią, gotują, szyją, na zewnątrz myją naczynia, nagie dzieci bawią się w błocie.

- Zaniepokoiłam się o nich, więc zwróciłam mu na to uwagę. Zgadnij, co powiedział. - Robi pauzę, rzuca mi spojrzenie typu „nigdy w to nie uwierzysz”. - Powiedział: „Nie martw się, policja ich wkrótce stąd usunie”.

Cóż, wcale mnie to nie dziwi, ale stroję grymasy, które ją satysfakcjonują. Podejmuje inne tematy, które poruszył ten jej znajomy, jak dawne życie kulturalne Khaufpuru i jego niezwykła historia, poeci, z jakich słynęło to miasto, oraz postępową politykę, która sprawiała, że stanowiło miejsce schronienia dla uchodźców, w tym licznej społeczności afgańskiej. Sądzę, że miał on na myśli ludzi z kręgu Farouqa, Yar-Yilaqich, którzy tak naprawdę są Uzbekami. Narzekał, że zapomniano o tym wszystkim, że gdy teraz świat słyszy nazwę „Khaufpur”, kojarzy mu się ona jedynie z trucizną.

- Przeklinam dzień pojawienia się tutaj Kampani, bo ta katastrofa wymazała naszą przeszłość.

- Wymazała też tysiące ludzi - zauważyła Elli.

- Zapomnij o katastrofie. Opuść ją sobie! Porozmawiajmy o czymkolwiek, tylko nie o tej bolesnej nocy. Daj temu spokój, minęło już prawie dwadzieścia lat. Zostaw ten temat. Może niektórzy mieszkańcy slumsów chcą wciąż na nowo podgrzewać atmosferę - rok w rok palą portrety szefów Kampani, wypisują slogany i skandują, ale co mogą w ten sposób osiągnąć? Nic. My zaś, obywatele, rada miejska, izba handlowa, wszyscy chcemy iść naprzód.

- A co z tymi ludźmi, którzy jeszcze nie doczekali się sprawiedliwości? Którzy cierpią bez pomocy? Pójdiesz naprzód i zostawisz ich z tyłu?

- Proszę, nie myśl o mnie źle, ale powiem ci prawdę. Ci biedni ludzie nie mieli żadnych szans. Gdyby nie fabryka, zabiłaby ich epidemia cholery, gruźlica, wyczerpanie, głód. I tak by poumierali.

- To okrutny sposób myślenia.

- Ja wolę to nazwać patrzaniem prawdzie w oczy - odparł. - Elli, zamęczysz się dla nich, a nikt ci nawet za to nie podziękuje.

Zadzwonił na służącego, żeby przyniósł jeszcze whisky, lodu i tak dalej. Oczywiście, powinienem zaznaczyć, że był wieczór, siedzieli u niego na tarasie, skąd rozciągał się widok na jezioro. Woda wydawała się czarna, wysoko nad wszystkim świecił zimny biały księżyc. Starszy lekarz dotknął ramienia Elli i wskazał w górę.

- Oto coś, czego nie wyczytasz w książkach. Tamtej nocy księżycowi brakowało jednej trzeciej do pełni. Przybrał kształt łyżki i gdy przebił się przez chmury gazu, miał kolor krwi.

- I wiesz, Zwierzaku, co powinnam była mu odpowiedzieć? „Jestem lekarką, znam się na krwi?”. Ale siedziałam tylko, popijałam jego whisky i słuchałam, jak sprowadza zgrozę umierających ludzi do poziomu drugorzędnego wiersza o księżycu.

Z taką goryczą opowiada historię o starym doktorze, że zaczynam się bać, czy nie znenawidziła Khaufpuru i czy nie wróci zaraz do Amriki.

- Elli, w Khaufpurze jest wielu dobrych ludzi.

- Czyżby? Na przykład kto? Władze, których nic nie obchodzi? Bogacze, którzy chcą iść naprzód? Biedacy, którzy wymierzają ci kopniaka, kiedy próbujesz im pomóc?

- Mógłbym cię do nich zaprowadzić, żebyś ich poznała. Dobrych ludzi. Ubogich, chorych. Takich jak ja. Potrzebujemy cię. Proszę, nie poddawaj się.

- Ach, tacy jak ty, Zwierzaku - mówi, a jej głos brzmi łagodniej. - Owszem, cieszę się, że cię poznałam. Tak, ty jesteś dobry.

Putain con! Oto dowód, jak bardzo wykształcona osoba może się mylić, ale nie zamierzam zaprzeczać ani wyznawać, jakie obrazy odżyły przed chwilą w mojej głowie: ona naga, schylająca się po mydło.

- Elli, wszystko się ułoży, musisz tylko przekonać ludzi, że nie zostałam nasłana przez Kampani.

- A jak mam to zrobić?

- Powiedz im, dlaczego tak chciałaś tu przyjechać.

- Co? Że słyszałam o tamtych zdarzeniach i to mną wstrząsnęło? Że nienawidzę niesprawiedliwości? Że poruszyło mnie to, znam się na leczeniu, nie mam w życiu nic

lepszego do zrobienia? No i jeszcze myślałam głupio, że będę mile widziana? Jak sądzisz, w który z tych powodów uwierzą?

Przemowa Elli doktorki pełna jest szczerego gniewu, ale znowu odnoszę wrażenie, że coś zostaje zepchnięte pod powierzchnię.

- Potrzebujesz czegoś, co można sprawdzić. - Myślę o Zafarze.

- Albo kogoś, kto mi uwierzy?

W tej właśnie chwili wpadam na świetny pomysł. To może rozwiązać wszystkie problemy. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

- Elli, jeśli idzie o kłopoty, jakie miałaś z założeniem kliniki, i o te inne sprawy, to jest pewien bardzo przyzwoity człowiek, z którym mogłabyś porozmawiać. To *pandit* Somraj.

Nie wiem, jakiej reakcji się mam spodziewać, ale Elli robi tylko zdziwioną minę.

- Ten nauczyciel muzyki? Nie sądzę. Dayanand twierdzi, że to on i jego przyjaciele stoją za tym bojkotem.

- Dayanand to wór *merde*. *Pandit* Somraj nie ma z tym nic wspólnego, przysięgam na własne życie.

- Naprawdę? Ciekawe, że o nim wspominasz. Taki poważny mężczyzna. Widuję go w ogrodzie, wymieniamy pozdrowienia, to wszystko. Mam wrażenie, że wolałby ze mną nie rozmawiać. Unika moich oczu, ani razu się nie uśmiechnął.

- On się nigdy do nikogo nie uśmiecha.

- Jest taki nieśmiały?

- Kobiety go onieśmielają - mówię. - Przez to, co mu się przydarzyło. Z jego żoną.

- Zastanawiałam się, o co tu chodzi. - Elli wydaje się teraz zamyślona, a także, chciałbym w to wierzyć, znów pełna nadziei.

Zadaję sobie pytanie, czy nie powinienem powiedzieć jej, że Somraj sprzeciwiał się bojkotowaniu jej kliniki, ale to by oznaczało wydanie Zafara, a zdrać było już i tak za wiele. Zaczynam więc opowiadać, jakim to Somraj był śpiewakiem, dopóki gazy tamtej nocy nie spieprzyły mu płuc. Jako lekarka przejawia zainteresowanie.

- Może spróbuję pomóc? Czy nic nie można dla niego zrobić?

- Właśnie nic. Nisha, jego córka, powiada, że on nawet nie chce słuchać płyt ze swoimi dawnymi nagraniami.

- Musiał być dobry, skoro nagrywał.

- Najlepszy. *Pundit* Somraj był sławny. Nazywano go głosem Khaufpuru. Internet opisuje, jak wyśpiewywał żurawie i trąby wodne.

- Nie bardzo rozumiem...

- No cóż...

Czymże jest moja uczciwość, skoro przyrzekłem *panditowi* Somrajowi nie powtarzać jego zwierzeń, a teraz miałem jęzorem przy zagranicznej lekarce? Oczywiście, wspomniałem przed chwilą o zdradzie i to jest właśnie zdrada, ale stała się, jak bywa z takimi sprawami, bez planowania. Idziesz za głosem serca, ale serce jest ślepe. Gadałem co najmniej godzinę. Elli miała mnóstwo pytań na temat *pandita*, jego żony, jego sławy. Pewnych rzeczy nie powinienem był jej jednak mówić.

- Żaby? - pyta. - Naprawdę powiedziałeś „żaby”?

- Tak.

- Co za dziwactwo. Czy on żartował?

- Nie on. Odkąd trucizny Kampani rozszarpały mu płuca i odebrały żonę i syna, *pandit* Somraj rzadko żartuje. Nie zaśpiewa też na głos. Ze swojego cierpienia tworzy pieśni, które słyszy tylko on.

- Jakie to smutne - zauważa Elli. - Nie powinnam wyśmiewać tych żab.

- Tylko jeden żart opowiada *pandit* Somraj. *Sa, Re, Ga, Ma, Pa, Dha, Ni, Sa* - te nuty wszyscy rozpoznają. Somraj mówi, że dla niego oktawa brzmi teraz: *Sa, Re, Ga, Ma, Khā, Si, Khā, Si*.

Oczy, ten żart *pandit* kieruje przeciw sobie. Nie ma być śmieszny, ma być splunięciem w twarz losowi, powiedzeniem „pieprzę cię” światu, który tak beztrudnie pogruchotał mu życie. Ty oczywiście go nie zrozumiesz, drogie Oczy, przede wszystkim dlatego że ciebie nigdy nic nie pogruchotało, ale też dlatego że nie znasz naszego języka. *Khāi Si* nie są nutami należącymi do skali. Jeśli je połączysz, tworzą wyraz *khaañsi*, co oznacza „kaszel”. Somraj chce przez to powiedzieć: „Ilekcio próbuję śpiewać, zaczynam kaszleć i nie mogę przestać”.

Nie ma potrzeby tłumaczyć tego Elli, bo ona biegle włada hindi.

- Biedak - mówi. - Jaki on musi być zgorzkniały. Może powinnam tam pójść i posłuchać tego kaszlu?

Następnego dnia z Nishą przygotowujemy w kuchni posiłek. Jej ojciec daje „Jaszczurce” lekcję śpiewu. Słyszymy, jak próbuje frazy *sochha samajha mana meetha piyaravaa* wciąż od nowa. Ktoś puka do drzwi. Nisha ma całe ręce w mące, więc otwieram ją.

W progu stoi Elli z poważnym wyrazem twarzy. Nawet się ze mną nie wita.

- Czy zastałam *pandita* Somraja?

- Elli doktorko, on prowadzi lekcję.

- To ważne - odpowiada. Dopiero teraz uśmiecha się do mnie lekko i dodaje: - Proszę

cię, Zwierzaku, idź po niego.

Pukam więc do drzwi pokoju muzycznego, by przekazać wiadomość, i po chwili zjawia się Somraj.

- Dzień dobry, *pandicie* Somraj. Pragnęłabym z panem porozmawiać.

- Doktor Barber, dzień dobry. - Nie wydaje się, żeby chciał ją wpuścić.

- Zwierzak twierdzi, że jest pan przyzwoitym człowiekiem, z którym mogę mówić otwarcie. Jak pan wie, otworzyłam klinikę po drugiej stronie ulicy. Ludzie trzymają się z daleka. Czy może pan rzucić jakieś światło na tę sprawę?

Mój Boże, jaka ta Elli jest przebiegła. Nic dziwnego, że Somraj tak ją zainteresował. Nabrała mnie. Wierzy, że to on jest tu czarnym charakterem.

Pandit Somraj jest zaskoczony. Tak śmiało nawiązywanie rozmowy nie należy do khaufpurskich zwyczajów.

- Przykro mi - odpowiada - ale nic nie wiem o pani klinice. Czy to wszystko? Bo mam ucznia, właśnie odbywamy lekcję.

- Dlaczego zabrania się ludziom do mnie przychodzić? Ktokolwiek to robi, postępuje źle.

- Przykro mi, nie mogę pani pomóc - mówi Somraj i chce zamknąć drzwi.

- Musi pan. - W głosie Elli pobrzmiewa nuta desperacji. - Musi pan, proszę. Niech mi pan przynajmniej powie, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego uważacie, że coś mnie łączy z Kampani? Nie znoszę ich tak samo jak wy.

- Jeśli ludzie nie przychodzą, to ich sprawa. Ja nie mówię innym, co mają robić. - Odwraca się.

„Jaszczurka” Shastri stoi w korytarzu i się gapi. Somraj kiwa głową, myśli chyba, że to koniec rozmowy.

- Proszę zaczekać - mówi Elli. - Mnie również jest przykro, ale to nie wystarczy. Sądzę, że pan wie, dlaczego oni trzymają się z daleka. Że pan to dokładnie wie. I błędnie pan mnie ocenił. Potraktował mnie pan bardzo niesprawiedliwie. Wyrzekłam się wszystkiego, żeby tu przyjechać i pracować.

Somraj znowu się odwraca. Wyraz jego oczu jest niemal bolesny, ale może kryć wzgardę, litość albo irytację. W końcu wzdycha:

- No dobrze, proszę wejść. - Prowadzi ją do pokoju, w którym dawał lekcję. Na dywanie stoi fisharmonia. - Proszę usiąść - mówi. - Napije się pani czegoś? Herbaty? Może świeżego soku?

- Proszę posłuchać - ona na to - nie składam tu towarzyskiej wizyty. Nie przyszłam dla

rozrywki ani żeby spytać o zdrowie, choć moim zdaniem nie wygląda pan najlepiej. Prawdę mówiąc, gdyby miał pan odrobinę rozsądku, pozwoliliby mi się pan zbadać i przestałby pan... przestałby powstrzymywać ludzi...

- Przestałbym powstrzymywać?

- Dobrze pan wie, o czym mówię - burczy Elli w angliżu.

Przez cały ten czas Shastri i ja zaglądamy przez drzwi. Po chwili zjawia się i Nisha, rzucając Elli wrogie spojrzenia swymi wielkimi brązowymi oczyma.

- Tato, czy wszystko w porządku?

- Jeśli jest jakiś problem - odzywa się Somraj do Elli - przedyskutujmy go w rozsądny sposób. Bez krzyków. Dobrze, będę z panią szczerzy. Gdy usłyszeliśmy, że klinikę otworzy Amrikanka, osoba z Amriki, o której nic nie wiadomo, ludzie się przestraszyli.

- Proszę mówić dalej - zachęca Elli. - Słucham.

- Zostawcie nas samych, proszę - zwraca się Somraj do nas trojga tłoczących się w drzwiach.

Dwoje wycofuje się posłusznie, trzeci, który trzyma głowę tuż nad podłogą i którego niełatwo zauważyć, pozostaje.

- Trudno to zapewne zrozumieć - tłumaczy Somraj - lecz Amrikanie nie cieszą się dobrą opinią w tym mieście.

- Chwileczkę. - Elli unosi rękę. - Nie dam sobie tego wcisnąć. Nie wstydzę się, że jestem Amrikanka. Z wielu rzeczy w Amrice można być dumnym, choć są w niej i rzeczy złe, jak wszędzie. Na tym świecie żyją dwa rodzaje ludzi: ci, którzy pomagają innym, i ci, którzy nie pomagają. Ja należę do tego pierwszego. Mogę tak powiedzieć, bo przyjechałam tu, żeby nieść pomoc. Mimo to pan albo ktoś, kogo pan zna, każe mieszkańcom tego miasta trzymać się z daleka od mojej kliniki, a to już podłość. Więc zanim zacznie pan mi wytykać moją amrikańskość, niech pan najpierw rozstrzygnie, do jakiej kategorii pan się zalicza.

- Pani Barber...

- Żadna „pani” - przerywa ona. - Doktor Barber, jeśli to konieczne, ale ponieważ jesteśmy sąsiadami, wolałabym, żeby nazywał mnie pan „Elli”.

- Doktor Barber, prawda wygląda tak, że ludzie nic o pani nie wiedzą: skąd pani pochodzi, kto panią finansuje czy pani pracuje dla kogoś? Gdyby lepiej znała pani to miejsce, zrozumiałaby, dlaczego te sprawy mają znaczenie.

- Już po raz drugi wspomina pan o zrozumieniu, *pandicie* Somraj. Zrozumienie wymaga udziału dwóch stron. Jest zazwyczaj wynikiem czegoś, co nazywamy rozmową, a do tego potrzeba dwojga. Jeśli chciał się pan czegoś o mnie dowiedzieć, mógł pan przyjść i

zapytać. Ale pan tego nie zrobił. A co do sprawiedliwości, postawił mnie pan w stan oskarżenia, nie informując nawet o tym, rozpowszechniając sfigowane opowieści i grając na ludzkich obawach. Choć nic pan o mnie nie wiedział, zupełnie nic, uznał mnie pan za winną czegoś, o czym nie mam pojęcia, i wydał na mnie wyrok. Włożyłam w tę klinikę całe serce i wszystko, co posiadam, więc nie pozwolę, żeby pan albo jakiś inny uprzedzony sukinsyn spieprzył moją robotę.

- Proszę, niech się pani uspokoi - mówi Somraj.

Co do mnie, bardzo, ale to bardzo żałuję, że Elli nie mówi tych rzeczy człowiekowi, który powinien je usłyszeć, tylko nieszczęsnemu *panditowi*, stojącemu, o czym ona nie wie, po jej stronie.

- Nie, cholera, nie uspokoję się! Najwyższy czas, żeby usłyszał pan parę słów. Wiem wszystko o waszym komitecie. A pan zapewne nie wie, że wielu z tych ludzi, których rzekomo reprezentujecie, naprawdę chciałoby przyjść do mojej kliniki. Niektórzy są przecież bardzo chorzy. I jeśli w tej okolicy nastąpi zgon, któremu mogłabym zapobiec, to wina za to spadnie na pana i pańskie sumienie.

Dlaczego jej nie powie, że był przeciwnikiem bojkotu? Na twarzy tego posepnego człowieka pojawia się jeszcze posepniejszy niż zwykle wyraz.

- Ponieważ jest pani tak szczerą, ja również będę szczery. Nie zamierzam przeklinać, jak pani, powiem tylko, że gdyby tak zebrać wszystkie przekleństwa z wszystkich języków, wszystkie plugawe obelgi i stopić w jedno słowo tak nikczemne, tak odrażające i wyzute z wszelkiego dobra, że samo jego brzmienie wzbudzi zgrozę, wstręt i nienawiść, byłoby to słowo...

- Amrika?

- Nie, Kampani. Czy przechodziła pani przez plac, przy którym stoi gmach sądu? Tak? Musiała pani tam widzieć kilka osób z transparentami. Stoją tam o każdej porze dnia. Jeśli w sądzie odbywa się rozprawa, mogą nawet skandować. Mieszka tu pani dostatecznie długo, by ich zauważyć.

- Zauważyłam i chętnie się przyłączę do tych protestów, ale co one, do diabła, mają wspólnego ze mną?

- Wszystko - odpowiada *pandit*. - Mają z panią wszystko wspólne. Bo tak się składa, że Kampani... - Napad kaszlu, jeden z tych gorszych, wzbiera w jego płucach i Somraj bezskutecznie stara się go stłumić.

- Naprawdę powinien pan pozwolić, żebym się tym zajęła - mówi Elli.

- Od lat - zaczyna Somraj, odzyskawszy dech - Kampani twierdzi, że rozmiary

uszczerbku na zdrowiu ludności zostały wyolbrzymione i firma chętnie by przeprowadziła badania, które wykażą, że wszystko tutaj mieści się w normie i że ostatnie skutki katastrofy wyparowały.

- Tak - odpowiada Elli. - Znam tę idiotyczną teorię, że przyjechałam tu w celu przeprowadzenia jakiejś ekspertyzy medycznej. Lecz z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że nie da się wykonać rzetelnych badań w kilka tygodni, to niemożliwe. A prócz tego wszyscy wiemy, jaki byłby wynik. Nic tutaj nie mieści się w normie i widzi to każdy, kto ma oczy.

- Badania nie muszą być prawdziwe. Potrzebny jest ktoś, kto je sfabrykuje. Na przykład jakiś lekarz.

- To oburzające i niesprawiedliwe!

- Więc po co pani tu przyjechała? Jaka kobieta zrezygnuje z życia w Amrice i przeprowadzi się w takie miejsce jak to, żeby pomagać innym, nie otrzymując nic w zamian? Albo jest pani świętą, albo przyświeca pani inny cel. Kim zatem pani jest?

- Nie jestem świętą, ale jak mam udowodnić panu czy komukolwiek innemu, jakie są moje motywacje? Może mi pan uwierzyć albo nie, pański wybór. - Elli oblewa się jaskrawym rumieńcem, drżą jej dłonie. - To niesprawiedliwe, pan już z góry założył, że jestem winna!

- Ktoś, kto tak wiele poświęca, musi być niezwykły.

- Nie bardziej niezwykły niż ten, kto słyszy muzykę żab! - Wyrzuciwszy to z siebie, Elli posyła w moją stronę spojrzenie zabarwione poczuciem winy, ja zaś podkulam ogon, by zwiąć.

- Bardzo mi przykro - mówi Somraj - ale to nie zależy ode mnie. - Nie odwracając głowy, dodaje najspokojniej w świecie: - Zwierzaku, zawiadom z łaski swojej Shastriego, że wracamy do lekcji.

Taśma dwunasta

Nie ośmieliłem się stanąć przed Somrajem. Opuściłem jego dom, gdy lekcja „Jaszczurki” jeszcze trwała, i przez dwa tygodnie nie zbliżałem się do Kurzego Pazura. Pewnej nocy przyśniło mi się, że zawleczono mnie przed znajomych Somraja do jego muzycznego pokoju, a Somraj oznajmił: „A teraz posłuchamy *Ragi Zwierzaka*” - i zaczął tłuc mnie butem po tyłku. Muzycy chłonęli z zachwytem moje krzyki, wołając: „*Wah! Wah!*”. Nisha i Zafar też tam byli i klaskali. Nisha zaś powiedziała: „Zwierzaku, nie miałam pojęcia, że potrafisz tak ładnie śpiewać”.

Pewnego ranka nadjechał jednak Farouq na rowerze.

- *Kyoñ salé*, gdzie się ukrywałeś?

- Nie ukrywałem się.

- Więc czemu nas nie zaszczycił swoją obecnością?

- Byłem zajęty.

- Zafar chce się z tobą widzieć.

- Nie mogę teraz.

Żałuję tylko jednego: że gdy trzymam się z dala od Pazura, Zafar nie dostaje pigulek. Ale myśl o spotkaniu z *panditem* Somrajem napędza mnie grozą.

- Jestem zajęty.

- O, to widać. - W jego głosie dźwięczy nuta głębokiego sarkazmu. - A co porabiasz? Siedzisz i bawisz się swoim lundem? Może znalazłeś sobie dziewczynę? I piłowałeś jej szparę, co?

- Niewykluczone.

Śmieje się paskudnie.

- Nigdy w życiu nie zerznąłeś kobiety.

- Zerznąłem! - To moje stare kłamstwo.

- Nie wierzę. Idź do Laxmi Talkies, przeleć którąś. Trzydzieści dolców, żaden problem.

- Tyle biorą od ciebie?

- Nie bądź bezczelny.

Farouq zsiada z roweru, opiera go o ścianę i naumyślnie staje przede mną tak, że muszę wykręcać szyję, by dostrzec jego twarz. Przez chwilę się zastanawiam, czy mnie uderzy, czy kopnie. On jednak spogląda tylko na mnie z góry i mówi:

- Zbliża się muharram, bracie Zwierzaku, czyżbyś zapomniał o swoich przechwałkach? Przespacerujesz się po węglach? Starczy ci odwagi?

Jednego nauczyłem się na ulicy: tego, żeby się nigdy nie wycofywać.

- Posłuchaj, ty gówniarzu spod znaku Yar-yilaqich. Przespaceruję się po twoim ogniu nie raz, ale dwa razy.

- Chciałbym to zobaczyć - odpowiada.

- I zobaczysz. - Obserwuję jego buty, na wypadek gdybym musiał uskoczyć w tył.

- Trzymam cię za słowo.

- Trzymaj.

- Tak będzie - potwierdza z góry. - Chodź, Zafar czeka.

- Po co mu jestem potrzebny?

- Chodzi o twoją przyjaciółkę doktorkę. No, sam zobaczysz.

Farouq musi dźwignąć mnie na bagażnik, a potem podskakujemy na nierównej nawierzchni Rajskiego Zaułka i skamieniałym osadzie Siedmiu Krawców. Za nami biegnie Jara.

- Chyba wszyscy tutejsi sklepikarze cię kochają - zauważa Farouq, słysząc po drodze krzyki Bajy, a potem „Ja Żyję”.

- Jestem ich ulubionym klientem.

Przed domem Somraja zebrał się tłum. Po klinicznej stronie ulicy, w cieniu mangowca ustawiono trzy stoły, za którymi siedzą Dayanand, Suresh i Elli. Na każdym stole znajduje się coś innego.

Zeskakuję z roweru Farouqą i gapię się z otwartymi ustami. Na pierwszym stole stoi podparty duży rysunek przedstawiający ludzkie ciało. Zaznaczono na nim na czerwono wszystkie miejsca, które uszkodziły tamtej nocy trucizny Kampani, czyli oczy, płuca, stawy, łono, mózg. Na niebiesko zakreślono punkty, na które podziałało picie skażonej wody: piersi, znowu łono, żołądek, skóra. Niebieskie i czerwone spirale wyłaniają się z głowy, w którą uderza młotek, a nad tym wszystkim wisi ciemnoszara chmura z błyskawicą.

- Do każdego schorzenia - przemawia Dayanand - dobieramy odpowiednią terapię, która jest darmowa. Przestańcie więc cierpieć. Przyjdźcie i pozwólcie sobie ulżyć w bólu. Nie słuchajcie fałszywych pogłosek.

Ludzie wokół stołu pokazują na rysunku, co im dolega. Młotek oznacza ból głowy. Musi oznaczać. Sam je miewam, często tuż przed atakiem szaleństwa.

- Zawroty głowy, omdlenia - zwraca się Dayanand do kobiety, która patrzy na zakręcone spirale.

- Tak mi się wydawało - mówi ona. - Czy leczenie jest naprawdę darmowe?

- Całkowicie - odpowiada Dayanand. - To doskonale nowoczesne metody. Pomożemy ci. Zapisz się u recepcjonistki w środku, pani doktor zbada cię jeszcze dzisiaj.

Kobieta wchodzi do budynku kliniki, a gdy znika za drzwiami, z cienia wyłaniają się inni. Zastanawiam się, co na to powie Zafar i spółka. Wszyscy chyba już rozumieją, że Elli doktorka nie poddaje się łatwo.

- Pospiesz się - mówi Farouq, który odstawił już rower.

- Zaczekaj. Co oznacza chmura? - pytam Dayananda, który nie wydaje się zachwycony moim widokiem.

- Depresję. Błyskawica symbolizuje niepokój.

- Tak? Kto je narysował? Ty?

- Nie rób sobie jaj - odpowiada. - Raczej już zabierz stąd własne jaja.

- Dobra - rzucam i wchodzę do domu Somraja, by spotkać się z losem.

Tam od razu natykam się na Niszę, która wita mnie takim uściskiem, że mój lund zaczyna pulsować.

- Zwierzaku, gdzie się podziewałeś? Przestałeś przychodzić na obiady. Czy aż tak źle gotuję?

- Wcale nie. Twój tata jest w domu?

- Nie. Chciałeś się z nim widzieć?

- To nic ważnego - odpowiadam. Uff, co za ulga.

Zafar siedzi w ogrodzie i obiera nożem owoc jak wtedy, gdy go poznałem.

- Dobrze, że jesteś, Zwierzaku. Mamy pewien problem. Widziałeś tę imprezę towarzyszącą?

- Widziałem.

- To tylko zabawa na dzisiaj. Wczoraj zaobserwowano Elli doktorkę wychodzącą z biura Zahreela Khana.

- Który bardzo podziwia jej bufory - zauważam i sam je wspominam.

- Zostawmy na boku bufory - odpowiada Zafar ze znużeniem. - Tak zabawa wyglądała wczoraj. Od twojego zniknięcia mieliśmy też już wojny muzyczne.

- Jak to, muzyczne?

- Każdego wieczoru - tłumaczy Nisha - ilekroć mój tata gra albo udziela lekcji, z drugiej strony ulicy dobiegają te głośnie dźwięki.

- Elli doktorka ma fortepian - mówię. - Widziałem go. Nauczyła się na nim grać, gdy zachorowała jej matka.

- No, a teraz choruje od niego mój ojciec - oznajmia Nisha. - Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Chodzi jak błędny tam i z powrotem, trzymając się za głowę.

- Och, to straszne! - wykrzykuję pewien już, że *pandit* i jego koledzy spuszcza mi niewąski łomot.

- Papa twierdzi, że ta doktorka Elli wgryza się w jego mózg.

- Myślę - oznajmia Zafar - że jedno jest pewne: prędzej księżyc zacznie obracać się wstecz, niż zrozumiemy, co się dzieje w głowie Elli doktorki. Ale, Zwierzaku, mamy ciebie.

- Mnie? Co ja mogę zrobić? - Wiem co, filiżankę herbaty.

- *Nemisbond* - odpowiada.

- *Dzejmsbond* - wtóruje jego rozkochane echo. - Jesteś z nią zaprzyjaźniony, dowiedz się, po co poszła do Zahreela Khana.

Gdy udaje mi się podzucić Zafarowi do herbaty jedną z czarnych pigulek, wychodzę na zewnątrz, gdzie siedzi Elli doktorka i jej personel, usiłując przekonać khaufpurczyków. Na drugim stole leżą ulotki z obrazkami na temat gruźlicy i sposobów zapobiegania jej rozprzestrzenianiu. Suresh wyjaśnia, że gruźlica jest chorobą zaraźliwą, lecz przy podjęciu pewnych środków ostrożności można się przed nią uchronić i jeszcze pomóc cierpiącym.

- Nauczmy was. Całe leczenie i wszystkie lekarstwa są za darmo. Wystarczy wejść i się zapisać.

- Jak to może być czymś złym? - pyta czyjś głos.

Inni przytakują.

- Tak wielu na tym zyska. Tego nam było trzeba.

Teraz już ludzie bez przerwy przepływają przez drzwi kliniki. Przy tym tempie bojkot wkrótce dobiegnie końca.

Na trzecim stole leżą liczne arkusze papieru, a Elli doktorka macha długopisem.

- Chodźcie i podpiszcie!

- Co to jest? - pyta jakiś mężczyzna.

- Petycja - wyjaśnia Elli donośnym, wyraźnym głosem. - Zaadresowana do *pandita* Somraja i jego komitetu. Napisano w niej: „Prosimy nie zabraniać ludziom poddawania się ucziwemu i darmowemu leczeniu”. Wesprzyjcie tę klinikę. Zachęćcie innych, żeby z niej korzystali.

- Co mam zrobić?

- Podpisać się i dodać komentarz, jeśli chcesz.

Mężczyzna coś mamrocze, dźga papier i odchodzi. Nie umie pisać.

Elli dostrzega mnie dopiero po chwili, ukrytego za krawędzią stołu.

- Zwierzak! Co za szczęśliwy traf! Chciałam z tobą porozmawiać. Zaczekaj tu, nigdzie nie odchodź. - Ogląda się na Suresha. - Podpisało się co najmniej stu ludzi. Ilu zapisało się wewnątrz?

- Ponad siedemdziesięcioro, proszę pani.

- Dobrze. - Odwraca się do mnie. - Zwierzaku, możesz mi poświęcić kilka minut?

- Elli doktorko, co pani robi?

- Uświadamiam tym ludziom, że *pandit* Somraj jest niesprawiedliwy. Nie powinien ich powstrzymywać od leczenia.

- Dzień dobry, doktor Barber - odzywa się głos pobrzmiwiający śmiercią. To Somraj stoi tuż obok nas.

Ludzie zebrani wokół wstrzymują oddech. Wszystkie głowy zwracają się ku Elli, a ona wygląda zupełnie - tak mówią starsi ludzie - jak kaczka trafiona piorunem. Dlatego głowy zwracają się ponownie ku Somrajowi, posępnemu jak zawsze.

- *Pandicie* Somraj - Elli bierze się w garść - ponieważ jest pan tutaj, chciałabym przedstawić panu tę oto petycję. - Wpycha mu cały plik kartek.

- Chętnie ją przyjmę - odpowiada on uprzejmie - lecz zanim to uczynię, pragnąłbym zrobić coś jeszcze.

Zbliża się tłum khaufpurczyków. Cóż to za hałastra! Pełno tam turbanów, *dhoti*, burek, sari, oddechów przesyconych wonią betelu i supari.

- Odsuńcie się, szumowiny! - wrzeszczę. - Nadepniecie mi na pieprzone palce!

- Chciałbym to podpisać - odzywa się Somraj.

Ludzie wybałuszają oczy, gdyż po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna *pandit* Somraj się uśmiecha.

- Co pan ma na myśli? - pyta Elli, czerwona jak przekrojony burak.

- A to - odpowiada on, wyjmując pióro i składa podpis. - Zbierzcie ich więcej, a gdy skończycie, proszę, przynieście je do mnie.

To rzekłszy, wraca do swego domu, wciąż uśmiechnięty, pozostawiając za sobą szmer głosów oraz jedną zdumioną lekarkę.

- Doktorko Elli?

- Ten okropny człowiek drwi sobie z nas - odzywa się wreszcie. - Jak on śmie? Suresh,

widziałeś, co zrobił?

- Podpisał petycję, proszę pani. *Pandit* Somraj podpisał petycję.

- Wiem, że podpisał cholerną petycję. - Jej głos wibruje wysokimi nutami. - Uwierzyłbyś w to? Petycja jest wymierzona przeciw niemu, a on ją podpisuje.

- Proszę pani, *pandit* Somraj cieszy się sławą człowieka sprawiedliwego. Może poczuł, że postąpił niesprawiedliwie?

- Ale jeśli tak czuje, dlaczego po prostu odpowiednio nie postępuje? Dam sobie spokój z tym miastem. Chyba nigdy go nie zrozumiem. - Gapi się *ghurr-ghurr* na mnie. - Zwierzaku, a ty podpiszesz?

- Nie ja.

- Dlaczego? Jeśli podpisał sam *pandit* Somraj, to czemu nie ty? No chodź, wpisz tu swoje imię.

- To nie jest właściwe imię - mówię.

Somraj może robić, co mu się podoba, Zafar nigdy nie powie nic złego człowiekowi, do którego zwraca się „*abba*”. Ale ja?

- Podpisz!

- A tak naprawdę to co to za imię: Zwierzak?

- Miej trochę odwagi. - Zupełnie jakby czytała w moich myślach. - Jesteś wolnym człowiekiem.

- Nie jestem człowiekiem.

- Ciągłe to powtarzasz, ale tak naprawdę w to nie wierzysz.

- Oczywiście, że wierzę. Bo to prawda.

- A co jeszcze jest prawdą?

Zastanawiam się przez chwilę, a potem proszę:

- Dajcie mi coś do pisania. - I pod tymi wszystkimi znakami i krzyżkami piszę:

Je ne suis pas un homme, mais un animal

dans cet hôpital je ne trouve rien de mal.

- No to masz, Elli. Napisałem dla ciebie wiersz. Dzikokłowy głos zaczyna warczeć, zanim zdołam go powstrzymać:

Mere muñh se nikli insaan ki zubaan,

qurbaani ke jaanvar ki aakhri qurbaan.

Moje usta wypowiedziały się w ludzkiej mowie w akcie ostatniego poświęcenia zwierzęcia prowadzonego do rzeźni.

- Bardzo mi przykro - mówi później Elli w klinice. - Nie powinnam była wspominać o żabach. To było niemądre.

Nic na to nie odpowiedziałem. Choć jestem zły na Elli, nie będę jej krytykował, bo może się na mnie pogniewać i nie zechce mnie dłużej leczyć. Jeśli twoim życiowym zadaniem jest poszukiwanie numeru jeden, czasami powinnaś ugryźć się w język, ale zazwyczaj w taki czy inny sposób dobierasz się jednak do człowieka.

- Elli, jak ludzie mają ci zaufać, jeśli odwiedzasz kogoś takiego jak Zahreel Khan?

- Skąd o tym wiesz?

- *Nemisbond Dzejmsbond.*

- No cóż, nic nie osiągnęłam z dżentelmanem z drugiej strony drogi. Ale ma tupet, nie sądzisz? Posłuchaj tylko.

Siada przy fortepianie, unosi wieko i opuszcza ręce. Rozlega się dźwięk jak odgłos gromu. Jara podrywa łeb i piszczy. Elli wydobywa więcej donośnych, huczących dźwięków.

- Co ty robisz?

- Od tamtego dnia, kiedy się z nim pokłóciłam, ilekroć siadam do fortepianu, z jego domu dobiega głośnie muzyka.

- Nic o tym nie wiem - odpowiadam szczerze.

- Zaczekaj, to się przekonasz.

Zaczyna grać swój ulubiony kawałek, ten, który brzmi jak dzwony. I rzeczywiście po niespełna minucie rozlega się raga, śpiewana przez kogoś pełnym głosem.

- Jak długo to trwa?

- Kilka tygodni. Ale nie szkodzi, po prostu gram trochę głośnie. Fortepian bez trudu go zagłusza.

A zatem ta sama skarga po obu stronach drogi.

- Twoi przyjaciele, Zwierzaku - jej palce wciąż skaczą po klawiszach - nie są zbyt lubiani przez władze.

- Doprawdy?

- Minister nazwał ich zawodowymi aktywistami.

- Ha, ha, tylko tyle?

„Agitator”, „mąciwoda”, „wichrzyciel” i tak dalej. Takimi słowami politycy najczęściej opisują Zafara.

- Nie tylko. - Przestaje grać i opowiada mi, co się wydarzyło.

Oczy, nietrudno mi przypomnieć sobie jej słowa. Nawet po tak długim czasie wystarczy mi tylko pomyśleć o Elli, wyobrazić ją sobie stojącą przede mną z tymi jej trochę za blisko osadzonymi oczami oraz w obcisłych niebieskich dżinsach, a zaraz pulsuje mi *zabri* i słyszę jej głos przemawiający w mojej głowie.

Elli idzie do rządowego gmachu, w którym Zahreel Khan i inni khaufpurscy politycy mają biura. To elegancka część miasta tuż nad brzegiem jeziora. Z zewnątrz wygląda czysto, ale w środku jest brudna. Elli dodaje:

- W pierwszej chwili myślałam, że te czerwone zygzaki w poprzek schodów stanowią część dekoracji, ale potem zdałam sobie sprawę, że to plamy, które zostawili urzędnicy plując betelem.

Odesłali ją do biura z metalowymi szafkami, na których piętrzyły się sterty brązowych kopert. Na podłodze zaś leżały stosy teczek. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Sekretarz Zahreela Khana nie okazał zachwyty na widok Elli.

- Minister jest bardzo zajęty. Nie można się z nim dzisiaj spotkać.

Z gabinetu Zahreela Khana dobiega szmer głosów.

- Ale on mnie oczekuje. Zawiadomiłam go telefonicznie o swojej wizycie.

- Mimo to...

- Więc kiedy mogłabym się z nim zobaczyć?

- Jutro ma posiedzenie, a potem wyjeżdża na trzy dni do Delhi. Gdy wróci...

- Nie mogę czekać tak długo - przerywa Elli. - Chorzy potrzebują mojej pomocy, a powstrzymuje się ich przed zgłoszeniem do kliniki. Niektórzy mogą umrzeć.

Urzędnik wskazuje sterty akt.

- Proszę pani, tu chodzi o roszczenia sprzed dwudziestu lat. Jaką różnicę zrobi kilka dni?

- Z pewnością minister znajdzie trochę czasu. Zaczekam tutaj, dopóki nie będzie mógł mnie przyjąć.

- Madame, traci pani czas.

- Sama to ocenię - mówi ona. - Czego dotyczą te wszystkie akta?

- Każdateczka zawiera skargę osoby, która ucierpiała tamtej nocy. Widzi pani tutaj zaledwie drobną część tych dokumentów. Mamy chyba z milion takich, a przerobiliśmy jakieś pół miliona.

- Mogłabym zerknąć na jedną czy dwie?

- To są poufne dane.

- To są publicznie dostępne statystyki zdrowotne, a ja jestem lekarką. Wasz minister zapewnił mnie osobiście, że będę mogła korzystać ze wszelkich informacji.

- Proszę bardzo - odpowiada znekany sekretarz.

Ma już potąd tej bezczelnej cudzoziemki, lecz nie ośmiela się okazać nieuprzejmości, ponieważ jego własny minister otwierał jej klinikę. Mija godzina. Elli zagłębiła się w lekturze przygnębiających raportów o tragedii Khaufpuru, gdy nagle zza drzwi Zahreela Khana dobiega głośny wrzask i coś w rodzaju przeciągłego ryku. Wówczas Elli uświadamia sobie, że dość długo już słyszy dziwne stuknięcia. W mgnieniu oka zrywa się i dopada drzwi.

- Zaraz! - krzyczy sekretarz. - Nie może pani tam wejść!

Za późno, już weszła. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzega, jest ekran telewizora, na którym widać białe sylwetki świętujących krykiecistów.

- Facet z jakimś kijem - mówi Elli, która nie ma pojęcia o krykiecie - schodzi z pola.

Zahreel Khan drzemie w fotelu z rozpostartą gazetą na kolanach. Gdy się budzi, widzi przed sobą uśmiechniętą Elli.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam w posiedzeniu, panie ministrze - mówi. - Chciałabym tylko zamienić kilka słów.

Zanim zdążył zaprotestować, zaczęła obszerniej przedstawiać swój problem.

- Arré, dlaczego jeszcze tu stoisz? - zwraca się Zahreel Khan do sekretarza, który w progu załamuje ręce. - Nie widzisz, że mam gościa? Poślij po herbatę i ciasto dla dwóch osób. Natychmiast.

Potem minister zapewnia Elli, że nie ma się czym martwić, w Khaufpurze sprawy toczą się powoli, ludzie są ostrożni, trwają przy tym, co już znają.

- Proszę dać im trochę czasu, a przybędą tłumnie, zobaczy pani.

- To nie ostrożność - odpowiada Elli. - Im zakazano do mnie przychodzić. Jediną przyczyną tego, jak zrozumiałam, jest obawa, że nasłala mnie Kampani. Wie pan, że to nieprawda. Nie może im pan tego wyjaśnić?

Minister przybiera zboląły wyraz twarzy i Elli zdaje sobie sprawę z bezcelowości tej wizyty. Nikt nie uwierzy w ani jedno słowo Zahreela Khana.

- A ludzie stojący za tym tak zwanym bojkotem? Kim oni są?

Słyszac imię Somraja, minister gniewnie marszczy brwi.

- To banda wichrzycieli. Zawodowych aktywistów. Droga pani, powinna pani zrozumieć, że promowanie tragedii Khaufpuru leży w ich interesie. Proszę pomyśleć: jeśli problemy zostaną rozwiązane, co się stanie z funduszami na ich działalność? Skończą się, ponieważ nie będzie już potrzeby ich gromadzenia. Z tego powodu muszą się sprzeciwiać

wszelkim wysiłkom podejmowanym w celu poprawy sytuacji.

- A moja klinika jest jednym z takich wysiłków?

- Czymże innym? - on na to. - Po cóż innego pani tu przyjechała?

Na srebrnej tacy, wniesionej przez lokaja w wymyślnym uniformie, pojawia się podwieczorek. Elli, która nie przepada za herbatą z mlekiem, obserwuje Zahreela Khana sączącego napój i podjadającego ciasto. Jak na takiego potężnego mężczyznę ma zwinne palce.

- Panie Khan, po co ja tu jestem?

- Moja droga, pani chyba wie najlepiej. - Oczy Zahreela Khana zdążyły już kilka razy pokonać drogę do jej buforów.

- Jak to możliwe, że przez wiele miesięcy nie dostawałam odpowiedzi na żaden z moich listów i nagle wszystko ruszyło, łącznie z pozwoleniem?

- Pozwolenie w takich wypadkach wymaga potwierdzenia, a to najwyraźniej zajmuje dużo czasu - wyjaśnia on, wyraźnie dotknięty. - To w końcu właściwie niesłychana rzecz, że jakaś kobieta przybywa sama ni stąd, ni zowąd do obcego kraju.

- A Matka Teresa?

- Idealizm nie sprawdza się w Khaufpurze - odpowiada minister. - Chyba zdążyła już pani to zauważyć.

Elli niemal widziała, jak jego umysł oblicza, ile czasu potrzeba, aby złamały ją upał, brud i rozpacz Khaufpuru.

- Więc twierdzi pan, że nic nie może zrobić?

- Już zrobiłem wszystko, o co mnie poproszono - odpowiada Zahreel Khan, zerkając na zegarek.

- Zwierzaku - kończy Elli - do tej pory nie wiem, co on miał na myśli.

Ja zaś odczuwam niepokój, ponieważ w jej głowie znowu pojawia się ten mętny mrok. Z drugiej strony drogi znowu dobiega czyjś śpiew. To *Dil Hi To Hai Na Sang-o-Khisht*, ghazal Ghaliba. Mam nadzieję, że Elli nie zacznie walić w klawisze i nie popsuje tej pieśni.

- Zwierzaku, chcesz zagrać?

Dobrze, Ghaliba mogę posłuchać w każdej chwili, a kiedy ponownie trafi mi się okazja zagrania na fortepianie?

- Chodź, usiądź tutaj, na tym taborecie.

Wspinam się na stołek, twarzą do instrumentu.

- Teraz wyciągnij ręce, o tak, i połóż palce na klawiszach. Graj po kolei: *do re mi fa sol la si do*. Tak się nazywają nuty.

- Tak jak nasze *sa re ga*. Czyli to jest *sa*. - Naciskam klawisz.

- Wasze *sa* to nasze *do* - mówi Elli.

- A to jest *re*. - Brzdąkam w następny klawisz.

- Wasze *re* to również nasze *re*. Ta sama nazwa, ta sama nuta. Są identyczne w obu naszych muzykach. A teraz posłuchaj.

Elli przysuwa się do klawiatury i wygrywa cudowne zbitki nut, inne niż wszystko, co dotąd słyszałem. Somraj potrafi grać nutę za nutą, bardzo szybko i zręcznie, lecz te nuty harmonijnie się łączą, śpiewają chórem, czasami trzy, cztery, nawet pięć naraz, każda innym głosem, a efekt brzmi bardzo pięknie.

- Dobrze, jeśli już poznałeś nuty, zagrajmy melodię.

- Jak?

- Jednym palcem, o tak.

Gra kilka nut, a potem dwie naraz. Więc i ja robię to samo.

- Wymyśl jakieś słowa, które dopasujemy do twojej piosenki.

Więc wymyślam słowa, a ona pomaga mi ułożyć z nich pieśń.

Jestem zwierzakiem wolnym i śmiałym.

Nie ma takiego na świecie całym.

*Dzieckiem koszmaru jestem skrzywionym,
zdziczałym stworem głodem karmionym.*

*Zero pieszczoty, zero miłości,
nie znam nadziei, nie znam radości.*

*Lecz jeśli litować ośmielisz się tutaj,
naszczam ci do herbaty i nasram do buta.*

- Jakie to smutne - mówi ona i parska śmiechem.

- Jeżeli smutne, to dlaczego się śmiejesz?

- Nie wiem - odpowiada, ocierając oczy. - Może dlatego, że inaczej musiałabym się rozplakać. Sama myśl o życiu bez nadziei jest przerażająca.

- Elli, to tylko piosenka. To właśnie tak sprawy wyglądają w królestwie nędzarzy.

- Myślałam też o mojej matce - mówi. - W gorszych chwilach nie wiedziała, co się wokół niej dzieje, ale miewała również przebłyski rozsądku. Musiała zdawać sobie sprawę, że jej przypadek jest beznadziejny.

- Dla niej nauczyłaś się grać na fortepianie.

- To prawda. Nauczyłam się wszystkich jej ulubionych utworów. I właściwie tylko je znam. Przedwczoraj w nocy siedziałam tu i zastanawiałam się, co ja lubię grać. Nie przyszło mi nic do głowy.

- Elli, myślę, że jesteś bardzo samotna.

Milczy, ale kiwa głową.

- Szkoda, że nie lubicie się z *panditem* Somrajem. To porządny człowiek, a w dodatku zafascynowany muzyką. Powinnaś spróbować bliżej go poznać.

- Jak to zrobić, jeśli on mnie bojkotuje? - Ociera oczy chusteczką.

Powinienem teraz powiedzieć jej, że to nie on stoi za bojkotem, że tak naprawdę od początku się temu sprzeciwiał, ale z niejasnych dla mnie przyczyn moje kłamliwe usta pozostają zamknięte.

- No, a co słyhać u ciebie? - pyta i okazja przepada.

Długo tamtego dnia rozmawiałem z doktorką. Na dole pracownicy zamknęli klinikę i poszli do domu, a ona opowiadała mi różne rzeczy o swoim mieście, krewnych, rodzicach. Oczy, usłyszysz to wkrótce od niej samej, więc nie będę ci odbierał przyjemności. I powiedziała jeszcze, że następnego dnia zrobi zdjęcie rentgenowskie mojego grzbietu. Zanim skończyliśmy gadać, zapadł zmrok.

Kiedy opuszczam progi kliniki, gotów wrócić do domu, do Ma Franci, nadchodzi moment, którego się obawiałem. *Pandit* Somraj stoi przed drzwiami swojego domu.

- Zwierzaku, zechciej poświęcić mi chwilę.

Nie mam wyjścia. Teraz mi dopierdoli, ile wlezie.

- Słucham, proszę pana?

- Poszedłeś tam posłuchać jej gry? - pyta.

- Tak. I sam też grałem. Ułożyłem piosenkę.

- To znakomicie. Jak to zrobiłeś?

- Elli doktorka mnie nauczyła. Pokazała, jak mam kłaść ręce na klawiszach, żeby zagrać *sa re ga* i tak dalej. A w jej muzyce *re* nazywa się *re*, zupełnie tak samo jak w naszej. Bardzo jej się to spodobało.

- Doprawdy? - Z jego tonu wynika, że zaraz wpadnie we wściekłość, lecz zamiast wrzasnąć na mnie, wytargać za ucho albo kopnąć w dupę, kładzie rękę na moim barku i mówi przyjaźnie: - Synu, brakowało nam ciebie.

- Mnie, proszę pana?

- Ciebie, proszę pana. Moja córka się martwiła.

- Nie ma się czym martwić. - Och, co za radość! *Pandit Somraj* mi wybaczył, nazwał mnie „synem” i jeszcze Nisha troszczy się o mnie.

- Miałaś niewątpliwie rozmaite sprawy do załatwienia.

- Tak, proszę pana.

- Nie dotyczyły żab, jak przypuszczam? - Jego twarz wygląda surowo jak zwykle, lecz w tym dniu pełnym niespodzianek widzę, że drgają mu ramiona. Nie tylko dzisiaj się uśmiechnął, ale teraz na dodatek z całych sił stara się nie roześmiać głośno.

- W żadnym razie nie dotyczyły, proszę pana.

- Dobranoc, Zwierzaku.

- Dobranoc panu.

- Królestwo nędzarzy. Chcę, żebyś mnie tam zaprowadził. Dzieje się to na drugi dzień po akcji z petycją. Pomimo obietnic nikt spośród tych, którzy ją podpisali, nie zgłasza się do kliniki. Przyszedłem na prześwietlenie, spodziewając się zastać całkiem liczną grupę, ale prócz mnie i Jary nie ma tu nikogo.

Elli oznajmia, że postanowiła wziąć sprawy we własne ręce.

- Jeśli ubodzy nie chcą przyjść do mnie, ja pójdę do nich. Stanę z nimi twarzą w twarz w ich własnych domach, rozbudzę chorych i zapytam wprost: „Wolicie umrzeć, słuchając bredni, czy zgodzicie się, żebym wam pomogła?”

- No, nie wiem - odpowiadam poruszony tą tyradą. - Chyba nic się nie zmieniło. Ludzie ciągle uważają, że powinni cię unikać.

- Przecież ty tu jesteś, prawda?

- Ja robię, co mi się podoba. Może cię dzejmsbonduję.

- Dzejmsbondujesz? - Gdy Elli pojmuje znaczenie tego słowa, wybucha śmiechem, po czym mówi: - Chodź, zrobimy to prześwietlenie, a potem może pójdziemy razem?

- Oczywiście, pójdziemy - potwierdzam, ale musiałem się lekko zawahać, ponieważ wyczuła, że coś jest nie tak.

- Co się dzieje? Nie chcesz, żeby cię widziano ze mną?

- Nie o to chodzi.

Jestem z Elli doktorką w dobrych układach i nie chcę jej drażnić, ale obowiązują pewne zasady.

- Musimy najpierw coś uzgodnić.

To jedna z zasad Chunarama, właściwie jedyna, bo innych nie posiada. Elli nie wykazuje zrozumienia sytuacji, więc konieczne jest wyjaśnienie.

- Chodzi o opłatę.
- Co?!
- Za ten rodzaj usług zawsze pobieram opłatę.
- Opłatę? - powtarza takim tonem, jakby się przesłyszała.
- Pięćdziesiąt rupii. To pestka dla jeżdżącej autami supergwiazdy jak ty.
- Zwierzaku, jesteś zdumiewający, naprawdę. - Kręci głową. - Czy ty w ogóle posiadasz sumienie?

Cóż, w sumienie nie wierzę. Gdyby mnie nim obdarowano, zaraz bym oddał to kurestwo z powrotem.

- Elli, to mój biznes. Za oprowadzanie cudzoziemców zawsze pobieram opłatę.
- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. - Wydaje się nieco urażona.
- Co to ma do rzeczy?
- Przyjaciele nie płacą sobie nawzajem za przysługi.
- Jesteśmy przyjaciółmi - mówię - ale nie na równej stopie.
- Bzdura. Oczywiście, że jesteśmy sobie równi.
- Nie. Ty jesteś bogata, a ja biedny.
- A co to ma wspólnego z przyjaźnią? - Prowadzi mnie do sali z aparatem rentgenowskim. - Żarty sobie stroisz.

- Elli, ktoś taki jak ty potrzebuje mnóstwa pieniędzy. Jak mógłbym z tobą paradować? Nie stać mnie nawet, żeby ci postawić coca-colę. Wiesz, ile wydaję dziennie? Zgadnij.

- Czterdzieści rupii - odpowiada po chwili namysłu.
- Czterdzieści? - Zaśmiewam się aż do zachłyśnięcia, a potem pokazuję na palcach.
- Cztery?
- Owszem, cztery.
- To przecież dziesięć centów. Nikt za tyle nie wyżyje, nawet w Khaufpurze. Przesuń się trochę w lewo. - Rozmawiając, ustawia mnie przy aparacie: kawałek w jedną stronę, kawałek w drugą.

- Racja. Nikt nie wyżyje, ale ja tak. Wiesz, w jaki sposób? Wszędzie chodzę na czterech łapach, lewa, prawa, lewa, prawa, żadnych aut. Całe przedpołudnia spędzam na ulicach, zajmując się swoją robotą. Dwie rupie wydaję na *chai*. Lunch jem u *pandita* Somraja za darmo. Po południu zaglądam do Chunarama. Jedna rupia idzie na samosę i jeszcze jedna na *chai*.

- A może byśmy zawarli umowę? Zrobisz to dla mnie, tak jak ja robię to - macha w stronę rentgena - dla ciebie.

- Elli, ty możesz chcieć pracować za darmo, ale dlaczego ja mam tego chcieć?

Zastanawia się przez chwilę.

- Powiedziałeś, że nasza przyjaźń nie jest oparta na zasadzie równości. Ale ja coś ci daję, więc i ty możesz mi coś dać. Każde z nas robi to dobrowolnie, nie dlatego że musi, tylko dlatego że chce. To czyni nas równymi sobie.

- Elli, przez taką równość będę splukany. - Żeby przełamać jej sknerstwo, ruchem podbródka wskazuję Jarę, która leży obok i ziaje z psim uśmiechem na pysku. - Czemu pozwalasz psu wchodzić tutaj? Tak rozpaczliwie szukasz pacjentów, że przyjęłaś nawet mnie.

- Cholera jasna! - krzyczy. - Nie ruszaj się. Nabierz głęboko powietrza i zamknij się, do cholery! Raz... dwa... trzy... - Po prześwietleniu mówi: - A teraz posłuchaj. Zrobię dla ciebie, co w mojej mocy, ponieważ tego chcę. Jestem lekarką, taki mam zawód. Ale niech mnie szlag trafi, jeśli ci zapłacę za oprowadzanie. Więc podejmij decyzję. Zrobisz to czy nie?

Zastanawiam się chwilę, a potem przywołuję psa.

- Chodź, idziemy.

Docieramy do drzwi sali. Elli stoi przy aparacie rentgenowskim i wydaje się szczerze zasmucona.

- No, madam doktorko? Na co pani czeka?

Na jej twarzy rozkwita szeroki uśmiech. Podbiega i przyklęka, żeby mnie objąć i ucałować w oba policzki. Myślę sobie, jak lubię być ściskany przez kobiety, i myślę też: przestań, przestań, przestań, bo czuję, jak Monsieur Méchant ożywa w moich spodniach.

- Zapomnij o swojej doktorskiej torbie, zapomnij, że znasz hindi, ludzie będą się obawali mówić, gdy się dowiedzą, że rozumiesz ich język. Udawaj jakąś tępą dziwnikarkę. Rozglądaj się z wielkimi okrągłymi oczami. Dużo wzdychaj, zadawaj głupie pytania w inglisz. Wtedy się przekonasz, jak sytuacja naprawdę wygląda.

- Potrzebne nam będzie auto? - pyta. - Twój znajomy pewnie czeka na zewnątrz.

- Żadnych aut, Elli. Nie możesz wkraczać do królestwa nędzarzy inaczej niż na własnych nogach. Chodź, pokażę ci. Wszystko. Wycieczka w pełnym wymiarze. Proszę za mną.

Wbiegam *à quatre pattes* do Pazura i mijam sklep Nekchalana, gdzie przesiadują jego głupkowaci przyjaciele. Elli kroczy kawałek za mną. Mówi uprzejmie „dzień dobry” tonem gładkim jak strużka *ghi*, ale te obłudne gnojki nie odpowiadają. Ulica jest zatłoczona, trudno Elli za mną nadażyć, więc dyrdam powoli. Suka Jara co chwila przystaje i ogląda się, jakby chciała powiedzieć: „Pospiesz się, Elli”. Kilka razy sprawdzam, czy się nie zgubiła. Nie jest

zbyt szczęśliwa. Wiele mętnych typów kręci się po Pazurze; wlepiają oczy w te niebieskie melony i cmokają jak na psa. W końcu wychodzi za mną przez rów na główną drogę. Po stronie starego miasta ta sama droga wygląda efektowniej. Włożono w nią więcej pieniędzy. Są tam duże sklepy, rodziny z tłustymi dzieciakami liżącymi lody. Nasza dzielnica zaś to brudny zsyp z powietrzem jak z rury wydechowej ciężarówki.

Naprzeciw nas znajduje się róg promenady Bogini Kali, po czym wkraczamy na drogę biegnącą wzdłuż fabryki Kampani. Po lewej mamy mur wysokości człowieka, pokryty napisami Zafara i jego kolegów, malujących po nocach, gdy policjanci śpią. Zafarowcy nigdy nie piszą, co naprawdę czują, a co brzmiałoby tak: „PIERDOLCIE SIĘ ZASRANE PIŹDZIELCE MAMY NADZIEJĘ ŻE ZGINIECIE BOLESNĄ ŚMIERCIĄ ZA TE STRASZNE KRZYWDY KTÓREŚCIE NAM WYRZĄDZILI I ZA KUREWSKIE BEZCZELNE OKRUCIEŃSTWO JAKIE OKAZALIŚCIE DO TEJ PORY”. Wypisują natomiast szumnie brzmiące bzdety w rodzaju: SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA KHAUFPURU czy KAMPANI UREGULUJ SWOJE DŁUGI, choć w kilku miejscach wzięły się do roboty jakieś wolne duchy: POWIESIĆ PETERSONA, a dalej: ŚMIERĆ AMRICE. Te napisy gliniarze najszybciej zamazują i najszybciej pojawiają się na nowo.

- Aiwa! Aiwa! Aiwa! - Zaledwie wkraczamy do Orzechokrusza, miejsca utworzonego przez trzęsienie ziemi, już śledzi nas banda dzieciaków.

- Zwierzaku, Zwierzaku! - dobiega mnie głosik, który dobrze znam. - Zwierzaku, kto to jest? Dokąd idziecie?

- Cześć, Aliyo, to bardzo ważna dziwnikarka. Nie rozzłość jej, bo pożera małe dzieci. Tak się postępuje w jej kraju. Piecze się je i podaje w sosie jogurtowym z miętą.

- Nie wygłupiaj się - odpowiada mała. - Mogę pójść z wami?

- A dokąd, twoim zdaniem?

- Skąd mam wiedzieć? Ale ty zawsze robisz ciekawe rzeczy.

- A co dzisiaj robimy, według ciebie?

- Będziecie łowić ryby? - pyta z nadzieją.

- Prowadzę ją na spotkanie z twoją babcią i dziadkiem.

- No to nie idę - oznajmia, robiąc minę, i zmyka.

Drzwi domów, do których dochodzimy, są niskie, idealne dla czworonoga. Znam tu mnóstwo ludzi, więc zaglądam to tu, to tam, pozdrawiając mieszkańców. Stają przygarbieni na progach. Niektórzy tylko się gapią, inni zapraszają nas gestami, ale odpowiadam, że nie możemy wstąpić.

Moim celem jest dom starej Huriyi - izba bez podłogi, stworzona przez trzęsienie

ziemi. W powietrzu unosi się cudowny zapach drewna płonącego na palenisku. Kocham ten zapach i tych ludzi, dziadków Aliyi, Hanifa i Huriyę, która teraz przykucnęła i zagniata ciasto na desce.

- Witaj, *dadi*, co się szykuje?

- Witaj, Zwierzaku, robię placki dla jego lordowskiej mości.

Hanif pochyla się nad klatką, w której siedzą jego dwie zielono-purpurowe papugi z długimi ogonami. Wymacuje opuszkami palców szczeliny między prętami, a gdy znajdzie, wsuwa do środka ziarenka, po jednym naraz. Nie patrzy na piękne ptaki, ale w kąt, bo Hanif nie widzi nic a nic od tamtej nocy.

- Kogo przyprowadziłeś? - pyta staruszka.

- Och, nikogo takiego, tylko dziwnikarkę.

- Jeszcze jedną?

- Przecież wiesz, że Chunaram ich hołubi.

- Napije się herbaty?

- To Amrikanka, nie ma jej jak zapytać.

- Cóż, jeśli nie potrafi mówić, nie może odmówić - stwierdza Huriya, sięgając po garnek z wodą.

- Nie marnuj jej na nas, *dadi* - mówię. Huriya jest stara, a do pompy daleko. - Nie przychodzimy z długą wizytą. Dopiero co wyszliśmy z Kurzego Pazura.

- Gość w domu, a ty nazywasz to marnowaniem? - Odwija papier z listkami czarnej herbaty. - Później pošlę wnuczkę, żeby przyniosła więcej. No więc, jakie masz nowiny z Pazura?

- Nie słyszeliście? Wczoraj cudzoziemska doktorka próbowała zwabić ludzi do swojej kliniki. Ale nikt nie przyszedł. I nadal nie przychodzi.

- Tak, wiemy o tym - odzywa się szorstki głos Hanifa Alego. - Ja tego nie popieram.

- Jakby ci z Kampani nie narobili już dość złego - mówi Huriya. - Poproś swoją przyjaciółkę, żeby się rozgościła. Niech usiądzie.

- Nie jest moją przyjaciółką. To dziwnikarka.

Elli wykrzywia twarz, do żadnego dżejmsbondowania by się nie nadawała.

- Więc dlaczego nie popieracie kliniki, *baba*?

- Źle mnie zrozumiałeś - odpowiada staruszek i zanosi się ostrym kaszlem. - Nie popieram tego, co się dzieje. Klinika to klinika. Jeśli nawet płaci za nią pieprzona Kampani, co za różnica? Czy nie mają u nas długu za wszystkie szkody, jakie wyrządzili? Czy choćby nasza wnuczka nie potrzebuje porządnego leczenia?

Elli zwraca się do mnie w angielsku:

- Zawołaj dziecko. Obejrzę ją.

- Ani słowa w hindi nie zna ta głupia dziwnikarka. - Kręcę smutno głową. - Aliya jest gdzieś tam na zewnątrz. Zawołam ją.

- Zostawcie dziecko w spokoju, mamy gościa. Czy chce czegoś do herbaty? - Huriya uśmiecha się zachęcająco do Elli. - Te *roti* właśnie się upiekły.

Elli sprawia wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć, ale odmawia tylko gestem i odwzajemnia uśmiech.

- Prawie wydaje się, że nas rozumie - mówi Huriya. - Ma trochę zbyt blisko osadzone oczy, ale jest właściwie całkiem ładna, prawda? Na ten ich dziwny cudzoziemski sposób. Szkoda, że ma na sobie tak nieprzyzwoity strój.

- Ha! No to pięknie! - mówi stary zboreźnik. - Wyuzdana kobieta w moim domu, a ja jej nawet nie zauważyłem. Cóż za okrutny los. Śpiewa słodko. Czy ma dobre tarbusze?

Auć! Trafiony, zatopiony. Zwijam się ze śmiechu. Elli trwa w bezruchu, co jest jeszcze zabawniejsze.

- Zamilknij - odzywa się żona. - Nie rób sobie wstydu.

- *Baba*, mówiłeś o klinice... - To dobra chwila, by oderwać uwagę od melonów Elli.

- No cóż, może trzeba by pomówić o tym z Zafarem? - burczy Hanif. - Jeśli to dobra klinika, czemuż by nie zabrać tam biednej Aliyi? Zwierzaku, kiedy przyjdzie brat Zafar?

- Nie wiem, *baba*. Brat Zafar jest ważnym człowiekiem. Każdy chce się z nim zobaczyć. Chyba niebawem się pojawi.

- Inszallah. Dokąd prowadzisz tę cudzoziemkę?

- To tu, to tam. Żeby posłuchała ludzi. Możesz jej opowiedzieć swoją historię.

- Ja? Kogo interesuje moja historia?

Widzę jednak, że temat go porusza, bo chyba nikt go wcześniej o nic nie pytał. Ale zaraz sobie przypomina:

- Ale po co? Ona nie mówi nawet w naszym języku.

- Nieważne. Czy przeczytaliście kiedyś cokolwiek dobrego, co napisał dziwnikarz?

- Ja i czytanie? - Wskazuje swoje oczy. - To jakbyś ty jeździł na rowerze.

- Umiem cholernie dobrze jeździć na rowerze - oznajmiam. - Dupa na kierownicy, ręce na pedałach, a między nogami patrzę, gdzie jadę. Łatwizna. Kiedyś wam pokażę.

- Co za brednie! - chichocze starzec. - Takiego kompletnego idioty jak ty chyba jeszcze nie było na świecie. Jak się miewa Ma Franci, otrząsnęła się już po ostatnich przeżyciach?

- Z dnia na dzień coraz bardziej świruje.

- Bardzo nam z nią było przyjemnie - mówi Huriya, sięgając po niebieski imbryk. - Zachowywała się jak podłotek, niesforna i skłonna do płatania figli.

- Dużo opowiada o swoim dzieciństwie. I o aniołach.

- Modłę się o tę dobrą kobietę. Gdy się wypełni czas i Bóg osądzi wszystkich ludzi, mam nadzieję, że osądzi również samego Siebie.

- *Tauba, tauba, tauba* - intonuje Hanif, dotykając policzków. - Nie gadaj w ten sposób, stara. Zwierzaku, jak spotkasz Zafara, koniecznie mu powiedz, że dziecko potrzebuje leków, coraz gorzej kaszle.

- Możecie o tym powiedzieć mnie - odzywa się nagle Elli w hindi.

Zapada głucha cisza. Nawet stary Hanif się odwraca i szuka ślepych oczami osoby, która wypowiedziała te słowa.

- Zwierzaku, ona zna nasz język. Dlaczego nas nie uprzedziłeś?

Wzruszam ramionami, otwieram usta, ale wydobywa się z nich tylko chichot.

- Jestem lekarką, o której rozmawialiście - ciągnie Elli. - Tą, która otworzyła klinikę budzącą w was wszystkich taki lęk. Nie jestem potworem, nie przybyłam z księżycą i nienawidzę Kampani tak samo jak wy.

- *Tauba, tauba, tauba* - powtarza Hanif. - Wstydz się, Zwierzaku. Bardzo panią przepraszam.

- To nie ja gadałem o buforach - zaznaczam.

Huriya stawia przed Elli szklankę herbaty i talerz z plackami *roti*.

- Ten paskudny chłopak zasługuje na porządne lanie.

- Co dolega waszej wnuczce? - pyta Elli.

Ale najpierw musi spróbować herbaty i placków, które Huriya posypała cukrem i listkami kolendry. Zapewnieni, że jedno i drugie jest wyśmienite, staruszkowie zaczynają opowiadać, jak to Aliya prawie od roku kaszle i gorączkuje.

- Gdzie ona jest? - pyta Elli. - Mogę ją zbadać?

Stary unosi głowę i woła:

- Aliya!

- Aliya! Aliya! - wtórują od progu dzieciaki.

Po chwili dziewczynka zbliża się nieśmiało. Lubię Aliyę między innymi dlatego, że ma tupet. U dzieci tupet to dobra rzecz. Brak tupetu jest równoznaczny z mazgajstwem.

- Cześć, Zwierzaku.

- Cześć, Aliyo.

- Aliyo, jak długo już kaszlesz? - zagaduje ją Elli łagodnym głosem, jakby wabiła gołębia.

- Od zawsze - odpowiada Aliya. - Nigdy nie czułam się dobrze.

Elli wydobywa swój dyndający instrument, który zapewne trzymała w kieszeni, i osłuchuje klatkę piersiową Aliyi.

- Aliya cierpi z powodu infekcji. Muszę się dowiedzieć, co to takiego. Pobiorę wymaz z gardła i dam wam lekarstwa. Nic nie musicie płacić. Wszystko za darmo. Przyprawdźcie ją do kliniki - mówi z takim samym uśmiechem jak w dniu, gdy z rozmachem otworzyła klinikę. Ale uśmiech ten znowu musi przygasnąć, bo Huriya ze zmartwioną twarzą kręci głową.

- Pani doktorko, bardzo mi przykro, nie możemy przyprawdzić dziecka. Nie wolno nam przychodzić.

- Kto wam zabrania? - pyta Elli. - Przypuszczam, że *pandit* Somraj.

- Nie Somraj. Brat Zafar. Powiada, że musimy być ostrożni.

- Och, jak bardzo bym chciała dać w twarz bratu Zafarowi! - wykrzykuje Elli. - Ludzie, przecież tu chodzi o waszą wnuczkę!

Teraz wszyscy cichną. Aliya stoi i zerka to na dziadka, to na babcię.

- Hej - mówię do małej - idź się pobawić.

Hanif wzdycha.

- To głupie - stwierdza. - I okrutne, słowo daję. Bóg świadkiem, że bardzo kochamy to dziecko, ale musimy usłuchać Zafara. Przyjdziemy, kiedy on pozwoli. Miejmy nadzieję, że to będzie już wkrótce.

- Co? - wtrącam. - Jesteście zdani na jego łaskę i niełaskę?

- Co zrobi Zafar, jeśli ją do mnie przyprawdzą? - pyta Elli.

- Nie o to chodzi, proszę pani - mówi starzec. - Zwierzak wie. Wszyscy tu szanujemy Zafara *bhai*, a także Somraja, całą tę rodzinę. To dobrzy ludzie, bardzo nam biednym pomagają. Jeśli spełniamy prośby Zafara, to dlatego, że mu ufamy i robimy to z miłości.

- Dziwna miłość - zauważa Elli. - Nie winię ich, tylko Zafara. Należy do bandy Somraja. Wszyscy oni to jedna rodzina.

- Wcale nie - zaprzeczam ostro, wytrącony z równowagi. Mój umysł zaczyna spowijać ciemna chmura, bo najpierw Hanif, a potem Elli mówią o Zafarze jak o bliskim Somraja.

Już całe stado ludzi ciągnie za nami od domu do domu. Są w nim oczywiście dzieciaki, ale także dorośli, którzy szybko kładą kres nieustannym okrzykom „Aiwa!”. „Przestańcie dokuczać doktorce, bo dostaniecie *dhaap!*”.

Rozeszła się wieść, że przyjechała lekarka leczyć za darmo, i ludzie wychodzą z domów, nawołując: „Proszę tu, do mnie!”. „Nie, najpierw do mnie!”. „Tutaj leży chory, który potrzebuje pomocy”. W każdym domu w Orzechokruszu ktoś jest chory, a w wielu domach wszyscy. Elli szybko odwiedza kilkanaście osób. Ludzie potrzebują leczenia, nikt jednak nie chce się zgłosić do kliniki. Za każdym razem następuje pełna zakłopotania uprzejma odmowa. Elli nie może w to uwierzyć.

- Ci ludzie nie mają nic. Dlaczego odrzucają szczerą i płynącą z serca propozycję pomocy? Zupełnie tego nie rozumiem.

Widząc jej przygnębienie, szukam słów, które poprawią jej samopoczucie.

- Elli doktorko, mnie to nie dziwi. Rozumiem ich, bo to moi ludzie.

- Więc co mam, u diabła, zrobić, żeby do nich dotrzeć? - Otula usta dłońmi i krzyczy:

- HEJ, LUDZIE ZWIERZAKA! NI CHOLERY WAS NIE ROZUMIEM!

Ach, co za radość wybucha wśród młodzieńczej hałasty! Zapominają o „Aiwie”, a gdy opuszczamy Orzechokrusz, słyszemy chór cichych głosów, milknący stopniowo w oddali: „Hej, hej, ludzie Zwierzaka! Hej, ho, ludzie Zwierzaka! Hi, ha, ludzie Zwierzaka! Ha, ha, ludzie Zwierzaka! A ja was, kurwa, kurwa, i tak nie rozumiem! Nie rozumiem, kurwa, was!”.

Wyprowadziłem ją stamtąd Rajskim Zaułkiem i dalej przez tory kolejowe. Pamiętając, że zna français, zastanawiam się, czyby jej nie poznać z Ma Franci. Ale gdy docieramy na miejsce, po Ma nie zostaje nawet ślad.

- To tutaj mieszkasz?

Oczy, swoje miejsce zamieszkania każdy uważa za normalne, ale Elli patrzy na moje tak samo, jak patrzył Kakadu, ksiądz Bernard i wielu innych.

- Zapraszam, Elli doktorko, napijesz się herbaty?

Wsuwam rękę do otworu w ścianie, gdzie trzymamy żywność. Jest nieco przyjemniejszy niż ten, w którym cicho rdzewieje maszynka Kakadu. Elli krzyczy.

- O co chodzi? - Zrzucam kilka skorpionów z papierowego zawiniątka z herbatą. Nadal jestem wkurzony, że świat w swej niewiedzy uważa Zafara za zięcia Somraja.

- Te stworzenia! - wskazuje je, gdy znikają z powrotem w szczelinie muru, kryjąc ogony między kamieniami. - Ooch, biedny Zwierzaku! - grucha jak gołębicą.

- Słuchaj, Elli - zaczynam, nie mogąc już dłużej ukrywać swoich uczuć - powiem ci, co mnie brzydzi, bo z pewnością nie jest to to samo, co brzydzi ciebie, jak skorpiony, brud, brak higieny i tym podobne rzeczy. Nie chodzi o to, że jeśli chcę się wysrać, muszę iść na

tory...

- To nie twoja wina - wtrąca ona, nic nie rozumiejąc.

- Tu nie chodzi o winę. Ile razy słyszałem cudzoziemców rozmawiających tak, jakby widok gołego tyłka był czymś najgorszym na świecie! Czy oni wszyscy nie srają?

- Nie robią tego publicznie.

- Wspólne sranie ma wiele zalet. Przede wszystkim poczucie koleżeństwa. Żarty i obelgi. To okazja, żeby podyskutować. Właściwie jedyna szansa wyrażenia swoich poglądów. Możesz psioczyć i narzekać na niesprawiedliwość tego świata. Możesz filozofować. A do tego dochodzą korzyści natury medycznej. Wszyscy mogą obejrzeć twój stolec i wyrazić swoją opinię na temat stanu twoich kiszki. A u nas ludzie znają się na chorobach, wierz mi. Bogaci zaś są skazani na sranie w samotności...

- Proszę! Już dość!

- Dobra. Ale jak to się zaczęło z tym sranieniem?

- Powiedziałaś, że nie to cię brzydzi.

- Słusznie. Naprawdę brzydzi mnie fakt, że wydajemy się wam, przybyszom z zewnątrz, żałośni i ohydni, że patrzycie na nas tym swoim słodkim okiem i przemawiacie tym swoim świętoszkowatym tonem.

- Czy ludzie stąd nie zasługują na szacunek? - pyta Elli z wielką powagą.

- Przecież to nie jest szacunek. Potrafię odczytywać uczucia. Ludzi takich jak ty fascynują takie miejsca jak to. Wszyscy macie to wypisane na twarzach, wy z Amriki i Wilajatu, dziwnikarze, filmiarze, fotografiarze, antropologiarze.

- Nie jestem dziwnikarką, jestem lekarką. I naprawdę chodzi mi o szacunek. Jeśli go nie okazuję, to jak mam go zdobyć? To dla mnie jasne, że ludzie ci bardzo kochają Zafara, i rozumiem dlaczego. Traktuje ich z szacunkiem, jak równych sobie.

- Co za pierdoły! - Nie patrzę tak idealistycznie na ludzi, którzy są w sumie gównowarci. - Kochają Zafara, bo nikogo innego nie mają. Jest ich jedynym sprzymierzeńcem. I zawsze do dyspozycji. Dlatego chodzą z nim na demonstracje, blokują drogi, wykrzykują hasła.

- Ja też jestem z nimi, będą musieli mnie poznać - oznajmia Elli, jakby samo życzenie mogło sprawić, że sen się ziści, ale ja nie jestem w uprzejmym nastroju.

- Nawet mowy nie ma. Jesteś dobrą lekarką, masz dobre serce, ale gówno rozumiesz. Powiedz mi, proszę, co to jest? - Wskazuję jej nadgarstek.

- Mój zegarek?

- Tak, twój zegarek. Po co jest ci potrzebny?

- Wskazuje godzinę, oczywiście. A dlaczego pytasz?

Może myśli, że zażądam zegarka za usługę?

- Elli, nie potrzebuję zegarka, bo wiem, która jest godzina. Jest teraz. Godzina teraz. Popatrz, tam są dachy Orzechokrusza. Wiesz, która tam jest godzina? Otóż: teraz. Zawsze godzina teraz. W królestwie nędzarzy czas nie istnieje.

- Masz słuszość - odpowiada. - Nie rozumiem.

- Czas to czas, prawda? Taki sam dla wszystkich. Nie, Elli, to nieprawda. Gdybyś nie miała zegarka, żołądek by ci wskazywał godzinę. Burczałoby w nim i skwierczało, powtarzałoby co chwila: „Hej, Elli, pora coś zjeść, hej, pora coś zjeść. Hej, nie słyszysz? Pora coś zjeść”. A co się dzieje, jeśli nie stać cię na jedzenie? Jeśli nie potrafisz sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadłaś? Powiem ci. Kiedy jest widno, obwiązujesz żołądek jakimś materiałem i tak wyciskasz ból, a gdy robi się ciemno, musisz wypić mnóstwo wody, żeby napęlić te swoje nieszczęsne kiszki. Nadzieja umiera w takich miejscach jak to, bo nadzieja żyje przyszłością, a tutaj nie ma przyszłości. Jak możesz myśleć o jutrze, kiedy zużywasz wszystkie siły, żeby przebrnąć przez dzień dzisiejszy? Zafar twierdzi, że właśnie dlatego ludzie nie podnoszą buntu.

I tak w parszywym nastroju odklepuję idee naszego przywódcy i jego wizję ludu, dla którego nie ma nocy ani dnia, tylko wielki głód, po którym przetaczają się słoneczne koła, a księżycy przybywa, a potem ubywa, co nie ma żadnego znaczenia.

- Zwierzaku, nie wiem, jak wygląda takie cierpienie, ale to nie oznacza, że nic nas nie łączy. Przecież istnieje coś takiego jak ludzka natura. Istnieje, prawda?

Jestem zwykłym tanim łgarzem.

- Mnie nie masz co pytać - odpowiadam. - Już dawno przestałem próbować zostać człowiekiem.

W drodze powrotnej skręcam, zamiast podążyć wzdłuż fabrycznego muru i torów kolejowych. Przyprowadziłem tu Elli, bo jeśli chce zrozumieć Khaufpur i khaufpurczyków, a zwłaszcza ich stosunek do Amriki, musi zacząć od tego miejsca.

- Elli, zajrzyj tam do środka, to fabryka. Wszystko wygląda tak samo jak tamtej nocy. Mało kto tu później przychodził. Oprócz mnie.

Opowiadam jej o tym, co można znaleźć w fabryce, czyli to samo, Oczy, co wcześniej opowiadałem tobie. Chwyta mnie za ramię.

- Wejdźmy tam!

No cóż, tego akurat nie mam w planach.

- Nie możesz. Wstęp wzbroniony.

- Ale ty wchodzisz.

- To co innego. Ja jestem zwierzęciem. Przychodzę i wychodzę. - Jeśli będzie miała kłopoty z władzą i może nawet wyrzucą ją z Khaufpuru, to co się stanie z moim grzbietem? Lecz Elli, jak wszyscy, myśli wyłącznie o tym, czego sama chce. - Nie możesz tam wejść. Ludzie tacy jak ty muszą uzyskać specjalne pozwolenie od odkażacza z Wydziału Skażeń.

- PIEPRZĘ WYDZIAŁ SKAŻEŃ!

Po policzkach spływają jej dwie wielkie łzy. Odwraca się, jakby nie chciała, żebym je zobaczył. Całą drogę do Pazura pokonujemy w milczeniu. Mój nastrój ciągle się pogarsza. Zafar jako mąż Nishy - ta myśl ściska mój mózg rozpalonymi szczypcami. To ja powinienem poślubić Nishę. Nie ma dla mnie szczytniejszego celu, a osiągnę go, chodząc prosto, na dwóch nogach.

Muszę przywrócić Elli dobry nastrój, muszę dowieść, że jestem jej przyjacielem. Byłem głupi, że poprosiłem o zapłatę. Nie mogę już więcej denerwować doktorki. Zrobiła mi przecież zdjęcie rentgenowskie, a jutro wyśle je do Amriki. Wkrótce przyjdzie odpowiedź. Będzie brzmiała: „Przyjeżdżaj na operację”. Z dnia na dzień rośnie we mnie ta pieprzona nadzieja. Kiedy wrócę do Khaufpuru po operacji, przejdę się tam i z powrotem po całym Pazurze, a Nisha mnie nie rozpozna. Zobaczy nieznajomego młodzieńca, wyprostowanego i przystojnego, i od razu się zakocha. Zapomni o Zafarze, phhht, już go nie ma. Uwiedzie ją nowa miłość. Zapragnie natychmiast poślubić wybrańca. Pożaluje tylko, że gdzieś przepadł jej drogi, wierny Zwierzak. Dokąd on poszedł? Będzie opłakiwała Zwierzaka, który zniknął nie wiadomo gdzie i już nigdy nie wróci.

Oczy, nie ocipiałem kompletnie, wiem, że te marzenia są kupą gówna, ale jest, jak jest, a na filmach widuje się jeszcze dziwniejsze rzeczy.

Taśma trzynasta

- Zafarze *bhai*, niech dzisiaj będzie dzień kurczaka!

To Bhoora szczerzący zęby jak głupek. Grupka ludzi zebrała się przed domem Somraja. Dzisiaj sędzia ma wydać werdykt. Wszyscy są podekscytowani, gotowi jechać do sądu.

Podsunałem myśl, że może przyniesie nam szczęście, jeśli ja, Nisha i Zafar pojedziemy razem z Bhoorą jak ostatnim razem, więc Farouq bierze motocykl Zafara. Inne auto wiezie *pandita* Somraja i jego kolegów muzyków. Całkiem niezłą wzniecamy wrzawę, śmiejąc się i gadając.

Otwierają się drzwi kliniki i staje w nich Elli, zaskoczona widokiem tylu ludzi zgromadzonych na ulicy.

- Witaj, Zwierzaku, co się dzieje? - zwraca się do mnie.

- Elli doktoro, jedziemy do sądu.

- Dzień dobry, *pandicie* Somraj - mówi zimno.

- Dzień dobry, pani doktor Barber - odpowiada Somraj. Dzisiaj żadnego uśmiechu, wszelkie uczucia zatrzaśnięte w lodówce, ale cośtam Khan gapi się na Elli, jakby nigdy w życiu nie widział nóg.

Mijamy właśnie wielką świątynię Hanumana, gdy dostrzegam Farouqą przeciskającego się zygzakiem przez ruch uliczny.

- Dawaj, Bhoora - mówię - przyspiesz trochę.

Bhoora posłusznie przyspiesza, a ja wyciągam rękę i klepię Farouqą w tył głowy. Głupek omal nie spada z motoru. Klnie, przysięga mi okrutną zemstę.

- Zwierzaku, to było niebezpieczne - karci mnie Nisha, lecz czując jej udo przylegające do mojego ciała, śmieję się tylko: ha, ha plus hi, hi plus ho, ho.

- Czemu nie dzisiaj?! - krzyczę. - Czemu nie dzisiaj?!

Kiedy przybywamy pod gmach sądu, czeka tam już tłum z dziwnikarzami oraz ekipą telewizyjną. „Khaufpur Gazette” chce przeprowadzić wywiad z Zafarem. Nasz wielki przywódca nie ma jednak czasu, odpowiada, że zrobi to później, więc ja osaczam gnojka

reportera.

- Zrób wywiad ze mną. Opowiem ci taką historię, że para pójdzie ci z uszu. *Je te raconterai l'histoire de Jacotin et son nàs superbe.*

- Kochanie - wtrąca się Nisha. - Nie panujesz nad sobą.

- Nie, nie!

To się czasami zdarza. Przepelniają mnie podniecenie i gadatliwość, i sam nie wiem co jeszcze. Zaraz stanie się coś bardzo ważnego. No, ale „Khaufpur Gazette” nie interesuje wywiad ze mną, więc podchodzę do tele-wallahów i drepczę wokół nich, robiąc miny. Oczywiście, szkoda, że tego nie widzisz... stroję te miny, wywieszam język i wytrzeszczam oczy, wydymam policzki i robię zeza, a wtem dostaję silnego kopniaka w dupę. To Farouq.

- Ty mały skurwysynu, mogłeś mnie zabić.

- Kiedyś i tak umrzesz! - wrzeszczę. - Dlaczego nie dzisiaj?!

Gmach sądu jest pełen ludzi, nie ma gdzie stanąć. Próbuję się wdrapać na oparcia ławek, ale zostaję obdarzony wrogimi spojrzeniami. Dobrze, że Nisha jest ze mną. Znajduje mi miejsce.

Wreszcie nadchodzi sędzia. Ma narzuconą na garnitur czarną togę. Miejscowi prawnicy stoją w pierwszym rzędzie, Zafar obok nich. Wielmożny pan siada, przesuwając papiery po stole, sądo-wallah oznajmia, że jest to sprawa karna numer RT 8460/96.

- Popatrz, kto przyszedł - szepcze mi do ucha Nisha.

Wędruję oczami za jej spojrzeniem. Z tyłu siedzi cudzoziemka w chuście na głowie i ciemnych okularach.

- Po co ona tu przyszła? - dopytuje się Nisha, ale skąd miałbym wiedzieć. Ciągle jestem w tym obłąkanym nastroju, skłonny szczerzyć zęby do każdego. Macham więc do Elli, która to zauważyła i odwzajemnia gest.

Teraz przemawia sędzia.

- Odnośnie do pozwu złożonego w sądzie przez pana Zafara niniejszym informuję, że wspomniany pozew został... - tu z czystej wredności zawiesza głos i spogląda na nas znad szkieł okularów - ...uznany za zasadny. Urzędowe wezwanie oraz rekwizycja...

Dalszy ciąg jego wystąpienia zagłuszają wiwaty.

- Zwycięstwo! Zwycięstwo! - krzyczy Nisha, zrywa się i podbiega do Zafara, na którego twarzy gości szeroki uśmiech.

Nawet Somraj się uśmiecha po raz drugi w ciągu ostatnich kilku dni. Ludzie przytupują. Z tylnej części sali odzywa się znajomy głos:

- Wysoki Sądzie, to bardzo słuszna decyzja!

- A pani kim jest? - pyta sędzia.

- Jestem doktor Elli Barber. Otworzyłam tu w Khaufpurze darmową klinikę dla ofiar bezdusznej korporacji Kampani.

- Dobra robota, doktor Barber, doskonała robota. Życzymy pani powodzenia.

Nie przypuszczam, by Elli zaczęła się teraz skarżyć sędziemu na *pandita* Somraja, i rzeczywiście, dzięki Bogu, trzyma język za zębami.

- Obecnie sytuacja się zmieniła - informuje Zafar w rozmowie z „Khaufpur Gazette”. - Szefowie Kampani muszą przyjechać. Jeśli tego nie zrobią, ich aktywa w Indiach mogą zostać zajęte.

Ważną rozprawę, na którą szefowie muszą się stawić, wyznaczono za kilka miesięcy, czyli mniej więcej w połowie czerwca, tuż przed porą deszczową, w najgorętszym okresie dla Khaufpuru.

Bhoora śpiewa przez całą drogę powrotną. To kolejny kurczakowy dzień.

Następnego dnia, idąc do Nishy, spotykam Farouqa, który kolebie się na rowerze na boki i trzęsie jak psie ucho, tak się zaśmiewa.

- Zwierzaku - mówi - Zwierzaku, ty porąbany świrze, królu psiego łajna, lichwiarzu much! To ci się spodoba. Wiesz, co robi twoja Elli doktorka?

- No? Powiedz.

- Urządza demonstrację przed domem Somraja - odpowiada Farouq, ledwo mogąc wydusić z siebie słowa, taki jest rozbawiony. - I to nie taką zwyczajną, tylko pikietę, w ogóle wszystko. Twierdzi, że to *gherao*. Przekomiczna sprawa.

- Co na to Somraj?

- Kiedy mu powiedzieliśmy, po prostu powiedział spokojnie: „Rozumiem”, a potem odwrócił się do Shastriego: „Dzisiaj poćwiczymy *aalaap* z *Yavanapuri*”. Myślę, że ten nieszczęsny człowiek doznał wstrząsu. Co za kobieta, widział kto kiedy taką?

- A Zafar? Nisha?

- Jak ci się wydaje? Zafar się zastanawia, jaka powinna być właściwa reakcja, Nisha zaś po prostu jest wytrącona z równowagi.

- Często bywa wytrącona z równowagi, odkąd Elli tu przyjechała.

- Ha, ha, owszem - potwierdza i mruga do mnie. - Ty sprośny mały gnojku, zauważasz takie rzeczy. - Odjeżdża chwiejnie, wciąż chichocząc, po chwili zaś ogląda się i woła przez ramię: - Muharram lada chwila nadejdzie!

Zbliżywszy się do domu Somraja, zaczynam słyszeć okrzyki i pohukiwania. Zebrał się

tam spory tłumek różnych *tapori*, którzy głośno zachęcają lekarkę do dalszych działań, rozbawieni darmowym spektaklem.

Niebieskonoga Elli paradytuje tam i z powrotem przed domem, dźwigając tablicę na kiju. Widnieje na niej napis: „SOMRAJ JEST NIESPRAWIEDLIWY”. Za Elli chodzą Dayanand, Suresh i Miriam Joseph. Obaj mężczyźni mają takie miny, jakby woleli się teraz znaleźć gdziekolwiek indziej, tylko Miriam Joseph się uśmiecha. Cała trójka niesie transparenty, na których wypisano: „SOMRAJU, POZWÓL POMÓC CHORYM, PRZERWAĆ BOJKOT” oraz „SOMRAJU, MIEJ SERCE”.

Ten niezwykle widok budzi głębokie zdziwienie, gdyż wielu cudzoziemców maszeruje z nami podczas naszych demonstracji, ale żaden nie organizował jeszcze własnej. W najśmielszych snach Zafar i spółka nie mogli przypuszczać, że sami będą musieli przełknąć gorzką pigułkę, którą aplikowali innym.

Przystaję, by podziwiać czwórkę krążącą przed domem Somraja. Przysięgli, że będą to robili codziennie, dopóki nie przerwie bojkotu.

W tłumie następuje poruszenie. Otwierają się drzwi. Pandit-ji z kamienną twarzą jak zawsze, w nieskazitelnie czystej białej bluzie i spodniach przestępuje próg. Ludzie zaczynają trajkotać. Teraz zobaczymy prawdziwy dramatyczny popis, wybuchną fajerwerki.

- Somraj jest ważnym człowiekiem - odzywa się ktoś za mną. - On już wie, co powiedzieć tej zuchwałej cudzoziemce.

Somraj trzyma w dłoni filiżankę herbaty ustawioną na spodeczku.

- Patrz, jaki spokojny - dodaje ten sam głos. - Wyszedł się napić herbaty, żeby nam pokazać, że wcale się tymi bzdurami nie przejmuje.

- Teraz da tej doktorce nauczkę - zauważa ktoś inny.

Somraj podchodzi do Elli, która zatrzymuje się w marszu. Zamiast dać jej nauczkę, podsuwa filiżankę z herbatą.

- Mamy dzisiaj gorący dzień - zaczyna tym swoim pięknym głosem, doskonałym khaufpurskim językiem, z dobrym akcentem, a każde słowo niesie się wyraźnie aż na drugą stronę ulicy. - Jest pani zapewne spragniona. Proszę się poczęstować. Za chwilę podamy napój również pani towarzyszom.

Wychwytną myśl Elli, które biegają bezładnie jak stadko kurcząt rozgonione przez psa. Szybko jednak bierze się w garść.

- Dziękuję - odpowiada. - Ale, jak pan widzi, jestem zajęta. - Wzrusza ramionami, pokazując, że oburącz trzyma tablicę na kiju.

- Więc proszę - mówi Somraj - niech pani pozwoli. - Jedną ręką odbiera zaskoczony

lekarce tablicę, drugą podaje herbatę.

- Ale sprytnie - odzywa się znowu idiota z tyłu. - Widzisz, już się przygląda tej tablicy. Teraz ją roztrzaska o glebę na drobne kawałki.

Elli stoi, upija łyk herbaty, przeszywa Somraja wrogim spojrzeniem i pyta:

- No więc, na co pan czeka? Podpisał pan petycję przeciw sobie, czy teraz dołączy pan do naszej demonstracji?

Przez krótką chwilę Somraj tkwi w miejscu z twarzą pozbawioną wyrazu. Później odwraca się do Dayananda i pozostałych, którzy zatrzymali się nerwowo i patrzą, co dalej.

- A zatem - mówi - gdy doktor Barber będzie piła herbatę, muszę ją zastąpić.

W ten sposób oczom zgromadzonych przedstawia się zdumiewający widok: Somraj pikietujący własny dom i wzywający samego siebie, by przestał być niesprawiedliwy. Oczywiście, khaufpurczycy nie odznaczają się szczególną bystrością, dlatego sens tego wydarzenia dociera do nich dopiero po chwili i wtedy ktoś w tłumie wiwatuje. Kilka innych osób też się przyłącza, lecz większość nie wie, co o tym myśleć. Czy *pandit* Somraj wystawia doktorkę na pośmiewisko, czy może zwrócił się przeciwko swoim? Zanim przynoszą herbatę dla pozostałych, gapie rozpraszają się w małe grupki. Część odchodzi, inni otaczają Dayananda, Suresha i Miriam Joseph, poklepują ich po plecach i powtarzają, że potrzeba nam takich, co mają odwagę przemówić. Elli i Somraj stoją razem. Ja, który potrafię czytać w myślach, patrzę na ich usta i gotów jestem przysiąc, że Elli doktorka mówi: „Teraz wierzę, że pan naprawdę sprzeciwia się temu bojkotowi”. Na co on odpowiada: „Może pani wyciągać własne wnioski”.

Nieco później mijam sklep Rama Nekchalana.

- *Kyoñ*, Zwierzaku?! - woła do mnie. - Co Zafar zamierza z tym zrobić? Podobno ta cudzoziemska doktorka rzuciła urok na *pandita* Somraja.

- Licz swoją forszę i stul pysk, obłudny kutafonie. Chcesz po prostu wiedzieć, po której stronie się ustawić.

- Chodź no tutaj, żebym ci spuścił lanie - mówi rozwścieczony.

Ale ja się śmieję i biegnę dalej.

Niedaleko granic Khaufpuru płynie zielonkawa rzeka Bewardi. Jest tam takie miejsce na skraju lasu, gdzie kilku pasterzy bydła postawiło szałas, żeby pilnować zwierząt przy wodopoju. To zaledwie dach na czterech bambusowych tyczkach, kryty strzechą, ale ma w środku gładką glinianą polepę i małe palenisko, na którym można parzyć herbatę.

Nasza świnia *bhutt-bhutt* przejeżdża z pyrkaniem przez miasto i dociera do tego

spokojnego miejsca. Dzieje się to dzień lub dwa po demonstracji Elli, jako że moja opowieść rozwija się zgodnie ze zdarzeniami. Jest weekend i nareszcie urządzamy piknik obiecany przez Zafara po naszych sądowych zwycięstwach nad Kampani. Pierwotny plan został odłożony z powodu ubiegłorocznych deszczy, później wszyscy o tym zapomnieli, ale po ostatniej rozprawie ktoś powiedział, że teraz stanowczo powinniśmy wyjechać za miasto, więc Zafar kazał Farouqowi wszystko zorganizować.

W wyznaczonym dniu zjawia się około dwudziestu osób, wynajęliśmy *bhutt-bhutt*, żeby dojechać na miejsce. Somraj ma przybyć później autem Bhoory. Chce przywieźć gramofon na korbkę w drewnianej obudowie, który ma od dzieciństwa. Należał jeszcze do jego ojca. Nie potrzebuje prądu, więc można go zabierać w takie miejsca i puszczać na nim bardzo stare melodie, starsze niż ktokolwiek z tu obecnych.

W drodze ludzie zaczynają śpiewać. Każdy musi nauczyć pozostałych jakiejś piosenki.

- Ma Franci, niech Ma też nas naucz.

Więc jej to przekazuję i tłumaczę:

- Coś, co łatwo zanucić.

Nieśmiało zaczyna śpiewać.

Dormez, dormez, mon petit pigeon

Dormez, dormez, mon petit agneau

Ferme tes yeux mon petit mignon

Et laisse toi faire des rêves si beaux

Po chwili wszyscy starają się to powtórzyć, jak potrafią najwierniej, następnie Ma intonuje *Tonton Lariton*, a Zafar - *Hillélé Jhakjor Duniya*. Dodaj do tego wielki gar drobiowego *biryani*, kebaby Chunarama, który też jedzie, żeby je przyrumienić, talerze, kubki i tak dalej - tak przybywamy nad Bewardi.

Teraz już dym unosi się z paleniska, jedzenie grzeje się w garze, z kebabów na roznach z gałęzi kapie tłuszcz, gramy w różne zabawy, przeważnie dziecięce, takie jak siedem punktów, *gulla danda*, fruwa ptaszek, karty i tak dalej.

- Zwierzaku, możemy porozmawiać? - zwraca się do mnie Nisha. - Mam do ciebie pytanie.

Kiedy siadamy nad rzeką, oznajmia wprost, że obydwójce z Zafarem wiedzą, że spędzam mnóstwo czasu w klinice Elli, a ostatnio widziano mnie z nią w Orzechokruszu.

- Czy próbowałem się z tym kryć? - Spodziewałem się czegoś takiego. - Żadna tajemnica, to przecież po drugiej stronie drogi. No i ona chciała zobaczyć Orzechokrusz.

- Tak, ale szukała pacjentów do swojej kliniki.

- Oczywiście. Ty byś tego nie robiła?

- Opowiadałaś jej o nas, naszych działaniach, planach i w ogóle?

- Nie pamiętasz - zaczynam, uchylając się przed odpowiedzią, bo nienawidzę kłamać Nishy - że jestem waszym Džejsbondem, ziro-ziro-siedem?

Nisha wybucha śmiechem.

- Zwierzaku, twój angielski akcent jest beznadziejny. Więc czego się dowiedziałeś?

- Jest nieszkodliwa. - Nie sprawia mi przyjemności, że Nisha się ze mnie natrzęsa. - Szczera. Nie powinniśmy jej dokuczać.

- Pozostaw decyzję osobom, które wiedzą lepiej.

Wkrótce ten, który wie lepiej, przyłącza się do nas. Nisha powtarza mu moje słowa, a on siada i, poważny jak zawsze, opiera podbródek na dłoniach.

- Zwierzaku, jesteś wolnym człowiekiem, możesz podejmować własne decyzje. Nikt nie będzie cię powstrzymywał ani zniechęcał.

- Więc? - Nie mówię, co sobie myślę, czyli: nie jestem człowiekiem i nie potrzebuję niczyjego pozwolenia, żeby być wolnym.

- Nic więcej, to wszystko.

- Zafarze, Elli doktorka nie jest z Kampani, przynajmniej ja tak nie sędzę, ale jak powiedziałem, mam oczy otwarte.

- Ta Elli - zauważa Zafar - jest ładna, ma miły uśmiech.

Nisha posyła mu spojrzenie, które przeszywa również mnie.

- A jak twoim zdaniem wyglądają Kampani-wallah? Mają kły ociekające krwią, czerwone oczy i długie szpony?

Cóż, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Oczywiście nie mam pojęcia.

- Wyglądają zwyczajnie - odpowiada Zafar. - Wiesz dlaczego? Ponieważ są zwyczajni. Większość z nich nie jest szczególnie zła ani okrutna i właśnie to czyni ich tak przerażającymi. Nawet nie zdają sobie sprawy, jakie krzywdy wyrządzają.

Wygłosiwszy wykład na temat ludzi, którzy uważają, że wiedzą normalne życie, a tymczasem stwarzają piekło na ziemi, Zafar odchodzi, zostawiając Niszę wyglądającą jak kulka nieszczęścia.

- Nish, ty chyba nienawidzisz Elli doktorkę. Ale dlaczego?

- Nie nienawidzę - odpowiada, wrzucając kamyk do rzeki.

- Jesteś zbyt miła i dobra, żeby nie lubić kogoś bez powodu. O co chodzi?

- O nic - odpowiada, ale ma łzy w oczach.

- Nish, rozmawiasz ze swoim Zwierzakiem, którego wyciągnęłaś z rysztoła i nauczyłaś pisanie i inglisz, który zawdzięcza ci wszystko, który cię uwielbia i nie chce nigdy widzieć cię smutnej. Więc powiedz, kochanie, o co chodzi.

I stopniowo się dowiaduję. Na początku, jak się wydaje, dezaprobatę Nishy wzbudziły niebieskie nogi Elli. Nie podobało jej się, w jaki sposób przyciągały oczy mężczyzn. Wreszcie wychodzi na jaw prawdziwa przyczyna.

- To takie krępujące widzieć, jak twój własny ojciec patrzy na kobietę. Domyślać się, jakie rzeczy chodzą mu po głowie.

- Co za rzeczy? Na przykład...?

- Wiesz, co mam na myśli - mówi. - Chodzi mi o sposób, w jaki na nią patrzy.

- Sposób, w jaki patrzy? On po prostu patrzy. To sprawiedliwy człowiek, kochanie. Zresztą jeśli nawet ona mu się podoba, co z tego? Czy tobie nikt się nie podoba?

Rumieni się i milknie. Cierpię męki. Nie, żebym sam żywił nadzieję na komplementy, ale jestem przekonany, że myśli o Zafarze. Najdrobniejsza aluzja do seksu przywodzi jej na myśl Zafara! Nabieram pewności, że się różną. Jak mogłem to przeoczyć? Tyle nocy na tym drzewie i ani razu ich nie przyłapałem. Dla bezpieczeństwa postanawiam podsunąć Zafarowi podwójną dawkę.

- Życie jest ciężkie - odzywa się wreszcie Nisha. Jej kamyki wpadają w wodę z głośniejszym pluskiem niż moje. - Mieć marzenie i nie ośmielać się w nie wierzyć.

- Tak - potwierdzam, bliski przyznania się do straszliwej nadziei. - A o czym ty marzysz?

- Żeby ta walka się skończyła. Żebyśmy zwyciężyli. No ale może jednak tak się nawet stanie.

- Naprawdę w to wierzysz? - Oglądam się na Ma Franci, która siedzi pośrodku grupy młodych mężczyzn i kobiet i rozprawia. Z zapalem kiwają głowami, uśmiechając się szeroko, choć nie rozumieją ani słowa.

- Czy wierzę? - powtarza Nisha. - Nie za bardzo, dlatego właśnie to jest marzenie.

- I tylko o tym marzysz: Khaufpur, walka?

- Nie rozumiesz - odpowiada. - Chcę, żeby to się skończyło. Nie chcę spędzić całego życia na walce przeciw Kampani.

- A jeśli się skończy, to co wtedy zrobisz?

Nisha wdycha.

- Chciałabym mieć dzieci, ale zapowiedziałam Zafarowi, że nie chcę, by nasze dzieci dorastały tutaj. W Khaufpurze trucizna wsiąkała nie tylko w glebę i wodę, ale też w ludzkie serca. Obiecaliśmy sobie z Zafarem, że w dniu, w którym zwyciężymy, w którym sprawiedliwości stanie się zadość i nie będziemy już potrzebni, wyjedziemy stąd. Zwierzaku, widziałeś może morskie wybrzeże w okolicach Ratnagiri? Zafar mówi, że to naprawdę spokojne miejsce. Zamieszkamy w domku nad morzem, będziemy hodowali warzywa i mieli dużo dzieci.

- Nazwijcie któreś po mnie. - Pierwszy raz słyszę o tych planach. Och, jaką zazdrością mnie to napęłnia.

- Kto słyszał o dziecku imieniem Zwierzak? - droczy się ze mną Nisha.

- Jest tylko jeden Zwierzak.

- Właśnie. Nie ma drugiego takiego jak ty, jesteś naszym serdecznym przyjacielem. Ty również przyjedziesz do Ratnagiri. Stworzymy grupę przyjaciół. Kupimy kawałek ziemi i zbudujemy cztery albo pięć domków. Zafar będzie pisał wiersze, a także książki, chciałby pisać książki. Ja będę uczyła nasze dzieci i twoje, i miejscowe też. A ty co będziesz robił?

O, moje szalone serce.

- Mam wielką ochotę łowić ryby. Z jednej z tych czarnych łodzi z pływakiem. Cały dzień będę łowił, dryfując po srebrzystej rzece. Nocą zaś będę popijał grog i spał pod palmami, a potem się budził i oglądał wschód słońca nad morzem.

- Głuptasie, nad tym morzem słońce nie wschodzi, tylko zachodzi. - Ciska następne kamyczki do niesrebrzystej Bewardi. - Dobrze, kolej na ciebie. O czym ty marzysz?

- Elli przypuszcza, że mogłaby mnie wyleczyć.

- Ach, rozumiem - mówi. - Tak, oczywiście. Powinna się była domyślić. - Otacza ramieniem moje barki, przytula moją głowę. - Mam nadzieję, że cię wyleczy, kochanie.

Moje serce, o moje serce, chyba zaraz eksploduje.

- Boże, jak on mógł?! Zwariował?! - wykrzykuje Nisha.

Wciąż przyciska mocno moją głowę, a ponad zamazaną wypukłością jej biustu jawi się moim oczom niezwykle widok.

Bhoora Khan właśnie zajechał, wzbijając tuman kurzu. Jego auto stoi obok świni *bhutt-bhutt*. Bhoora wysiada, sięga do tyłu, wydobywa gramofon. Wysiada też *pandit* Somraj z czarnymi płytami w dłoniach, starszymi niż ktokolwiek z tu obecnych. Lecz co to? Dostrzegam nagle przebłysk czegoś niebieskiego. Wrzawa wśród zebranych świadczy o tym, że oni również nie wierzą własnym oczom. *Merde à la puissance treize*, to Elli. Co jeszcze

dziwniejsze, kroczy obok *pandita* Somraja. A najdziwniejsze jest to, że *pandit* przedstawia ją ludziom:

- Poznajcie moją sąsiadkę, doktor Barber.

- O Boże - jęczy Nisha - mój ojciec oszalał.

Nikt nie wie, dlaczego tak się stało, ale przywiózł ją Somraj, a Somraj jest człowiekiem szanowanym, więc wszyscy uśmiechają się uprzejmie, składając starannie dłonie, podczas gdy ich umysły trajkoczą jak nakręcone.

- Jak mógł zaprosić tę kobietę na nasz piknik? Po tych wszystkich hecach? - szepcze Nisha prosto do mojego ściśniętego i rozkoszującego się jej bliskością ucha. Jej serce wali jak oszalałe.

- Może zrobiło mu się jej żal.

Ale nie o to chodzi, wiem to. Pamiętam zakłopotanie *pandita* Somraja, gdy Elli rzuciła mu wyzwanie w jego pokoju muzycznym. On nienawidzi nieuczciwości. Bolało go, że musiał kłamać. A może w ten sposób chce pokazać Zafarowi, kto tu naprawdę jest szefem? To również by się Nishy nie podobało.

Cóż, Oczywiście, możesz sobie wyobrazić, że po tym posunięciu Somraja na pikniku nie rozbrzmiewa już beztroska pogawędka. Każdy uważa na to, co mówi. Wszyscy udają, że sytuacja jest normalna, ale wszyscy wiedzą, że nie jest. Zafar podszedł do Somraja i Elli, żeby porozmawiać, stoją razem we troje. Żałuję, że nie słyszę, co mówią, ale nie wygląda na to, by ktoś się denerwował, oprócz Nishy.

- Chyba odważnie postąpił, zapraszając ją - mówi, lecz nie zamierza dołączyć do tej grupy.

- Ona także, przyjeżdżając tutaj - odpowiadam.

Po chwili Elli dostrzega mnie z Nishą i podchodzi uśmiechnięta, ale Nisha wstaje i mija ją bez słowa.

- Jak to się stało? - pytam, kiedy *lund-pasanda* numer dwa zajmuje miejsce *lund-pasandy* numer jeden obok mnie na brzegu rzeki.

- To naprawdę niezwykle człowiek, ten twój *pandit* Somraj. Dziś rano przyszedł do mnie i powiedział, że okoliczni mieszkańcy urządzają piknik i powinnam też przyjechać. Przeprosiłam za to, że nawrzeszczałam wtedy na niego w jego domu, ale zastrzegłam, że za inne rzeczy nie zamierzam przeproszać. Odparł, że doskonale to rozumie, że na moim miejscu postąpiłby tak samo. I dodał, że ten piknik to po prostu towarzyskie spotkanie, na którym łatwiej mi będzie poznać ludzi bliżej.

- A Zafar? O czym z tobą rozmawiał?

- Zaczekaj, jeszcze nie skończyłam. Potem Somraj mówi: „Stoimy po przeciwnych stronach, ale czy to oznacza, że musimy być nieprzyjaciółmi? Obydwoje jesteście muzykami. Często słyszałem, jak pani gra na fortepianie”. Odparłam: „Tak. I za każdym razem starał się pan mnie zagłuszyć”. Zaprotestował, że to nieprawda, że on i wszyscy inni uważali, iż jest odwrotnie, to ja próbowałam zagłuszyć jego muzykę.

- Z pewnością nie! - oznajmiam ja, który zauważyłem to wcześniej i nic nie powiedziałem żadnej ze stron.

- Zapewniłam, że absolutnie nie próbowałam robić niczego podobnego, na co on zareagował w przedziwny sposób: „Tak czy inaczej, nie przeszkadzało mi to. W zderzeniu naszych dwóch rodzajów muzyki było swoiste piękno”. Przez cały czas zachowywał kamienną powagę, a potem ta jego posępna twarz rozpląnęła się w uśmiechu i dodał: „Jak pani wie, jestem owym niezwykłym człowiekiem, który odnajduje muzykę w rechotaniu żab”.

- Och, *baba*, ale heca! - mówię, nie umiając zgadnąć, co wymyśliło dalej tych dwoje.

- No a potem, wyobraź sobie, pyta mnie, czy zagram dla niego na fortepianie...

- Zwierzaku! - krzyczy ktoś. - Chodź i przetłumacz, co mówi Ma.

Staruszkę otacza grupa młodych ludzi. Ma trzepocze rękami i papple we français o aniołach i abimesach.

- Czy to Ma Franci? - pyta Elli. - Chciałabym ją poznać.

Grupa wokół Ma cichnie, gdy się zbliżamy, ale przynajmniej zdobywa się na uprzejme skinienia głową i uśmiechy. Wszyscy odgrywają role z myślą o Somraju.

- Ma, *ici* Elli doktorka - zwracam się do niej we français. - Mówi ludzkim językiem.

- Jak miło, nareszcie ktoś, kto nie udaje głupca. Więc to ty jesteś tą sławną lekarką? Jakie to szczęście, że nie bełkoczesz jak debilka. Mam nadzieję, że możesz coś zrobić dla tych kamiennych serc. Choć to właściwie nie ma sensu, bo już za późno.

- Za późno na co? - pyta Elli, przechodząc na français.

- Za późno dla świata i wszystkiego, co na nim żyje - odpowiada Ma, przypatrując się Elli mętnymi niebieskimi oczami. - Dlatego nie pozwoliłam się stąd zabrać. Ale oni ciągle próbują, wiesz?

Elli nie rozumie, o co chodzi, więc opowiadam jej, jak Ma uciekła przed księdzem Bernardem przebrana w burkę.

- Sprytne - zauważa. - Muszę zapamiętać tę sztuczkę.

Ma chichocze jak czarownica.

- Żałuję tylko, że nie mogłam zobaczyć jego miny.

Później, gdy wszyscy już napchali się kebabami i *biryani*, wypili herbatę i zjedli słodczyce, Zafar oznajmia, że teraz usiądziemy w kręgu na trawie i każdy opowie jakąś historię, koniecznie związaną z własnym życiem. Snuje się kilka barwnych opowieści, jakiś mężczyzna wierzący w alchemię, który stracił dużo pieniędzy, próbując wytworzyć złoto, opisuje, jak jego znajomy podchodzi do płonącego stosu i poprzez tantra mantra hokus pokuserię plus rozsypaną garść mąki wywołuje ducha zmarłego, wykonującego każdy jego rozkaz. Jeśli on sobie tego życzy, duch kogoś uśmierci.

Gdy przychodzi kolej na Chunarama, ludzie zaczynają się domagać jego dobrze znanych opowieści o Motiyari, kobrze wysysającej pestki, albo o larwiarzu, jak ludzie nazywają dziewięciopalcego, ponieważ wie, jak używać robaków do oczyszczania ran. Inni znowu chcą usłyszeć, w jaki sposób oderwał sobie mały palec.

- Ponieważ nie możemy dojść do porozumienia - odzywa się Zafar - a na dodatek słyszeliśmy już te historie, niech następną opowie Elli doktorka.

Elli wstaje.

- Wiem, że wiele osób zadaje sobie pytanie, skąd się tu wzięłam i po co przyjechałam - zaczyna. - Opowiem wam, dlaczego zostałam lekarzem.

Oczy, nie wiem, czy wszystko zapamiętałam, ale przy wydatnej pomocy moich głosów przedstawię ci historię Elli. Części z niej nie rozumiem, powtórzę jednak to, co słyszę w głowie.

„Świat składa się z obietnic” - powiedział mój ojciec. Miałam czternaście lat i nic nie rozumiałam. „Pomyśl o rzeczach codziennych” - dodał. „Ktoś dostarcza listy. Rolnicy uprawiają pola. Sklepy przyjmują od nas dolary, a na każdym banknocie jest napisane, że jest prawnym środkiem płatniczym regulującym wszelkie należności publiczne i prywatne, co oznacza: zrobiłaś dla kogoś coś dobrego, obiecuję ci coś równie dobrego w zamian”. „Ale to dotyczy ludzi. A świat to także kamienie, woda i drzewa” - odpowiedziałam. „Kamienie dotrzymują obietnic. Zachowują się, jak przystało kamieniom. Woda wrze w stu stopniach Celsjusza. Morze podlega przyptywom i odpływowom, a więc i ono, i księżyc dotrzymują swego rodzaju obietnic. Żeby świat zaistniał dla ciebie, musisz złożyć własne obietnice”. „Ludzie łamią obietnice” - powiedziałam z goryczą. Chłopak, który mi się podobał, zaprosił mnie na szkolną zabawę, ale w ostatniej chwili doszedł do wniosku, że woli pójść z inną dziewczyną. „Nie chodzi tu o innych ludzi, Elli. Z dotrzymywania słowa płynie satysfakcja, której nikt i nic ci nie odbierze”.

Mieszkaliśmy w Coatesville w Pensylwanii. To przemysłowe miasto i mój ojciec

pracował w hucie stali. Nie miałam pojęcia, na czym tak naprawdę polegała jego praca, dopóki po latach nie odbyłam stażu w miejscowym szpitalu dla weteranów. Rozmawiałam z człowiekiem, który rzucił pracę w hucie. Nie mógł znieść łośkotu. Nie hałasu w ogóle. Poszczególnych odgłosów. Opisał wybuchy towarzyszące uderzeniom wody o płynną surówkę w temperaturze dwóch tysięcy stopni, dźwig wyjący jak turbina śmigłowca, głucho dudniący kompresor przywodzący na myśl łup, łup, łup hueyów lecących nisko nad dżunglą. „Nie chcę, żeby te wspomnienia odżywały codziennie w mojej głowie”. Cóż, byłam dzieckiem, gdy skończyła się wojna w Wietnamie. Nie potrafiłam wyobrazić sobie tak ciężkiej próby, by nie dało się o niej zapomnieć po dwudziestu latach, ale temu mężczyźnie, gdy o tym mówił, trzęsły się ręce. Był w wieku mojego taty. Zaciekawilo mnie, czy się znają. „Harry Barber? Jasne, że go znam”.

W ten sposób dowiedziałam się, co robi mój ojciec. Czterdzieści stóp pod główną halą, między piecami ryczącymi jak wulkany znajdowała się blaszana budka, na której ktoś napisał kredą: „PIEKŁO”. „Tam na dole” - powiedział znajomy mojego taty - „jest tak gorąco, że od razu wypala ci włosy w nosie. Stalowa płyta żarzy się czerwono niczym diabelskie oczy jadące na taśmie walcowniczej. Pryska na nie woda, ale i tak wybuchają, bum! bum! bum! - jak seria bomb. Zadaniem twojego ojca jest wyjść z tej piekielnej budki i sprawdzić płytę. Czy jest należycie płaska, czy potrzebuje dalszego walcowania? Twój tata ma na sobie ognioodporny ubiór, maskę ochronną i trzyma czterostopową suwmiarkę, mimo to na zmierzenie każdego arkusza stali ma tylko cztery sekundy. Wystarczy spędzić tam pół minuty, żeby niezależnie od osłony skóra pokryła się pęcherzami. Popelnisz jeden bład i już po tobie”.

Była to praca wymagająca kwalifikacji, dla człowieka odważnego, o pewnej ręce, i była dla mojego ojca powodem do dumy. „Budowaliśmy Amrikę” - mówił mi. „Odlaliśmy stal na most Walta Whitmana i wieże World Trade Center”. Elli zawiesza głos i patrzy wokół, jakby spodziewała się pytania lub komentarza, lecz wszyscy milczą, oczekując dalszego ciągu.

„Świat składa się z obietnic”. Dobrze mówić takie rzeczy, ale szlachetne idee nie uśmierzają bólu, nie wtedy, gdy jesteś nastolatką i ludzie wyśmiewają się z ciebie za plecami. Gdy moją matkę Marthę napotkano błakającą się po mieście w nocnej koszuli, mój tata musiał wyjść z pracy, wywołano go, a po powrocie do domu zastałam go siedzącego z twarzą ukrytą w dłoniach i po raz pierwszy widziałam, jak płacze. Mama zapadła na taką chorobę, która zaatakowała jej mózg. Zdarzało się, że nie wiedziała, kim jest i kim my jesteśmy. Pewnego dnia zauważyłam na jej ramieniu czerwone ślady, które mogły zostawić jedynie

silne męskie palce. Palce mojego ojca. Świadomość, że przez chwilę był brutalny, napełniła mnie gniewem, lecz nie na niego. Byłam zła na moją nieszczęsną matkę, że przez jej chorobę stracił panowanie nad sobą, a także na siebie, że nie potrafię pomóc żadnemu z nich. W zażenowaniu przypomniałam sobie, że czytałam o lekarzu, który wyjechał do Afryki i pracował wśród Pigmejek, które rodziły najmniejsze dzieci na ziemi, dwa małe krążki orzecha kokosowego odcisnięte w mleku - z niewiadomych przyczyn tak je sobie wyobrażałam - i wtedy postanowiłam zostać lekarzem. Żeby pomagać. Żeby umieć pomagać. Zostałam lekarzem, żeby ratować nie moją matkę, ale mojego ojca.

Zanim Martha zachorowała, wynajmowaliśmy nieduży dom z widokiem na drugą stronę torów kolejowych huty, w której pracował ojciec. Kiedy zrozumiał, że mama nie wyzdrowieje - a stało się to wtedy, gdy błąkała się po mieście w samej bieliźnie - doszedł do wniosku, że potrzebna jest jej jakaś zmiana. Chciał zawieźć ją gdzieś, gdzie są drzewa i pola, gdzie można odetchnąć. Nie było go jednak stać na kupno domu, więc go zbudował. Pomagałam mu. Był to dom o drewnianej konstrukcji na niewielkim osiedlu, kilka mil za miastem. Stał na niedużej parceli i był, jak to określano w tych okolicach, w stylu rancza - rozbudowany i parterowy. Zamożniejsi wznosili rezydencje w stylu kolonialnym, dwupiętrowe. Ojciec zaczął stawiać dom w zimie, pracując w weekendy. Kiedy dni zaczęły być dłuższe, wracał z pracy do małego domku w C'ville, jak mówiliśmy my, miejscowi, i jechaliśmy na parcelę jego starym zdezelowanym samochodem. Sąsiedzi pomagali nam wznosić szkielet budynku. Mój tata wspinał się na drabinę, piłował i stukał młotkiem. Wchodziłam jak najwyżej, aby podawać mu gwoździe i potrzebne narzędzia. Pracował do późna w te letnie wieczory, do dziewiątej, dziesiątej, póki nie zgasło ostatnie światło na zachodzie. Gdy dom był już gotowy, ukształtował teren dookoła i posadził drzewa. Zasadził także rododendrony i azalie, wierzbę i mimozę, a zimozielone krzewy wokół trawnika. Był niezmordowany. Niezależnie od stopnia trudności nigdy się nie poddawał. „Jesteś bohaterem” - myślałam z miłością o moim tacie. „Zbudowałeś nam dom”.

Kiedy wszystko było gotowe, zawieźliśmy Marthę na miejsce, by zobaczyła nową siedzibę. Aż zaklaskała na widok schludnych białych desek i pomalowanych na niebiesko framug okiennych. Jej choroba zdawała się cofać, jakby demony żywiące się jej umysłem nie potrafiły przetrwać z dala od widoku, odgłosów i zapachów huty. „Bardzo mi się podoba to miejsce”, powiedziała.

Ten dom mojego dzieciństwa stał na terenie, gdzie niegdyś rozciągały się pola. Podwórze na tyłach zorały pługi wielu pokoleń. Dwa domy dalej, na małej farmie hodowano konie i sprzyjający wiatr przynosił fale gęstej, intensywnej woni nawozu. Ze starej puszczy

zostały jeszcze skrawki lasu, przeważnie klony i dęby. Wiciokrzew, dzikie maliny i jeżyny pięły się po ogrodzeniu. W nocy jasno świeciły gwiazdy, słychać było żaby i świerszcze, a wiatr płynął wśród drzew jak rzeka.

„Ojej, patrzcie na te ptaszki!”. Martha najbardziej lubiła pustkowie wokół nowego domu, lecz pewnego dnia ujrzała ją pogrążoną w rozpacz, bo jeden z ptaków nie żył. „Dopadł go myszołów. Nienawidzę ich, są takie okrutne”. Dwa dni później Martha powiedziała: „Lubię drapieżne ptaki, są takie piękne”.

Wciąż pamiętam, z jakim lękiem myślałam, że choroby mojej mamy nie da się wyleczyć ani modlitwą, ani siłą woli i szczerością intencji. Po tym wszystkim poróżniłam się z Bogiem, poszliśmy osobnymi drogami. On postanowił demonstrować swoją osobliwą miłość do ludzi, ja natomiast zaczęłam się uczyć, jak uzdrawiać chore ciała i umysły.

Po wysłuchaniu tej historii ludzie podchodzili do Elli i mówili, jak bardzo im przykro z powodu choroby jej matki. Mieli nadzieję, że wyzdrowiała, i stwierdzali, że to cudownie być lekarzem.

Chunaram spytał o obietnice, dlaczego mają tak wielkie znaczenie. Elli odpowiedziała:

- Chodzi o to, że trzeba dotrzymywać obietnic złożonych innym i sobie, bo gdy ich nie dotrzymujemy, wszystko się rozpada.

Niektórzy, w tym Zafar, kiwają głowami, a ja myślę sobie, że nie mogłoby złożyć się lepiej dla Chunarama, który chyba nigdy w życiu żadnej nie dotrzymał.

Na koniec pojawia się jeszcze *pandit* Somraj i oznajmia:

- Pochodzimy z dwóch różnych światów. Twój jest stworzony z obietnic, mój z muzyki. Zastanawiam się, czy są aż tak odległe, jak się wydaje.

- Wiesz co - zagadnęła mnie później Elli - chyba w ten sposób *pandit* Somraj chciał zawrzeć pokój. Teraz ludzie nareszcie przyjdą.

Ale nazajutrz rano, gdy otworzyła drzwi, ulica znowu była pusta.

Taśma czternasta

Pozostało mi dziewięć dni życia. Ponieważ dzisiaj nie ma księżyca na niebie, to pierwsza noc miesiąca muharram. Dziewiąta noc jest nocą Ashara Mubarak, nocą przejścia przez ogień, kiedy z całą pewnością zginę.

Jeszcze nigdy tak się nie bałem. Śniły mi się te rozżarzone węgle. Ognista jama nie jest oszukaństwem. W poprzednich latach widziałem przecież, jak mężczyźni dmuchali na ogień, rozpalając węgle do białości. W snach wkraczam na nie i moje ręce stają w płomieniach, a wtedy padam i cały się palę.

Ogień jest i zawsze będzie częścią muharram, bo w żarze pustyni wnuk Proroka Hazrat Imam Husajn zginął śmiercią męczeńską. Wszyscy w Khaufpurze znają tę historię. Ileż razy słyszałem ją z ust starego Hanifa Alego. Kołysał się na piętach i zamykał powieki, katarakty zaćmiewające jego oczy gdzieś się rozplywały i widział świat sprzed tysiąclecia. „Co to za czerwone tulipany kwitną na pustyni? W Karbali, tym strasznym miejscu, widzę Husajna, wnuka Proroka, pokój z nim. Znużony jest i spragniony, a wokół wszędzie leżą jego powaleni towarzysze. Samotnie stawia opór tyranowi Jazydowi i trzydziestu trzem tysiącom jego ludzi. Lepiej umrzeć z godnością, niż żyć w poniżeniu”.

Wielkim bohaterem był Husajn, żeby walczyć z takimi przeciwnościami, bronić tego, w co wierzył. Podziwiam taką odwagę, choć jej nie podzielam. Nawet Zafar, który nie wierzy w żadnego Boga, powiada, że wszyscy musimy być jak Husajn, który nigdy się nie poddał i nie pozwolił się zastraszyć siłom zła rządzącym tym światem. Kiedy to mówi, wiem, że myśli o Kampani i przyjaciołach korporacji, władających krajami i miastami, mających broń palną, żołnierzy i bomby, i wszystkie pieniądze we wszystkich bankach świata. A naprzeciw nich widzi nas, ludzi z otchłani, z Apokalizy Ma Franci - i powtarza nam, że zwyciężymy, ponieważ towarzyszy nam niepokonana siła nicnieposiadania.

Jeszcze tylko dziewięć dni. Nigdy nie będę chodził prosto. Nigdy więcej nie usłyszę śpiewu Nishy, bo w domu Somraja z szacunku dla sąsiadów zaprzestano śpiewania i muzyki, cała reszta życia upłynie mi w ciszy. Nigdy nie ożenię się z Nishą. Nie ożenię się z nikim. Nie dowiem się, jak to jest, kiedy uprawia się z kimś seks.

Dziewięć dni, żeby zrobić wszystko, co chcę w życiu zrobić. Odciągnąłem Zafara na bok.

- Bracie Zafar, jest coś, co muszę załatwić, zanim umrę. Pomożesz mi?

- Tak, bracie. W czym rzecz? - pyta życzliwie.

- Chciałbym przejechać się na motocyklu z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Głodzi się po brodzie.

- Hmm, na naszych drogach to grozi śmiercią.

- Za dziewięć dni i tak będę martwy.

- Dlaczego miałbyś umrzeć, ty głupku? - pyta ze śmiechem.

- Z powodu mojego zakładu z Faroukiem. Muszę przejść przez ten ogień, a przysięgam, że w mojej głowie on płonie już jak czeluście piekiel.

- Po pierwsze, nie ma piekła - odpowiada on. - Po drugie, nie przejdziesz przez ogień.

- Przejdę. Nie mogę się wycofać.

Farouq też odlicza. Przychodzi do Chunarama i rozgląda się za mną. Siedzę z Zafarem i innymi.

- Zostało osiem dni, Zwierzaku, do próby ognia.

- Jestem gotów - odpowiadam, mając na myśli to, że gotów jestem umrzeć.

- Lepiej nawróć się prędko na jakąś religię - radzi. Dodaje, że jeśli się poprawię, zostanę muzułmaninem i będę żył uczciwie, pójdę do raju.

Patrzę na niego i pytam, czy religia nie zabrania mu palić i pić, nie wspominając o odwiedzaniu pewnych domów w starej części miasta.

- Jesteś zazdrosny - odpowiada - bo żadna dziewczyna nie chce tego zrobić z tobą. - Ale ma zachmurzoną twarz, więc wiem, że trafiłem.

Mówię mu, że Ma Franci też opowiada mi o niebie. „Isa *miyañ* kocha cię takim, jakim jesteś. Twoja dusza jest dla niego równie cenna jak każda. Przyjmij go do serca, a uchronisz się przed piekłem”. Odparłem wtedy, że zasłużyłem na to, by moja dusza była cenniejsza niż inne, bo już przeszedłem przez piekło.

- *Wah, wah* - chwali Zafar. - Szóstka.

- Zostawmy niebo, tkwimy na tej ziemi - wtrąca Chunaram, który również wierzy w życie po śmierci, lecz innego rodzaju.

Z kimkolwiek rozmawiam, głównym powodem wyznawania religii wydaje się chęć oszukania śmierci i życia - tutaj czy w niebiosach, wszystko jedno. Cóż, nie chcę innego

życia, dziękuję, nie takiego, jakie tu wiodę. Chunaram twierdzi, że powinienem wyznawać hinduizm. Z powodu tego wszystkiego, co wycierpiałem w tym życiu, na pewno pójdzie mi lepiej następnym razem. Najprawdopodobniej będę księciem albo politykiem czy kimś takim. Problem z tym punktem widzenia tkwi w samej logice sytuacji: moje położenie jest skutkiem złych uczynków, które popełniałem za poprzednich żywotów. Czasami ludzie patrzą na mnie, jakby się zastanawiali, ile dzieci zamordowałem przy ostatniej okazji.

- W raju nie będziesz skrzywiony - mówi Farouq. - Będziesz zdrowy i prosty.

To samo Ma opowiada o niebie, ale nie wierzę w ani jedno słowo. Gdyby religie mówiły prawdę, nie byłoby ich aż tylu na świecie, wystarczyłaby tylko jedna dla wszystkich. Oczywiście każdy twierdzi, że to jego wiara jest prawdziwa. Głupcy ci jednak nie pojmują, jaki to nonsens. Załóżmy, że ludzie rozprawialiby w ten sam sposób o pięknie. Jak głupio by to brzmiało? W takich chwilach robi mi się przykro, że Bóg daje się rozszarpać na strzępy jak mięso, o które walczą psy. Ja, mnie, moje - na tym opierają się religie. Gdzie tu znaleźć miejsce dla Boga?

Z wielką niechęcią chwalebę Zafara, ale on jeden ma rozsądne poglądy, bo nie tylko nie wierzy w żadnego Boga, ale uważa także, że Bóg jest czymś złym. Że idea nieba została wymyślona przez bogatych i możnych, by powstrzymać biedaków przed buntem. Zafar sięgnie do kieszeni, by dać monetę żebrakowi, ale nigdy nie obdaruje tych, którzy proszą w imię Boga. Twierdzi, że jeśli wierzy w cokolwiek, to w ludzkość, bo gdzieś głęboko w środku wszyscy są dobrzy. Nie wiem, skąd ten pomysł, nigdzie nie widzę na to żadnych dowodów.

Zafar i Farouq w jednym są zgodni: że powinienem przestać myśleć o sobie jako o zwierzęciu i stać się ponownie człowiekiem. No cóż, może gdyby ktoś mnie uleczył, owszem, inaczej nigdy tak się nie stanie. A oto dlaczego: jeśli zgodzę się zostać człowiekiem, uznaję zarazem, że jestem powykrzywiany i nienormalny. Niech jednak pozostanę *quatre pattes* zwierzęciem, wolnym czworonogiem, wtedy istnieję jako całość, we własnej postaci, zwierzę nieco inne niż, powiedzmy, Jara albo krowa, albo wielbłąd.

Farouq mówi, że jeśli chcę się dostać do raju, muszę się zmienić w człowieka.

- Dlaczego, stary?

- Raj jest dla ludzi, nie dla zwierząt.

- Co złego robią zwierzęta?

- Nie o to chodzi. Wydaje ci się, że każda mrówka zdeptana twardą piętą jakiegoś wieśniaka idzie do raju?

- Nie wiem, czemu by nie miała iść. Jeśli w raju są kwiaty i ptaki, to dlaczego nie mrówki? Czy nie wystarczy miejsca?

- W raju nie ma owadów - odpowiada Farouq.

Słyszając to, Zafar zauważa, że w takim razie stara fabryka Kampani musi być swego rodzaju rajem, bo tam ich również nie ma.

- Zaczekaj! - mówię. - Powiedziałeś, że w raju ludzie będą się wylegiwać na sofach wśród drogich jedwabów i dywanów?

- Oczywiście - zapewnia Farouq.

- Będą tam tryskały fontanny i strumienie, a sady z drzewami owocowymi będą się rozpościerały jak okiem sięgnąć?

Farouq kiwa głową. Teraz już go mam.

- Kraina winem, mlekiem i miodem płynąca?

- Tak.

- A skąd się weźmie miód, jeśli nie ma pszczół?

Zafar parska śmiechem i stwierdza, że w tym punkcie Farouq musi mi przyznać rację.

- Zostawcie w spokoju pszczoły - przerywa Farouq, rozdrażniony, jakby pszczołą, którą się tu obraża, była jego matka. - Zwierzak to nie pszczoła. Właściwie jakim ty jesteś zwierzęciem? - zwraca się do mnie. - Nigdy nie określiłeś tego dokładnie.

Wydaje mu się, że odwrócił sytuację na moją niekorzyść, bo - jak sam wspomniałem - nie jestem ani psem jak Jara, ani wielbłądem czy kozą, czy lampartem albo niedźwiedziem i tak dalej.

- Jestem jedynym przedstawicielem swojego gatunku.

- Dla mnie wyglądasz zupełnie jak człowiek - rzuca Farouq.

- Przecież to oczywiste, że jest człowiekiem - wtrąca Zafar.

- Udajesz zwierzę, żeby uniknąć odpowiedzialności wiążącej się z faktem bycia ludzką istotą - ciągnie Farouq. - Bez żartów, *yaar*. Biegasz, gdzie tylko chcesz, zachowujesz się jak wariat i wszystko ci uchodzi na sucho, bo ciągle skamlesz: „Jestem zwierzęciem, jestem zwierzęciem”.

- Bo jestem, żebyś wiedział - odpowiadam. - No powiedz: sam to wybrałem czy inni nazwali mnie Zwierzakiem i traktowali jak zwierzę?

- Teraz masz dobrą opiekę - mówi Farouq. - Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Czy nie troszczymy się o ciebie? Cała ta gorycz osadza się wyłącznie w twoim mózgu. Żeby ktoś cię zaakceptował jako człowieka, musisz się zachowywać jak człowiek. Im bardziej po ludzku się zachowujesz, tym bardziej stajesz się człowiekiem. - I psuje efekt przemowy, dodając z pełnym wyższości uśmieszkiem: - Pierdzielony czworonóg.

Na to Zafar przybiera skwaszoną minę, ponieważ nie popiera szydzenia z

wyglądających inaczej. Mówi, że dość już tej dyskusji, Farouq się potknął i nie umie przegrywać, a oprócz tego obydwaj się mylimy, ponieważ niebo istnieje. I na dowód tego przytacza słowa poety:

*Agar firdaus bar roo-e zameen ast,
Hameen ast-o hameen ast-o hameen ast.*

Jeśli istnieje raj na ziemi, to tutaj, to tutaj, to tutaj!

Nie ośmielam się zwierzyć Ma ze swego problemu po pierwsze dlatego, że za bardzo się przejmie, po drugie: i tak ma już świra, jest odchylona jak kciuk trędowatego.

Jeszcze sześć nocy. Ma pochyla się ku mnie z przebiegłym uśmiechem i szepcze:

- Aniołowie już tutaj są. Są między nami, w królestwie ubogich.

- Jacy aniołowie?

Patrzy na mnie, jakbym to ja był niespełna rozumu.

- Ci sami, co zwykle.

Nie ma sensu się z nią spierać, a poza tym nie chcę. Niewiele czerpie się z życia przyjemności. Jeśli komuś dają kopa anioły, to świetnie.

- Powiadasz, że ci aniołowie są tutaj, w Orzechokruszu?

- Oczywiście. Dzisiaj rano słyszałam trąby, zanim jeszcze się rozwidniło.

- To był pewnie Pushpak Express.

- Zawsze znajdziesz jakieś gładkie wytłumaczenie - stwierdza ona. - Niecałe dziesięć minut później rozległ się kolejny sygnał.

- Syrena w fabryce elektrotechnicznej.

- Wiara jest dowodem tego, co niewidzialne.

- Bez wątpienia tak, bez wątpienia.

- Słuchaj, Zwierzaku, widziałam anioły płonące wewnątrz ludzkich ciał. Nieraz, patrząc na kogoś, dostrzegałam nagle zarys tej drugiej, jasnej istoty zamkniętej w środku. Nazywałam je aniołami, choć niektóre to pewnie demony, ale wszystkie są podobnie uwięzione w ciele, co dla duchów jest jak pogrzebanie w błocie. Tylko ich oczy wyzierają stamtąd i tak żałośnie patrzą.

- Czy we mnie też siedzi uwięziony anioł?

Przygląda mi się.

- Nie widzę go. Może śpi albo wykonuje jakieś inne zadania.

- Szczera prawda. - W takich chwilach nie ma wyjścia, trzeba jej ustąpić.

- Żyjemy w piekle. Wiesz o tym? To jest piekło.

- Tak, Ma.

- Kiedy patrzysz na te dymiące płomyki, które tu uchodzą za lampy, możesz zrozumieć, dlaczego mówię, że żyjemy w piekle.

- Aha.

- Ale nie dlatego o tym mówię - zanoszą się chichotem. - Być uwięzionym w ludzkim ciele, jeśli jesteś aniołem, to prawdziwe piekło.

Współczuję tym aniołom. Piekłem jest uwięzienie w zwierzęcym ciele, gdy marzysz o człowieczeństwie.

Nie chcę umrzeć. Farouq twierdzi, że przez ogień mogą przejść bezpiecznie tylko ci, którzy mają czyste serca, a moje z pewnością takie nie jest. Ale jeśli się wycofam, nigdy nie pozwoli mi o tym zapomnieć. W snach wyszukuję różne zadziwiające sposoby, by przetrwać próbę. Przeskakuję nad ogniem jednym susem, nadciąga ulewa i gasi płomienie, anielska ręka łapie mnie za kark i podrywa w górę.

Taki jestem przerażony, że następnego dnia pytam Elli doktorkę, co zrobić, żeby ochronić ręce przed kontaktem z przedmiotami rozżarzonymi do czerwoności. Moje dłonie są twarde i zrogowaciałe, bo służą mi też jako stopy, ale spodziewam się, że nie wytrzymają deptania po węglach.

- O co tu właściwie chodzi? - pyta Elli.

W końcu opowiadam jej o Farouqu i naszym zakładzie.

- Oczywiście, że tego nie zrobisz - mówi jak wszyscy inni.

Więc jej powtarzam, że jeszcze nigdy nie widziałem, by ktoś wpadł w ogień albo się poparzył. Potrzebuję tylko dodatkowej ochrony, a poza tym Somraj wspomniał, że raz to zrobił za młodu.

- Jak to możliwe, przecież jest Hindusem?

- A ja jestem zwierzęciem. I co z tego?

Widzisz, Oczy, w Khaufpurze ludzie wszelkich wyznań podejmują się kroczenia po ogniu zgodnie z tym osławionym rytuałem Yar-yilaqich i wielu przeszło też po węglach.

- Somraj *pandit* powiedział, że nie czuł ognia. To było jak chodzenie po chłodnej wodzie.

- Myślę, że zamienię z nim kilka słów - zapowiada Elli z zaciętym wyrazem twarzy, co pozwala się domyślić, że nieszczęsny *pandit*, który nasłuchiwał się już na ten temat od Nishy, dostanie jeszcze dokładkę od lekarki. Elli spogląda na mnie. - Mój tata ryzykował życie przy

rozżarzonym metalu, ale robił to dla rodziny. Po co ty to robisz?

- Dla honoru.

Ale to nonsens, bo gdybym dbał o honor, który jest czymś w rodzaju prawdy z serca, nie czułbym takiego lęku. Oczywiście, prawdziwą przyczyną jest Nisha. Taki zrobiłem się zazdrosny od czasu, gdy usłyszałem o jej planach w związku z Ratnagiri i dziećmi oraz Zafarem. Chcę wyrzucić na niej wrażenie, chcę, żeby się o mnie martwiła i uświadomiła sobie, ile straci, jeśli się usmażę.

- Zwierzaku, jesteś totalnym idiotą. Czy będzie tam lekarz? - Widząc, że nie znam odpowiedzi, rzuca, iż sama przyjdzie, jeśli ja lub ktokolwiek inny będzie jej potrzebował.

- Elli, nie możesz przyjść, to wykluczone.

Jest cudzoziemką i Amrikanką. Jak miałyby wejść do meczetu w tym świętym czasie, kiedy jej kraj bombarduje Afganistan leżący tuż obok rodzinnej ziemi Yar-yilaqich, w którym mieszka też wielu ich krewnych? Nie odpowiada, ale powinienem już wiedzieć, że jest taka jak ja - nikt jej nie powstrzyma przed zrobieniem tego, co chce.

Nasza rozmowa odbywa się w jej gabinecie, gdzie siedzi Khã-w-Słóju. Dzisiaj jednak milczy i tylko unosi się w ciezcy, patrząc na mnie ze złością.

- Co? Ty, *parapagus sahib*! Nie masz nic do powiedzenia?

- A co mogę powiedzieć? - rzuca gniewnie Khã. - Nie zrobisz tego. Wiesz o tym. Jesteś pozerem i palantem. Jasna cholera, to twój przyjaciel Khã potrzebuje całopalenia, ale czy ty o nim myślisz? Nie myślisz. U ciebie, Zwierzaku, istnieje tylko ja, ja, ja.

- Bracie Zafar, z jaką teraz jedziemy prędkością?

- Sto kilometrów na godzinę.

- A teraz, Zafarze *bhai*? Z jaką?

- Sto czterdzieści trzy - dociera do mnie odpowiedź unoszona przez wiatr.

Jest trzecia nad ranem. Zasuwamy znad jeziora w stronę domu ministra, bo to najszersza i najrówniejsza droga w mieście.

- Jaka prędkość?

- Sto sześćdziesiąt cztery.

Świat ucieka bardzo szybko, tylko czas płynie szybciej - to już ósmy dzień muharram, jutro spotkam się z ogniem.

Dom rozmazuje się z tyłu, jesteśmy już przed dużym hotelem Jehannum. W drodze powrotnej Zafar chichocze, widząc światła w oknach willi ministra.

- Jaka prędkość, bracie?

- Pięćdziesiąt jeden - odpowiada. - I taka zostanie.

Zafar, bracie, nigdy tego nie mówiłem, ale gdybym cię nie nienawidził, tobym cię kochał. Jesteś niezwykłą ludzką istotą.

W noc Ashara Mubarak idę do domu Somraja na spotkanie z Bhoorą, który ma mnie zawieźć do masjidu w Chowk.

Z kliniki wychodzi Elli. Ma na sobie koszulę z długimi rękawami sięgającą kolan, którą narzuciła na luźne spodnie. Strój jest ciemnoniebieski, z połyskującymi paciorkami, podkreśla jej ciemne włosy. Z wyjątkiem błękitnych oczu „niczym otwory, przez które widać niebo”, jak powiedziała pewna staruszka z Orzechokrusza, prócz tych oczu, które można ukryć za woalem, wygląda niemal jak Hinduska. Jej skóra zbrązowiała od słońca i jest prawie tak ciemna jak u Nishy, ale to nie wystarczy.

- Elli, nie możesz przyjść.

- O, nie wybieram się z tobą - odpowiada. Z domu Somraja wychodzi postać odziana w nieskazitelną biel. - Ktoś inny uprzejmie zaproponował, że mnie podwiezie.

Gdy docieram do Chowk, kłębi się tam zróżnicowany tłum khaufpurczyków. Wylegli gromadnie Yar-yilaqi, muzułmanie z innych wspólnot, a także hinduiści i sikhowie. Przyszli popatrzeć na spacer po ogniu, a niektórzy nawet chcą się przyłączyć. Ani śladu Elli i Somraja, ale tuż obok miejsca, gdzie „kuchenna” ulica styka się z odzieżowym bazarem, widzę Niszę i Zafara pograżonych w cichej rozmowie. Podkradam się do nich jak najbliżej. Są tak zaabsorbowani, że mnie nie zauważają. Nisha mówi: „...i zostawiła męża w Amrice”. Tyle łapię, lecz nie odpowiedź Zafara. Potem Nisha dodaje: „Już nie jest sobą” - i zapada cisza, aż wreszcie ten kutafon Zafar obejmuje ją w talii.

Wydaję chyba coś w rodzaju warkotu, bo Nisha odwraca się gwałtownie i zaczyna paplać:

- Ty paskudny chłopaku, a więc jesteś! Nie wiesz, że wszyscy się o ciebie martwią? Nie ma mowy, żebyś zrobił to głupstwo. Zafar już zapowiedział Farouqowi, teraz ci nie pozwolą. Nie, nie odzywaj się, nic nie mów. Bardzo się na ciebie gniewam. Dlaczego nas szpiegujesz? Nie rozumiesz, co narobiłeś przez swoje wybryki? Jeśli chcesz szpiegować, poszukaj mojego ojca i tej Amrikanki, a potem wszyscy pójdziemy do domu.

Jak ja nienawidzę tego my, my, my. Nisha nie ma pojęcia, jakie bolesne są dla mnie te słowa, bo inaczej nigdy by ich nie wypowiedziała. Dałem jej do zrozumienia na wszelkie sposoby, że ją kocham i chciałbym z nią być. Cóż więcej mógłbym zrobić? No, powiedz. Poddać się? Jakie mam szanse w porównaniu z Zafarem? Wiem, co sobie myślisz, Oczywiście, że powinienem z godnością przyjąć porażkę i życzyć Nishy szczęścia, ale po prostu nie mogłem.

Nigdy nie twierdziłem, że jestem dobry. Jak mam wytłumaczyć ten nagły przypływ uczuć, ilekroć ją zobaczę, to serce skaczące mi w piersi, gdy tylko ona wejdzie do pokoju? Wiem jedno: uwielbiam być blisko niej. Chcę jej dotknąć. Chcę gładzić jej włosy, przycisnąć usta do jej zamkniętych powiek i powtarzać, że zawsze będę przy niej, żeby się nią opiekować. Oczywiście, wiem, że takie gadanie to najżałośniejsze bzdety na świecie. Ale co robić? Zakochane stworzenia mają kompletnie nasrane w głowie.

Zaułki Chowk są tak wąskie, że w większości z nich trudno byłoby się wyminąć dwóm grubasom. Trzeba się przepychać od uliczki blacharzy aż do *gulab-baadi*, gdzie wiszą girlandy białych pąków jaśminu, a na straganach piętrzą się nagietki i róże. W pobliżu masjidu wywieszono na sprzedaż dywany i dywaniki, a także sari i chusty. Tu wreszcie dostrzegam Somraja i Elli i ruszam w ich stronę przez las nóg, starając się uchronić ręce przed zdeptaniem.

- Sukinsynu! - odzywa się donośny głos. - Jesteś uratowany, wiesz o tym? Zafar powiedział, że nie wolno ci tego zrobić. - To Farouq w czarnej opasce na głowie, bosy, gotów do przejścia przez ogień.

- Za to mogę patrzeć, jak ty robisz z siebie durnia.

- Jeśli nie będziesz się przyzwoicie zachowywał, sam cię wrzucę na węgle.

- Odpieprz się. Przecież mnie kochasz.

Przy odrobinie szczęścia Farouq przewróci się w te kurewskie płomienie i spłonie jak wielka czarna ćma. Nie zamierzam mu mówić, że - Zafar nie Zafar - nic mnie nie powstrzyma przed dotrzymaniem słowa.

Wymieniamy jeszcze kilka obelg, ale Farouq nie wkłada w nie serca. Odchodzi, a ja przysuwam się do Somraja i Elli, którzy zdążają powoli ku masjidowi. Elli rozgląda się z przejęciem, jak dziecko. Trzymam się kilka kroków za nimi, wyęzając słuch.

- ...nigdy nie wyjeżdżał z Amriki - opowiada Elli. - Nie uwierzyłby, że istnieją takie miejsca. Te dywany wyglądają tak, jakby mogły odlecieć w dal, gdy się na nich usiądzie.

- Są dobrej jakości.

- O, doprawdy? - parska śmiechem. - Gdybym powiedziała, że chcę czarodziejskiego dywanu, pewnie zabrałby mnie pan na poszukiwania.

- Ależ oczywiście, to mój obowiązek.

- Obowiązek?

- Jest pani gościem w moim mieście. A ja jestem pani gospodarzem.

- Czy to tylko obowiązek?

- Dla mnie również przyjemność. - Wypowiada te słowa bez cienia uśmiechu.

- To już brzmi odrobinę bardziej przyjaźnie - zauważa ona i następne zdanie ginie w zgiełku, wyraźnie słyszę jednak jej śmiech. Przeszkadzają mi odgłosy dobiegające z *mela*. Dopiero po chwili dociera do mnie:

- Po ślubie przyszedłem tu z żoną, wybrała dywan do domu.

- Tęskni pan za nią? - pyta Elli.

Nie dosłyszałem jego odpowiedzi. Prawdopodobnie jednak milczał, bo po chwili znów odzywa się Elli:

- Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

Teraz on się odwraca i uśmiecha. Jednym ze swoich rzadkich uśmiechów, który Zafar nazwałby zapewne kwiatem rozkwitającym na pustyni.

- Nie, nie - mówi. - To nie to. Słuchałem muzyki.

- Na pewno? Nie zdenerwowałam pana?

- Nie. Absolutnie mnie pani nie zdenerwowała. Proszę posłuchać, jak przeróżne rodzaje muzyki współbrzmiają ze sobą.

Ze wszystkich stron rozlegają się śpiewy i lamentsy nad Husajnem. Z każdej bramy zdaje się dobiegać inna pieśń, jakby się kroczyło przez gęste chmury muzyki. Lament nazywa się *marsiya*, są ich dziesiątki. Niektóre w hindi, inne po arabsku i persku, ale w każdym języku wychwytyjesz to samo znaczenie. Przynajmniej ja. Brzmi tak, jakby wszystko, co dobre na świecie, ginęło, a ludzie patrzą na to obojętnie. Żałobnicy jednak stawiają opór, nigdy nie poddadzą się złym mocom. Dla mnie, który nie jestem ani muzułmaninem, ani hinduistą, ani *isayi*, ta muzyka brzmi tak, że mogłaby pocieszyć Isa *miyañ* umierającego na krzyżu albo powędrować ze Sri Ramą na wygnanie z Ajodhia. Pod tym względem jest mi wszystko jedno; podoba mi się opór, jaki w nich pobrzmiwa. Somrajowi również, ale z innych powodów.

Odwraca głowę to w lewo, to w prawo, jakby dźwięki były motylami, które próbuje pochwycić w siatki swoich uszu.

Zbliżamy się do wielkiego masjidu, skąd *marsiya* ryczy gromko przez głośniki.

Stojąc samotnie na polu walki,

O Husajn, nigdy nie zapomnę Husajna!

Nie okazał lęku, zibh-al-Azeem z Abu Abdillah.

Ya Husain! Ya Husain! Ya Husain!

- Pan ciągle słucha - zauważa Elli. - Jak pan rozróżnia dźwięki?

- Nie rozróżniam ich - odpowiada Somraj. - Staram się usłyszeć wszystkie razem. Kiedy zderzają się pieśni, jak to pani określiła, czasami powstaje nowa muzyka, coś zupełnie świeżego.

- Podobnie jest z naszym życiem - mówi ona.

Ogień płonie na dużym dziedzińcu przed masjidem. Wszędzie wokół telebimy pokazują to miejsce takim jak ja, którzy nie widzą go z bliska. Węgłe zostały ułożone w obszernym kwadratowym dole, nieco podwyższonym i otoczonym podestami, na których stoją ludzie i dmuchają skórzanymi miechami. Co chwila iskry pryskają na boki, a węgle żarzą się wściekle. Są już czerwone, a muszą być jeszcze gorętsze. Miechy rzeżą, strumienie powietrza rozpalają węgle do białości. Już dawno zgubiłem ślad Somraja i Elli. Teraz muszę wykazać się pomysłowością. Mam zamiar przejść przez ogień i nikt mi tego nie zabroni. Na moją korzyść działa teraz to, że przemieszczam się nisko nad ziemią - ludzie zazwyczaj nie rozmawiają na poziomie kolan. W tłumie przewijają się młodzi mężczyźni z czarnymi opaskami na głowach, ustawiają się w rzędach, które wędrują powoli, zgodnie, niczym strumienie wolno spływające do rzeki. Zmierzają ku podium, skąd stopnie wiodą wprost do ognia.

Na ziemi znajduję upuszczony czarny szal i z pewnym trudem zawiązuję go jedną ręką wokół głowy. Nie mam czarnej koszuli, właściwie nie mam nic prócz moich kakadówek. Dołączam do kolejki facetów, przesuwającej się w stronę ognistego piekła. Ich nogi wyrastają jak drzewa przede mną i za mną, stopy są mokre, bo zanurzyli je w wodzie. Zostawiają wilgotne ślady na kamiennych płytach. Nie przyszło mi do głowy, żeby to zrobić, więc teraz zbieram dłońmi i stopami krople wody z ziemi. Inni wyśpiewują głośno słowa lamentu:

Zapada noc nad mrocznym widnokregiem.

Czarna chorągiew Ludzi Płaszcz

zsuwa się z ramienia wiekuiście krążącego czasu,

bezlitosne serce, niech twe smutne westchnienie osmali niebo!

Języku, to czas żałoby, oko, to pora lez!

Zbliżamy się do schodów i mężczyźni wokół mnie wzdrygają się, czując podmuchy żaru, lecz przesuwiają się miarowo naprzód, a ja razem z nimi. Wstępujemy po schodach. Nikt mnie nie zatrzymuje, nikt nic nie mówi.

Mam wrażenie, że mój umysł oddzielił się od ciała i unosi nade mną. Widzę siebie

wchodzącego na czworakach po stopniach, moje ręce na deskach, fale gorąca uderzające w twarz. Za najwyższym stopniem jest drewniany pomost, a dalej ceglany mur ognistej jamy. Słyszę już ogień, nie trzaska ani nie huczy, tylko syczy jak jakaś olbrzymia rozdrażniona kobra. Gdybym miał się do kogo modlić, tobym się pomodlił, ale nie mam, więc nucę pod nosem pieśń:

*Jestem zwierzakiem dzikim i wolnym,
choć do czystości serca niezdolnym.
Nie tu się moje życie zakończy,
bo mnie z tym ogniem przyjaźń połączy.*

Mężczyzna przede mną wkracza w ogień. Spod jego stóp, gdy biegnie, buchają drobne kłęby dymu, a tam, gdzie stąpnie, węgle na chwilę ciemnieją. W mojej głowie odzywa się głos: „Przejdiesz” - i mój strach mija. Nabieram pewności, że dokonam tego i przeżyję, przebiegnę tamtędy jak ten mężczyzna, a nawet szybciej, i będę żył.

- Hej, kto to?

Krępy Yar-yilaqi patrzy na mnie z góry. Ma głowę obwiązaną czarną opaską, jego czarna koszula jest rozpięta, coś złotego połyskuje we włosach na piersi.

- Idę przez ogień - mamroczę.

- Nie idziesz. Zabierzcie go stąd.

Spychają mnie ze schodów i ląduję z powrotem w tłumie gapiów. Przed moim nosem pojawiają się stopy, czubki palców celują prosto we mnie. To Farouq.

- Ha, ha, dobrze się bawisz, Zwierzaku? Co widzisz?

- Nic. Przeszedłbym przez ten ogień. Powstrzymali mnie.

- Tak, wiem - rzuca drwiącym tonem. - Chcesz popatrzeć, jak ja to robię?

- Obśmiałybym się, gdybyś tak spłonął - ripostuję. Jestem gorzko rozczarowany, że mnie zatrzymano. Mogłem tego dokonać.

Cholerny gnojek kiwa bez słowa na któregoś z kumpli i nagle ktoś unosi mnie w powietrze.

- Jeśli ja spłonę, ty też spłoniesz - oznajmia z wariackim śmiechem, jakby był na haju, a zaraz potem ląduję dupą na jego barkach. To ostatnie miejsce, w którym spodziewałbym się znaleźć. - Módl się, żebym cię nie upuścił - rzuca z dołu.

Przemknęło mi przez myśl, że Farouq nie żartuje, że zaplanował dla mnie straszny koniec. Albo może się potknie i wtedy, Zwierzaku, *le pauvre* ginie i zostaje publicznie

spalone. Teraz znowu ogarnia mnie przerażenie.

Wysoko ponad głowami tłumu czuję na twarzy ognisty podmuch. Gdzieś w oddali dostrzegam Somraja i Elli. Kilku facetów spogląda na nią z wyraźną niechęcią, ale tuż obok przystaje Zafar z Nishą i opryskliwość zmienia się w przebłyski uśmiechów. Nisha popatruje wokół, nasze oczy się spotykają. Zdumiewa ją mój widok, gdy tak jadę na ramionach mężczyzny mającego przejść przez ogień. Ciągnie ojca za rękaw i wskazuje na mnie, więc macham do nich.

Wszyscy odwzajemniają gest, z wyjątkiem Elli. Oczy ma utkwione w jamie pełnej koksu, na który mężczyźni dmuchają miechami. Dziwne prądy wirują pod czerwonym żarem, jej ojciec w „piekielnej dziurze” codziennie stawiał czoło takiej grozie z miłości do córki.

Somraj opowiada coś Elli na ucho, chyba historię Husajna, ale wokół panuje taki zgiełk, syczy ogień i wszyscy skandują: „*Ya Husain! Ya Husain! Ya Husain!*”, że ona na pewno niewiele słyszy. Wtedy, Oczy, jej myśli docierają do mej głowy. Rozmyśla o ogniu, ale innym. Tym, którym odetchnął Somraj i który wypalił jego płuca i odebrał mu zdolność śpiewu. Jakie musiało być tamto piekło? *O, któż teraz przemówi w imieniu sierot?* Słyszała wiele opowieści o tej nocy, znała wiele sprawozdań z szeroko zakrojonej rzezi niewiniałek. *Kto teraz przemówi w imieniu ubogich?* Jaki to musiał być koszmar: zbudzić się w środku nocy, oślepionym gryzącym gazem. *Kto ochroni tych nieszczęśników?* - taki napis wisi w nocnym powietrzu, chłonnym opary, które przeżarły i wypaliły ludziom wnętrzości, *gdzie teraz znajdą ucieczkę*, a ty toniesz na suchym lądzie, ponieważ twoje płuca wypluły z płaczem cały płyn. *Ya Husain! Ya Husain! Ya Husain!* Tamtej nocy było zimno, błyszczały gwiazdy, *usłysz, ile nieszczęścia zsyłają ci niebiosy*, i w całym mieście odbywały się wesela, bo astrologowie ogłosili, że to pomyślny czas dla *wesela Husajna syna Hassana*. Jakoś nie zauważyli supła zaplątanego przez los, bo to oni ubrali państwa młodych. Nici tysięcy żywotów splotły się, ale nie w weselnych strojach, lecz w całunach, poćwiartowane, w tej samej chwili. *Ya Husain! Ya Husain! Ya Husain!* Elli odczuwa zgrozę, zawodzi ją wyobraźnia. *Jaką muzykę grano na tym weselu?* Nie potrafi sobie wyobrazić krzyków konających ludzi, a także tych, którzy zgubili rodziny w ogarniętym paniką tłumie. *Krzyki udreżonych pragnieniem mężczyzn i kobiet* którym wyrwano z dłoni rączki ich dzieci. Była tam jedna kobieta, która, wiedząc, że umiera *zamiast świątecznych lampek zapłonął cały dom* owinęła nowo narodzonego syna w szal i położyła w bramie z nadzieją, że znajdzie go *kolory użyte przy tym weselu były plamami krwi* ktoś, kto go pokocha. *Ya Husain! Ya Husain! Ya Husain!* Elli myśli, że tamta kobieta chyba miała szczęście, nie widząc rozpalonego pieca, w którym stopił się kręgosłup jej syna, nie słysząc ciosów, które wybiły z niego

człowieczeństwo. Chce zwrócić temu chłopcu wyprostowaną postawę *darem panny młodej była odcięta głowa oblubieńca* ale gdy o tym myśli, spogląda na Somraja i uświadamia sobie, że równie mocno pragnie podarować coś temu smutnemu, łagodnemu człowiekowi *w jakim kraju panna młoda może oczekiwać takiego daru?* stojącemu obok niej *przysięgam na Boga, nigdy nie zechcę poślubić nikogo innego*. Sięgnęłaby ręką i ujęła jego dłoń, gdyby nie obawa, że wprawi go tym w zakłopotanie, a może obrazi *nie, dopóki nie jestem w spowiciu i w grobie* Jak bardzo by chciała zwrócić Somrajowi dar jego głosu. *Ya Husain! Ya Husain! Ya Husain!*

Na marmurowych balkonach otaczających dziedziniec pełen ognia stoją kobiety w ciemnych szatach. Tej nocy większość odrzuciła zasłony z twarzy oświetlonych od spodu. Poblask łagodnie różowi ich policzki, *patrzą niezastłoniętymi oczami*. Gdy przesuwam się w stronę ognia na moim osobliwym dwunożnym wierzchowcu, mężczyźni tuż przed nami stawiają stopy na drewnianych schodkach *gdy siedemdziesiąty pierwszy odjechał, by umrzeć*. Dreszcz podniecenia albo strachu przeszywa moje ciało, skandowanie rozbrzmiewa coraz głośniej.

Ya Husain! Ya Husain! Ya Husain!

Czarno ubrane kobiety Yar-yilaqich unoszą ramiona i uderzają się mocno w piersi *przeszyty włóczniami nieprzyjaciół*. Są tam staruszki i młode dziewczyny *zdeptany kopytami koni*. Próbuję sobie wyobrazić Ma Franci w czarnym habicie pośród nich. Pasowałaby do nich, oplakując Świjana i śmierć całego świata z żalem równie czystym, jak ten wyrażany po utracie imama: *O, Husajn! Nigdy nie zapomnę Husajna!* Ich ramiona wznoszą się równocześnie i opadają z głuchym odgłosem, łups! *Ya Husain!* Łups! *Ya Husain!* Łups! *Ya Husain!*

Jesteśmy już tak blisko ognia, że piecze mnie czoło. Zostało zaledwie kilka kroków do miejsca, z którego stopnie prowadzą na podwyższenie. Siedzę wysoko na barkach Farouqa. *Miecze piły krew, zajęte rzezią*. Przed nami mężczyźni, a także chłopcy, z czarnymi opaskami i bez, wspinają się nad krawędź ognia. *Trupy leżały rozrzucone na pustyni*. Po bokach stoją ludzie, trzymając się dalej od brzegu jamy, gotowi pomóc przechodzącym. *Drapieżne ptaki krążyły nad głowami dniem i nocą*. Tuż przed nami mężczyzna wstępuje na węgle, które aż tańczą z żaru. Przechodzi po nich czterema długimi krokami. *Ya Husain! Ya Husain! Ya Husain!* Idzie drugi, a potem trzeci i następny. *Do nich należy Raj, poszli do Raju*. Pomocne dłonie wyciągają ich w bezpieczne miejsce. Już nikogo nie ma przed nami. *Splonęli w Bogu*. Czuje, że Farouq nabiera powietrza i mocniej chwyta mnie za nogi. *Ya Husain! Ya Husain! Ya Husain!* Gdy stawia pierwszy krok, otwieram usta, chcąc go ostrzec, żeby mnie nie upuścił, lecz zamiast tego ryczę wraz z innymi:

*Teraz Shimr Maloon rób co masz robić
błogosławiona głowa całowana przez Al Mustafę
udręczona pragnieniem jakby miała w sobie pustynię
spoczywa na pustynnym piasku
Ya Husain! Ya Husain! Ya Husain!*

Dzieje się ze mną coś przedziwnego. Kiedy żar zaczyna huczeć wokół nas, mam wrażenie, że unoszę się nad skwarną, drgającą od gorąca pustynią *ten, który był jasnym światłem, został zamordowany* moje usta płoną z pragnienia, płoną moje oczy i dziurki w nosie, przez które wdzierają się ogniste podmuchy *zamordowany w Karboli i leży niepogrzebany* a wszędzie wokół kłębią się tłumy i panuje zgiełk, ludzie padają martwi, w oddali powiewają chorągwie wroga, dygoczą z nienawiści do wszystkiego, co dobre, a ja jestem bezradny i niezdolny zapobiec strasznej rzeczy, jaką jest mord na dobroci i niewinności i zwycięstwo zła, w którymś zakamarku mojej głowy rozlega się wycie potężnej wichury, podsycając płomienie, głos w mojej głowie mówi: *I'injustice ramportera la victoire* - i uświadamiam sobie, że przeszliśmy na drugą stronę i że śniłem sen Ma Franci czy raczej Świjana o końcu świata.

Ya Husain! Ya Husain! Ya Husain!

Odwracamy się. Ruszamy z powrotem. Znowu tamtędy przejdziemy. Zaczyna mi się kręcić w głowie *ja, Muhtasham, żebrak u waszych drzwi*. Znowu żar, szkarłatna rana, ogień bucha, węgle mieniają się kolorami. Moja głowa wiruje jak spirala. Czuję, że zaczynam się zsuwać z pleców Farouqa, ześlizguję się *stoję z pustymi rękami u drzwi bezsilności* spadam i nic już mnie nie oddziela od ognia.

Pozwól mi umrzeć, myślę spadając. Będę szczęśliwy. Całe moje życie, wszystko zostaje pochłonięte przez to pragnienie zapadnięcia się w nicość. Nawet ogień strzelający ku mnie stracił moc i przypomina łagodne promienie słońca. A potem już leżę na trawie w meczecie, Farouq i inni pochylają się nade mną.

- Ocknął się - mówi ktoś.

- Ty mały dupku - odzywa się Farouq. - Świetny moment sobie wybrałeś. Jestem w połowie drogi, a ty zsuwasz mi się z karku.

- Co się stało? Upuściłeś mnie?

- Zemdlałeś - wyjaśnia mi drugi Yar-yilaqi. - Miałeś szczęście. Gdyby nie zatańczył i cię nie złapał, tobyś spłonął.

- Złapałeś mnie? Zatańczyłeś?
- Podziękujesz mi innym razem - odpowiada Farouq.
- Poparzyłeś sobie stopy?
- Nie.
- Cholerna szkoda.
- Powinienem był pozwolić ci zdechnąć - mówi.

Taśma piętnasta

Raz Nisha pożyczyła z biblioteki wielką księgę zwierząt i mi ją pokazała. Były w niej zdjęcia wszystkich stworzeń występujących w Indiach, niedźwiedzi i małp, wilków, rozmaitych jeleni, nosorożców, tygrysów, lwów, bawołów, cokolwiek zechcesz wymienić. Była kobra, kobra królewska, pyton, jaszczurka pijąca krew, dudek, rybołów, kania i wrona, gawiał, ryba mahseer, hiena i szakal, a także dhole, dziki pies o okrągłych uszach. Ale w całej tej książce, na żadnej z setek stron i na żadnym z setek zdjęć nie było takiego zwierzaka jak ja. Nisha powiedziała: „To dlatego, że jesteś wyjątkowy. Bądź z tego dumny”. Ale ja czułem tylko smutek.

Dlaczego teraz o tym wspominam? Bo dwie noce po spacerze przez ogień siedzę na mangowcu ponad dachem Elli. Nade mną Mała Niedźwiedzica kołysze się na ogniu, przemykają kształty, które mogą być nietoperzami. Teraz to drzewo nie stanowi już dla mnie problemu, choć za pierwszym razem, gdy się na nie wspiałem, stawiało taki opór. Teraz już znam drogę, jakby to były schody: tu sęk, tam sterczący ogryzek gałęzi, tu się złap, tam się podciągnij, liście są czarne, księżyc w pełni jeszcze nie wzeszedł. Widzisz, znalazłem określenie na zwierzę, którym jestem: małpa z nietoperzymi uszami, wspinająca się tylko w mroku nocy.

Elli i Somraj siedzą na tarasie. Ich twarze oświetla poblask z oliwnej lampki. Moje uszy nietoperza nastawiają się, by usłyszeć, o czym mowa. Elli opowiada o swoim małżeństwie. Jak się wydaje, poznała swojego męża, kiedy studiowała medycynę, a on prawo. Spotykali się wiele razy, zanim się w sobie zakochali, u znajomych i na demonstracjach przeciw wojnie w Iraku, którą Amrikanie nazwali Pustynną Burzą. Wielu rzeczy z jej mowy nie rozumiem. Niektórych nawet profesor od języków obcych nie wyjaśni. Co to znaczy: „Studenci z pen wyszli na ulice, by poprzeć prawa gejów?”. Byli chyba głupimi idealistami, którzy myśleli, że jeśli prawo i medycyna pomaszeraują ramię w ramię, zdołają zmienić świat.

- Był taki ekscytujący - mówi Elli. - Jeździł do Kolumbii, jadł przypiekane mrówki i pił napoje, które rozsadały czaszkę jak kula armatnia, tak twierdził.

- Mamy takie *daru* - odpowiada Somraj - ale nie radzę go próbować.

- Byłam naiwna - ona na to. - Nie rozumiałam, że ludzie zmieniają się prędzej niż światy.

Cienie na jego twarzy się przesuwają, co oznacza zapewne uśmiech. Jak to? Znowu się uśmiecha? Pije whisky z Elli i nawet nie wyraża dezaprobaty? Nie potrafię go sobie wyobrazić w podobnej sytuacji z inną kobietą. Może dlatego, że jest cudzoziemką. Ale wydaje mi się, że Somraj naprawdę ją lubi. Widać to, gdy pochyla się ku niej, chce słyszeć, co mówi. Chce wiedzieć o niej wszystko.

Po ślubie, opowiada Elli, pracowała całymi dniami w szpitalu, a jej mąż starał się przebić jako prawnik. Wracali do domu zmęczeni i uwalali się przed telewizorem. Zapomniawszy o szczytnych planach, stawali się ludźmi takiego pokroju, jakimi sami wcześniej pogardzali.

- To znaczy - ciągnie z narastającą żarliwością - takimi, dla których świat jest tylko skrzynką pełną roztańczonych złudzeń, a wyobrażenie o tym, co ważne, nie przekracza granic własnej korzyści.

Somraj kiwa głową. No cóż, w Khaufpurze mieszka wielu podobnych ludzi.

- Dryfowaliśmy w stronę miejsca, w którym nie chciałam się znaleźć. Mogłam przewidzieć weekendy spędzane na grze w golfa i wieczory w towarzystwie żon pracowników firmy. Te wszystkie znienawidzone, bzdurne rozrywki klasy średniej. Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Czułam, że marnuję życie. Gdyby moje małżeństwo pod innymi względami było lepsze, może bardziej bym się starała je ratować. Bo przyznaję ze wstydem, że tego nie zrobiłam.

Ćmy krążą z furkotem wokół lampy stojącej między nimi dwojgiem. Somraj milczy, zamyślony, pochylony naprzód jak posąg. Co on wie o małżeństwie, skoro jego własne trwało zaledwie trzy lata?

- Wtedy pomyślałam o przyjeździe do Khaufpuru. Że otworzę klinikę. Dotknę prawdziwego świata. Był to zupełnie nedorzeczny pomysł i sądziłam, że mojemu mężowi na pewno się nie spodoba. Tymczasem on pochwalił mnie za szlachetność. Kiedy zaczęłam brać lekcje hindi, powiedział, że to pięknie mieć takie marzenie.

- Cieszę się, że je miałaś.

Och, panie Somraj, proszę, niech pan nie brnie w ckliwe banały. Lada chwila ci dwoje wezmą się za ręce, a potem - kto wie? Oczywiście po to tu jestem, żeby zobaczyć, co zrobią, dzejmsbondowanie stało się moim trwałym zajęciem. Czy się pocałują? A może nawet będą to robili?

- Chciałabym, żebyś pozwolił mi się zbadać - mówi Elli po chwili milczenia. - Słyszę,

jak kaszlesz w nocy.

- Wiesz, że nie mogę - odpowiada on. - Jak mógłbym korzystać z twojej pomocy, gdy inni wciąż nie mają do niej dostępu?

- Więc nakłoń ich do przyjścia, przekonaj Zafara.

- Bądź cierpliwa, Elli - mówi Somraj. - Pewnego dnia przyjdą.

- To samo powiedział mi Zahreel Khan - zauważa Elli. - Jemu nie uwierzyłam, ale jakoś wierzę, gdy słyszę to od ciebie.

Znowu zbliża się chwila, na którą czekam. Noc pograżyła Khaufpur w zaćmieniu, poza niewielkim kręgiem światła lampy rozpościera się głębina nieba z gwiazdami. Somraj w białej szacie wygląda jak bezgłowy duch - jego ciemna twarz i włosy zniknęły.

- Czujesz zapach kwiatów? - pyta, przerywając ciszę.

- Jaśminu? - Wydaje się, że obydwójce z ulgą zmieniają temat.

- To nie jest zwykły jaśmin - odpowiada Somraj. - To *raat-ki-rani*, co oznacza „królowa nocy”, najwonnejszy z jaśminów.

- Niewątpliwie rosną szybko. Pędy wspięły się już wysoko na mangowiec.

Spoglądają w moją stronę, omal nie umieram ze strachu.

- Kocham ten zapach - wyznaje Elli. - Przypomina mi jaśminy, które posadziła moja mama koło naszego domku pod lasem. Ta woń jest olśniewająco biała, podczas gdy paczuli jest ciemnoczerwona. Czy myślałeś kiedyś w ten sposób o zapachach?

- To upajające - odpowiada Somraj. - Jak kobiecy głos, który śpiewa wysoko i słodko. Czysty głos, choć nuty są ziarniste, rozproszone, połyskliwe.

Ponownie zapada milczenie. Zdaje mi się, że gadają tylko po to, by nastąpiły te chwile bez słów, kiedy być może pojawiają się myśli, których język nie śmie wypowiedzieć.

- Twardo postanowiłam, że zaczniesz znowu śpiewać - odzywa się Elli.

No, teraz ma przechłapanie. Poruszyła zakazany temat, o czym nie wolno nigdy wspominać.

- Niestety, nie przypuszczam. - Głos Somraja, ku memu zdumieniu, brzmi równie łagodnie jak przedtem. - Oddech śpiewaka nie jest zwyczajnym oddechem. Mój ojciec potrafił nabrać powietrza, zatrzymać je na dwie minuty, a potem wypuszczać płynnie przez minutę. Na początku nie umiałem tego zrobić, uczyłem się wolno. Wciągałem głęboko powietrze, po czym recytowałem wierszyk na wdechu. Musiałem go wygłaszać powoli i wyraźnie. Kiedy się już tego nauczyłem, dostałem dłuższy wiersz, później jeszcze dłuższy. Trwało to długo, ojciec się niecierpliwił i powtarzał: „Jaka szkoda, że nie można rozpuścić oddechu w wodzie i podać ci go w szklance”.

- Kto wie, co można by zrobić?! - wykrzykuje Elli. - Nie pozwolę ci się poddać.

- Oddech jest wszystkim - odpowiada Somraj. - *Sa* da się wyśpiewać na tyle sposobów, ile istnieje metod oddychania. W wypadku śpiewaka oddech umożliwia życie nie tylko ciału, ale i duszy.

To jest ta chwila! Elli pochyla się ku niemu, złote światło lampy obrysowuje jej twarz. W jej myślach wychwytyję pewien zamęt, teraz wszystko zależy od Somraja. Czy widzi, jakie wrażenie wywiera na tej kobiecie, czy zdaje sobie sprawę, jak ona działa na niego? Na pewno zmniejszy się ta mroczna luka między ich głowami, zbliżą się do siebie tak, że już nie będą mieli wyboru. Wtedy wszystko może się zdarzyć, pocałunek, pieszczoty, więcej, zrzucane ubrania, on na niej w łóżku, och, wyobrażam sobie jej jasne ramiona na tle jego ciemnej skóry, ale luka nie maleje. Somraj trwa nieruchomo jak posąg, Elli odchyła się na oparcie krzesła, a ja, który wyobrażałem sobie różne rzeczy, mam nerwy w strzępach, *aiiee, que j'ai vachement envie de tringler*, jak mawiają w ludzkim języku.

Jest późno, gdy kończą rozmowę. Somraj wstaje, gotów do odejścia, a ona odprowadza go na dół. Po kilku minutach wraca w nocnej bieliźnie. Wchodzi do łóżka, starannie zaciąga wokół siebie moskitierę, ale ma chyba trudności z zaśnięciem. Przewraca się z boku na bok, nie może się ułożyć.

Nadeszła chwila wyzwolenia dla mojego obolałego potwora. Zerkam na niego w mroku. Co za nieubłagane monstrum! Nie daje mi spokoju, bez przerwy domaga się swego, jest gorący w dotyku i tępy, napęczniały jak owoc chlebowca. Mój wredny lund chce być wycelowany w Elli, bo bestia myśli, że w ten magiczny sposób naznaczy ją jako swoją zdobycz. Ale kto tu w końcu rządzi? Kieruję pojebańca w inną stronę. Wielkie émy fruują między gałęziami. Przychodzi mi na myśl, że może przypadkiem zestrzele którąś. Co za okropna śmierć.

Tej samej nocy Zafar zachorował. Zwiększenie dawki stanowiło poważne ryzyko. Dla niego, nie dla mnie. Biedak czuł się potwornie. Nisha powiedziała mi, że kiedy ojciec siedział u Elli, Zafarowi zrobiło się sucho w ustach, skarżył się, że pełzają po nim robaki. Potem rytm jego serca zaczął się zamazywać jak szybka solówka wybijana przez grającego na bębenkach *tablo*. Zupełnie nie był w stanie prowadzić motocykla. Gdy Somraj wrócił do domu, zastał Zafara bełkoczącego w malignie. Chciał wezwać Elli, lecz Nisha się sprzeciwiła. Serce Zafara w końcu zwolniło do normalnego tempa. Położyli go do łóżka i Nisha przesiadła przy nim prawie całą noc.

Cały następny dzień Zafar przesypia, pod wieczór czuje się trochę lepiej i opowiada

nam sen, w którym frunie nad Khaufpurem, siedząc na łodydze jakiejś rośliny, a gdy unosi się ponad chmury, podlatuje do niego wrona i pyta, czy ma czas. „Obawiam się, że nie” - odpowiada Zafar najuprzejmiejszym tonem (jakie to denerwujące, że prezentuje doskonałe manieri nawet wobec takiego bezwartościowego ptaka jak wrona). „Wydajesz się przyzwoitym facetem”, zauważa chytrooki ptasi gównojad, „więc spełnię trzy twoje życzenia”. W mgnieniu oka Zafar wyłuszcza, czego najbardziej pragnie jego serce: „Kampani musi wrócić do Khaufpuru, usunąć trucizny z fabryki oraz oczyścić zatrutą glebę i wodę. Musi zapłacić za dobrą opiekę medyczną dla tysięcy ludzi, których zdrowie zostało zniszczone. Przekazać rekompensatę wystarczającą na więcej niż filiżanka herbaty dziennie, a prócz tego szefowie firmy mają przyjechać tutaj i wysłuchać zarzutów, których tak długo unikali, gdyż wówczas proces sądowy dobiegnie końca”. „Hola, nie tak prędko”, mówi wrona. „Ja tu słyszę co najmniej siedem życzeń”. A Zafar na to: „Wszystkie biorą się z jednego życzenia, żeby zwyciężyła prosta, naturalna sprawiedliwość”. Wrona zanosi się kraczącym śmiechem. „Co za głupiec z ciebie”, chichocze, „żeby myśleć, że sprawiedliwość jest prosta albo naturalna. Dlaczego twoim zdaniem prawnicy w biurze zarządcy okręgu noszą śmieszne peruki i kołnierze? Gdyby sprawiedliwość była prosta, po co im by były te wymyślne przebrania? I dlaczego tak drogo sobie liczą? Gdyby istniało coś takiego jak naturalna sprawiedliwość, czy nie miałbyś do niej prawa, nawet jeśli nie masz czym zapłacić?”. „Masz niewątpliwie słuszność”, przyznaje Zafar, „ale życzenie, nawet niemądre, to jednak życzenie, a ja wyraziłem pierwsze”. Na to wrona: „Spełnienie nieziszczalnego życzenia jest jeszcze głupsze niż samo życzenie. Jak brzmi drugie?”. Zafar odpowiada bez wahania: „Moi pobratymcy to najbiedniejsi ludzie na tej planecie, a ci, z którymi walczymy, należą do najbogatszych. My nie mamy nic, oni mają wszystko. Po naszej stronie znajdziesz głód, po ich stronie - zachłanność, która prowadzi tylko do większej zachłanności. Nasi ludzie są tak ubodzy, że trzydzieści trzy tysiące razem wziętych nie mogłoby wynająć jednego amerykańskiego prawnika, podczas gdy Kampani stać na trzydzieści trzy tysiące prawników. Więc moje drugie życzenie jest takie, żebyś powróciła do pierwszego i uczyniła nieziszczalne ziszczalnym”. „Nieziszczalne ziszczalnym?” - kracze wrona. „To jeszcze głupsze niż pierwsze. A trzecie?”. Zafar długo się zastanawia, aż wreszcie odpowiada: „Chciałbym ujrzyć twarz mojego wroga”. „Więc popatrz”, mówi ptak.

Zafar spogląda w dół i widzi siebie, drobną postać stojącą samotnie na brzegu morza, które rozciąga się aż po kraniec świata, połyskujący jak neonowa reklama. Ponad horyzontem wyrastają wieżowce wielkiego miasta. Rosną coraz wyżej, wypychając ponad siebie ocean. Potężne budynki wyglądają jak kły na świńskim ryju. Jeden góruje nad wszystkimi, ponury,

bez okien, z szarego betonu. Powietrze wokół Zafara zaczyna pulsować fioletowozielonym światłem, w jego wnętrznościach rozpala się dziki płomień. Ogień zaczyna go pochłaniać, zaćmiewa mu się wzrok, z trudem dostrzega jakiś ogromny obiekt.

Wrona oznajmia: „Spójrz, oto Kampani. Na dachu siedzą żołnierze z karabinami. Dół patrolują opancerzone pojazdy. Powyżej przelatują odrzutowce, zostawiając skrzyżowane ślady, a w piwnicach są bunkry pełne bomb atomowych. Z tego budynku Kampani kontroluje fabryki na całym świecie. Jest to dom wypchany banknotami, tam się oblicza bogactwo firmy. Jedno piętro zostało zarezerwowane dla trzydziestu trzech tysięcy prawników Kampani. Drugie dla lekarzy wykonujących badania w celu udowodnienia, że liczne wypadki związane z Kampani nie wyrządziły nikomu krzywdy. Na kolejnym inżynierowie projektują tanie urządzenia, które łatwo zmontować i posługiwać się nimi. Piętro wyżej chemicy eksperymentują z truciznami, mieszają je i sprawdzają, która najskuteczniej zabija. W innym znów miejscu rozmaite żywe istoty czekają w klatkach na śmierć. Nad chemikami siedzą ci, co sprzedają trucizny, używając takich sloganów, jak: »PODAJ RĘKĘ PRZYSZŁOŚCI« oraz »NAS TO NAJBARDZIEJ OBCHODZI«, a jeszcze wyżej tysiąc doradców do spraw public relations, którzy mają za zadanie zajmować się protestującymi, takimi jak Zafar, czyli ślepyimi na zalety Kampani i rozdającymi ulotki ze złośliwym hasłem »NAS TO NIC NIE OBCHODZI«. Ludzie od PR tłumaczą światu, jak dobrą, troskliwą i odpowiedzialną firmą jest Kampani. Na najwyższym, dyrektorskim piętrze zarząd Kampani wydaje przyjęcie dla przyjaciół. Są tam generałowie i sędziowie, senatorowie, prezydenci i premierzy, szejkwowie naftowi, właściciele gazet, gwiazdy filmowe, szefowie policji, mafijni bossowie, członkowie bliżej nieznanym rodzin królewskich i tak dalej, i tak dalej”. Wrona milknie, by nabrać tchu po tej długiej przemowie. Skrzydła niemal muskają twarz Zafara i przesłaniają światło.

Widząc siebie tam, w dole, samotnego, Zafar wpada w rozpacz, bo niezależnie od tego, jak długo by się starał i jak ciężko pracował, czy mógłby pokonać takiego nieprzyjaciela? „Nie takie było moje życzenie”, mówi. „Pragnąłem ujrzeć twarz mego wroga”. „Po raz trzeci wyraziłeś życzenie nieziszczalne”, odpowiada wrona. „Kampani nie ma twarzy”.

Odlatuje i znika w oddali, a Zafar zaczyna spadać spod nieba. Spadając, widzi Indie rozpościerające się w dole, wszystkie pola i lasy, słyszy własny głos, krzyczący: *Agar firdaus bar roo-e zameen ast, hameen ast-o hameen ast-o hameen ast*, i przypomina sobie, że nie jest całkiem bezbronny, posiada niezachwianą, niezwyciężoną moc zera. Przeciw temu *que dalie*, niczemu, nulowi, *rien de tout* całe bogactwo Kampani nie ma szans. W jednej chwili pojedyncze desenie kraju łączą się we wzory, jakie wplatają w dywany Yar-yilaqi i inni, od

Kabulu po Kurdystan. Zafar, zachwycając się przepyszными barwami i kształtami, myśli: „Na Boga, w którego nie wierzę, gdybym to zapamiętał, zostałbym tkaczem dywanów pierwszej klasy”.

Wreszcie zapada w głęboki sen, który trwa prawie dobę. Kiedy się budzi, nic go nie boli, ale w jego głowie panuje zamęt i tylko jedna myśl wiruje bezustannie: „Jestem ślepy jak kret, mam fioła, czerwony jak burak, napalony jak zając, wyschnięty na wiór, kiszki i pęcherz skamieniały, tylko serce rytm wybija stały”.

- Faqri, ty kutafonie, czego dodałeś do tych pigułek?

Po śnie Zafara, który wszyscy przyjmują z nabożnym podziwem jak każde jego słowo, choć tak naprawdę były to stare mantry powtarzane od lat i utarte na jednolitą papkę w wielkim narkotycznym *nasha*, nie mam wyboru i przestaję podawać mu lekarstwo.

- Tajemnica handlowa - informuje mnie Faqri.

- Nie wciskaj mi kitu. - Tajemnica handlowa to w Khaufpurze przedmiot drwin. Takiego określenia używali po tamtej nocy przedstawiciele Kampani, gdy lekarze prosili o informacje na temat toksycznych substancji szerzących spustoszenie w mieście. - Co jest w tych pigułkach?

Rozważa, czy mi powiedzieć, lecz to długo trwa i żeby go ponaglić, pochylam się i wbijam zęby w jego łydkę.

- Kurwa mać! - wykrzykuje, odskakując gwałtownie. - Jesteś pieprzonym dzikusiem, słowo daję.

- Co w nich jest?

Masuje nogę z miną człowieka boleśnie zranionego.

- Mam to zrobić jeszcze raz?

- Nie, odpierdol się ode mnie.

- No więc, co do nich dodałeś?

- Bieleń.

- Bieleń? - Nie jestem pewien, czy dobrze usłyszałem.

- Aha - potakuje. - Miałem trochę w zapasie. Stosuję go przy sporządzaniu leków, sam wiesz, jak jest w Khaufpurze z astmą... - Zawiesza głos, widząc wyraz mojej twarzy. - Światowa stolica zjechanych płuc.

- Ty głupi dupku.

- Przecież działają, no nie? - rzuca Faqri.

- Działają? Ty idioto, chciałem go tylko osłabić, a nie zamordować.

- To zależy od dawki - upiera się Faqri. - Ale mam pewną propozycję. Przestań dawać pigułki Zafarowi, sam zacznij je zażywać, bo wydaje mi się, że prawdziwym problemem jest tutaj twój sławetny lund.

Pieprzony Faqri. Ten skurwysyn ma rację, przez cały dzień nie myślałem o niczym innym, tylko o seksie. To wszystko, czego pragnę. Chcę się pierdolić. Każdy to robi, więc czemu nie ja? Cały świat pieprzy się ile wlezie, dzień i noc, dlaczego ja jeden nie biorę w tym udziału? Dlaczego ja również nie miałbym zaznać tej przyjemności? Mój potwór boleśnie jej potrzebuje, to znaczy prawdziwej przyjemności, pośliniona dłoń to nie to samo. Boli mnie, kiedy ludzie napomykają, nigdy nie mówią mi tego prosto w oczy, że powinienem pogodzić się z losem, że żadna kobieta mnie nie zechce. Przyznaj, Oczy, ty również tak myślisz. Dlaczego któraś nie miałaby mnie zapragnąć, a nawet pokochać? Nisha mnie kocha, no dobrze, nie tak, jak bym chciał, ale pokocha tak, gdy będę miał prosty grzbiet. Właśnie dlatego nienawidzę Zafara, nawet chorego. Mógłby zdobyć każdą dziewczynę, ale wziął sobie tę jedną jedyną, która traktuje mnie jak kogoś normalnego, bo przecież, na Boga, jestem normalny, co pewnego dnia udowodnię, zagłębiając tego mojego w żywej kobiecie. Przeszyję ją i otworzę, aż mój kutas dotknie jej serca, a ona zacznie wykrzykiwać moje imię: „Zwierzaku! Zwierzaku! Zwierzaku!” - i będę spijał słodycz życia z jej ust.

Odkąd uratował mi życie, Farouq zachowuje się, jakby był moim najlepszym kumplem. Na jego skinienie muszę z nim jeść, pić *chai*, włóczyć się po mieście. Mamy zapomnieć o dawnych sporach i zostać przyjaciółmi - co za potworna myśl. W dniu święta Holi, niecały tydzień po przejściu przez ogień, znajduję się w jego mieszkaniu niedaleko bramy Ajmeri, gdzie żyje większość Yar-yilaqich. To jedyne miejsce w Khaufpurze, w którym na ulicy zawsze stoją wielbłądy. Farouq mówi do mnie:

- Zwierzaku, *Khā*, dzisiaj są twoje urodziny.

To nieprawda. Nie wiem, którego dnia się urodziłem, tylko że stało się to tuż przed tamtą nocą. Kiedy byłem mały i przejmowałem się takimi sprawami jak urodziny, nie było nikogo, kto by mi życzył szczęścia, więc udawałem, że procesje z pochodniami i śpiewami odbywają się na moją cześć, a palenie podobizny szefa Kampani było dla mnie frajdą, bo ten potwór zamordował moich rodziców.

- Tak czy inaczej, to są twoje urodziny - upiera się Farouq, wysłuchawszy tego wszystkiego. Uśmiecha się dziwnie. - Muszą być, Zwierzaku, mój przyjacielu, bo mam dla ciebie prezent.

- Jaki? - Jestem zaskoczony, lecz także zaintrygowany. Zazwyczaj dostaję tylko te

prezenty, które sam sobie ukradnę.

- Niespodzianka. Coś, co ci się bardzo spodoba.

Oczywiście staję się podejrzliwy. Nie przypuszczam, by Farouq miał mi do zaoferowania coś, co mi się spodoba. Ogląda mnie uważnie.

- Nie masz żadnego ubrania prócz tych ohydnych szortów?

- Co cię to obchodzi?

- Chcę cię zabrać w pewne szczególne miejsce.

- Dokąd?

- Sprawi ci to przyjemność. Wielką przyjemność. Możesz mi wierzyć. - Dziwny uśmiech rozciąga jego twarz jak maskę.

- Wierzyć tobie? Co ja jestem, zupełny matoł? - przemawiam takim tonem, jakby nie mnie to nie obchodziło, ale naprawdę zaciekał mnie. - Jaką przyjemność?

- Jeśli ci powiem, to nie będzie niespodzianka - odpowiada on. - A to powinna być niespodzianka. Na tym właśnie rzecz polega.

- Nie byłoby niespodzianki, gdybyś mi teraz powiedział?

- Nie, nie - zapewnia. - To by wszystko popsulo. Zapomnijmy o tym.

- Dobrze. - Za nic nie zamierzam okazać rozczarowania.

- Szkoda. Podobałoby ci się - mówi *salaud*. - Zawsze tego pragnęłaś. Gdy się dowiesz, o co chodziło, będziesz pluł sobie w brodę.

Nie odpowiadam i siedzimy w milczeniu, słuchając tych, którzy świętują Holi na ulicach. Po chwili Farouq znowu się odzywa:

- Pamiętasz, jak omal nie zginąłeś, a ja ocaliłem cię od ognia?

- Nigdy tego nie zapomnę, bo mi nie pozwolisz.

- Nie bądź taki. Zacząłem myśleć o tobie i zrobiło mi się ciębie żal. Nie masz szans zdobyć dziewczyny ani nawet sobie pofiglować.

- Martw się o siebie - odpowiadam, ale on tylko wzrusza ramionami.

- Nie udawaj, że bez przerwy o tym nie myślisz.

Skurwysyn ma słuszność. Jest wiosna, jaja robią się ciężkie, a kutas staje na baczność jak pijany żołnierz i saltuje każdej napotkanej kobiecie. O tej porze roku, kiedy wszystko, co męskie, chce uprawiać *ghuss-puss*, kiedy Somraj robi słodkie oczy do Elli, Zafar prawdopodobnie dogadza sobie niezależnie od pigulek, tylko ja nie zaznaję żadnej satysfakcji.

- Widuję mnóstwo dziewczyn, mogę się z nimi rznąć, kiedy tylko chcę. - Co za żenujące kłamstwa. Widuję często Elli i Niszę, acz bez ich wiedzy. Chciałbym to zrobić z Niszą, ale mógłbym i z Elli. Szczerze mówiąc, zrobiłbym to z kimkolwiek.

- Bzdury - rzuca Farouq. - Nigdy się nie pieprzyłeś.

- Jasne, że tak. Wiele razy. Pewnie więcej niż ty.

- No, no - kwituje - a ja myślałem, że grasz solo na flecie. - Siedzi i gapi się na mnie.

Na twarz wraca mu głupawy uśmiech. Potem dodaje: - Zwierzaku, *yaar*, napijmy się *bhangu*.

- Fajnie - mówię, zadowolony ze zmiany tematu. - Nareszcie jakiś dobry pomysł.

Farouq idzie po swój rower. Wdrapuję się na bagażnik i jedziemy do rządowego sklepu w New Market, gdzie sprzedają haszysz w kulkach, po dziesięć rupii za cztery sztuki. Jest święto Holi i ulice toną w kolorowych chmurach. Każdy stragan na bazarze wystawia koszyki z żółtym, różowym, pomarańczowym, niebieskim barwnikiem. Chmury proszku unoszą się wszędzie. Uderzają w nas tęczowe strugi. Farouq woła przez ramię:

- Hej, Zwierzaku, później możemy wyskoczyć sobie na panienki!

Powinienem wyjaśnić, Oczy, że Holi to taki czas, kiedy mężczyźni uznają, iż wszystko im wolno: przystawiać się, oblewać dziewczynę, aż jej bluzka oblepi ciało, obmacywać jej kobiece fragmenty, a ona nie może się sprzeciwić. Dlatego wiele dziewcząt zostaje wtedy w domach i zamyka drzwi na klucz, przynajmniej u nas, w Khaufpurze. Nie wiem, jak to się odbywa w Bombaju czy Nowym Jorku.

Wracamy chwiejnie do jego mieszkania, pokryci niebieskimi, fioletowymi i zielonymi smugami. Kulki haszyszu przypominają małe okrągłe grudki przeżuwane przez krowy. Mieszmamy je z mlekiem, dosypujemy cukru, a także, ponieważ to Khaufpur, szczyptę soli. Już po chwili dryfuję na wysokości około dwudziestu metrów nad własną głową. Och, jak ja frunę. *Bhang* jedzie naprzód z rykiem silnika, jest bardzo mocny, pewnie z nasion opryskanych przez węża. Oczy, jeśli kiedykolwiek zechcesz spróbować tego napitku, uważaj, bo może ci zaczepić wątrobę o brwi i wtopić palce stóp w oczodoły. Niewykluczone też, że przynosi erotyczne odczucia, bo nie potrafię przestać myśleć o seksie i przypominam sobie wszystko, co widziałem z drzew, mangowca i uroczynu. Mój potwór się porusza, nabrzmiwa, unosi tępy ryj i węszy w powietrzu. To chyba przez tę porę roku czy co, ten mój kłopotliwy fallus zaczyna być rzetelnie pobudzony.

Z zapomnianej przeszłości dobiega głos:

- Uuff! *Baap re!* Nie celuj tym we mnie. - To Farouq gapi się na moje kakadówki.

Bracie, *nasha* nie pozostawia miejsca na zakłopotanie.

- Jesteś zazdrosny - chichoczę, aż się skręcam. - Dałbyś się zabić, żeby mieć takiego jak mój.

- Czy można zazdrościć komuś, kto nigdy nie miał dziewczyny?

- Jasne, że miałem. - Mój głos brzmi tak, jakby dobiegał z jakiegoś odległego kraju.

- Łgarstwo w stylu Kampani - mówi Farouq, mając na myśli to, że powtarzana bez końca nieprawda nie staje się jednak prawdą. Po pewnym czasie, długim albo krótkim, nie wiem, pyta: - No więc, który dom byś wybrał?

- Dom? - *Nasha* sprawia, że każde słowo wibruje setką znaczeń.

- Z tego typu domów.

Każde znaczenie ma sto niuansów.

- Laxmi Talkies.

- Aha! - Chodzi mu o *les sordides maisons de passe*, których jest sporo w okolicach kina.

- Nigdy tam nie byłeś. Łzesz, ty pieprzony szmaciarzu - rzuca Farouq. - No to teraz chodźmy. Do Laxmi Talkies. Użyjesz sobie z jakąś wyuzdaną dziwką o cymbałach jak słoje miodu.

- Nie mówiłbyś tak przy Zafarze.

- Ale go tu nie ma. Chodź, zapłacę za ciebie.

- Dlaczego?

- Dla zabawy. No, rusz się, masz wyjątkową okazję, żeby wreszcie to zrobić.

- Mogę to zrobić, kiedy zechcę.

- Łgarstwo w stylu Kampani - powtarza ze śmiechem. - Chodź. Twój pierwszy raz. Czujesz się dobrze. No, idziemy.

- A co ty z tego będziesz miał?

- Frajdę, że uszczęśliwiłem przyjaciela.

Następnie oznajmia, że od dawna planował tę wielką niespodziankę. A dzisiaj, jeszcze tej nocy, ziści się moje największe marzenie. Przelecę dziewczynę.

Potem wszystko się trochę zamazuje. W pewnym momencie Farouq i ja odbywamy długą wyprawę rowerową przez szurum-burum święta Holi, wśród strug zabarwionej wody i chmur pyłu. On pedałuje, ja balansuję na bagażniku. Okrążamy mury starego miasta, przemykamy tam i z powrotem przez bramę Pir, na której wypisano przesłanie, że Abdul Saliq krzyczy do ludzi o brudnych duszach, by się od niego odpierdolili i zdechli. Pijemy *chai* w RTI i patrzymy, jak kręci się świat.

Jest wieczór, ludzie wylegli tłumnie na ulice, na wózkach z owocami i straganach z odzieżą płoną jasno lampki. Bazar faluje od świateł i kolorów, a fragmenty rozmów nad moją głową składają się razem w wielkie i odkrywcze prawdy. Ale prawda jest jedna: *nasha* się pogłębia. Nie jest to upojenie alkoholowe, lecz stan, który otwiera świadomość, ukazuje wewnętrzną naturę rzeczy. Wystarczy mi spojrzeć na przechodniów, by poznać ich dusze.

Twarz jednego zdradza wszystkie samolubne postęпки, mówi o pieniądzech, które wchłonał, i udręczonych ludzkich bytach. Nie ma tu miłosierdzia ani współczucia, tylko twardoszczykie przekonanie o własnej nieomyślności. W ten sposób niegodziwcy ukrywają swoje występne uczynki. Oto kobieta, w której oczach toną mężczyźni, a gdy spogląda w lustro, są tam wszyscy i patrzą na nią. Ten znowu gnojek jest przekonany, że nikt go nie kocha, więc sam z kolei pomiata kobietą, która wlecze się u jego boku. I kim jest ten bufon, który uśmiecha się szyderczo i wyniośle znad swego brzuszyska? Pieprzyć go, ma kutasa nie większego niż zgniła marchewka. Są też dobre twarze, tam, w tłumie, lecz na wielu widać wyraz tak częsty u khaufpurczyków: zmęczenie, chorobę, bezradność. Te twarze odpływają i rozwiewają się jak skupiska chmur. W moim polu widzenia pojawia się dziewczyna, której włosy przesłaniają jedno oko, a potem druga, słodka jak bombonierka.

- *Wah, wah* - odzywa się mój zapomniany towarzysz. - Ona mogłaby się nadać.

Rozglądam się zaskoczony. Kto to mówi?

Farouq siedzi w pobliżu z lubieżnym grymasem rozmiaru bramy Pir rozmazanym na twarzy. Badając jego wnętrze, napotykam coś, czego się nie spodziewałem, czyli strach. Co takiego? Mój rozbrykany dręczyciel się boi? Zwykłą nienawiść do Farouqa zastępuje łagodna pogarda. Co za pizduś. Zdemaskowany przez własną pychę i brawurę po wypiciu *bhangu*. Zaczynamy sprośną zabawę, polegającą na taksowaniu i komentowaniu wyglądu każdej przechodzącej kobiety, niezależnie od wieku i pozycji społecznej. Drepcząca kaczym krokiem matrona, która musi opasać potężne biodra co najmniej dwoma sari?

- Nie ma mowy, *yaar*.

Skromna gospodyni domowa z małym dzieckiem?

- Całkiem niezła.

I tak dalej:

- Do niczego.

- Zdecydowanie.

- Nie da rady.

Mętnie przypominam sobie Farouqa wtykającego mi w dłoń kolejną szklanekę z napojem, wypilem duszkiem, jakbym chciał zaspokoić pragnienie całego świata. Pluję w matczyne mleko czasu, który, jak przypuszczam, przemija. Skąd można to wiedzieć?

Słyszac wewnątrz głowy stukanie, otwieram drzwi, za którymi znajduje się pokój, a w nim długi stół z ciemnego drewna, gładkiego jak szkło. Słój z Khā balansuje na własnym odwróconym odbiciu.

- Czekałem na odpowiednią chwilę - mówi Khã - żeby ci przypomnieć o twojej obietnicy. Panie i panowie, przywitajcie się z naszym przyjacielem Zwierzakiem.

Na stole stoją jeszcze inne słoje wypełnione płynem, w których unoszą się jakieś drobne kształty. Nie potrafię dostrzec ich rysów.

- Bry wieczór, bry wieczór - odzywają się chórem cienkimi głosami, które brzmią jak dzwonki.

- Zwierzaku, poznaj członków zarządu.

- Jakiego zarządu?

Zauważam, że wszystkie te dzieci w butlach są poważnie zniekształcone. Jedno ma pośrodku czoła wielkie wytrzeszczone oko, drugie - trzy ręce, trzeciemu brakuje nosa i ust.

- Kampani, oczywiście - odpowiada mój przyjaciel takim tonem, jakby tylko dureń mógł zadać podobne pytanie.

To wstrząsająca informacja.

- Więc to wy jesteście tymi wrednymi, chciwymi...

- Nie, ty idioto! - wykrzykuje mój dwugłowy kumpel. - Każdy na tej ziemi nosi w ciele jakąś dawkę trucizn Kampani. Ale my jesteśmy najmłodszymi z ofiar. My, nienarodzeni, zapłaciliśmy najwyższą cenę. Mniejsza o śmierć, jeżeli nigdy nie dostaliśmy nawet najmniejszej pieprzonej szansy, żeby żyć. Dlatego, Zwierzaku *miyañ*, ustanowiliśmy zarząd dysponujący udziałami w zakresie skażeń.

Myślę sobie, że tego przedziwnego obrotu spraw nikt nie mógł przewidzieć, życie jest dziwniejsze niż wszelkie opowieści, a te małe stworzonka w okrągłych butlach z długimi szyjkami, nawet one znalazły jakiś cel w pogmatwanej rzeczywistości.

- Nie tylko nigdy naprawdę nie żyliśmy, ale dopóki tutaj tkwimy, dopóty nigdy nie umrzemy. Teraz rozumiesz, na czym polega nasz problem. Po pewnym czasie dotarło do nas, że Kampani też nigdy nie umrze, więc stworzyliśmy zarząd.

- A czym się konkretnie zajmujecie?

- Naprawiamy wszystko, co zrobili ludzie Kampani. Zamiast stwarzać podwaliny pod nowe fabryki, siejemy trawę i sadzimy drzewa na ruinach starych, zamiast wynajdywania nowych trucizn, szukamy lekarstw na poprzednie trucizny, żeby usunąć skażenia z ziemi, wody i powietrza...

Słyszając to, wybucham śmiechem, i mówię:

- Ulegacie złudzeniom, jeśli myślicie, że uda się wam kiedykolwiek zmienić Kampani. To zbyt wielka i potężna korporacja, nie zginie, będzie działała wiecznie.

W słojach odbywa się jakaś przemiana. Wokół drobnych postaci tych najmłodszych

ofiar zaczyna przeświecać łagodny blask księżyców i gwiazd, pojawiają się symbole sprawiedliwości. Na moich oczach urastają do wielkich rozmiarów i przeobrażają się w jaśniejsze istoty, tak przerażająco piękne, że omal nie padam na twarz, przekonany, iż na pewno mam do czynienia z aniołami.

- Uwolnij nas - powtarza mój przyjaciel - a potem, Zwierzaku, daj odpocząć swojej skołatanej głowie, bo nawet wieczność nie trwa wiecznie.

Wracam do tej rzeczywistości w ciasnym pokoju. Słoneczny blask wdziera mi się pod powieki. Leżę na wąskiej pryczy, tuż przy mnie leży skulona dziewczyna, naga, jak ją matka urodziła. Ciemna skóra jej pleców i tyłka wygląda wstrząsająco, jakby ktoś ją pobił albo jakieś zwierzę porało ją pazurami, ale po chwili dostrzegam grube smugi kolorów. Na jej ciele widzę zdumiewające ślady, pomarańczowe pasy wokół linii żeber. Kim ona jest? Nie mam pojęcia. Oglądam siebie i dokonuję kolejnych odkryć. Przede wszystkim ja też jestem nagi, pomalowany barwami Holi, a prócz tego mój lund nad lundami, który leży gruby i obwisły między mną a dziewczyną, jest gęsto upstrzony niebieskimi plamkami. Co tu się działo, do jasnej cholery?

Nie pamiętam, podpełzam do okna. Na zewnątrz świt wstaje nad Khaufpurem. Tego ranka dociera do nas świeże, chłodne powietrze. Promienie słońca zaledwie muskają dachy domów, a w oddali gołębnice okrążają minarety Taj-ul-masjid. Poniżej, na rogu, odczytuję znak:

L

A

X

M

I

T

A

L

K

I

E

S

Mój Boże, więc Farouq dotrzymał słowa. Jestem w burdelu.

- Oho - odzywa się senny głos. - Jego lordowska mość raczył się obudzić.

Dziewczyna ma otwarte oczy. Wydają się skośne w twarzy upačkanej na zielono. Wygląda tak, jakby zerknęła spomiędzy liści w dżungli.

- Dzień dobry, Zwierzaku. Jak twoja głowa? Pamiętasz ostatnią noc?

Jestem głęboko skonsternowany. Często myślałem o takich domach, ale nigdy się nie ośmieliłem kóregoś odwiedzić. Dziewczyna wpatruje się we mnie.

- Skąd znasz moje imię?

- Udajesz, że mnie nigdy nie widziałeś? Choć tak często gapiłeś się na mnie lubieżnie?

Wtedy sobie uświadamiam, że to Anjali, sympatyczna dziewczyna, która czasami droczyła się ze mną, gdy jeszcze żyłem na ulicy. Trudno ją rozpoznać pod tymi wszystkimi kolorami.

- Co? Straciłeś pamięć? Nie przypominasz sobie, jak tu wszedłeś i wykrzykiwałeś, żeby przepuścić lorda, pana wszystkich stworzeń, a pokażesz nam coś, czegośmy jeszcze nigdy nie oglądały?

- Nie.

- I że posiadziesz każdą dziewczynę w tym domu, gdy twój znajomy już odjechał?

- Gdzie on jest? Odjechał?

Obydwoje jesteśmy nadzy, pomalowani na różne kolory, to bardzo dziwaczna sytuacja.

- Zaraz po tym, jak cię tu wsadził. Nie miej mu za złe. Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś tak nawalonego jak ty. Pamiętasz, w co byłeś ubrany?

Ach, teraz sobie przypominam, głęboki stan *nasha*, świat rozszczepiony na świetliste punkty połączone barwnymi liniami. W zaułku blacharzy niedaleko bramy Pir jestem z Farouqiem. Mimo że zapadła noc i to noc święta Holi, blacharze wykonują swoją robotę, obrabiają metal, wlewają do form surowiec rozżarzony do białości, tak jasno błyszczący, że razi w oczy. Farouq, nie wiadomo dlaczego, nosi ciemne okulary i pyta, czy nie chciałbym ich pożyczyć. Dobry pomysł, teraz łatwiej patrzeć na paleniska. Płoną kolorami, jakby i one świętowały. Zaraz potem Farouq wiesza mi na szyi kobrę. Wiem, że jest zdolny do wszystkiego, ale to już przesada. Odskakuję, wrzeszcząc ze strachu, a ten sukinsyn się śmieje.

- Ty kretynie, to tylko krawat.

Nigdy nie widziałem samego krawata. Skąd miałem wiedzieć, że są takie długie i kształtem przypominają węża z rozłożonym kapturem, jak kobra oplatająca szyję Śiwy? Farouq, chichocząc, zawiązuje mi krawat.

- *Wah*, wyglądasz jak gwiazdor filmowy - mówi, odsuwając się o krok, by mnie podziwiać. - Shah Rukh Khanie, zejdź z drogi, nadchodzi Zwierzak Khan.

Niczego więcej nie pamiętam.

- Wszedłeś z wściekłym rykiem, pijany jak bela - podejmuje Anjali. - Niektóre dziewczyny były przerażone, inne się z ciebie śmiały. Zażądałeś drinka, a potem wylałeś go na podłogę i oznajmiłeś, że nie tkniesz takiego podłego bimbru. Niektóre były za tym, żeby cię wyrzucić, ale madam powiedziała nie, przecież zapłaciłeś, a przynajmniej zrobił to twój znajomy. Zapytały, którą dziewczynę chcesz, a ty odpowiedziałeś: „Moją dawną i bliską przyjaciółkę Anjali”. Trudny z ciebie klient. Madam pyta cię o imię, a ty odpowiadasz ostrym tonem: „Zwierzak!”. Więc ja na to: „Zawsze się przechwalają, ci mężczyźni. Co pan zamierza, panie Zwierzaku, pogryźć mnie?”. „Zrobię to, jeśli będziesz tak się do mnie odzywała”, powiedziałeś, więc złapałam cię za krawat i zaciągnęłam na górę jak psa, a inne dziewczyny się zaśmiewały. Naprawdę nic nie pamiętasz?

Nie pamiętam, lecz dręczy mnie jedno poważne pytanie.

- Przepraszam cię, Anjali, że o to zapytam, ale co się działo, kiedy weszliśmy na górę?

- Co się działo? To także zapomniałeś?

- Proszę, powiedz mi.

To przecież niemożliwe. Jaki nikczemny i złośliwy los podarowałby mi pierwsze w życiu pieprzenie, a potem dokładnie wymazał je z pamięci?

- Czy my... robiliśmy coś?

- W nocy - podejmuje Anjali - nie mogłeś przestać gadać. Opowiadałeś o dawnych czasach, kiedy się znaliśmy, o swoich przyjaciółach. Och, nie rób takiej zmartwionej miny, to było ciekawe. Chętnie słuchałam, pośmialiśmy się razem. Potem się rozkleiłeś, powiedziałeś, że jesteś jedynym zwierzęciem, które nigdy nie znajdzie partnerki, bo nie ma drugiego takiego egzemplarza jak ty, nie ma takiej samicy. Ja ci na to, że nic dziwnego, widzisz, jak wyglądasz? Wygięty w łuk jak tęcza. Więc wpadłam na ten pomysł, znalazłam farby z Holi i pomalowaliśmy się nawzajem.

Wsparta na łokciu, sprawia wrażenie, jakby miło jej się ze mną rozmawiało. Widzę jej nagie piersi, kołyszące się tuż przy mojej twarzy.

- Więc do niczego między nami nie doszło?

- Skarbie, nie patrz tak na mnie, jakby to była moja wina.

- Doszło czy nie?

- Zasnąłeś. - Widząc moje przygnębienie, dodaje: - Aha, czyli chciałeś tego? Zastanawiałam się, czy twój znajomy przypadkiem się z nas nie nabija.

Co mogę powiedzieć? Oczywiście, że tego pragnęłam, i to od dawna, a poza tym kiedyś lubiłem tę dziewczynę. Jest niemal ładna. Ma twarz poznaczoną dziobami po ospie, co

tu, w Khaufpurze, nazywamy *naqshin katora*, złobiona miska, ale uśmiecha się do mnie przyjaźnie, no i jest naga, nigdy nie znajdowałem się tak blisko nagiej kobiety.

Chyba odgadła, co mi chodzi po głowie, bo jej twarz nabiera figlarnego wyrazu.

- Oho - mówi - więc mimo wszystko chcesz tego? Od rana obowiązuje nowy cennik, masz pieniądze? Pokaż.

- Nie mam.

Wybuchła śmiechem.

- Żartowałam. Twój kolega zapłacił, należy ci się jeszcze usługa. Mogłam cię wyrzucić za drzwi, ale wiesz co, Zwierzaku, zawsze cię lubiłam i ciekawiło mnie, jak by to było przespać się z tobą. Zanim jeszcze zobaczyłam tę rzecz, z którą się obnosisz.

- Proszę cię, wprawiasz mnie w zakłopotanie - mamroczę, co jeszcze bardziej ją rozśmiesza.

- *Wah*, posłuchajcie tylko tego dżentelmena. W takim miejscu jak to zachciało mu się popisywać swoimi dwornymi manierami, prosto z Lucknow. No to jak, chcesz czy nie?

- Jasne, że chcę.

- Więc na co czekasz? O rety! - Nagle do niej dociera. - Ty jeszcze nigdy tego nie robiłeś. To twój pierwszy raz. - Śmieje się ze mnie.

- Nieważne - mówię, boli mnie głowa. Nagi, pomazany farbami, próbuję odzyskać choć odrobinę godności.

- Nie bądź taki - odpowiada. - Pokażę ci, co robić. Popatrz. Możesz mnie dotknąć, jeśli tylko chcesz. O tak, tutaj. A ja mogę dotknąć ciebie. Gdybyśmy się tak ułożyli, ja tutaj, a ty tam...

Tak, chciałbym jej dotknąć. Wyciągam rękę, ale w ostatniej chwili się waham. Anjali ujmuje ją i kładzie na ciepłej, jędrnej piersi, sutek łaskocze moją dłoń.

- Weź więcej. - Podsuwa mi drugą pierś. - Chcesz je całować? Lizać? Albo ssać? Możesz nawet gryźć, byle delikatnie.

- Chciałem tylko dotknąć. Poczuć, jak to jest.

Wreszcie zabieram rękę z jej piersi. Nie ruszam się, a chwilę później Anjali zaczyna głaskać mnie po plecach.

- Górna połowa twojego ciała jest taka silna i piękna. Masz wspaniałą klatkę piersiową, mocne ramiona. I przystojną twarz. A ten twój... - Wyciąga ręką i chwyta mojego ociężałego potwora. - Gdyby reszta ciebie pasowała do tego, mógłbyś ożenić się z księżniczką.

I zaczyna robić rzeczy, których nie chcę opisywać, Oczywiście, nie ma zresztą takiej

konieczności. Niech ci wystarczy informacja, że właśnie teraz, kiedy w końcu mogę spełnić marzenia, zaznać rozkoszy, której tak długo pragnąłem, wiesz, co się dzieje? Mój wielki, chępliwy, nieposkromiony lund nie chce się obudzić. Głęboko śpi albo kuli się ze strachu.

- Nie przejmuj się - mówi dziewczyna. - Nasze życie, skarbie, twoje i moje, to tragedia. Chodź no tutaj.

Przytula mnie, co bardzo mi się podoba. Leżymy sobie razem, dwa stworzenia w kolorach tęczy, przytuleni do siebie w świetle brzasku, w ciasnym pokoiku.

- Anjali, naprawdę mnie lubiłaś? Przedtem?

- Tak, lubiłam.

- Ale dlaczego?

Łóżko jest wąskie, nasze ciała się stykają. Moja ręka muska jej bok, zsuwa się aż do miejsca, gdzie ciało zwęża się w talii, a potem wspina wzdłuż krzywizny biodra.

- Obydwoje wylądowaliśmy w gównie - wspomina Anjali - ale ty zawsze się śmiałaś. Więc i ja się śmiałam.

Ma smutną twarz. Uświadamiam sobie, że pewnie nie jest starsza ode mnie.

- Jak to się stało, że prowadzisz takie życie?

Jej historia brzmi tak samo jak wiele innych. Poszła na pole koło swojej wioski ścinać trawę. Zjawiła się jakaś kobieta i dwóch mężczyzn, którzy zawieźli ją do Lucknow i umieścili w *kotha*.

- To tam nauczyłam się fachu. Stamtąd przywieziono mnie tutaj. Nie mogę uciec, muszę już tak żyć.

- Twój głos brzmi tak, jakbyś tego nienawidziła.

- Czego tu nienawidzić? To automatyczne, jak *namasté*. Rozbierasz się, zamykasz oczy, a potem, cóż mam powiedzieć, czas upływa.

- Chcesz się stąd wynieść? Po prostu wyjdź. Wyjdźmy razem.

- To nie takie łatwe. Nie mam pieniędzy.

- Nie potrzebujesz pieniędzy - przekonuję ją. - Pokażę ci, jak przeżyć bez nich.

- Marzenia - wzdycha gorzko. - Madam zapłaciła za mnie. Myślisz, że pozwoli mi odejść? Jedna dziewczyna próbowała uciec, alfonsi ją złapali, zbili i oblali twarz kwasem.

- Nie martw się. Mam przyjaciół, którzy poradzą sobie z tymi łajdakami.

- Jesteś szalony. Lepiej nawet o tym nie myśleć.

Przez chwilę leżymy w milczeniu, każde pochłonięte własnymi myślami. Wreszcie dziewczyna odzywa się pierwsza:

- Przykro mi, że nie mogłam nic dla ciebie zrobić.

- Jest jedna rzecz, której bym pragnął.

Wyjaśniam szeptem, o co mi chodzi, a ona robi zdumioną minę.

- Tylko tyle?

- Nic więcej, przysięgam.

Posłusznie kładzie się na wznak. To trzecia naga kobieta, jaką oglądam. Jej figura przypomina kształtem butelkę coca-coli. Nogi ma brązowe i pulchne. Kiedy podglądałem Elli i Niszę, widziałem właściwie tylko cienie, nigdy nie przyjrzałem się dobrze. Teraz nareszcie patrzę z bliska, z kilku centymetrów, na tę tajemniczą rzecz, urzekającą ozdobę, o której śniłem, której pożądałem, przez którą się hańbiłem i zachowywałem jak idiota.

Jest ciemna. Jej zewnętrzna część przypomina brzegi dużej muszli kauri, wewnątrz jest bardziej podobna do kwiatu kanny, dwa rozwinięte płatki o niemal czarnych krawędziach, zabarwione na fioletowo jak winogrona. Ich brzegi są też trochę pofałdowane, nie łączą się na dole, a na górze zbiegają się w mały wierzchołek, przywodzący na myśl kobietę w welonie na głowie. To jest to, najpotężniejsza rzecz na świecie, bo wszyscy mężczyźni dostają dla niej świra, cenniejsza niż złoto, gdyż przez nią bogacze tracą fortuny, słodsza niż władza, bo sprawia, że przez nią przywódcy państw ryzykują posady, silniejsza niż honor, bo czyni głupców z szanowanych ludzi. Co to za rzecz? Słowo „rzecz” wydaje się nieodpowiednie, nie wiadomo skąd wskakuje mi do głowy „ozdoba”.

- Możesz dotknąć, jeśli chcesz - mówi Anjali, ale nie chcę dotykać, chcę tylko popatrzeć.

Jej palce rozchylają płatki i pozwalają mi spojrzeć, odsłaniają połyskliwą różową grootę. Jak delikatna jest ta skóra, jak miękka, poznaczona drobnymi żyłkami, jakie widzi się w listkach albo kwiatach. Naprawdę kojarzy mi się z kwiatem, zwłaszcza z hibiskusem, u którego podstawy wyrasta rurka napelnięta płynem. Można go zerwać i ssać, jest słodki jak miód. Anjali pokazuje mi, jak różowa grota prowadzi do tunelu, który najpierw był zamknięty. Tą drogą można dotrzeć do łona, gdzie poczyna się życie, gdzie ja sam się począłem, gdzie poczęliśmy się wszyscy. Usiłuję wyobrazić sobie łono i uświadamiam sobie, że to pusta przestrzeń, co oznacza nicość u samego źródła stworzenia. Nic dziwnego, że niektórzy wielbią ten cud kadzidłami, kwiatami i modlitwami. Powiedziałem, że to najpotężniejsza rzecz na świecie, myliłem się, to zjawisko potężniejsze niż świat, ponieważ zawiera cały świat w sobie, plus niebo i piekło na dodatek. W tej głębinie mieści się przeszłość oraz wszystko, co będzie. Myślę o *le pouvoir et la gloire*, o których ciągle opowiada Ma Franci. Siła tego zjawiska sprawia, że bomby atomowe wyglądają jak fajerwerki. Świetność i chwała znalazły sobie miejsce między udami tego dziecka,

posiniaczonymi przez lędźwie pijanych mężczyzn, z których żaden, idę o zakład, nie miał pojęcia, co beczceści.

- Już sobie popatrzyłem, dziękuję.

Rozglądam się za kakadówkami i zbieram do wyjścia.

- Straszne z ciebie dziwadło, Zwierzaku - mówi Anjali. - Daj mi trochę pieniędzy. -

Kiedy odmawiam, dorzuca: - Bezlitosny sukinsyn.

Taśma szesnasta

Ach, powrót do domu po tym dniu i nocy na *bhangu*. Miasto wypełniają kolorowe powiewy, zapachy śpiewają w moich nozdrzach, cztery kończyny lekko muskają ziemię. Gdy zbliżam się do naszej siedziby, nadbiega Jara, a za nią widzę Ma.

- Gdzie byłeś, martwiłyśmy się o ciebie, pies i ja.

- Nie ma strachu - odpowiadam beztrosko. - Spójrz, przyniosłem jedzenie.

Znalazłem w kieszeni pieniądze i kupiłem w kafejce *ishtoo* i *kulcha*.

- Urządzimy sobie ucztę.

Co za radość, powtarzam sobie. To dobrze, że mój zob nie stanął, jak to zwykle robi. Pewnie dlatego, że nie chciałem. Opanowałem, pokonałem tego krnąbrnego drania, kulił się jak obrażony pies przez cały czas spędzony z dziewczyną. Już mną nie rządzi ten pieprzony *quéquette* i chcę to uczcić.

Ten głupi stan trwa do nocy, kiedy wyparowują ze mnie resztki *bhangu*. Nie mogąc zasnąć i nasłuchując skrobania skorpionów, wyobrażam sobie obok siebie dziewczynę. I potwór nie zamierza się dłużej powstrzymać. Przekleństwo żądy powraca gorsze niż przedtem. Cholerny lund nie daje spokoju, bez przerwy domaga się dłoni. Ludzie mówią, że od tego się ślepnie, ale w takim razie nie miałbym już prawa oglądać tego świata. O, te wspomnienia napełniają mnie wstydem. Nie wmówisz mi, Oczy, że nigdy się nie dotykałeś, ale jeśli potem czuleś wstyd, wyobraź sobie tysiąc razy gorszy.

Od radości wiedzie prosta droga do rozpacz. Klnę cicho na moim posłaniu z traw. Dlaczego daję się zdominować rzeczy między nogami? Czy jest moim panem? Przysięgałem mu posłuszeństwo? Zabije mnie, jeśli mu odmówię? Czuję do siebie nienawiść, głęboką i ostrą, wstręt z powodu moich okropnych postępów. Twierdzę, że kocham Niszę, mimo to podglądam ją i idę do łóżka z prostytutką. Elli jest moją przyjaciółką, ale chełpię się w duchu, że widziałem jej ozdobę.

Śni mi się spadanie z niekończących się stopni na samo dno głębokiej studni z otworem wysoko poza moim zasięgiem. Dni i noce niczym się w niej nie różnią, ale pewnej nocy, gdy świeci księżyc, zlatuje do mnie wrona i wbija dziób w moje trzewia.

Następnego dnia wydaje mi się, że wszyscy ludzie patrzą na mnie dziwnie, jakby znali moje brudne sekrety. Nabieram przekonania, że Farouq puścił farbę. Nisha zachowuje się chłodno, jakby nie miała dla mnie czasu. Nienawidzę siebie i swojego nędznego życia. W dodatku Farouq zrobił się jeszcze gorszy. Męczy mnie, żebym mu opowiedział, co się działo w domu *putains*.

- Nic - odpowiadam - a jeśli nawet coś, to stanowczo nie to, o czym myślisz.

Więc Farouq jest na mnie zły, a przez to wredniejszy niż przedtem. Co zabawne, każe mi przyrzec:

- Zwierzaku *yaar*, nie wspominaj Zafarowi ani, broń Boże, Nishy, gdzie byłeś. To by ci zaszkodziło.

I tobie, ty obłudny skurwysynu, i tobie.

W klinice uśmiechnięta Elli pyta, czy nie chciałbym zobaczyć Amriki.

- To nadeszło dzisiaj! - Pokazuje mi kopertę.

W środku jest list z amerykańskiego szpitala. Odczytuje go na głos. Piszą, że prawdopodobnie mogliby mi pomóc.

- HUU! HUU! - Słysząc mnie chyba w całym Khaufpurze.

- Czekaj, nie podniecaj się za bardzo - przestrzega Elli. - Kluczowym słowem jest „prawdopodobnie”. Do zabiegu operacyjnego wciąż daleko. Nie wiemy dokładnie, co będzie konieczne, jakie metody trzeba będzie zastosować, jak długo potrwa leczenie i jak długo będziesz musiał pozostać za granicą, a prócz tego trzeba jeszcze znaleźć pieniądze. - Uśmiecha się od ucha do ucha. - Ale to dobry początek.

Dobry początek? W moim mózgu wirują już myśli o tym wszystkim, co będę robił, kiedy zacznę chodzić na dwóch nogach.

- Jak dużo pieniędzy?

- Lepiej, żebyś nie wiedział.

- Chciałbym zobaczyć.

Podaje mi list. Cyfry w anglijskiej są takie same jak khaufpurskie. Jest tam mnóstwo zer. Ogarnia mnie zniechęcenie, bo nikt w Khaufpurze tyle nie ma, nawet sama Elli doktorka.

- Posłuchaj, pieniądze można zebrać - mówi. - Jest wiele sposobów. Wkrótce wrócę do Amriki, a ty polecisz ze mną. Bądź dobrej myśli.

Pytam, kiedy pojedziemy do Amriki, na co Elli odpowiada, że to zależy od wielu rzeczy, na przykład od tego przekłętą bojkotu i czy się w ogóle skończy.

- Nie przejmuj się trudnościami, pomyśl, jak bardzo poprawi się twoje życie.

Mówi, że po operacji będę miał proste plecy, ale musi upłynąć pewien czas, zanim się wzmocnię. Będę potrzebował podpory w postaci kul albo kijków.

- To łatwe. Możesz posuwać się naprzód w szybkim tempie.

Wie, bo w jej mieście był szpital dla rannych na wojnie w Wietnamie i wielu z nich chodziło o kulach. Potem pyta, co bym chciał zobaczyć w Amrice, a ja odpowiadam, że nie wiem, bo nie mam pojęcia, co tam jest. No cóż, ona na to, jeśli wybierzemy się na wycieczkę, moglibyśmy odwiedzić Nowy Jork, gdzie jest wiele do obejrzenia. Niedaleko jej domu znajduje się muzeum z kośćmi dinozaurów. Czy wiem coś o dinozaurach? Jasne, kurwa, że wiem, po to Chunaram kradnie telesygnaly. Oglądałem wiele programów o dinozaurach, to takie olbrzymie zwierzęta, które żyły w czasach, kiedy nie było jeszcze ludzi. Najdziwniejsze miało głowę osadzoną na długiej szyi tak daleko od reszty ciała, że musiało posiadać dwa mózgi, jeden tuż powyżej dupy. Wtedy Elli zauważa z uśmiechem, że jestem bardzo bystry. Gdybym się urodził w Amrice, mógłbym pójść na studia.

- Może nawet na Harvard. Przypuszczam, że zostałbyś intelektualistą.

Pytam ją, kto to taki, bo wydaje mi się, że ktoś, kto niepotrzebnie rozmyśla o różnych sprawach. My z Orzechokrusza możemy mieć siebie za nic, ale jesteśmy równie zmyślni jak wszyscy inni. Tak samo bystrzy jak Amrikanie, zgadza się Elli, tylko że to oni mają góry pieniędzy, więc dobrze sobie żyją, a my tkwimy w gównie. Dodaje, że gdybym urodził się w Amrice, tobym nie musiał przez tyle lat biegać na czworakach. Tak, już niedługo zacznę chodzić jak człowiek i mądrze myśleć, zadziwię ludzi i nie będę robił rzeczy, których się wstydę.

- Pieprz się - wtrąca prezes zarządu Truciznowallah ze swego słoja w kącie. - Wyprostowany czy nie, dalej będziesz się zabawiał tym swoim we dnie i w nocy, no bo jakie masz inne przyjemności w życiu?

- Z czego świat jest stworzony, z muzyki czy z obietnic? - Takie pytanie zadaję towarzystwu zebranemu u Chunarama.

- O co ci chodzi, do kurwy nędzy? - rzuca właściciel, który dobrze wie, że świat jest stworzony tylko z jednej rzeczy, co udowodnił, odrywając sobie palec.

- Posłuchaj, dla *pandita* Somraja jest stworzony z muzyki, Elli doktorka twierdzi, że z obietnic. Czy te światy pasują do siebie?

- Oho! Widzę, do czego to zmierza.

- Zafarze *bhai*, co powiesz?

Zafar, niezbyt uradowany poruszeniem tego tematu, odpowiada, że zestawienie

muzyki z obietnicami jest równie niedorzeczne jak porównywanie sępa z kartoflem: kartofle nie mają piór, a sępy nie rosną pod ziemią.

- Stawiasz znak równości między dwiema rzeczami, które nie mają z sobą nic wspólnego.

- Co to jest znak równości, bracie Zafar?

- Sposób pokazania, jak dwie różne rzeczy mogą być tym samym.

- Więc przyjmuję twoje sępio-kartoflane wyzwanie. To proste. Jajo sępa jest takiej samej wielkości jak kartofel.

Zafar się śmieje i mówi, że moja odpowiedź jest pomysłowa, ale skąd to wiem?

Do tego nie mogę się przyznać. Jeszcze kilka lat temu w Khaufpurze było mnóstwo sępów, często sfruwały na wysypiska śmieci, gdzie i ja się żywiłem. Pewnego dnia znalazłem jajo, o którym w pierwszej chwili pomyślałem, że to kartofel. Umyte i ugotowane było smaczne. Teraz już nie ma sępów, ale nie wiem, czy to dlatego, że takie głodne skurwiele jak ja wyżarły wszystkie ich jaja.

- *Sadle* - odzywa się Farouq, wciąż mocno na mnie wkurzony - nie wykraczaj poza swoją niską pozycję społeczną.

- No więc, bracie Zafar - to Chunaram - ludzie są zbici z tropu. Elli doktorka, *pandit* Somraj. Widzimy, że się ostatnio zaprzyjaźnili. W takim razie po co ciągnąć ten bojkot? Czy nie powinniśmy wszyscy skorzystać z tej przyjaźni?

- *Pandit* Somraj po prostu okazuje uprzejmość sąsiadce, nic więcej - odpowiada Zafar, który świetnie wie, że ludzie podejrzewają Somraja, iż po kryjomu leczy się u Elli.

- Wybacz, Zafarze *bhai*, ale nawet ten głupi chłopak zauważył, że to, co się tam dzieje, to coś więcej niż uprzejmość.

- Ty pieprzony apostołe łajna! - krzyczę. - Ja tu próbuję podjąć filozoficzną dyskusję, a wy nic, tylko opowiadacie ploty!

Wszyscy skręcają się ze śmiechu, więc opuszczam to stado palantów.

- Bracie Zafar, powiedz mi - łapię go nieco później - pierwsza tajemnica muzyki, *pandit-ji* powtarzał to wiele razy, polega na tym, że nuty same w sobie są niczym, nabierają znaczenia dopiero w zestawieniu z nadrzędną nutą *sa*. Powiadał: „Nie słuchaj nut. Posłuchaj ich falowania względem *sa*. Stąd bierze się *rasa*, czyli emocja. Jeśli to uchwycisz, posiadziesz muzykę”.

- Tak, i co?

- Zacząłem myśleć o tym falowaniu. Przecież rzeczy nie mogą falować bez ruchu.

Bliżej, dalej, to kwestia miary. Więc nuty są miernikami. Prócz tego, widzisz, nie możesz wiedzieć, czym coś jest, jeśli nie wiesz, czym nie jest. To, co sprawia, że rzecz jest sobą, to fakt, że wciąż zachowuje odmienność od innych rzeczy. Nuta *dha* zawsze pozostaje w tej samej odległości od *sa*. Czy to nie rodzaj obietnicy?

Zafar wydaje jęk.

- Idź sobie, Zwierzaku. Wolałbym, aby Elli nigdy nie nazwała cię intelektualistą.

Zbieram się na odwagę i przedstawiam Somrajowi mój pomysł, że nuty są obietnicami. Słucha z powagą, po czym mówi, że o jednym zapomniałem. Obietnica z natury nie wymaga poręczenia. Następnie dodaje, że zdradzi mi najgłębszą tajemnicę muzyki. I zaczyna:

- Nuty skali muzycznej to w istocie jedna nuta, czyli *sa*. Zadaniem śpiewaka jest wyśpiewać *sa*, nic innego, tylko *sa*. Lecz świat wykrzywił i powykręcał tę nutę i to, co się na nim dzieje - smutek, miłość, tęsknota - napływają i wplatają pragnienia w *sa*, naginając ją i zniekształcając, wznosząc i opuszczając, a rezultatem jest to, co nazywamy muzyką. Śpiewak ma za zadanie wyrazić emocje, a jednocześnie pozostać wiernym nucie *sa*, która sama w sobie jest wieczna i niezmienna. Ponieważ w naszej muzyce nie ma różnicy między śpiewakiem a pieśnią, obietnicę składa śpiewak, nie nuty. Ragi są jak podróże w głąb ludzkiej natury, skale, które wyrażają pewne uczucia, a śpiewak obiecuje, że te uczucia wywoła. Może się jednak zdarzyć, że rozmija się ze skalą i słuchacze odczuwają zażenowanie. Wtedy łamie obietnicę.

A potem dodał, że ponieważ muzyka jest wszystkim, jest także we wszystkim.

- Zafarze *bhai*, wysłuchaj jeszcze jednego konceptu.

- O co znowu chodzi? Naprawdę jestem zajęty.

- To ci się spodoba, rozwiązuje wszystko.

I zacząłem tłumaczyć, że jeśli Somraj ma rację, to świat stworzony z takiej muzyki jest również światem obietnic złożonych przez autoriksze, kowali, pszczoły, deszcz i lokomotywy, bo skrzywienia kół roweru Gangu, który okrąża Orzechokrusz, sprzedając mleko, nikt by nie usłyszał, gdyby nie ta dotrzymana obietnica, że będzie mleczarzem. Warkot silników ciężarówek by się nie rozlegał, gdyby kierowcy i ich pomocnicy wylegujący się w kabinach z nogami wystawionymi przez okna nie dotrzymywali obietnic i nie wykonywali swojej pracy. Może nawet da się wydobyć jakąś muzykę z kartofli i sępów. A jeśli tak, to Somraj na pewno o tym pomyślał. I wszystkie te dźwięki falują wokół jakiegoś wielkiego *sa*, dźwięczącego nieustannie w głowie Somraja, który do tego dostraja wszechświat.

- Zafarze, dlaczego płaczesz?

- Coś mi wpadło do oka - odpowiada Zafar, któremu łzy spływają po policzkach. - Zwierzaku, wyświadcź mi przysługę. Bądź tak dobry i nie przedstawiaj tych swoich teorii Nishy. Nie sądzę, by je zrozumiała. Nie za bardzo jej się podoba ta przyjaźń ojca z Elli.

Dopiero myśli o deszczu rozwiązują zagadkę, ponieważ nie byłoby melodii spadających kropel, gdyby chmury co roku nie dotrzymywały obietnicy, że się rozewrą tam w górze. I pamiętam, jak Elli mówiła, że przyływy i odpływy to skutek dotrzymanyh obietnic morza i księżyca. Na tym to polega. W obietnicy zawiera się coś, czego nie można zmierzyć, czyli zaufanie. I nie odpowiadam za deszcz, morze i księżyc, ale pytam, dlaczego ludzie dotrzymują obietnic - i może ostateczna odpowiedź brzmi: z miłości.

Raz w środku nocy Elli obudził dźwięk dzwonka. Ktoś stał przed drzwiami. Elli chwyta szal, otula się nim i zbiega na dół. Zaskakuje ją widok Nishy w nocnej koszuli i z przerażonym wyrazem twarzy.

- Proszę przyjść do nas. Mój ojciec jest bardzo chory.

- Myślałam, że mnie bojkotujecie.

Nisha, wystraszona, podejmuje rozmowę:

- Nie mam do kogo pójść. Ojciec często miewa koszmary, krzyczy, brak mu tchu, ale nigdy jeszcze nie było z nim tak źle.

- Wracaj do niego - mówi doktorka. - Pójdę po torbę.

Chwilę później pochyła się nad łóżkiem, w którym leży Somraj oparty na poduszce. Jest nagi do pasa, spocony, oddycha płytko i świszcząco. Różowa piana zastygła w kącikach ust. Elli osłuchuje klatkę piersiową, mierzy tętno i temperaturę.

- Tak mi przykro - szlocha Nisha. - Nie mam prawa. Nie wezwałam pani nawet wtedy, gdy Zafar był chory. Tak wielu ludziom mogła pani pomóc, a myśmy ich powstrzymali. To było samolubne i bardzo mi wstyd.

Somraj otwiera oczy, chce coś powiedzieć, ale lekarka kładzie mu palec na ustach.

- Proszę się nie odzywać - nakazuje i zwraca się do Nishy: - Niech się pani nie martwi. Zajmijmy się najpierw pani ojcem.

Somraj zamyka oczy, a Nisha wpatruje się w Elli napelniającą strzykawkę. Gdy wyciąga igłę z jego ramienia, Somraj wzdycha głęboko.

- Teraz się odpręży - mówi Nisha, lecz Elli zauważyła, że zaczął się odprężać już przed zastrzykiem. - Myślałam, że umrze, Elli. - Po raz pierwszy Nisha zwraca się do lekarki po imieniu.

Somraj płonie od gorączki, krople potu lśnią na jego czole. Nisha przynosi chustę, ociera mu twarz. Somraj otwiera oczy i mówi do Elli:

- Jesteś dobrym człowiekiem. Ja też próbowałem z mojej córki uczynić wspaniałego człowieka.

- Bo ona jest wspaniałym człowiekiem - odpowiada Elli, która absolutnie nie ma powodu, by w to wierzyć.

- Cśśś, ojczy - mówi Nisha z zakłopotaniem. Schyla się i całuje go w czoło.

Po chwili *pandit* zasypia, lecz zaraz zaczyna krzyczeć przerażonym głosem.

- Ciągłe ma koszmary - wyznaje Nisha. - Zawsze o tym samym. Nie chce o nich rozmawiać, ale są okropne.

- Skąd wiesz, że zawsze o tym samym? - pyta Elli.

- Ponieważ krzyczy to samo.

- Co krzyczy?

- Zaczekaj - odpowiada Nisha. - Sama to usłyszysz.

Obydwie kobiety przysiadły obok łóżka. Nisha przyniosła herbatę. Nie taką, jaką zwykle pijała Elli, tylko zabarwioną mlekiem, pianistą, z posmakiem imbiru i kardamonu.

- Bóg jeden wie, co pani sobie o mnie myśli - mówi do lekarki.

- Myślę, że jesteś dobrą dziewczyną, która kocha ojca i troszczy się o mieszkańców tego miasta. Zwierzak dużo mi opowiadał o tobie. Na przykład o tym, jak wyciągnęłaś go z rynsztoka. Więc się nie martw.

- Co powiem Zafarowi i innym? Zabroniliśmy ludziom przychodzić do ciebie.

- Powiesz, że ten bojkot musi się skończyć.

Nisha kiwa głową i po chwili zagaduje nieśmiało:

- Elli, opowiesz mi trochę o swoim życiu? O Amrice?

- A o czym chciałabyś usłyszeć?

- Jak to jest dorastać tam. Spędzić tam młodość. Tutaj, jak myślę, nie mamy tyle swobody.

- Nie jestem pewna, czy „swoboda” to właściwe słowo.

- Chodzi mi o swobodę zakochania się, w kim chcesz. Żeby się nie martwić, co ludzie pomyślą, co powiedzą, jeśli należy do innej kasty albo wyznaje inną religię.

Oczywiście, pomyślała Elli. Zafar jest muzułmaninem, a ona wyznaje hinduizm. Ale jeśli nawet ktoś sprzeciwiał się ich romansowi, to z pewnością nie Somraj. To naprawdę zdumiewający człowiek.

- Pierwszy raz - zaczyna swą opowieść Elli - poważnie się zakochałam w szkole

średniej. Miałam piętnaście lat. Ten chłopak pochodził z Włoch i miał na imię Paulo, ale nazywaliśmy go po prostu Paul.

- Opowiedz mi o nim.

- No cóż. Poznałam go bliżej, bo obydwójce przychodziliśmy wcześniej do szkoły. Pomagałam mu ustawiać krzesła w jadalni, zanim zaczęły się lekcje. Na początku robiłam to po prostu po to, żeby się czymś zająć.

- Ale odkryłaś, że on ci się podoba? Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wyglądał.

- Był miły i niebrzydki. Przyjaźniliśmy się prawie od początku roku szkolnego. Nie chodził na te same zajęcia co ja, więc widywałam go tylko przed lekcjami.

- No to jak się w nim zakochałaś?

- W szkole mieliśmy zabawę, tuż przed walentynkami, i on poprosił mnie do tańca. To był ostatni taniec tego wieczoru, a on prawdopodobnie cały czas zbierał się na odwagę, żeby mnie poprosić. - Wspomnienie to rozbawiło ją, lecz Nisha słuchała z powagą. - To był powolny taniec. Trzeba się było objąć nawzajem, otoczyć ramionami. W pierwszej chwili nie miał odwagi, ale powoli, powoli zbliżyliśmy się do siebie, aż wreszcie pod koniec, oho, muskaliśmy się piersią o pierś. Naprawdę czułam do niego pociąg, a on chyba do mnie też, bo serce waliło mu jak bęben.

- Próbował cię pocałować?

Elli parsknęła śmiechem.

- Nie, ani razu, ale wiesz co? W walentynki zrobiłam dla niego specjalną kartkę z napisem: „Lubię cię”. Włożyłam ją do jego szafki w szkole, oczywiście nie informując go o tym. Później, tego samego dnia znalazłam w jednej z moich książek karteczkę, na której widniało: „Ja też cię lubię”. I na tym stanęło. Oficjalnie.

- Ale jeśli już zrobiłaś kartkę, czemu jej nie podpisałaś?

Więc Elli zaczęła wyjaśniać, że dzień świętego Walentego jest poświęcony romansom. Ludzie dostają kartki z miłosnymi wyznaniem, które jednak muszą być wysłane anonimowo.

- Ale skąd taka osoba wie, kto ją kocha?

- Nie wie. Zgaduje. To bardzo miłe próbować rozwiązać taką zagadkę.

- A jeśli źle odgadnie?

- No cóż, niewiele dziewcząt ma tłumy wielbicieli. Ja nie miałam. Więc po prostu się domyśliłam autora mej kartki. Jeśli jednak zacznie się czynić aluzje pod niewłaściwym adresem, można się znaleźć w kłopotliwej sytuacji.

- Dziwaczny obyczaj - powiedziała Nisha. - U nas podobny nazywa *rakhee*, kiedy dziewczyna zawiązuje tasiemkę na nadgarstku chłopaka. Tasiemka jest upleciona z

kolorowych nitek, z błyszczącymi kamyczkami, tak że nawet trochę przypomina kwiat.

- Zawiązałaś ją na ręce Zafara?

- O, nie! - Nisha lekko zmarszczyła brwi. - Jeśli kogoś lubisz w ten sposób, nigdy nie zawiązujesz mu *rakhee*, bo to by znaczyło: „Jesteś moim bratem”. Siostra wiąże *rakhee* na nadgarstkach braci, by im przypominały o obowiązku strzeżenia jej i całej rodziny przed krzywdą. Jeśli kobieta nie ma nikogo, kto by się mógł nią zaopiekować, może zawiązać *rakhee* jakiemuś mężczyźnie i wtedy on staje się jej bratem.

- Komu ty zawiązujesz *rakhee*?

- Nikomu - odpowiedziała Nisha. - Po pierwsze, potrafię sama zadbać o siebie. Po drugie, nie mam odpowiedniej osoby. Próbowalam raz zawiązać Zwierzakowi, ale uciekł.

O, czyżby? - pomyślała Elli z rozbawieniem. Ciekawe dlaczego. Z długimi rozpuszczonymi włosami spływającymi na plecy Nisha wygląda urzekająco. Elli zrozumiała moje rozdarte serce.

Kilka godzin później, gdy Elli jak zwykle otwiera drzwi kliniki, ulica jest pełna pacjentów. Kaszlący, kulawi chorzy ludzie stoją w kolejce, która ciągnie się niemal jak okiem sięgnąć. Na czele ich Zafar. Zaledwie dostrzegł Elli, wysunął się bliżej i zaczął nieśmiało:

- Postąpiliśmy z tobą niesprawiedliwie. Przykro mi z tego powodu. Przepraszam cię. Ci ludzie - ruchem ręki wskazuje zgromadzony tłum - potrzebują twojej pomocy.

Teraz nadchodzi czas pokoju, złoty wiek mojej opowieści. Wszyscy są szczęśliwi. Kłótnie zostały rozwiązane. Ludzie zgłaszają się dzień i noc do kliniki, a Elli jest tak zajęta, że rzadko ją widzimy. Tylko *pandit* Somraj chodzi do niej wieczorami i wtedy słysząc grę na fortepianie. Kiedyś to ja z nią przesiadywałem, teraz nie wiem, gdzie się podziać. Czasami siedzę z Nishą i Zafarem, zanim pójdą na górę. Nadal wsypuję mu do jedzenia pokruszone tabletki, niekiedy dodaję je do herbaty, lecz od tamtego snu o wronie zmniejszyłem dawkę. Zafar ciągle narzeka na bóle żołądka. Ale nie aż tak jak przedtem, a ostatnio nie chce mi się nawet wspinać na drzewa. Moje życie całkowicie się zmieniło. I prawdę mówiąc, nie cieszy mnie to zbyt. Nie tylko mnie.

- Zwierzaku, czy ja jestem złą osobą?

- To zależy - odpowiadam niezbyt wyraźnie, bo mam w ustach kawałki mango.

- Zależy, tak? - pyta Nisha. - A od czego zależy, Zwierzaku *sahibie*, po którego podbródka spłynie sok?

- Chcesz go zlizać?

Emocje są tak nieprzewidywalne. Trudno teraz rozpoznać we mnie tego Zwierzaka,

który nie tak dawno pogrązał się w rozpacz, bo tyranizował go lund. Moja wizyta u Anjali wydaje się zamierzłą historią, już mnie nawet nie zawstydzą. Poza tym nic nie zrobiłem, więc czego żałować?

- Spadaj.

- Ty i ja, skarbie, to tylko kwestia czasu - odpowiadam, gryząc pestkę.

Ostatnio zacząłem te przekomarzenia, żeby wiedziała, że jestem kandydatem do jej ręki, gdyż pewnego dnia będę chodził prosto. Żeby pokazać, jaki ze mnie luzak, rzucam nadgryzioną pestkę do ogrodu i powoli oblizuję palce, jeden po drugim, cmokając po wysaniu opuszek.

- Czuję się, jakbym była zła - mówi Nisha, ignorując moje próby flirtu.

- Jedyne, co mi w tobie przeszkadza, to twoje zadurzenie się w Zafarze i ślepotą na zalety twego pokornego sługi, czyli mnie, który byłbym gotów oddać za ciebie życie. Więc proszę, przemyśl to, powinnaś wyjść za mąż za mnie.

- Zwierzaku, czy ty kiedykolwiek słuchasz, co się do ciebie mówi? Nic, tylko gadasz. Jeśli mówienie jest miarą człowieczeństwa, ty jesteś najbardziej ludzką istotą.

No cóż, to podła uwaga, ale uwielbiam Niszę, więc zadowolam się posłaniem jej wymownego spojrzenia, jak u Jary - wielkie oczy pełne wyrzutu. To załatwia sprawę. Nisha nigdy się na mnie długo nie gniewa. Wzdycha tylko:

- Ty głupku, chciałam ci powiedzieć coś ważnego. Byłam właśnie u Ghanshyama zrobić zdjęcie.

Oczy, ten Ghanshyam ma sklep przy Itutmish Street, z portretami osób noszących fryzury sprzed dwudziestu lat. Obrazki są pożółkłe i upstrzone przez muchy, ale ludzie zanoszą do niego dzieci, żeby im zrobić zdjęcia, no i jeszcze, o mój Boże, zamawiają ślubne fotografie.

- Chyba nie wychodzisz za mąż?

Wybucho śmiechem.

- Nie, głuptasie, staram się o paszport.

- O paszport? - W chwilach zaskoczenia, nie wiem, Oczy, czy przydarza ci się to samo, zamieniam się w papugę. - Paszport? Do czego potrzebny ci paszport?

- Wyjeżdżam do Amriki - odpowiada już bez cienia uśmiechu.

- Do Amriki? Po co tam jedziesz?

- Elli tam jedzie, razem z moim tatą. Zabierają mnie, żeby poznała rodzinę Elli.

- Elli i twój ojciec? Jak to?

Prawie nie mogę oddychać, zupełnie jakby ciężki kamień przygniatał mi pierś.

- Mój tata i Elli zamierzają się pobrać.

- Zwierzaku, czemu nic nie mówisz? Proszę, odezwij się. Ty pierwszy się domyślałeś. Dlaczego jesteś taki zmartwiony?

Zmartwiony? Oczywiście, czuję się, jakby wypruto ze mnie flaki. Jak powiedzieć Nishy, że to ja miałem wyjechać z Elli do Amriki? Chciała mnie zabrać ze względu na mój grzbiet, mieliśmy skądś zdobyć pieniądze na operację. Zamierzała mi pokazać Nowy Jork, muzeum dinozaurów i tak dalej. Teraz pojedzie z Somrajem i Nishą, a co się stanie ze mną?

- Nisho, to wspaniała nowina.

- Naprawdę? - pyta. - Szkoda tylko, że tak paskudnie się czuję.

- Dlaczego? Przecież jedziesz z nimi.

- Nie przypuszczałam, że on się zakocha. - Ostatnie słowo wymawia tak, jakby cuchnęło łajnem. - Zawsze mi powtarzał, że po raz drugi nigdy się nie ożeni.

- Dwadzieścia lat samotności to bardzo długo.

- Wiem, wiem - odpowiada Nisha, kryjąc twarz w dłoniach. - To nieładnie z mojej strony, że tak do tego podchodzę. Powinnam się cieszyć ze względu na nich.

Gdy Somraj i Elli odkryli, że są w sobie zakochani, Elli zaprosiła jego i Nishę, by poznali jej krewnych. Kupiła trzy bilety na samolot do Amriki.

- Kiedy to będzie?

Nisha wyjaśnia, że zaczekają aż do rozprawy, kiedy przedstawiciele Kampani będą musieli pojawić się w sądzie, a potem ona, Elli i Somraj wyjadą na miesiąc.

- Kiedy ma być rozprawa? - Zamierzam odliczać dni.

- Za trzy tygodnie. Elli poprosiła jakiegoś znajomego lekarza, żeby ją zastąpił, gdy nas nie będzie.

- A co na to Zafar? - Dziwna rzecz, ale choć jestem zazdrosny o niego i omal go nie zabiłem pigułkami od Faqriego, w chwili kryzysu czuję, że właśnie do niego musimy się zwrócić. Zafar zobaczy, co jest dobre, i powie nam, co powinniśmy robić.

- O, Zafar jest zachwycony - odpowiada Nisha z rozgoryczeniem. - Twierdzi, że wzrosną nasze szanse w rozprawie przeciw Kampani, bo Elli przedstawi prawdę o tym, jak ludzie chorują, i pomoże nam w sądzie.

A więc Zafar przyłożył tu swoją zwykłą miarę, którą stosuje do wszystkiego. Co za bezinteresowny człowiek! Rzadko się zdarza podobna determinacja, a Zafar aż nią promieniuje.

- Cieszysz się, że zobaczysz Amrikę?

- Nie chcę tam jechać. Wiesz, dlaczego mnie zabierają? Bo tata czuje się winny, a Elli chce, żebym ją polubiła. Obiecuje, że jej ojciec zabierze mnie na ryby.

To mi sprawia przykrość, bo gdy Elli opowiadała o naszej wyprawie, też wspomniała o łowieniu ryb.

- Powinnaś jechać, Nish. Nikt nie potrafi przewidzieć przyszłości. Może to dla ciebie najlepsze.

- Zapytałam ją, czy naprawdę kocha mojego ojca. I wiesz, co odpowiedziała?

- Skąd miałbym wiedzieć?

- Powiedziała mi: „Nigdy nie spotkałam człowieka o równie czystej duszy”.

- To chyba dobrze. Dlaczego się smucisz?

- Nie wiem. Jestem samolubna. Ale to oznacza koniec mojego dzieciństwa. - Biedna Nisha ociera oczy ścierką do naczyń. - Odkąd sięgam pamięcią, mieszkaliśmy z tatą we dwoje, dbałam o niego i o dom. Te dni już minęły.

- Zaczyna się nowa epoka, kochanie, przyniesie ci nowe szczęście.

Nisha patrzy na mnie dziwnie.

- Zwierzaku, nie powinieś biegać w samych szortach. Ile razy to powtarzałam? Kupię ci jakieś przyzwoite ubranie.

- Nie rozstanę się z moimi kakadówkami.

Wzdycha.

- Ta wiadomość to nadal tajemnica. Nie mów nikomu. Ani słowa.

- Jak żyję, nie powiem.

Robi mi się niedobrze i czuję się oszukany, ale dotrzymuję obietnicy złożonej Nishy. Mówię tylko dwóm osobom: Ma Franci i prezesowi zarządu, czyli mojemu dwugłowemu przyjacielowi. Jego odpowiedź dowodzi, że też jest samolubnym kutafonem i że każdy na tym świecie dba tylko o siebie: „Dobrze się składa. Kiedy Elli doktorka będzie w Amrice, uzyskasz szansę, żeby nas stąd wydostać”. Kilka dni później zawiadamia mnie, że rozmawiał z pozostałymi członkami zarządu i uchwalili rezolucję popierającą fuzję Somraja z Elli.

Somraj i Elli, Elli i Somraj. Cóż innego może oznaczać ta nowina? Oczywiście, przełykam zastarzałą gorycz, zostanę konferansjerem wyobraźni. Kiedy ogłoszą tę wiadomość, przyjdzie czas na uroczystości. Przyjęcie. Nie takie zwykłe, tylko wystawne. Co oznacza wielki namiot pod mangowcem, kolorową *shamianę* jak ta, w której Elli urządziła ceremonię otwarcia kliniki. Oznacza drinki, przekąski, *barfi* w srebrnych papierkach dostarczane przez Rama Nekchalana, który twierdzi, że zatrudnił cukiernika z Agry. I to jeszcze oznacza ucztę z *biryani* i *kheeru*, z dodatkiem mnóstwa śmietany i rodzyneków. Już widzę, że są tu wszyscy.

Muzycy przybyli z dalekich stron, by uczcić zaręczyny wielkiego bohatera. Elli poprosiła mnie o sprowadzenie Ma Franci, żeby ożywiła zabawę swoim *tonton lariton* i innymi wariackimi numerami.

- *Je connais tes oeuvres, ton amour* - zwraca się do Zafara z uśmiechem i błogosławieństwem, ujmując jego twarz w dłonie. - *Ta foi, ton fidèle service, ta constance.*

- Ma, to Somraj się żeni, nie Zafar. - Mam szczerą nadzieję, że mówię prawdę.

Muzyka i recytacje poezji ciągną się do późnej nocy. Każdy miejscowy poeta stara się przegadać konkurenta.

- *Chalo dildar chalo, chand ke paar chalo.* Somraj-ji, pojedźmy nad jezioro. Teraz zaraz, *yaar*. Musisz zamówić łódź. Patrz, wzeszedł księżyc, to noc przeznaczona dla miłości.

Miłość, co za farsa. Za dużo jest jej na świecie. Wszyscy są zakochani. Elli w Somraju, Somraj w Elli. Nisha w Zafarze, Zafar w Nishy. Wszyscy prócz mnie. Ten świat nie wydaje się już stworzony z muzyki i obietnic, lecz ujawnia swą prawdziwą naturę, którą jest miłość.

Życzenia szczęścia rozlegają się bez końca z wszystkich stron. Kręcimy się tak i kręcimy, próbując rozszerzyć chwilę radości na wieczność, no bo czemu nie, korzystajmy, ile się da, to nigdy nie trwa długo. Zawsze zdarzy się coś, co wszystko popsuje.

Taśma siedemnasta

Prawnicy Kampani przybywają do Khaufpuru bez uprzedzenia. Sprawdzaczas dostrzega ich pierwszy. Czterech Amrikanów wychodzących z biura zarządcy okręgu i wsiadających do samochodu.

- Spotkali się z wyższymi urzędnikami - informuje nas - a ich szef to postawny, dziwacznie ubrany facet.

Nikt nie wie, co to właściwie oznacza, lecz niepokojące wieści napływają wkrótce jedna za drugą. Po południu Amrikanie mają się spotkać z Zahreem Khanem, następnego dnia z premierem stanu.

- Wielka rozprawa ma się odbyć za niecałe dwa tygodnie - rzecze Zafar do towarzystwa zebranego u Chunarama. - Ci ludzie przyjechali do Khaufpuru zawrzeć umowę. Na pewno.

- Jaką umowę, Zafarze *bhai*? - pyta ktoś.

- Jaką? Z politykami wchodzi w grę tylko jeden rodzaj umowy. Poza sądem i do kieszeni. Cóż by innego?

- Przecież nie mogą powstrzymać procesu, prawda?

- Zarzuty mogłyby zostać wycofane, gdyby doszło do ugody.

Ludzi ogarnia przerażenie.

- Nie! Jak mogą nam to zrobić?

- Czekaliśmy tak długo, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

- Co mamy teraz począć?

Jak zwykle wszystkie oczy kierują się ku Zafarowi. Znikają wszelkie wątpliwości i wahania, oto Zafar Wielki, wódz i legenda.

- Politycy zamierzają nas zdradzić, ale pokrzyżujemy ich plany. Ściągniemy tysiące manifestantów pod dom premiera stanu.

Te dwa zdania to cały plan akcji, którą khaufpurczycy nazwą później premierowską demonstracją.

Nazajutrz „Khaufpur Gazette” zamieszcza na pierwszej stronie artykuł pod dużym

nagłówkiem: COŚ WISI W POWIETRZU? Amrikańscy prawnicy, pisze gazeta, mają się spotkać z premierem oraz ministrem do spraw skażeń. Autor snuje przypuszczenia, że może dojść do ugody między Kampani a rządem. Termin spotkania wypada tuż przed długo oczekiwaną i decydującą rozprawą, która z tego powodu może nie dojść do skutku, gdyż zarzuty wobec Kampani i jej zarządu zostaną wycofane. „Coś tu śmierdzi i nie jest to tylko odór z fabryki. To smród większego zła. Wycofanie zarzutów dotyczących śmierci tysięcy naszych współobywateli bez próby ustalenia, kto jest za to odpowiedzialny, bez zwrócenia się do wymiaru sprawiedliwości o godziwe zadośćuczynienie, stoi w sprzeczności z zasadami demokracji i prawami człowieka. Jeśli dojdzie do tej ugody, będzie to dowód, że nasze nozdrza wypełnia odór zgnilizny, płynący z sądu w Khaufpurze”.

Niczym olbrzymi pożar w mieście wybucha gniew. Tego samego dnia, gdy opublikowano artykuł, małe maszyny drukarskie w Pazurze i Jyotinagarze pracują po godzinach, drukując plakaty z napisami: „NIE POZWOLIMY POGRZEBAĆ SPRAWIEDLIWOŚCI” oraz „SKAŻENIE TO ŚMIERĆ ZA ŻYCIA” i „NIE DAMY SIĘ SPRZEDAĆ”. Nisha chciałaby, żeby na jednym widniało hasło: „UMIERA PRAWO, RODZI SIĘ PIEKŁO”, ale Zafar twierdzi, że rozprawa w sądzie pozostaje aktualna i powiedzieć, że prawo jest martwe, to zaakceptować z góry zwycięstwo Kampani.

- A jeśli zwyciężą? - pyta Nisha. - Wtedy będzie za późno. Musimy pokazać politykom, jakie mogą być konsekwencje.

- Co ty o tym myślisz, Elli? - zwraca się do niej Zafar.

Od przyjazdu prawników Elli przycichła, posmutniała, jakby jej radosne plany zatopił nagle stary i nieskończenie plugawy strumień khaufpurskiej polityki.

- Nie wiem, co myśleć - odpowiada.

Przesiąkamy zapachem farby drukarskiej, gdy biegamy po mieście, rozklejając plakaty w każdym dostępnym miejscu, na bramie Pir, na gmachu sądu. Następnego ranka z wszystkich murów krzyczą nasze przesłania.

W noc poprzedzającą demonstrację obok starych pojawiają się nowe hasła. Namalowały je inne grupy, ale musiała z nimi wcześniej rozmawiać Nisha. Na ścianie widnieją bowiem wielkie, ociekające czerwienią litery: „JEŚLI UMRZE PRAWO, ZAPANUJE PIEKŁO”.

Prawników jest czterech. Bhoora widzi ich następnego dnia, gdy wychodzą z hotelu, czyli z białego pałacu na wzgórzu nad jeziorem. Nazywają to miejsce Jehan-nabz, co oznacza „tętno świata”, ale my w Khaufpurze zawsze mówimy „Jehannum”. Określenie to funkcjonuje od ponad stu lat, od czasów Ghaalizalego Khana, znanego jako Mały Nawab. A

to z dwóch przyczyn: po pierwsze, był niski, po drugie, gustował w sodomii, którą uprawiał z równym zapalem z osobami obojga płci, także z żonami przyjaciół zapraszany do pałacu i częstowanymi królewskimi dziesięcioma centymetrami prosto w pupy. W ten sposób pałac zyskał nazwę Jehannum, czyli Piekło. Niedaleko stoi dom premiera stanu. Jasne, że właśnie tam musieli wylądować ci czterej prawnicy. Ich szef, jak informuje Bhoora, jest białowłosym mężczyzną potężnej postury.

- Ktoś musi za nimi pójść - mówi Zafar.

Oczywiście każdy chce im się przyjrzeć, w końcu jednak Farouq jedzie na motocyklu Zafara pod dom premiera, mnie zaś wysyłają, żebym obserwował hotel.

Podjeżdżam pod Jehannum z Bhoorą, który jest w dobrym humorze i daje mi *beedi*. Zatrzymuje się tam, gdzie wszystkie auta, przed dużą bramą hotelu. Gdy z głośnika, ilekroć potrzeba, rozlega się donośnie: „Auto!”, pierwszy w kolejce toczy się w pobliże wejścia, które jest z marmuru, z fontannami i szklanymi drzwiami. Każdy w mieście słyszał o Jehannum, lecz mało kto zajrzał do środka. Jedna doba kosztuje tam więcej niż studniowe zarobki mieszkańca Orzechokrusza. Bhoora zna dyżurnego portiera, znika więc na chwilę, po czym wraca i mówi, że pokoje prawników są od strony ogrodu, blisko basenu.

- Wiesz, ile taki pokój kosztuje? Za jedną noc sześć i pół tysiąca! *Baba*, co za marnotrawstwo! Za to, co wydasz tam przez dwa tygodnie, można by kupić nowiutkie auto!

- Po co im auta?

- Nie jakieś zwykłe auto - ciągnie ogarnięty obsesją Bhoora. - Diesel GL-400, silnik chłodzony powietrzem, czterosurowy, z elektrycznym zapłonem, sprzężenie osiemnaście do jeden. Co za głupcy z tych prawników! - to rzekłszy, usypia.

Amrikanie wracają późnym popołudniem. Przejeżdżają obok nas, nie patrząc w naszą stronę. Portier w wymyślnym turbanie, jakiego nie zobaczysz nigdzie indziej w Khaufpurze, biegnie otworzyć drzwiczki samochodu. Jest sąsiadem Bhoory, mieszka w Jyotinagarze, gdzie woda jest skażona i wielu ludzi choruje. Jak może okazywać taki respekt Kampani-wallahom? O pierwszych dwóch nie da się zbyt wiele powiedzieć. Są starzy, włosy mają siwe, krótko ścięte. Trzeci jest młody i wysoki, przystojny *saala* o falujących blond włosach. Wpatruję się w nich z fascynacją. Trudno się domyślić, że to nikczemne kanalie, sługusi Kampani. Ostatni wysiada ten o byczej posturze, uff, ma kłopot z wydostaniem się z auta, taki jest ciężki. Teraz rozumiem, dlaczego Sprawdzacz powiedział, że dziwacznie się ubiera. Ma na sobie czarny płaszcz z lśniąco-czerwoną podszewką, ale to buty przyciągają wzrok. Są zrobione z wężowej skóry, przez co jego nogi wyglądają tak, jakby je połykały dwa pytony.

- Co za buty - mruczy wyrwany ze snu Bhoora. - W takich butach umierałbym

szczęśliwy. - I znowu zapada w drzemkę, a ja zaczynam rozmyślać, jak to jest, że na tym samym świecie żyją tacy ludzie jak ci prawnicy i takie stworzenia jak ja.

Na górze słyszeć muzykę z dołu, głosy i śmiechy. Aż mnie podrywa, żeby tam zejść. Od dwóch godzin prawnicy nie wystawili nosa z hotelu. Przypuszczam więc, że już nie wyjdą. Co się stanie złego, jeśli ukradkiem zejść na dół i rzucę okiem?

Szturcham Bhoorę. Biedaczysko budzi się z chrapnięciem.

- Co jest? Wychodzą?

- Muszę coś załatwić dla Zafara *bhai*. Nie będzie mnie kilka minut. Gdyby oni się ruszyli, jedź za nimi, a potem wróc po mnie. Będę pod tym wielkim tamaryndowcem niedaleko bramy nad jeziorem.

Trzy bramy prowadzą do domu premiera. Dwie z nich to główne wejścia, przy których stoją żołnierze w białych rękawiczkach z karabinami. Trzecia znajduje się od strony jeziora. W jej pobliżu rozpościerają się tereny zielone z drzewami i trawą, gdzie zgromadzili się ludzie. Panuje tam wrzawa jak na placu targowym. Słońce przed chwilą schowało się za wzgórzami, niebo wygląda jak płomienne jezioro odbijające się w prawdziwym jeziorze poniżej. To nasze sławne śródłądowe morze, o którym powiadają *taal to Khaufpur taal, aur sub tala-iyya*, przy Jeziorze Khaufpurskim każde inne wygląda jak staw. Na trawnikach pod drzewami lampy migoczą niczym świetliki. To tutaj zebrały się kobiety, setki kobiet, gwar ich głosów słyszałem na górze pod Jehannum. W tłumie krążą handlarze i sprzedają arbuzy, orzechy, ciastka. Mam w kieszeni kilka rupii, poszukam sobie *kachambara*. O tak, ogórek posypany pieprzem i skropiony sokiem z limony. Na sam jego widok język staje słupka i błaga o więcej. Przywożą herbatę w olbrzymich termosach, wciąganych na wzgórze w wózkach z kołami od rowerów, a wózki uginają się pod ciężarem. To przedsięwzięcie Chunarama. Dziewięciopalczy *saala* zaproponował cenę jednej rupii za kubek, a teraz skarży mi się, że Zafar kazał mu rozdawać herbatę za darmo.

- Świetnie, wezmę dwie - mówię, choć wcale nie powinno mnie tam być.

I zaraz zaczyna grać głośna muzyka. Oczy, to *Hillélé Jhakjor Duniya*, zawsze śpiewane podczas naszych khaufpurskich demonstracji. Dzieciaki z podłych dzielnic uczą się tych pieśni w ramionach matek. Muzyka, tak głośna, że bolą mnie uszy, dobiega z samochodu z megafonem. Nigdy nie lubiłem tej piosenki, bo mówi o marszu stojących prosto i śmiało kroczących ku wolności. Zacytuję kilka wersów, żeby pokazać, co wywołuje łzy w oczach Zafara.

janata ké chalé paltaniya, hillélé jhakjor Dunina

*Oto maszerują plutony ludzi,
ziemia się trzęsie, drżą góry, falują rzeki i jeziora.
Wielkie fale przemierzają oceany,
cały świat dygocze, gdy lud maszeruje.*

Przed główną bramą stoi generał Zafar w gronie popleczników, z brygadierką Nishą i kapralem Farouqiem po bokach. W pełni sił jest nasz bohater. Intonuje pieśń zwycięstwa, grzmi przez megafon, wprawia ziemię w drżenie siłą nicości.

*AZJO, AFRYKO, AMRIKO, DRŻYJCIE
TRONY I KRÓLOWIE UPADNĄ, KORONY
WYSADZANE KLEJNOTAMI POTO CZĄ SIĘ W PYŁ,
GDY OBUDZI SIĘ LUD*

Przybywa policja w metalowych hełmach i z pałkami. Ustawia się przed bramami rezydencji premiera. Ktoś wykrzykuje:

- Widzę jego samochód!

Tłum wstaje, rusza naprzód pod gęstwiną falujących transparentów.

*POLITYCY SIĘ TRZĘSĄ, KAMPANI DRŻY W POSADACH,
CHWIEJĄ SIĘ KRZYWDZĄCE USTAWY,
A PREMIER, PODŁA SZUJA, DYGOCZE,
GDY BUDZI SIĘ LUD*

Niedaleko mnie stoi dwóch gliniarzy, ich usta poruszają się bezgłośnie. Podobnie jak my wszyscy mamrocą znajome słowa, jeden nawet wybija rytm pałką.

- Patrz na tych gnojzków, jak sobie napchali te pieprzone brzuchy - odzywa się ktoś z tłumu.

Ale mnie tak bawią śpiewający policjanci, że odkrzykuję:

- Daj im spokój! Kutafony, bo kutafony, ale to też synowie normalnych ludzi.

Nowe wrzaski świadczą o tym, że przyjechał samochód premiera. Jak zwykle nic nie mogę zobaczyć, więc wdrapuję się na dach furgonetki z megafonem. Pieśń huczy tuż obok mojej głowy. Gdy samochód przejeżdża, powiewa tylko flaga na nim, a jego pasażer ma minę mówiącą: „Pieprzcie się”. Znam tę minę, dość dobrze poznałem naszego premiera stanu.

Chodziliśmy z Faqrim do jego domu, gdyśmy się dowiedzieli, że wydaje darmowe posiłki osobom ze swojego rodzinnego miasta Sitapuru. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie leży Sitapur, ale nikt nas o nic nie pytał, kiedy powiedzieliśmy, że stamtąd pochodzimy. Dostawaliśmy baranie curry i gorącego kurczaka *tandoori*. Premier przychodził od czasu do czasu i pytał, jak nam się tam żyło, więc wymyślaliśmy różne rzeczy, które mogły mu przypaść do gustu. Ta miła sytuacja trwała do chwili, gdy premier pojechał do Sitapuru, gdzie jakiś idiota oskarżył go o złamanie obietnicy danej jego bratu. Premier chwycił oskarżyciela za ramię, zaciągnął do świątyni i wezwał bogów na świadków, że zarzut jest niesłuszny, on zaś przysięga nigdy więcej nie pić alkoholu i nie tknąć mięsa, więc przestaliśmy z Faqrim przychodzić.

Pandu utworzyli dwa szeregi, jakby szpaler, środkiem którego przesuwają się samochód. W ostatnim momencie otwierają się wrzeciędzie, premier wjeżdża, a gliniarze formują nowy szyk przed zamykającą się gwałtownie bramą. Przy pierwszym ustawia się drugi szereg policjantów.

- Wyjdź na zewnątrz! - krzyczy Zafar, a tłum zaczyna skandować:

- Wychodź! Wychodź! Wychodź!

Premier nie ma najmniejszego zamiaru posłuchać. Jest w środku i na tym koniec. Wszędzie zapalają się światła. Dom wielmożnego pana. Służba zaraz zacznie się krzątać, trzeba przygotować kolację. Co on zatem w tej chwili porabia? Przyjmuje filiżankę herbaty z rąk kochającej żony? Głaszcze dzieci po główkach, pyta, czy odrobiły lekcje albo czy dziś będzie w telewizji coś wartego obejrzenia?

Z piskiem i buczeniem rozlega się z megafonu głos Zafara. Muzyka z furgonetki gra nadal, więc wezwania zderzają się ze słowami piosenki.

- WYJDŹ, PREMIERZE, CHCEMY POGADAĆ.

- WYCHODŹ, NIE SPRZEDAWAJ SIĘ! - tak krzyczy tłum.

Zafar wysuwa się naprzód, staje tuż przed szeregiem policjantów.

- WYJDŹ, PREMIERZE, PRZEMÓW DO SWEGO LUDU!

Nastrój tłumu się zmienił, nie jest już świąteczny, spływa na nas fioletowa ciemność, zaledwie kilka świateł migocze na ciemnej tafli jeziora. Pieśń urywa się nagle i słychać tylko głos Zafara, powtarzający wciąż to samo wezwanie:

- WYJDŹ, PREMIERZE, CZEKAMY NA CIEBIE!

Rozlegają się okrzyki strachu. Z mroku wyfruwają wielkie nietoperze i śmigają nad naszymi głowami, zataczając koła i wykonując skomplikowane figury. Są z nami upiory tamtej nocy, oto, co ludzie mówią:

- BĘDZIEMY TU STALI, DOPÓKI NIE WYJDZIESZ!

Nadjeżdżają ciemne furgonetki, z których wyskakują policjanci. Trzymają plecione tarcze i karabiny. Jest wśród nich, mogę przysiąc, mój stary nieprzyjaciel Fatlu inspektor. Ci nowi gliniarze od razu zaczynają się przepychać w stronę Zafara. Tłum, wyczuwając ich intencje, otacza go ciasniejszym kręgiem.

W tym momencie z domu wychodzi jakiś mężczyzna i mówi coś z naciskiem do starszego rangą policjanta, który stoi z rozpostartymi ramionami, trzymając się prętów bramy, jakby sam powstrzymywał tłum przed wdarciem się do środka. Wiadomość zostaje przekazana Zafarowi.

- PREMIERZE, NIE MOŻESZ SIĘ SPOTYKAĆ TYLKO Z NASZYMI PRZYWÓDCAMI, MUSISZ STANĄĆ PRZED NAMI WSZYSTKIMI.

Wysłannik wraca do rezydencji.

- PREMIERZE, JEŚLI NIE PRZYJDZIESZ DO NAS, MY PRZYJDZIEMY DO CIEBIE.

Gliniarze znowu ruszają w kierunku Zafara i spółki. Chwytają jakiegoś mężczyznę i odciągają go, szarpiającego się, na bok. Rozgniewany tłum wyrywa im go z rąk. Teraz atmosfera robi się nieprzyjemna. W powietrzu zaczynają fruwać kamienie i odłamki cegieł. Policjanci muszą osłaniać się tarczami przed tym gradem pocisków. Ironiczne wiwaty witają owo drobne zwycięstwo. Bez ostrzeżenia furgonetka z głośnikiem rusza z miejsca. Jestem zmuszony zsunąć się jakoś na ziemię. Kierowca się wychyla i przeklina, kiedy zjeżdżam po przedniej szybie.

W tej samej chwili dostrzegam Fatlu inspektora z grupką gliniarzy przekradających się za plecami zgromadzenia. Diabeł we mnie wstępuje, pragnę zemsty za wszystkie ciosy i obelgi, którymi Fatlu mnie obdarzył. Macam po ziemi w poszukiwaniu kamienia odpowiednich rozmiarów. Znajduję jeden wielkości guawy, twardy, z ostrymi krawędziami. Siadam, żeby mieć wolne ręce, i ciskam go z całych sił w plecy Fatlu. Trafia tego kutafona bezbłędnie, powala na ziemię, wyjącego z bólu. Trafiony, zatopiony! Jego ludzie rozglądają się, skąd poleciał kamień, ale chowam się za drzewem. Trzech rusza w moją stronę. Pewnie już bym był trupem, gdyby nie nowe zamieszanie. Premier wychodzi na balkon z własnym megafonem. Ludzie zaczynają wołać o ciszę, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia.

- NIE ULEGNĘ GROŻBOM! - oznajmia tubalnym głosem. Megafon sprawia, że jego usta wydają się najeżone zyletkami.

Jego słowa wita gromki ryk gniewu.

- ŻADNA DECYZJA NIE BĘDZIE GODZIŁA W WASZE DOBRO.

- KTO ROZSTRZYGA, CO JEST DLA NAS DOBRE? - odpowiada metaliczny głos

Zafara.

- NIE MA POWODU DO NIEPOKOJU. TO WAM OBIECUJĘ.

- CHA, CHA, CHA! - dudni głośnik Zafara. - LUDZIE, POWIEDZCIE PREMIEROWI, CO MYŚLICIE O JEGO OBIETNICY.

Ludzie zaczynają wołać:

- Tak, co za pożytek z twoich obietnic?
- Trzy albo cztery lata temu obiecałeś nam czystą wodę!
- Ile dostajesz od komisji skażeń, 50 lakhów miesięcznie?
- Fajnie jest ruchać żonę przyjaciela?
- Twój ojciec był taki sam, zrobił dziecko służącej.

Dołączają się następni i następni.

- Jak dużo ci płaci Kampani?
- Wygrałeś ostatnio na jakiejś loterii?
- Jak tam usługi transportowe?

Ten ostatni krzyk jest aluzją do przekrętu z udziałem gangstera, wuja Farouqa. W ten sposób rozwścieczeni khaufpurczycy wywlekają dwudziestoletnie urazy, pogłoski i skandale, by rzucić je w twarz premierowi, a gniew tłumu zmienia się w szydery śmiech. Naprawdę, jeśli chodzi o szwindle, my, uliczni artyści, wyglądamy przy politykach jak kompletni amatorzy.

- NIC WIĘCEJ NIE MAM DO POWIEDZENIA, WRACAJCIE DO DOMÓW.

Stosując się do własnej rady, premier znika. Policjanci natychmiast szarżują naprzód, rozlegają się krzyki, łomot ciężkich pałek po chudych grzbietach. Ludzie są jednak w gorzkim nastroju. Cofają się, robiąc miejsce, i po chwili gliniarze zostają obrzuceni kamieniami. Widzę, jak jeden łapie się za oko i upada.

BANG! FATAAK! BUM! - to odgłosy strzelaniny.

To zdumiewające, jak tysięczny tłum potrafi tak po prostu zniknąć. Trawnik pod drzewem pustoszeje, błyskają tylko świetliki, tu i ówdzie walają się przewrócone w zamieszaniu lampy, palą się jeszcze w trawie. Powiew znad jeziora porusza płomienie. Nieliczna grupka demonstrantów otoczona przez policję oddala się od rezydencji premiera. Widzę między nimi Zafara i Niszę. Następuje utarczka. Policjanci złapali Zafara i teraz łożą go pałkami.

- Nisha! - wrzeszczę i pędzę w tamtą stronę, bo ona tam jest.

Szarpie gliniarzy, próbując odciągnąć ich od Zafara. W sam środek bijatyki wjeżdża motocykl. Nasi przyjaciele wyrywają Zafara policjantom, wsiada na motocykl, a za nim

Nisha.

- Nisha!

- Zwierzaku! - krzyczy Zafar. - Spieprzaj do swojej roboty i czekaj na moje wezwanie!

Przy bramie Jehannum ani śladu Bhoory. Mija pół godziny i dopiero pojawia się z nowiną, że w mieście panuje wielki zamęt, w Jyotinagarze i Orzechokruszu wybuchły zamieszki. Zaczynam się bać o Ma. Ludzie często przyprowadzają ją do domu, bo błąka się po mieście. Kogo lub co może napotkać w tych ciemnych zaułkach, jeśli się zagubi w taką noc z głową pełną wizji i koszmarów? Mówię do Bhoory:

- Bracie, jedź i sprawdź, czy z Ma wszystko w porządku. Dopilnuj, żeby miała przy sobie psa, i poproś sąsiadów, by na nią uważali. Ja muszę tu zostać.

Po odjeździe Bhoory nie mam już auta, w którym mógłbym się schronić. Nie mogę tkwić pod bramą, więc postanawiam zakraść się do ogrodu. Muszę być ostrożny, sytuacja się uspokaja, ale ludzie ciągle kręcą się w pobliżu. Portierzy pełnią służbę przez całą noc, no i na pewno zaczną tu krążyć jakiś *chowkidar*.

Mocne i rozkoszne zapachy unoszą się z wilgotnej ziemi. Co? Czyżby padał deszcz? Monsun przyjdzie dopiero za kilka tygodni, to najsuchsza pora roku, głupcze! W siedzibach bogaczy deszcz pada codziennie z węża ogrodowego. Ciemność, drzewa. Jakie duchy tu straszą, jakie emocje wiszą nadal w powietrzu? Gniew tych, których zhańbił Mały Nawab? Skradam się między krzewami, wdychając z zachwytem woń róż, jaśminu i innych kwiatów, których nazw nie znam, po czym trafiam w gęste zarośla blisko basenu. Woda podświetlona od dołu tworzy błękitną lśniąca plamę na tle trawy. Dalej są werandy, które pewnie należą do apartamentów amerykańskich prawników. To dobra kryjówka. Widzę stąd wejście do hotelu i zauważę przyjeżdżające samochody. Zaczajam się w krzakach, rozmyślając o demonstracji i zdarzeniach w mieście.

Kilka metrów dalej rośnie drzewo z kolorowymi światełkami przyczepionymi do gałęzi. Jest bardzo ładne, stoją pod nim długie stoły przykryte białymi obrusami, a na nich półmiski z jedzeniem. Nie uprzątnięto ich jeszcze, bo nieco dalej siedzi w plecionych fotelach kilku gości, a kelnerzy krążą z drinkami. Czuję oszołamiające zapachy. Przysiągłbym, że to aromat kebabów. Demonstracja i wszystko inne blednie. Jestem tak głodny, że ślina napływa mi do ust. Próbuję myśleć o czymś innym. Z wnętrza hotelu dobiegają dźwięki fortepianu, jak u Elli. Och, *baba*, to kebaby i kurczaki z *tandooru*. Nie ma w pobliżu wielu osób, wszędzie zalegają cienie, a rozświetlony basen sprawia, że wszystko wokół wydaje się ciemne. Muszę zdobyć trochę jedzenia. Muszę i koniec. Nie ma innego wyjścia. Wyczekuję odpowiedniej chwili, po czym czołgam się nisko przy ziemi. Moja ciemna naga skóra wtapia się w mroki

nocy, moje szorty kakadu też są ciemne od brudu. Nikt mnie nie dostrzega. Ludzie widzą to, czego wypatrują, mnie nie wypatruje nikt. Ja zaś wypatruję tego, co znajduje się tutaj w obfitości, chrupiących *samosa* z ostrym sosem, *bhajia* i kebabów wszelkiego rodzaju. Sadowię się pod stołem, ciągnę w dół róg obrusa, póki mnie nie zasłoni. Sekundę później obzeram się jak pies.

Fortepian milknie. Nagle w pobliżu słyszę głosy. Wpełzam głębiej pod stół, ale w następnej chwili jeżą mi się włosy na karku.

Jeden z głosów brzmi znajomo. Ostrożnie, bardzo ostrożnie unoszę skraj obrusa. Zerkam spod niego i, o Boże, widzę coś, co napełnia mnie strachem. Kilka metrów ode mnie kroczy najmłodszy z amerykańskich prawników, ten przystojny. Towarzyszy mu Elli. Są pograżeni w rozmowie jak ludzie, którzy dobrze się znają. Nie tylko dobrze, bardzo dobrze. Prawnik wyciąga rękę i dotyka ramienia Elli, a taki gest jest możliwy tylko w wypadku intymnej znajomości. Ona nie protestuje, nie powstrzymuje go. To okropne. Somraju, ty nieszczęsny frajerze, ten facet to Kampani-wallah, pracuje dla Kampani, a Elli pozwala mu się dotykać. Co to oznacza? Czuję mdłości i dreszcze na całym ciele. Wszystko, co opowiadała o swojej nienawiści do Kampani, to kłamstwa. Naprawdę ją nasłali. Zafar miał rację.

Kulę się pod stołem, gdy przechodzą obok. Elli ujęła tego prawnika oburącz za ramię i wpatruje się w niego. Rozmawiają w angliż, lecz rozpoznaję ton jej głosu. W odpowiedzi mężczyzna się pochyła i całuje ją w policzek. Potem kładzie jej dłonie na ramionach i mówi:

- Zrobiłaś świetną robotę, Elli, możesz już wrócić do domu.

O wy, głupi ludzie, z waszymi pałkownikami i dżenerałami, i paltaniami, wy naiwne, ufne, nieoświecone ciule. Głusi jesteście i ślepi na swój los. Ziemia się naprawdę trzęsie, tak, pod waszymi stopami otwiera się przepaść. Zdradzono was. Mnie także zdradzono. Gdy słyszę słowa prawnika i widzę, jak całuje Elli, której ufałem, zaczynam drżeć. Dygoczę tak mocno, że nie jestem pewien, czy obrus nie zsunie się ze stołu. Ale nie czuję gniewu, tylko przerażenie. Wiedziałem, że świat jest zły, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak kurewsko zły. Teraz ukazuje prawdziwe, budzące grozę oblicze. Mam ochotę wyć. Ona tego wszystkiego nie mówiła serio. Całe to gadanie, że znowu będę chodził prosto, było zwykłym kłamstwem.

Proszę o podwiezienie jakiegoś kierowcę i jadę do domu Somraja. Nie mam pieniędzy, ale auto-wallah się nie sprzecza. Widzi, choć nic nie mówię, że sprawa jest ważna. Mam do przekazania tak niezwykłą wiadomość, że muszę pojechać tam od razu. Jeżeli śpią, będę walił w drzwi i rzucał kamieniami w okna.

Z jakim żalem wchodzę przez furtkę do ogrodu i wdycham zapach uroczynu! W domu palą się światła, więc mieszkańcy nie poszli spać. Wtem jednak dzieje się coś dziwnego. Stwierdzam, że nie mogę tam wejść, nie chcę i nie bardzo wiem dlaczego. Głosy kłócą się w mojej głowie, która jakby rozszczepiła się na dwie, przekrzykujące się wzajemnie. Głupku! - wrzeszczy pierwsza. Jeśli powiesz, coś widział, wtedy koniec z Elli, będzie musiała opuścić Khaufpur. A co z twoim chodzeniem na dwóch nogach? To, co gadasz, to *bakwaas* - odpowiada druga głowa. Nic nie tracisz, bo ona i tak nie zamierzała ci pomóc. Nie możesz teraz siedzieć cicho, nie możesz z nią trzymać. Jest obca, wkrótce wyjedzie, a twoje życie to Khaufpur i ludzie, których znasz. Czekaj! - drze się pierwszy głos. Ty sam też masz swoje brudne tajemnice, nie powinienesz zdradzać jej sekretów. Między twoimi sekretami a jej nie ma porównania - ripostuje drugi. Podglądanie nagich kobiet to coś zupełnie innego niż zdrada popełniona wobec całego miasta. Posłuchaj, mówi pierwszy, po prostu to przemilcz, a nikomu nie stanie się krzywda. Wszyscy będą szczęśliwi. Jaki widzisz tu problem? Problem, odpowiada drugi głos, polega na tym, że musisz żyć w zgodzie z sobą. Otóż to! - wykrzykuje pierwszy, tu chodzi o korzyść własną. Czy i tak nie masz dość kłopotów? Jeśli życie czegoś cię nauczyło, to tego, że należy dbać przede wszystkim o siebie.

Niekończąca się droga do domu. Księżycowa poświata kładzie się na ziemi, zalewa wszystko, znajome ścieżki stają się obce, połyskuje w rynsztokach, zmywając rzeczy małe i brzydkie, przemieniając je w cenne przedmioty. Na rogu Kurzego Pazura, gdzie *gulli* styka się z główną drogą, od co najmniej pięciu dni leży kawałek błyszczącej folii, oderwanej od torebki z tytoniem, a na samej głównej drodze, tam, gdzie się przechodzi na promenadę Kali, sterta butelek lśni jak diamenty. Na ścianie napis: „ZAPANUJE PIEKŁO” wydaje się czarny w świetle księżyca. Tuż obok widać poszarpany gumowy krąg, zużytą oponę, w której chwasty zapuściły korzenie. Jak dobrze znam *zameen* tego miasta, jego teren, z wysokości pół metra. To moja ziemia, wyrzucone rzeczy są moimi miejskimi skarbami, ta ściana świadczy o historii i o końcu historii miasta, który nastąpił niespodziewanie, bez ostrzeżenia, w noc księżycowej alchemii, taką samą jak dzisiejsza. Mijam zardzewiałą bramę, mijam napis „KAMPANI ZABÓJCA” i czaszkę. Księżyc oświetla moje ramiona i dłonie odmierzające kroki. Jestem srebrzystą bestią rzucającą czworonożny cień na mury fabryki.

Zmierzam do domu i normalnie bym przeciął tory kolejowe, docierając do bliższego krańca Orzechokrusza, a tym samym do Rajskiego Zaułka, ale istnieje krótsza droga. Tej nocy, może dlatego, że myślę o Elli, zawracam przy torach na północ i podążam wzdłuż muru aż do otworu, przez który wprowadziłem ją na teren fabryki. Zaglądając tam, widzę liście

schwywane w promienie księżycy. Dalej wita mnie smród chemikaliów. Przemykam miękko przez wysokie, suche trawy, uderzając co kilka kroków pięścią w ziemię, żeby ostrzec węże o moim nadejściu. Węży ani śladu, lecz przebywszy sto metrów gęsto rosnącej trawy, docieram do jednej z martwych stref. Nagle rozlega się ochryple warczenie. To jeden ze strażników, rozjuszony oślepiającym blaskiem księżycy, ale wiem, jak się obchodzić z psami. Postępuję krok naprzód i mówię: „Bracie psie lub siostró suko, nie wiem, które to z was, przestańcie robić *tamaasha*. Tkwę w gównie tak samo jak wy, więc się odpieprzcie i nękać kogoś innego”. Zwierzę zawraca i znika w zaroślach. Niedaleko stoi toksokhana, sterta zatrutych kamieni ze schodami prowadzącymi donikąd. Pod wpływem impulsu odnajduję drabinę i zaczynam po niej włączyć. W jednej chwili wszystko znika, ale nie od razu zdaję sobie sprawę, że to chmura przesłoniła księżyc.

Siadam na najwyższym pomoście, gdzie śmiercionośna rura zaczyna się wznosić samotnie ku niebu, i otaczam ramieniem poczerniały komin. Miasto w dole wyznaczają miliony lśniących punkcików. Połącz najjaśniejsze z nich, a otrzymasz linie głównych dróg. Wysoko nad jeziorem jaśnieje skupisko świateł, to Jehannum, nieco niżej tli się kilka słabszych światełek. To tam kilka godzin wcześniej odbywała się demonstracja. Wokół mnie tereny fabryki stanowią mroczny obszar, czarny kształt obrysowany wątlymi ognikami slumsów. Wtem w jednej chwili wszystkie światła miasta gasną, a zamiast nich pojawiają się blade świecące zarysy, trójkąty, kwadraty, wydłużone prostokąty. W Chowk błyszczą minarety i kopuła meczetu. Odnoszę wrażenie, że to wzrok płata mi figle, ale potem uświadamiam sobie, że księżyc znowu pojawił się na niebie.

Rozgrywa się bitwa między ziemią a niebem. Wojnę toczy światło ludzkie z blaskiem księżycy. Myślę o Somraju, bo jego imię oznacza pana, władcę somy, a soma to nie tylko księżyc, lecz także złociste słońce. Somraju, co się z tobą stanie? Ten zwierzak widzi wewnętrznym okiem ciebie, zmiażdżonego okrutnymi ciosami. Moja nowina cię dobije. Myślę, że umrzesz, Somraju, bo od dawna nosisz w sobie śmierć. Twój sen, który powraca, który cię nie opuszcza... Nisha mi o nim powiedziała... zawiera twoje wspomnienia z tamtej nocy, i w tym śnie wszystko się wciąż powtarza. Jesteś na ulicy, na której gęsta chmura gazu zmniejszyła światła do rozmiarów główek od szpilek. W tym mętym naftowym blasku błądzą, potykając się, konające sylwetki. Dziecko Nafisubi Alego stoi na rogu i płacze za matką. Szloch chłopca przybiera na sile, aż wreszcie w twoim umyśle zmienia się w ragę tak okrutną, że żaden instrument prócz ludzkiego gardła nie zdoła jej wyśpiewać. Ta raga napelnia cię lękiem i rozpaczą. Otwierasz usta i nie wydajesz żadnego dźwięku. Setki zmarłych leżą na ulicach, tkwią w półsiedzącej pozycji w bramach, mają otwarte usta i

śpiewają, a z ich gardeł wydobywa się w zielonych podmuchach raga śmierci, wiruje wokół nich i płynie chmurą prosto w twoją twarz. W tej zielonej palącej mgłę ginie twój świat.

Obejmuję komin, teraz zimny, przez który uleciała trucizna, niosąc miastu śmierć. Słyszę zawodzenie. Trzydzieści metrów nad moją głową wiatr hula wokół wylotu komina, śmiercionośna rura jęczy niczym gigantyczny flet. Przytykam ucho do chropowatej powierzchni i słucham. Wewnątrz rozlegają się głosy i brzmi to jak krzyk. Jest głęboka noc, słyszę w głowie wycie, od którego jeżą mi się włosy. Mam zdolność pojmowania tych rzeczy, od razu wiem, że to zmarli spod ziemi, ich popioły i kości wołające o karę dla morderców. Zmarli krzyczą do mnie, że dobra ziemia została skalana krwią. Krew zastygła w gęstych skrzepach, deszcz jej nie splucze. Krew żąda sprawiedliwości. Gdy ziemia raz posmakuje krwi, łaknie więcej, teraz trzeba zabić zabójców. Takie jest odwieczne i rzeczywiste prawo, taką cenę płaci się za mord, tego się domagają rozwścieczone duchy spod ziemi. Oddaj nam sprawiedliwość! - krzyczy krew. Przyrzeka lata klęsk i chorób, jeśli nie wywrę zemsty. Ostrzega, że moje ciało pokryją i wyżrą białe, ciekące wrzody. Nawiedzą mnie koszmary z piekła rodem zesłane przez moich zamordowanych rodziców, odrażające nocne demony, nieopisane okropności nocy. Jeśli nie wywrę zemsty, przyjdą po mnie. Bicze jak żądła skorpionów wychłoszczą moje ciało i wypędzą z ludzkiej społeczności. Nigdy więcej nie będę z ludźmi jadł ani pił. Stanę się wyrzutkiem. Nie znajdę nigdzie azylu, pomocy, ulgi w cierpieniu. Nikt nie udzieli mi schronienia. Skończę pozbawiony przyjaciół, wzgardzony przez wszystkich, a potem umrę, wycieńczony nieustannym bólem. Taką pieśń śpiewa krew. Zmarli wychodzą z ziemi wokół fabryki, zbliżają się, wyglądają tak samo jak tamtej nocy, z oczu kapie im krew i idą, idą po mnie.

Są chwile strachu i chwile, gdy trudno już dłużej znosić nacisk. Tego dnia zbyt wiele się działo. Zamęt, gorączka, zdrada, emocje i zagubienie, ja też, kurwa, mam już dość. Zwracam się do zmarłych: za kogo wy się, do kurwy nędzy, uważacie, żeby mnie straszyć tymi waszymi pieprzonymi piskliwymi narzekaniami? Gdybyście mieli taką moc, już dawno byście się sami zemścili, ale jesteście równie bezradni jak my, żyjący, potraficie tylko zawodzić w pustych kominach, nic nie możecie zrobić tym, którzy odebrali wam życie. Oni obrosną w tłuszcz, a my poumieramy, wybudują fabryki na naszych grobach i użyją naszych prochów jako cementu. I jeszcze jedno, krzyczę, zaczynając schodzić. Możecie rzucać klątwy, jakie wam się podoba, tylko że ja już straciłem swoje miejsce w świecie ludzi. Wielu mną pogardza, ale wy jesteście martwi, a ja żyję.

- Oto włókienko puchu wirujące w bździnie wiatru. Jak ono pieje, jak pieje.

Na długo przed dotarciem do domu słyszę cieniutki głos Ma wznoszący się pod samo niebo. Jest już po północy. Boję się, krzyki w mojej głowie rozbrzmiewają teraz głośniejsze. Przemykam pod foliową płachtą i zastaję Ma siedzącą na podłodze. Nuci monotonicznie do siebie.

- Wzywa świętych z morskiej otchłani, jednego, trzech, czterech, bez granic, jak wielu jeszcze, jak wielu jeszcze? Witaj, Zwierzaku.

- Ma - zaczynam - wpadłem w tarapaty.

- Przez jego łuski morze się przelewa, usłysz, jak śpiewa, tak szumią drzewa, zamknij drzwi, zamknij drzwi, cha, cha, nie ma drzwi.

Nie jest to najlepsza chwila na wysłuchiwanie tych dziwacznych bzdetów.

- Ma, gdziekolwiek przebywasz, wróć stamtąd. To ważne.

Słucha uważnie mojej opowieści.

- I co powinienem zrobić?

- Bądź tak dobry i przynieś mi moje imię. Jeszcze przed chwilą je miałam, musiałam je gdzieś odłożyć.

- Twoje imię?

- Tak, mój drogi, chyba je zgubiłam.

- A gdzie miałaś je ostatnio?

- Czytałam tam, przy lampie.

- Zaraz poszukam. - Udaję, że się rozglądam, podnoszę różne przedmioty, patrzę po kątach. - O, spójrz tylko, jest tutaj, w twojej książce. Musiałaś go użyć jako zakładki.

- Jesteś pewien? - pyta, wpatrując się we mnie mętными oczyma. - Nie widzę go.

- Tutaj. - Podnoszę z ziemi liść i rzucam w jej stronę. - Masz na imię Ma Franci.

- To wcale nie jest moje imię, tylko liść - mówi z lekkim gniewem. - Co zrobiłeś z moim imieniem? Ukradłeś je?

- Po co byłoby mi potrzebne twoje imię?

- Przecież potrzebujesz imienia, czyż nie?

- Moje imię brzmi Zwierzak.

- O, popatrz, już wszystko dobrze! - wykrzykuje Ma. - Już je mam, zajmowało mi miejsce w księdze Świjana.

Nie mogę zasnąć, rozmowa z Ma nie rozwiązuje niczego. Dowiaduję się, że w Orzechokruszu działa całe mnóstwo aniołów. Chyba planują coś na dużą skalę.

- Wszystko już ustalone - mówi. - Isa jest w drodze.

Co to za świat, na którym musisz pytać o radę obłąkanych?

Suka, jakby wyczuwając mój wewnętrzny zamęt, podbiega do drabiny i skamle, lecz nie potrafi się wspiąć. Z ciemności płynie głos Ma, śpiewający piosenkę:

*Qui vient là frappant de la sorte
Qui vient là frappant comme ça.
Ouvrez donc j'ai posé sur un plat
De bons gâteaux qu'ici j'apporte.
Toc! Toc! Ouvrez-nous la porte
Toc! Toc! Faisons grand gala*

Po chwili Ma się odzywa:

- Zwierzaku, nie śpisz? Aliya źle się czuje. Powiedziałam Huriyi, żeby ją zabrała do doktorki, ale ta stara wariatka nie zrozumiała oczywiście ani słowa. Musisz dopilnować, żeby jutro się zajęli tym dzieckiem.

Jutro, jutro, chciałbym skasować jutro.

Nad moją głową są dziury w dachu. Widzę przez nie srebrną kulę księżycy. Wyobrażam sobie wszystkich ludzi na tym świecie, którzy także patrzą teraz na księżyc, i zastanawiam się, o czym myślą.

Taśma osiemnasta

Budzi mnie drzenie ziemi. Wibracje jak wtedy, gdy pociąg przejeżdża o kilometr dalej. Wyczuwasz je stopami i dłońmi, ale nie jesteś do końca pewien, co się dzieje. Jeśli przyłożysz ucho do ziemi, usłyszysz je, przypominają warczenie. Tylko że dzisiaj to nie pociąg ani rzesze maszerujących nędzarzy, ani nawet ja - gdybyś był na tyle szalony, by przyłożyć ucho do ziemi, tobyś pożałował, bo ziemia drży teraz nie ze strachu, lecz od ognistego, piekielnego skwaru. Zaczyna się *Nautapa*.

Oczy, *Nautapa* to dziewięć tak gorących dni, że smaży się każda część twojego ciała, która dotknie podłoża. Wiesz, jak powietrze drga nad rozpaloną ziemią. No a przez te dziewięć dni powietrze tańczy tu tak gwałtownie, że nie widzisz normalnie, zupełnie jakbyś patrzył przez falującą taflę wody, ale właśnie brakuje tu wody. Trzask-prask! i znika. Przebywając na zewnątrz podczas *Nautapa*, oddychasz tak, jakbyś się znajdował w glinianym piecu. Powiadają, że te dziewięć dni zwiastują rychłe deszcze, i bardzo dobrze, bo taka udreka nie może trwać długo. Wszystko pęka, więdnie, poddaje się. Całe powietrze spod nieba i z ludzkich płuc zostaje wyssane.

Rankiem, w pierwszy dzień *Nautapa* przychodzę do Huriyi i Hanifa. Okazuje się, że Ma miała rację. Aliya kaszle, jej czoło aż płonie od gorączki.

- Czy Elli doktorka może przyjść? - dopytują się zaniepokojeni staruszkowie.

Co mam odpowiedzieć? Nie mogę ich przecież poinformować, że nie chcę stanąć twarzą w twarz z Elli zdrajczynią, poza tym ona jest zajęta. Nikt prócz mnie nie zna prawdy o niej, więc sprawy będą szły normalnym trybem. Klinikę wypełni tłum ludzi czekających na badanie.

- Aliya musi tam sama pojechać - mówię. - Zabiorę ją.

Nie wyobrażam sobie, jak to zrobię. Auta, które wożą klientów za opłatą, nie przyjeżdżają do tej części Orzechokrusza, ale i tak nie miałbym czym zapłacić. Mógłbym pobiec do Kurzego Pazura i poszukać Bhoory, nie wiadomo jednak, czy go tam znajdę, a w dodatku zajęłoby mi to dużo czasu. Sąsiadów, którzy mogliby zawieźć Aliyę na rowerze, nie ma w domu. Kilka drzewi dalej stoi zardzewiały rower, lecz jeśli nawet jest na chodzie, Huriya

nie zdoła z niego skorzystać, a Hanif jest ślepy. Co do mnie, mimo moich wszystkich przechwałek nie potrafię jeździć na rowerze ani nawet go popychać.

- Mogę iść - proponuje Aliya, ale na zewnątrz jest okropnie. Do przejazdu kolejowego prawie półtora kilometra, a droga prowadzi obok fabryki. Nie ma jednak innej możliwości, więc wyruszamy. Tuż za progiem uderza w nas żar.

- Oprzyj się o mnie - polecam jej. - Przystaniemy, kiedy się zmęczysz.

- Nie mogę cię trzymać za rękę - mówi. - Przewrócisz się.

- Racja. No to przytrzymaj się tutaj.

Auć! Ziemia parzy jak rozgrzany metal. Mam ochotę tańczyć, przeskakiwać z cienia na cień, ale biedny dzieciak ledwo dyszy, otwiera szeroko usta, a jego ręka na moim karku przypomina płomień, gorąca i gniewna. Czuję się jak wtedy, gdy mój grzbiet zaczął się wykrzywiać.

- Posłuchaj, Aliyo, opowiem ci pewną historię, którą usłyszałem od Ma. Żył sobie raz człowiek o imieniu Jacotin, który miał olbrzymi nos. Był samotny i nikt z nim nie mieszkał.

- Nie miał żony? - pyta Aliya, dzielna z niej dziewczynka.

- Nie, nigdy się nie ożenił. Był, no wiesz, takim trochę prostaczkiem.

- Jak ty.

Aliya utyka. Ziemia gryzie nasze stopy rozżarzonymi zębami.

- Ja? Co za bzdura. We mnie nie ma nic z prostaczka. Im bardziej ten Jacotin się starał, tym mocniej odczuwał samotność.

- Babcia mówi, że jesteś lekko stuknięty.

- Naprawdę? No więc ten Jacotin słyszał muzykę, której nie potrafił usłyszeć nikt inny. Nazywał ją muzyką aniołów.

- Naprawdę. Bo rozmawiasz z ludźmi, których nie ma.

- Była to słodka muzyka, przy której melodie ludzkie wydawały się mdłe i nudne.

- Zwierzaku, kręci mi się w głowie.

- Aliyo, posłuchaj. - Bardzo się o nią boję. - Teraz będę koniem, a ty pojedziesz na mnie.

Przystajemy w cieniu muru i szukamy punktu oparcia, z którego Aliya mogłaby się na mnie wdrapać.

- Aliyo, obejmij mnie za szyję i trzymaj się mocno moich włosów.

Ruszam w dalszą drogę z drobnym, rozgorączkowanym ciałkiem na grzbiecie, myśląc, że już wkrótce spotkamy kogoś, kto nam pomoże.

Wszystko sprowadza się do liczenia kroków. Człowiek może liczyć: lewa, prawa,

lewa, prawa. Ale przy czterech kończynach, kiedy jest: lewa, skok, prawa, skok, to nie takie proste. Przez następne sto kroków myślę o wodzie. Nie ma wody. Sto kroków to za dużo, rób po dwadzieścia, myśl o miękkiej trawie. Trawa na terenie fabryki jest teraz wysoka i sucha, trawa wokół Jehannum zeszłej nocy pachniała ziemią, deszczem, który pada z ogrodowych węży zamożnych ludzi. Ostatnia noc. Tak bardzo pragnąłem, żeby jej nie było. Jak mam przekazać wiadomość? Nie starczy mi odwagi, by stanąć przed Somrajem, więc powinienem zawiadomić Niszę, ale nie chcę jej martwić, dlatego muszę powiedzieć o tym Zafarowi, bo on będzie wiedział, co robić.

Na Boga, jak boli każdy krok. Aliya pojękuje, obawiam się, że spadnie. A szlak jest pusty. Nie mogę unieść głowy, by sprawdzić, ile jeszcze do drogi, wczepiła palce w moje włosy, mógłbym ją niechcący zrzucić. Przycisnęła się do mnie tak blisko, że czuję łomot jej serca. Bije bardzo szybko. Farouq powiedział mi kiedyś, że serce musi uderzyć pewną liczbę razy. Prowadzi obliczenia i kiedy już zrobi swoje, zatrzymuje się i nie uderzy nigdy więcej. Uważał, że najlepiej zmusić serce do powolnego bicia. W ten sposób wydłuża się życie. A ja powiedziałem, że ktoś może zapytać, po co komuś takiemu jak ja wydłużone życie. Tymczasem serce Aliyi bije w przyspieszonym rytmie, a ja chyba nigdy nie dotrę do drogi.

Ile czasu mogło upłynąć? Nie wiem, ale w końcu słyszę jakieś głosy i zaczynam wzywać pomocy. Nadbiegają ludzie. Jacyś mężczyźni zdejmują Aliję z mojego grzbietu i dokądś niosą, podczas gdy ja wlokę się z tyłu, pokryty pęcherzami.

Gdy docieramy wreszcie do kliniki, jestem wykończony. Miriam Joseph rzuca jedno spojrzenie na Aliję i biegnie po Elli, która zaczyna wściekać się na mnie.

- Powinieneś był zatelefonować! Ona mogła umrzeć - mówi rozzłoszczona.

Nie patrzę na nią, w tej chwili na pewno odgrywa komedię, bo inaczej by nas tak podle nie zdradziła. Nic nie mówię. Nie mam jej nic do powiedzenia. Jaki sens mówić, że w Orzechokruszu nie ma ani jednego telefonu? Odwracam się bez słowa i przechodzę na drugą stronę drogi do domu Nishy, gdzie mogę obmyć dłonie i stopy chłodną wodą.

Dopiero wieczorem przychodzi Somraj z wiadomościami. Aliya czuła się tak źle, że Elli postanowiła zostawić ją w szpitalu. To oczywiście przeraziło małą. Jak wszyscy khaufpurczycy wierzy, że ze szpitala się nie wychodzi, więc Elli trzymała ją przez cały dzień we własnej sypialni, okładała lodem, włączyła wentylatory i podawała lekarstwa na obniżenie gorączki. Do wieczora temperatura spadła. Elli odwiozła dziecko do domu autem Bhoory i przykazała mu przywozić Aliję i jej babcię Huriję do kliniki codziennie rano przez następny tydzień. Przysłała po mnie, żebym przyszedł i pozwolił sobie obejrzeć ręce i stopy.

- Jest już bardzo późno. - Nie pójde tam, kurwa, za żadne skarby.

- Elli czeka - mówi Somraj.

- Proszę pana, muszę wracać do domu, inaczej Ma nie dostanie dzisiaj nic do jedzenia.

- Nie wygłupiaj się - wtrąca Nisha. - Jak dojdiesz do domu w takim stanie?

Zapewniam, że czuję się znacznie lepiej. Moje ręce i stopy są dość twarde. W każdej innej porze niż *Nautapa* nie byłoby żadnego problemu.

- Musisz pójść do Elli - oznajmia Nisha. - Po naszym zebraniu Zafar odwiezie cię do domu. Przygotuję jedzenie dla Ma.

No i czy można odmówić Nishy? Żeby się jej przypodobać, obiecuję, że pójde, ale tak naprawdę siadam przed domem Somraja i słucham głosów rozbrzmiewających wewnątrz.

- Bez przemocy - mówi Zafar. - Nalegam, żeby nie było żadnej przemocy.

Pod słuchuję i martwię się jednocześnie, że minął cały dzień, odkąd zauważyłem Elli całującą się z prawnikiem. Trudniej jednak teraz cokolwiek powiedzieć, bo musiałbym wyjaśnić, dlaczego od razu ich nie zawiadomiłem. Może powiem Zafarowi, kiedy będzie mnie odwoził do domu. W tej chwili gada jak najęty. Słyszę jego głos. Opowiada wszystkim, czego dowiedział się od swoich szpiegów.

„Tylko ślepe naboje w powietrze, sir”, poinformował rozwścieczonego premiera szef policji. Strzelanina spowodowała nader kłopotliwą sytuację. Premier wygłosił wcześniej oświadczenie, w którym zawarł wyrazy ubolewania. Szczęśliwie obyło się bez ofiar, należy powściągnąć emocje, zostanie podjęte dochodzenie i inne stosowne działania. Zafar twierdzi, że uniknęli aresztowania tylko dlatego, iż z powodu Amrikanów w mieście i interesu do ubicia ostatnią rzeczą, jakiej premier pragnął, są dalsze protesty i dziwnikarze zadający pytania. Ale kłopotów i tak nie uniknie. Rzucający kamieniami tłum szturmował posterunek policji Narayan Ganj. Somraj i członkowie komitetu wysłali ludzi do najuboższych dzielnic, by uspokoiли nastroje.

- Kiedy się zacznie - powtarza Zafar - musimy się obejść bez przemocy.

- Tego nie gwarantujemy - zastrzega ktoś. - Ludzie są wściekli.

- Czemu nie mieliby być wściekli? - odzywa się kobiecy głos. To Nisha. - Czekali dwadzieścia lat. I na co? Na taką zdradę?

Zafar zaczyna:

- Przyjaciele, jest tak. Jeśli pozwolimy, by zawładnął nami gniew, jeśli złamiemy prawo, ustawimy się na tej samej pozycji co Kampani. Posłuchajcie, to nas spotkała niesprawiedliwość wyrządzona przez nich, czyli przez Kampani. To my szukamy sprawiedliwości, więc nie przystoi nam łamać prawa. Przyjaciele, khaufpurskie media - lub

przynajmniej ich część - mogą być nam przychylne, ale na świecie Kampani jest potęgą. Kampani ma do dyspozycji armię lobbystów, agencje PR, wynajętych redaktorów piszących artykuły wstępne. Musimy zachowywać się nienagannie, bo inaczej od razu powiedzą: „Ci ludzie są ekstremistami”, a stąd już tylko krok do stwierdzenia: „Ci khaufpurczycy to terroryści”...

Następnie opowiada, jak w Amrice Kampani zorganizowało pozorowany atak na jedną ze swoich fabryk.

- To było ćwiczenie. Policja, FBI, straż pożarna, zmobilizowali wszystkie służby. Zaprosili reporterów i powiedzieli: „Patrzcie, tak się rozprawiamy z terrorystami”. Domyślcie się, kim byli ci „terroryści”? W historii podanej do wiadomości przez Kampani byli protestującymi khaufpurczykami. Według wymysłów Kampani khaufpurczycy wzięli zakładników i zażądali kawy, a potem uśmiercili jednego z nich, ponieważ kawa im nie smakowała.

- A co z nią było nie tak? - pyta ktoś.

- Pewnie za mało kardamonu - zgaduje ktoś inny.

I rozpoczyna się dyskusja w typowo khaufpurskim stylu, ile kardamonu należy dodać do kawy i czy szczypta soli poprawia smak.

- Nie była wystarczająco ciepła - mówi Zafar.

Cisza, chwila niedowierzania, a potem w pokoju rozkwita róża śmiechu. Zafar zabiera głos:

- Przyjaciele, pomyślcie chwilę, co się tutaj naprawdę dzieje. Czym w istocie jest terror? Zgodnie ze słownikiem jest to dojmujący lęk, gwałtowne przerażenie oraz wszystko, co je wywołuje. Tamtej nocy nasi pobratymcy poznali terror wykraczający poza określenia ze słownika. Kto to spowodował? Nasi pobratymcy ciągle odczuwają dojmujący lęk, gwałtowne przerażenie, bo nie wiedzą, jakie okropności mogą się jeszcze rozwinąć w ich ciałach. Kto odmawia informacji o charakterze medycznym? Nasi ludzie pragną sprawiedliwości przed sądem. Kto szydzi ze sprawiedliwości, odmawiając stawienia się w sądzie? Terroryści to ci, którzy wywołują terror, narażają życie niewinnych ludzi, nie szanują prawa. Jedynymi terrorystami są w tym przypadku przywódcy Kampani.

- Dziwny to świat - mówi ktoś - na którym Kampani dokonuje aktów terroru, a potem nas, ofiary, nazywa terrorystami.

- Trzeba by powywieszać tych sukinsynów - stwierdza ktoś inny.

- Żadnej przemocy - oznajmia Zafar. - Ani teraz, ani nigdy. Posłuchajcie, może się tak zdarzyć, że nigdy nie wygramy z Kampani. Może nawet nie uzyskamy sprawiedliwego

wyroku. Ale jeśli ci źli ludzie unikną kary, pozostaną nadal niktami z krwią na rękach i w głębi serca dobrze o tym wiedzą. Cokolwiek się stanie, są skończeni, mają już obumarłe dusze.

Bądź pochwalony, święty Zafarze. Co za pieprzony bohater. Orędownik dobra i prawdy, gotów oszczędzić nawet wroga. Nie kupuję tego, mowy nie ma. Oczywiście, powiedziałem, że podziwiam Kampani, lecz na myśl o tym, co ci ludzie zrobili, w jaki ohydny sposób odebrali życie moim rodzicom i zostawili mnie samego na tym świecie, wypełnia mnie tak wielka nienawiść, że omal nie rozrywa mi skóry. Podli są ponad wszelką miarę. Czyż sam nie widziałem dowodu ostatniej nocy w ogrodach Jehannum? Zwierzę nie podlega ludzkim prawom, rozkroję im gałki oczne, wyrwę języki rozżarzonymi szczypcami, nasram im do ust. Krew przelewa się przez moje serce, kręci mi się w głowie z wściekłości. Po krótkiej chwili gniew mija, jestem jak worek z kozłej skóry, jak bukłak napełniony żalem.

Teraz przemawia Nisha:

- Zafarze, mój ukochany, kiedy smutek i ból zmieniają się w gniew, kiedy złość staje się równie bezużyteczna jak nasze łzy, kiedy ci przy władzy ślepną, głuchną i milkną w naszej obecności, co wtedy powinniśmy zrobić? Każesz nam wyzbyć się gniewu, stłumić gorycz, zachować cierpliwość w nadziei, że pewnego dnia sprawiedliwość zwycięży? Czekamy już dwadzieścia lat. A kiedy rząd, który ma nas bronić, nagina prawo na naszą niekorzyść, po co nam to prawo? Czy musimy go przestrzegać, podczas gdy nasi przeciwnicy manipulują nim, jak chcą? To już nie jest gniew, Zafarze, tylko desperacja, która szepcze: jeśli prawo staje się bezużyteczne, czy to ma znaczenie, że je przekraczamy? Co nam innego pozostaje?

Tu następuje długie milczenie. Nikt nie wypowiada ani słowa. Nikt nie potrafi otworzyć ust. Wreszcie rozlega się zmęczony głos Zafara:

- Nic nam nie pozostaje.

- No więc, co dalej?

- Co dalej? Będziemy walczyć. My zawsze walczyliśmy. Nie poddajemy się.

- Ludzie się poddają - przypomina Nisha. - Robią to, kiedy nic już im nie zostaje.

Między nimi wciąż toczy się prywatna wojna, która zaczęła się dawno temu, na długo przed tym dniem.

- Zawsze zostaje coś, co można oddać - mówi Zafar.

- Zafarze, mój ukochany, nie zostało już nic.

I wtedy Zafar wypowiada piękne słowa:

- *Jahā jaan hai, jahaan hai*. Póki żyjemy, póty mamy świat.

Słowa te budzą dreszcze na moich wykrzywionych plecach, chce mi się płakać.

- *Wah, wah* - wrywa mi się, zanim zdolałam się powstrzymać.

- Kto to? Kto tam jest?

No i wciągają mnie do pokoju.

Pokój muzyczny wypełniają ludzie. Nisha stoi i wpatruje się w Zafara, który siedzi obok jej ojca i patrzy na własne stopy.

- Czy każesz ludziom oddać życie? - pyta Nisha. - Powiedz to teraz, otwarcie, publicznie. Zafarze, czy oddałbyś własne życie?

Zapada niesamowita cisza, równie długa jak poprzednia, po czym ten głupiec odpowiada:

- Przecież wiesz, co powiem. Tak, oddałbym je.

Gdy Zafar to oznajmia, Nisha wychodzi z pokoju. Nikt inny się nie porusza ani nic nie mówi. Zawiadamiam ich, że pójde za nią. Jest w kuchni, gdzie zwykle jadamy, ona i ja. Stoi odwrócona do mnie plecami, trzyma w ręce nóż i kroci cebulę, sieka ją na plasterki.

- Nisha?

- Ach, to ty. - Wydaje się rozczarowana, jakby miała nadzieję, że przyjdzie ktoś inny.

- Co się dzieje? O co tu chodzi? Nie płacz, Nisho.

- To przez cebulę.

Widok jej łez rozdziera mi serce.

- Z tego wykluje się coś dobrego.

- Co na przykład? - Jej usta wypełnia proch po dawnych nadziejach.

W obliczu rozpacz i beznadziejności rozumiem nagle, co Zafar miał na myśli przed chwilą w muzycznym pokoju.

- Nisho, czy zemsta musi ci zniszczyć życie? A co z Ratnagiri, z dziećmi, z małym domkiem nad morzem?

Odwraca się do mnie.

- Zwierzaku, czy ty myślisz, że lubię być mieszkanką Khaufpuru? Otóż nie. Nie jestem bohaterką, która walczy o sprawy innych. Nie jestem jak Elli, która przyjechała tu z własnej woli, z własnego wyboru. Utkwiłam w tym, bo się tutaj urodziłam. Ta walka będzie trwała, teraz i nadal. Będzie się toczyła nawet po nas. Jeśli wyrosną tu nasze dzieci, ich życie też zniszczy.

- Więc opuścimy Khaufpur. Wszyscy. Dlaczego mielibyśmy tu zostawać? Czy tylko dlatego, żeśmy się tu urodzili? Jedźmy do Ratnagiri. Jedźmy i zapomnijmy o tym okropnym miejscu.

- Teraz ty snujesz marzenia.

- Czemu? Kampani ma wszystko po swojej stronie, nawet naszych polityków. My, khaufpurczycy, gównu mamy. Po co poświęcać całe życie przegranej sprawie?

Nisha znowu płacze. Tym razem nie może zrzucić winy na cebulę.

- Zgubiłem się - mówię. - Proszę, powiedz mi, dlaczego jesteś taka nieszczęśliwa.

Unosi rąbek bluzki i ociera oczy.

- Dla mnie nie będzie Ratnagiri ani dzieci.

- Przestań. Dlaczego mówisz takie rzeczy?

- Zwierzaku, jeśli ci powiem, nie możesz tego powtórzyć nikomu. Nikt z zewnątrz jeszcze o tym nie wie. Przyszekasz?

- Przysięgam.

- Zafar zamierza podjąć strajk głodowy. Aż do śmierci.

- Strajk głodowy? - Słyszając to, wybucham śmiechem. - Strajk głodowy?! Kochanie, otrzyj łzy. On blefuje, to szopka. Każdy skorumpowany, zepsuty polityk podejmuje strajk głodowy co najmniej raz w trakcie swojej kariery. To wręcz obowiązkowe. Zawsze jakoś da się wytłumaczyć szlachetnemu skurwysynowi, żeby w porę zaprzestał głodówki. Nie martw się, Nisho. Zafar nie jest szaleńcem. Da temu spokój po kilku dniach, kiedy postawi na swoim.

- Wiesz, że Zafar nie jest taki - odpowiada. - Dał słowo. Zobowiązał się, że nie przestanie, dopóki nie zwycięży.

Teraz rozumiem jej strach. Zafar nie kłamie, a kiedyż to my, *le peuple de l'abîme*, wygraliśmy cokolwiek? Stanie się pokarmem dla robali ten, kto kiedykolwiek zaplanuje coś podobnego.

- Możesz go powstrzymać - mówię jej. - Chyba tylko ty jedna.

- On uważa, że nie powinnam, ale jak mam nie próbować? Przecież nawet nie czuje się dobrze. Ciągłe ma te bóle żołądka. Okropne skurcze i koszmarne sny. Nie polepszy mu się, a politycy nie dadzą za wygraną. Kampani proponuje im tyle pieniędzy, że nie zdołają się oprzeć. Zwierzaku, obawiam się, że go stracę.

Moje kochanie zakrywa twarz dłońmi. Ona naprawdę wierzy, że ten dupek jest wystarczająco stuknięty, by to zrobić, a co do bólów żołądka, zachowuję milczenie pełne poczucia winy. Co mogę powiedzieć? Nigdy dotąd nie uświadamiałem sobie, jak wiele mam przed Nishą tajemnic. Ociera oczy.

- Dzięki Bogu będzie przy nim Elli.

- Tak, dzięki Bogu.

Złośliwy głos szepcze w mojej głowie: Wyznaj wszystko teraz, a pozbawisz Zafara

opieki medycznej. Zafar sam by chciał, żebyś przemówił - wtrąca inny głos. Jeśli chce się zabić, to czym się zajmujesz? Odzywa się trzeci: Jeśli nie powiesz, wyświadcysz Zafarowi przysługę, a prócz tego przyniesiesz korzyść własnym plecami. Przestań, nakazuję sobie, bo naprawdę nie mogę zwać tych wszystkich myśli na moje głosy. Gdy tylko się zorientuję, co jest dla mnie najlepsze, zrobię to, co mam do zrobienia.

- Przepraszam, tak mi przykro - mówię głośno. - Jestem podłym, wrednym sukinsynem.

- Za co przepraszasz, kochany Zwierzaku? - pyta Nisha, uśmiechając się do mnie przez łzy. - Przecież nie zrobiłeś nic złego.

Taśma dziewiętnasta

Głodówka zaczyna się w otoczeniu stadka dziwnikarzy i fotografów na chodniku przed khaufpurskim sądem, gdzie za kilka dni ma się odbyć rozprawa. Zafar wygłasza przemówienie do kamer. Bla, bla, sprawiedliwość, bla. Do jego głodowego protestu na śmierć i życie przyłączają się dwie kobiety ze slumsów w pobliżu fabryki. Jedną znam. To Devika, która czasami dawała mi słodycze, kiedy byłem mały. Druga mieszka w dzielnicy zwanej kolonią Błękitny Księżyc. Jej dzieciak zachorował od picia skażonej wody. Ku memu zdumieniu występuje naprzód czwarty uczestnik strajku. Jest nim Farouq. Po raz pierwszy mój wróg numer jeden wygląda poważnie, a nawet godnie. Ma na sobie białą bluzę i spodnie, głowę obwiązał opaską z czarnego materiału, jaką włożył podczas przejścia przez ogień. Zafar jest ubrany podobnie, tylko na głowie ma czerwony turban.

Gmach sądu znajduje się w starej części miasta za Chowk, niedaleko jeziora. To duża budowla z żółtego kamienia. Na czarnych żelaznych poręczach wywiesili transparent z żądaniem sprawiedliwości, zapowiadający głodówkę aż do śmierci. Naprzeciw rozpościera się niewielki zakurzony plac. W falującym cieniu czterech tamaryndowców ustawiono namiot, to tam Zafar i jego ekipa będą protestowali. Wokół namiotu koczuje ponad setka kobiet w barwnych sari i czarnych burkach z takich dzielnic, jak Orzechokrusz i Jyotinar. One również przyszły na demonstrację przed domem premiera. „ŻADNYCH UKŁADÓW” - mają napisane na transparentach.

Gdy wreszcie dziwnikarze się nudzą i spierdalają w siną dal, czwórka głodujących przemyka na drugą stronę drogi między „gówno mnie to obchodzi” ciężarówkami i szalącymi, rozpędzonymi autami, po czym wszyscy zajmują miejsca wewnątrz namiotu niczym grupa mędrków. Zdrajczyni Elli czeka tam z Nishą, której twarz jest jak zwierciadło niedoli.

- Stanowczo wam to odradzam - zwraca się Elli do całej czwórki, a oni słuchają uprzejmie, lecz obojętnie. - Ale jeśli się przy tym upieracie, musicie pić dużo wody, co najmniej dwa litry dziennie, plus elektrolity. Będą wam potrzebne w tym upale.

- Elektro co? - pyta Devika.

- Ach, to tylko wymyślna nazwa dla odrobiny cukru i szczypty soli. Nie zaszkodzi też trochę wyciśniętego soku z limony. Będę was regularnie odwiedzała, pobierała co kilka godzin próbki moczu i badała ciśnienie krwi.

- Jeśli doktorka *sahiba* - wtrąca Nisha - dostrzeże jakieś niepokojące oznaki, każe wam przestać i musicie jej usłuchać. - Normalnie powiedziałyby „Elli”, teraz mówi „doktorka *sahiba*”. Kogo Nisha próbuje przekonać? Czy może jest aż tak zdesperowana?

- No dobrze, wyjaśnię, co się będzie z wami działo - mówi Elli zdrajczyni. - Przez kilka pierwszych dni wasze ciała wyciągną z mięśni i wątroby zapasy łatwo dostępnej energii. Nazywa się to glikogen. Zaczniecie szybko tracić na wadze. Po utracie glikogenu ciało zaczyna karmić się masą mięśniową. W to wchodzi również mięsień serca. Kiedy wyczerpie się masa mięśniowa, ciało spala ketony wytworzone przez rozkładające się tłuszcze. To także produkuje mnóstwo toksyn. Gdy ciało zużyje cały tłuszcz, popada w stan topnienia. Nie pozostaje mu nic prócz organów wewnętrznych, ale już wcześniej zaczynają się poważne uszkodzenia. W tym upale prawdopodobnie po dwudziestu dniach narazicie się na prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Do rozprawy pozostało pięć dni. - To mówi Zafar. Chodzi mu o to, że nasi wrogowie będą musieli podpisać umowę przed rozprawą sądową, co przypada szóstego dnia rano.

- Pięć dni wytrzymacie - stwierdza Elli i każdy może usłyszeć ulgę w jej głosie. - Będzie wam niezbyt dobrze, ale pijcie dużo wody, to nic złego się wam nie stanie.

Cała czwórka spogląda po sobie, a potem Zafar kiwa na mnie. Wlokę się, szurając, w jego stronę, a on szepcze:

- Zwierzaku, zabierz stąd Niszę.

- Dokąd? - pytam, speszony tą tajemniczością.

- Dokądkolwiek - odpowiada. - Po prostu zabierz ją na pewien czas.

Więc drepczę na czworakach do Nishy, która obserwuje nas z podejrzliwością niczym rój much osiadającą na jej twarzy.

- Nish, chodź ze mną na chwilę.

- Co? Dlaczego?

- Muszę ci coś pokazać.

- Co?

- No, właściwie to nie pokazać - wyjaśniam, usiłując wymyślić coś, w co mogłaby uwierzyć. - Zafar chce, żebyśmy coś dla niego załatwili.

- Co mamy załatwić? - pyta, marszcząc brwi.

- Potrzebuje skarpetek.

- Skarpetek? Oszalałeś?

- Martwi się, że spuchną mu stopy, więc trzeba mu kupić kilka par skarpetek.

Nisha patrzy na mnie jak na wariata.

- No to pójdziemy po nie później.

Spoglądam na Zafara i wzruszam ramionami, co przyjmuje z rezygnacją.

- Dobrze, a zatem nadszedł czas, żeby wam powiedzieć. - Wskazuje ręką butelki z wodą ustawione w tylnej części namiotu. - Nie będą nam potrzebne. Mamy mało czasu, musimy wywrzeć maksymalny nacisk. Postanowiliśmy nie pić też wody.

- Nie! - Nisha pada na klęczki obok Zafara, obejmuje go i powtarza: - Nie! Nie zrobisz tego.

On chwyta ją za ręce, szepcze jej coś do ucha, ona zaś nagle słabnie. Dziwny widok. Bo to ona jest twarda, ona podtrzymuje go w chwilach rozpacz, teraz jednak klęczy i prosi, i nikt z nas nie wie, co robić.

- Musimy postąpić w ten sposób, ponieważ nie ma czasu.

Wśród przyjaciół i życzliwych osób zapada milczenie, w końcu Elli wypowiada głośno to, co wszyscy myślą:

- Zafarze, w tym upale to samobójstwo. Bez wody przeżyjecie najwyżej trzy dni.

- Potrzeba nam tylko pięciu - oznajmia święty Zafar.

- Błagam cię - mówi ona - nie rób tego.

O, ty zdrajczyń, co za hipokryzja! Nic cię nie obchodzi, co się z nim stanie. Powinienem teraz powiedzieć tym wszystkim ludziom prawdę o tobie i amerykańskim prawniku. Ale milczę. Od dwóch dni walczyłem z własnym sumieniem, nie potrafię się zdecydować, co robić. Jeśli trudno ci, Oczywiście, zrozumieć taki egoizm, rozważ, co by było, gdybyś był czworonogiem i otrzymał szansę zostania człowiekiem? Bez Elli moja szansa przepada, lecz tym razem ta sama niewierna Elli wygląda tak, jakby miała zacząć popłakiwać. Usta ma wykrzywione, powieki nad jej zbyt blisko osadzonymi oczami trzepoczą jak skrzydła ćmy.

- Zafarze, proszę, daj mi szansę - mówi, co brzmi dziwnie, jakby sama potrafiła rozwiązać jego problem.

Nisha pierwsza odzyskuje przebłysk dawnej siebie.

- Ty głupku - odzywa się. - Czy chcesz umrzeć?

To rzekłszy, wychodzi z namiotu i pozostawia nas, którzy mamy dotrzymywać towarzystwa głodującym.

Witajcie w piekle. Słońce pierwszego dnia głódówki płonie niczym otwór paleniska, wylewając na miasto roztopioną lawę nieszczęścia. Skwar *Nautapa* jest obezwładniający. Już przed południem temperatura wynosi 45 stopni Celsjusza. Wszędzie w rozmowach dominują dwa tematy. Pierwszy to upał, a drugi - strajk głodowy. O piątej po południu Elli wraca, by zbadać protestujących. Zaledwie po kilku godzinach ich oczy są jak papier ścierny, szukają mruganiem wilgoci, która dawno już wyparowała z ciała.

Nie można się porozumieć z Zafarem, siedzi w kucki i czyta gazety, które mu przynoszą, a mówiąc do ludzi, spogląda znad oprawek okularów. Rozmawia przez telefon komórkowy, wykonując codzienne zajęcia.

- Odczuwacie teraz tak wielkie pragnienie, że nie zauważacie głodu - wyjaśnia Elli całej czwórce - ale już wkrótce możecie zatracić poczucie łaknienia, a nawet pragnienia. To nie jest korzystne. - Opowiada, co wie o głódówkach, o stopniowym wyniszczaniu ciała. - W Irlandii więźniowie przetrzymywali sześćdziesiąt dni o samej wodzie, zanim umarli, ale znacznie wcześniej pojawiała się u nich ślepotą i inne nieodwracalne uszkodzenia. Głódówki tureckich więźniów potwierdziły te ponure statystyki. Oni jednak pili wodę. Prawie nie ma danych na temat głódówek bez wody. W dodatku w tym potwornym skwarze ciało wysycha i słabnie w ciągu dwóch, trzech dni. - Wciąż na nowo próbuje uświadomić tej czwórce, jak samobójczą podjęła decyzję. - Jesteście teraz w takiej samej sytuacji jak ludzie, którzy zgubili się na pustyni bez wody i jedzenia, tylko że wy poszliście na nią z własnej woli.

- Czymże jest Khaufpur, jeśli nie pustynią? - odpowiada któraś z kobiet, a ktoś inny dodaje:

- *Wah, wah.*

Wszyscy w namiocie kiwają głowami. Widzę wyraz twarzy Elli, wiem, co sobie myśli: że oni wszyscy wkrótce się przekonają, jak trudno jechać na samej retoryce. Choć mieszka ta Elli wśród nas i mówi w naszym języku, o nas, khaufpurczykach, nie wie w sumie prawie nic.

Wszyscy w Khaufpurze rozmawiają o Zafarze. Co za cholerny bohater. Nie, żeby wcześniej nikt go nie znał, ale teraz każdy gnojek podaje się za jego najlepszego przyjaciela. Zafar *bhai*, który wszystko oddał ubogim. To odwieczne zawołanie zyskało teraz nowy ton, ponieważ jeśli ktoś go nie powstrzyma, ten świrnięty skurwysyn poświęci własne życie. Farouq, Devika i Błękitny Księżyc stali się nowymi świętymi i ich zdjęcia wiszą w całym mieście tuż obok portretów Zafara. Czwooro przyszłych męczenników.

Nagle każdy staje się ekspertem od głódówki. No cóż, oczywiście niemal wszyscy są

nimi, choć nie z wyboru.

- Księżyc jest w pełni - stwierdza Ramprasad, sprzedawca owoców. - To mąci rozum i zaburza myśli. Ludzie wariują. Najlepszym sposobem, żeby sobie z tym poradzić, jest głodówka bez wody. Taki proces obniża poziom płynów w ciele i wtedy ciecz z mózgu spływa niżej, dzięki czemu nie odczuwa się obłądnego wpływu księżyca.

- Nieszczęsny kretynie, o czym ty gadasz?

- Co, Zwierzaku? Zrobił się z ciebie medyczny ekspert?

Nie, ale czas już odkryć coś nieoczekiwanego i przerażającego, a mianowicie że zaraziłem się chorobą zwaną wyrzuty sumienia. Widząc rozpacz Nishy, uświadamiam sobie, że nie pragnę śmierci Zafara, a w dodatku muszę przyznać, że podziwiam tego dupka. Przynajmniej w pewnej mierze. Zawsze był dla mnie uprzejmy i bez niego to miasto już nigdy nie będzie takie samo.

Zafar pości już od trzech dni, a Elli zdrajczyńni twierdzi, że jeśli wkrótce nie przestanie, to umrze. Jego ciało zaczęło pochłaniać samo siebie i krew uderza mu do głowy. Ma silne skurcze, które, jak powiedział Faqri, mogą być skutkiem podawania mu ekstraktu bielunia. Od wczoraj te objawy osłabły, co oznacza, że Faqri ma zapewne słuszość. A Farouq okazuje się twardzielem.

- Dzisiaj jest lepiej niż wczoraj - oznajmia z uśmiechem, kiedy go odwiedzam.

Ma spękane usta, a jego oddech brzmi jak podmuchy wiatru w gałęziach ciernistego drzewa. Wszyscy opowiadają sobie dowcipy i folgują językom, podtrzymując starą khaufpurską tradycję. Tłum mieszkańców miasta śpiewa *Hillélé* i tym podobnie, próbuje dodać im ducha żartami. Jest piątek, czwarty dzień *Nautapa*, 48 stopni Celsjusza. Po południu Devika, ta z Orzechokrusza, mdleje i wywożą ją do szpitala. Kobiętę z Błękitnego Księżyca do przerwania głodówki przekonuje rodzina. Zafar i Farouq kontynuują protest. Są wyczerpani i po południu obaj już śpią. Nisha, przerażona i wstrząśnięta, podejmuje ryzykowną akcję. Zakrada się do nich z mokrą szmatką, ociera im twarze i wyciska kilka kropel wody na ich wargi. Co zrobił Farouq, nie wiem, ale Zafar budzi się natychmiast. Jest bardzo rozgniewany, otwiera usta, by nakrzyczeć na Niszę, ale wydaje tylko chrapliwy skrzek. Co ona robi? Nisha, bliska płaczu, odpowiada, że obydwaj z Farougiem powinni położyć kres tej udreće.

- Zachowujesz się jak dziecko - karci ją Zafar.

Ma popękane usta, spuchnięty język. Jego głos brzmi jak po opiciu się *daru* i wygląd też się z tym kojarzy - zaczerwienione oczy i zmierzwione włosy. Nawet okulary ma zakurzone i nie chce mu się wytrzeć szkieł skrajem koszuli, jak to robi zazwyczaj. Już nie

czyta gazet.

- Co się z tobą stało? - pyta Nishę. - Słyszałem wcześniej żarty, że kręgosłup Zafara ma na imię Nisha. A teraz to?

- Jestem silna - zapewnia ona - i z całych sił cię błagam, żebyś dał temu spokój. Nie będziesz mógł walczyć, jeśli umrzesz.

- Dlaczego mówisz o śmierci? - pyta Zafar. - Mów o zwycięstwie.

- Myślisz, że jesteś silny - ona na to - ale nie jesteś. Poddanie się to poddanie, i tyle. Poświęcasz życie. Ci Kampani-wallahowie nie są poruszeni. Śmieją się z ciebie. Składasz im dar z własnego życia.

Kiedy to mówi, wpatruję się w twarz Zafara i wydaje mi się, że dostrzegam na niej znużenie. Wie, że Nisha ma rację. Dociera do mnie, iż robi to, gdyż jest już zwyczajnie zmęczony walką, a tylko w ten sposób może się z niej wycofać z honorem. Nie wspieraliśmy go dostatecznie, nie docenialiśmy jego wieloletnich zmagania, a teraz jest po prostu już zmęczony. Ale ten człowiek jest mimo wszystko świętym. Już zaczyna przeproszać Nishę za to, że stracił panowanie nad sobą, teraz z kolei ona wpada we wściekłość.

- Nie oczekuj ode mnie - wrzeszczy na niego - że tu zostanę i będę patrzyła, jak umierasz! Nie chcę! Odmawiam!

- Więc musisz odejść - odpowiada nasz bohater, lecz przysięgłbym, że gdyby w jego ciele pozostała choć kropla wilgoci, stoczyłaby się z jego oka. - Proszę, nie przychodź tu więcej, dopóki nie będzie po wszystkim.

- Po wszystkim? Co to znaczy? - pyta Nisha wstrząśnięta.

- To znaczy, że jesteś moim życiem - mówi Zafar, co u tego ponurego sukinsyna jest najbliższe wyznaniu: „Kocham cię”.

Kobiety siedzące w pobliżu jęczą „ooch” i „aach”, wiele z nich płacze.

- Jeśli jestem twoim życiem - odpowiada Nisha - zabijasz nas oboje.

- Podważasz moje postanowienie - mówi Zafar. - Proszę, odejdz stąd. - Ma wyraz twarzy jak na torturach.

Nisha wstaje i odchodzi takim krokiem, jakby wlokła po ziemi własne serce i wnętrzności.

Sobota, piąty dzień *Nautapa*, 47 stopni Celsjusza. Nikt już nie śpiewa koło namiotu. Zafar i Farouq leżą na materacach, teraz już zasadniczo ciągle milczą. To ich czwarty dzień bez jedzenia i wody. Ludzie szepczą, że jest z nimi coraz gorzej, zapadają się w otchłań. Zbliża się kryzys. Co zrobią, kiedy doktorka *sahiba* rozkaże im przestać? Powszechnie

wiadomo, że zamierzają kontynuować głodówkę aż do końca. Ludzie naprawdę w to wierzą, o czym świadczy fakt, że bardzo wielu hindusów i muzułmanów podchodzi do namiotu z prośbą o błogosławieństwo. Znaleźć się w obecności świętych to jest coś. Przybywa delegacja starszych z Orzechokrusza i błaga, by przerwali protest. Odmawiają, z trudem poruszając spękanymi wargami. Ogień pragnienia, płomień głodu, ci dwaj spalają się dobrowolnie na stosie przebrzmiałej sprawy.

W porze obiadu jem swój posiłek w domu Somraja, a potem pakuję kilka placków *chapatti* i pikli, żeby je zanieść Ma Franci. Odkąd zaczął się ten dramat, nie spędzam z nią wiele czasu, a powinienem, bo z dnia na dzień coraz bardziej wariuje. Dwa albo trzy razy sąsiedzi znaleźli ją wykrzykującą coś w zaułkach i przyprowadzili do domu. Nie wiedzą, co woła, ale ja wiem, gdyż opowiada mi o tym w nocy.

- Zwierzaku, próbuję ostrzec ludzi, ale oni nie chcą słuchać. Piekło jest bliskie, otworzy się pod naszymi stopami, już chyba czujesz ten żar. *Le camp des saints et la ville bien-aimée. Un feu descendra du ciel, et les dévorera.* Obozowisko świętych i ulubione miasto, ogień spadnie z nieba i je pochłonie.

Następnie Ma potwierdza, że wszędzie pojawili się aniołowie, opanowali miasto i szykują się do decydującej rozgrywki. Wkrótce nie pozostanie już ani jeden człowiek.

Podchodzi do mnie Nisha, ma twarz czerwoną od płaczu. Przykłęka przede mną, by spojrzeć mi prosto w oczy.

- Zwierzaku, musisz przekazać Zafarowi wiadomość ode mnie. Zrobisz to?

- Oczywiście. - Wolałbym wszystko inne, ale jak jej to wyznać?

- Długo się zastanawiałam, co mu powiedzieć. Cóż mi jednak pozostaje? Kocham cię. Całym sercem i duszą.

O, to podłe z mojej strony, lecz ogień trawiący Zafara jest niczym w porównaniu z płomieniami, które mnie teraz ogarniają.

- Tak, tak - odpowiadam. - Oczywiście, że mu powtórzę.

- Powiedz, że go szanuję i podziwiam, popieram go i pragnę być jego najgorliwszą sojuszniczką - ciągnie. - Jak mogłabym zostać tu sama? Spójrz. - Pokazuje mi okrągłą czapkę, pieczołowicie wyhaftowaną niebieskimi i czerwonymi jedwabnymi nićmi. - Uszyłam ją dla niego na nasze wesele.

- Jest piękna. - Boże, jak to boli.

- Przekaż mu, że jeśli odejdzie, zabierze mnie z sobą.

- Przekażę - mamroczę.

- Myśl o jego odejściu - teraz Nisha przemawia bardziej do siebie niż do mnie -

doprowadza mnie do rozpacz. Na Kampani nie warto nawet splunąć, nie warto przez nią umierać. Gdyby znalazł się tam choć jeden dobry człowiek, jeden jedyny, którego ta ofiara mogłaby poruszyć, może byłoby warto. Ale oni będą wiwatować, kiedy się dowiedzą.

- Nie mów tak, Nish - proszę. - Nikt, do kurwy nędzy, nie umrze. Nikt nie umrze. - Ta jej gadka o odchodzeniu razem z nim napełnia mnie strachem. - Zafar tego nie robi, nigdy, przenigdy. Zastanów się, nawet on nie może być takim durniem, by uważać, że śmierć to lepsze rozwiązanie.

Ale nie mam co do tego pewności, ponieważ Zafar jest bohaterem, świętym i jego śmierć wywołałaby wrzawę, której żaden polityk nie mógłby zignorować. Słuchając słów Nishy, pragnę, żeby Zafar żył, bardzo mi na tym zależy. Żywy rywal może popełnić błędy - kto wie, czy ona nie znuży się wreszcie jego świętością - ale rywal, który umarł i na zawsze pozostał w jej pamięci? Mowy nie ma.

- Zwierzaku, tuż po Zafarze jesteś moim najbliższym przyjacielem. Przekaż mu moją wiadomość.

Zafar mówi, że nie odczuwa już głodu i czuje spokój, lecz chyba nie do końca, bo gdy przekazuję mu wiadomość, zaczyna mleć tym swoim spuchniętym językiem:

- Zwierzaku, ciągle powtarzasz, że nie musisz myśleć. Pieprzony szczęściarz z ciebie, bo myślenie demoluje mi głowę i mam wrażenie, że ona pęknie mi w końcu od tych wszystkich pieprzonych myśli. - Zafar nie zwykł przeklinać, więc jestem zdumiony. - Co to za miejsce ten Khaufpur - podejmuje - gdzie nawet niebo popadło w ruinę i deszcz, gdy nadchodzi, jest tylko pożyczką pod zastaw dawno niespłacanych długów?

I dalej gędzi w ten sposób. Jak powiadają, język nie ma kręgosłupa, dlatego potrafi wyginać się we wszystkie strony.

- Czy Khaufpur to jedyne skażone miasto? Nie. Są inne i każde z nich ma swojego Zafara. Znajdzie się Zafar w Meksyku, w Hanoi, Manili, Halabdy, są Zafarowie z Minamata i Seveso, z São Paulo i Tuluzy. I ciekawe, czy te wszystkie nieszczęsne sukinsyny są tak samo udupione jak ja.

- Co mam powiedzieć Nishy?

- Nishy? - chrypi, jakby nie potrafił sobie przypomnieć, kto to taki.

- Twojej dziewczynie.

- Gdzie ona jest? - Zaczyna się rozglądać. Ma zapadnięte oczy. Są tak suche i rozpalone, że gdy obracają się w oczodołach, spodziewam się, iż zaczną skrzypieć.

- Płacze w domu, bo zabroniłeś jej tu przychodzić.

- Czemu miałbym jej zabraniać? - pyta, piorunując mnie spojrzeniem, jakbym kłamał. Nie, gorzej, jakby to wszystko było moją winą.

- Próbowwała zwilżyć ci usta wodą.

- Woda? Proszę... - Jego głos zamiera, przez chwilę wydaje mi się, że prosi o podanie wody, lecz pewnie prosił mnie, żebym o niej nie wspominał, gdyż po chwili zaczyna od nowa, podążając ścieżką własnych myśli. - Nigdy nie przeszedłem przez ogień, bo nie kłaniam się żadnemu Bogu. Odmowa składania ukłonów to nie to samo co niewiara. Gdy spojrzysz na niedolę świata, będziesz musiał uwierzyć, że działa tu coś bardzo złowrogiego. Nie mogę czcić tak nikczemnej siły. - Spogląda na Farouqa, który śpi tuż obok owinięty prześcieradłem i przypomina zwłoki okryte całunem. - Farouq potrafi przejść przez ogień, gdyż zachowuje spokój umysłu - szepcze Zafar. - Ale teraz ogień płonie wewnątrz mnie i powiadam ci, Zwierzaku, że wypala mnie, kurwa, doszczętnie.

Przypuszczam, że Zafar nie słyszy tych słów, które wypelzają z jego ust. Zupełnie jakby był starym wyschniętym truchłem, wyrzucającym z siebie myśli, które przegryzły się przez niego od środka, zaczynając od mięśni i kości, a kończąc na duszy. Teraz są jak żuki wypadające z jego ust na ziemię. Nigdy bym się tego nie spodziewał, ale widok mojego rywala w takim stanie sprawia mi ból. To naprawdę boli, kurwa. Przez chwilę nawet czuję się dumny z tego faceta. Gada jak mięczak, ale nim nie jest. Gdyby był słaby, napiłby się wody i przeżył. To jego własna siła go zabija. Raz na terenie fabryki znalazłem coś jak węzełek z pokrytej sierścią skóry z kośćmi w środku. To był zdechły pies, martwy od tak dawna, że już nie cuchnął. Traciłem go patykiem i ze szczeliny między żebrami wybiegła jaszczurka. Wewnątrz tkwiło mnóstwo białych ziarenek, które musiały być jej jajeczkami, a wokół roilo się od czarnych żuków. Za dzień lub dwa tak będzie wyglądał Zafar.

Zastanawiam się właśnie, jaką wiadomość zanieść Nishy, gdy nagle na zewnątrz namiotu wybuchają wiwaty. Ludzie biją brawo. Potem zjawia się Elli i informuje Zafara i Farouqa, że mogą przerwać głodówkę, napić się wody, zjeść pomarańczę, pozuć daktyla, mogą się radować, wstać i tańczyć, ponieważ zawieszono ugode. Właśnie zawiadomił ją o tym ktoś, kogo zna. Do ugody nie dojdzie. Nie ma możliwości podpisania jej przed poniedziałkiem, czyli dniem rozprawy sądowej. Zwyciężyliśmy.

W świętowaniu po khaufpursku wszystkie chwytysą dozwolone, wszystkie święta połączone w jedno. Ludzie słyszą w życiu tak niewiele dobrych wieści, że gdy jakaś się pojawi, dostają świra. Ktoś przyniósł gulal, kolorowy proszek, który się rozrzuca w dniu Holi, inni odpalają petardy, małe wiązki czerwonych fataka, miotających się w kurzu niczym eksplodujące ryby. Uszczęśliwieni ludzie podskakują na całym placu, każdy powtarza:

- Wygraliśmy! Udało się nam! Powaliliśmy Kampani na kolana!

Wszędzie wokół khaufpurczyicy tańczą i krzyczą. Niektórzy się obejmują i ściskają, szeroko się uśmiechają, pokazując znak zwycięstwa. A do Zafara i Farouqa ustawiła się długa kolejka, by uścisnąć im ręce. W trakcie całej tej radosnej zabawy zastanawiam się, kto tak naprawdę zwyciężył. Dlaczego Elli, która jest w zмовie z prawnikami, przyniosła taką nowinę w takiej chwili?

Za plecami podnieconego tłumu dostrzegam bladą twarz Elli. Jest tu jedyną osobą oprócz mnie, która się nie uśmiecha.

Skorpiony powariowały, a może to przez Ma. Budzi mnie jej obłąkańczy chichot. Schodzę po drabinie i zastaję Ma Franci trzymającą na dłoni przyczajonego skorpiona, który wydaje się wkurzony sytuacją. Wygląda na to, że Ma udziela mu instrukcji. Zastygam w bezruchu, żeby nie spłoszyć stworzenia. Te czerwone są bardzo niebezpieczne. Jedno użądlenie i już po tobie. Tylko tego mi teraz brakowało. Prawie nie spałem. Całą noc zmagalem się z moim nowo odkrytym sumieniem i postanowiłem ostrzec Zafara: „Bracie, nie daj się zwieść Elli i jej nowinom, Elli to oszustka”.

- Czujesz ten żar? - pyta Ma, posyłając mi słodki uśmiech. - Piekło otwiera się pod tym miastem. Kamienie w murze goreją, to wypędza skorpiony z kryjówek. Biedactwa, nadszedł ich czas, wkrótce ziemia zapłonie, a także drzewa i wszystko, co zielone, otworzy się otchłań, dym przesłoni słońce i księżyc, a żądlić będzie niczym skorpion, sprawiając tak wielki ból, iż ludzie będą błagali o śmierć.

- Tak, tak - odpowiadam. - Proszę, wypuść to stworzenie.

- Doprawdy, Zwierzaku, nie słyszysz ani słowa z tego, co mówię? Zbliży się noc, kiedy to miasto wypełnią aniołowie i zmarli. Pamiętaj, że cię ostrzegałam. - Wyciąga do mnie rękę z przycupniętym skorpionem, który wygina odwłok. - Masz, uważaj, żebyś nie zrobił mu krzywdy, czyż nie jest uroczy? Ma na imię François.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie biorę François i opuszczam dłoń ku ziemi. Dwadzieścia uderzeń serca wstrząsa moim ciałem, zanim skorpion zaczyna poruszać nóżkami i darowuje mi życie. Jest dopiero siódma rano, a skwar już narasta, by wkrótce stać się nie do wytrzymania.

Niedziela, szósty dzień *Nautapa*. 51 stopni Celsjusza. Wstępuję do domu Somraja, spodziewając się zastać tam Zafara, skoro już nie ma powodu prowadzić protestacyjnej głódówki. Somraj sprawia wrażenie chorego. Ma podkrążone oczy, jakby tej nocy nie spał. Informuje mnie, że Zafar i Farouq pozostali w namiocie, nie przerwali postu.

- A nowina Elli? Wczoraj ludzie tańczyli na placu.

Somraj odpowiada, że nic nie potwierdza tej wiadomości. Politycy panicznie się boją, iż jeden albo drugi umrze, dlatego mogli wymyślić tę historię, by skłonić ich do przerwania głodówki.

- Jutro przed południem rozprawa - dodaje Somraj. - Tak czy inaczej, do tego czasu będziemy wiedzieli.

Tłum przed namiotem zgęstniał, wypełnia niewielki park i trwa w milczeniu. Wieści się rozeszły, nasi bohaterowie muszą przetrwać jeszcze jeden dzień. Wszyscy wiedzą, że jeśli nazajutrz Zafar i Farouq nie zakończą protestu, wieczorem będą już martwi. Niesamowita jest cisza panująca w tak dużym tłumie, niemal słycać oddechy. Farouq i Zafar z zamkniętymi oczami leżą na pledach, obok siedzi w milczeniu kilka osób. Jedną z nich jest niejaki Ramlal, mąż Deviki, która na początku podjęła głodówkę. On mnie zna, więc pytam, czy są jakieś nowe wiadomości.

- Co, nie wiesz? To już krąży po całym Khaufpurze.

- Dopiero przyszedłem.

Ramlal otwiera usta, lecz w tej samej chwili Zafar porusza się i mamrocze:

- Kto tu jest?

- Zafarze? Zafarze *bhai*, to ja, Zwierzak. Mam ci coś do powiedzenia.

- Zwierzak? Dobrze, że jesteś. - Jego spuchnięte, szerniałe i popękane usta ledwo się poruszają. - Ja też mam coś do powiedzenia tobie.

- Co, przyjacielu?

- Podejdź bliżej, trudno mi mówić.

Wczoraj już było z nim źle, dziś jest jeszcze gorzej. Jego oczy pałają czerwienią. Oddech grzechocze jak kości do gry.

- Jak się czujesz?

- Przestałem się pocić. Nie mam czym sikać. Spalam się.

- To *Nautapa*.

- Nie. Spalam się od środka. Jak piec. - Biedaczysko usiłuje oblizać wargi, lecz nie stają się od tego wilgotne. - Zostawmy to. Chodź jeszcze bliżej, nie chcę, by ktoś usłyszał.

Przykucam więc tuż przy nim, on zaś ujmuję mnie za rękę. Omal nie odskakuję, tak rozpaloną ma skórę. Czuję się tak jak wtedy, gdy dźwigałem Aliję. Zafar mówi:

- Lubisz Niszę, wiem o tym.

- Oczywiście. Wszyscy ją lubią.

- Tak, ale ty... dla ciebie to coś szczególnego, *na*?

- O co ci chodzi?

- Nie ma czasu na kłótnie - ucina. - Ledwo mogę mówić, więc słuchaj.

Gdy kiwam głową, zaczyna:

- To, co robimy, może się źle skończyć. Jeśli coś się stanie, zaopiekuj się nią. Zadbaj, żeby wszystko było z nią w porządku.

Ta prośba i jego pesymizm są dla mnie kompletnym zaskoczeniem.

- Zafarze, ty głupi sukinsynu, natychmiast przestań, nie musisz tego ciągnąć. - Już w chwili, gdy wypowiadam te słowa, zdaję sobie sprawę, że moje wieści wzmocnią jeszcze jego determinację.

- Ona ci ufa - podejmuje Zafar, ignorując moją uwagę. - Naprawdę ma do ciebie słabość. Musisz się nią zaopiekować.

- Ja? Jak ja mógłbym się zaopiekować kimkolwiek?

- Zależy ci na niej. - Jego spieczony język ponownie usiłuje zwilżyć usta. Ten widok sprawia ból. - Najważniejsze, Zwierzaku, że ona cię obchodzi. Poza tym jesteś inteligentny, zdolny. Najbystrzejszy facet, jakiego znam.

- Daj spokój, nie próbuj mnie zmiękczyć słodkimi słówkami - odpowiadam. Nie miałem pojęcia, że on tak o mnie myśli.

- Jeśli wydarzy się coś niefortunnego - ciągnie, zamykając oczy - jeśli coś takiego nastąpi, będzie jej potrzebny ktoś, komu może ufać, kto potrafi podnieść ją na duchu. Ty masz takie złośliwe poczucie humoru. Musisz jej pomóc przetrwać.

Nie potrafię uwierzyć w to, co słyszę.

- Ona cię kocha, ty dupku. Jeśli umrzesz, to co mam robić? Opowiadać dowcipy, żeby poprawić jej nastrój?

- Zazdroszczę ci - mówi. - Powaga to przekleństwo. Żałuję, że nie śmiałem się częściej. Że nie byłem bardziej podobny do ciebie.

- Przestań! - ucinam szorstko, widząc, że zaczyna się osuwać w jakieś mroczne miejsce. - Nigdy nie przypuszczałem, że powiesz coś podobnego. Jesteś naszym bohaterem, naszym przywódcą, potrzebujemy cię. A teraz wracaj i walcz.

- Ty gnojku - odzywa się z czułością - udajesz zwierzę i w tym je przypominasz, że trzymasz nos przy ziemi i ogon w górze.

- Pieprzysz bzdury. Kto powiedział, że udaję?

Otwiera oczy, lekki uśmiech rozchyła jego usta.

- No widzisz? Potrafisz ironizować. Zrozumiałeś coś wartościowego, mój przyjacielu, w końcu jedynym sposobem poradzenia sobie z tragedią jest wysmianie jej. - Jego wyschnięty

język zdrapuje uśmiech z warg. - Jakże bym chciał dostać trochę wody. Musiałem ich poprosić: nie pijcie przy mnie. To mnie doprowadza do szaleństwa.

- Kto pił przy tobie?

- Pewna znajoma. Wczoraj. Zobaczyłem, jak popija z butelki. Nie wiedziała, że patrzę. Butelka była oszroniona. - Zamyka oczy, przełyka, niemal słycać skrzypienie w jego gardle. Biedny sukinsyn, każde słowo wiele go kosztuje. - Wyobrażałem sobie, nie, tęskniłem za doznaniem, które towarzyszy zimnej wodzie przepływającej przez gardło. Wizja tej butelki nie chciała mnie opuścić, robiło się coraz gorzej. Ostatniej nocy śniłem tylko o tym. Obudziłem się taki spragniony. - Opada na plecy, wyczerpała go ta długa przemowa.

Zupełnie nieoczekiwanie ogarnia mnie głęboki wstyd z powodu tego, co mu zrobiłem.

- Bracie Zafar, wybac mi. Przyszedłem ci o czymś powiedzieć, ale najpierw muszę wyznaczyć coś innego.

- Mów.

- Byłem o ciebie zazdrosny.

- Wiem.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Od Nishy - odpowiada.

- Nie. Nie wiesz, jak daleko to zaszło. To było jak twój ogień, spalający mnie od środka. I wiesz co? Wymyślałem różne sposoby rozdzielenia was. Hinduska i chłopak muzułmanin? Rozwahałem nawet wzniesienie zamieszek, żeby uniemożliwić wasze małżeństwo.

- No i co dalej? - pyta, a w jego oku pojawia się coś w rodzaju błysku.

- Bez skutku, ponieważ to Khaufpur, *na*? - Ileż razy politycy usiłowali skłócić nasze społeczności. A khaufpurczycy zawsze odpowiadali: cierpieliśmy wspólnie, nie pozwolimy się podzielić.

- Ty gnojku. - Trzyma mnie za rękę i teraz ściska ją lekko.

- Bracie Zafar, mam ci do powiedzenia jeszcze jedno. To coś złego. Bardzo złego.

- Mów, bracie.

- Zafarze *bhai*, boję się, że cię zatruję.

Z wyznaniem jest jak z rzyganiem, nie możesz przestać, dopóki wszystkiego z siebie nie wyrzucisz. Więc opowiadam o pigułkach, o tym, jak Faqri mnie zapewnił, że posłużą tylko jednemu celowi, jakim było osłabienie pociągu seksualnego do Nishy. No i nie wiedziałem, że zawierają bieliuń.

- Bieliuń? - powtarza. - Pieprzony bieliuń. Nic dziwnego, że się tak fatalnie czułem.

Potem przyznaję się, że kiedyś wlałem na drzewo, żeby podglądać jego i Niszę. Nie musi wiedzieć o innych wspinaczkach. Karę śmierci można dostać tylko raz niezależnie od tego, ile zbrodni się popełni. Spodziewam się, że będzie wściekły, ale on tylko leży i wpatruje się we mnie zaczerwienionymi oczami.

- Nie zamierzasz wpaść w gniew?

Wzdycha.

- Zwierzaku, bracie, jestem zbyt zmęczony na to. - Wyciąga rękę i klepie mnie po głowie. - A zatem cały ten zamęt, chaos, ta kipiąca złość wobec świata kotłowały się tutaj?

- W każdym razie nie musisz się gniewać - dodaję - bo nic nie widziałem. Nie robiliście niczego w tym rodzaju.

Dziwne chrząknięcie wydobywa się z jego ust, klatka piersiowa dygocze gwałtownie. Myślę: o cholera, ten wstrząs go zabije, ale okazuje się, że Zafar się śmieje. To suchy śmiech, coś między kaszlem, szlochaniem a smarkaniem.

- Zwierzaku, jesteś niemożliwy. Na Boga, w którego nie wierzę, istnieją pewne granice, ale ty je wszystkie przekraczasz.

- Tak czy inaczej, niczego nie zauważyłem.

- Wiem. Takie sprawy mogą poczekać do ślubu.

- I co, nie było nawet pocałunku?

- Może jakiś pocałunek był.

- Sukinsyn z ciebie.

- No. - Zafar dźwiga się na łokciu. - To dowodzi przynajmniej jednego, że zaopiekujesz się Niszą. Mogę ci zaufać, że będziesz strzegł jej czci.

- Nie żartuj, *yaar*. Bardzo się wstydzę.

- Stanowczo jesteś odpowiednim człowiekiem.

- Nie jestem człowiekiem.

- No dobrze, bracie - on na to - więc odpowiednim zwierzęciem.

Ktoś napomina mnie, że nie powinienem dłużej męczyć Zafara gadaniem, ale Zafar odpowiada, żeby się nie martwili.

- Starzy znajomi, ich widok raduje serce, a ten bezczelny łobuz ze swoim krzywym uśmiechem sprawia, że chce mi się śmiać i, na Boga, w którego nie wierzę, dzięki temu czuję się lepiej.

Wtedy nadchodzi chwila, by przekazać najważniejszą nowinę. Szepczę mu ją prosto do ucha:

- Zafarze, mam dla ciebie złą wiadomość. Uzyskałem dowód, że Elli doktorka pracuje

dla Kampani.

I opowiadam, co widziałem w Jehannum. Jak ukryłem się pod stołem i wypatrzyłem Elli z obcym prawnikiem, jak on jej powiedział, że wykonała dobrą robotę i może wracać do domu, a potem ją pocałował. Zafar słucha z obojętnym wyrazem twarzy. Wysłuchawszy mnie, mówi:

- Zwierzaku, słusznie zrobiłeś, że mnie o tym poinformowałeś, ale ja już wiem. Wczoraj Elli powiedziała Somrajowi. Obawiam się, że może jej to zaszkodzić. Postaraj się sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. - Po tym zagadkowym stwierdzeniu dodaje: - Bracie, cały płonę. Poproś, by przyniesiono lodu. Pokrusz go w kawałku płótna i przyłóż do mojej skóry, i proszę cię, zrób to samo dla Farouqa.

Taśma dwudziesta

- Żadnej ugody! Żadnej ugody!

Druga demonstracja w tym tygodniu, znowu to samo, *paltaniya* Apokalizy, ludzkie zastępy, które wstrząsają ziemią. Ten dzień, siódmy dzień *Nautapa*, jest najgorętszy ze wszystkich. Nie ma jeszcze dziesiątej, a stopnie prowadzące do gmachu sądu już przypominają rozżarzone metalowe pręty. Przyszliśmy podnieceni, bo ugoda z Kampani nie została podpisana i właśnie ma się rozpocząć nasza rozprawa. Zafar i Farouq są tam obydwaj, tak osłabieni, że ludzie muszą ich podtrzymywać. Zafar wybałusza oczy, które już wydają się martwe.

- Usiądź, nie stój - żąda ktoś.

Zafar odpowiada, że zaczeka, dopóki nie znajdą się wewnątrz. Wtedy usiądzie. Jeszcze dziesięć minut, zanim otworzą się drzwi i zacznie się proces, ale gdy nadchodzi wyznaczona pora, nie ma ani śladu sędziego. Przywykliśmy do opóźnień, ale ludzie szemrzą, że Wysoki Sąd powinien zdobyć się na ten wysiłek, bo przecież wie, że niektórzy są półżywi pod wpływem postu i wciąż odmawiają przyjmowania wody. Po dwudziestu minutach wychodzi sądowy urzędnik i coś tam mamrocze. Ludzie tuż obok wykrzykują z gniewem:

- Co jest?! Co się dzieje?!

Więść szerzy się niczym ogień w suchej trawie:

- Odroczone rozprawę! Rozprawa została odroczone!

- ŻADNEJ UGODY! ŻADNEJ UGODY! ŻADNEJ UGODY! - znowu słychać skandowanie.

Ludzie są wściekli. Sędzia, jak się wydaje, został przeniesiony, porzucił już Khaufpur dla innego sądu. Zapomnieli nas tylko o tym zawiadomić. Ktoś krzyczy:

- Amrikanie nadchodzą!

W eskorcie uzbrojonych policjantów przed gmach sądu przybywają czterej prawnicy. Czy rzeczywiście udadzą zaskoczenie? Co? Rozprawa została odroczone? Nie do wiary, kto by pomyślał? Policjanci, którzy wyczuwają nastroje tłumu, woleliby, aby prawnicy nie opuszczali samochodu, gdy ci jednak wysiadają, chcą ich prędko wepchnąć z powrotem, lecz

jest już za późno. Otacza ich banda dziwnikarzy z „Khaufpur Gazette”, „Doordrishti” i tym podobnych, wyrzaskując pytania:

- Dlaczego przesunięto termin rozprawy?!

- Czy zawarto jakiś układ?!

- Jesteśmy tutaj, by zaproponować szczerą humanitarną pomoc mieszkańcom Khaufpuru - mówi ten o posturze bawołu.

- Czy zarzuty wobec Kampani zostaną wycofane?!

- ŻADNEJ UGODY! ŻADNEJ UGODY! - Tłum sam podsycy własną złość.

- Oczyszczcie fabrykę?!

- Gdzie wasi klienci?! Gdzie oskarżeni członkowie zarządu?!

- Z pewnością wszelkie nierozstrzygnięte kwestie znajdą rozwiązanie.

- ŻADNEJ UGODY! ŻADNEJ UGODY! ŻADNEJ UGODY!

- Ile wyniesie rekompensata?! Na jaki układ poszliście z władzami?! Wiedzieliście, że rozprawa zostanie odroczone?!

- ŻADNEJ UGODY! ŻADNEJ UGODY! ŻADNEJ UGODY!

- Proszę powtórzyć, trochę tu głośno.

Słuchajcie, o *paltaniye*, nabierzcie rozumu. Możecie krzyczeć i wrzeszczeć do woli. Możecie drzeć się prosto w ich pieprzone uszy, a oni i tak was nie usłyszą.

- Kiedy porozumienie zostanie podpisane?! Czy to kwestia dni?! Tygodni?! Miesiący?!

- Im wcześniej, tym lepiej dla mnie - odpowiada bawół. - Tęsknię za domem. Mam dwa włoskie charty. Sypiają na moim łóżku.

Z tłumu występuje, utykając, stara kobieta, jest to Gargi, która ma plecy niemal tak wykrzywione jak moje.

- Panie prawniku, żyliśmy w cieniu waszej fabryki. Powiedzieliście nam, że wytwarzacie lekarstwa dla pól uprawnych. Wasze trucizny miały uśmiercać owady, lecz zamiast tego zaczęły zabijać nas. Chciałabym zapytać, czy w ogóle zauważyliście jakąś różnicę?

Wtedy bawół pyta, co ona mówi, a jakiś dziwnikarz, stojący obok, odpowiada:

- Nie wiem, jak to przetłumaczyć.

Gargi następnie dodaje, że jeśli Kampani posiada choć odrobinę honoru, musi stawić się przed sądem i zapłacić godziwe odszkodowanie za wyrządzone krzywdy.

- Co teraz powiedziała? - dopytuje się prawnik.

- Sir - mówi dziwnikarz - ona prosi o pieniądze.

Bawół wsuwa rękę pod płaszcz z czerwoną podszewką, wyjmując portfel.

- Kup sobie coś ładnego.

Stara Gargi stoi z pięciuset rupiami w dłoni.

- Panie Musisin, jak pan usprawiedliwia swoje działania? - pyta nagle głos istoty nie z tego świata. To Zafar podtrzymywany przez dwóch przyjaciół. Ma zapadniętą twarz, nie przełknął ani kropli wody.

Prawnik go poznaje. Uśmiecha się szeroko.

- Hej, Zafarze! - rzuca. - Gdy już osiągniesz mój wiek, będziesz miał dwa włoskie charty, przeczytasz tyle książek, ile ja przeczytałem, zyskasz tak wielu przyjaciół wśród prawników i sędziów i wygrasz tak wiele procesów, nie będziesz musiał tracić czasu na usprawiedliwianie swoich działań.

- Nie chce się ze mną zobaczyć. Ty musisz pójść, Zwierzaku. Powiedz mu, że go kocham, że jeśli umrze, ja też umrę. Przypomnij o wszystkich przyczynach, dla jakich powinien żyć.

- On nie może umrzeć. - Zafar jest niezwyciężony, niedościgniony, nieśmiertelny.

- Boję się, Zwierzaku. Elli powiada, że jest osłabiony przez te wcześniejsze kłopoty żołądkowe. Zabronił jej zbliżać się do siebie dla jej bezpieczeństwa.

Wielki kamień kładzie się ciężarem w moim żołądku. Ja to zrobiłem, jeżeli on umrze, to będzie moja wina. Pójdę do niego i powiem: „Zafarze, daj sobie, kurwa, spokój z tym nonsensem, napij się mleka, zjedz trochę *kheeru*”. Tymczasem będę się modlił: „Bogowie losu czy czegokolwiek tam, jeśli istniejecie, to wiecie, że Zafarowi grozi niebezpieczeństwo. Pewnego dnia jakiś zabójca opłacany przez Kampani odbierze mu życie. Z miłości popełniłem jeden głupi błąd, nie czyńcie ze mnie pieprzonego mordercy”.

Bhoora Khan wraca od Huriyi z niczym. Choć Aliya wciąż płonie od gorączki, starszycy upierają się, że nie mogą jej zawieźć do Elli. „Kto tak powiedział?” - spierał się z nimi Bhoora. „Brat Zafar życzyłby sobie, żeby leczyć Aliyę”. „Ludzie mówią, że brat Zafar umiera. Nie możemy jechać”. I wtedy już wiem, że teraz ludzie tam nie wrócą. Sen Elli przepadł bezpowrotnie i mój także.

Siedem dni bez wody. Nawet Zafar wie, że to już koniec. Musi teraz dać za wygraną albo umrzeć. Zapadł się w sobie, jest tak osłabiony, że nie może utrzymać się na nogach. Jego oczy zachodzą mgłą. Szepcze:

- Zwierzaku, to ty?

Przybliżam usta do jego ucha.

- Mów, bracie, jestem przy tobie.

W tym momencie kocham go szczerze i wiem, że jego odejście złamie mi serce, a prócz tego czuję w sobie miłość Nishy, płynącą jak wezbrany potok.

- Wszystko w porządku - kłamie, jego oddech brzmi jak rżenie. - Kto by nie czuł się słabo po tygodniu bez wody? Moja klatka piersiowa jest jak piec. Płonę od środka. Gdy obmywam twarz, kusi mnie, by zlizać choć kroplę. Gdy widzę, jak ktoś pije wodę, moje serce podpowiada: łyknij odrobinę. Ale myślę wtedy: jeśli się napiję, co będzie z naszą walką?

- Jak się czuje Farouq? - pytam, spoglądając na mojego wroga numer jeden, który leży na pledzie obok. Nawet jemu teraz współczuję.

- Farouq ma Tego na górze - odpowiada Zafar. - Stamtąd czerpie siłę. Ja nie proszę Boga o pomoc, ale czerpię siłę od przyjaciół. Takich jak ty, Zwierzaku, sukinsynu jeden. - Zdobywa się na błądy uśmiech. - Co za cholerny idiota z ciebie, nigdy nie pomyślałeś, że bieluń jest afrodyzjakiem?

- Jak to, czułeś pożądanie?

- Czemuż by nie? Czy nie jestem człowiekiem?

Opada na wznak, ktoś podsuwa mu poduszkę pod głowę. Czekają tam z zimnymi butelkami, próbując skusić go chłodną wodą. Nie zważając na to, jaką wywołują w nim udrękę, usiłują złamać jego wolę i uratować mu życie, on jednak odmawia.

- Zwierzaku, poproś Somraja, by mnie odwiedził. Uważaj na siebie, kolego. I najlepiej, jak potrafisz, opiekuj się Nishą.

- Zwycięzimy - zapewniam go, bliski leż. - Jestem przekonany, że zwycięzimy. Wysłuchaj mnie, ty skurwysynu, ty ukochany kutafonie, my zwycięzimy.

Uśmiecham się do niego przez łyżę, próbując zachować w myślach wizję świata, w którym potęga nicnieposiadania zmiata Kampani z powierzchni ziemi i wszystko, co złe i okrutne, przestaje istnieć. Więc nadejdz, potęgo. Jeśli kiedykolwiek miałś się okazać, to teraz jest na to odpowiedni czas. Cokolwiek ten człowiek posiadał, oddał to. Nie ma już do oddania nic więcej prócz własnego życia i wkrótce nie będzie już Zafara. Jego siła nigdy nie była większa niż teraz. *Nautapa* bucha z jego ciała, oddech jest jak płomień. Jedno tchnienie Zafara mogłoby podpalić świat.

Jak długo tam siedzę, przy człowieku, który odchodzi? Godzinę, może dwie, czas nie ma znaczenia. Myśli w mojej głowie krążą jak gołębie, które nieustannie powracają do swego schronienia. Na twarzy Zafara maluje się spokój, jakby rozstrzygnęły się już wszystkie jego zmagania.

Czym jest to coś, co nazywamy umieraniem? To pożegnanie, rezygnacja po kolei ze wspomnień i doznań, ostatni raz, kiedy się myśli o goździkach, imbirze, surowym jedwabiu albo białym ptaku etawa. Wszystko, z czego składa się życie, odpływa jedno za drugim, wypuszczone, aż wreszcie pozostaje tylko tu i teraz, kolory na ścianie namiotu, mgła świateł, głosy... niech to wszystko też odpłynie.

- Zafarze, mój bracie, raz wypowiedziałeś coś pięknego. *Jaha juan hai, jahaan hai*".
Dopóki mamy życie, mamy świat.

- Pieprzony romantyk. - To ostatnie słowa, jakie od niego słyszę.

Na zewnątrz podnosi się ogromna wrzawa.

- Fabryka! - krzyczą różne głosy. - Biją tam ludzi! Musimy iść wszyscy!

Przed bramą fabryki trwa potyczka. Zgromadzili się tam mieszkańcy Jyotinagaru, żądając, by ich wpuszczono. Około czterdziestu policjantów opiera się plecami o ogrodzenie. Zardzewiała konstrukcja zaczyna się chwiać. Ludzie przeleźli przez mur i podchodzą od tyłu. Wspinają się na bramę, chwytają za pręty i potrząsają nimi, próbując je obalić. Ogrodzenie się kołysze. Nadbiegają strażnicy, ale to wiejskie półgłówki zatrudnione przez Kampani. Siedzą i dzień i noc popijają herbatę. Nie chcą się do niczego mieszać. Policjanci wrzeszczą do nich, żeby ruszyli na intruzów, ściągnęli ich z ogrodzenia, dołożyli im, ale strażnicy tylko stoją i patrzą. Z każdą minutą przybywa protestujących, chude sylwetki wybiegają z zaułków, pokrzykują, machają rękami. Ja też przepycham się bliżej, przeciskam między kolanami i udami, starając się chronić palce przed podeptaniem. Gniew mnie przepelnia i smutek. Opuściłem Zafara, nigdy nie wybaczę jego śmierci i tego, jak umierał. Chciałbym rozdrzeć sukinsynów z Kampani na strzępy. Gdybym mógł dopaść tego prawnika o posturze bawołu, tobym mu odgryzł jego robaczywy jęzor i ścisnął za gardło tak, by charty wyzierały mu z oczu i żeby poczuł, jak rozszarpują mu serce rozjuszone kły. W tej chwili wściekłości spoglądam w niebo i widzę płynące po nim łagodne obłoki. To dla mnie wstrząs. Poza nami wszystko zachowuje obojętność.

Zafar i Farouq są daleko w starej dzielnicy miasta, wydają ostatnie tchnienie. Gdyby ta wiadomość dotarła do tłumu, Bóg jeden wie, jak by się to skończyło. Jedna z kobiet krzyczy na oficera policji. Widzę, że jest przestraszony, choć nie słyszę wypowiedzianych słów. Kobieta się schyla, a później prostuje z pantoflem w dłoni. I uderza nim funkcjonariusza prosto w twarz. Policjant nie reaguje, jego ludzie się boją. Kto wie, co powstrzyma tę wściekłość tłumu. Jest jak lawina na zboczu góry, jak powódź wzbierająca bez ostrzeżenia, ogień wzniecony przez uderzenie pioruna na wzniesieniu, gdzie wszystko wyschło i tylko

czeka na iskrę. W to, co właśnie mówię, przedtem nie wierzyłem, a teraz wierzę. Potęga nicnieposiadania zerwała się z uwięzi, jak się obawiał Zafar, wymknęła się już spod kontroli i zniszczy wszystko na swej drodze, ponieważ napędzają ją nie tylko gniew, ale także rozpacz. Uderzony gliniarz wysłuchuje napomnień od innych. Ogrodzenie kołysze się gwałtownie. Jedno skrzydło bramy spadło z zawiasów i osunęło się na bok. Mężczyźni, którzy je szarpiają, podwajają wysiłki, inni wskakują, dokładając swój ciężar. A strażnicy nadal stoją beczynnie. Wielu odrzuciło pałki - nie warto poświęcać życia, by bronić tego miejsca, tej siedziby grozy, krainy węży. Policjanci usiłują się stamtąd wydostać, inaczej zmiażdży ich padająca brama. Ustępuje kolejny zawias i wrota broniące dostępu do fabryki zwisają bezwładnie, a potem walą się, łuuup!, na ziemię w tumanie pyłu. Policjanci uciekli, niektórzy siedzą, odłożywszy pałki. Tłum wlewa się na dzikie obszary za bramą, ale znalazłszy się wewnątrz, nie wie, co dalej robić. Po jednej stronie rzędu niewysokich mangowców rosnących przed wartownią rozciąga się otwarta przestrzeń i tam wszyscy się gromadzą. Wielu przysiada na ziemi. Nie ma przywódców, którzy by im powiedzieli, co dalej. To teraz zrobili sami. Ktoś musi przejąć kontrolę, ale nikogo takiego nie ma.

- Co mamy teraz robić? - pytają ludzie.

- Zburzmy to wszystko! - wrzeszczy ktoś.

- Podpalmy! - woła inny.

Wtedy sam zaczynam krzyczeć:

- Przyjaciele, niczego nie podpalajcie, bo zajmą się chemikalia i znowu powtórzy się tamta noc!

To moje zalecenie podchwytuje tłum, który liczy już setki osób i wciąż się powiększa.

- Nie podpalajcie. Nie zapalajcie zapalek.

Rozgorączkowane ludzie są pełni energii, pragną coś zrobić, ale nie ma zgody, co to powinno być. Kobiety opętane mocą nicnieposiadania zaczynają skandować:

- Płoniemy, nie kwitniemy! Nasze miotły pobiją Kampani. Wymiotą precz z Khaufpuru. Z Indii też ich wymiotą. Skażą na nieistnienie.

To oczywiście nie trwa długo. Pod rozwaloną bramę podjeżdżają furgonetki, chyba ze dwadzieścia, z których wyskakują policjanci w kaskach, z tarczami i długimi pałkami. Formują szeregi i wkraczają na teren fabryki. Tłum, który w milczeniu się temu przyglądał, zaczyna znowu wydawać okrzyki buntu, głośniejsze niż przedtem. Wszyscy śpiewają. W takich chwilach ludzie dają się ponieść i mówią rzeczy, których normalnie nigdy by nie powiedzieli. Krzyczą:

- No, chodźcie! Dokończcie brudną robotę Kampani! Pobijcie nas! Odbierzcie nam

życie! Co nam zależy, jeśli i tak straciliśmy już wszystko?!

Policja nadciąga niepowstrzymanie, nie zadając pytań, za to rozdając ciosy pałkami. Wszczytna się wrzawa, słychać krzyki bitych mężczyzn i kobiet, z tłumu dobiegają gniewne wrzaski, które niosą się dalej, poza strefę przemocy. Dowodzący oficer występuje naprzód z megafonem w rękę. Rozlega się jego nosowy głos:

- Wracajcie do domów! Nie dajcie się zwieść ludziom, którzy to zorganizowali! To hinduscy ekstremiści, którzy przybyli tu z zewnątrz, by zasiać nienawiść i podzielić waszą społeczność.

Pomimo lęku wybucha gromki śmiech.

- Idź sobie, spadaj! - wykrzykują mocne głosy. - Nie ma tu żadnych muzułmanów ani hindusów, są tylko ludzie.

Oraz jedno zwierzę. Zagubiłem się w gęstwinie nóg, więc skręcam w jedną stronę i wtedy widzę zwalone bramy i policjantów, którzy wyciągają ludzi i wpychają do ciężarówek.

- Zostawcie nas! - krzyczą rozmaite głosy. - Wyliźcie dupę waszemu panu premierowi, który liże dziurę Petersona!

- Wynocha! Spadajcie! - zaczyna się skandowanie. Płomienie zamiast kwiatów, ciągle ta sama pieśń o zamiataniu, o ludzkich plutonach.

Nawet teraz czuje się, że to dopiero początek koszmarnego dnia. Przyjeżdża więcej policyjnych ciężarówek. Z jednej wyskakuje mój odwieczny wróg Fatlu inspektor, którego trafiłem kamieniem podczas poprzedniej demonstracji. Ten tłusty gnojek wkracza na teren fabryki ze swoimi bandziorami. Nie wahają się ani chwili. Wchodzą w tłum i chwytają każdego, czy to mężczyzna, czy kobieta, za wszystkie dostępne części ciała - rękę, włosy, ucho - i mimo szarpania się i protestów odciągają ich na bok.

- Poślijcie po pomoc! - wrzeszczą ludzie. - Powiedzcie wszystkim, żeby przyszli!

Fatlu to *putain*, zbir, który czerpie przyjemność z zadawania bólu. Bardzo go cieszy własna siła rażenia. Kiedyś się go bałem, uciekałem, podczas demonstracji przed domem premiera schowałem się za drzewem, ale dzisiaj jest dzień śmierci Zafara. Płonę cholernym gniewem. Fatlu złapał kogoś z Jyotinagaru i bije go pięścią.

- Ty gnoju, masz pozwolenie, żeby tu wchodzić?

- Przyszedłem razem z innymi - tłumaczy się ów człowiek, chudy i słaby, z wszelkimi niedolami Khaufpuru wypisanymi na twarzy.

- Gnoju - powtarza Fatlu - jak śmiesz się do mnie odzywać? Czy... masz... po... zwo... le... nie... - Po każdej pauzie pięść opada na głowę mężczyzny.

- Nie potrzebujemy pozwolenia - odzywa się kobiecy głos.

To Nisha. Jest ubrana na biało, we wdowi kolor. A zatem wiadomość się potwierdza. Zafar nie żyje.

Fatlu nie przestaje bić. Nisha chwyta go za ramię i próbuje odciągnąć. Fatlu macha łokciem. Nisha osuwa się na ziemię, z dłonią przy twarzy. Z jej ust płynie krew. Zranił Niszę! Zabiję tego skurwysyna i pożrę jego serce!

Nie widzi nadciągającej śmierci. Nadbiegam od tyłu. Przeoczył mnie, bo poruszam się tak nisko. Chwytam świnie za nogi i powalam na ziemię. Fatlu pada z krzykiem. Miota się, chcąc wstać, ale go przygwoździłem. Daremnie wymierza cios w moją głowę, jestem silny, znacznie silniejszy niż on. Mam bardzo mocne ramiona i barki umięśnione jak u zapaśnika, teraz zakończą żywot tego skubańca. Moje dłonie zaciskają się wokół jego szyi. Wybałusza oczy ze zgrozą.

- Dość tortur, siostrojebco! - wrzeszczę mu do ucha, po czym chwytam to ucho zębami i gryzę, aż czuję w ustach krew, a on wrzeszczy.

Nie przestaję, chcę oderwać mu ucho. A to zaledwie początek, zamierzam rozszarpać jego gardło i wyłupić oczy. Odciągają mnie jednak brutalne ręce, czuję uderzenia, ciosy masywnych pałek sięgające głowy, pleców i ramion. Nie ma takiej części ciała, której by mi nie stłukli. Jakoś z oddalenia dobiega mnie głos Nishy:

- Zostawcie go, on tylko próbował mnie bronić! Ojczy, pomóż mu.

Ciosy padają, a ja myślę: Nisho, kochanie, nie ma co się zwracać do ojca czy matki, syna albo Ducha Świętego, bo nie jestem chrześcijaninem ani hinduistą, ani muzułmaninem, braminem czy członkiem bractwa sufickiego, nie jestem świętym, nie jestem człowiekiem ani zwierzęciem. Nie wiem, co oni tu biją. Jeśli mnie zatłuką, co umrze?

Ciosy ustają. Leżę na ziemi. Mam usta pełne krwi - mam nadzieję - Fatlu. Wypluwam coś oślizłego, a potem dostrzegam Somraja, który nie wierzy w akcje bezpośrednie i nacechowane przemocą, który ufa, że z prawa rozwinie się kwiat sprawiedliwości. Somraj kroczy naprzód i staje przed Fatlu inspektorem.

- Przynosisz nam wstyd - oznajmia i uderza Fatlu prosto w twarz.

Pałki krzyżują się wokół Somraja, wałą ze wszystkich stron. Widzę, jak upada. Jego nieskazitelnie biała bluza zabarwia się na czerwono. Wielu stoi wokół niego i młóci pałkami. Ziszcza się jeden z moich snów, ten, w którym pobito Somraja, a potem wrony zlatują się do trupa. Przychodzi mi na myśl, że to nie jego ciało umiera, tylko serce. Leżę i słyszę odgłosy policyjnych pałek spadających na głos Khaufpuru. Nie wiem, co się z nami stanie. Może nas zatłuką tutaj i teraz albo zawloką do cel więziennych i wykończą. Tak wielu umiera w aresztach. Jak to będzie: umrzeć? Czy to może być gorsze niż moje koszmarnie życie? Nie

boję się, jestem po prostu ciekaw. I wtedy stało się coś, czego nikt nie przewidział.

Nie wiadomo skąd wzbiera fala obdartych ludzi i zmiata policjantów z drogi. Przybyła tysięczna rzesza. Usłyszeli o potyczce na terenie fabryki oraz trudnym położeniu mieszkańców Jyotinagaru i przyszli z Orzechokrusza, Błękitnego Księżyca i jeszcze dalszych okolic, z Phuta Maqbara i kolonii Mira, z Khabbarkhany i Qazi, nawet z Chowk. Porzucili swoje zajęcia i przybiegli nam na pomoc. Przeklęta policja znika w furgonetkach. Umykający gliniarze muszą się osłaniać tarczami, bo wzdłuż drogi stoją tłumy żądne ich krwi. Nigdy nie widziałem takiej wściekłości. Jeden mężczyzna w łachmanach, o żebrach jak bruzdy wyorane w ciele, na pewno nie ma dość siły, by dźwigać ciężary, lecz teraz przepęlnia go tak potężny gniew, że wydziera z ziemi płytę chodnikową i ciska w grupę *pandu*. Teraz to oni się przewracają, to ich krew plami ziemię. Niech krwawią, kutafony, brak im odwagi w tej walce. Co innego, gdy ludzie są bezbronni. Lecz ci nowo przybyli mają broń - dwudziestoletnia rozpacz przemieniła się w gniew - widzę tu i ówdzie połyskujące w dłoniach noże i kindżały. I teraz już wiem, że to się tutaj nie skończy. Ten dzień będzie trwał.

Znajdują nas ludzie z Pazura, ocierają obu z krwi i odprowadzają do domu Somraja. Jak długo przebywaliśmy w fabryce, nie wiem, ale musiało upłynąć kilka godzin, bo słońce chyli się ku zachodowi i jest już poniżej szczytów dachów. Niebo przecinają czerwone smugi zakrwawionych bandaży. *Pandit* Somraj został dotkliwie pobity, ale nie chce się położyć. Córka zamartwia się o niego. Teraz się dowiaduję, że nie ma żadnych wieści ze starego miasta.

- Zwierzaku - mówi Nisha. - Byłeś tam. Co z Zafarem? Powiedz mi, czy żyje. Powiedz, że wszystko z nim w porządku.

Nie wiem, co jej powiedzieć. Dzień dobiegł kresu, minął czas, gdy mogli ocalić swoje życie. Namiot stał się dla Zafara i Farouqa całunem. Nie ma ich już, właśnie teraz, gdy byliby najbardziej potrzebni, ponieważ siła nicnieposiadania wyrwała się spod kontroli i trzeba ją gdzieś skierować, bo inaczej spowoduje tylko zniszczenia i śmierć. Nie ma ich, obydwóch. Wolałbym, żeby Nisha usłyszała tę nowinę od kogokolwiek, byle nie ode mnie.

- Nie widziałaś się z nim?

- Zabronił mi - odpowiada z prostotą. - Muszę uszanować jego wolę. Ponadto zawiadomiłam go, że więcej tam nie przyjdę, nie potrafiłabym się przyglądać, jak umiera.

Och nie, Nisho, mam ten dar i znam prawdę. Żywiłaś nadzieję, że Zafar wytrzyma, nie odpuści, dopóki nie zobaczy ciebie. Dlatego do niego nie poszłaś i nie idziesz, żeby choć trochę przedłużyć mu życie.

- Jedź tam zaraz - mówię. - Szybko. Znajdź auto.

Ale jest za późno. Poza tym ulice nie są już bezpieczne. W oddali słychać wrzawę i policyjne syreny. Wkrótce nadejdzie wojsko, jak tamtej nocy, kiedy politycy kazali żołnierzom zabrać tysiące ciał i wrzucić je do rzeki Chameli.

- Jeśli Zafar umrze, ja się tobą zaopiekuję, Nisho. Ożenię się z tobą.

- Proszę, nie mów tak. On nie umrze.

- Kocham cię, Nisho. Zawsze cię kochałem. Jesteś dla mnie wszystkim.

- Biedny, lojalny Zwierzaku, nie mogę cię poślubić. - Zaczyna szlochać, a ja otaczam ją ramionami. Przyjmuje uścisk, ale zaraz potem dodaje: - Zwierzaku, musisz iść do Ma. Nie wiemy, co się może wydarzyć tej nocy.

Na ulicy przed kliniką spotykam Elli, jest blada jak upiór.

- Mój Boże - mówi. - Co ci się stało? Wejdz do środka.

No cóż, chyba nie wyglądam najlepiej. Mam całą głowę w guzach, jedno oko prawie całkiem przesłonięte opuchlizną, a moje kakadówki są poplamione krwią. Ból tych obrażeń jest jednak niczym w porównaniu z bólem, jaki czuję w sercu. O Zafarze i Farouqu nie chcę nawet myśleć. Miejsce gniewu zajmuje coś w rodzaju odrętwienia, moja dusza przeobraża się w opustoszały pałac. Ten świat nie wydaje się miejscem, w którym warto żyć, ale pójdę po raz ostatni do kliniki, do Elli, bo powinna się dowiedzieć, co o niej myślę.

- Zwierzaku? - zagaduje, prowadząc mnie do gabinetu. - Jesteś ranny?

- To nic takiego.

- Co się stało? - pyta to ucieleśnienie troski i niepokoju.

Moje odrętwienie przypomina wulkany z telewizji - na zewnątrz jest czarne i wygasłe, a w środku kipi czerwone jezioro. Nie potrafię być uprzejmy dla Elli.

- Czyżbyś, kurwa, nie wiedziała? Twój przyjaciele odwołali rozprawę.

- A więc ty też słyszałaś. - Wzdycha. - Całe miasto już opowiada, że jestem zdrajczynią. Ludzie uważają, że ich okłamałam. Hanif i Huriya przestali przywozić Aliję do kliniki. Wszystko się zawaliło.

- Elli - mówię - nie wiem, jaką grę prowadzisz ani dlaczego Somraj i Zafar chcą cię chronić, ale to ze mną, Zwierzakiem, masz w tej chwili do czynienia. Widziałem cię w ogrodzie Jehannum, jak całowałaś się z prawnikiem Kampani, który powiedział, że zrobiłaś dobrą robotę i możesz wracać do domu. Domyślałam się więc, że wkrótce wyjedziesz, zapomnisz o nas, khaufpurczykach, o obietnicy wyprostowania mojego grzbietu i poślubienia *pandita* Somraja. Wszystko to były kłamstwa...

- Nie! - wykrzykuje. - Nie, nie kłamstwa.

Na to robi mi się czerwono przed oczami i wściekłość chwyta mnie za gardło.

- Szurnięty byłem, Elli, wierząc, że kiedykolwiek mógłbym chodzić prosto, ale jak mogłaś zatruć nadzieję takiego człowieka jak Somraj? Widziałem dzisiaj, jak go bili. Całe życie zgasło w jego oczach. Może nikt inny ci tego nie powie, Elli doktoro, ale ja ci powiem. Twierdzisz, że świat składa się z obietnic. Nie jesteś jednak lepsza od polityków, którzy kłamią każdym słowem, ani od twojej plugawej Kampani, której rozkazów słuchasz. Przeklinam dzień, kiedy cię poznałem, i powiem ci jeszcze jedno, że niezależnie od tego, jak chorzy są tutaj ludzie, lepiej nam się wiedzie bez takich jak ty, więc spierdalaj czym prędzej do Amriki, tam, gdzie twoje miejsce.

- Przestań, proszę. - Elli płacze. - Jak możesz tak o mnie myśleć?

- A co mam myśleć? Zafar i Farouq nie żyją.

- Nie żyją? O Boże, nie! - Pogrąża się w żalu.

Co za aktorstwo! Nie uwierzyłbym, że coś takiego jest możliwe.

- Za to wszystko powinniśmy podziękować twoim przyjaciołom.

- Oni nie są moimi przyjaciółmi! - krzyczy. - Nienawidzę Kampanii. Nienawidzę ich, kurwa mać. Nienawidzę ich bardziej niż ty.

- Tak? Może mi jeszcze powiesz, że ten amerykański prawnik nie pocałował cię w ogrodzie Jehannum?

- Skąd wiesz?

- Jesteś żoną tego człowieka - ciągnę, ignorując jej pytanie. - Nie dociekaj, skąd wiem, taki mam dar, głosy przekazują mi twoje myśli. Jesteś żoną tego człowieka, mimo to robisz wszystko, żeby Somraj zakochał się w tobie. Nie wiesz, ile wycierpiał? Czy dręczenie go sprawia ci przyjemność?

- Nie zrobiłam nic, czego musiałabym się wstydzić.

- Czy kiedykolwiek ktoś z nas usłyszał od ciebie choć jedno szczere słowo?

Gniew jest zaraźliwy i teraz pojawia się również w jej tonie:

- Dobry z ciebie przyjaciel, Zwierzaku, nie ma co. Jeśli głosy w twojej głowie wiedzą wszystko, to powinny też wiedzieć, że się, kurwa, rozwiodłam z tym facetem. Oszukał mnie, tak jak was wszystkich. Nigdy mu nie wybaczę.

- O, więc dlatego pozwalasz mu się całować? Dlatego powiedział, że zrobiłaś dobrą robotę i możesz już wracać do domu, do Amriki? Byłem tam, owszem, ja, mister Dzejmsbond. Wysłano mnie do Jehannum, żebym ich obserwował.

- Zobaczyłeś mnie i od razu założyłeś najgorsze? - Jej oczy pieką moją twarz jak rozgrzane lampy.

- Co innego miałem założyć?

- A moja praca tutaj? A nasza przyjaźń? Czemu nie przyszedłeś i nie zapytałeś mnie o to?

- Bo mnie zemdlilo.

- No to posłuchaj - podejmuje Elli. - Nie pracuję dla Kampani. Mój mąż dla nich pracuje. Walczyłam z nim o to. Między innymi z tego powodu się z nim rozwiodłam i przyjechałam tutaj. Ale postąpiłam głupio. Nie można naprawić krzywd wyrządzonych przez innych. Nie zamierzam cię za nic przeproszać, ale wyjaśnijmy jedno. Ci czterej mężczyźni nie są moimi przyjaciółmi. Nienawidzę ich jak zarazy. To dla mnie najgorsi ludzie na świecie. Wykonywałam pracę, którą kocham, spotkałam mężczyznę, którego pokochałam, a oni przyjechali i rozpieprzyli wszystko. Bóg jeden wie, co z sobą teraz zrobię.

- Wrócisz do Amriki, jak ci powiedział ten twój prawnik.

- Akurat! Nie poddam się, nie pokonają mnie te sukinsyny. Zwierzaku, nie mam ci za złe, że myślałeś o mnie wszystko, co najgorsze, na twoim miejscu pewnie zachowałabym się tak samo. Ale teraz wysłuchaj mojej wersji.

I Elli opowiada, jakiego doznała wstrząsu, kiedy amrikańscy prawnicy przyjechali do miasta. Znali ją, mogli zniweczyć wszystkie efekty jej pracy. Kiedy Sprawdzaczas opisał postawnego gościa w płaszczu z czerwoną podszewką, wiedziała od razu, o kim mowa. Bywała w jego domu, jadła pizzę koło jego basenu, chodziła na zakupy z jego żoną. Mei Musisin, kanalia bez serca. Ale największym szokiem było dla Elli, gdy zobaczyła czwartego prawnika w miejscowej telewizji. To był jej mąż Frank. Przez cały następny dzień drżała ze strachu, oczekując telefonu, i rzeczywiście zadzwonił wieczorem, prosząc o spotkanie. Odmówiła, lecz podał jej adres swojego hotelu i numer pokoju. Wieczorem, gdy odbywała się demonstracja przed siedzibą premiera, Elli pomachała innym na pożegnanie, czując się jak zdrajczyni. Stała na dachu swojej kliniki i spoglądała w stronę wzgórza, gdzie wznosił się dom premiera. Nawet z tej odległości słyszała tłum i skandowanie. A potem strzały z karabinów - twarde trzaski odbijające się echem po mieście. Zbiegła na dół i włączyła tele, ale leciał tam tylko stary film *Badnaami Ka Dilaasa*. Pociecha w niesławie. Elli miała nadzieję, że nie jest to zły omen.

Upłynęło niespokojne pół godziny, zanim z auta wysiadł Somraj, jego bluza lśniła śnieżną bielą w blasku księżyca. Ujął ramię Elli i poprowadził ją do ogrodu. Pod wpływem impulsu chwyciła jego twarz w dłonie i pocałowała go w usta.

- Ćśśś - powiedział Somraj.

- Nic nie mówiłam.

- Nisha? Jest tutaj? A Zafar?

- Wrócili. - Dotyka opuszkami palców jego policzka, jego ust.

- Proszę, nie tutaj - mówi Somraj, odsuwając jej dłonie.

- Powiedz, co się stało. Dlaczego policjanci strzelali?

- Na postrach. Demonstracja siły. Politycy pragną tej ugody.

- Ale przecież sąd jest gotów przeprowadzić rozprawę.

- Jeśli podpiszą ugodę, do procesu nie dojdzie - stwierdza Somraj. - Nasza jedyna nadzieja w tym, że nie osiągną porozumienia wcześniej. Gdy uzyskamy orzeczenie, będzie im trudno.

To dlatego Musisin i inni zjawili się tutaj. Niemal natychmiast on potwierdza ten domysł:

- Pierwszy raz przysłali prawników.

- Na pewno rządowi leży na sercu dobro mieszkańców - mówi niepewnie Elli, pragnąc w to wierzyć.

Somraj kręci głową.

- W tym kraju przyzwoici ludzie nie angażują się w politykę.

- Więc co możemy zrobić?

- Nic.

- Nic? Jak Zafar z tą swoją potęgą nicnieposiadania?

- Zafar to Zafar, a przez „nic” rozumiem nic, ale może on ma słuszność. Z nicnieposiadania płynie siła, ponieważ nie masz nic do stracenia. Gdy nie ma znikąd pomocy ni nadziei, pojawia się odwaga albo pomysłowość, a może desperacja. Przypomnij sobie, jak ty sama przyjechałaś do nas. Znikąd. Klinika także pojawiła się znikąd.

I wtedy Somraj informuje ją o czymś, o czym jeszcze nikt nie wie, czyli o planowanej głodówce Zafara aż do kresu.

Elli nie potrafi już ukrywać rozpacz. Somraj, niezgrabny i łagodny jak zawsze, wyciąga ramiona i przygarnia ją do siebie. To najlepsza chwila, by wyznać tajemnicę, lecz Elli nie ma odwagi. Co mam robić? - zadaje sobie pytanie. Co robić, żeby coś zmienić, choćby w najmniejszym stopniu? Zamyka oczy i myśli o niczym.

Opuszcza klinikę po jedenastej. Dla kamuflażu ma na sobie burkę, ale i tak podąża ciemną stroną alejki.

Elli kroczy szeroką ulicą w stronę Chowk. Mimo późnej pory jest tam wciąż pełno ludzi. Nikt jednak nie zwraca na nią uwagi. Gdzieś na uboczu zdejmuje burkę i chowa do

torby. Potem zatrzymuje auto.

Hotel Jehan-nabz jest czysty i łagodnie oświetlony. W ogrodzie stoją stoły, a kelnerzy w turbanach o kształcie róż uprzątają naczynia. Elli zerka na swoje odbicie w gablocie z mieczami i strzelbami, które należały do Małego Nawaba. Kilka miesięcy w khaufpurskim słońcu przyciemniło jej skórę. Recepcjonista jest dyskretny i kompetentny.

- Oczywiście, natychmiast, proszę pani - uśmiecha się i zaraz potem oznajmia: - Dżentelmen już schodzi.

Nie widziała Franka niemal od roku. Zastanawia się, czy bardzo się zmienił. Byłoby dziwnie traktować go jak nieznajomego. Ale on wydaje się równie znajomy jak zawsze.

- Elli! - Ujmuje jej rękę. - Świetnie wyglądasz.

- Ty również.

Sprawia wrażenie całkowicie odprężonego, jest elegancko ubrany. Odprasowany, zawsze czarujący. Elli pamięta, jaka była dumna, gdy wprowadzał ją do pokoju pełnego nieznajomych i ogłaszał: „Hej, wy tam wszyscy, to jest moja żona”. I jaką czuła zazdrość, kiedy flirtowały z nim inne kobiety.

- Można cię ucałować? Tak zupełnie niewinnie?

Elli podsuwa policzek, starając się ukryć zamęt w głowie. Co mogę mu zaoferować - zadaje sobie pytanie - żeby zrobił to, czego chce?

- Dwa razy Jack Daniels, pełne szklanki - rzuca on, zwracając się do kelnera, który krąży w pobliżu.

- Frank, czy możemy porozmawiać gdzieś na osobności?

- W moim pokoju - uśmiecha się on.

- Nie aż tak na osobności. Może przespacerujemy się po ogrodzie.

Na zewnątrz, gdy ujmuje ją pod ramię, nie jest pewna, jak zareagować. Dłoń, która steruje jej łokciem, należy do dawnego, władczego Franka. Nadal uważa Elli za swoją żonę. I nawet jeśli dostrzeże jej skrzepowanie, nie daje nic po sobie poznać.

- U nas jest teraz późna wiosna - mówi. - Powinnaś zobaczyć te kwiaty. Rosną wszędzie. Zanim tu przyjechałem, wybrałem się na spacer do lasu z twoimi rodzicami. Oglądaliśmy te wszystkie rośliny, których nazwy słyszałem kiedyś od ciebie. Niech no sobie przypomnę, pierwiosnki są żółte, prawda? Pięciornik, indyjska faja, to takie małe coś, co wygląda jak psi ząb, ledniczka...

- Ładniczka - śmieje się szczerze Elli. - Jak się miewają moi rodzice?

- Martha przeżywa poważny atak. Twój tata czuje się dobrze. Kazał ci powiedzieć, że nie mogą się doczekać twojej wizyty.

- To dobrze, ja również.

Frank zawiesza z wahaniem głos.

- Wygląda na to, że nie przyjedziesz sama.

Oho, no tak, Elli szuka ucieczki w szklance, lecz drink uderza jej do głowy. Podeszli do wyplatanych krzeseł ustawionych pośrodku hotelowego trawnika. Przed nimi połyskuje błękit basenu, a tuż obok drzewo obwieszane kolorowymi żarówkami.

- Twój tata powiada, że chcesz wyjść za jakiegoś Hindusa. Czy to prawda?

- Rozmawialiśmy na ten temat.

- Mówisz poważnie? - Teraz jego głos wzbiera troską, jakby Elli była dzieckiem, które zaraz popełni jakieś głupstwo. Cały Frank, cały on, taki rozsądny i zupełnie pozbawiony wyobraźni oraz żądy przygód.

- On śpiewa - mówi Elli, jakby to tłumaczyło wszystko.

- Śpiewa? Gdzie, w jakimś zespole?

- Muzykę klasyczną. - Jak miałyby opisać Somraja? - Hinduską muzykę - dodaje, by powstrzymać ewentualne uwagi na temat opery albo Pavarottiego.

- Kochasz go?

To pytanie przeszywa ją boleśnie. Nie gadaj o tym, myśli, bo się rozplacze.

- Żadnych więcej pytań - odpowiada, siląc się na uśmiech. - Nie zeznaję tu pod przysięgą.

- Zeznają świadkowie - rzuca on lekkim, drażniącym tonem.

- Odpowiedź brzmi: nie rozważa się poślubienia kogoś, jeśli się go nie kocha.

Przynajmniej tak to wygląda w moim przypadku.

- Auć - on na to, robiąc minę. Zawsze kończył w ten sposób sprzeczki, robił zabawną minę i rozśmieszał Elli. - Kiedyś mnie kochałaś - zawraca prosto na tereny, których ona chce uniknąć. - Wiesz, że pragnę cię odzyskać.

- Jestem pewna, że lepiej ci beze mnie.

Frank zaczyna narzekać na życie w Pensylwanii, jak to przez cały czas nic tylko praca i praca, ani chwili na zabawę. Gra na zwłokę, uświadamia sobie nagle Elli. Zastanawia się, dlaczego tu jestem.

- Frank, chciałabym porozmawiać z tobą o czymś ważnym.

I zaczyna mu opowiadać o ludziach poznanych w Khaufpurze. O Hanifie Alim, ślepym od dwudziestu lat za przyczyną gazów z tamtej nocy, o kobiecie, która wylewała swe zatrute mleko na ziemię. Opowiada mu o mnie, dziwnym, na poły obłąkanym chłopaku, który biega na czworakach i uważa, że jest zwierzęciem. Opisuje okropieństwa widywane tu dzień

w dzień i wyjaśnia, jaką krzywdę czyni ludziom milczenie Kampani w sprawie trucizn.

- Elli, to okropne, ale wiesz, że tacy ludzie jak ja nie mają wpływu na podobne decyzje. Wykonuję tylko swoją pracę.

- Dlaczego muszę być twoim sumieniem?! - wykrzykuje Elli. - Niech to będzie twoja praca. Nie widzisz, że zasłanianie się tajemnicą zawodową jest absolutnie podłe? Tam, w Stanach, ludzie wiedzą, co te gazy robią z płucami, z oczami, z macicą. Frank, widzę dziewczęta, które krwawią trzy razy w miesiącu i takie, co mają okres raz na pół roku. Nikt nie wie, jak je leczyć.

- Gdy wrócę do domu, zapukam do tych i owych drzwi.

- Jeśli ukrywają informacje, które mogą uratować ich życie, to morderstwo.

- Przyhamuj, Elli - mówi on. - Uspokój się. Chciałbym ci pomóc, jeśli zdołam. Wiele byłbym skłonny dla ciebie zrobić, ale nie ma co udawać, że coś potrafię, jeśli nie potrafię.

- Możesz spróbować - odpowiada Elli. - Przynajmniej zmusz Kampani do uprzątnięcia fabryki. Trucizna przedostaje się do studni, do ludzkiej krwi, do mleka matek. Frank, gdybyś przyszedł do kliniki, mogłabym ci coś pokazać. Przykładowe egzemplarze. Dzieci, którym nie udało się przyjść na świat. Nie chciałbyś czegoś takiego oglądać nawet w koszmarnych snach.

- Masz rację, nie chciałbym. - Milknie na chwilę, a potem wypytuje, w jaki konkretnie sposób woda oddziałuje na zdrowie mieszkańców. Jakie pojawiają się choroby? Czy Elli widziała ich oznaki na własne oczy? Skąd pewność, że zawiniły chemikalia z fabryki?

Elli z furią przytacza nazwy środków chemicznych i chorób, nazwiska, ale jej nikła nadzieja szybko gaśnie. Frank przybył tutaj, by wykonać polecenia Kampani. Po chwili przynajmniej znowu słucha i wyznaje Elli, że ją kocha. Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że uda jej się go poruszyć, wstrząsnąć nim. Khaufpurczycy potrzebują zaledwie tygodnia, nie więcej.

- Przykro mi, Elli - mówi Frank. - Naprawdę żałuję, że nie mogę ci pomóc. - Podchodzą do drzewa, pod którym stoi długi stół zastawiony jedzeniem. - Jesteś głodna? Ja nie mogę tego tknąć. Jem tylko omlety i frytki.

- Frank, proszę cię. Błagam cię. Musisz powstrzymać ten układ, tę ugodę. - Chwyta go za ramię. - Posłuchaj, gdybyś choć przez chwilę mieszkał wśród tych ludzi, byś zrozumiał.

Taksuje ją spojrzeniem.

- Elli, zadziwiasz mnie - mówi wreszcie. - Wciąż pełna pasji, oszałamiająca, godna podziwu. - Wyciąga rękę, Elli z trudem wytrzymuje jego dotyk. - Bo ja cię podziwiam. Zawsze cię podziwiałem. Nie, to za słabe słowo. Elli, ty przecież wiesz, co do ciebie czuję.

- Więc to zrób - mówi ona. - Zrób to dla mnie. Proszę, zrób to.

- Nie mogę. Nie da się zapobiec temu, co nieuniknione.

- Więc to opóźnij. Daj tym ludziom szansę, by uzyskali sprawiedliwy wyrok. Opóźnij to, póki nie odbędzie się rozprawa.

- Naprawdę ci na tym zależy, co? - rzuca on. - Mnie też na czymś zależy i to bardzo. Domyślasz się na czym?

Elli kręci głową, nie ośmielając się zgadywać.

- Chciałbym usłyszeć, że wracasz do domu. - Kładzie jej ręce na ramionach. - Elli, wykonałaś wspaniałą robotę. Wróć do domu. Przekaż swoje obowiązki miejscowym lekarzom i wracaj.

- Wiesz, że nie mogę - odpowiada ona. - Nie mogłabym, nawet gdybym chciała, a nie chcę.

- Teraz mówisz jak ja - stwierdza Frank. - Za nic nie zrobisz tego, czego chcę, a ja nie zrobię tego, czego ty chcesz. - Pochyla się i całuje Elli w policzek. - Wygląda na to, że powinniśmy zawrzeć ugodę.

- Jaką ugodę?

On zastanawia się przez chwilę.

- A gdybym znalazł sposób, by opóźnić porozumienie, odwlec je poza datę, którą wymieniłaś? Czy wtedy wrócisz ze mną?

- Możesz to zrobić? Naprawdę? Jak? - Nieprawdopodobne, pomyślała. Nie mówi tego serio, przecież jest prawnikiem. Gdyby tego dokonał, Zafar i Farouq nie musieliby prowadzić głodówki, a khaufpurczycy pozyskaliby sędziego, który ich zrozumie. - Wyświadczyłbyś wiele dobra mieszkańcom tego miasta.

- Nie robię tego dla nich. Robię to dla ciebie. Ale jeśli mi się uda, musisz wrócić do Ameryki. Obiecuj.

Wzбира w niej smutek, jakby fale wielkiego ukrytego jeziora podmyły wzgórze i wzniosły się szybko i cicho, by ją pochłonać.

- Obiecuję.

Taśma dwudziesta pierwsza

Ktoś dobija się do drzwi kliniki. Na ulicy stoi auto Bhoory, reflektory świecą, silnik pracuje na jałowym biegu.

- Szybko! - woła Bhoora na widok Elli. - Nie ma czasu do stracenia, musi pani ze mną jechać!

- Co się dzieje? - pytam.

Wyjaśnia, że przyjechał po Elli doktorkę, żeby zawieźć ją do Orzechokrusza. Z Aliją jest źle, gorączka wzrosła, staruszkowie obawiają się o jej życie.

- Pozwól mi też jechać - proszę niespokojny o los Aliyi, ale także o Ma Franci.

- Niech się pani pospieszy - ponagla Bhoora - i nie martwi o swoją klinikę. *Pandit* Somraj rozkazał, żeby jej nie ruszać.

Elli wsiada bez słowa, Bhoora odpala silnik. Telepiemy się przez nocny Khaufpur. Wąska smuga światła wydobywa z mroku drogę. Ulica obok fabryki jest zdewastowana, porozrywana na kawałki, ogromne kamienie i odłamki betonu leżą na środku, wszędzie przelewają się tłumy, nigdzie ani śladu policjantów, ale przed bramą stoi ekipa telewizyjna. Skrzydła bramy leżą na ziemi, z ciemności od strony fabryki dobiega śpiew.

Przed domem Huriyi i Hanifa zebrała się grupka sąsiadów, w środku słychać płacz.

Staruszek siedzi z wnuczką leżącą na jego kolanach. Twarz Aliyi wygląda dziwnie. Ma róż na policzkach, powieki uczernione proszkiem antymonowym, usta pomalowane szminką. Ubrana jest w nową wymyślną sukienkę. Palce starego Hanifa błędzą po buzi dziewczynki, jakby starał się zapamiętać szczegóły.

Huriya szlocha.

- Proszę ją ratować, doktorko *sahibo* - błaga. - Boże pani błogosław, nie wierzę w to, co o pani opowiadają. Niech pani ratuje to dziecko. Ona jest wszystkim, co nam pozostało w tym życiu.

Elli delikatnie odsuwa dłoń starca od twarzy dziecka.

- Dlaczego ubraliście ją w ten sposób?

- Anioł śmierci krąży po tym mieście. Gdy przyjdzie po Aliję, zobaczy, że ona dobrze wygląda, zdrowo. Śmierć uzna, że popełniła błąd, nie zabierze jej i odejdzie. - Hanif zwraca niewidzące oczy ku lekarce. - Tak się stanie, prawda?

Doktorka klęczy nad dzieckiem, osłuchuje serce, a potem wstaje, lecz nic nie mówi.

- *Non, Elli, non!* - krzyczę we français, żeby starszycy nie zrozumieli. Oby nie zdradził mnie ton udręki w głosie. - *Pas possible! Fais quelque chose, je t'implore!*

Oczy, nie będę tego tłumaczył, żaden język na świecie nie opisze, co się dzieje w mojej duszy. O, moja biedna przyjaciółko, czemu nigdy nie zabrałem cię na ryby? Wróc, a będę woził cię codziennie na grzbiecie. Możesz mnie kopać po żebrach, ile zechcesz. Nieszczęsne dziecko, odchodzisz tak nagle, że twoi dziadkowie wciąż jeszcze proszą Elli, by ocaliła ci życie. O, kochani starszycy, róż za jedną rupię, szminka kupiona na rogu ulicy, anioł śmierci żąda znacznie wyższej ceny.

Teraz stary zaczyna płakać. Nie mogę na to patrzeć. Jest coś bardzo okrutnego w oczach, które nie widzą, lecz mogą wylewać łzy. Sam oddycham spazmatycznie, niemal szlocham, jakby płuca odrzucały nadmiar powietrza. A właściwie dlaczego mam żyć? Nie ma już miłości ani nadziei, wszystko, co dobre, umiera. Nie ma już Zafara, nie ma Farouga, trudno znieść ten smutek. Jestem obolały z powodu pobicia, ale teraz gorsze cierpienie wypełnia moje ciało, chce się sączyć z moich oczu i ust. O Boże, jeśli naprawdę istniejesz, jaki ty musisz być wredny, jak nas nienawidzisz, że tak nas dręczysz, podczas gdy w ogrodach Jehannum źli ludzie objadają się i piją wino. Ocalasz ich, a biedaków strącasz na samo dno. Czy tam, w niebie, aż tak łakniesz rozrywki, że musisz zabierać najlepszych, najcenniejszych ludzi? Masz już moich przyjaciół, zabierz swego mrocznego anioła od tego dziecka, ocal jej życie, a ja, Zwierzak, który nie jestem niczym sługą, zostanę twoim niewolnikiem.

Wreszcie Elli doktorka odzywa się w ludzkim języku:

- *C'est plus à moi.* Już temu nie podołam. Dziecko, które pokochałam, odeszło.

Skądś z zewnątrz dobiega żałośliwy okrzyk.

- Boże bądź miłościwi - mówi stara Huriya, a Hanif wznosi ślepe oczy.

- Zafar *bhai* nie żyje! - znowu odzywa się ten głos. Inne odpowiadają w imię Boga, w którego Zafar nie wierzy.

Więc w końcu wieści przeciekły. Niczym wyjące psy, najpierw jeden, potem kolejne, w oddali zawodzą ludzie. Niesamowity dźwięk unosi się nad Orzechokruszem, jakby echa napływały ze wszystkich stron.

- Farouq *bhaiya* nie żyje! Ocal nas, Boże! Nasz Zafar *bhai* umarł!

Wewnętrzny głos mówi mi: *Zwierzaku, to koniec twoich beztróskich dni*. Inny ostrzega: *Nie pozwól im zobaczyć, jak płaczesz*. Wybiegam na zewnątrz, żaden khaufpurczyk jeszcze nie widział mnie wyjącego. Bezlitosne gwiazdy połyskują nad miastem niczym noże.

- Zafar *bhai* nie żyje! Farouq *bhaiya* nie żyje!

- Bhoora, pośpiesz się, musimy zajrzeć do Ma, a potem zawieziesz nas do Nishy.

- Chodź - mówi. - Ma jest sama, jedźmy do niej.

Mówię Elli, że wrócimy za dziesięć minut, a potem zaułek zwięza się w piaszczystą ścieżkę, droga biegnie nad torami. Bhoora wie, którędy jechać, tyle razy mnie tu podrzucał. W końcu podskakujemy na bezdrożach porośniętych chwastami połyskującymi blado w świetle reflektorów. W wieży migocze jakieś światelko, rozjaśnia wejście. A zatem tam jest. Dziwne krzyki wciąż odbijają się echem po całym Khaufpurze, umykają w mrok nocy, gdzie półksiężyc podświetla chmury. Jak łąza, mówili, był księżyc tamtej nocy i tej oplakanej nocy jest taki sam. Biedna Aliya, nikomu nie będzie jej tak bardzo brakowało jak mnie.

Pies wybiega mi na spotkanie. Skacze i liże moją twarz. To po raz tysięczny wzrusza mnie do łez. Zwierzęta są wierne. Wewnątrz zastaję Ma przy lampie naftowej z księgą Świjana w ręce. Lecz nie patrzy na jej strony. Zna tę księgę na pamięć. Można by ją podrzeć albo spalić, a Ma i tak pamiętałaby każdy werset, każde słowo. Spogląda na mnie i mówi:

- To już nadchodzi, kochany Zwierzaku, noc *Qayamat*, koniec wszechrzeczy.

- Ma, nie wychodź dzisiaj. Zostań tu dziś wieczór, czuwaj. Zatrzymaj przy sobie psa. Nie waz się nawet wystawić stopy na zewnątrz.

Śmieje się ze mnie, okropnym śmiechem starej, bezzębnej, zachłystującej się kobiety. Wygląda jak czarownica, *haadal*, dzikooki duch nocy. Włosy ma splecione jak korzenie drzew, jej twarz wydaje się niewiarygodnie stara, światło lampy wydobywa każdą zmarszczkę, każdą rysę, jakby rzeczywiście błąkała się po świecie od zarania dziejów.

- Czyż nie powinnam dzisiaj pójść do miasta? To moja noc, tyle lat na nią czekałam. Dzisiaj to ja, Zwierzaku, jestem groźna. Niech świat ma się na baczności.

Nie mam pojęcia, co Ma przez to rozumie, ale nie podoba mi się sposób, w jaki to mówi.

- Ma, Zafar *bhai* umarł, wszyscy teraz dostaną szału. Niebezpiecznie byłoby dla ciebie wychodzić na ulicę.

Przychodzi mi do głowy, że może rozwścieczeni ludzie zwrócą się przeciwko wszystkim cudzoziemcom. Wprawdzie wszyscy w Orzechokruszu ją znają, ale kto wie, dokąd zaprowadzi ją oblęd?

- Nie zależy mi na bezpieczeństwie - wyjaśnia z obłąkańczym chichotem. - Co mnie obchodzi, jeśli nawet umrę? Właśnie tej nocy śmierć będzie błogosławieństwem. Zwierzaku, są tu aniołowie, przybyły ich tysiące, by położyć kres istnieniu tego grzesznego, smutnego świata. Dzisiaj w nocy wybuchnie płomieniem, spali się na popiół i obróci w proch. Kto go będzie oplakiwał? Ty? Wiesz, kto dzisiaj zjawił się w tym mieście?

- Nie wiem. - Przybity nieszczęściem myślę, że może przyjechał z Delhi jakiś ważny polityk albo gwiazda filmowa. Przecież to nie mógłby być byle kto, prawda? - Powiedz, Ma, kto to taki? Prezydent Indii?

Jej perlisty śmiech brzmi jak karyliony, dzwonki Jacotina z nosem *supèrbe*.

- Jaki ty jesteś niemądry, Zwierzaku. Zgaduj jeszcze raz.

- *Jacotin, avec son nas supèrbe* - odpowiadam, choć chce mi się wyc.

- Słusznie, że przemawiasz językiem aniołów, Zwierzaku. Tej nocy przychodzą po dusze. Może zabiorą moją i twoją także. - Gdy mówi „tej nocy”, dostaję dreszczy. Podobnym tonem zawsze mówimy o tamtej nocy. - Przybył tu Isa - podejmuje - ze Świjanem. Przypuszczam, że już tutaj są. Długo czekałam, by ujrzeć ich oblicza. Muszę koniecznie się z nimi spotkać. Czy wiesz, po co przybyli, *mon pauvre petit*? Ponieważ tej nocy zmarli wynurzą się spod ziemi, ich czaszki przebiją glebę niczym wielkie pieczarki. Kości również wychyną na powierzchnię, klekocząc niczym pociąg na przejeździe kolejowym. A później połączą się wszystkie i znowu zaczną chodzić. Dzisiaj, wspomnisz moje słowa, to miasto będzie pełne zmarłych.

- A ci, którzy zostali spaleni?

- Spadnie deszcz, skleji na nowo popioły i wtedy ludzie, z których one pochodzą, zaczną stopniowo powracać. Bóg stworzył Adama z prochu, popioły nie będą dla niego żadnym problemem. Zwierzaku, jak myślisz, dlaczego to się dzieje właśnie w Khaufpurze? Ponieważ spoczywają tutaj tysiące zmarłych, gotowych i oczekujących. Bóg chce, żeby Zmartwychwstanie rozpoczęło się jak należy.

- Zwierzaku, pospiesz się! - woła Bhoora. - Muszę wracać do domu!

- Ma - zwracam się do niej - kocham cię bardzo. Nie wychodź stąd beze mnie. Niedługo wrócę.

- Dokąd się wybierasz? - pyta, nieoczekiwanie powracając do normalności. - Takie z ciebie dziecko. Nic nie zjadłeś, a teraz znowu gdzieś wychodzisz. Spójrz tylko na siebie, cały w sińcach. I podbite oko. Znowu grałeś w *kabbadi*. Chodź, synu, zjedz coś. Jest trochę ryżu i *daal*.

- Zostań, Jara - nakazuję psu.

Przysięgam, że gdyby umiał skinać głową, toby to zrobił. Po chwili już siedzę w aucie Bhoory.

Elli sprawia wrażenie wyczerpanej, przepełnionej rozpaczą. Zamyka oczy i nic nie mówi, gdy podskakujemy na wybojach, wyjeżdżając z Orzechokrusza i wracając na promenadę Kali. Kolejna niespodzianka. Ulice są puste, wcześniejsze tłumy zniknęły, lecz nadal nad miastem przetaczają się dzikie wrzaski. Tej nocy bulgocze tu coś głęboko ukrytego i niebezpiecznego, słychać szemranie ludzi zza zamkniętych drzwi, ludzi obmyślających zemstę. Na odcinku trzystu metrów dwukrotnie zatrzymują nas nerwowi żołnierze z karabinami. Przypatrują się Elli podejrzliwie, lecz Bhoora zapewnia, że to lekarka, która wypełnia misję miłosierdzia. Wtedy nas ostrzegają, iż wprowadzono godzinę policyjną, musimy jak najprędzej zniknąć z ulicy. Dudnienie przybiera na sile i po raz pierwszy w życiu widzę czołg. Wielka lufa sterczy mu z przodu jak róg chrząszcza rohatyńca. Gdy docieramy do Pazura, Elli znika bez słowa. Ledwo wysiadam z auta, Bhoora zawraca, zmierzając do domu. A ja ruszam w stronę siedziby Somraja, bo Nisha z pewnością mnie potrzebuje.

Nisha nie płacze, ale też się nie odzywa. Siedzi w ogródku, w którym wysechł staw. *Nautapa* wysłała wodę i rybki pływają teraz w plastikowej balii. Oczy Nishy wpatrują się w przestrzeń. Oczywiście wie. Musi wiedzieć. Słyszała lamenty.

- Nisho, przynieść ci coś? Herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Mogę usiąść z tobą?

- Jeśli chcesz - odpowiada.

- Chciałbym.

- No to chodź i siadaj.

I tak sobie siedzimy bez słowa. Nie wiem, jak ona to robi, że jest taka spokojna. Może krzyki, modlitwy, wołanie o pomoc są u ludzi oznaką nadziei, a gdy nadzieja umiera, nie pozostaje nic prócz wiatru wśród traw. W końcu nasze milczenie przerywa śpiew. Słów nie rozumiem, lecz wychwytyję w nich tak głęboki smutek, że może lepiej ich nie rozumieć.

Nisha zmienia pozycję.

- No cóż - mówi - trzeba przygotować kolację.

- Pomogę ci.

- Teraz zostaliśmy tylko ty i ja - odzywa się cichym głosem. A potem patrzy na mnie żałośnie i woła: - Och, Zwierzaku, dlaczego Zafar mnie opuścił?!

- Był bohaterem - odpowiadam szczerze. - Zbyt dobrym, by żyć na tym potwornym świecie.

Nisha kręci głową.

- Oplakują Zafara, a ja, która byłam mu najbliższa, nie potrafię płakać. Ja, prawie jego oblubienica. Popatrz. - Pokazuje mi podrapane i posiniaczone nadgarstki. - Porozrywałam bransolety, jak przystało żonie. Poszłam do niego. Poszłam tam z ojcem, ale namiot był pusty. Zafar i Farouq zniknęli. Podobno przyjechała policja i karetka, ich ciała zabrano do szpitala.

- Poszłaś tam?

- Tak, ale ich nie było. W szpitalu zaprzeczono, by ktoś ich przywiózł. Pomyśleliśmy, że może trafili do wojskowego albo do więzienia. Nabraliśmy nawet nadziei, że żyją.

- Pytałaś policjantów?

- Zaczęły się zamieszki. Tata uznał, że to niebezpieczne przebywać poza domem, więc wróciliśmy.

- A z twoim ojcem wszystko w porządku?

Spogląda na mnie.

- Co to znaczy: w porządku? Wygląda jak wyrzeźbiony z drewna. Czy to dobrze? Nie przypuszczam. Tatę przepelnia poczucie winy. Mówi, że można było temu zapobiec, gdyby Elli miała szansę się wytłumaczyć. Chciała mu o wszystkim powiedzieć już dawno, ale zawsze brakło jej odwagi. Pojechała do Jehannum zaapelować do dawnego męża, próbowała ratować Zafara i Farouqa.

- Więc dlaczego ciągle mam poczucie, że nas zdradziła?

- Przypuszczam, że trudno ufać komuś, kto coś przed nami ukrywał. Gdzieś w głębi duszy zawsze się wie, że taka osoba nigdy nie stanie się bliska.

Siedzę wpatrzony w balię. W zielonkawej wodzie przemykają wśród poskręcanych pędów roślin złote rybki. Niech mi Bóg wybaczy, tak wiele ukryłem przed tą dziewczyną.

- Nisho - mówię, biorąc ją za rękę - Zafar poprosił, żebym się tobą zaopiekował.

- Dziękuję, ale nie chcę, by ktoś to robił.

- Nie możesz rozpaczać w samotności.

- Myślisz, że rozpaczam? Rozpaczałam. Płakałam całymi dniami. Wypłakałam wszystkie łzy. Nie ma już we mnie smutku, lecz coś gorszego.

- Pomogę ci. Pozwól mi z sobą zostać.

- Teraz czuję tylko gniew. Tak silny, że rozsadza mi głowę.

- Ja też jestem zły. Całe miasto jest rozgniewane.

- Ale ja mam ochotę drzeć, szarpać i rozbijać - mówi ta najłagodniejsza z dziewcząt. -

Jestem taka zła na Zafara za to, co zrobił, i na siebie, że go nie powstrzymałam. Och, chciałabym złapać za nóż, wykroić sobie łono i cisnąć na ulicę psom na pożarcie. Na co mi teraz potrzebne?

- Takie uczucia na nic się nie zdadzą, siostró.

- Powiem ci, co naprawdę się na nic nie zda! - krzyczy. - Tak cenna dla mojego ojca sprawiedliwość na nic się nie zda. Podobnie jak nasz rząd, nasze sądy, nasze apele do ludzkich uczuć, bo to nie są ludzie, to są zwierzęta.

- Nish - wtrącam, pomijając obelgę pod adresem zwierząt - poświęcę całe życie, żeby cię uszczęśliwić.

- Jak możesz mówić o szczęściu w takiej chwili?

Wciąż trzymam ją za rękę.

- Dopiero co powiedziałaś, że zostaliśmy tylko ty i ja. Możemy razem pojechać do Ratnagiri.

- Nie!

Ale słowa same wrywają się z moich ust:

- Wyjdź za mnie, Nisho, nigdy cię nie opuszczę. Będziemy mieli dzieci. Zdobędę wykształcenie, znajdę pracę.

- Przestań, Zwierzaku! Przestań! Powiedziałam ci już, że nigdy za ciebie nie wyjdę!

Gniew przelewa się przez nas oboje. Czuję, jak drży jej dłoń. Nie powinienem mówić, co myślę. Powinienem ugryźć się w język, przeprosić, ale zaszedłem już zbyt daleko, a prócz tego poczucie krzywdy tkwi we mnie od dawna i nie da się uciszyć.

- Dlatego że jestem zwierzęciem, prawda? To jest prawdziwy powód, aby nie wychodzić za mnie za męża.

Wrywa dłoń z mojej ręki.

- Oszalałeś? Jak śmiesz opowiadać takie rzeczy?

- Bo to prawda. Gdybym był człowiekiem, może zostałbym twoim kochankiem. A teraz nie ma na to szans.

- Zwierzaku, proszę cię!

- Zawsze będę tylko pieprzonym zwierzęciem!

Patrzy na mnie z obłędem w oczach.

- Jeśli jesteś zwierzęciem, to się odpieprz i bądź nim do końca! Wynoś się, zamieszkaj w dżungli i sprawdź, ile jest w tobie ze zwierza. A mnie zostaw w spokoju!

Więc wybiegam, uciekam od tego domu, na ulicę i prosto w tę noc. Słyszę, a może

tylko sobie wyobrażam, wołanie Nishy:

- Zwierzaku, przepraszam, wracaj!

Ale nie mogę wrócić, nigdy, bo to oczywiste, że sama myśl o poślubieniu takiej kreatury jak ja budzi w niej odrazę. Biegam na czworakach i jestem kuzynem hieny. Gdzie poznałaś męża? No cóż, buszował po śmietnikach w starej części miasta. Huczy mi w głowie, bo nie wiem, co robić, nie chcę dalej żyć. Zachłystując się szlochem, przemierzam zaułek, a potem przysiadam, opierając się plecami o mangowiec Elli. Po co mam żyć? Wszystko, na czym mi zależy, przepadło w ciągu jednego dnia i nocy. Tak szybko zmienia się świat. Zafar, Farouq, Aliya, już po nich. Głosy w mojej głowie wrzaskliwie przepowiadają katastrofę. Ma Franci w przypiływie ekstatycznego szaleństwa będzie błądziła po ulicach, szukając Isy. Może chodzi teraz po cmentarzach, próbując obudzić zmarłych, powtarzając im: „Wyjdźcie, już czas”. A może poszła na pogrzebowy *ghat*, gdzie siedzą asceci *aghoris sadhu* o oczach jak kałuże krwi, pijąc z czaszek i jedząc upieczone ludzkie ciało, ponieważ dzisiejsza noc jest tą nocą, nocą *Qayamat*, którą Ma nazywa Apokalizą, słowem zawierającym imię Kali, zwanej również Ma. Tak, Ma to przecież Kali Ma, czemu nigdy o tym nie pomyślałem? Przybrana girlandą z kości będzie krążyła po ulicach Khaufpuru, obwieszczając koniec świata. Wielkimi krokami wkroczy do fabryki, by zbudzić głodne i zdesperowane duchy zamieszkujące to miejsce, a potem żołnierze zaczną do niej strzelać. Głupcy, nie mogą zabić Ma. Ona trwa od zarania dziejów. Ma wyrwie z nich flaki i zrobi sobie pas z odciętych głów. Będzie piła ich krew, zwiesi język poniżej talii, a gdy Isa nadejdzie, powita go krwawymi pocałunkami, potem zaś wezwie z otchłani bestie, które rozpętają piekło na ziemi. Dlatego głosy tak wściekle jazgoczą. Ale ja też jestem na ulicy. Może żołnierze mnie zastrzelą. Wpadam na pewien pomysł. Będę w nich rzucał kamieniami, przeciwstawię się ich karabinom i stanę przed lufami ich czołgów, będę krzyczał: „No, chodźcie, sukinsyny! Zróbcie, co najgorsze! Przyrzekam nigdy nie wstać z martwych”. Mam dość tego pieprzonego świata. O nie, gdyby przyszedł sam Isa i błagał mnie, żebym powstał, gdyby obiecał osobiście naprawić moje kości klejem i na nowo ukształtować ciało własnymi rękami, gdyby przysiągł, że uczyni mnie prostym i wysokim, i tak bym mu powiedział, żeby się odpieprzył, bo ten świat jest zbyt okrutny, życie jest zbyt ciężkie i mam go dość. Niech mnie zabiją. Co mi zależy? Lepiej umrzeć, bo zgaśnie wtedy i ta dręcząca nadzieja. Jak żyć, jeśli Elli wyjeżdża, mój grzbiet nigdy się nie wyprostuje i nawet Nisha, którą kochałem nade wszystko, odeszła ode mnie? Jednego dnia przepada to, na czym mi zależało, wyrzeknę się swego bezwartościowego życia. Komu podarować zapalniczkę? Sięgam do kieszeni, moje palce wymacują jakiś twardy przedmiot. To pudełeczko z *goli* od Faqriego. Otwieram je i liczę. Trzyście pigulek

wyglądających jak kozie bobki. Tyle chyba wystarczy. Chrupię je jedna po drugiej, pytając siebie za każdym razem: na pewno chcesz umrzeć? Odpowiedź brzmi: tak, zjedz jeszcze jedną. Więc gryzę następną i następną. Mają gorzki smak, lecz nie odstręczający. Przeżuwam trzynaście. Moje usta są jak ciemna chmura pochłaniająca trzynaście małych czarnych księżyców. Ostatni kęs i już po wszystkim.

Mam cztery stopy i mózg śmigający jak zając a oczy jak worki z wełną i zatokę w miejscu podniebienia spienione rynsztoki zamiast policzków w głowie ryk i szum z góry i z dołu głosy wołają piekło płonie w moich wnętrznościach czemu nigdy nie zauważyłem że świat jest pełen różnych szalonych istot? Jak te demony, które biegną ulicą z płonącymi pochodniami. Nigdy takich nie widziałem. Zebrały się przed kliniką Elli i wrzeszczą, żeby wyszła do nich.

- Klinika Kampani, spalić ją!

Jakie to interesujące. Więc demony również są przeciw Kampani. Kto by pomyślał, że obchodzą je nasze khaufpurskie sprawy? Oczy jak jajka na miękko wybałuszają się z ich twarzy. A teraz demony dorwanym skądś kilofem rozwalają drzwi.

- Uprzejmie proszę wyjść! - woła istota z wyszczerzonymi zębami. - Życzymy sobie zniszczyć to miejsce.

Nagle znikają drzwi, ich miejsce zajmuje ciemny prostokąt, w którym stoi Elli. Jej nocny strój jaśnieje w łzawej księżycowej poświacie. Na ten widok demony peszą się i zaczynają rzeć cicho jeden do drugiego.

Jak cała reszta świata Elli doktorka też odczuwa gniew. Przeobraża się w ognistą pięść i krzyczy, żeby demony sobie poszły i zostawiły ją w spokoju.

- Dokąd mamy iść, proszę pani?

- Nie możemy odejść, dopóki nie spalimy tego miejsca.

- Rozbijcie okno, podłóżcie ogień.

Rozlega się dźwięk, jakby roztrzaskiwano na kawałki bryłę muzyki, to cała raga trwająca dwie sekundy. Somraj wyfruwa z mroku niczym olbrzymia biała ćma, taki piękny dźwięk pewnie będzie chciał schwytać i trzymać w słoju.

- Zabić tę sukę!

- Nie będzie tu żadnego zabijania - oznajmia Somraj, stając między Elli a demonami.

- Odsuń się, *pandit-ji*.

- Nie. Nie tkniecie jej.

- *Bhai sahib* i *bhaiya* nie żyją z winy jej przyjaciół.

- Ci ludzie nie są jej przyjaciółmi, *bhaiya* i *bhai sahib* to byli jej przyjaciele. - *Pandit* wydaje się zamazany, jakby się rozdawał. Obejmuje ramionami równie niewyraźną Elli i prowadzi ją na drugą stronę drogi. Demony z pochodniami znikają w drzwiach kliniki.

Spoglądam w górę i dostrzegam półksiężyc przycupnięty wśród gałęzi mangowca, zerkający na mnie spomiędzy liści.

- Widzę cię, Zwierzaku - mówi księżyc.

- Widzę cię, księżycu - odpowiada zwierzę. - Dziejmsbondujesz mnie?

- Śniesz - mówi księżyc. - Musisz się obudzić.

- Wolę śnić.

- Musisz coś zrobić.

- Co to takiego, o księżycu?

- Obudź się i sprawdź - odpowiada księżyc i wtedy falujące liście mangowca rozbijają go na połyskliwe odłamki.

Okna kliniki świecą pomarańczowym blaskiem. Przypominam sobie, że mój mały przyjaciel Khã-w-Słóju jest tam w środku i muszę go ocalić.

Gabinet Elli się pali. Płomienie wiją się jak węże w kątach, wypluwając na ściany ogniste ziarna.

- Och, nie spiesz się - mówi Khã-w-Słóju. - Ja mogę poczekać, no jasne.

- Gdzie jesteś?

Pewnie go gdzieś zamknęła.

- Tutaj, tępy kutasino.

- Gdzie?

- W szafie.

Podchodzę bliżej i nagle zaczynam się ślizgać. Na podłodze rozlano jakiś płyn, cuchnie jak niedestylowane *daru*, nie do zniesienia, łzawią mi od tego oczy, mam odruch wymiotny, rozcinam ręce o coś ostrego, ślizgam się w kałużach piekących jak czysta nienawiść, zderzam się z czymś zimnym i oślizłym. To cyklop. Jego jedyne oko wpatruje się we mnie. Śmierdzi zepsutą marynatą.

- Zostaw go - nakazuje Khã-w-Słóju. - Ośmioro nas było, członkowie zarządu truciznowallah. Siedem butli się rozbiło i nasi przyjaciele wylądowali na podłodze, w każdej chwili to może się zapalić i *badoof!*

- Uratuję ich.

- Nie, nie - protestuje. - Gdy spłoną, będą wolni. A ja się tylko obawiam, że ogień nie dosięgnie tej szafy.

- Więc uratuję cię.

- *Shabaash*, Zwierzaku, roztrzaskaj też słój ze mną. Szybko, nie mamy czasu.

Ale ja lekceważę życzenia tego skurwiela. Wpycham słój pod pachę i przytrzymuję, a potem wybiegam jak najszybciej na trzech kończynach, ignorując jego wrzaski, prosto na ulicę. Poza tym, że mój mózg przedzie pajęczyny, księżyc bez przerwy zmienia kształt, a wilcze zęby szarpią moje wnętrzności, wszystko wydaje się normalne.

- Hej! - krzyczy on. - Dokąd mnie niesiesz?

- Spalisz się, przysięgam, ale najpierw musimy pogadać.

- Nie ma czasu na gadanie. Czy nie wiesz, że to ta noc?

- Zamknij się, bo będę zmuszony nie wyrządzić ci żadnej krzywdy.

Ta groźba go bardzo przeraża, więc jego dwie głowy bulgoczą płynem i kipią w milczeniu. Czym prędzej znikam z Pazura, kryjąc się wśród cieni. Słysząc wrzawę, krzyki dobiegające ze wszystkich stron, płoną ognie, od strony starego miasta słychać strzały z broni palnej. Muszę unikać głównych ulic, więc zamierzam pójść do domu na skróty. Wiele dróg prowadzi do fabryki i wybieram jedną taką w Pazurze, gdzie pod murem rośnie małe drzewko. Jak się na nie wspiąć? Umieścić Khã w rozwidleniu. Podciągnąć się. Podnieść Khã wyżej. Wspiąć się i postawić Khã na murze. Samemu się wdrapać na mur. Przez cały czas mruczę:

- Jeszcze tylko chwila, zaraz wrócę i pogadamy, mam zapalniczkę zippo i przysięgam, że cię podpalę.

- Pożałujesz tego - warczy.

Jasne światło księżyca pada na słój i dostrzegam ze zgrozą, co właściwie niosę. Słój wyslizguje mi się z rąk i upada, rozbija się, wypływa z niego jakaś ciecz. Na podłodze w pomieszczeniu fabryki leży coś, co znajdowało się wewnątrz - na wpół przegniły relikwiarz tamtej nocy.

Uciekając z tego przeklętego miejsca przez rozświetlone księżycowym blaskiem trawy i kęsy krzewy, boję się czegoś gorszego niż węże, psy albo mężczyźni z kijami. Czegoś bardziej śmiertelniejszego niż one wszystkie i bardziej zatrutego niż to nieszczęsne stworzenie gnijące w chemicznym łonie. Uciekam od siebie. Uciekam od tego, co zrobiłem. Myślę o Zafarze, którego śmierć przyspieszyły moje trucizny. Skończył życie wysuszony jak wędzona ryba, ale do samego końca był łagodny, och, jak łagodny. Łzy, których nie mógł wypłakać, szklą moje oczy i świat przybiera dziwne kształty.

W trawach również czają się rozmaite stworzenia, śmigają tuż obok i szydzą ze mnie.

Twarze zmarłych krążą wokoło z drwiącymi uśmiechami. Czy to ten Zwierzak, który nas wyklinał, obrażał, ganił za to, że jesteśmy bezsilnymi dmuchnięciami wiatru, zwykłymi szepczącymi powiewami? No więc teraz kolej na ciebie, Zwierzaku, fajnie widzieć, że cierpisz, kuśtykasz z cierniami w łapach i koszmarami na jawie, spójrz, oto *khana* z truciznami, nie spodziewałeś się, że coś takiego zobaczysz, prawda? Zgubiłeś się we własnej dżungli. Chodź, wdrap się tam i spróbuj teraz nas tyranizować, wleź na sam szczyt i zawiśnij na księżycu. No chodź, zeskocz z samej góry i złap się księżycy. Będzie w dotyku chłodny jak lód. Przytrzymaj się łapami, mocno. Co, boisz się spaść? Że skręcisz kark, że umrzesz? Co za różnica, synu? I tak już skręciłeś kark i umierasz. Spala cię bielun, czujesz go. *Nautapa* jest niczym w porównaniu z tym żarem, który pochłania cię od środka.

Słusznie, że połknąłem te pigułki, zasłużyłem na śmierć. Powinienem być zrobić to wcześniej, skończyć z sobą. Wszystkiego tego można było uniknąć, tak, dobrze jest umierać, bo wreszcie uwolnię się od samego siebie. To już koniec żalu, bólu, grozy, rozpacz, wstępu do siebie - i czy nastąpi zmartwychwstanie, czy reinkarnacja, jakiegokolwiek plany mają w zanadrzu anioły, diabły albo bogowie, nigdy tu nie powrócę.

W końcu docieram do drugiego muru po przeciwnej stronie, przeciskam się przez otwór i widzę przed sobą tory kolejowe, a za nimi nisko położone dachy Orzechokrusza. Gdy wkraczam w zaułki, wyczuwam, że coś się dzieje, słyszę pomruki tłumu, podniesione głosy, klótnie. Która to godzina? Nie ma sensu wypatrywać księżycy, przesunął się na drugą stronę nieba. Musiało upłynąć kilka godzin. Ogień w moich trzewiach pali coraz mocniej, lecz wróciła pewna jasność myślenia. Długo to nie potrwa, przecież zażyłem trzynaście pigułek Faqiego. Niebawem umrę, ale muszę się jeszcze pożegnać z Jarą i Ma.

- *J'entends la voix d'une multitude d'anges et des autres êtres vivants, et leur nombre était des myriades de myriades et des milliers de milliers!* - wykrzykuje staruszka. Słyszy głosy anielskich zastępów i innych żywych istot. Są ich miliony, wzywają Boga, a wszystkie stworzenia w powietrzu, na ziemi i pod ziemią płaczą. W powietrzu unosi się ostry zapach, pieką mnie oczy. Dlaczego Ma gotuje tak późną nocą? Po co smaży chili? Zbliżywszy się do wieży, zaczynam kaszleć, opary chili drażnią moje oczy, gardło, każdy oddech jest jak płomień, współgra z ogniem bielunia w moich kiszkach. Ma krzyczy nadal: - *Je regardai, et voici, parut un cheval Blanc!*

Ty niemądra stara kobieto, po co wrzeszczysz o białych koniach i koronach zwycięstwa? Wiem, co będzie dalej, czerwony koń z jeźdźcem, którego miecz siecze tych, co pasą się ciałami swoich pobratymców, a potem czarny koń, którego dosiada ten, kto trzyma

wagę z szalami sprawiedliwości. Nie tylko moje oczy i wnętrzości płoną. Coś pali mi plecy, ziemia wokół mnie jest płataniną cieni. Głos wariatki skanduje:

- *Parut un cheval d'une couleur pâle. Celui qui le montait se nommait la mort, et l'hades le suivait, pour exterminer les hommes par l'épée, par la famine, par la peste, et par les bêtes sauvages de la terre.* - Oto koń blady, a na nim śmierć, za nią postępuje piekło, przybyli, by wyniszczyć ludzi wojną, głodem i zarazą, a ich ciała zostawić na pożarcie dzikim zwierzętom.

Z moich oczu płyną strumienie łez, trudno utrzymać otwarte powieki, dryfują smugi dymu, jakieś głosy krzyczą:

- Uciekajcie, ratujcie się! Fabryka płonie!

Oglądam się przez ramię i widzę łunę na niebie. W górę wzbijają się kłęby dymu.

- Uciekajcie! - krzyczą głosy. - To gazy!

- Uciekajcie, ratujcie życie!

- Powtarza się tamta noc!

Teraz już wiem, dlaczego ziemia się kołysze, światełko z otworu w naszej wieży pokazuje węże i inne stworzenia umykające rozpaczliwie przed ogniem. Wewnątrz, razem z psem, jest Ma w stroju zakonnicy. Przyciska do piersi księgę Świjana, ale jej nie czyta, zna przecież całą na pamięć. Na mój widok wykrzykuje głośno:

- Chodź, Zwierzaku, czeka nas praca!

Oczy tak mnie pieką, że ledwie ją widzę.

- Ma, musisz uciekać. - Z trudem udaje mi się wydobyć głos. - Szybko, w bezpieczne miejsce.

- Nie ma bezpiecznych miejsc - ona na to. - Nadeszła Apokaliza. - Zbliża się do drzwi i schyla, by wyjść. - Chodź, ludzie potrzebują naszej pomocy.

Niestety wiem, co musi się dzieć w zaułkach Orzechokrusza, dlatego nie potrafię się ruszyć. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Przepęlnia mnie strach, wszystkie moje cztery łapy jakby zapuściły korzenie. Ma stoi w drzwiach i czeka, do naszej wieży wpływają już kłęby dymu.

- Chodź, Zwierzaku.

Wciąż się nie poruszam. Ma powtarza z uśmiechem:

- Żegnaj, moje drogie dziecię. Zawsze cię kochałam i będę kochała, tak, aż po kres czasu. Spotkamy się w raj.

- Zaczekaj! - krzyczę, lecz ona się odwraca i odchodzi.

Jara patrzy na mnie z wyrzutem, a potem idzie za Ma i ogląda się, jakby chciała

powiedzieć: „No to żegnaj, już się nie zobaczymy na tym świecie”. A ja, który jestem i tak skazany, który straciłem przyjaciół, miłość i nadzieję, patrzę, jak ostatnie dwie istoty, które kocham, wychodzą w chmurę niosącą śmierć, i nie mam odwagi wyjść z nimi. Nie mam odwagi, lecz odczuwam wstyd. Ten wstyd popycha mnie o kilka kroków naprzód, a potem trujący dym dmucha mi w twarz. Dostaję mdłości, łzy spływają mi po policzkach. Ma i Jara są nikłymi sylwetkami tonącymi w mglistej otchłani, z której wynurza się coraz mniej postaci.

A potem przepycham się między ogarniętymi paniką ludźmi. W zaułkach panuje tak gęsta mgła, że latarnie wyglądają jak główki od szpilek. W mojej głowie tkwi koszmar *pandita* Somraja, który co noc widzi w snach dziecko Nafisubi Alego płaczące w świetle ulicznej latarni, gdy jednocześnie obok potykają się brązowo oświetlone, umierające postaci.

Biegnę, biegnę, nie wiem dokąd, byle złapać jeszcze choć jedną godzinę, nie chcę przepuścić nawet tych ostatnich chwil, choć palą mnie żywym ogniem. O, jak słodkie, jak kuszące jest życie.

Taśma dwudziesta druga

Nadchodzi szary poranek, moje oczy ledwo się otwierają, czuję w ustach paskudny smak, ból w płucach, a w brzuchu pożar od bielunia, który teraz wymknął się spod kontroli, nagina i zniekształca świat, trudno zaakceptować to, co widzę, krajobraz, drzewa, pola umykające w dal, zdumiony, że żyję, siedzę w przyczepie ciężarówki wypełnionej ludźmi, mają zaczerwienione i podpuchnięte oczy, jakiś mężczyzna z przodu wymiotuje, podmuch niesie krople w tył i zrasza moją twarz cuchnącym prysznicem, żołądek wypowiada mi wojnę, rozrywa się sam na strzępy, rozdziera mnie od środka, powietrze nabiera fioletowej barwy, a słońce wschodzi gwałtownie jak pomarańczowa kula, nabrzmiąle i obce.

- Wypuście mnie, dokąd mnie wieziecie?

- Leż spokojnie, bracie, jedziesz do szpitala w Diwanabadzie.

- Nie! - Moje wnętrzności skręcają się z bólu, ale przepelnia mnie odraza do ludzkiego życia i ludzkiej społeczności, nie chcę mieć z nimi nic do czynienia.

Na wzgórzach wznosi się ściana lasu.

- Wsadźcie mnie tutaj.

- Co tu będziesz robił? Przecież to pustkowie.

- Wsadźcie mnie, do kurwy nędzy.

Podłoże rysuje desenie pod moimi stopami, płata mi figle ta ziemia, gorąca jak rozżarzone węgle. Wzgórza tańczą, w drgającym upale śmigają czarne ptaki o rozwidlonych ogonach. Przypominam sobie, że to ósmy dzień *Nautapa*, ogarnia mnie wstyd i rozpacz. Wszyscy, których kochałem, odeszli. Straciłem ich na zawsze. To miasto klęski jest teraz daleko razem ze swymi ulicami i zaułkami, które tak dobrze poznałem, odległe i pozbawione nadziei miejsce. Nie wrócę tam za nic, przenigdy. Jeśli umieram, to niech umrę tutaj, na swobodzie, jak prawdziwe zwierzę, albo niech żyję tutaj, z dala od ludzi, nie chcę już więcej oglądać ludzkich twarzy. Zrzuciłem swoje kakadówki. Będę żył jak zwierzę, samotny i wolny, bez pana, bez pracy, bez żadnych obowiązków prócz przetrwania. Czy ty przetrwasz? - odzywa się bielun przyczajony w moich trzewiach. Przecież zjadłeś trzynaście moich ciemnych pigulek goli. Teraz, Zwierzaku, ujrzysz to, co ujrzysz.

Płomienie wzbierają w moim gardle i nie mogą się wydostać, jestem pełen niczego, jestem niczym pełnym ognia. Bieluń śpiewa mi w ucho:

*Zwierzakiem jesteś wolnym i śmiałym
nie ma takiego na świecie całym
ognistą mocą twój grzbiet był zgięty
przez gorzki ogień będziesz wchłonięty*

Vas te faire foutre! Może i jestem beznadziejny, bez przyjaciół, samotny i chory, ale nie dam się zastraszyć.

- Odpierdol się ode mnie! - próbuję powiedzieć, ale mój głos staje się ćwierkającym świerszczem, który zeskakuje z języka i ucieka w gąszcz.

Późnym popołudniem wkraczam między pierwsze drzewa, cierniste krzewy, suche trawy, gałązki łamiące się pod moimi stopami, *howra hoora* krzyczą ptaki, buszują w zieleni, śmigają wśród gałęzi, o, teraz odkrywam mój prawdziwy stan, umrzesz albo przeżyjesz, zwierzę powraca do prawdziwego domu, mam cztery stopy i dwoje oczu jak gwiazdy, mój nos jest kłębowiskiem węży liżących nozdrza, śnią bezwargie sny, słońce na niebie jest jak usta zionące płomieniami, przypieka mi skórę na grzbiecie, w gardle mam rozpalony pręt, każdy oddech jest jak płomień w ustach połykacza ognia, Farouqu, myślałeś, że jesteś taki wspaniały, bo przeszedłeś po rozżarzonych węglach, przespaceruj się teraz po moich kiszkach. Nagi leżę na brzuchu, piję z rowu i gryzę sukinyńskie słońce, czuję się jak mój własny ojciec, którego nigdy nie znałem.

Wewnątrz mnie odzywają się głosy, które mówią bez sensu: *Chyba jest pora roślin, tak rzadko płynie syfiasta to ciecz, syfiasta, zostaw ją tam, gdzie jest, ça fait un peu boui-boui, to nasze królestwo* Las jest cienisty, lecz pod drzewami nie ma ulgi. Szukam innych żywych istot. Nie widzę żadnych.

Las ma kolory jak grzbiet dzierzby, brunatny i płowy, trawy suche, suche ciernie, suche pnie, liście cierpią w ognistym skwarze, nie tylko we mnie jest ta udręka, ale w całym świecie. Gdzie jesteście, zwierzęta? Niech się wam przedstawię. Staję i nasłuchuję, ale otacza mnie tylko szum liści. Ta ziemia jest mi obca, nie ma tu papierków po *beedi*, obierków z pomarańczy, plastiku, są zgięte trawy, sterty gałązek wymieszane z zeschniętymi liśćmi w poszyciu, nasiona usypane w wijące się kształty jak spiralne schody. Widzę coś o skrzydłach chrząszcza, szukam śladów kopyt, łap, brzucha węża. Nic nie znajduję. Mój nos wyczuwa

tylko zapach spieczonej ziemi, jedynymi moimi pobratymcami są teraz ci milczący cierpiętnicy, czekający w pyle na deszcz.

Cichy coś jesteś - szydzi bielun - więc zaczekaj do nocy, o Zwierzaku. Niech nadejdzie noc, wtedy usłyszysz, co usłyszysz. Co, jeszcze tu jesteś? Choroba wije się niczym wąż w moich trzewiach. Nie sądzę, byś zdołał mnie zabić. Jestem silniejszy niż ty, pokonam cię.

Bielun uderza we mnie falą takiego bólu, że zataczam się, a ręce i nogi załamują się pode mną. Gryzę cierpką ziemię. Jeszcze naprawdę nie zacząłem - mówi bielun.

Nadchodzi noc i spadający księżyc, którzy grzęźnie w gałęziach nad moją głową.

- Pokażemy mu? - pyta znajomy głos.

- Tak, pokażemy - odpowiada drugi.

- To strata czasu - stwierdza ten pierwszy. - Straszny z niego głupek.

Łza spływa z oka księżycy i pada na gałąź. Smugi światła rozpościerają się we wszelkich kierunkach, biegną od drzewa do drzewa, aż wreszcie wszystko w lesie jest obrzeżone srebrem. Głosy drzew brzmią w sposób, którego jeszcze nigdy nie słyszałem, jak flety wypełnione wodą.

- Pokażcie temu zwierzęciu, pokażcie mu, czym naprawdę jest.

Na leśnym poszyciu pojawia się światło, otacza mnie blask bijący ze wszystkich stron.

- Cha, cha, cha, to tyle, jeśli chodzi o uprowadzenia. O czym chciałbyś pogadać? - szepcze ten, co był w słoju. - Bielun i księżyc, niezbyt dobre połączenie, a to przecież dopiero początek. Wyobrażasz sobie, co może nadejść?

- Moja śmierć.

Fale mdłości podchodzą do gardła brzuch się kołysze skurcz w gardle szczęki się rozwierają - nic ze mnie nie wylatuje.

- No więc, Khã - mówi on - pogadajmy chwilę. Ale o czym? O życiu i śmierci? O tym i tamtym?

Mdłości szarpią mną całym potworne dreszcze targają kiszki - nic ze mnie nie wylatuje.

- Nie dręcz mnie, Khã, połknąłem trzynaście mrocznych księżyców i zaraz umrę.

- Zamierzasz umrzeć, mój drogi?

- Tak mi się wydaje, Khã.

Otwieram usta z mego gardła wyslizguje się kobra jej ciało wypełnia moje trzewia ogon sterczy mi z dupy każdy mięsień się napina żeby to wyrzucić - nic ze mnie nie wylatuje.

- Właśnie, już czas na zapalniczkę - mówi pierwsza głowa mojego kumpla. - Trzaśnij, pyknij szurr-szurr, zrób to, co konieczne.

- Bądź tak uprzejmy - dodaje druga.

Bieluń rośnie w moich wnętrznościach wypuszcza listki i kwiaty przez mój nos i usta.

- Nie mam zapalniczki, Khã, zgubiłem ją.

Mój język merda owłosiony jak psi ogon.

- Więc pstryknij palcami - on na to. - Żadna różnica.

Ruch kciuka, *huuff* błękitnego płomienia, fioletowy błysk. Mój mały dwugłowy przyjaciel znika bez śladu.

- Przystojne z was sukinsyny - zwracam się do dwóch wysokich aniołów, połyskujących w świetle księżyca.

- Dobrze o tym wiemy - śmieją się i obdarzają mnie przyjaznymi spojrzeniami. - Wreszcie wolni, dzięki tobie, Zwierzaku.

Drzewa wiją się w ciemności, wołam: Czy coś was boli?! Przecież to ja umieram. Nic nas nie boli, tańczymy. Co, tańczycie z radości? Nie czujemy i nie potrzebujemy radości! - wołają głębokie flety drzew. Potrzebna nam woda i tobie też, o Zwierzaku. Znajdź wodę, jeżeli chcesz przeżyć. Gdzie znajdę wodę na tym wyschniętym wzgórzu? Idź w dół, idź w górę, twój wybór. Moje stopy są pokryte pęcherzami, nie mogę już nigdzie dalej iść. Więc połóż się tutaj, a my owiniemy korzeniami twoje kości. Potrzebuję tych kości, przyjaciele. Leż sobie, umrzyj tutaj, nie jesteśmy twymi przyjaciółmi, już wkrótce kości nie będą ci potrzebne.

Jesteś zwierzęciem śmiałym i wolnym

i wiele rzeczy zobaczyć zdolnym

que ta chair devienne sèche

ciało twe zjemy więc grzesz jak chcesz

Nad moją głową siedzi na gałęzi małpa i je owoc, wypluwa pestki na ziemię, sierść zsuwa się z jej oblicza i odsłania czaszkę, z ciała kapią kosmate połyskliwe bąble, zostają same kości, które spadają jedna za drugą i leżą, połyskując w świetle księżyca, ziemia otwiera brunatne usta i wysuwa zielony język, który przekształca się w drzewo, pochłania kości, drzewo rośnie wysoko, wśród liści pojawiają się lśniące owoce, małpa siedzi na gałęzi i pożera księżyc.

Teraz budzi się we mnie wściekłość, podskakuję i wrzeszczę do drzew:

- Schowajcie sobie swoje tandetne wizje! Nie robią na mnie wrażenia *putain con*. Jak wam się wydaje, z kim macie do czynienia? Nie jestem byle zwierzęciem, jestem ZWIERZAKIEM. Okażcie, kurwa, trochę szacunku, bo inaczej wleżę na górę i będę tam walił konia. Nie boję się was.

- A my nie boimy się ciebie - odpowiadają drzewa.

Splotły gałęzie i tańczą w kręgu. Przeskakują z miejsca na miejsce tak prędko, że oko za nimi nie nadąży. Stały się paskudnymi samolubnymi demonicznymi istotami, sięgają w dół i przejeżdżają po mnie kolczastymi szponami. Całą noc nie mogę zasnąć z lęku przed drzewami, które gotowe są mnie pożreć we śnie. Trawy wbijają się jak igły w moje dłonie i stopy, bielun zwinięty w moich trzewiach tarza się ze śmiechu.

Słońce wzbija się w postaci rozognionych czerwonych i zielonych smug. W moim gardle płonie pragnienie, język spuchł i dusi mnie, gorzki jak serce bażanta. Z rozdziawionym pyskiem pełzam po lesie, zataczam koła. Od bezwodnej udręki nie ma ucieczki, nic nie położy jej kresu. Myślę o Zafarze, którego trulem. Podarowałem mu dziwne sny i cierpienie, lecz on mi wybaczył, mimo że umierał. Jeśli napotkam jego ducha, może nie być taki łagodny. „Duchu Zafara”, powiem mu, „ja też wybrałem taką śmierć”. Ból w moich kiszkach jest znajomy, płonie ostrym błękitem i pomarańczem. Znam tę bestię, która się tam podkrada, to mój odwieczny wróg głód, stopniowo wyostrza się jego kształt, spragniony jestem i tak głodny, że zjadłbym wszystko, rwę trawy, żuję korę, jagody, wykopuję korzonki oraz różne gąbczaste rzeczy i gryzę je ubabrane ziemią. Wyrrywam płatki kwiatów i połykam.

Zagłodzony łowca skrada się na czworakach przez las, unika suchych gałązek, nie wydaje żadnych dźwięków. Wypatrzyłem jedzenie, jaszczurka wygrzewa się na skale, łapki unoszą i opuszczają tłuste ciało, w górę i w dół, ma pulchne boki, mięsisty ogon, znajduję kamień i ciskam, łups, jaszczurka spada z głazu, łapię ją za żebra, leży i dyszy, ma wgłębienie w tułowiu, teraz jest moja, ale ucieka w panice. Dopadam ją jak Jara królika, wije się pod moją ręką. W jaki sposób ją zabić? Czuję jej skaczące serce, widzę płonące oko. Odgryź jej głowę, korzonki nie są dla ciebie, myśl jak tygrys, niech oczy zamgli ci czerwona żądza, rozewrzyj szczęki i zagryź.

- Nie zjadaj mnie! - krzyczy jaszczurka. - Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

- Przepraszam, ale jestem zbyt głodny, by oszczędzić twoje życie.

- Nie będę ci smakowała, jeśli bielun wydaje ci się zły, to pokosztuj mojego jadu,

pożałujesz, chłopcze, że się urodziłeś.

- Już tego żałuję.

- Nie ma porównania z tym, co poczujesz, jeśli mnie zjesz - mówi stworzenie i patrzy na mnie ze smutkiem, jakby straciło nadzieję ocalenia.

- No to idź. - I wypuszczam ją. - Przykro mi, że wyrządziłem ci krzywdę.

- Złamane żebro jakoś się zrośnie - odpowiada jaszczurka - ale swojej natury nie odmienisz. Jesteś człowiekiem, gdybyś był zwierzęciem, pożarłbyś mnie.

Nadciąga zmierzch, nie znalazłem jedzenia ani wody, księżyc jest cieńszy, jakby i on głodował. Bezwietrzna noc, słycać nawoływania *chouette*, huu-huu, opieram policzek o mechatą korę i słyszę powolne myśli drzewa, a potem wspinam się po gałęziach, zaczepiam ręce i siadam, samotny Zwierzak w swoim królestwie. Ogarnia mnie żal, cały gniew i strach uchodzą w suchym kaszlu i szlochu. Wzywam moich pobratymców:

- Bracia i siostry, jaszczurka się myli, jestem jednym z was, przyszedłem, by z wami zamieszkać. Pokażcie się.

Nie przychodzą, ale słyszę szelest. To jaszczurka, którą oszczędziłem. Przemawia do mnie:

- Hej, Zwierzaku, już wkrótce zamienisz się w wyschnięty stary worek. Wpełznę w twoje suche truchło i złożę jajka wokół serca.

Głos prowadzi cię tam, gdzie chce, nie tam, gdzie ty chciałbyś iść. Mówi ci, żebyś się nie łudził, zobaczysz, co masz zobaczyć, dokonałeś wyboru. Głos opowiada mi o rzeczach, których nie wiedziałem, pokazuje obrazy, których nie chcę oglądać. Gdybym mógł otworzyć okno i uciec, tobym uciekł, ale nie ma ucieczki. Okno otwiera się do wewnątrz, na wizję i nieuchwytnie piękno. Drzewa tkwią niczym kły Śiwy, wymiotują tęczę, a kiedy sram, stwarzam ziemię. Głos wewnątrz mnie mówi, że aby wejść do świątyni, muszę wkroczyć sam, i właśnie dlatego, Zwierzaku, powinieneś głodować.

- Dokąd mam iść? Gdzie patrzeć?

Głos we mnie powtarza: Dokądkolwiek pójdziesz, to będzie właściwa droga.

Kula ognia wzbiera między oczyma, które rozpalają bliźniacze płomienie we wnętrzościach. To żar nadciągającej śmierci. Głosy w mojej głowie trajkoczą, dyskutują, a spoza nich dobywa się jeden głos, z wnętrza, choć zdaje się dobiegać z zewnątrz i zewsząd. Przekradam się przez las, tym zieleńszy, im dalej weń wchodzę. Ani śladu wody, ale wyczuwam ją wszędzie. Słyszę, jak drzewa ją wysysają zachłannymi korzeniami i różne niewidoczne stworzenia wciągają ją w gulgotzące kiszki. Dlaczego mnie unikają?

- Wyjdźcie! - krzyczę. - Wyjdźcie i powiedzcie, czy jestem człowiekiem!

- CO TO JEST CZŁOWIEK?! - Głos ryczy prosto w moje ucho jak grom, miazdzy mnie. Rozdziera mnie na strzępy. Niektóre cząstki odrywają się i odpływają w dal. Mgliste myśli wirują i wtapiają się w księżyc. Blask w moim oku staje się słońcem, oddech - gorącym wiatrem, jedzie na nim mały Bóg upojony władzą, o ciele pokrytym wrzodami. Z moich środkowych partii wydobywają się podmuchy powietrza, z głowy wycieka wszechświat.

- Kim jesteście? - pytam, leżąc na ziemi i tuląc do niej głowę. Słyszę miliony odgłosów, tupot mrówek, dżdżownice przeżuwające glebę, odnóża stonóg bijące jak w bębny na paradzie, żołądek podchodzi mi do gardła - nie wylatuje ze mnie nic.

Teraz, gdy otwieram oczy, widzę drzewa i suche trawy, i spragnione rośliny, i słońce, ale gdy zamknę je, falują w nich stworzenia rozmaitych kształtów i kolorów. Zwierzęta ze snu podchodzą bliżej, jedno za drugim. Nie wyglądają przyjaźnie, lecz przed moimi otwartymi oczami świat się zmienia. Nigdy jeszcze nie widziałem drzew porośniętych piórami i dlaczego trawa wyrasta z grzbietów moich dłoni? Gdy się poruszam, ziemia pod moimi czterema kończynami ożywa. Nie wiem, dokąd iść, nie muszę wiedzieć, bo gdy odwracam głowę to w jedną, to w drugą stronę, pojawia się siedem kierunków i gdziekolwiek się zwrócę, tam będzie droga i pójdę nią.

- Pieprzcie się wszyscy! - wołam. - Dam sobie radę sam!

Wszystko to dzieje się w pierwszej godzinie trzeciego dnia, to znaczy o świcie, kiedy krzyczę, a słońce wschodzi. Potem tracę wszelką świadomość czasu, głosy i stworzenia znikają. Pamiętam tylko, że byłem sam, nagi i szukałem wody w spieczonej dżungli. Jestem osłabiony, ledwo się wlokę. *Jak nie ruszysz się dalej, to umrzesz* - odzywa się nowy leniwy głos w mojej głowie, jakby go to w zasadzie gównem obchodziło. Trudno mi się poruszać. W jednej chwili świat płonie, w następnej zamarzam, trzęsę się w blasku słońca. *To nie świat, to ty się spalasz* - informuje mnie głos. A potem, gdy świat się kręci w wirze barw i kształtów, wszystkie moje głosy, te stare, te znajome, i te nowe, łączą się w chór przepelniony nienawiścią:

*nikt cię nie zbawi wyznać to muszę
choroba bowiem trapi twą duszę
tu n'est pas animal mais bête
nie zapomnimy twoich gier
wszyscy zdradzeni przyjaciele
pamięć o tobie zamkną w popiele*

Spomiędzy drzew wyłaniają się mężczyzna i kobieta w khaufpurskich strojach. Podchodzą do mnie z miłymi uśmiechami i zagadują:

- Biedne dziecko, miałeś okropne życie. Niech będzie przeklęty dzień, w którym ludzie Kampani zostawili nas martwych na drodze, utopionych we własnej krwi. Jesteśmy twoimi rodzicami, przyszedliśmy zabrać cię do domu.

Nisha siedzi na kamieniu i płacze.

- Zwierzaku, wszędzie cię szukałam. To ciebie kocham, a nie Zafara, który już umarł i przepadł. Spełnij swoje pragnienie, bo ja też tego pragnę. Więc rób, co chcesz, Zwierzaku, pieprz mnie, wsadź mi swojego wielkiego kutasa.

Podchodzi Elli i mówi:

- Zwierzaku wejdź na drzewo, a ja się rozbiore, żebyś widział moją cipkę i jak się dotykam, a gdy zejdziesz, wyprostuję ci grzbiet i staniesz się człowiekiem.

Zjawia się Farouq z garniturem i krawatem i przemawia do mnie:

- Przepraszam za wszystko złe, co zrobiłem, kolego. W przyszłym roku położę się na rozżarzonych węglach, żebyś mógł przejść po moim ciele i nie poparzył sobie łap.

Koło mnie staje Zafar. Wyszedł spomiędzy drzew, dźwigając świat na barkach. Uśmiecha się i mówi:

- Ja cię też poniosę, Zwierzaku. Masz obolałe stopy. Nawiasem mówiąc, wybaczam ci wszystko, co zrobiłeś, bo zrobiłeś to z miłości.

Człowiek o posturze bawołu oznajmia:

- Oto jestem daleko od moich dwóch włoskich chartów, żeby ci zaproponować ważną pracę dla Kampani, z wysoką pensją. I możesz jeździć moim samochodem.

Wieczór sprowadza ku mnie zza drzew *pandita* Somraja. Trzyma dwa ptaki, po jednym w każdej ręce, i ścisza je, żeby skłonić je do śpiewu. Mówi:

- Nie ma na tym świecie muzyki, której nie można się nauczyć. Nocą przychodzi Ma, dźwigając zwłoki. Odgryzła im głowę, wpycha wnętrzności do ust.

- Jesteś głodny, Zwierzaku? Jesteś spragniony?

- Odpierdolcie się ode mnie! Wszyscy! Dajcie mi spokój!

Wschodzi księżyc. W jego świetle odrzucam wszystkich bogów, łącznie z Bogiem, wszelkie bóstwa, awatary, bożków, pluję w mleko matek świątobliwych mężów, *baba*, *sadhu*, guru, *rishi*, sufi, proroków kapłanów, władców nieba i ziemi, sram na prezydentów, premierów ministrów, polityków, gubernatorów, sędziów pokoju, generałów, pułkowników, policjantów, pracowników Kampani, prawników, dziwnikarzy, sukinsynów z grubymi portfelami, posiadaczy kutasów większych niż mój, jeśli są tacy, a także mniejszych.

Przeklinam wszystkich kupców, *chai-wallahów*, sprzedawców sukna, owoców i warzyw, handlarzy pigułkami, sztukmistrzów, alfonsów, lekarzy, zręcznych szalbierzy, żebraków, nadzorców tańczących niedźwiedzi, uczestników protestacyjnych głodówek, *khaufpurczyków*, *niekhaufpurczyków*, żywych i umarłych.

Jestem małym, płonącym, zamarzającym stworzeniem, nagim i samotnym w rozległym świecie, na pustkowiu, gdzie nie ma pożywienia ani wody i ani jednej przyjaznej duszy. Ale nie dam się zastraszyć. Jeśli to moje ja nie należy do tego świata, zamknę się we własnym świecie, stanę się światem sam dla siebie. Mój grzbiet będzie lodowym łańcuchem górskim, mój tyłek górą Meru, oczy słońcem i księżycem, podmuchy z moich kiszek czterema wiatrami, ciało będzie ziemią, wszy zamieszkującymi ją żywymi istotami. Ale dlaczego miałbym na tym poprzestać? Stanę się własną Drogą Mleczną, komety będą śmigły z moich nozdrzy, a gdy się otrząsnę, krople potu spadną niczym perły i zmienią się w galaktyki. Czymże jestem, jeśli nie kompletnym miniaturowym wszechświatem objającym się wewnątrz tego większego? To drzewo nie zdaje sobie sprawy, że drobna istota pętająca się wokół jego korzeni, drapiąca korę, wspinająca się na gałęzie jest w pełni ukształtowanym kosmosem.

Ja, wszechświat zwany niegdyś Zwierzakiem, siedzę na drzewie i dokonuję przeglądu rozświetlonych blaskiem księżycy lasów mojego królestwa.

- Teraz jestem naprawdę sam.

O, jaka dziwna ta rzecz wydaje się w dotyku. Zapomniałem, jak rośnie w dłoni, nabrzmiwa, wypełnia pięść. Zaciskam palce, mierzę w gwiazdy, pocieram jak lufę strzelby, by wyrzuciła w mrok nocy żywe galaktyki.

Taśma dwudziesta trzecia

Tej nocy umarłem. Zsunąłem się z drzewa, żeby poszukać jakiegoś miejsca, w którym zdechnę. Palila mnie gorączka, byłem suchy jak wyszana, skurczona pomarańcza. Jaszczurka już na mnie czekała.

słońce chyli się nisko

lubieżna irlandzka mniszko

Samej śmierci w ogóle nie pamiętam.

Moim pierwszym wrażeniem z zaświatów jest światło padające pomiędzy olbrzymich skał. Znajduję się w miejscu, gdzie wystają z ziemi gigantyczne kamienne bloki oparte jeden o drugi. Gorączka minęła, nie czuję już głodu ani pragnienia, ciało wydaje się lekkie jak źdźbło trawy. Wiem, co się wydarzyło. Umarłem i teraz jestem duchem. Czy to niebo, czy piekło? Nie ma tu ognia. W cieniu skał jest chłodno. Wysoko nad moją głową gnieźdzą się jaskółki. Taki jestem słaby, noworodek w tym nowym życiu, z wielkim trudem czołgam się ku wejściu.

Na zewnątrz świat się zmienił. Nie ma już palącego skwaru *Nautapa*. Chłodne powietrze rozsnuwa się po lesie, każdy liść na każdym drzewie jest wyraźny w zielonkawym świetle. Po drugiej stronie doliny drzewa kotłują się na zboczu w niewidzialnej burzy. Leżę na boku, spoglądam w niebo, które jest ciemne. Nade mną krążą wielkie ptaki. Nie wszystkie ziemniaki zjadłem - to mi przychodzi do głowy razem z myślą, że ptaki sfruwają, niedługo ich skrzydła zaćmią światło. Odzywa się głos Zafara: „Co za pomysłowe porównanie”. Rozglądam się za nim, lecz wszędzie panuje mrok. Później uświadamiam sobie, że nadal leżę u wejścia do jaskini i mam wilgotną twarz. Słyszę huczący, pluszczący odgłos. To woda. Pada deszcz, łagodząc zarys lasu. Linie drzew na zboczach wzgórz spowija mgła szarej mżawki, a woda kapie ze skał i płynie białymi strugami po stokach. Czuję ją w dłoniach, na twarzy i w oczach, obmywa je do czysta, spływa do moich ust, smakuje cudownie. Znowu słyszę głos Zafara: „Jeśli może istnieć niebo na ziemi, to jest tutaj”. W ten sposób dowiaduję

się, że jestem w raju. Piję i piję, i piję, aż mój brzuch robi się twardy jak melon.

Pod koniec mojego pierwszego dnia w raju przestaje padać deszcz, na zachodzie widać czerwoną kulę słońca, która rzuca na jaskinię długie cienie. Nowo rozbudzonymi oczami widzę to, czego nie zauważyłem wcześniej. Na skałach widnieją zadraśnięcia i barwne maźnięcia, które nie wyglądają naturalnie, lecz jak malunki wykonane dziecięcym palcem. Są tam zwierzęta różnych kształtów, lamparty, jelenie, konie i słonie, jest tygrys i nosorożec, a pomiędzy nimi drobne figurki na dwóch nogach. Choć niektóre mają rogi, a inne ogony, nie są ani ludźmi, ani zwierzętami, a może jednym i drugim. Wtedy już wiem, że odnalazłem swój gatunek, a przy tym to miejsce będzie moim wiekuistym domem. Wreszcie go odnalazłem. To głębia czasu, kiedy nie było żadnych różnic, kiedy nie istniały podziały, kiedy wszystko było razem całe i jedno, zanim ludzie się porozdzielali i stali się przebiegli, i założyli miasta, korporacje i fabryki.

Czas w raju płynie jak w Orzechokruszu, przestaje mieć znaczenie. Słońca i księżycy migrują po niebie i turlają się na zachód. Dni mijają, a może tylko jeden dzień, albo lata, albo tysiące lat, jestem nieśmiertelny. Nie ma we mnie cząstki, która mogłaby umrzeć. Wspomnienia tego, co przydarzyło mi się w lesie, kiedy jeszcze żyłem, są jak blade połyskliwe kształty w ciemności. I uświadamiam sobie, co myślałem o życiu, że nie jest niczym innym, tylko ciemnością. Czas sprzed lasu staje się blaknącym koszmarem miasta wypełnionego smrodem i nieszczęściem. Myślę o tysiącach, które zmarły w ostatnich godzinach Khaufpuru. Przeżyliśmy w ciemnościach całe życie. Ci, którzy byli tam ze mną, są teraz w raju, gdzie nie ma Khaufpuru, nie ma Indii ani śladu płomieni. Nie widać stąd piekła. Te wzgórza, te lasy ciągną się w nieskończoność. Takie myśli są jak senne marzenia, które czepiają się tego czy tamtego, przelatującego ptaka albo żdźbła uginającego się pod kroplami wody. Wszystko do mnie przemawia. Z maleńkiej kulki wewnątrz pędów paproci dobiega głos, ten stary ukochany głos:

- Zwierzaku, jesteś bezpieczny, ty i wszyscy ludzie Apokalizy, ponieważ On ich osłoni, nie będą już cierpieć głodu ni pragnienia, nie będą musieli ciężko pracować, nigdy nie będzie ich dręczyło słońce ani palące podmuchy wiatru, gdyż On zatroszczy się o nich i poprowadzi ku źródłom słodkiej wody, uleczy ich rany, kaszel i gorączkę i otrze łyż z ich oczu.

Łups. Coś spada tuż obok mojej głowy. Wysoko w górze, w łuku tej leśnej świątyni ze śmigającymi wokół niej jaskółkami wisi pszczele gniazdo. Na ziemi leży oderwany kawałek plastra miodu. Chwytam go i wgryzam się w niego, miód spływa mi do ust po brodzie, nigdy nic mi tak nie smakowało.

Pokrzepiony tym posiłkiem i słowami Ma zasypiam. W moich snach ślepi brodaci mężczyźni coś oplakują, nie wiem co. Zaraz potem promienie słońca wpadają do jaskini. Zjadam jeszcze trochę miodu, a potem piję wodę z kałuży, która zebrała się między kamieniami. W tej kałuży po raz pierwszy oglądam moje niebiańskie odbicie. Nowa twarz wygląda jak czaszka obciągnięta skórą, wielkie i ciemne są moje oczy, mocny tors jest klatką z żeber i jeszcze wielkie rozczarowanie - myślałem, że w raju będę chodził prosto. Czyż Ma mi tego nie obiecywała? Ale, choć staram się wyciągnąć, pozostaję zgięty. I zaraz też się przekonuję, że w niebie, zupełnie jak na ziemi, nie ma ucieczki od srania. Moje kiszki są słabe i pełne wody.

Zaczynam się zastanawiać, co się stało ze wszystkimi ludźmi, którzy umarli. Nikogo tu nie widziałem. Gdzieś w tych bezkresnych lasach musi się pewnie znajdować boże miasto i tam się ci biedni zgromadzą. Śpiewać będą z radości, jak jest napisane w księdze Świjana. Zjadam jeszcze trochę miodu, piję wodę i próbuję zaśpiewać, lecz choć w głowie słyszę muzykę, z ust wydobywa się tylko skrzeczenie, jak u jednej z żab Somraja.

W pewnym momencie słyszę szelest liści. Może to dzika świnia albo jeleń? Wtem, co za radość! To Jara. Nie posiadam się z zachwytu na jej widok. Wydaję głośny okrzyk, który brzmi niemrawo i skrzekliwie. Więc ona też zginęła w tej chmurze trucizny. Ma na pewno jest z nią, przyszły, by dołączyć do mnie w niebie. Jara podbiega ze skomleniem do podnóża skał. Hałaśliwy z niej psi duch, bo chwilę później ujada, przywabiając inne duchy. Wkrótce i one pojawiają się przede mną. Po zboczach wzgórza między drzewami wspina się cień Farouqa, a za nim upiór Zafara, wychudły i przestawiający powoli bezcielesne stopy. Oczywiście ci dwaj umarli pierwsi. Opuszczam kamienną twierdzę na szczycie. Jeszcze mnie nie dostrzegli, tylko Jara unosi łeb i węszy. A potem pędzi susami w górę. Zbieram wszystkie siły i wołam:

- Farouq, nie miałeś racji! W raju są pszczoły!
- Zafarze - dobiega z oddali głos Farouqa - znaleźliśmy go.

Obaj zaczynają biec. Za nimi wyłaniają się spomiędzy drzew inne postaci. Jedna przypomina Chunarama, więc on też nie żyje, druga Bhoore, dalej jest Ali Faqri i kilku chłopaków z Orzechokrusza. Ma miała rację, musiało zginąć całe miasto.

Jara skacze na mnie, liże i skomli, merda ogonem.

- Witaj w raju - mówię, gdy tak podskakuje, oblizuje mi twarz, piszczy, kładzie łapy na moich barkach. - Czemu tak długo zwlekałaś?

Zbliża się duch Zafara i przystaje, uśmiechając się z góry do mnie i Jary. Klęka, otacza mnie ramionami.

- Na Boga, w którego nie wierzę, znaleźliśmy cię.

- Witaj w raju - powtarzam. - Jest tu miód i woda dla wszystkich. Apokaliza i złe czasy przeminęły.

- Ty gnojku - mówi duch Farouq, szeroko się uśmiechając. - A więc żyjesz.

Będę szczery. Słyszac jego szorstki głos, odczuwam wielką radość w głębi serca.

- To jest niebo - oznajmiam z zadowoleniem - a my wszyscy jesteście martwi.

- Dupo wołowa. Czy ja wyglądam na martwego? - Ściska mnie, aż trzeszcza kości.

- Kogo nazywasz dupą wołową? *Bordel de merde!*

- Śmieć! Kupa łajna!

- Głupi pierdoła!

Cha, cha, cha, tarzamy się po trawie objęci ramionami, a potem Farouq spogląda na mnie i mówi:

- W imię Boga, w którego Zafar nie wierzy, ubierz się, bo umrzemy ze strachu.

Podaje mi coś. To są moje kakadówki.

- Znalazłem w rowie. Kierowca, który cię podwoził, wskazał nam miejsce. Od ośmiu dni przeczesujemy tę dżunglę. - Dźwiga mnie i dodaje z czułością, jakiej jeszcze nigdy nie słyszałem: - Ty pojebańcu.

- Sam jesteś pojebańcem - odpowiadam. - Nie potrzebuję tutaj kakadów. Jesteśmy w raju, gdzie płynie czysta woda i miód o przepysznym smaku. Wszystko w lesie gada do ciebie, nadstaw ucha, a sam usłyszysz.

Tymczasem podeszli już wszyscy. Wysłuchali w milczeniu tej mojej przemowy, a potem jeden po drugim moi przyjaciele klękają, obejmują mnie i szepczą do ucha słowa powitania.

- Wiesz, Bhoora - odzywa się Zafar, gdy pocziwy auto-wallah ściska mnie za szyję i całuje, a łzy spływają mu po policzkach - myślę, że ten dzień jest również dniem kurczaka.

- Jakiego kurczaka? - To Chunaram. - Dziś jest dzień kebabu. U mnie. Zapraszam wszystkich. - Bierze głęboki oddech. - Dzisiaj kebaby są za darmo!

Farouq mruga do mnie.

- Widzisz, jak cię kocha?

Ali Faqri mówi:

- Chwała Bogu, żyjesz. Abdul Saliq przesyła pozdrowienia i życzy szczęśliwego powrotu do Khaufpuru.

- Nie rozumiecie? - zwracam się do nich. - Khaufpuru już nie ma. Nadszedł kres tej niedoli, teraz wszyscy jesteśmy wolni w raju.

- Zwierzaku, tylko spokojnie - mówi jeden z moich kumpli z Orzechokrusza. - Zaraz

cię stąd zabierzemy. - I dodaje do Zafara: - Musi mieć gorączkę.

- Szkoda, że Elli doktorka wyjechała - zauważa inny.

- Zawieziemy go do mnie - decyduje Zafar. - Zamieszka ze mną.

- Co? Dokąd mnie zabieracie? Nie chcę nigdzie jechać.

Ale oni już mnie podnoszą.

- Jaki on lekki. Prawie nic nie waży.

Ruszamy w kierunku drzew. Płaczę, wrywam się, proszę ich:

- Nie zabierajcie mnie stąd, chyba że do Bożego miasta.

- Bracie Zwierzaku - zaczyna łagodnie Zafar, chwytając mnie za bark i widząc jego twarz.

- Spróbuj zrozumieć. Nie umarłeś. Jakimś cudem żyjesz i wracasz z nami do domu.

- Teraz tu jest mój dom, to moje miejsce.

- Więc wrócimy tutaj, kiedy poczujesz się lepiej. Masz gorączkę, jesteś zagłodzony.

Jeszcze jeden dzień i byś umarł.

Mimo to wciąż go nie pojmuję. Przez chwilę bredzę o tym, że umieranie to nic takiego, że prawdziwym problemem było życie w mroku i nędzy.

- Zafarze, tu jest nasz raj, zostawiliśmy za sobą świat pełen cierpienia.

- Niestety - odpowiada - obawiam się, że nie.

W połowie drogi ze zbocza zatrzymują się, żeby odpocząć.

- Zwierzaku, jesteś głodny? - pyta Bhoora. - Mamy jedzenie.

Wydobywa z torby skromny południowy posiłek: ryż, zupę daalową, pikle.

- Przysłała to Ma? Gdzie ona jest? Myślałem, że będzie z wami.

Wymieniają spojrzenia.

- Jedz ostrożnie - mówi Zafar. - Najpierw trochę zupy. Nauczyliśmy się tego po naszej głodówce.

Opowiada, że gdy wiadomość o zamieszkach w fabryce dotarła do niego i Farouqa, postanowili przerwać post.

- Przyjechała policja, zabrali nas do prywatnej kliniki, gdzie czekał premier stanu. Powiedział, że rozeszły się pogłoski o naszej śmierci. Prosił, abyśmy pomogli zapobiec konfliktowi.

Zafar i Farouq zgodzili się pod warunkiem, że premier przysięgnie na swoich świątynnych bogów, iż wysłucha, co mają do powiedzenia, i nie zawrze żadnego porozumienia bez ich wiedzy i zgody. Obiecał im to. Zawieziono ich dżipem do miejsc, w których rozpętały się najgorsze zamieszki, żeby pokazali, że żyją, uspokoili ludzi i odesłali do domów.

- A Nisha? - pytam, zaczynając w końcu wątpić. - Ona mówiła, że nie żyjecie.

- W pierwszej kolejności pojechaliśmy do Kurzego Pazura, pokazać się Nishy i Somrajowi-ji. Wtedy się dowiedzieliśmy o twojej ucieczce. Nisha błagała, żebyśmy cię odnaleźli.

- Teraz wiem, że kłamiesz. Nisha mnie nienawidzi.

- Nie, lubi cię chyba bardziej niż mnie, bo mi nakazała: „Zafarze, przyprowadź go, inaczej możesz też nie wracać”.

- Naprawdę tak powiedziała?

- Owszem i poleciła jeszcze dać ci to, gdy cię odszukamy.

Moje serce zamiera. Zafar podaje mi czapczkę haftowaną niebieskimi i szkarłatnymi nićmi. Przez ten podarunek tracę nieśmiertelność, wiem już, że Zafar naprawdę żyje i ja także. Życie opada jak ciężka opończa na moje ramiona i zaczynam płakać z żalu, że muszę wrócić do miasta smutku.

Kiedy uznają, że czas ruszyć dalej, podchodzą, żeby mnie podnieść.

- Nie nieście mnie. Sam pójdę.

- Chciałem zapytać - odzywa się Farouq - dlaczego uciekłeś i dotarłeś aż tutaj?

Ale tego nie mam ochoty wyjaśniać.

Z psem skaczącym wokół przedzieramy się wolno przez las, w którym umierałem. Za dnia, w towarzystwie przyjaciół, wydaje się nieszkodliwy. Wcześniej nieobecne zwierzęta teraz postanawiają się pokazać. Farouq wydaje okrzyk na widok gałęzi uginających się pod stadem małą. Widzimy ptaki, jelenie w oddali, z drzewa zwisa coś, co wygląda jak ogon olbrzymiej wiewiórki. Między konarami unoszą się miękkie obłoki drobnego deszczu, obok miejsca, gdzie spływa woda, leży długa biała węzowa skóra, doskonale zachowana od nozdrzy po czubek ogona. Zafar mówi cicho:

- *Hameen ast-o hameen ast-o hameen-ast.*

Przy drodze czeka auto Bhoory, który pomaga mi wsiąść.

- Chodź - mówi. - Pojedziemy teraz do domu.

Zafar i Farouq cisną się po moich obu stronach.

- Czekaście? Co z Jara?

- Pies ma się dobrze - odpowiada Farouq z szerokim uśmiechem. - Obejrzyj się, to zobaczysz, jaki z ciebie popularny skurwiel.

Tuż za nami jest świnia *bhutt-bhutt* wypełniona ludźmi. Domyślam się, że Jara też tam siedzi.

- Bracie Bhoora - mówi Zafar. - Jedźmy. Z powrotem do mnie.

- Nie, nie - protestuję. - Zawieźcie mnie do domu. Ma na pewno się martwi.

Zapada cisza, potem odzywa się Zafar:

- Potrzebujesz lekarza, a Elli wróciła do Amriki. Pojedziemy do mnie.

Oczy, ktoś już napomknął o wyjeździe Elli, ale do tej chwili nie dotarło do mnie, że poleciała do domu.

- Więc ona nie wróci. - Nie myślę nawet o moim grzbiecie, tylko smutno mi, że sprawy muszą się tak kończyć. - Szkoda, że się z nią nie pożegnałem.

- Nie ma potrzeby. - To Zafar. Jego głos brzmi jakoś dziwnie.

- Czemu się uśmiechasz, sukinsynu?

- Remontują klinikę Elli. Jest tam twój kumpel Dayanand, brygadzista odpala jednego *beedi* od drugiego. Wszystko będzie gotowe przed jej powrotem.

- To ona wraca?

- No widzisz, przynosimy dobre wieści.

- Bracie Zafar, co oznacza ta wesołość?

- Elli pojechała do Amriki - wtrąca się Farouq - ale zabrała z sobą *pandita* i Niszę.

- Ale przecież - zaczynam - obiecała swojemu mężowi, temu prawnikowi, że do niego wróci. Sama mi powiedziała.

- Obiecała wrócić do Amriki - odpowiada Zafar. - Nie do niego. A to oznacza...

Wiem, co oznacza. Że muzyka obietnicy Elli będzie grała głośno i radośnie na jej weselu. Klaszczę.

- Gratulacje, bracie Farouq. Bracie Zafar, dla ciebie podwójne.

- Dlaczego podwójne? - Uśmiecha się, jakby znał odpowiedź.

- Bo odbędzie się nie tylko jedno wesele, ale dwa. Poślubisz Niszę, a ja przyjdę i będę wiwatował. Kocham was oboje. Przysięgam, bracie, Bóg, w którego nie wierzysz, mi świadkiem. - Nie miałem pojęcia, że takie słowa wyfruną z moich ust. Moje serce ogarnia wielki spokój. - Bracie Zafar, weź ten podarek, który mi wręczyłeś, i noś go, proszę, na swoim weselu.

I oddaję mu z powrotem cenną haftowaną czapeczkę.

- Więc mimo wszystko zwyciężyliśmy. Siła nicnieposiadania powstała i zniszczyła naszych wrogów.

- Czy może istnieć coś prostszego? - mówi Zafar.

Auto podskakuje na drodze prowadzącej na południe, do Khaufpuru, za nami kurczą

się wzgórze. Okolica jest zielona po niedawnym deszczu.

Po jakimś czasie Farouq znowu pyta, dlaczego uciekłem. Robi to w taki sposób, jakby pod tym pytaniem kryło się inne.

- Po wybuchu w fabryce pojawił się trujący dym. Ma powiedziała, że znowu powtórzy się tamta noc.

- Nie powtórzyła się - odpowiada Farouq. - Tym razem ludzie wiedzieli, co robić, wydostali się. Mimo to są trzy ofiary.

- Trzy? Myślałem, że będą ich tysiące. To był piekielny ogień. Palił mój grzbiet, gdy uciekałem z fabryki.

- Troje to i tak o troje za dużo - mówi Zafar. - Więc byłeś w fabryce. Domyślaliśmy się tego. - Obydwaj z Faroukiem milkną, nie potrafię zgłębić sensu tego milczenia.

Gdy toczymy się naprzód, Zafar i Farouq opowiadają, co się działo później.

Po uzyskaniu obietnicy od premiera w mieście zapanował spokój. Ale politykom natychmiast przyszło do głowy, że skoro sytuacja wróciła do normy, mogą mimo wszystko po cichu zawrzeć ugodę. Uznali, że jeśli przygotowują wszystko w sekrecie i poinformują o tym fakcie ze zwłoką, będzie już za późno, by temu zapobiec. Zafarowi i Farouqowi nie groziła już śmierć, trudno by było zorganizować następną demonstrację, a prócz tego teraz policja i armia czekały w pogotowiu. Ustalono więc datę spotkania, które nie miało się odbyć w budynku rządowym, gdyż patrzyło na niego wiele par oczu, ale w miejscu zatrzymania się amerykańskich prawników, innymi słowy, w Jehannum.

Nadszedł dzień spotkania. Od rana wzdłuż drogi ze starego miasta na wzgórze nad jeziorem kręciły się grupy policjantów. Dżipy jeździły tam i z powrotem. Nikogo nie wpuszczano do Jehannum, jeśli nie był gościem. Gdy ludzie pytali dlaczego, odpowiadano im, że wysuwano groźby pod adresem Amrykanów. „Nie zamierzamy ryzykować”, mówili policjanci.

Tamtego ranka o wczesnej porze zauważono jakąś kobietę wchodzącą na wzgórze. Była uboga, owinięta od stóp do głów czarną burką. Nikt nie dostrzegł jej twarzy, ale musiała być młoda, bo wskazywał na to wysoki wzrost i sprężysty krok. Niosła w ręku *jhadoo*, prostą miotłę. Zatrzymana przy bramie odpowiedziała, że jest sprzątaczką i przyszła do pracy. Nie poświęcili jej wiele uwagi, bo po chwili rozległ się rozkaz, żeby się przygotować do powitania jakichś grubych ryb jadących do Jehannum. No i rzeczywiście po chwili pojawiły się samochody. Nie rządowe limuzyny, trzeba tu zaznaczyć, premiera stanu, Zahreela Khana i innych, lecz zwykłe białe ambasadory i goście kolejno znikali w hotelu.

Co było dalej, świat dowiedział się od nich samych. Haniebne spotkanie rozpoczęło

się w sali z dużym stołem. Czterech Amrikanów usiadło po jednej stronie, politycy po drugiej. Zaledwie wdali się w swoje spory i targi, gdy niespodziewanie zapiekły ich oczy. Poczuli, że coś paskudnie pali ich w nosach i gardłach, co przypominało dym z płonącego chili. Więzło w gardle, rozrywało płuca. Kasłali, lecz od kaszlu robiło im się dziesięć razy gorzej. Coś znalazło się w tej sali, coś nieproszonego. Zanim zdali sobie z tego sprawę, było już za późno. Ci ważni politycy i prawnicy zerwali się w panice, zaczęli zataczać, szarpani mdłościami. Wszystko, co robili, potęgowało tylko ból i pieczenie. Łzy lały im się z oczu strumieniami, prawie nic nie widzieli. Jeden z prawników próbował wymiotować, reszta uciekła w popłochu. Rzucili się do drzwi, gdzie zaczęli się przepychać, bo każdy chciał wyjść pierwszy. Ten o posturze bawołu był zbyt zwalisty, by szybko się ruszać, i został z tyłu, gdy tamci walczyli o swoje skóry. Ci bohaterowie Kampani, politycy srali w portki. Wydawało im się, że umierają, że zostali zaatakowani tym samym gazem, który ulotnił się tamtej nocy, a każdy z nich dobrze wiedział, jak straszną śmiercią ginęli ci, co wdychali te trucizny.

- To symboliczny akt sprawiedliwości, w pełni zasłużony - mówię.

Ale Zafar na to, że sprawiedliwość symboliczna nie jest tym samym co rzeczywista, choć jako jedyna dostępna khaufpurczykom była przynajmniej lepsza niż nic. Tak zapewne myślała ta osoba, która weszła do hotelu i starannie opróżniła nad klimatyzatorem butelkę z płynem do produkcji cuchnących bomb.

- To była twoja robota? - pytam Zafara.

- Nie - odpowiada. - Dowiedzieliśmy się dopiero później. Byliśmy zajęci szukaniem ciebie.

Ale cała sprawa skończyła się naprawdę kapitalnie, bo ktoś dał cynk prasie i reporterzy czekali już z aparatami, kiedy ta banda półgłówek wytoczyła się do holu. Sekret się wydał i ugoda przepadła. Ludzie Kampani twierdzili, że padli ofiarą aktu terrorystycznego, że winowajcę należy osądzić i zamknąć na wiele lat, ale dziwnikarze byli odmiennego zdania. Stwierdzili, że jedna cuchnąca bomba, choć obrzydliwa, nie może się równać z terrorem sprowadzonym przez Kampani na mieszkańców Khaufpuru. A prócz tego jak szefowie korporacji mogą żądać osądzenia kogokolwiek, skoro sami odmawiają stawienia się przed khaufpurskim sądem?

Nikt nie wiedział, kto to zrobił. Wreszcie policjanci przypomnieli sobie o kobiecie w burce. Przesłuchano pracowników hotelu, ale żaden jej nie znał. Kilkoro widziało ją z miotłą, lecz nie rozmawiała z nikim. Tuż po rozpoczęciu spotkania wyszła i oddaliła się w dół wzgórza. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Świadkowie wiedzieli tylko, że była wysoka i poruszała się jak ktoś, kto wie, dokąd zmierza.

Owa tajemnicza kobieta, która udaremniła umowę z Kampani, nie mogła przecież zniknąć tak zupełnie bez śladu! Całe miasto pragnęłoby ją poznać, a także wiele osób w dalekiej Amrice. Wszędzie w *basti* roiło się od wywiadowców.

- Nigdy jej nie znajdą! - wykrzykuje. - Przyjrzyj się Orzechokruszowi, jak tam domy opierają się o siebie. Jeden przechodzi w drugi. Gdzie lepiej się ukryć niż w labiryncie bez drzwi? Gliniarze wchodzą tędy, ona wychodzi tamtędy, tajniak dociera tam, ona już jest tutaj, no i jaka policja-wallah, tajny czy specjalny, ośmieli się ruszyć zasłonę przyzwoitej Hinduski albo kazać muzulmance zdjąć burkę? Nie znajdą jej nigdy, choćby szukali tysiąc lat. - Wybucham śmiechem. - W taki sam sposób Ma umknęła przed księdzem Bernardem.

- To nie była Ma - ucina szorstko Zafar. - Zwierzaku, jeśli ci przychodzi na myśl jakieś inne imię, nie wypowiadaj go głośno.

- Jeszcze o jednym nie wolno ci wspominać - wtrąca Farouq. - Policja wypytuje, jak się zaczął pożar w fabryce. Nie mów nikomu, że tam byłeś - mówi ostrzegawczo i podaje mi coś, co wyjął z kieszeni. - Znaleźliśmy to za murami.

Moja stara zapalniczka zippo, osmalona, poskręcana przez ogień. Gapię się na nią, zastanawiając się, jakim sposobem wylądowała w fabryce, i nagle coś mi świta.

- Myślicie, że to ja podłożyłem ogień? Nie mogłem, zgubiłem ją, nie miałem jej przy sobie, przysięgam. Wiem to na pewno, bo kiedy byłem w lesie i spaliłem Khã... - Tu ogarniają mnie wątpliwości oraz zgroza, gdyż przypominam sobie bielun płąający mi figle, naśmiewający się ze mnie.

- Nie powiedzieliśmy nikomu. Jeśli masz choć trochę rozsądku, też nic nie powiesz.

- Myśleliście, że to dlatego uciekłem.

- Nic nie myśleliśmy - odpowiada Zafar. - Zgubiłeś ją, nie ty podpaliłeś, koniec, kropka.

Auto zbliża się do obrzeży miasta, gdzie w prawo odchodzi droga do Orzechokrusza. Sądziłem, że tam pojedziemy najpierw, ale kiedy docieramy do tego miejsca, auto mija rozjazd i nie skręca.

- Dlaczego tędy? Nie zawieziecie mnie do mojego domu? Muszę zobaczyć Ma.

- Przynajmniej na tę noc - mówi Zafar - zostaniesz u mnie.

- Ale dlaczego? Ma będzie się martwiła.

- Wyjaśnię ci wszystko, kiedy będziemy na miejscu. Musisz się umyć, wyspać, pogadamy jutro, jak się obudzisz.

Wtedy uświadamiam sobie, że ilekroć wspomnę o Ma, następuje chwila ciszy i zmiana tematu.

- Zafarze! Powiedz, proszę! Gdzie jest Ma? Co się z nią stało?

I wreszcie następuje opowieść, którą sam mógłbym przedstawić, gdybym siłą woli nie wymusił na sobie ślepoty.

- Zwierzaku, Ma nie opuściła *basti*. Pozostała do końca, pomagała ludziom się wydostać, zasłonić oczy. Nie zabezpieczyła się przed gazem, a ludzie, którzy ją widzieli, mówili, że śpiewała, więc gaz dostał jej się głęboko do płuc.

- Ale wszystko z nią w porządku?! - wykrzykuję głosem, który dla mnie samego brzmi jak u dziecka.

Farouq kręci głową.

- Przykro mi, kolego.

- Ludzie mówią - dodaje Zafar - że ona i Huriya Bi są bohaterkami, świętymi, niektórzy chcą postawić im pomnik. Skąd miały tyle odwagi, nigdy się nie dowiem.

- Więc Huriya to druga ofiara - stwierdzam bliski łez. - Kto jest trzecią?

Lecz już wiem, co odpowiedzą. W *basti* Ma poszła prosto do domu Huriyi, ostrzec ich, że jeśli zostaną, umrą. Powietrze już śmierdziało chili, ludzie zaczynali kaszleć. Huriya nie pozwoliła Ma iść samej, pożegnała się czule z mężem Hanifem i małą Aliyą, a potem odeszła z Ma. Wielu ludzi to widziało, dziesiątki opowiadały, jak Ma i Huriya podążały przed trującą chmurą, ostrzegając ludzi, żeby opuścili domy. Ostatni raz widziano je, jak zmierzały w stronę fabryki. Ci, którzy je słyszeli, relacjonowali później, że Ma wołała donośnie i wyraźnie w najczystszy khaufpurskim.

- Trzeci jest stary Hanif, prawda? Został z Aliyą, nie chciał jej opuścić. - I tylko dziwi mnie, jak cały smutek i żal świata torują sobie drogę na zewnątrz przez dwoje oczu.

- Farouqu - odzywam się w końcu - pytałeś, dlaczego poszedłem do dżungli, a ja nie chciałem powiedzieć. Ale teraz powiem, choć przez to już zawsze będziesz się ze mnie nabijał.

I wśród niechlubnych szlochów i smarkania wyrzucam z siebie wszystko. Jak to usiłowałem pocieszyć Niszę i wyrwałem się z tymi niezręcznymi oświadczeniami, które odrzuciła. I jak jej powiedziałem, że to dlatego, że jestem zwierzęciem. I jak za to rozgniewała się na mnie.

- Lepiej by było, przyjaciele, gdybyście mnie nie znaleźli. Bo chyba nie potrafię dłużej znieść bycia zwierzęciem w świecie ludzkich istot.

Różnych reakcji mogłem się spodziewać, ale nie tego, że obejmą mnie dwie pary ramion. Do jednego ucha szepcze mi Farouq:

- Zwierzaku, przysięgam, już nigdy nie będę dla ciebie wredny.

A do drugiego Zafar:

- Zwierzaku, bracie, przecież jesteś człowiekiem. Naprawdę i w pełni.

- Dlaczego to mówisz? - chlpię.

- Głupek - odpowiada Zafar.

Przyciska usta do mojej głowy i już wszyscy trzej lejemy łzy.

Dojeżdżamy wreszcie do przejazdu kolejowego, za którym zaczyna się Orzechokrusz, gdzie tory przebiegają w pobliżu fabryki i gdzie dźwigałem Aliję na grzbiecie. Nasze auto czeka przed opuszczonym szlabanem. Stoimy po lewej stronie drogi. Prawą blokuje duża ciężarówka. Przejeżdża długi pociąg 2652 Sampark Kranti Express. A potem widzimy, że za drugim szlabanem upchane gęsto auta, świnie *bhutt-bhutt*, autobusy i inne pojazdy też całkowicie blokują drogę. Oba szlabany się podnoszą, obie strony patrzą na siebie, po czym wszyscy ruszają jednocześnie i po chwili tkwimy ściśnięci w zawierusze klaksonów i przekleństw.

- Witaj w domu - mówi Zafar.

Tak więc odzyskałem dawne życie, mam je z powrotem. Wszystko jest takie samo, choć wszystko się zmieniło. Po trzech dniach spędzonych u Zafara wróciłem do wieży, gdzie mieszkałem z Ma. Minęło trochę czasu, podróżnicy przylecieli z Amriki i nadszedł dzień, gdy zatańczyłem na ich weselu. Wszyscy mieszkają teraz w domu *pandi-ta*, a ja nadal codziennie zjadam tam obiad.

Oczy, cóż więcej mogę ci powiedzieć? Życie toczy się dalej. Podobno trochę potrwa, zanim wyznaczą nowego sędziego w naszej sprawie. Rozprawa została odroczone, Kampani ciągle szuka sposobów, by uniknąć stawienia się przed sądem, ale Zafar jest przekonany, że w końcu ich dorwiemy. Choroby wciąż nękają cały Khaufpur, setki ludzi przychodzą codziennie do kliniki Elli. Abdul Saliq stoi przed bramą Pir, każąc brudnym duszom odpierdolić się i zdechnąć, Farouq nadal jest cierniem w dupie, Chunaram robi różne nowe przekręty, a interesy Faqriego idą dobrze. Fabryka wciąż stoi, choć osmalona ogniem, ale trawa odrasta, a wypalona dżungla wypuszcza zielone kielki. Promienie księżyca bawią się w chowanego wśród rur *khany* z truciznami, nadal przyjeżdżają tutaj zagraniczni dziwnikarze.

Trzy tygodnie temu przyszła pocztą gruba przesyłka, oblepiona niebieskimi i czerwonymi amrikańskimi znaczkami i zaadresowana do Szanownego Zwierzaka, Klinika Elli. W środku było mnóstwo formularzy plus list z dobrą wiadomością dla mnie: znalazły się pieniądze, wyznaczono termin mojej operacji. Elli nie posiadała się z radości, uściskała mnie mocno i powiedziała, że już niedługo sam siebie nie poznam. Zafar mówi, że pomoże mi załatwić paszport. Za kilka miesięcy jadę do Amriki. Elli i Nisha polecą tam ze mną.

Wystarczy, że podpiszę papier.

Długo siedziałem z tym papierem pod starym tamaryndowcem, gdzie był kiedyś salon Ma. Myślałem i myślałem, pytałem głośno o radę, moje głosy nie udzieliły mi żadnej, zaczęły tylko wydawać swoje szalone posykiwania, obłąkańcze *khe, khe*. I wtedy przypomniałem sobie o maszynie w ścianie. Opowiem tę historię, pomyślałem, i w ten sposób poznam jej zakończenie. Dowiem się, co robić. Kiedy zacząłem mówić, kiedy usłyszałem wołanie zmarłej Aliyi, to było tak, jakby ona i inni, których już nie ma, przyszli do mnie. Moi drodzy, bohaterowie mojego serca. Oczy, nie potrafię wyrazić, jak za nimi tęsknię. Ta rana nie zagoi się aż do śmierci. Byli tutaj w każdej minucie tej opowieści. Ma jest ze mną w tej chwili, siedzi uśmiechnięta, nazywa mnie synem. Niech tylko obetrę oczy z pyłu i tęczy. Tak, widzę ją. „Spotkamy się w raju”, mówi. Wiem, że kiedyś tak będzie.

Oczy, oto, co sobie myślę, a mówię to tylko do maszynki, nie powiedziałbym nikomu, nawet tobie. Z pieniędzy, które zarabiałem u Zafara i spółki, czyli czterystu rupii miesięcznie, wydawałem codziennie tylko cztery. W puszcze wewnątrz ściany ze skorpionami jest ponad dziesięć tysięcy. Oczy, zbierałem na operację, ale teraz te pieniądze plus łagodna perswazja ze strony przyjaciół Farouqa kupią wolność Anjali i zamieszka ze mną. Widzisz, oczy, przypuszczam, że jeśli zrobią mi tę operację, to owszem, wyprostują mój grzbiet, ale do chodzenia będę potrzebował kul. Mógłbym sobie też sprawić wózek, ale jak daleko zajadę na nim wąskimi zaułkami Khaufpuru? Teraz mogę biegać, skakać i wozić dzieciaki na grzbiecie, mogę się wspinać na drzewa, wchodziłem na góry, przemierzałem dżungle. Czy takie życie nie jest dobre? Jako człowiek o prostych plecach byłbym jednym z wielu milionów, i żeby chociaż zdrowym. Na czworakach nadal będę jedynym i niepowtarzalnym Zwierzakiem. Jak odpowiedziałbyś Elli?

*Jestem Zwierzakiem wolnym i śmiałym
nie ma takiego na świecie całym*

Skończyłem, Oczy. *Khuda hafez*. Powodzenia. Pamiętaj o mnie. Wszystko przemija, lecz biedni pozostają. Jesteśmy ludem Apokalizy. Jutro będzie nas więcej.

Słownik

Niektóre pospolite słowa w języku hindi wyszczególnione na tej liście mają specyficzny khaufpurski charakter i w innych rejonach Indii mogą przybierać odmienne znaczenia; ñ sygnalizuje nosową wymowę, jak we francuskim *non*

„*Aaj kahaañ chalogé?*” - „Dokąd się dzisiaj wybierasz?”

aalaap - powolne wstępne badanie skali ragi

Aawaaz-e-Khaufpur - Głos Khaufpuru

abba - ojciec

achchha - okay

aghorī - ascetyczny wyznawca Śiwy, zazwyczaj nagi, którego medytacja jest śmiercią

anaar - owoc granatu

arré - wykrzyknik, w rodzaju „hej!”

Ashara Mubarak - przeddzień dziesiątego dnia Muharram

asteen ka saamp - dosłownie: wąż w rękawie, zdrajca

baar sau chees - nonsensowne odwrócenie

„*char sau bees*” autorstwa Zwierzaka

bada batola - samochwała, chwalipięta

badmaash - łobuz

baingan - bakłażan

baingan bharta - bakłażan pieczony na węglach, obrany ze skóry, roztarty i przyprawiony

bakra banaana - zrzucić na kogoś winę

bakwaas - nonsens

barfi - mleczne słodycze o karmelowej konsystencji

basti - dosłownie: wioska, lecz w Khaufpurze oznacza ubogą dzielnicę

„*Battameez kutté, main tumhe nasht kar doonga*” - „Bezwstydnym psie, zatłukę cię”

beedi - papieros zwijany z liścia

behanchod - siostrojebca

bhai, bhaiya - brat, często używane jako wyraz sympatii, jak w zwrocie „Zafar *bhai*”

bhang - odurzający napój sporządzony z liści konopi indyjskich

bhatt-bhatt świnia - duży trzykołowy pojazd, mieszczący do trzydziestu osób, z przodem podobnym do świńskiego ryja; silnik wydaje dźwięk *bhutt-bhutt-bhutt*

bhayaanak rasa - odczucie strachu, przerażenia

bhel-puri - popularna przekąska, kupowana na ulicy

Bhimpalashri - popołudniowa raga, Bb->C Eb E G Bb C, C Bb A G F Eb D C

bhonsdi-ka - zrodzony z pierdnięcia

Bilaval - raga, której skala jest niemal identyczna z zachodnią gamą C-dur

biryani - danie, mięso z ryżem

Brahma - w hinduizmie Bóg Stwórcza

burka - czarna szata noszona przez niektóre muzułmanki, okrywająca postać od stóp do głów, z kratką na oczy

chaarsau bees - paragraf 420 indyjskiego kodeksu karnego, w którym mowa o oszustwach

chuna lagaana - zwieść kogoś, zrobić z niego idiotę

cha-hussain - łatwowierny głupek, ktoś, kto dał się nabrać

chai - herbata *chai*

chappa chai - piosenka z filmu *Hu Tu Tu*, 1998

czakra - krąg

channa - ciecierzycza

chapaat-zapaat - nonsensowne wyrażenie ukute przez Zwierzaka i oznaczające podniecenie

chapaati - płaski chleb,

roti chataka - gatunek jaskółki, który podobno spija tylko krople rosy

daal - soczewica

dada - ojciec chrzestny, zwierzchnik organizacji przestępczej

dadi - babcia

daru - prymitywnie destylowany alkohol

datura - *Datura stramonium* (bieluń dziedzierzawa), silnie trująca roślina

Deshkar - raga w skali C D G->E G G->A C, C Bb->A Bb->A G-> EC

dhaap - jak podpowiada dźwięk, mocny klaps

dhaivat - szósta nuta w indyjskiej skali, odpowiednik „la”

dha pa ga - nuty indyjskiej gamy, *sa re ga ma pa dha ni sa*

dholak - bęben cylindryczny o membranach po dwóch stronach, zawieszony na szyi dobosza

dikhlot - dobry wygląd

elaichi - orzech arekowy (pinang), zob. *supari*

enteena ko strain karo - wysuń mocniej antenę, tzn. zastanów się dłużej

fataak - bum! trach!

fillim khatam - dosłownie: film się skończył, coś przegapiłeś

frangipani - *Plumeria rubra (indica)*, pachnące białe albo różowe, ciasno zwinięte kwiaty

galla mandi - targ warzywny

gandhara - trzecia nuta w indyjskiej skali, odpowiednik „mi”

garooli - nonsensowne wyrażenie Zwierzaka określające papierosy

gaya zamaana - miniony wiek

ghurr-ghurr - gapić się

ghusspuss - zazwyczaj oznacza szeptanie, tutaj: zwierzę o dwóch grzbietach

goonda - zbir, umięśniony

government-waali - wysłannik rządu

guftagoo - rozmowa

gulli - wąski zaułek

gup, gupshup - paplanina

gutka - perfumowany i słodzony tytoń do żucia, specjalność Khaufpuru

guttu ghumana - oczarować albo rzucić urok na kogoś

guzz - jeden z nielicznych błędów Elli, miała na myśli *ghuss*, czyli „ściskać”

haathi - słoń

hashish - żywica z konopi indyjskich

„*Hindi mein samjhaun?*” - „Czy mam ci to powiedzieć w hindi?” Czyli: „Mam to przeliterować?”

Holi - wiosenne święto kolorów

imli - tamaryndowiec

inglisz - angielski

Isa - Jezus

isayi - chrześcijanin

ishtoo - gulasz

itraana - być trochę zbyt sprytnym, za dużo protestować

jaan - życie

jaanvar - zwierzę

„*Jahā jaan hai, jahaan hai*” - „Póki mamy życie, póty mamy świat”

jahaan - świat

jarnail - zniekształcone angielskie „general”

jhadoo - domowa miotła, zrobiona z pęku długich źdźbeł trawy

jugaad - wspaniały pomysł, jugaadu, geniusz dobrych myśli

juloos - marsz protestacyjny

jungli - dziki

kaané - zezowaty

kabbadi - brutalna gra, podczas której powala się przeciwnika na ziemię

kachambar - kawałki ogórka z pieprzem i sokiem limonowym

Kali - hinduska bogini matka, mroczna bogini śmierci i zniszczenia

kameez - długa luźna koszula, narzucona zazwyczaj na *shalwar*

kankana - wiecznie młody, pełen energii

karnail - zniekształcone angielskie „colonel” (pułkownik)

khañ - poufały khaufpurski zwrot, jak „kolego”. Zob. *yaar*

khaañsi - kaszel

kheer - mleczny pudding

„*Khuda hafez*” - w języku farski dosł. „Niech Bóg cię chroni”, wyrażenie stosowane podczas pożegnania

KLPD, *khade lund pe dhoka* - zdrada wzwiedzonego penisa, określenie przyczyny rozczarowania

kissmiss - jak angielski brzmi dla tych, którzy nie mówią po angielsku

kulcha - płaskie chlebki, grubsze niż *chapatti*, ale nie tak grube jak *naan*

kurta - cienka haftowana muślinowa koszula noszona zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety

kushti - zapasy

kutiya ki aulad - sukinsyn

„*Kya main Hindi mein samjhaun*” - Zob. „*Hindi mein samjhaun?*”

„*Kyō khā?*” - „No więc, przyjacielu?”

laal imli ka gataagat - osolone i przyprawione owoce tamaryndowca sprzedawane jako przekąska

laat sahib - gruba ryba, zniekształcone angielskie „lord sahib”

langur - małpa o długim ogonie

lassi - napój jogurtowy

latkan - towarzysz, dobroczyńca, bliski znajomy

look london talk tokyo - przypadek silnego zeza

lukhnawi - pochodzący z Lucknow, miasta słynącego z gładkiej, wytwornej mowy

lund - schlong, kutas, penis

lund latkayé - z wiszącym kutasem

lund pasanda - ulubienica kutasa

madhyam - czwarta nuta indyjskiej gamy odpowiadająca „fa”

Mala Sinha - aktorka filmowa

Malkauns - poważna raga nocna

marsiya - pieśń o męczeństwie Imama Husajna

masjid - meczet

maut pade - dosł. „obyś zdechł”, ale też „do diabła z tobą”; wyrażenie to używane też jako pozdrowienie

mazaaq - zabawa, wygłup

mehboobi - ukochana osoba

mela - jarmark

miyañ - uprzejme słowo oznaczające dżentelmena, człowieka kulturalnego

muharram - święto, podczas którego oplakuje się śmierć Imama Husajna

munsipal - municypalny, miejski

murgi-ka-panja - Kurzy Pazur

musaafir - podróżnik

naala - otwarty kanał ściekowy

naan - płaski prażony bochenek chleba

natnaaz - muzułmańskie modlitwy pięć razy dziennie

naqsheen katora - ktoś o twarzy poznaczonej dziobami po ospie

nasha - upojenie, odurzenie

Naya Adalat - nowy gmach sądu, który ma dwieście lat

neem - Azadirachta, miodla indyjska, roślina o gorzkich i ściągających właściwościach, stosowana w ziołowych mieszankach leczniczych

nishada - siódma nuta w indyjskiej skali, równoważnik „ti”

ō - nosowe „o”, takie samo, jak w ostatniej sylabie francuskiego nazwiska Proudhon

oot pataang - nonsens

ous raat - tamta noc

pancham - piąta nuta indyjskiej skali, odpowiednik „so”

pandu - wzdurliwe określenie policjanta

qasam Khuda ki - „na Boga”

raakhee - wisiołek zawiązany przez dziewczynę na nadgarstku chłopaka, którego traktuje jak

brata

raal tapkana - ślinić się, ale po khaufpursku: gapić się, patrzeć złym okiem

raat-ki-rani - dosł. Królowa Nocy, nocny jaśmin, *Cestrum nocturnum*

Rajshree - aktorka filmowa

Rampuri knife - nóż sprężynowy z ząbkowanym ostrzem, kojarzący się z gangsterami

Reshma - aktorka filmowa

risabha - druga nuta w indyjskiej skali, odpowiednik „re”

romanchnik - dosł. jeżący włosy

roti - płaski chleb, *chappati*

sa re ga - odpowiednik „do re mi” w indyjskiej skali

saala, saalé - „cholerny”, dosł. szwagier

sadak chhaap - zdeptyany przez ulicę, określenie dzieciaków zahartowanych twardym ulicznym życiem

Sadda miyā ki tond - brzuch Sadda miya, osoba zarozumiała

sadhu - hinduski asceta, ktoś, kto wyrzekł się spraw tego świata

sahib - tytuł grzecznościowy, oznaczający przełożonego lub szefa

santoor - duża cytra

Saraswati - hinduska bogini muzyki i literatury

sarauta - Orzechokrusz

sardarji - sikh, mężczyzna

sargam - hinduski solfeż, *sa re ga ma pa dha ni sa*

shabaash - dobra robota

shadja - pierwsza nuta w indyjskiej skali, odpowiednik „do”

shalwar - lekkie luźne spodnie ściągnięte ciasniej wokół kostek

shalwar kameez - długa luźna koszula noszona na pidżamie, z szalem

shamiana - duży namiot, zwykle kolorowy i bogato zdobiony

Shammi Kapoor - aktor filmowy

Shatrugan - Shatrugan Sinha, znany filmowy czarny charakter

shayiri - poezja

sherwani - wymyślna haftowana tunika

Śiwa - hinduski bóg tańca, muzyki i tak dalej, również wielki niszczyciel

supari - małe kawałki osłodzonych orzechów arekowych używane w celu odświeżenia oddechu

taal - jezioro

talaiyya - staw

tamaasha - szum, widowisko

tapori - obibok, kombinator

tauba tauba tauba - modlitwa do Allaha o przebaczenie

thook - plwocina

topi pehnana - zrobić z kogoś idiotę

utar dena - skłonić kogoś innego, żeby zapłacił

Vilayat - Europa

vintage car - starsza osoba, która lubi przestawać z młodymi

wah, wah - brawo, wspaniale, wow

wali saheb - osoba prostolinijna, ograniczona

Waqar and Wasim - Waqar Younis & Wasim Akram, pakistańscy serwujący w krykiecie

x-ray - szkieletowaty, Zafar i Farouq wyglądali tak podczas strajku głodowego

yaar - przyjaciel, kolega, kumpel

Yavanapuri - poranna raga

Yogasutras - klasyczne traktaty o jodze, najślynniejszy autorstwa Patanjali

zabri - „kutas” w libańskim slangu, który Zwierzak znał nie wiadomo skąd

zapaat - długi i cienki jak nos Zafara, wielki kinol

zari-work - misterny haft złotą i srebrną nicią